

ALAN CAMPBELL



ZELAZNYA
KONIK

CAMPBELL ALAN
Kodeks Deepgate #2 Zelazny
Aniol

ALAN CAMPBELL
Kodeks Deepgate: Tom II
Przełożyła Anna Reszka
WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2009
GTW

Tytuł oryginału:

Scar Night

Copyright © 2006 by Alan Campbell

Copyright for the Polish translation

© 2009 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:

Urszula Okrzeja
Korekta:
Magdalena Górnicka
Ilustracja i opracowanie graficzne
okładki:
Jarek Krawczyk
Projekt typograficzny, skład i
łamanie:
Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-120-1

Wydanie I
Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082
Warszawa
tel./fax (0-22) 813 47 43

e-mail: kurz@mag.com.pl

www.mag.com.pl

Druk i oprawa:

drukarnia@dd-w.pl
Caragh

PODZIĘKOWANIA

Szczere dzięki Simonowi Kavanagh, Peterowi Lavery, Juliet Ulman i wszystkim w Bantam and Macmillan.

Fragmety Kodeksu znalezione we wraku Reclamation
(Wyjątki z ocalałego fragmentu BOFP, tom II, str. 783)

Bóg kwiatów i noży nie mógł zabić swojego wroga. Przeleciał nad płonącym miastem Skirl.
Wśród ognia i dymu kroczył arkonita.

Trupy *[nieczytelne]* tysiąca ludzi północy zaścielały ulice. Sto tysięcy stało na plecach swoich *[nieznane określenie; tłum. -- „zimnych”?*] braci, żeby osiągnąć wielkiego skrzydlatego demona.

Pocięli arkonitę stałą i spalili go. Ale demon (*śmiał się/ wył*), przeszedł między nimi i zabił ludzi północy. Wszyscy mieszkańcy Coreollis wylegli z miasta, żeby walczyć, a z nimi ci z Brownslough i z *[zwęglone]*. Połowa żołnierzy (*przystojnego?*) boga zginęła od maczugi arkonity. Reszta próbowała uciec. Ale bóg kwiatów i noży wpadł w gniew.

[następne dwa wersy spalone]

Przyniesiono łańcuchy z *[nieznane określenie; tłum. -- „miasta głosów”, patrz aneks 4a,]*, żeby spętać stopy arkonity. Demon upadł i zmiądzzył wiele (*domostw*) w Skirl. Ale nadal zabijał wojowników wokół siebie, bo nie chciał wracać do Piekła.

Przybyli *[wsunięte]* z Oxos, żeby otruć leżącego demona. Ale on nie umierał. *[Usunięte]* przynieśli robaki, żeby go pożarły. Ale nie został pożarty. Niewolnicy *[zwęglone]* z Burzliwego Wybrzeża przystąpili do bestii, dzierżąc młotki, i *[nieczytelne]*. Po dwóch księżycach arkonita został przybity.

Ale nawet wtedy nie mogli go zabić, więc zagrzebali go w ziemi.

Bóg kwiatów i noży sprowadził wielki deszcz, żeby oczyścić Pandemerię z *[usunięte]*. I rozmyślał w swoim zamku, bo jego armia została zdziesiątkowana. A pod zatopioną ziemią arkonita nadal oddychał.

PROLOG

NICOŚĆ ALBO NIEWOLA

Słona mgła otaczała stary galeon, odkąd załoga sięgała pamięcią. Powietrze przesycone solą wypaczyło deski, wyżarło dziury w pokładach i grodziach, zamieniło wnętrze w wilgotny, gnijący ul. Wszystko skrzypiało, ociekało wodą i jęczało w mroku. Nawet tron, na którym siedział Cospinol, niszczał; jego niegdyś rzeźbione powierzchnie teraz przypominały mierzwę.

Stary bóg miał na sobie najlepszą zbroję, ale warstwy stwardniałych czerwonych pancerzy krabów już tysiąclecia temu popękały i pokryły się nalotem, tak że żadna ilość farby i kleju nie była w stanie przywrócić jej do dawnej świetności. Skrzydła zwisały mu z ramion niczym poszarpane szare i białe żagle, które ten starożytny statek kiedyś miał. Oczy lypały ze zmierzwionej strzechy włosów, gdy Cospinol przyglądał się siekierze trzymanej w ręce.

--Panie?

Stopniowy rozkład przybliżał jego koniec. Podobnie jak ten drewniany topór, *Rotsward* z trudem dźwigał własny ciężar. Statek po prostu nie mógł przetrwać kolejnego wieku. Jego kości zanikały, skóra pękała, w wilgotnych zakamarkach buszowały istoty, które nie miały prawa tam być. Słyszac tupot małych stóp, Cospinol uniósł wzrok znad siekiery.

--Panie? -- Klęcząca przed nim niewolnica nerwowo miała rąbek fartucha. -- Pańscy bracia już tu są.

Cospinol machnął z lekceważeniem ręką. W przejściu za kajutą kapitana rozległ się dziecięcy chichot, a zaraz potem przez otwór ziejący w najbliższej grodzi przemknął cień.

Stary bóg uniósł topór.

--To chuchro prześladowuje mnie od dawna -- zaburczał. -- Nim się zjawia, chcę mieć głowę małego drania na tacy.

Wstał z tronu i zrobił krok w stronę źródła dźwięku. Deski ugięły się pod jego butami ze skorup. Gdy w kącie kajuty zajrzał w dużą jak pięść dziurę w podłodze, dostrzegł dużo większą wyrwę w kadłubie *Rotswarda*. Przez ten otwór wygramoliła się na zewnątrz mała postać i rozplynęła we mgle. Za nią podążała szczękająca masa żywych czerwonych krabów.

--Ten chłopak to przeklęty pajak -- wymamrotał pod nosem Cospinol. -- Jak on może chodzić pod moim statkiem?

--Ma haki zamiast palców -- odezwała się niewolnica.

--Haki? Od kiedy?

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Bóg odchrząknął.

--Ta plaga to spisek. Ostatnie, czego mi trzeba, to żeby moi bracia zobaczyli tę mesmerycką szumowinę grasującą po moim statku. Jak by to wyglądało, co?

Niewolnica nie odpowiedziała.

--Ci dranie mogliby nawet spróbować mnie usunąć -- gderał dalej Cospinol. -- Powiedzą, że daję schronienie wrogowi, zarządzą głosowanie i wypędzą mnie z mojego własnego królestwa. Od wieków obserwują Burzliwe Wybrzeże i tylko czekają na taki pretekst.

--Wojna w Pandemerii całkowicie ich pochłania, panie.

Cospinol otworzył jeden z tylnych bulajów kabiny i spojrzął na rufę *Rotswarda*. Zobaczył jedynie niewyraźny zarys rusztowania, które otaczało cały statek powietrzny, oraz wielką sieć lin i rei spowitą mgłą. Mewa skacząca po jednym z drzewc wzbila się w powietrze i, zataczając

kręgi, pofrunęła w dół w stronę odległej ziemi. Wkrótce zniknęła w szarym oparze. Pod sobą Cospinol nie widział nic, ale przypuszczał, że Rotsward dryfuje gdzieś na zachód Pandemerii.

--Najwyraźniej nie dość ich pochłania, skoro postawili śmiertelnych generalów na czele swoich armii, a sami wybrali się tutaj -- stwierdził bóg, zamykając okno. -- Zresztą, co martwa dziewczyna może wiedzieć o wojnie? Nie byłaś Pandemerianką, prawda?

Niewolnica spuściła głowę.

--Nie, panie. Żyłam i umarłam w Brownslough.

Bóg pokiwał głową.

--Królestwo Hafe'a. Właściwie byłaś szczęściarą, dziewczyno. Ciesz się, że Pandemeria jest daleko stąd.

Cospinol przeszedł przez kajutę, żeby sprawdzić stół bankietowy ustawiony pod oknami od strony rufy: białe płócienne serwetki, srebrne półmiski, sztucce, puchary i świeczniki -- wszystko zbyt ostentacyjne jak na jego proste upodobania. Wziął do ręki nóż, zastanawiając się, w jaki sposób jego niewolnicy przywrócili ostrzu taki błysk, ale potem zauważył rząd ciemnych plamek wzdłuż jednej krawędzi. Nawet najlepsze srebro nie zdołało się oprzeć powolnemu rozkładowi.

Winna temu była wieczna mgła, obmierzły całun ze słonej wody, który Cospinol oglądał każdego dnia. Teraz opar kłębił się również za bulajami. Bóg nie miał jednak odwagi wystawić statku na słońce tego świata.

Jeszcze nie.

W jego rozważania wkradła się nagle inna myśl.

--Gdzie są moi bracia? Co ich zatrzymuje?

--Panie... -- Dziewczyna jeszcze niżej opuściła głowę, tak że podbródkiem niemal dotykała klatki piersiowej. -- Pańscy goście coś ze sobą przywieźli. Postanowili zaczekać i z rei Rotswarda nadzorować operację wnoszenia tego na pokład.

--Co to takiego?

--Nie wiem, panie. Znaleźli to w Pandemerii.

Cospinola nagle ogarnął niepokój. Nic dobrego nigdy nie przybywało z tego kraju pustoszonego przez wojnę. Znaleźli Rysa i pozostałych braci miało bez wątpienia groźne przeznaczenie. Bóg westchnął i, skinąwszy na służącą, ruszył do drzwi.

--Chodźmy więc i sami zobaczmy.

Po opuszczeniu kajuty kapitańskiej ruszyli jedną z zejściówek na pokład rufowy. Stąd Cospinol mógł spojrzeć na górne pokłady *Rotswarda*.

Mgła otaczała statek ze wszystkich stron. W Niebie był to galeon z ożaglowaniem rejowym przeznaczony do żeglugi po słonych morzach, ale jego kil nie rozcinał fal od ponad trzech tysięcy lat. Brakowało na nim teraz głównych masztów, bo twardy dąb już dawno temu został użyty do naprawy innych części statku. Ocalałe, postrzępione żagle zwisały z rei po obu burtach, wystając daleko poza kadłub. Żeby do nich dotrzeć, załoga musiała wspinać się po kratownicy ze śliskich belek -- co w wiecznej mgle było niebezpiecznym zadaniem -- podczas gdy od dalekiej ziemi dzieliło ich tylko niebo.

Na śródokręciu coś się działo. Na lewej burcie dwaj wyczerpani marynarze odpoczywali wsparci o rączki kołowrotów, a ich sześciu kolegów wciągało na pokład wyladowaną sieć. Znajdował się w niej okrągły przedmiot z matowego metalu, podobny do ogromnej kuli

armatniej i równie ciężki, sądząc po wysiłkach załogi. Cospinol rozejrzał się za braćmi, ale nigdzie ich nie zauważył.

Członkowie załogi *Rotswarda* mieli na sobie te same dziwaczne ubrania, w których umarli. Kiedyś byli żeglarzami z Oxos, Merii i kilkunastu innych ludzkich portów. Teraz, gdy usiłowali wyjąć kulę z sieci, na ich bladych twarzach gościł wyraz ponurej determinacji.

--Co to jest? -- zdziwił się bóg. Z góry dobiegł ochryply śmiech.

--To klucz do twojego królestwa, Cospinolu!

Bóg morza skierował wzrok w górę i zobaczył swojego brata Rysa sfruwającego na pokład rufowy. Jego wielkie białe skrzydła przecinały mgłę, lustrzany stalowy pancerz błyszczał jak świeżo bite monety, nagi bulat i liczne małe miecze zatknięte za srebrny pas lśniły blaskiem gwiazd. Rys miał na sobie płaszcz z Bitewnych Róż, czerwonych jak krwawa ziemia, z której wyrastały, i równie trujących. Bóg kwiatów i noży wyglądał w każdym calu na zwycięzcę... i Cospinol nienawidził go za to.

Chwilę później z mglistego nieba zaczęli sfruwać pozostali bogowie: Mirith, Hafe i Sabor. Wszyscy trzej zachowywali pełen szacunku dystans między sobą a starszym bratem. Hafe, otyły i spocony pod miedzianą zbroją; posępny, siwowłosy Sabor w ciemnej kolczudze; biedny szalony Mirith w stroju błazna skleconym z blaszanych płyt, skór i jaskrawych aksamitów, które oddawał mu Rys. Wydawało się, że nawet skrzydła określają rangę przybyłych bogów. Gdyby wół umiał latać, rozpiętość jego skrzydeł byłaby taka jak u Hafe'a. Sabor przypominał z wyglądu kruka. Skrzydła Miritha były przekrzywione i ozdobione małymi dzwoneczkami.

Rys wylądował lekko na pokładzie rufowym.

--To pływające więzienie nie przestaje mnie zdumiewać -- powiedział. -- Jak ty to robisz, że całkiem się nie rozpada?

Jego słowa były zamierzoną zniewagą. Z pięciu obecnych tu bogów tylko Cospinol nie mógł opuścić swojej twierdzy. Ten drobiazg zmuszał pozostałych braci do składania mu wizyt, a Rys nie był zadowolony z tej niedogodności.

--*Rotsward* jest mocniejszy, niż się wydaje -- odparł ponuro Cospinol.

--Tak jak ty, bracie -- stwierdził Rys. -- Sprawiasz wrażenie tak kruchego, że każdy się dziwi, jakim cudem utrzymujesz się na nogach bez niczyjej pomocy, a jednak stoisz tu przed nami dumny i wysoki, tak że można by mylnie wziąć cię za równego nam.

Nagle całym statkiem zakolysało, kiedy Hafe rąbnął z potężnym hukiem o pokład tuż obok boga kwiatów i noży. Sabor osiadł lekko i cicho kawalek za nimi, natomiast Mirith wylądował z pobrękiwaniem dzwoneczków i okrzykiem radości.

Rys obejrzał się przez ramię i powiedział:

--Nie martw się, Cospinolu, że jestem otoczony przez kaleki.

--Nie jestem kaleką -- zaprotestował Hafe.

--Ta łódź kołysze się i trzęsie przy każdym uderzeniu twojego tłustego serca -- stwierdził Rys. -- Sama twoja obecność może sprawić, że ten nieszczęsny statek runie w dół.

Bóg ziemi i trucizn poczerwieniał na twarzy.

--To nie moja wina, że ten statek jest przegniły -- wysapał. -- Stado mew mogłoby rozdziobać go na strzępy.

Mirith zachichotał, zasłaniając usta ręką, a potem uklonił się jak błazen i powiedział:

--Ale ja jestem kaleką.

--I do tego szaleńcem -- zgodził się Rys. -- Jednak znaleźliśmy się na tym dryfującym wraku między innymi z powodu twojej niesamowitej dalekowzroczności.

Cospinolowi jeszcze bardziej pogorszył się nastrój. Już miał się odezwać, ale przeszkodziło mu zamieszanie na śródokręciu. Dziwna metalowa kula Rysa wypadła z sieci i potoczyła się prosto na jednego z członków załogi, miażdżąc mu pierś. Żeglarz jęczał w agonii, podczas gdy koledzy próbowali zsunąć z niego ciężar.

--Ostrożnie! -- wrzasnął Rys.

--Może byliby ostrożniejsi, gdybyś im wyjaśnił, co to jest -- rzekł Cospinol. -- To broń mesmerystów, tak?

--Coś więcej -- odparł Rys. -- Chodźmy, bracie.

Gospodarz zaprowadził gości na śródokręcie, gdzie tymczasem załoga *Rotswarda* uwolniła przygniecionego towarzysza i teraz wciskała drewniane kliny pod kulę, żeby ta znowu gdzieś się nie potoczyła.

Z bliska Cospinol zobaczył, że kula składa się ze źle dopasowanych metalowych płyt, luźno do siebie przyśrubowanych trójkątów i trapezów, tak że sieć szpar na jej powierzchni wyglądała jak spękana ziemia w suchym korycie rzeki. Metal był matowy, niczym stary stop cyny z ołowiem, a każdy panel mocno wyszczerbiony i porysowany, jakby kula przez dłuższy czas toczyła się po nierównym terenie. Pod rysami można było dostrzec słaby geometryczny wzór.

Rys zbliżył się do kuli i lekko przesunął palcem po jednej z metalowych płyt, jakby wodził po konturach jakiegoś tajemniczego ornamentu. Następnie pchnął taflę do wewnątrz. Rozległ się krótki szczęk i płyta odskoczyła jak kłapa na ukrytych zawiasach.

W środku ukazała się twarz.

Cospinol podszedł bliżej. Zobaczył pomarszczone oblicze starej kobiety o płaskim nosie i oczach zasnutych bielmem, na pierwszy rzut oka ludzkie. Ale kiedy usta się otworzyły, bóg ujrzał czarny węzowy język i trzy poźółkle pieńki szklanych zębów.

--Zamknijcie kulę! -- rozpaczliwie jęczała starucha. -- Słońce nas spali!

--Tutaj nie ma słońca -- huknął na nią Rys. -- Milcz, wiedźmo, póki nie pozwolę ci mówić.

Cospinol wytrzeszczył oczy.

--Znalazłeś wiedźmową kulę?

Rys pokiwał głową.

--Moi żołnierze trafili na nią po bitwie pod Skirl. Obserwowała walkę i szpiegowała dla swojego pana.

--Tropiciele Menoi będą jej usilnie szukać.

--Niech szukają -- odburknął Rys. -- Jest poza ich zasięgiem.

--Zdradzieckie psy! -- krzyknęła zamknięta w kuli czarownica. -- Przeklinamy synów Ayen. Wchłonęliśmy waszą krew w Skirl i Pandemerii, a teraz oddamy ją w Deepgate. Nie macie więcej żołnierzy, żeby ich wysłać przeciwko nam.

--Cisza! -- Rys wyjął nóż zza pasa i dźgnął nim w środek kuli. Starucha wrzasnęła i plunęła na niego krwią, ale przystojny bóg tylko głębiej wepchnął ostrze i przekręcił je, aż ucichło zawodzenie. Cospinol skrzywił się i odwrócił od ponurego widoku.

--Widzę, że nic nie straciłeś ze swojego daru przekonywania -- rzucił pod adresem młodszego brata. -- Ale co ta wiedźma miała na myśli? W jaki sposób mesmeryści chcą

zaatakować Deepgate?

Mirith zachichotał jak obłąkany i wykrzyknął:

--Źle się dzieje po drugiej stronie Piekła. -- Jego blaszana zbroja grzechotała jak kubki żebraków, kiedy zaczął tańczyć po pokładzie *Rotswarda*.

Rys starł krew i ślinę z twarzy.

--Mirith jest bystrzejszy, niż się wydaje -- powiedział do Cospinola. -- Pod maską szaleństwa skrywa się przenikliwy umysł. -- Raptem sposepniał i wyrzucił z siebie: -- Ulcis został zabity.

Wiadomość była tak zaskakująca, że Cospinol się roześmiał.

--Zabity? -- parsknął. -- Bóg zabity? Niemożliwe.

--Ale to prawda -- oświadczył Rys. -- Mirith miał szpiega w Deepgate, niejakiego Thomasa Scatterclawa. Taumaturg zakradł się do Labiryntu, żeby potwierdzić tę nowinę. Po śmierci Ulcisa drugie drzwi do Piekła pozostają niestrzeżone. Teraz gromadzą się za nimi siły króla Menoi.

--Ale jak to się mogło stać? -- wysyczał Cospinol. -- Dlaczego nasz brat Ulcis zrobił się taki nieostrożny? Jak mógł pozwolić, żeby mesmeryści nasłali na niego asasyna? Jak go zabili?

--To nie oni go zabili -- odparł Rys. -- Bóg łańcuchów zginął z ręki własnej córki.

--Córki? -- Cospinol popatrzył na niego z niedowierzaniem. -- Ulcis miał córkę? I pozwolił jej żyć?

Bóg kwiatów i noży pokiwał głową.

--Jego głupota naraziła nas wszystkich na poważne niebezpieczeństwo. Bitwa pod Skirl zdziesiątkowała nasze wojsko. Nie mamy dość oddziałów, żeby powstrzymać drugie wtargnięcie mesmerystów. Brama pod Deepgate jest szeroko otwarta, a ziemie wokół czeluści pozostają niechronione. Eteryczne istoty już powstają z Piekła i wkraczają do łańcuchowego miasta pod osłoną krwawej mgły. Za nimi wkrótce ruszą ikaraccy zmiennokształtni, a potem cała mesmerycka horda wyleje się z otchłani. Skażą Martwe Piaski tak, jak skazili Pandemerię.

Podczas gdy Cospinol zastanawiał się nad tym ponurym obrotem spraw, Rys skierował uwagę z powrotem na wiedźmową kulę. Jędza charczała żałośnie, krztuszając się własną krwią. Bóg zamknął klapę, po czym otworzył inną na wierzchu kuli. Ze środka wyjrzała druga czarownica, jeszcze brzydsza i starsza niż pierwsza. Jej jedyne białe oko lypało z kościotrupiej twarzy, czarnej jak wypalony dąb.

--Litości dla moich siostr! -- zaskrzeczała. -- Pozwól nam wrócić do Piekła, synu Ayen.

Rys uśmiechnął się szeroko.

--Kiedy powiesz mojemu bratu wszystko, co wiesz -- obiecał.

--Powiedziałyśmy już wszystko -- wyjęczała starucha.

--Mów.

Wiedźma stęknęła, ale posłuchała boga.

--Nasz pan buduje drugiego arkonitę, jeszcze większego i potężniejszego niż pierwszy. Zrobiony z kości i żelaza, z duszą potężnego archonta, będzie swobodnie chodził w świetle słońca po niezakrwawionej ziemi. -- Jej twarz wykrzywiła się w szyderczym grymasie. -- Zmiażdży niedobitki twojej armii jak mrówki!

Rys sięgnął po nóż.

Kiedy wreszcie skończył z wiedźmową kulą, dyszał ciężko, ale uśmiech ani na chwilę nie

zszedł z jego twarzy.

--Do tej pory mesmeryści byli niejako skazani na Pandemerię, bo nie mogli przeżyć dostatecznie długo bez mocy czerpanej z krwi -- powiedział. -- Żeby pozostać na tym świecie, istoty z Piekła muszą chodzić po czerwonej ziemi pół bitewnych albo po gruncie nawilżonym przez krwawe mgły Menoi. Natomiast ci arkonici... -- Rys zacisnął pięści. -- Nie daliśmy rady zabić pierwszego, bracie.

--A kiedy drugi opuści Piekło, stracie władzę nad tym światem -- stwierdził Cospinol.

--My wszyscy stracimy władzę -- poprawił go Rys.

To nie była prawda. Cospinol nie posiadał bogactw ani królestw takich, jak jego czterej bracia. Od trzech tysiącleci tkwił na rozpadającym się statku, otoczony mgłą, która chroniła go przed niszczycielską mocą słońca. Tylko Ulcis, najstarszy z synów bogini Ayen, znajdował się w podobnej pułapce -- ukryty pod ziemią, gromadził dusze, żeby dołączyć do armii Rysa. Ale teraz Ulcis nie żył, a Cospinol pozostał ostatnim z uwięzionych bogów.

--Co się stało z rezerwistami Ulcisa? -- zapytał. -- Z hordami, które zebrał w Deepgate? Sabor wystąpił do przodu.

--Ich ciała przepadły, a krew mesmeryści wykorzystali do własnych celów -- powiedział. Wszystko w tym bogu zegarów było szare: skóra, pióra, włosy i oczy. Odczytanie wyrazu jego nieprzeniknionej twarzy wymagało cierpliwości i skupienia. Nic dziwnego, że ubierał się na czarno; kolorowy element stroju mógłby przyciągnąć uwagę patrzącego i w ten sposób skazać na niepowodzenie rozmowę. Mówił monotonnym, władczym głosem: -- Lecz dusze rezerwistów pozostają na tym świecie.

Cospinol zmarszczył brwi.

--Jak to?

--Córka Ulcisa nie przelalała krwi ojca. Ona jedynie zabrała jej esencję.

--Wypiła tego tłustego sukinsyna -- potwierdził Rys.

Cospinol nie mógł nie dostrzec błysku satysfakcji w oczach brata. Gdyby synowie bogini kiedykolwiek odzyskali Niebo, po śmierci Ulcisa w kolejce do tronu pozostałby tylko Cospinol przed Rysem... Ta myśl przyprawiła starego boga morza o niepokój.

W tym momencie Hafe uderzył pięścią w miedziany napierśnik.

--Wy, dranie! Nic, tylko gadacie! -- zagrmiał. -- Kiedy wreszcie będziemy jeść?

Na znak gospodarza niewolnicy zaczęły wnosić tace i ustawiać je na kapitańskim stole: gigantyczne kraby z zatoki Gobe, duszone keluty z Opos, kałamarnice, mątwy i misy pełne różowych krewetek. Bóg morza i mgły wybrał na tę okazję najlepsze rzeczy ze swoich spiżarni, ale teraz nie miał apetytu. Podczas gdy jego bracia jedli i gawędzili, Cospinol dumiał w milczeniu.

Ulcis nie żył, jego armia przepadła. Śmierć boga łańcuchów sprawiła, że hordy Menoi zyskały drugie wyjście z Piekła. Armie Rysa zostały zdziesiątkowane pod Skirl. Niedobitki wycofały się do Coreollis w desperackiej próbie obrony twierdzy przed atakami mesmerystów korzystających z Czerwonej Drogi. Nawet gdyby bóg kwiatów i noży uratował dość wojska, żeby to miało znaczenie, czy dotarliby na czas do Deepgate, żeby powstrzymać nową inwazję?

Cospinol wątpił. Zaczynał podejrzewać, po co naprawdę zjawili się tu jego bracia.

--To żarcie nie nadaje się nawet dla psa -- stwierdził Rys i warknął do jednej ze służących: -- Przynieś mi coś jadalnego. Najlepiej miskę pereł z duszami, które gromadzi twój pan.

Dziewczyna ukloniła się i wybiegła, nawet nie patrząc na Cospinola.

Mirith zachichotał.

--Miska dusz -- powiedział. -- Są lepsze niż to paskudztwo. Martwi nie potrafią gotować.

Hafe chrząknął z aprobatą, ale nawet nie uniósł głowy znad tacy z węgorzami, które pożerał łapczywie. Sabor zerknął na Rysa i szybko wrócił spojrzeniem do swojego talerza, lecz Cospinol dostrzegł ponury wyraz dezaprobaty w jego szarych oczach.

Rys odłożył widelec.

--Twoi niewolnicy są irytująco powolni -- stwierdził. -- A twój statek cuchnie trupami, głównem mewim i morską wodą. Powiedz mi, bracie, podoba ci się życie w takim brudzie i nędzy?

--Jakoś wytrzymuję.

--Ale trudno to nazwać życiem -- skwitował Rys. -- Nie masz dość przemierzania nieba jak sęp i zbierania dusz, które my zostawiamy za sobą? Nie wolałbyś żeglować prawdziwym statkiem po prawdziwym morzu? Na pewno tęsknisz do tego, żeby znowu poczuć słońce na twarzy, wiatr we włosach. Nie wolałbyś stać obok swoich braci jak równy?

Cospinol nie odpowiedział.

Służąca wróciła z niedużą miską perłowych dusz. Małe szklane paciorki migotały słabo w mroku, a pędy i zawijasy wyryte na ich powierzchni wyglądały jakby skręcały się niczym nici ciemności. Cospinol starał się ukryć konsternację -- nie mógł sobie pozwolić na trwonienie mocy zdobytej z takim trudem. Nie śmiał jednak sprzeciwić się bratu.

--Nareszcie jakaś prawdziwa strawa -- stwierdził Rys.

Nabrał garść bezcennych koralików i wsypał je do ust, a następnie podsunął miskę Hafe'owi. Tłusty bóg wziął prawie całą resztę pereł dla siebie i pchnął naczynie w stronę Sabora.

--Nie, dziękuję -- powiedział bóg zegarów.

--Odmawiasz sobie mocy? -- zdziwił się Hafe.

--Nie jest twoja, żebyś ją rozdawał -- odparował Sabor.

Rys prychnął.

--To uroczę, staroświeckie poczucie honoru przyniesie kiedyś Saborowi zgubę. Jego szermierze dobijają rannych mesmerystów na polu bitwy, zamiast zostawić ich, żeby długo cierpieli, tak jak sobie na to zasłużyli. -- Skinął głową Hafe'owi. -- Cospinol zawsze może zrobić więcej pereł. Daj resztę Mirithowi.

Mirith wziął misę w obie ręce i przechylił ją do ust. Potem zachichotał i potrząsnął przekrzywionymi skrzydłami, aż zabrzęczały dzwoneczki.

--Nawet te dusze smakują morską wodą.

--Dość tego! -- Cospinol wstał z krzesła i spiorunował wzrokiem Rysa. -- Ja jestem panem tego statku i kiedy przebywacie na jego pokładzie, macie traktować mnie z szacunkiem. -- Jego chuda pierś unosiła się i opadała pod napierśnikiem wysadzonym muszlami. -- Mówisz o arkonitach, upadłych bogach i nowym zagrożeniu z zachodu. Bierzesz mnie za głupca? Nie zjawilbyś się tutaj, gdybyś nie potrzebował mojej pomocy. Mimo to unikasz odpowiedzi na moje pytania i drwisz ze mnie przy moim stole.

Rys odsunął krzesło, wstał i mocno uderzył Cospinola w twarz.

Stary bóg zatoczył się do tyłu z policzkiem piekącym od ciosu. Niewolnicy znieruchomieli,

dzwonię w uszach Cospinola po chwili zastąpiła głęboka cisza. Wszyscy na niego patrzyli.

--Wynocha! -- rzucił Rys do niewolników. Posłuchali go natychmiast.

Bóg kwiatów i noży podszedł wolno do okien i spojrział na mgłę.

--Wybaczę ci ten wybuch -- rzekł w końcu. -- Zdaję sobie sprawę, że życie tutaj jest dla ciebie ciężkie, Cospinolu... Uwięziony na statku, pozbawiony wolności, którą my czterej sobie wywalczyliśmy. -- Niemal udało mu się przemawiać wielkodusznie. -- Ale teraz jestem gotowy ci pomóc. Chcielibyśmy, żebyś dołączył do nas jak równy, żebyś stanął z nami ramię w ramię przeciwko armiom Piekła.

Co za wspaniałomyślność. Cospinola paliła twarz, wzbierała w nim żółć. Rys mówił dalej:

--Dopiero po tym, jak pokonamy mesmerystów zagrażających naszym terytoriom tutaj na ziemi, będziemy mogli zaatakować bramy Nieba i odzyskać nasze dziedzictwo. -- Uśmiechnął się. -- Ale najpierw musisz udowodnić swoją wartość. Wojna z Piekłem zagraża wszystkiemu, co do tej pory osiągnęliśmy. Odkąd nasza matka Ayen zdławiła nasze powstanie w Niebie, wywalczyliśmy sobie drogę powrotną znad krawędzi otchłani zapomnienia. Nasz ojciec Iril zginął, a jego szczątki są rozrzucone po całym Labiryncie. Myślisz, że jest w stanie nam pomóc? -- Rys pokręcił głową. -- Ten samozwaniec Menoa skorzystał z okazji i przywłaszczył sobie tytuł króla Labiryntu. -- Przesiał w dłoni muszle leżące na tacy i skrzywił się z niesmakiem. -- A teraz nie ma już więcej miejsca w Piekłe. Mesmeryści muszą rozciągnąć swój krwawy Labirynt na ten świat. -- Westchnął głęboko. -- Jeśli stwory Menoi zwyciężą, ludzkość stanie w obliczu nicości, w którą próbowała nas strącić Ayen.

--A jeśli wy wygracie, ludzkość stanie w obliczu niewolnictwa -- stwierdził Cospinol.

--To chyba lepsza perspektywa, nie sądzisz?

Cospinol zacisnął zęby.

Rys przez chwilę mierzył go wzrokiem, po czym wzruszył ramionami.

--Po naszym zwycięstwie będziesz mógł mieć tylu niewolników, ilu zechcesz. I jeśli o mnie chodzi, możesz nawet zachować ich przy życiu. Tylko się z nimi nie zadawaj. Nie popełnij tego samego błędu, co Ulcis. Wystarczy jeden półbóg wypuszczony na nasz świat.

--To nigdy nie był nasz świat -- wtrącił Cospinol.

Rys go zignorował.

--Zabierz swój statek do Deepgate -- powiedział. -- I zapieczętuj tę nową bramę, zanim mesmeryści się tam umocnią. Gdy uwaga naszego wroga będzie skupiona na łańcuchowym mieście, ustanie napływ demonów do Pandemerii. To będzie najlepsza okazja, żeby zaatakować mesmerystów i zapędzić ich z powrotem do Piekła.

Cospinol prychnął z pogardą.

--W twoich ustach wszystko wydaje się takie proste, Rys. Spodziewasz się, że zaryzykuję życie, żeby zapewnić ci wolność, podczas gdy ja sam będę uwięziony tutaj? Co masz mi do zaoferowania? Mglistą obietnicę solidarności? Zdradzisz mnie, gdy tylko mesmeryści zostaną pokonani.

--Wolisz nicość?

--Skoro jestem skazany na śmierć na tym statku, przynajmniej umrę, wiedząc, że przegrałeś.

Noże przy pasie Rysa zaślnęły.

--Zamierzamy ci podpowiedzieć, jak mógłbyś się uwolnić.

Cospinol przesunął wzrokiem po braciach: od twardego spojrzenia Rysa przez mokry uśmiech Miritha i spocone, zmarszczone czoło Hafe'a po posępną twarz Sabora. Jak mógł im zaufać? Mimo to powiedział krótko:

--Wyjaśnij.

Od stołu wstał Sabor.

--Ulcis ucztował przez trzy tysiące lat -- zaczął. -- Zgromadził dość mocy, żeby wyjść z otchłani, ale został zabity, nim zdołał zrealizować plan ucieczki. Wszystkie dusze krążące w jego żyłach trafiły do jego córki Carnival. Wypicie jej krwi pozwoliłoby ci opuścić *Rotswarda*.

Bóg morza poczuł, że jego serce zaczyna bić szybciej. Dusze zebrane przez trzy tysiąclecia? Jeśli Sabor mówił prawdę i Cospinol rzeczywiście dopadłby tę dziewczynę, żeby zabrać jej krew, wreszcie uwolniłby się ze swojego więzienia. Znowu poczułby słońce na twarzy.

--Wiedźmowa kula jest w stanie zaprowadzić cię do niej -- powiedział Rys. -- To mój dar dla ciebie.

Mirith zachichotał.

--Strzeż się kłamstw, Cospinolu.

Rys odwrócił się do brata, ściskając w dłoni srebrny nóż.

--Nie drażnij mnie, Mirith. Za bardzo polegasz na tym, że ochroni cię twoja błazeńska twarz.

Kaleki bóg tak gwałtownie odsunął się od stołu, że upadł do tyłu razem z krzesłem i przekościółkował po podłodze. Wrzasnął i usiadł oszłomiony.

Hafe wybuchnął śmiechem.

Rys skierował wzrok z powrotem na Cospinola.

--Dlaczego mielibyśmy się nawzajem zdradzać, skoro współpraca przyniesie nam wszystkim korzyści? -- rzucił szorstko. -- Zapieczętuj bramę pod Deepgate, podczas gdy my będziemy walczyć z wrogiem w Pandemerii. Zabij dziewczynę i wykorzystaj jej moc, żeby się pozbyć tej gnijącej skorupy. Wtedy dołączysz do nas jak równy.

Równy? Jak biedny Mirith?

Bóg morza zrozumiał, jak bardzo potrzebuje go młodszy brat. Armia Rysa nie była w stanie zatrzymać drugiego arkonity. Bóg kwiatów i noży nie miał innego wyboru, jak zaproponować Cospinolowi krew anielicy w zamian za pomoc.

--Ta dziewczyna... Carnival już zamordowała jednego boga -- przypomniał. -- I teraz jest dużo silniejsza.

--Jest dzika i niewyszkolona -- oświadczył Rys. -- To żaden przeciwnik dla twojego niewolnika. -- Wskazał na podłogę. -- Jak nazywasz barbarzyńcę, który ciągnie twój statek?

--Kotwica. -- Cospinol nie zwrócił uwagi na rechot Hafe'a. -- Sugerujesz, żebym wykorzystał mojego niewolnika jako asasyna?

--On już jest asa synem -- odparł Rys. -- Ilu ludzi zabił dla ciebie? Sto tysięcy? Pół miliona?

--Więcej.

Hafe się zaśmiał.

--Pół miliona dusz! -- Bóg ziemi i trucizn rąbnął pięścią w wielki miedziany napierśnik. -- I ty nazywasz mnie żarłokiem? Na capie jaja, ten ludzki niewolnik pochłonął więcej dusz niż Labirynt.

--Istotnie -- przyznał Rys. -- Podczas gdy my tworzyliśmy legiony, żeby wyzwolić się z więzów Ayen i zdobyć swoje królestwa na tym świecie, nasz brat zainwestował większość swojej mocy w jednego śmiertelnika. -- Zmrużonymi oczami popatrzył na Cospinola. -- A mimo to sam pozostaje słaby, uwięziony na pokładzie własnego statku. Zdaje się, że karmił swojego ulubieńca najlepszymi kąskami.

Cospinol zgarbił plecy.

--Chodzi o ciężar -- powiedział. -- Trupy... Zabieram ich dusze, ale martwi nie chcą opuścić mojego statku. Czepiają się olinowania, masztów, rei; włóczą się po pokładach, dręczą mnie. Odrąbuję ich od burt, oni spadają z krzykiem na ziemię, ale zawsze wracają. Każdy nowy nieboszczyk coraz bardziej spowalnia *Rotswarda*, i mój barbarzyńca z Burzliwego Wybrzeża potrzebuje coraz więcej siły, żeby ciągnąć statek. Muszę dawać mu jego porcję dusz, bo inaczej osiadę bezradny na mieliźnie. -- Westchnął. -- Ayen sprytnie wybrała dla mnie więzienie.

--Nasza matka sprytnie obmyśliła więzienia dla wszystkich synów. -- Rys błysnął zębami. -- Ale my czterej uciekliśmy ze swoich już dawno temu, podczas gdy ty tkwisz tutaj i umierasz z głodu.

--Nie umieram z głodu -- warknął Cospinol.

--Ale jesteś więźniem. -- Bóg kwiatów i noży nachylił się do brata. -- Niewolnikiem.

Serce Cospinola napękało z rozpacz. Rys miał rację: był niewolnikiem, równie żalonym jak chłopiec z hakami zamiast palców, który przemierzał gnijące wnętrza jego statku. Ten dryfujący wrak nie zapewniał mu żadnej przyszłości. Ale gdyby poprowadziła go wiedźmowa kula mesmerystów, mógłby znaleźć siłę, żeby stąd uciec...

--Dobrze -- rzekł w końcu. -- Udam się do Deepgate i zapieczęтую bramę. Zabiję dziewczynę i wrócę do Coreollis.

W ten sposób Cospinol związał swój los z losem ludzkości. Gdyby zawiódł, czekał go niebyt z rąk mesmerystów; natomiast sukces mógł mu przynieść jedynie niewolę pod rządami Rysa. Żeby być naprawdę wolnym, musiałby pokonać zarówno wrogów, jak i własnych braci.

Rys musiał coś dostrzec w wyrazie jego twarzy, bo powiedział:

--Nawet nie myśl o zdradzeniu mnie, bracie.

Cospinol przytknął dłoń do piekącego policzka. Rozpadający się statek trzeszczał i drżał. Bóg morza czuł niewyobrażalny ciężar ogromnego wehikułu i legiony umarłych czepiające się śliskich burt. Wyobraził sobie, jak jego niewolnik kroczy po ziemi znajdującej się daleko w dole, ciągnąc ich wszystkich za sobą. Gdyby Cospinol zdołał opuścić *Rotswarda*, Kotwica również byłby wolny.

--Twój barbarzyńca jest silny -- przyznał Rys. -- Ale nawet jego zmiażdżyłaby fala naszych połączonych armii.

Cospinol uśmiechnął się w duchu.

Nie widziałeś, jak ten skurczybyk walczy.

CZEŚĆ PIERWSZA

MARTWE PIASKI

ROZDZIAŁ 1

CYRK OSOBLIWOŚCI

MINY GREENE

Z okna swojego pokoju w tawernie Rachel Hael obserwowała, jak mała flotylla lekkich łodzi rybackich mija barkę na zakręcie rzeki. Krzyki krążących nad nimi mew przypominały ochryply śmiech. Część ptaków przysiadła na rejach i wygrzewała się w popołudniowym słońcu. Krypa przewoziła piaskowiec z kamieniołomów Shale, znajdujących się dwadzieścia mil dalej w górę Coyle. Skiffy były miejscowe, a ich załogi trudniły się rabunkiem.

Rachel widziała poprzedniego ranka, jak złodzieje zastosowali tę samą taktykę wobec pałacowej barki z Dalamoor. Jej kapitan i marynarze byli tak zajęci wygrażaniem z rufy nieszczęsnym marynarzom odpowiedzialnym za korek na rzece, że nie zauważyli małego chłopca, który zakradł się do namiotu pilota.

Teraz Rachel obserwowała powtórkę wczorajszych wydarzeń. Pośród zamieszania, wrzasków, przekleństw i walenia puchami o kadłuby nikt nie dostrzegł młodego pływaka, który podciągnął się na rufę barki. Znalazłszy się na pokładzie, pomknął chyłkiem do sterówki. Chwilę później wypadł z niej i popędził z powrotem do burty, wpychając zwój papieru do nawoskowanej tuby.

Licencja kapitańska, domyśliła się Rachel. Gdy tylko statek przybije do portu, złodzieje zażądają za nią okupu. A kapitan będzie zmuszony zapłacić każdą cenę, inaczej przekonałby się, jak działa sprawiedliwość Avulsiora, i trafił na szafot, ponieważ Spine wprowadzili w Sandport stan wojenny.

Według nowego i ściśle przestrzegane go porządku prawnego miejscowi złodzieje i rozbójnicy dodali do swojej listy przestępstw szantaż i wymuszenia. Ostatecznie, Sandportczycy szukali zysku w każdej sytuacji.

Obecność tylu świątynnych asasynów w mieście przyprawiała Rachel o niepokój. Ona sama porzuciła skórzaną zbroję na rzecz gabardyny i drewnianych sandałów, a nawet, zgodnie z miejscową modą, wplatała koraliki we włosy, ale mimo to jej blada cera i intensywnie zielone oczy przyciągały wścibskie spojrzenia ludzi zamieszkujących to pustynne miasto. Widać było, że jest tutaj obca. Mimo wszelkich starań nadal wyglądała w każdym calu na zabójczynię Spine, tak jak ludzie, którzy teraz na nią polowali.

Dill oczywiście nie mógł wcale wychodzić z pokoju ani nawet pokazać się w oknie. Rachel i tak miała szczęście, że udało się jej przemycić go do samego serca Sandport, ale teraz nie mogła ryzykować. Obejrzała się na łóżko, na którym spał jej przyjaciel. Leżał na brzuchu, skrzydła miał złożone na plecach niczym skórzaną pelerynę. Nadal nosił poszarpaną kamizelkę kolczą, która niedawno kosztowała go życie. Jego miecz leżał na podłodze obok łóżka. Złoty jelec lśnił w blasku porannego słońca.

Tymczasem barka zbliżała się do jednego z pomostów, na którym już czekali dwaj urzędnicy Spine, żeby sprawdzić ładunek. Kapitan pozdrowił ich wesołym okrzykiem. Świątynni asasyni, odziani w czarne skóry, stali nieruchomo jak posągi i nie odpowiedzieli na powitanie.

Miasto Sandport wznosiło się nad przystanią rzędami domów z brązowej cegły suszonej na słońcu, niczym amfiteatr zbudowany wokół zakrętu rzeki Coyle. Nad stłoczonymi budynkami i ulicami wisiała cienka warstwa dymu z palonego łąjna, który niemal zabijał odór gotowanych ryb i krabów płynący z portowych knajpek. Przez tłumy klębiące się na targowisku Hack Hill maszerował oddział Spine, ignorując nawoływania kramarzy. Rachel w pierwszym odruchu cofnęła się od okna, ale zaraz sobie uświadomiła, że asasyni są za daleko, żeby ją rozpoznać.

W tym momencie usłyszała trzy stuknięcia do drzwi, a po nich kolejne dwa -- umówiony sygnał.

Rachel wpuściła do pokoju właściciela tawerny.

Olirind Meer niósł tacę z dzbankiem wody, chlebem i dwiema miskami zimnej zupy rybnej. Postawił ją na stoliku przy oknie. Drobnym, ciemnoskórym mężczyzną pochodził z małej wioski -- czy też raczej faktorii -- leżącej na północno-wschodnim krańcu Martwych Piasków. Włosy i brwi miał kruczoczarne, skórę barwy kory drzewa amarid; w jego żyłach płynęła krew nomadów.

--Kolejny dzień bez zapłaty -- przypomniał wesołym tonem, pokazując w uśmiechu małe białe zęby.

--Bardzo to doceniam -- odparła Rachel ze szczerą wdzięcznością. Meer chronił ich przed Spine od prawie tygodnia, choć pieniędzy zabrakło jej po pierwszych dwóch dniach. -- Zapłacę ci, jak tylko będę mogła.

Właściciel tawerny zbył jej obietnicę machnięciem ręki.

--Możecie zostać, jak długo potrzebujecie. Dla Ban-Heshette przyjaźń znaczy więcej niż zysk. W przeciwieństwie do tych chciwych sandportczyków my splacamy długie honorowe.

Rachel poznała Meera po rzezi w Hollowhill, gdzie pobiła żołnierza z Deepgate prawie na śmierć za to, co zrobił ze schwytanymi członkami plemienia. Jedną z tych kobiet była żoną Meera.

--Jak dzisiaj nasz anioł? -- zapytał gospodarz.

--Bez zmian -- odparła Rachel. -- Cichy, ponury, wycofany. Myślę, że na swój sposób nadal próbuje uporać się z tym, co się stało. -- Spojrzała na śpiącą postać. -- Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek w pełni dojdzie do siebie.

--Archonci są twardzi -- stwierdził Meer. -- Zaufaj opatrności. Chłopak jest zdrowy, a to więcej, niż mogłaby oczekiwać większość ludzi po wizycie w Piekło. Zacznie mówić, kiedy będzie gotowy.

To Rachel była odpowiedzialna za obecny stan Dilla. Użyła anielskiego wina, żeby go wskrzesić, wyrwać jego duszę z Labiryntu, ale potem zmusiła go do przypomnienia sobie strasznych przeżyć. Jej pytania wydobyły na powierzchnię mnóstwo bolesnych wspomnień, które teraz prześladowały chłopca.

--Nie powinnaś winić siebie -- powiedział Meer. -- Masz inne zmartwienia na głowie. -- Zawahał się. -- Każdego dnia coraz więcej Spine przybywa sterowcami. W dodatku wyznaczili sowitą nagrodę za schwytanie ciebie. Lepiej, żebyś nie wychodziła, bo w mieście już nie jest bezpiecznie.

Była asasynka pokiwała głową. Nie powinni tak długo siedzieć w Sandport, ale Dill potrzebował jedzenia, odpoczynku i czasu, żeby dojść do siebie po ciężkiej próbie, a Rachel nie wiedziała, gdzie indziej mogliby się udać. Martwe Piaski były bezlitosne dla podróżnych,

tubylcze wioski nadal żywiły urazę wobec ludzi pochodzących z łańcuchowego miasta. Olirind Meer pozostał jedną z niewielu osób, którym mogła zaufać. Gdy Rachel ogłosiła swoje zamiary, aniela z bliznami, Carnival, tylko splunęła i opuściła ich bez słowa pożegnania. Choć wspólnie stawili czoło tyłu niebezpieczeństwu, Rachel nie żałowała, że jej dawna nieprzyjaciółka odeszła. Carnival była nieprzewidywalna i groźna.

--Mam inny pokój na zapleczu. -- Oberżysta zwilżył wargi. -- Trochę mniejszy i bez okna, ale przez to jest przytulniejszy i bardziej... prywatny. Nikt was tam nie zobaczy, nie mówiąc o zadawaniu pytań. Już wiele razy pytano mnie o to, czy wasz obecny pokój jest wolny. Moja lepsza klientela bardzo go sobie ceni, rozumiesz. Podoba im się widok.

Rachel też lubiła tutejszy widok. Mogła bez przeszkód obserwować, kto zbliża się do gospody. Zamiana na ciemną klinkę bez okien była mało pociągającą perspektywą.

--Sprawiamy ci kłopot, Olirindzie? -- zapytała. -- Nie chciałabym, żeby twoje interesy ucierpiały z naszego powodu.

--Nie, nie, nie -- zapewnił szybko gospodarz. -- Interes idzie dobrze. Tym się nie przejmuj. Ja tylko myślałem o waszym bezpieczeństwie.

Ale Rachel zauważyła ostatnio różnicę w zachowaniu Meera. W miarę jak mijały dni, lekkim tonem, ale coraz częściej napomynał o swojej niepewnej sytuacji finansowej i obowiązkach wobec stałych gości, a jednocześnie podkreślał, jak się cieszy, że mógł oddać swoim gościom najlepszy i najdroższy pokój od południowej strony jako spłatę długu honorowego. Rachel podejrzewała, że gospodarz zaczyna się zastanawiać, czy dług już nie został spłacony. Mogła na to wskazywać stale zmniejszająca się ilość ryby w zupie, którą przynosił im każdego dnia.

Może i w żyłach Meera płynęła krew nomadów, ale w głębi serca stał się sandportczykiem.

--Jeszcze tylko kilka dni -- powiedziała. -- Potem na dobre zejdziemy ci z oczu.

Właściciel cmoknął z dezaprobatą.

--Nie chcę o tym słyszeć. Niech chłopak dochodzi do siebie w swoim tempie. -- Uśmiechnął się szeroko i ruszył do drzwi. -- Będę odprawiał natrętnych gości z całą zręcznością, z jakiej słynę. Jedz śniadanie.

--Dziękuję.

Po jego wyjściu Rachel zaniósła jedną miskę do łóżka i lekko potrząsnęła śpiącym.

--Dill?

Anioł drgnął i otworzył oczy. Kiedy się zorientował, gdzie jest, przerażenie zniknęło z jego twarzy.

--Straszny sen... -- Westchnął, przeczesując dłonią włosy.

--Ten sam? -- zapytała Rachel.

Dill pokiwał głową.

--Śniło mi się, że jestem tym pokojem. Ściany były moją skórą i kośćmi. Okna oczami. Krew płynęła przez drewniane żyły w deskach podłogi. Moje nerwy... Czulem, że chodzisz po mnie i... -- Kiedy na nią spojrział, jego oczy zmieniły barwę z białych na szare. -- Meer? Był tutaj?

--Właśnie wyszedł.

Dill przez długą chwilę przypatrywał się swym dłoniom.

--On też mi się śnił.

--Mesmerysta?

--Był poza tym pokojem, poza mną, ale szukał sposobu, żeby wejść. Nie widziałem go, ale za każdym razem, kiedy wyglądałem przez okno, zauważałem coś dziwnego: dom, którego tam wcześniej nie było, nowy pomost na przystani, pochyle drzewo. Są jakieś drzewa w Sandport?

--Nie -- przyznała Rachel. -- To był tylko sen.

Koszmary dręczyły Dilla od jego powrotu z Piekła. Śniło mu się, że staje się otoczeniem -- czy to był pokój w Sandport, skamieniały zagajnik czy wydma na Martwych Piaskach. I zawsze w pobliżu ukazywała się ta sama postać, tyle że za każdym razem przebrana za inny element krajobrazu. Anioł zaczął nazywać ją mesmerysta, choć nie potrafił powiedzieć, skąd wziął to określenie.

--Musisz coś zjeść. -- Rachel podała mu miskę. Zauważyła, że jest w niej niewiele więcej poza mlekiem. -- I powinniśmy pomyśleć o opuszczeniu tego miejsca. Nie wiem, jak długo jeszcze możemy ufać Meerowi.

Dill wyglądał na wyczerpanego.

--Dokąd pójdziemy? -- zapytał.

--Byle dalej od Spine. Okręt misjonarzy *Głos Herolda* opuścił Clune dwa tygodnie temu i powinien przybyć do portu w każdej chwili. Po wprowadzeniu stanu wojennego przez Spine to może być ostatni świątynny statek, który wyruszy na Żółte Morze. Misjonarze mają swoje osiedle w wiosce Baske, sto dwadzieścia mil na wschód od delty Pocked. Gdyby *Herold* nas zabrał, byłibyśmy tam bezpieczni.

--Kapłani obroniliby nas przed Spine?

--Mogliby obronić ciebie -- odpowiedziała Rachel. -- Jesteś zbiegiem, ale jednocześnie aniołem, a ja nie wyobrażam sobie, żeby kapłanom z Deepgate podobały się ostatnie rządy Spine. -- Zastanawiała się przez chwilę. -- Tak, jestem pewna, że wzięliby cię pod ochronę.

--A co z tobą?

Gdzieś w górze zahuczał sterowiec. Rachel słuchała go przez chwilę, ale jej uwagę przyciągnęły inne, bliższe odgłosy -- zamieszania na ulicy. Podeszła do okna.

Nabrzeżem przed gospodą toczył się z turkotem kolorowy wóz ciągnięty przez wołu. Miał czerwony dach, boki z żółtych listew i koła z jaskrawozielonymi i złotymi szprychami. Wzdłuż jednego boku biegł napis: „Magiczny Cyrk Greene: Poznajcie przerażające okropieństwa Irilu!”. Wokół tłoczyła się gawiedź, biegnąc za pojazdem w stronę centrum miasta. Rachel domyśliła się, że wóz zapewne zjechał z którejś barki w głębokim porcie, który znajdował się za półwyspem poza zasięgiem jej wzroku. Dziwne. Normalnie ta przystań była używana wyłącznie przez wojska Deepgate przybywające z oddalonych lądowisk sterowców. Po chwili zauważyła nabazgraną notatkę przypiętą do tyłu wozu i wstrzymała oddech.

„Obejrzyjcie dziś wieczorem śliniącego się, zmiennokształtnego demona z Labiryntu!”.

Gapie trajkotali z podnieceniem. Grupki bosych dzieci biegły przed wozem, ścigając się z krzykiem i klaszcząc w ręce. Rachel usiadła na parapecie i patrzyła, jak drewniany wehikuł pnie się na wzgórze i znika w płataninie uliczek otaczających Plac Targowy.

Wędrowni magicy i gabinety osobliwości były znane w Sandport. Z Clune i Dalamoor czasami przybywali szamani i taumaturdy z prawdziwym rogiem obfitości niepokojących obiektów zakonserwowanych w słoikach. Ale Rachel nigdy nie słyszała o kimś, kto by twierdził, że jest w posiadaniu prawdziwego demona. Zmiennokształtny?

Przybycie wozu cyrkowego i powracające sny Dilla to za dużo jak na zwykły zbieg okoliczności, uznała Rachel.

--Wychodzę -- oznajmiła.

Ale Dill już zdążył zasnąć.

Zanim dotarła na Plac Targowy, słońce schowało się za niskimi domami i niebo lśniło jak luski złotej rybki. Mistrzyni ceremonii, młoda kobieta, właśnie kończyła przygotowywać pokaz. Na brązowych płytach chodnikowych pośrodku placu urządziła prowizoryczną scenę z karmazynowych desek ustawionych obok wozu. Wokół niej zebrał się spory tłumek, podczas gdy inni gapie ustawili się dalej, w cieniu okolicznych budynków. Nad rynsztokami, w których gnily owoce po cotygodniowym targu, bzyczały roje much. Sandportycy siedzieli na progach domów i sączyli wino figowe. Spośród publiczności kobieta zwerbowała do pomocy dwóch krzepkich mężczyzn, żeby wyładowali dużą skrzynię z tyłu wozu. Tymczasem ona sama stała z boku, trzymając na rękach małego psa. Według jej wskazówek dwaj pomocnicy ściągnęli skrzynię po kilku stopniach i wnieśli ją na scenę, obserwowani przez ciżbę.

Rachel odruchowo powiodła wzrokiem po zbiegowisku, wypatrując kieszonkowców, zanim sobie przypomniała, przecież nie ma żadnych pieniędzy. Uśmiechnęła się i skierowała uwagę z powrotem na zbliżający się spektakl.

Właścicielka cyrku była młodą, smukłą kobietą o ciemnych włosach opadających gęstymi, ciężkimi splotami na szczuple plecy. Owalna twarz i ciemne oczy wskazywały na dalamoorskie pochodzenie, ale dziewczyna miała skórę jaśniejszą niż większość mieszkańców północnej pustyni. Jaskrawą, nawet trochę krzykliwą suknię w kolorach tęczy ozdobiła szklanymi paciorkami.

Gdy pomocnicy ustawili skrzynię i zeszli na plac, kobieta posadziła ulubieńca na jednym ze stopni wozu, a następnie odwróciła się do widowni i uniosła ręce, żeby ją uciszyć.

--Witajcie! -- zawołała radosnym głosem, w którym wyraźnie pobrzmiwał akcent z Deepgate. -- Nazywam się Mina Greene i przyjechałam do Sandport, żeby pokazać wam magię, cuda i dziwy! Jeśli zaciekawili was to, co teraz zobaczycie, opowiedzcie o tym rodzinom i znajomym. A jeśli widowisko przyprawi was o mdłości albo przerazi, i tak o nim opowiedzcie. Komukolwiek. Tylko na pewno.

Tłum odpowiedział śmiechem.

--I proszę, wróćcie po zmierzchu, bo to, co zobaczycie, teraz będzie zaledwie przedsmakiem mojego cyrku. Podróżowałam na krańce świata, szukając osobliwości, i dziś wieczorem pokażę je, żeby sprawić wam przyjemność. -- Mówiła jak dziecko czytające z kartki, którą sobie wcześniej przygotowała. -- Mam duchy i stwory z Labiryntu uwięzione w bursztynie, trupy demonów z mrocznych głębi Pieła, a nawet kości bogów i kamienne potwory spod ziemi.

--Tak, widzieliśmy to wszystko w zeszłym roku! -- krzyknął jeden z gapiów.

Jego słowa wywołały gromki śmiech.

Minę Greene zmarszczyła brwi i tupnęła nogą.

--Tak, istoty pozszywane z kilku innych, imitacje. Sloiki z trytonami i małymi pajakami, zakonserwowane gicze wołowe. Widzieliście je tutaj, prawda? -- Chyba sobie uświadomiła, że traci panowanie nad sobą, bo uczyniła wysilek, żeby powściągnąć gniew. -- Ale ja pokażę wam dzisiaj prawdziwe monstra. Żadnych sztuczek ani oszustw, tylko żywe, oddychające demony. --

Skończyła przemowę uklonem tancerki. -- Obejrzyjcie okropieństwa Labiryntu!

Uniosła wieko skrzyni, sięgnęła do środka i pomajstrowała przy wewnętrznym zamku. Cztery boki rozłożyły się niczym płatki kwiatu.

Przez tłum przebiegło głośnie westchnienie. Kilka osób cofnęło się gwałtownie. Rachel, która stała nieco z boku, z twarzą częściowo zasloniętą jedwabnym szalem, dopiero wtedy zobaczyła wyraźnie, co spowodowało takie poruszenie. Poczula, że żołądek podchodzi jej do gardła.

--Ten potwór został schwytany w Deepgate cztery dni temu -- oznajmiła Greene. -- Avulsior Spine pozwolił mi, skromnej artystce estradowej, pokazać go tutaj i przestrzec was przed prawdziwymi niebezpieczeństwami Labiryntu. Spójrzcie na jego członki, zobaczcie, jak płacze i cierpi. Oto, co się dzieje z heretykami i bluźniercami.

Czyżby Spine wynajęli ją, żeby głosiła ich nauki? Rachel zastanawiała się, czy Mina Greene wierzy w choć jedno słowo z kłamstw Avulsiora, czy po prostu zgodziła się pracować dla niego w zamian za to nieszczęsne stworzenie.

Na pierwszy rzut oka trochę przypominało dziecko, ale Rachel nie widziała dokładnie, w jaki sposób powykręcane ręce i nogi łączą się z tułowiem. Niektóre części ciała wyglądały, jakby zrobiono je z tego samego drewna, co skrzynię. Mięśnie i kości były przemieszane z jasnymi sosnowymi deszczułkami. Wodniste, zalzawione oczy lypały z wyraźnym strachem z bezwłosej czaszki. Z zaślinionych ust wydobywało się żalodne zawodzenie. Rachel odwróciła się z odrazą i przerażeniem.

Jak Spine mogli się zniżyć do czegoś takiego?

Zacząła się cofać przez tłum. Ale przedstawienie jeszcze się nie skończyło. Najgorsze dopiero miało nastąpić. Mina Greene uniosła ręce i zwróciła się do publiczności:

--To okropieństwo, kiedy zostawi się je samo, próbuje upodobnić się do swojego otoczenia. Widzicie, jak skopiowało skrzynię? Jest jak nasienie, z którego nie wiadomo co wyrośnie. A teraz patrzcie uważnie.

--Nie! -- Istota zawyla głosem zdławionym przez ślinę. -- Proszę, nie rób tego.

Rachel obejrzała się i zobaczyła, że Greene pochyła się nad stworem i coś do niego szepcze. To, co ujrzała w następnej chwili, sprawiło, że zatrzymała się w pół kroku.

Stworzenie zaczęło się zmieniać. Jego członki się wydłużyły, głowa zapadła się w szyję niczym bańka z różowego błota. Na oczach osłupiałej ciżby tors istoty napęczniał i rozpadł się na dwa amorficzne kawalki. Te z kolei rozciągnęły się i splaszczyły. Jednocześnie pociemniała skóra.

Wśród publiczności rozległy się krzyki strachu i odrazy, a potem zapadła cisza. Nikt w tłumie nie wypowiedział ani jednego słowa.

Transformacja na scenie dobiegła końca. Na miejscu odrażającego zleпка mięśni i kości stało zwyczajne drewniane krzesło. Greene przyciągnęła je sobie i usiadła.

--Wszyscy macie je w domach, prawda? -- zagaiła. -- Mam na myśli krzesła, nie demony. Cóż, tego lepiej nie próbujcie. -- Wyjęła nóż z fald kolorowej sukni i dźgnęła drewno między swoimi nogami.

Z uszkodzonego siedziska trysnęła na scenę krew, a towarzyszył temu osobliwy dźwięk, jakby dalekie echo krzyku. Zmiennokształtny zachował świadomość i czucie?

--Oto jak się tworzy demony -- ciągnęła Greene. -- To rodzaj mesmeryzmu, a są w

Labiryntycie istoty, które wykorzystują takie techniki, żeby nadać waszym duszom dowolną formę. -- Dyskretnie zerknęła na kartkę przybitą do boku wozu. -- Labirynt Krwi to stosowna nazwa -- mówiła dalej przesadnie dramatycznym tonem -- bo jego korytarze są wcieleniami żywych dusz. Martwi nie wędrują po Piekło; oni są ceglami i zaprawą, z których jest zbudowane. -- Wstała z krzesła i wykonała kolejny teatralny gest. -- Iril jest zarówno Labiryntem, jak i roztrzaskanym bogiem, który w nim mieszka. Podobnie, kiedy umarło to żalosne stworzenie, stało się na zawsze częścią Labiryntu, żywym, oddychającym, myślącym kawalkiem Piekła. -- Przez chwilę obserwowała publiczność. -- I co, widzieliście kiedyś taki pokaz?

Rachel przepchnęła się przez tłum i szybkim krokiem ruszyła z powrotem do tawerny. Wokół krążyło tylu agentów Spine, że wiele ryzykowała, biorąc udział w tego rodzaju publicznych spektaklach. Słowa Miny Greene rozbrzmiewały echem w jej głowie. „To rodzaj mesmeryzmu... Są w Labiryntycie istoty, które wykorzystują takie techniki, żeby nadać waszym duszom dowolną formę”.

Czyżby młody anioł padł ofiarą tych niecnych mesmerycznych sztuczek? Co się właściwie z nim stało? Próbowwała odpędzić od siebie ponure myśli, ale obraz płaczącego stworzenia na scenie pobudzał jej wyobraźnię.

„Część Labiryntu -- żywy, oddychający, myślący kawalek Piekła”.

Spiesząc mrocznymi uliczkami, uskakiwała przed strumieniami cuchnącej brązowej wody wylewanej przez drzwi ceglanych domów i zastanawiała się, w jaki sposób demon Miny Greene w ogóle znalazł się w Deepgate. Zjawy i upiory od zawsze nawiedzały ciemne zaułki łańcuchowego miasta, ale to były eteryczne istoty, widziadła przyciągane przez niegdysiejszą przemoc i rozlaną krew. Natomiast ten zmiennokształtny miał ciało. Jeśli kobieta mówiła prawdę...

Może ostatnie żniwo śmierci doprowadziło do większego i trwalszego pęknięcia między miastem a Labiryntem Krwi? Przecież zginęły dziesiątki tysięcy ludzi, kiedy Alexander Devon przyprowadził swoją monstrualną maszynę pod bramy Deepgate. Rachel niezbyt obchodziło, co się stało z uszkodzonym miastem, ale kiedy ostatnio je widziała, wyglądało, jakby zaraz miało spaść w otchłań.

--Panno Hael!

Omam nie wpała na Olirinda Meera, który wyskoczył z bocznej uliczki. Spocony i potargany, zatrzymał się raptownie, najwyraźniej zaskoczony jej obecnością.

--Co pani tutaj robi? -- spytał tonem, w którym pobrzmiwała panika. -- Już prawie ciemno. Dlaczego nie jest pani w swoim pokoju?

--Ciszej, Olirindzie, proszę. Musiałam wyjść. Miałam coś do załatwienia.

Właściciel gospody obejrzał się za siebie i wrócił spojrzeniem do Hael.

--Szybko -- wyszeptał. -- Musi pani natychmiast ze mną wrócić. Wszędzie jest pełno Spine.

--Nie możemy pozwolić, żeby nas razem widziano -- rzuciła Rachel przez ramię, wymijając oberżystę. -- Porozmawiamy później.

Zostawiwszy Meera oszołomionego na skrzyżowaniu, popędziła do tawerny.

Kiedy weszła do pokoju, Dill siedział na skraju łóżka i wpatrywał się w swój miecz. Nawet nie tknął miski z zupą.

--Czuję się lepiej -- powiedział. -- Przepraszam, że byłem ostatnio... nieobecny.

--Wynosimy się stąd natychmiast -- oznajmiła Rachel. Anioł przyjął jej decyzję bez słowa protestu.

--Odkryłaś coś, kiedy cię nie było?

--Tylko to, że Olirind Meer jest podłym łajdakiem. Myślę, że właśnie nas zdradził. -- Rachel otworzyła szafę i wyjęła z niej worek ze skórzaną zbroją i nożami. -- Spotkałam go na ulicy. Wracał biegiem najprawdopodobniej z rezydencji Avulsiora i nie wyglądał na szczęśliwego, kiedy mnie zobaczył.

--Może przypadkiem był w tej części miasta w swoich sprawach, a kiedy cię zobaczył, zmartwił się, że ktoś cię zauważy.

--Już wcześniej nieraz mijaliśmy się na ulicy, a on dobrze wiedział, że powinien patrzeć w inną stronę. Pozwalał sobie jedynie na przelotne spojrzenie, żeby się nie narazić, gdybym została złapana. -- Rozłożyła skórzaną kamizelkę i spodnie na łóżku, a potem otworzyła szufladę komody i zaczęła luzem wrzucać ubrania do pustego worka. -- Ale tym razem nie sprawiał wrażenia przestraszonego, że ktoś nas razem zobaczy. Nawet zaproponował, że odprowadzi mnie do tawerny. -- Rachel prychnęła. -- Bardziej się martwił, że nie siedzę bezpiecznie w pokoju, gdzie mógłby...

Nagle umilkła i zaczęła nasłuchiwać, a następnie podbiegła do drzwi i przekręciła gałkę. Drzwi nawet nie drgnęły.

--Cholera! Ktoś tutaj przychodził, kiedy mnie nie było? Dill, widziałeś, żeby ktoś majstrował przy futrynie?

--Ja... -- Anioł miał bezradną minę. -- Nie wiem. Spałem.

--Szykuj się do lotu. Wyruszamy natychmiast.

Ale gdy tylko Dill wstał z łóżka, sufit się zawalił, a na ich głowy posypał się pokruszony tynk. Coś ogromnego i metalowego przebiło dach i utknęło w deskach podłogowych. Przez chmurę pyłu Rachel dostrzegła łańcuch i giętką rurę wychodzącą z otworu w górze. Potem usłyszała cichy syk i zrozumiała, co się dzieje.

--Gaz -- krzyknęła. -- Wstrzymaj oddech.

Aeronauci z Deepgate nazywali je szperaczami. Wystrzeliwane ze sterowców wojennych ogromne żelazne harpuny skutecznie dostarczały toksyczne gazy do zamkniętych budynków. Użyto ich na pustyni, żeby wpuścić gaz wapienny do podziemnej sieci tuneli Heshette. Zabito w ten sposób tysiące nomadów bez konieczności lądowania choćby jednym sterowcem. Możliwe, że właśnie teraz wisiał nad nim taki statek i pompował niewidzialne opary do pokoju. Gaz wydostawał się przez otwory w trzonie, a kolce znajdujące się na całej jego długości można było dowolnie przesuwac, żeby zwiększyć precyzję działania pocisku. Pieczętowanie drzwi polegało na rozprowadzeniu na framudze roztworu chemicznego, który pieniał się i pęczniał w kontakcie z katalizatorem w formie oparu.

Rachel przeklinała w duchu własną głupotę i łajdaka Meera za zdradę. Dlaczego mu zaufała? Dlaczego w ogóle komuś zaufała w tym przeklętym mieście?

Spine wiedzieli, że usłyszałyby ich kroki w korytarzu, dlatego wykorzystali jej ostatnie wyjście, żeby przygotować zasadzkę. I przewidzieli, że będzie musiała uciekać przez okno. Przebicie się przez ściany albo podłogę trwałoby zbyt długo.

Wstrzymując oddech, Rachel otworzyła okna i szybko uskoczyła w bok. Spodziewany grad beltów nie zasypał pokoju. Na ulicy nie było żadnych Spine? Żadnych kusz wycelowanych w

tawernę? Co to oznaczało? Jeszcze nie zaczerpnęła toksycznego powietrza, a już była oszołomiona i zdezorientowana. Czyżby Spine zastosowali truciznę działającą na rogówkę oka? Hael odwróciła się do Dilla, ale młody anioł już leżał na podłodze tuż obok syczącego metalowego pocisku.

Rachel przyciągnęła go bliżej okna, choć nie wiedziała, czy jej przyjaciel jeszcze żyje. Drugi atak na razie nie nastąpił, więc czepiała się nadziei, że świątynni asasyni postanowili wziąć ofiary żywcem.

Anioł okazał się cięższy, niż przypuszczała. Zauważyła, jak bardzo urosły mu skrzydła i jaki szeroki ślad zostawiały na zakurzonej podłodze. Po tym wysiłku musiała go zostawić i wychylić się przez okno, żeby zaczerpnąć tchu. Do jej nozdrzy dotarł zapach gazu. Zakrztusiła się, ale nie rozpoznała toksyny.

Coś nowego?

Sądząc po skutkach, jakie wywołał jeden mały wdech, była to substancja silniejsza, niż Rachel się spodziewała. Przystań Sandport zakolysała się przed jej oczami -- rój światełek na ciemnej rzece. Zobaczyła, że maszty się chwieją, a budynki zlewają w jeden w ostatnich czerwonych promieniach zachodzącego słońca. Gdzieś w górze huczał sterowiec.

Lecieli wysoko, żebym nie usłyszała silników, pomyślała. I straciła przytomność.

ROZDZIAŁ 2

NAWIEDZONE MIASTO

Sterowiec wojenny Spine sunął z rykiem ponad chmurami brązowego dymu, a jego powłoka lśniła pod błękitnym niebem jak wypolerowana stal. W ślad za nim podążało stado ptaków. Kruki, sępy i czarne mewy krzyczały i dziobały trupy, zwisające z pokładu rufowego i ramion balastowych.

Gdy sterowiec skręcił w prawo, blask słońca padł na gondolę w taki sposób, że podkreślił wszystkie zadrapania i skazy na metalowym kadłubie. Bulaje były zmatowiałe jak oczy starca. Burze piaskowe zdarły cały lakier z desek pokładu, wyszorowały balistę, sieć i działka harpunowe do gołego metalu.

Ze sterami wychylonymi mocno w prawo i szybko wirującymi bliźniaczymi śmigłami, statek powietrzny ustawił się dziobem na wschód i zwolnił. Podczas gdy stygnące silniki tykały, załoga przeniosła się do środka, żeby przygotować się do zejścia w kłębowisko chmur. Opary kotłowały się pod gondolą, snuły wokół stóp wiszących trupów, sięgały mackami przez puste pokłady, do kabli i poręczy, wyraźnie ociągały się przy zamkniętych bulajach i włazach.

Silniki zawyły w nagłym przyplywie mocy. Ptaki poderwały się z krzykiem z makabrycznego balastu. Sterowiec zadrzał i zanurkował w skłębione chmury.

Otoczyła go ciemność. Miotany przez turbulencje, kołysał się i zapadał w nicość. Naprężone kable drżały i jęczały, powłoka trzęsa się i skrzypiała. Minęło dziesięć uderzeń serca, potem dwadzieścia i wreszcie pojawiło się słabe, ziarniste światło. W gondoli rozbrzmiały trzy ostre gwizdki. Dudnienie tłoków zagłuszyło świst gorącego powietrza, które silniki tłoczyły z powrotem do zewnętrznych żeber statku. Powłoka wydęła się, spowalniając opadanie.

Sterowiec wynurzył się z ciemnego sklepienia chmur w bursztynowym świetle zachodzącego słońca, sto jardów nad Martwymi Piaskami, ciągnąc za sobą trupy jak marionetki na sznurkach.

Deepgate leżało pół mili dalej na zachód. Rozerwane miasto płonące w setkach miejsc wisiało nad otchłanią na ocalałych łańcuchach niczym wielki poczerniały lej. Całe kwartały Ligi Sznurów zmieniły się w tłące gruzowisko albo wpadły do czeluści. Między stalowymi ogniwami przesypywał się popiół. W Kolonii Robotników, w Ivygarths i Chapelfunnel oraz na brzegach Sierpa pożary wyrwały się spod kontroli, w dokach było widać ogromne wyrwy. Z pękniętych kadzi z eterem i ze zbiorników gazu węglowego wokół łańcucha Mesa wydobywał się gaz, tworząc ochrowe i białe warstwy między wieżami dokującymi i zwichrowanymi dźwigami. Słupy czarnego, czerwonego i srebrnego dymu buchały z Kuchni Trucizn, pogrubiając warstwę chmur, podczas gdy miasto spowijały karmazynowe opary. Słońce ledwo świeciło, wyglądało jak miedziana tarcza.

Na zachodnim krańcu otchłani, gdzie łańcuchy fundamentowe Deepgate stykały się z skalnym podłożem pustyni, a tuż przy krawędzi przepaści biegly rury z Jakki, zbudowano obóz. Właśnie ku temu skupisku prowizorycznych chat z dykty zmierzał teraz sterowiec. Skierowany rufą ku miastu, zmniejszył obroty bliźniaczych śmigieł i pozwolił, żeby wyjące wichry wessały go w obszar niskiego ciśnienia wokół prądu wstępującego. Pomarańczowy piasek wirował wokół niego, chłostał i szorował kadłub. Wiszące ciała kołysały się dziko pod ramionami balastowymi.

Żadna z wież dokujących nie była już zdalna do użytku, ale z chat wybiegli ludzie, żeby

zakotwiczyć statek za pomocą haków wbitych w skalne podłoże. Gdy operacja dobiegła końca, otworzył się właz na prawej burcie sterowca i wysiadło z niego dziewięciu asasynów Spine w skórzanych zbrojach i maskach przeciwpiaaskowych: ośmiu kandydatów z lekkimi stalowymi kuszami i adept z mieczem przewieszonym przez plecy. W ich lustrzanych goglach odbijało się płonące miasto. W gęstym kurzu dwaj kandydaci ponieśli ciało anioła w stronę krawędzi przepaści, skąd drewniany pomost prowadził w głąb dzielnicy zwanej Ligą Sznurów. Tymczasem adept wyciągnął ze statku kobietę zakutą w kajdany i rzucił ją na ziemię.

Rachel Hael wypluła piasek z ust i spiorunowała wzrokiem zamaskowaną postać. Ten osobnik był niezwykle brutalny jak na asasyna tak wysokiej rangi. Proces hartowania zwykle pozbawiał Spine całej agresji. Ci świątynni wojownicy zabijali skuteczniej, gdy nie obciążały ich emocje i podstawowe ludzkie pragnienia.

Adept zdjął maskę i wskazał na hydrant znajdujący się obok pomostu.

--Napij się tutaj -- polecił, przekrzykując wycie wiatru. -- W mieście brakuje wody, więc nie masz co liczyć na więcej, dopóki nie dotrzemy do świątyni.

Trzepnął maską o biodro, żeby wysypać piasek, i naciągnął ją z powrotem na głowę, tak że miedziana kratka zasłoniła mu usta.

Wichura była tak gwałtowna, że Rachel Hael z trudem mogła ustać na nogach. Podarte gabardynowe spodnie plątały się wokół jej łydek. Brnąc w stronę pompy, schyliła się nad nieprzytomnym Dilem.

--Ledwo oddycha -- stwierdziła. -- Może umrzeć, zanim dotrzemy do świątyni.

--Jego płuca nietypowo zareagowały na gaz -- odparł adept głosem stłumionym przez maskę. -- Ale jego śmierć będzie bezkrwawa. Później rzucimy ciało anioła naszemu panu Ulcisowi.

--To szaleństwo. -- Rachel wskazała na łańcuchowe miasto. -- Ulcis nie żyje. Na dole nic nie zostało.

Lustrzane soczewki zwróciły się ku niecce zasnutej dymami.

--Trwa odbudowa -- powiedział adept. -- Deepgate jest wieczne jak otchłań; nie można go zniszczyć. -- Bładymi palcami dotknął niedużego metalowego talizmanu wpiętego w kołnierz: Węzła Ulcisa, nagrody dla najwyższych rangą kościelnych asasynów.

Rachel do niedawna sama szczyliła się podobnym amuletem. Ci, którzy ją schwytali, zażądali jego zwrotu, ale ona już wcześniej sprzedała go w Sandport, żeby kupić jedzenie.

--Odbudowa?! -- wykrzyknęła z niedowierzaniem. -- Pół miasta płonie. Kolonia, dzielnice świątynne... większość już wpadła do otchłani, a reszta wygląda, jakby w każdej chwili miała pójść w ich ślady. Deepgate wcale nie jest wieczne... tylko załatwione na amen. Liga to same zgłiszcza, a świątynia... -- Wytarła pył z oczu. -- Gdzie ona jest, do diabła?

--Utrata niektórych łańcuchów podtrzymujących sprawiła, że Kościół Ulcisa się odwrócił -- rzekł adept tonem całkowicie pozbawionym emocji. -- Ale większa część budowli pozostaje nietknięta, tyle że teraz wisi pod miastem.

Rachel prychnęła.

--Zamierzacie wciągnąć ją z powrotem? Czym? Końmi czy wielbłędami? Jak wykujecie nowe łańcuchy? Nie widzieliście, co się stało z jedyną maszyną, która się do tego nadawała? Leży teraz na dnie tej cholernej dziury!

--Z odbudową są chwilowo pewne problemy logistyczne -- przyznał adept, nadal

niewzruszony.

--Co ty powiesz!

Co najmniej jedna trzecia łańcuchów fundamentowych zerwała się albo wyszarpnęła kotwice ze skalnego podłoża, kosząc po drodze wiele mil domów. Wyrwy biegly od przedmieść do samego centrum, gdzie wśród klębiących się dymów Rachel dostrzegła stertę metalowych pierścieni i bolców. Podstawa świątyni? Tak, teraz ją rozpoznała. Wielka budowla rzeczywiście obróciła się do góry nogami, przy okazji wybijając dziurę w dzielnicach Bridgeview, Ivygarths i Lilley. Większość pozostałych łańcuchów fundamentowych spletała się ze sobą, tak że na obszarze wielu mil zapadły się całe kwartały. Niezliczone czynszówki zamieniły się w gruz. Łańcuchy poprzeczne przebiły dachy, okna i ściany. Mosty i chodniki dyndały nad otwartą przepaścią, a duże części miasta zwisały z saperbanowych ogniów niczym monstrualne wahadła oplecione łańcuchami. Wyglądało na to, że jedyne dzielnice miasta, które nie płonęły, to te, które już wcześniej zniknęły w czeluści.

Dlatego Rachel była skłonna zgodzić się ze swoim strażnikiem: z odbudową rzeczywiście będą pewne problemy logistyczne. Sama ewakuacja ocalałych zapowiadała się na trudną, a nic nie wskazywało na to, że w ogóle podjęto jej próbę. Nowo zbudowany obóz był za mały, żeby pomieścić choćby część mieszkańców Deepgate, a mimo to sprawiał wrażenie wyludnionego, nie licząc Spine, którzy pomogli zakotwiczyć sterowiec.

Daleko w dole srebrny błysk oświetlił obszar wokół Kuchni Trucizn. Rozszerzający się pożar dotarł właśnie do jednego ze zbiorników paliwa do sterowców i w następnej chwili eksplodowało tysiąc ton eteru. Płomienie, które buchnęły w górę, wraz z gruzem i dymem utworzyły grzyb nad miastem. Wirujące metalowe odłamki spadły na dachy niczym deszcz gwiazd.

Chwilę później Rachel usłyszała huk tego odległego wybuchu. Ziemia pod nią zadrżała. Pomost zakolysał się gwałtownie. Podtrzymujące go łańcuchy zagrzechotały o krawędź przepaści, szarpnęły potężną kotwicę wbitą w skałę. Tumany kurzu wzbiły się nad Deepgate, a niektóre części miasta po prostu zniknęły w otchłani. Wichura nagle spotężniała i zawyla z aprobatą. Po stronie Ministerstwa Nauk Wojskowych znajdującej się blisko Sierpa ogień skoczył wyżej. Rachel cofnęła się odruchowo.

--Pociski zapalające w Kuchniach Trucizn! -- wykrzyknęła. -- Nie mogliście ich usunąć?

--Płomienie i toksyczne opary wykluczyły wszelkie akcje -- odparł adept. -- Kuchnie Trucizn są obecnie niedostępne.

--Niczego stamtąd nie wynieśliście? -- Rachel pomyślała o ogromnych kadziach pełnych trucizn, chemikaliów i materiałów wybuchowych, które chemicy Deepgate magazynowali w tamtym budynku. Zdążyli usunąć tylko jedną czwartą niebezpiecznych materiałów, zanim monstrualna machina Devona dotarła do granic miasta. -- A co z robotnikami? W Kuchniach musiało być około sześciu tysięcy ludzi, kiedy Ząb zaatakował.

--Wszyscy są martwi.

--Cholera. Teraz jedyne, co wam pozostało, to nadzieja, że mieli dość zdolności przewidywania, by zacząć wrzucać całe to gówno do przepaści, gdy tylko dotarł do nich ogień.

--Takie działanie jest zabronione przez Kodeks.

Lustrzane soczewki całkiem zasłaniały oczy adepta, ale Rachel już wiedziała, że jego twarz jest pozbawiona emocji. Po procesie hartowania jedynym celem jego życia stało się

szluzenie swiatyni i Ulcisowi, tak ze teraz nie byl w stanie pogodzic sie z utrata jednego i drugiego. Mial pozostac w Deepgate do chwili, gdy peknie ostatnie ogniwo ostatniego lancucha.

--Pij -- rzucil szorstko.

Zaspokajajac pragnienie, Hael rozwazala swoja sytuacje. Spine oglosili stan wojenny. Dezercja zostala uznana za zbrodnie przeciwko bogu i podlegala karze przewidzianej przez Kodeks. Ale nawet gdyby Rachel zdolala im udowodnic, ze Ulcis nie zyje, nic by to nie zmienilo. Ten sam proces hartowania, ktory pozbawial asasynow ludzkich pragnien, sprawial rowniez, ze ich wiara byla niewzruszona. Rachel nie mogla sie z nimi targowac. Musiala liczyc na ucieczke albo na interwencje. A to wkrótce...

Plomienie ogarnely Kuchnie Trucizn, tak ze teraz metalowa budowla bardziej niz kiedykolwiek przypominala wielki parujacy kociol. Biale opary wydobywaly sie z sykiem z kominow, a gesciejszy zolto-czarny dym buchal z setek okien, zasnuwal okoliczne magazyny, doki i hangary.

Na znak adepta dwaj kandydaci podnieśli aniola.

Raptem z tylu dobiegl ostry krzyk. Rachel odwrócila sie i zobaczyla, ze w ich strone maszeruje w tumanach piasku sześciu swiatynnych gwardzistow uzbrojonych w piki i zakutych w ciezkie zbroje z czarnej emaliowanej stali. Zadrapania na plytach wskazywaly na to, ze straznicy czesto mieli do czynienia z burzami piaskowymi. Na twarzach nosili chusty zawiązane na sposob pustynnych plemion, ale Rachel rozpoznala wystrzepiona opończe Claya, jeszcze zanim kapitan sie odezwal.

--Zaczekajcie! -- krzyknal do adepta. -- My przejmujemy tych wienziow. -- Przez chwile sapal, mierzac wzrokiem kajdany na rekach Rachel, a potem nieruchoma postac Dilla. -- Moje warty zauwazyly, ze nadlatuje sterowiec. -- Wypuscil powietrze z pluc i ponownie zaczerpnal tchu przez chuste. -- Do diabla, nie spodziewalem sie, ze przywieziecie ich tak szybko. Miasto nie jest bezpieczne, lepiej chodźcie z nami.

--Chętnie -- skwapliwie zgodzila sie Rachel.

Smukle, czarne sylwetki asasynow Spine, ktorzy otaczali jeńców półokręgiem, wyraźnie odcinaly sie od tła bursztynowej pustyni. W ich lustrzanych goglach odbijaly sie lony pozarów Deepgate.

--To nasi wienziowie, kapitanie -- stwierdzil adept. -- Gwardia swiatynna juz nie ma zadnej wladzy.

Ernest Clay wyprostowal sie i sciagnal w dol chuste. Na jego twarzy malowal sie gniew.

--Mam wszelkie prawo ich przesluchac -- oswiadczył. -- Przebywali na Martwych Piaskach przez... ile?... sześć, siedem dni? I kolejny tydzień w Sandport, zanim ich zlapaliscie. Ta dziewczyna ma kontakty wzdluz calej Coyle. Są szanse, ze slyszala duzo wiecej o planach naszego wroga, niz wy.

--Kapitanie, pańskie uporczywe mieszanie sie w sprawy Spine staje sie... klopotliwe -- powiedzial adept beznamietnym tonem. -- Nie sadze, zeby zamierzal pan przesluchac ktoregokolwiek z wienziow. Ci, ktorych juz zabraliscie pod tym pretekstem, nie dostarczyli, o ile wiemy, uzytecznych informacji. W dodatku nie zwrócono nam zadnego. Najwyraźniej próbuje pan zabrać tych ludzi do swojego obozu zupełnie z innych powodów. -- Poprawil gogle. -- Nie pochwala pan naszych sposobów karania?

Clay odchrzanknal.

--Nie obchodzi mnie, co robicie z więźniami. Pilnujcie swojej roboty, a ja będę pilnował swojej. Wydaje mi się jednak, że wasze sale tortur już pękają w szwach. Wyświadczamy wam przysługę, zdejmując kłopot z barków.

--To może...

--Poza tym -- ciągnął gwardzista -- żaden z waszych nowych kandydatów nie chciałby ze mną rozmawiać. Skąd mam wiedzieć, co się dzieje, skoro nie mogę przesłuchać paru dezertów?

--Ale pan nieodmiennie wybiera na przesłuchania kobiety i dzieci.

Kapitan zmarszczył brwi.

--To ma sens. Zapasu jedzenia mamy tyle co nic, gdybyście nie zauważyli. Więc skoro nie pozwalacie nam przesłuchiwać wszystkich, wybieramy tych, którzy jedzą najmniej.

Adept najwyraźniej rozważał jego słowa, bo nie odpowiedział.

--Milę stąd mogłoby nawet w tej chwili zaić się z tysiąc Shetties -- ciągnął Clay -- a my nic byśmy o tym nie wiedzieli. Nie możemy przeprowadzać rekonesansów, odkąd zaczęły się burze piaskowe. Cały ten dym wokół miasta ściągnie zbieraczy metali i najeźdźców aż z Północnych Stepów. Dowiedzieliśmy się, że już kręcą się przy szlakach karawanowych w poszukiwaniu kobiet i wody. -- Wskazał głową na Dilla. -- A on wygląda, jakby potrzebował pomocy medyka. Nie chcecie, żeby byli zdrowi, nim zaczniecie mieszać im w głowach? W koszarach mamy doktora.

--Tak czy inaczej, nie mogę pozwolić na wypuszczenie tych dwojga -- oświadczył adept. -- Archont jest własnością świątyni, a ta kobieta była adeptką Spine i jako taka pozostaje pod naszą władzą.

--Dajcie mi ich na parę dni -- nalegał Clay. -- Potem sam ich do was przyprowadzę.

--Już nieraz sprzeniewierzył się pan podobnym obietnicom, a potem kłamał, żeby ukryć podstęp. -- W soczewkach asasya odbił się kolejny wybuch w łańcuchowym mieście. Wokół niego zawirował piasek. -- Więźniów, którzy podobno umarli w czasie waszych przesłuchań, znajdowano żywych w jednym z bunkrów Kodeksu. Takie oszustwa nie będą dłużej tolerowane.

Clay się skrzywił.

--Jesteśmy gotowi na pewne ustępstwa, ale nie bierzcie nas za głupców i nie wystawiajcie na próbę naszej pobłażliwości -- rzekł adept.

--Mimo wszystko chciałbym przesłuchać dziewczynę -- oświadczył kapitan. -- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, będę wam towarzyszył do świątyni.

--Jak pan sobie życzy.

Cała grupa ruszyła stromym chodnikiem prowadzącym w ruiny Ligi Sznurów. Gdy znaleźli się poniżej krawędzi otchłani, wiatr wyraźnie ucichł. W bursztynowym półmroku migotało powietrze rozgrzane po niedawnych pożarach. Popiół pokrywał chodniki i osypywał się ze sznurów poręczowych, za każdym razem gdy Rachel ich dotykała. Wkrótce duszący pył otoczył ich jak welon. Zwęglone szczątki chat i platform wisiały z lin, a ich niewyraźne ciemne kształty wyglądały jak insekty schwyte w pajęczą sieć.

Kapitan Clay zrównał się z Rachel.

--Polaliśmy całą okolicę wodą z Dawn Pipes, żeby utrzymać pożary pod kontrolą -- powiedział do niej cicho. -- Chcieliśmy zachować przynajmniej jedną drogę ewakuacyjną. -- Wskazał na Deepgate. -- Spine próbowali zrobić to samo po drugiej stronie miasta, ale mieli za

mało wody, więc użyli ścieków. Ogień wprawdzie zatrzymali, ale nie chciałbym wybrać się tam teraz na spacer. Tak, zniszczyli całkiem porządne slumsy. Ciekawe, co by było, gdyby pożary dotarły do świątyni. Gasiliby je wodą czy...

--Dzięki, że próbował pan nas uwolnić -- szepnęła Rachel.

Clay zerknął na adepta idącego dwa kroki przed nim i rzucił ściszym głosem:

--Ci dranie hartują każdego, kto próbuje uciekać z miasta. Teraz obowiązuje tu stan wojenny. -- Pokręcił głową. -- Robimy, co możemy. Staramy się ratować kobiety i dzieci, ale to jest coraz trudniejsze. Nie ufają nam, a ja na pewno... Do diaska! -- Omal nie runął do przodu, gdy pod jego ciężkim butem złamała się deska.

Rachel przytrzymała go w ostatniej chwili.

--Całe miasto się rozpada -- wysyczał Clay. -- Świątynia... na bogów! Trzeba zobaczyć ją z bliska! Wisi do góry nogami niczym jakiś cholerny stalaktyt. Za każdym razem, kiedy na nią patrzę, widzę, że opadła kolejna iglica albo wieża. Nie wiem, jakim cudem jeszcze się trzyma.

--Kamień i zaprawa pochodziły z Czarnego Tronu -- przypomniała Rachel. -- Dzięki temu są nadnaturalnie mocne. Devon kiedyś powiedział, że ta góra nie pochodzi z naszego świata. Uważał, że spadła z nieba. -- Wzruszyła ramionami. -- No, ale przecież był szalony.

--Skala z nieba? -- Gwardzista gwizdnął. -- Jest mocna, ale nie aż tak. Ta budowla rozpadnie się wcześniej czy później. Nie chcielibyście tam utknąć, gdy będziecie czekać na... to znaczy... -- Wyglądał na rozdrażnionego. -- Przykro mi, dziewczyno. Uwolnilibyśmy was, gdybyśmy mogli. Nasze koszary są... dość zatłoczone, a na temat jedzenia nie kłamałem, mamy za to pod dostatkiem świeżej wody i paru kapłanów pożyczonych od Spine. O wygody trudno, ale przynajmniej podłoga nie zapadnie się nagle pod nogami.

Wzmianka o kapłanach zdziwiła Rachel. Do czego byli potrzebni świątobliwi ludzie w koszarach świątynnej gwardii?

--To nie pańska wina -- powiedziała. -- Należało się tego spodziewać.

--*Karuzela* przywiozła nam wieść o waszym schwytaniu, ale bez szczegółów. Podobno złapali was w Sandport? Użyli szperacza?

Rachel pokiwała głową.

--Wystrzelili go z dużej wysokości, więc nie słyszeliśmy silników. Zatrzymaliśmy się w tawernie Olirinda Meera niedaleko portu. Sądziłam, że będziemy tam bezpieczni przez jakiś czas. -- Hael wzruszyła ramionami. -- Ale się myliłam.

--Sandportczycy -- mruknął Clay, kiwając głową. -- Nie można ufać tym draniom. Co się stało z Carnival?

--Opuściła nas.

--To do niej podobne. Zauważyliście w Sandport werbowników Spine?

--Byli wszędzie.

--Teraz działają dyskretnie. Prowadzą rekrutację pod pozorem zaprowadzania porządku. Ktoś popełni przestępstwo, zaciągają go do świątyni, łamią jego wolę i robią z niego kandydata. Tak to działa, przynajmniej tutaj. Ale stają się coraz bardziej surowi. Hartują ludzi za wszelkiego rodzaju domniemane grzechy. Wkrótce w Deepgate będą sami Spine.

--Wydawało mi się, że w obozie uchodźców panuje spokój.

--W obozie uchodźców? -- Clay posłał jej posępne spojrzenie. -- Do diabła, dziewczyno, to nie jest obóz uchodźców. Moi ludzie ścisnęli się w dwóch barakach, a reszta jest pełna książek.

Spine przenieśli tam bibliotekę prezbitera Sypesa.

Rachel zacisnęła pięści.

--Ratują Kodeks? Dlaczego nie jestem zaskoczona? Chcą przyciągnąć ludzi z powrotem do świątyni, a potem ratują kupę starych...

Przerwał jej trzask łamiącego się drewna i huk. Po lewej stronie skupisko osmalonych chałup zapadło się i runęło w przepaść. Pomost, którym szli, zakolysał się gwałtownie, a z nowo powstałej dziury buchnął wielki kłęb pyłu.

Rachel rozkaszała się, mrużąc oczy przed kurzem. Zobaczyła, że dwaj kandydaci rzucili bezwładne ciało Dilla jak worek i teraz kurczowo trzymali się lin poręczowych. Na szczęście nikt nie spadł w czeluść.

--Będziemy mieli szczęście, jeśli w ogóle dotrzemy do świątyni -- powiedziała. -- I jeśli ona do tego czasu nie zniknie.

Chodnik zapadał się i unosił pod nimi, kiedy podążali krętą drogą między stosami spalonej dykty i blaszanych płyt, przez kłębowisko łańcuchów pokrytych grubą warstwą popiołu. Ich krokom towarzyszył szcęk metalu i trzask drewna, a z dzielnicy przemysłowej znajdującej się na północy miasta płynęły głośnie zgrzyty i dudnienia. Powietrze stawało się coraz gęściejsze i bardziej smrodliwe. Gwałtowne podmuchy wiatru wstrząsały okolicznymi budami i przynosiły zapach paliwa do sterowców. Po niebie przetaczały się karmazynowe i czarne chmury, miejscami poznaczone żółtymi rombami.

Po przejściu Ligi Sznurów dotarli do zamożniejszych okolic Kolonii Robotników. Większość czynszówek strawił ogień. Zostały po nich szerniałe skorupy bez dachów i okien albo stosy gruzu. Między nimi snuł się tłusty, brązowy dym. Ulice Minnow i Pullow Row całkiem zniknęły, zostawiając po sobie ciemne wyrwy z płataniną łańcuchów i żelaznych dźwigarów.

Smród sadzy był wszechobecny, gryzł w oczy, palił w płucach. Rachel czuła ją przy każdym oddechu. Smolisty pył zbierał się w zmarszczkach na czole kapitana Claya. Strużki potu żłobiły czarne linie na jego zarośniętej szczęce.

Przy Candlemaker Row chodnik się zwężał i zaczynał się wic między wielkimi stosami kamieni, które kiedyś były warsztatami i sklepami z klejem. Strumyki mlecznej substancji wyciekały na ścieżkę i tężały w twarde sadzawki, do których przylepiały się podeszwy ich butów.

Rachel obejrzała się na kandydatów niosących Dilla. Niżsi rangą asasynowie poruszali się jak automaty. Ich głowy w identycznych maskach z goglami stale się obracały, kiedy przeczesywali wzrokiem gruzu po obu stronach pomostu.

Czego właściwie wypatrywali?

Adept Spine zatrzymał się nagle i uniósł rękę, dając znak swoim ludziom, by zrobili to samo. Clay mocniej ścisnął pikę i spojrzał w mrok.

Z bliska dobiegł wybuch obłąkańczego śmiechu.

Kapitan przez dłuższą chwilę patrzył uważnie w stronę źródła dźwięku.

--Co to było? -- zapytała Rachel.

--Spine nie lubią, kiedy o nich mówimy -- odburknął gwardzista.

--O nich?

Clay wzruszył ramionami.

--O manifestacjach -- powiedział. -- Widujemy ich dużo, odkąd zaczęły się kłopoty. Ciągną

do zmarłych jak muchy, a w tym mieście ulice są pełne trupów. W świątyni będziecie bezpieczniejsi. -- Machnął ręką w stronę rumowiska. -- W każdym razie z ich strony nic wam tam nie grozi.

--Teraz rozumiem, dlaczego potrzebujecie kapłanów w koszarach.

--To nasi stróże -- wyjaśnił Clay. -- Przydzielono nam dwóch. Mili goście, naprawdę starają się odpędzić przekłete upiory. Ten wieczny mrok im sprzyja, ale najgorzej jest w nocy. Nawet Spine nie lubią opuszczać bez kapłana świątyni po zmroku.

--Zauważyliście inne niezwykle rzeczy?

--Na przykład?

--Pewna kobieta przywiozła demona do Sandport... zmiennokształtnego. Twierdziła, że znalazła go tutaj.

Kapitan pokręcił głową.

--Niczego takiego nie widziałem. Ale z drugiej strony, nie chodzę po mieście, jeśli mogę tego uniknąć. Jak to coś wyglądało?

--Jak krzesło -- odparła Rachel i dostrzegła wyraz konsternacji na twarzy kapitana.

Wyczuli Kuchnie Trucizn, zanim ujrzeli ogromne kominy i żelazne zbiorniki majaczące ponad dachami czynszówek. Tutaj, w dzielnicy przemysłowej Deepgate, była zgromadzona większość miejskich zapasów paliwa, węgla i chemikaliów. Teraz nad fabrykami, magazynami i składami unosiły się wielkie słupy czarnego dymu. Pożary, które strawiły tę część miasta, nadal szalały na północy, oblewając wyszczerbione mury migotliwym pomarańczowym blaskiem. Z zawałonych ścian i gór żużlu sterczały dźwigary niczym skamieniałe kości. Płatki popiołu tańczyły w gorących podmuchach albo osiadały na łańcuchach i kamieniach brukowych, tworząc jasną powłokę, która wyglądała jak śnieg, ale cuchnęła paliwem. Buty Rachel skrzypiały na niej i zostawiały czerwone ślady. Zewsząd dochodziły jęki rozgrzanego metalu.

Ulice i lukowate mosty zbudowano tutaj mocniejsze niż w innych częściach miasta, ze względu na wzmożony ruch w okolicach stoczni, ale teraz były całkiem puste. Oprócz ich grupki Rachel do tej pory nie widziała w Deepgate ani jednej żywej istoty, choć wszędzie dostrzegała przemykające cienie.

--Najlepiej nie patrzeć na nich bezpośrednio -- rzucił burkliwie Clay. -- Będę odwracał wzrok od wszystkich krzesel.

Spine najwyraźniej dobrze znali rozmiary i mapę zniszczeń w Deepgate, bo często wybierali długie i kręte trasy, żeby ominąć przeszkody i groźne szczeliny. W miarę jak zapadał zmrok, w skorupach opuszczonych budynków gromadziły się cienie i zerkwały na nich z okien. Adept zapalił smołowaną pochodnię i machał nią wokół siebie. Gdy jej ostry blask padał na pobliskie fasady, upiory się cofały, szepcząc i chichocząc jak dzieci.

--Spójrz tam. -- Clay pokazał ręką przed siebie.

Rachel dostrzegła grupkę Spine, którzy szli przez ruiny z własnymi pochodniami, rozświetlającymi coraz głębszy mrok. Ciągnęli za sobą ciężkie worki.

--Sprzątacze -- wyjaśnił kapitan. -- Szukają ciała.

--Co robią z tymi, które znajdują?

--Wrzucają do Studni Grzeszników -- odparł Clay. -- Lepiej trzymać się z daleka od tego miejsca.

Rachel nie zorientowała się nawet, że dotarli do Bridgeview, bo ze starej dzielnicy nie

zostało prawie nic. Ulica kończyła się raptownie przy wielkiej górze gruzu. Gdy wdrapali się na jej szczyt, Asasynka zobaczyła, że nie przetrwała żadna z zabytkowych miejskich rezydencji. Nie było Mostu Bramnego spinającego suchą fosę, esplanad, brukowanych placów ani krętych alejek i pasaży z morwami. Wszystko zniszczył wielki supel poskręcanych łańcuchów fundamentowych. Przed nimi ciągnęła się szeroka przepaść, zwężająca się kilkaset metrów dalej na wschód. Pośrodku tej czeluści było widać podstawę świątyni, wyspę żelaznych kolków, pierścieni i pomostów. Po lewej stronie wąski chodnik prowadził do jednego z kilku ocalałych saperbanowych łańcuchów.

Widok w dole zaparł Rachel dech.

Tak dobrze знаła świątynię, że nagle zmiana perspektywy przyprawiła ją o zawrót głowy. Czarne ściany opadały w ciemność, najeżone ulamanymi iglicami i pinaklami, które teraz wyglądały jak kamienne stalaktyty. Część budowli już wpadła do otchłani, ale większość pozostała na razie nietknięta i trzymała się dzięki liczącej sobie trzy tysiące lat zaprawie z Czarnego Tronu. Rachel zachwiała się i złapała kapitana za ramię. Umysł wmawiał jej z uporem, że to ona chodzi do góry nogami, a świątynia stoi normalnie. W murach jarzyły się tysiące witrażowych okien niczym klejnoty w mrocznej czeluści.

--Musimy zaprowadzić więźniów na najniższy poziom -- powiedział adept do kandydatów. Jego gogle przesunęły się z Rachel na Claya, a potem na przepaść. Miedziana kratka maski lśniła w blasku pochodni. -- I zamknąć ich w pojedynczych celach.

--Nasze lochy są przepelnione -- odezwał się jeden z kandydatów.

--Zróbcie dla nich miejsce w Iglicy Rookery.

Asasyn skinął głową.

--A co z usuniętymi stamtąd?

--Odkupienie.

Rachel poczuła narastającą rozpacz, kiedy spojrziała na ogromną czarną budowlę. „Nasze lochy są przepelnione”. Nagle zrozumiała, dlaczego miasto wygląda na opustoszałe. Zrozumiała, dlaczego w świątyni palą się wszystkie światła, i ogarnęło ją przerażenie. Ile tysięcy ludzi było tutaj uwięzionych? Wystarczająco długo mieszkała ze Spine, by wiedzieć, jak działają ich wypaczone umysły. Istniały tylko dwa sposoby, żeby oczyścić bluźniercę z grzechów: przez hartowanie albo odkupienie nożem, liną i piłą. Świątynne sale tortur spływały krwią.

ROZDZIAŁ 3

ŚWIĄTYNIA

Weszli do sanktuarium niemal pionowym korytarzem w dawnych fundamentach budynku. Otoczeni przez kościelnych asasynów, Rachel i Clay pokonywali całe serie szczebli przymocowanych do metalowych ścian. Hael widziała, jak zmienia się nastrój kapitana, w miarę jak malował nad nimi krąg czerwonego nieba. Ten wielki mężczyzna stawał się coraz bardziej drażliwy i posępny, mamrotał coś pod nosem i przeklinał, kiedy jego podkute buty albo łokcie uderzały z brzękiem o ściany wąskiego przejścia. Robił tyle hałasu, co kowal w kuźni.

Po raz pierwszy od początku ich wędrówki sprawiał wrażenie naprawdę przestraszonego.

Za nimi Spine znosili Dilla za pomocą liny. Ku swojej wielkiej uldze Rachel usłyszała, że jej przyjaciel pojękuje cicho. Wreszcie odzyskał przytomność.

Drabina kończyła się w okrągłym holu, z którego odchodziły pod różnymi kątami dziesiątki tuneli. Stare lampy eterowe osadzone w podłodze rzucały zielonkawy blask na saperbanowe płyty i zaokrąglone ściany. Gdy kandydaci położyli młodego anioła na posadzce, Rachel podbiegła i ukucnęła obok niego.

--Dill?

Zatoczył głową jak pijany, ale nie otworzył oczu ani nie odpowiedział.

--Lżej oddycha -- stwierdziła Hael, zwracając się do Claya.

--To dobrze -- odparł kapitan. -- Nie sądzę, żeby wasi strażnicy zamierzali posłać po doktora. -- Przesunął wzrok z adepta na podartą kamizelkę Dilla. -- Wszystko to śmieci... zbroje i złote miecze, które dawali świątynnym archontom. To wszystko było tylko na pokaz.

--Wiem.

--Nie powinni byli go okłamywać.

--Milczcie! -- syknął adept.

Rachel zmierzyła go wzrokiem i spojrzała na Claya.

--Dill nie jest urodzonym wojownikiem. -- Jej kajdany raptem zabręczały, gdy podłoga przyciągnęła je z siłą magnesu i równie nagle puściła. -- Dziwne.

--To saperban -- wyszeptał Clay. -- Wyczynia najdziwniejsze rzeczy. Nigdy nie lubiłem tutaj przychodzić, nawet kiedy świątynia stała jak należy. -- Przez chwilę nasłuchiwał, a potem potrząsnął głową. -- Te tunele zniekształcają dźwięki w najdziwniejszy sposób. Podobno, jeśli się stanie w odpowiednim miejscu, można usłyszeć rozmowę prowadzoną w innej części budynku. Niektórzy przysięgają, że nawet taką z przeszłości.

Dill jęknął i odrzucił głowę w tył.

Asasynka chwyciła go za ramiona.

Anioł otworzył oczy.

--Rachel? Czuję truciznę.

--Nawdychałeś się gazu usypiającego -- wyjaśniła Hael. -- Ale tutaj go już nie ma.

Wszystko będzie dobrze.

--Wcale nie. Oni zamierzają nas wszystkich otruć, a potem stworzyć raj na Ziemi. Nie ma już dla nich miejsca w Piekło. Nadchodzą.

--Kto? O kim mówisz?

--O mesmerystach.

Clay rzucił Rachel pytające spojrzenie.

--Dill umarł -- powiedziała asasynka. -- Po tym, jak dotarliśmy na dno otchłani, został zabity w bitwie. Użyłam anielskiego wina Devona, żeby przywrócić go do życia, ale wcześniej spędził kilka dni w Labiryncie. Od tamtej pory nie potrafi wyjaśnić, co się z nim działo. Jego wspomnienia są pomieszane, fragmentaryczne; przychodzą do niego tylko w nocnych koszmarach.

--Więc to, co mówił, to prawda?

--Nie wiem.

Adept Spine zdjął maskę przeciwpiaśkową i skierował spojrzenie martwych oczu na kapitana świątynnej gwardii.

--Ta rozmowa jest nielegalna. Radzę wam milczeć.

--Nie słyszał pan, co powiedział chłopak?

--Labirynt to miejsce dla grzeszników. Zbawienie zależy tylko od naszego pana Ulcisa.

Clay go zignorował.

--Kim są ci mesmeryści? -- zapytał Dilla.

--Szepczą do zmarłych i zmieniają ich -- odparł młody anioł. -- Tworzą demony na wojnę, która się zbliża. Czerwona zasłona obwieszcza ich nadejście.

--Jaką wojnę?

--Między Piekłem a Ziemią.

Kapitan potarł zarost.

--Cholerni bogowie -- mruknął. -- Ulcis zrobił z nas niewolników, a teraz Iril chce nas całkiem zetrzeć w proch. Nie można ufać żadnemu z nich.

--Ulcis daje zbawienie -- wtrącił adept.

Clay zamierzył się na niego pięścią, ale świątynny asasyn zręcznie uniknął ciosu. Tymczasem jego podwładni załadowali kusze łamaczami kości -- ciężkimi belkami, których używali wyłącznie w świętych miejscach. Ich okrągłe kamienne czubki potrafiły zmiażdżyć czaszkę człowieka, nie powodując krwawienia.

--Clay! -- krzyknęła ostrzegawczo Rachel.

Kapitan poczerwieniał z wściekłości. Zaatakował przeciwnika drugi raz. Był szybszy, niż Rachel przypuszczała, zwłaszcza jak na starszego człowieka w ciężkiej zbroi. Jednak nie dość szybki.

Adept chwycił jego pięść i bez wysiłku wykorzystał impet przeciwko kapitanowi. Rachel usłyszała, jak pęka kość w nadgarstku Claya. Kapitan ryknął z bólu i rzucił się do przodu, żeby, wykorzystując własny ciężar, przygnieść drobniejszego przeciwnika do ściany.

Asasyn uskoczył przed tą szarżą niemal od niechcenia. Dał znak swoim ludziom, żeby opuścili broń, po czym z całej siły kopnął Claya w zgięcie kolana, jedno z niewielu słabych miejsc w jego zbroi. Trzasnęła druga kość. Gwardzista zwałił się na podłogę. Jego szeroką twarz wykrzywił grymas bólu.

--Wystarczy! -- krzyknęła Rachel.

--Niezupełnie -- powiedział spokojnie adept.

--Ale on nawet nie może wstać, żeby dalej walczyć.

Asasyn wzruszył ramionami. Złamał kopniakiem drugie kolano Claya i zaczął uważnie przyglądać się jego zbroi. Kapitan leżał twarzą na saperbanowych płytach i z sykiem wciągał

powietrze przez zęby.

--Do diabła... z tobą -- wykrztusił. -- I do diabła z...

--To standardowa świątynna zbroja płytowa -- stwierdził adept, zwracając się do swoich podwładnych. -- Jak można by ją udoskonalić?

--Znaleźć i wyeliminować wszystkie słabe punkty -- odezwał się jeden z kandydatów. Gdy zdjął maskę przeciwpiaaskową, ukazała się młoda twarz z wysokim czołem i słabo zarysowanym podbródkiem. Ślady po igłach i siniaki pod oczami wskazywały na niedawne hartowanie. -- Przynajmniej przed wszystkim sprawdzilibym spojenia.

--Więc zrób to.

Spine uniósł kuszę i posłał belt w szyję kapitana. Kamienny pocisk odbił się ze straszliwym hukiem od metalu. Clay zacisnął zęby i jęknął. Młody asasyn ponownie załadował broń.

--Przestańcie! -- wrzasnęła Rachel. -- Dręczycie go.

--Skrępujcie tych dwoje. Zwiążcie skrzydła aniołowi.

Pozostali Spine rzucili się, żeby spełnić rozkaz. Zaciągnęli Rachel i Dilla pod ścianę. Jeden z nich wyjął krótki pejcz do tortur i związał nim skrzydła anioła, ściągając je mocno na łopatkach. Tymczasem młody kandydat stojący nad Clayem po raz drugi wycelował z kuszy. Łamacz kości trafił kapitana w zgięcie łokcia. Gwardzista zawył i próbował wstać, ale nie mógł się utrzymać na połamanych nogach. Spine wypuścił cztery kolejne belty, aż w końcu stwierdził:

--Nie widzę żadnych słabych punktów poza widocznymi szczelinami przy nakolannikach.

--Daj mi kuszę i kolczan -- zażądał adept. Asasyn spełnił polecenie.

Starszy Spine wybrał z pożyczonego kolczanu nowy belt zakończony żółtą szklaną bańką wypełnioną oleistym płynem.

--Błędnie założyłeś, że masz sprawdzić wytrzymałość tylko tego, co widać -- powiedział do kandydata. -- Nie zastanowiłeś się natomiast, czego brakuje w tym modelu. Zbroje starszego typu nie mają odporności na ogień.

--Nie!

Rachel próbowała wyrwać się z rąk oprawców. Walczyła z całej siły, ale na próżno. Tymczasem adept wycelował kuszę w bezbronnego człowieka i nacisnął spust.

Pocisk zapalający trafił w plecy Claya i eksplodował. W jednej chwili całe jego ciało otoczyły strzelające, syczące zielone płomienie. Kapitan zawył, gdy łatwopalny płyn zaczął ściekać w szczeliny między płytami zbroi. Żar dotarł nawet do Rachel, choć znajdowała się po drugiej stronie pomieszczenia.

--Pożyteczna lekcja -- skwitował adept, oddając kuszę młodemu asasynowi. -- Przeszkody niekoniecznie trzeba zwalczać brutalną siłą. Trzeba poznać cały arsenał środków.

Uśmiechnął się przelotnie, ale Rachel zdążyła to zauważyć. Jej oczy rozszerzyły się z zaskoczenia. Ten adept czerpał przyjemność z zabijania. Jego stoicyzm był tylko starannie utrzymywaną fasadą. Nie został zahartowany, podobnie jak ona.

Zostawili zwęglonego trupa Claya i ruszyli przez labirynt połączonych ze sobą saperbanowych tuneli. Eterowe światła osadzone w posadzce oblewały wszystkie skrzyżowania zieloną poświatą, natomiast korytarze między nimi były pogrążone w ciemności. Przestrzeń wokół nich wypełniały dziwne metaliczne odgłosy o niejasnej przyczynie czy źródle.

W końcu dotarli do samej świątyni. Rury z saperbanu ustąpiły miejsca korytarzom

zbudowanym z ciętego czarnego kamienia, prowadzących do wysokiej komnaty z obniżoną podłogą w kształcie misy. Rachel nie rozpoznała tego miejsca, dopóki nie przekrzywiła głowy, co pozwoliło jej spojrzeć na pokój pod innym kątem. Kiedyś była to sala tuż pod kwaterami Spine. Z kaganków rozmieszczonych wzdłuż jednej ze ścian snuł się dym i układał cienką niebieską warstwę nad głowami dziesięciu asasynów i ich jeńców. W powietrzu unosił się zapach potu. Posadzkę zaścielały odłamki szkła, choć nie było tu żadnych okien. Pośrodku stało prowizoryczne rusztowanie z desek i sznurów konopnych. Ciąg drabinek i podestów sięgał na wysokość dwudziestu jardów i łączył dwoje małych drzwi znajdujących się po obu stronach wypolerowanego sufitu, który kiedyś był podłogą.

--Wchodźcie -- rozkazał krótko adept.

Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji, ale Rachel już wiedziała, że to oszust. Po co udawał, że przeszedł procedurę hartowania? Jego mistrzowie musieli znać prawdę. Tylko niscy rangą kandydaci nie wiedzieli, jak wygląda sytuacja.

--Dlaczego nie zostałeś zahartowany? -- spytała wprost.

--Wszyscy adepci są zahartowani.

Prychnęła.

--Ja jestem żywym dowodem, że nie, i ty także. Podobało ci się to, co zrobiłeś Clayowi, prawda? Torturowanie go sprawiło ci przyjemność. Ja miałam zupełnie inny problem. Nie cieszyły mnie brudne aspekty mojej pracy.

Adept popatrzył na nią, ale jego oczy nic nie zdradzały.

--Twój status Spine został unieważniony -- powiedział. -- W rzeczywistości nigdy nie byłaś adeptką. Zawsze brakowało ci umiejętności koncentracji.

To była jedna z technik Spine, których Rachel nie była w stanie opanować w czasie szkolenia. Brutalny proces hartowania przez tortury i podawanie toksyn niszczył umysł i ego adepta, ale jednocześnie pozwalał asasynom panować nad własną fizjologią. Koncentracja umożliwiała im krótkotrwale wyostrenie zmysłów, zmuszała ciało do wysiłku przekraczającego zwykłą wytrzymałość. Spine byli dużo szybsi i silniejsi niż zwykli ludzie.

Rachel całymi latami usiłowała nauczyć się tej techniki, ale jej niezahartowany umysł stawiał opór. Każda próba koncentracji kończyła się niepowodzeniem.

Z jednym wyjątkiem.

W głębi otchłani technika -- Spine uratowała Dillowi życie. W tej jednej rozpaczliwej chwili, kiedy Rachel bardzo potrzebowała nadludzkiej siły i umiejętności, jakoś udało się jej skoncentrować.

--Wchodź -- powtórzył adept.

Poprowadził ich na szczyt rusztowania i dalej przez jedne z odwróconych drzwi. Kandydaci podążali za nimi, nie zdejmując palców ze spustów broni. Jeden korytarz prowadził do następnego, a ten do kolejnego. Wysoko nad podłogą zbudowano pomosty, żeby mieć dostęp do pomieszczeń po obu stronach. Rachel zaglądała przez drzwi do małych cel i ogromnych sal treningowych pełnych ćwiczących kandydatów Spine. Szczęk kling i głuche odgłosy uderzających o siebie palek rozbrzmiewały echem w całym labiryncie oświetlonym przez pochodnie.

W końcu dotarli do Iglicy Rookery i ruszyli w dół stromym, spiralnym zboczem, spodnią stroną głównej klatki schodowej odwróconej wieży. W ciasnocie i półmroku było to

doświadczenie powodujące dezorientację, zupełnie jakby szli zjeżdżalnią pod schodami wykutymi w skale. Rachel była zmuszona zdjąć sandały o drewnianych podeszwach i iść boso. Czula pot strażników odzianych w skóry, prawdziwy ludzki zapach klócący się z ich twarzami zjaw i martwymi oczami.

W połowie drogi wnieśli Dilla do mrocznej komnaty, Rachel zmusili do zejścia o jeszcze jeden poziom, tam wepchnęli ją do drugiego pomieszczenia i zamknęli drzwi na klucz. Spadła z wysokości ośmiu stóp w niemal całkowitej ciemności, przetoczyła się i zatrzymała na warstwie ostrego gruzu.

Kiedy jej oczy przywykły do mroku, zbadala otoczenie. Cella, do której ją wtrącono, była kiedyś -- zanim odwróciła się do góry nogami -- komnatą o szorstkich ścianach i łukowatym kamiennym sklepieniu, zapewne sypialnią kapłana wysokiej rangi.

Podłoga, czyli dawny sufit, była niecką pełną roztrzaskanych mebli, zakurzonych gobelinów, potłuczonej porcelany oraz szczątków przedmiotów dekoracyjnych, które spadły wraz ze starym żelaznym żyrandolem. Jej strażnicy nie zadali sobie trudu usunięcia śmieci. I nic dziwnego, skoro świątynia była pełna więźniów.

Rachel wstała i podeszła do okna. Za witrażową szybą zobaczyła karmazynowa mgłę, która spowijała otchłań, a patrząc w górę, dostrzegła ciemną bryłę Deepgate oplecioną łańcuchami i miejscami oświetloną przez migotliwy blask ognia. Czy to była czerwona zasłona, o której mówił Dill, czy po prostu chmury trucizn nad płonącym miastem? Już miała się odwrócić, kiedy jej uwagę przyciągnął ruch na zewnątrz.

We mgle unosiły się niewyraźne postacie, duchy niezliczonych mężczyzn i kobiet. Zjawy dryfowały w górę, z wyciągniętymi rękami, i tęsknym wzrokiem wpatrywały się w wiszące nad nimi miasto. Najbliższa minęła okno zaledwie o kilka jardów. Większość mężczyzn miała na sobie staromodne garnitury i miskowate kapelusze, niegdyś modne wśród zamożnych pionierów z Deepgate, natomiast kobiety nosiły kilkuwarstwowe suknie i parasolki dla ochrony przed słońcem. Wszyscy byli niemal przezroczyści, jakby uformowani z tej samej czerwonej mgły, która ich otaczała, mieli upiorne białe oczy i obląkańcze uśmiechy na twarzach.

Kapitan Clay się mylił. Duchy nawiedzające Deepgate nie pochodziły z ostatnich katastrof. Ci ludzie zmarli dawno temu. I teraz wylaniali się z otchłani.

Ale dlaczego?

Dill nie mógł spać. Związane skrzydła zdrętwiały, łopatki przeszywały szpile bólu. Domyślał się, że jest już dobrze po północy, więc powinno być całkiem ciemno, ale nie było. Przytłumione czerwone światło wpadało przez wielkie okna z licznymi podziałami, zalewało pokój, wszystkiemu nadawało karmazynowa barwę. Fałdy draperii, które zebrały się w nieckowatej podłodze, wyglądały jak surowa wątroba w misie. Pęknięcia biegnące przez kamienne płyty przypominały żyły.

Ale Dill nie mógł oderwać wzroku od okna. Przerażony i zafascynowany patrzył na duchy za szybą.

W większości byli to mężczyźni i kobiety w dziwacznych, staromodnych ubraniach, ale czasami Dillowi wydawało się, że dostrzega unoszące się w mroku potężniejsze istoty ze skrzydłami. Nie miał pojęcia, kim są te zjawy.

Był tak pochłonięty obserwowaniem ich, że w pierwszej chwili nie zauważył istoty, która

zawisła tuż za oknem. Zaalarmował go dopiero cień przesuwający się po szybie.

Wysoki, chudy archont miał na sobie karmazynowa kolczugę i dziwny hełm w kształcie głowy jastrzębia. Przy boku nosił ząbkowany kord. Zawieszony w powietrzu, leniwie poruszał i przyglądał się Dillowowi czerwonymi oczami. Był starszy od niego i dość przystojny, ale jego wargi wykrzywiały cyniczny grymas. Momentami można było odnieść wrażenie, że się rozplywa we mgle, jednak chwilę później pojawiał się znowu, jakby dryfował między różnymi światami.

W końcu zbliżył się do samego okna i dał Dillowowi znak, żeby je otworzył.

Dill pokręcił głową. Spine ostrzegł go przed takim próbami. Kapłani przez trzy tysiące lat błogosławili kamienne mury świątyni i witrażowe szkło, żeby odstraszyć niechciane zjawy. Teraz ta bariera przeciwko duchom z otchłani służyła Spine lepiej niż wszelkie inne środki ostrożności. Nocą Kościół Ulcisa był najbezpieczniejszym miejscem w Deepgate... pomijając to, że wisiał do góry nogami i nieuchronnie osypywał się w przepaść.

Anioł po drugiej stronie szyby niecierpliwie poruszał skrzydłami i obniżył się tak, że znalazł się twarzą w twarz z Dilem. Powiedział coś, czego chłopak nie mógł usłyszeć, a potem wskazał na klamkę okna.

Dill znowu pokręcił głową.

Na twarzy nieproszonego gościa odmalował się wyraz frustracji. Na jedno uderzenie serca archont zniknął, zmieniając się w wir czerwonej mgły, a potem znowu się zmaterializował. Uniósł pięść, jakby chciał roztrzaskać okno, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Rozciągnął wargi w szyderczym uśmiechu i znowu wskazał kciukiem na klamkę.

Dill cofnął się w głąb pokoju i z udawanym zainteresowaniem zaczął oglądać roztrzaskane meble i gobeliny tworzące stertę na wklęsłej podłodze.

Archont był coraz bardziej rozwścieczony. Uniósł kord oburącz i, trzymając go za ledwie cal od szyby, na dłuższą chwilę zawisł w powietrzu, cały skupiony. Powoli przysunął ostrze do okna.

Dill usłyszał pukanie.

Duch uśmiechał się szeroko.

W końcu nastął ranek. Kiedy światło dnia przefiltrowane przez łańcuchowe miasto wpadło do otchłani, okno celi Rachel przybrało jaśniejszy odcień czerwieni. Mgła się przerzedzała i choć nie rozwiała się całkiem, duchy przestały wychodzić z głębin.

Blask słońca, mimo że słaby, przegonił zjawy.

Na witrażowych szybach widniały trzy sceny z Kodeksu Deepgate, umieszczone jedna nad drugą: upadek Ulcisa z Nieba, przybycie herolda, wyjście Callisa i Dziewięćdziesięciu Dziewięciu z czeluści. Teraz, gdy wszystko odwróciło się do góry nogami, Rachel mogła wyciągnąć rękę i dotknąć podobizny Callisa i jego wojowników, które kiedyś były poza jej zasięgiem.

Drzwi celi znajdowały się osiem stóp nad obecną podłogą. Rachel wiedziała, że Spine w końcu je otworzą, choćby tylko po to, żeby rzucić jej bukłak z wodą. Przyjrzała się śmietnikowi, na który składały się połamane meble, ubrania, rozbita porcelana, a nawet stary żelazny żyrandol. Był to róg obfitości pełen potencjalnej broni.

Rachel dotknęła okna. Na szczęście ta cienka bariera ze szkła pobłogosławionego przez kapłanów zapewniała jej bezpieczeństwo przez całą noc i żaden z upiorów nie zdołał wejść do

jej celi. Ale inne części świątyni zawaliły się na jej oczach i cała budowla nie mogła przetrwać długo.

Asasynka stała przez chwilę i myślała intensywnie.

Zahartowani Spine nie odczuwali strachu, ale rozumieli niebezpieczeństwo. Nie mogli tolerować żadnego zagrożenia dla swojej cennej świątyni. A jeśli chcieli utrzymać Rachel przy życiu i poddać ją hartowaniu...

Nagle powzięła decyzję.

Wzięła do ręki nogę połamanego krzesła i rozbila nią najniższą taflę. Trafiła dokładnie w namalowaną twarz Callisa, co sprawiło jej pewną przyjemność. Strzaskane szkło wpadło do otchłani, na środku szyby powstała dziura o nierównych brzegach.

Chłodny podmuch rozwał włosy asasynki. Rachel wiedziała, że zjawy wrócą o zmierzchu, miała więc czas do wieczora, żeby się przekonać, czy warto było zaryzykować.

Ostrożnie usunęła luźne odłamki szkła z brzegów otworu i ułożyła je rzędem na podłodze. Miały posłużyć jako broń: były zbyt kruche, żeby się zmierzyć z mieczami Spine, ale groźne jako noże do rzucania.

Wybrała najlepiej wyważone odłamki i jeden koniec każdego owinęła paskiem podartego gobelinu, robiąc uchwyt. W ten sposób przygotowała sześć noży, choć wątpiła, żeby miała okazję użyć więcej niż jeden. Pierwszy rzut musiał być bardzo celny. Następnie użyła nogi krzesła, żeby rozbić mniejsze, mniej użyteczne odłamki na drobny proszek, który zebrała w prowizoryczny woreczek. Jak na ironię, tego skutecznego sposobu na chwilowe oślepienie przeciwnika nauczył ją kiedyś mistrz Spine. Nogę krzesła odłożyła na bok, żeby wykorzystać ją jako maczugę. Gdyby uciekła z celi, byłaby to poręczna broń do walki wręcz.

Gdzieś z góry dobiegł krzyk.

Rachel schowała do kieszeni własnoręcznie zrobione noże i wyjrzała przez okno. Rookery była najwyższą ze świątynnych iglic, teraz więc w naturalny sposób stała się najniżej położonym lochem. Nie dało się zejść w dół po gładkiej czarnej ścianie, ale w górze wisiało niczym sople lodu skupisko wieżyczek ze szklatego kamienia i zaprawy.

Dalej przez całe mile ciągnęła się czarna sieć łańcuchów, spowitych czerwonym oparem, rysujących się na tle gniewnego nieba. W niektórych miejscach Deepgate przeszywały smugi pomarańczowego światła, a w głąb otchłani niosły się przytłumione trzaski, jakby jedna po drugiej pękały kości miasta. I w pewnym sensie tak było. Bo Deepgate nadal się kruszyło i spadało w przepaść. Gruz sypał się ze świątyni i jej otoczenia, powiększając chmury kurzu, które kłębiły się w gęstym powietrzu. Patrząc w dół, Rachel zobaczyła, że dach Rookery już zniknął i że iglica kończy się poszarpanym kamiennym murem zaledwie dwadzieścia jardów od niej.

Głęboko w otchłani pod miastem, w ciemnościach pod pałacem Ulcisa znajdowały się drzwi do Piekła. O ich istnieniu powiedział jej sam bóg łańcuchów. „Istoty tam w dole rozerwalby cię na kawałki”, ostrzegł. Czyżby zjawy z ostatniej nocy znalazły te drzwi? Były zbiegami z Labiryntu?

Czy zwiadowcami?

Rachel zadrżała. Mrok panujący w dole był ciemnokarmazynowy jak studnia krwi. „Tworzą demony na wojnę, która się zbliża. Czerwona zasłona obwieszcza ich nadejście”, powiedział Dill w przedśionku świątyni.

Z tyłu nagle dobiegł głośny trzask. Rachel obejrzała się ze strachem. Wzdłuż ściany celi, jakiś cal nad podłogą, pojawiło się wąskie pęknięcie. Miało pięć jardów długości.

Cholera.

Iglica się rozpadala.

Cały pokój się zatrzęsł. Roztrzaskane meble przesunęły się głębiej we wklęsłość podłogi, która kiedyś była sufitem. Rysa powiększyła się raptem na szerokość palca i wydłużyła o kolejne pięć jardów. Teraz biegła wzdłuż dwóch ścian.

Rachel patrzyła na nią z przerażeniem. Więc taki będzie jej koniec? Jednak wróci do otchłani, jako kolejny szkielet na górze kości Ulcisa. A Dill, zamknięty w celi nad nią, wkrótce do niej dołączy. Asasynkę ogarnął głęboki smutek. Młody anioł nigdy nie okazywał niezadowolenia z jej porażek. Ale teraz? Jak mógłby jej wybaczyć? Rachel ukryła twarz w dłoniach, wyczerpana.

I czekała.

Kolejny loskot. Spomiędzy kamieni wypadła zaprawa i rysa poszerzyła się o następny cal. Nierówna linia przecięła trzecią ścianę.

Rachel nagle poczuła gniew. Wstała i podskoczyła kilka razy, opadając na podłogę z całą siłą. Kopnęła bezużyteczny stos roztrzaskanych mebli. Dlaczego już teraz nie mogłoby być po wszystkim? Po co siedzieć i cierpliwie czekać, aż nadejdzie koniec? Dlaczego nie miałyby sama zdecydować o własnym przeznaczeniu?

Wzięła do ręki nogę od krzesła, którą wcześniej odłożyła na bok, i mocno walnęła nią o podłogę. Potem wbiła drewno głęboko w najszerszą część pęknięcia, próbując je powiększyć. Nic w ten sposób nie osiągnęła. Wisząca wieża miała się rozpaść pod własnym ciężarem albo wcale. Jej wysiłki zdały się na nic.

Nagle znieruchomiała, oddychając ciężko i wpatrując się w kawałek drewna trzymany w dłoni. Potem spojrzała na stertę śmieci: na gobeliny, połamane meble i ciężki żelazny żyrandol.

O bogowie, jaka byłam głupia!

Błyskawicznie przystąpiła do działania. Chwyciła róg najbliższego gobelinu i ściągnęła go ze stosu. Miał jakieś dwa jarde szerokości i dwa razy tyle długości. Przedstawiał bitwę archontów z poganami, jak większość pozostałych świątynnych arrasów. Tkanina była stara, o gęstym splocie, z frędzlami i bez wątplenia bardzo cenna. Dobrze. Następnie Rachel zaczęła wyciągać fragmenty mebli, ułamane deski, szuflady, część łóżka, oparcie krzesła wygięte jak lutnia. Wszystko odrzucała na bok. Potrzebowała czegoś, co mogłoby użyć jako bosak.

Dźwięk pękającego kamienia zmobilizował ją do większego wysiłku. Rysa na ścianie znowu się poszerzyła.

Żyrandol! Rachel chwyciła go i pociągnęła, ale był przymocowany do podłogi mocnym łańcuchem. Nie miała czasu, żeby się z nim mocować. Z drewnianą nogą w jednej ręce, z oparciem krzesła w kształcie litery U w drugiej, z końcem gobelinu wciśniętym pod pachą pobiegła w kąt pokoju, pod dawne drzwi. Wcisnęła nogę od krzesła między kamienie w miejscu, gdzie stykały się dwie ściany, cztery stopy nad pęknięciem, po czym odsunęła się do tyłu i kopniakiem wbiła klin w narożnik. Następnie pociągnęła w dół prowizoryczne siedzisko, sprawdzając, czy utrzyma jej ciężar.

Kolejny trzask. Rysa biegła teraz przez wszystkie cztery ściany. W najwęższym miejscu była cienka jak włos, ale przy oknie zmieściłaby się w niej pięść. Podłoga mogła się zapaść w

każdej chwili.

Rachel zaczęła oparcie krzesła o drewniane siedzisko, a potem, trzymając się gobelinu, usiadła na nim. Musiała jeszcze upleść sznur, ale stwierdziła, że lepiej będzie podjąć się tego zadania, siedząc bezpiecznie nad rozpadającą się podłogą.

Tkanina rozeszła się z niepokojącą łatwością. Była prawie przegniła. Rachel zastanawiała się przez chwilę, czy nie przynieść innego arrasu -- widziała jeszcze dwa -- ale szybko odrzuciła ten pomysł. Wolą nie ryzykować, bo podłoga ledwo się trzymała. Musiała wykorzystać to, co miała pod ręką. Podarła materiał na sześć długich pasów i owinęła je wokół nogi stołowej, żeby ich nie zgubić. Następnie uplotła dwa sznury, każdy z trzech pasów, związała je z sobą, po czym przymocowała jeden koniec do wygiętego oparcia, a drugi do swojego siedziska. Miała dość liny, żeby -- kiedy podłoga już się zapadnie -- zarzucić ją na jeden z kinkietów osadzonych na ścianie klatki schodowej i się podciągnąć.

Na razie mogła jedynie czekać.

Tak więc mocno ścisnęła sznur i czekała.

Czekała.

Po kilku godzinach poczuła się głupio. Przesunęła się do przodu i, nie opuszczając drewnianego siedziska, ostrożnie nacisnęła kamienną płytę palcem nogi. Podłoga wydawała się solidna. Trzymając się liny, postawiła drugą stopę obok pierwszej. Nadal żadnych podejrzanych trzasków.

Tupnęła delikatnie.

Nie wydarzyło się nic niepokojącego.

Zsunęła się całkiem z siedziska i stanęła pewnie, nie wypuszczając sznura z ręki.

Podskoczyła lekko.

Za drugim razem opadła na podłogę całym ciężarem. Stuk drewnianych podeszew o kamień rozbrzmiał echem w komnacie, a potem zapadła cisza. Rachel obwiązała się liną w pasie i usiadła na posadzce. Na zewnątrz powoli zapadał zmierzch.

Iglica Rookery trwała nienaruszona przez całe popołudnie. Pęknięcie w ścianie się nie powiększyło, podłoga nie zapadła się pod czekającą asasynką. Rachel obserwowała, jak czerwona mgła coraz bardziej ciemnieje za oknem. W górze słońce stało nisko na niebie, cień Deepgate padał na krawędź otchłani. Wkrótce miały wrócić duchy, a szyba w celi była wybita.

Nikt się nie zjawił na wołanie Rachel, więc patrzyła na drzwi, przesuając między palcami nóż z odłamka szkła.

W końcu w zamku zagrzechotał klucz.

Rachel napięła mięśnie. Miała tylko jedną szansę. Spine na pewno nosił skórzaną zbroję, od której jej kruche ostrze mogło się odbić albo złamać. Najlepiej byłoby trafić w szyję. Gdyby udało się jej przeciąć tętnicę szyjną, śmierć nastąpiłaby szybko.

Drzwi się otworzyły.

Rachel uniosła rękę i... znieruchomiała.

W progu stał chłopiec w wieku dziewięciu albo dziesięciu lat, z buklakiem wody w ręce. Bardzo chudy i blady, ubrany w brązowy kaftan bez rękawów i spodnie, tanią imitację treningowej zbroi kandydatów. Krótkie rude włosy, kiedyś zapewne śliczne, miał nierówno obcięte, prawdopodobnie nożem. Ręce były całe poznaczone siniakami i śladami po ukłuciu, oczy puste jak u każdego Spine. Sprawiał wrażenie, jakby jej nie widział. Został zahartowany.

--Nie wolno ci zbliżyć się do drzwi -- oznajmił wysokim, czystym głosem. -- Rzucę worek, a ty musisz go złapać. Jeśli pęknie, więcej wody dzisiaj nie dostaniesz.

Rachel ogarnęła rozpacz. Z łatwością mogła trafić chłopca prosto w szyję, ale nadal się wahała. Szklane ostrze tkwiło nieruchome w jej ręce. Dziecko? Gdyby to był adept albo nawet kandydat, byłoby już za późno na rzut. Ale temu malcowi najwyraźniej brakowało wyszkolenia i refleksu, żeby zareagować stosownie do sytuacji. Kazano mu dostarczyć wodę i nauczono go, co ma powiedzieć. Mógł jedynie wypełnić rozkaz.

--Musisz go złapać -- powtórzył, wyciągając przed siebie buklak.

Rachel zważyła ostrze w ręce. Wiedziała, gdzie jest tętnica szyjna. Wyobraziła sobie, jak rzuca prowizorycznym sztyletem, jak ostrze leci przez pokój i zagłębia się w ciało. Zobaczyła tryskającą krew, usłyszała wilgotny charkot wydobywający się z gardła rannego. Byłaby wolna i mogłaby pomóc Dillowii.

Chłopiec został zahartowany, prawda? Był jednym z nich. Rachel rzuciła nożem.

Dill nie spał. Duch archonta tkwił za oknem przez całą noc i stukał kordem w szybę. Ten upór najwyraźniej wyczerpywał intruza, bo jego ciało blakło, w miarę jak mijała noc, z każdym uderzeniem stawało się coraz bardziej przezroczyste i niematerialne. Kiedy wreszcie nadszedł świt, upiór wrócił do otchłani -- będąc już zaledwie cieniem samego siebie.

Ale udało mu się zrobić rysę w oknie.

Dill po raz setny przyglądał się z rosnącym lękiem pękniętej szybie. Zjawy nie powinny wywierać fizycznego wpływu na otoczenie, a zwłaszcza na błogosławione szkło, które chroniło Kościół Ulcisa. Po prawdzie, przez trzy tysiące lat jeszcze żaden duch nie uszkodził świątyni. Ale ten martwy wojownik dokonał wyczynu godnego uwagi. Najwyraźniej był zdecydowany dopaść Dilla ze wszelką cenę.

Tylko dlaczego?

Jeszcze jedno niepokoiło Dilla. Ze wszystkich duchów, które widział tej nocy, upiór w zbroi był jedynym, który wrócił do otchłani.

Dill był wyczerpany, a karmazynowa mgła na zewnątrz znowu ciemniała. Od pęt drętwiały mu skrzydła, przy każdym ruchu jego plecy przeszywał ból. Ułamane pióra zaścielały podłogę celi.

Czas mijał, a nikt nie przychodził, żeby go sprawdzić albo przynieść wodę czy jedzenie. Raz wydawało mu się, że słyszy gdzieś poniżej krzyk dziecka, ale mogło to być krakanie gawrona. Musiał zasnąć, bo raptem zrobiło się o wiele ciemniej. Przez wysokie okna wpadała do celi dziwna czerwona poświata. Na zewnątrz duchy znowu wylaniały się z otchłani -- tym razem było ich więcej niż poprzedniej nocy.

I wróciła zjawia wojownika.

Archont unosił się tuż za oknem Dilla, także ogromne skrzydła całkowicie zasłaniały widok. Jego ciało wydawało się bardziej materialne, solidne, w oczach jarzyło się zło. Uniósł kord i mocno uderzył w pękniętą szybę.

Szkło w końcu się roztrzaskało.

Dill usłyszał wycie, jakby nagle zerwała się potężna wichura. Postać archonta zniekształciła się i zbladła, aż w końcu stała się cienka jak smuga dymu. Zwijając się i kłębiąc, dym zaczął wpływać do pokoju. Po dwunastu uderzeniach serca duch przybrał poprzedni

kształt. Z rozpostartymi skrzydłami, wokół których snuły się pasma czerwonej mgły, spojrzal na młodego anioła strasznymi oczami.

--Powinieneś był otworzyć okno -- rzekł głosem przypominającym szum liści pędzonych wiatrem przez las. -- Oszczędziłbyś nam obu nieco bólu. To spotkanie dużo mnie kosztowało.

Dill nie zdawał sobie sprawy, że się cofa, dopóki nie oparł się skrzydłami o ścianę.

--Kim jesteś? -- wykrztusił.

Anioł zmrużył oczy.

--Nazywam się Sillster Trench. -- Przy wydechu z jego nosa wydostały się smużki czerwonego dymu. -- Jestem czempionem Pierwszej Cytadeli, dowódcą archontów Haspa. -- Ukłonił się lekko, trzymając dłoń na rękojeści kordu. -- I twoim prapraprapradziadkiem czy coś w tym rodzaju... szczegóły rodzinnych koligacji nie są istotne. Wystarczy powiedzieć, że jestem jednym z twoich przodków, a twoi przodkowie teraz ciebie potrzebują.

Ruszył w stronę młodego anioła. Za każdym razem, kiedy jego buty dotykały podłogi, unosił się spod nich karmazynowy opar.

--Zaczekaj! -- krzyknął Dill. -- Nie rozumiem. Po co...?

--Potrzebne mi są twoje skrzydła, serce, krew -- powiedział Trench. -- Moja własna postać wkrótce zniknie w słońcu Ayen, a muszę dostarczyć pilną wiadomość komuś z twojego świata. -- Uniósł ręce i spojrzal przez nie na chłopca. -- Widzisz? To ciało jest zbyt niematerialne, żeby długo tutaj przetrwać. Wytrzyma tylko tyle, żeby przetransportować twoją duszę do Labiryntu.

Dill rozejrzal się, gorączkowo szukając drogi ucieczki. Archont zbliżał się doń z szerokim uśmiechem. Jego zbroję otaczał krwawy opar. Młody anioł nie miał gdzie się schronić. Opadł na kolana i skulił się zrezygnowany.

--Właśnie -- powiedział Trench kojącym tonem. -- Zaboli tylko trochę.

--Głupi i desperacki manewr. -- Adept zerknął na nią znad kuszy załadowanej łamaczem kości i wycelowanej w jej brzuch. -- Mogłaś zabić dziecko.

--Poruszył się w nieodpowiednim momencie -- odparła Rachel, patrząc na niego z podłogi celi.

--Straciłaś umiejętności -- stwierdził asasyn. -- Pierwszy lepszy kandydat rzuciłby celniej.

Szklany nóż drasnął ucho chłopca, powodując niewielkie krwawienie. Gdyby adept wiedział, że taki właśnie był zamiar Rachel, mniej lekceważąco wyrażałby się o jej umiejętnościach. Malec oczywiście upuścił bukłak z wodą i popędził do swoich przełożonych. W rezultacie adept, który ją tutaj przyprowadził, musiał złożyć jej wizytę.

--Dlaczego udajesz, że zostałeś zahartowany? -- spytała Rachel. -- Po co zachowujesz pozory?

--Nie udaję -- warknął asasyn.

Hael się roześmiała.

--Boisz się procedury?

--Milcz.

--Kiedyś marzyłam o tym, żeby mnie zahartowali -- wyznała -- ale mój brat nie chciał podpisać zgody. Odmówił, żeby mnie zranić. Wiedział, że nie sprostam wszystkim oczekiwaniom mistrzów Spine. Nigdy nie mogłabym zabijać dzieci. Ale zdaje się, że ty nie masz

moralnych rozterek, prawda? -- Nagle pomyślała, że go rozumie. -- Nie chcesz, żeby cię zahartowali, bo ten proces pozbawiłby cię twoich niskich pragnień, odebrałby ci radość, którą czerpiesz z pracy.

--Mój mistrz zginął akurat tej nocy, której miał mnie zahartować -- powiedział adept z okrutnym uśmiechem. -- Całkiem nagle i w niewyjaśnionych okolicznościach. W związku z całym tym ostatnim zamieszaniem, ze zniszczeniem miasta, nikt nie pomyślał o sprawdzeniu, czy rzeczywiście przeprowadził hartowanie.

--Brawo! -- skwitowała Rachel. -- Chyba nie było łatwo zabić mistrza Spine.

Asasyn skłonił głowę.

--Przez lata nabrał odporności na wszystkie trucizny, które zgromadziliśmy w swoim arsenale. Byłem zmuszony uciec się do mniej subtelnych metod.

--Jestem pod wrażeniem. Jak się nazywasz? Nieczęsto spotykam adepta, który to pamięta.

--Culver.

--No więc, Culver, zamierzasz mnie teraz zabić czy zabrać na hartowanie?

Adept opuścił kuszę.

--W końcu i tak pójdziesz pod igły -- powiedział -- Potrzebujemy dużo mięsa armatniego. Niestety, musimy uporać się z dużymi zaległościami.

--Szkoda, bo jutro będę już martwa -- rzuciła Rachel.

Culver zmrużył oczy.

--Samobójstwo jest wbrew Kodeksowi. Każda próba będzie karana...

--Czym? Śmiercią?

Adept nie odpowiedział. Rachel prychnęła.

--Daruj sobie kazania. Nie mam zamiaru się zabijać. Spójrz tam, trupia gębo. -- Wskazała na rozbita szybę, z której zrobiła noże. W ciemnej mgle na zewnątrz już unosiły się duchy. Było tylko kwestią czasu, kiedy jeden z nich zauważy dziurę w oknie. -- Obawiam się, że pękła. Całkiem nagle i w niewyjaśnionych okolicznościach.

Culver zaklął.

--Ty głupia dziwko! Chciałaś dać się opętać? Teraz trzeba będzie pobłogosławić cały pokój. -- Przeczesał dłonią krótkie włosy i po chwili zastanowienia powziął decyzję: -- Do diabła z listą oczekujących. Zahartujemy cię i anioła dziś wieczorem.

Długa powolna śmierć duszy poprzez tortury. To była niemal ulga.

ROZDZIAŁ 4

CZŁOWIEK WCHODZI DO GOSPODY

Mgła zawsze przyciągała więcej ofiar do Haka Wdowy. Wilgotne szare powietrze wisiało nad zaulkami wokół gospody już od trzech dni, rozmiękczając ściany lepierek, wypaczając krokwie spelunek i ruder, tak że cała okolica jakby się zapadała z powrotem w mokrą brązową ziemię. Przy takiej pogodzie nowi przybysze gubili się w Sandport, a ostatnimi czasy ich nie brakowało -- na każdym kroku można było spotkać bogatych uciekinierów, którzy przylecieli sterowcem kościelnym po tym, jak zapadło się miasto Deepgate. W nieunikniony sposób niektórzy z nich trafiali do miejsc, które woleliby ominąć z daleka. Kiedy więc Jack Caulker usłyszał, jak muzykant przed oberżą wygrywa na fujarce piskliwą ostrzegawczą melodyjkę, wychylił resztę piwa i dał znak Ericowi Młotowi siedzącemu przy drzwiach.

Wyglądało na to, że kolejny obcy zamierza wejść do środka.

Do tej pory zamordowali i obrabowali dziewięciu -- jeśli liczyć żebraczkę, która nie miała nic nadającego się do sprzedania oprócz długich jasnych włosów. Potem wrzucili ich ciała do rzeki, żeby kraby objadły je do czysta. Mimo to wciąż przybywały nowe ofiary. Niewiele barek czy skiffów z Sandport zaryzykowałoby żeglugę do Shale czy Clune w tym przeklętym mroku, dlatego wielu kupców i szlachciców z Deepgate utknęło tutaj na dłużej. Ostatnio tylu ich zawitało do Haka Wdowy, że Jack Caulker mógł sobie pozwolić na pokój na piętrze. Teraz spędzał noce w pijackim upojeniu. Raczył się najlepszym piwem, wznosił toasty za każdym razem, kiedy w dokach rozbrzmiewały syreny mgłowe. W dzień objadał się rosołem z węgorka albo zupą rybną i czekał na następną robotę. Tył w pasie i tak samo pęczniała jego sakiewka. Było to paskudne, grzeszne zajęcie, ale ktoś musiał się go podejmować. Caulker zapłacił właścicielowi Haka niezłą sumkę, żeby tym kimś był on.

Wymienił spojrzenie ze swoim wspólnikiem, wstał od stołu i zamarł...

...kiedy drzwi się otworzyły i stanął w nich najdziwniejszy osobnik, jakiego w życiu widział.

Obcy, półnagi gigant o skórze pomalowanej na ciemno, blokował wejście niczym pięćdziesięcotonowy głaz. Miał na sobie brązowe skórzane szorty z których wylewało się więcej sadła, niż mógł na sobie nosić człowiek. Górną część jego ciała opasywało coś w rodzaju ogromnej uprzęży z drewna i skóry, być może koło ratunkowe, bo wydawało się zbyt skąpe jak na zbroję.

Kiedy gigant wyłonił się z mgły i wcisnął cielsko do Haka Wdowy, w środku zamarły wszystkie rozmowy. Łyżki wpadły do misek z zupą, uniesione kubki zostały odstawione. W blasku pieca Caulker nagle zobaczył to, co siedzący najbliżej drzwi zauważyli już wcześniej. Ciało tłuszciocha nie było pomalowane; po prostu jego skóra miała kolor smoły. Czarne pięści przypominały młoty, pierś falowała jak morze.

Ale najdziwniejsza była lina. Napięty sznur z natłuszczonych konopi, grubości ramienia, sterczał za plecami obcego jak maszt, dalej wyginał się wokół futryny drzwi i zniknął gdzieś w górze. Konstrukcja z drewna i skóry wskazywała, że wielkolud jest przywiązany do czegoś, co znajdowało się poza Hakiem Wdowy, w dodatku bardzo wysokiego.

--Nazywam się John Kotwica -- oznajmił przybysz. -- Powiedziano mi, że tutaj jest ciało anioła. Zgadza się?

Nikt się nie odezwał. Wśród bywalców Haka byli poławiacze krabów, rybacy rzeczni, skutnicy i kilku pilotów barek z Lasu Shale, ale niewielu -- jeśli w ogóle jakiś -- słyszało o Mgle Wisielca. Jack Caulker, który pracował dla misjonarzy, nim został rzezimieszkiem, pływał aż na Wyspy Wulkaniczne i znalazł tę legendę, więc na widok obcego z jego twarzy zniknął cyniczny wyraz, a czoło przeorały zmarszczki. Świątynni żeglarze opowiadali kiedyś o Adamantowym Człowieku chodzącym po dnie oceanu. Mówiono, że towarzyszy mu dziwny opar, Mgła Wisielca, która zasłania dryfujące piekło ciągnięte przez niego po świecie. Marynarze bardzo się obawiali takiej pogody, bo na wschód od Wysp, jak twierdzili, żaden statek nie mógł przepłynąć przez te wyziewy. Caulker oczywiście uznał ich opowieści za przesadne bajdurzenie, ale żeglarze z Deepgate obwiniali Mglę Wisielców o każde zatonięcie statku i, niech ich diabli, jeśli ktoś znajdzie śmiałka, który zapuściłby się dalej niż na milę poza Wyspy. Caulker przyglądał się gościowi z coraz większą ciekawością. Ten człowiek ciągnął napiętą linę, a ona musiała być przymocowana do czegoś na zewnątrz.

Do statku powietrznego pełnego trupów?

Tutaj? W Sandport?

Eric Młot odsunął się od drzwi, a broń, od której wziął przydomek, przytroczona do jego biodra, wyglądała przy gigantach bardziej jak wykałaczką niż narzędzie ciesielskie. Klienci gospody zwrócili oczy na Jacka Caulkera; szanowali go na swój sposób. Rzezimieszek był wyedukowany, bywały w świecie i dobrze radził sobie w walce.

Nie wyszłoby to na dobre jego reputacji, gdyby zauważyli, że obleciał go strach.

--Wejdz, przyjacielu. -- Caulker uniósł pusty kubek w stronę przybysza. -- Merrigan Foley, gospodarz tego znamienitego przybytku, nie żąda opłaty za obejrzenie truchła. Jest tam, nad kontuarem.

Wskazał na zakrwawionego, szerniałego trupa przybitego do ściany. Przynieśli go przed dwoma dniami hodowcy kóz Ban Heshette, mówiąc, że znaleźli chłopca w rowie gdzieś na południe od Deepgate. Twierdzili, że to świątynny anioł. Jego skrzydła wyglądały na tyle przekonująco, że Foley sięgnął do sakiewki, choć nie tak głęboko, jak chcieli pustynni ludzie. Jeśli chodzi o samą osobliwość, była dość żalosna: kupa pociemniałych kości i białych piór przybita do topornego krzyża, niezbyt przypominająca archonta i nawet w przybliżeniu nie tak imponująca jak zmiennokształtny demon, którego ostatnio pokazała tamta kobieta. Ale wieść o aniele przyciągała ciekawskich do Haka, z czego Foley i Caulker byli bardzo zadowoleni. Zjawiała się nawet grupa Spine i wynajęła tutaj pokoje, żeby spokojnie obejrzeć znalezisko.

John Kotwica przez chwilę przyglądał się ponuremu eksponatowi, aż w końcu zmarszczył brwi.

--Anioł, na którego poluję, ma ciemne skrzydła -- powiedział. -- To nie jest jej trup.

Caulker uniósł brew. Anioł, na którego poluje?

--Cóż, jeśli chodzi ci o anioły i miejsce ich pobytu, trafiłeś we właściwe miejsce -- oświadczył. -- Na południe od Clune nie dzieje się nic, o czym nie wiedzieliby bywalcy Haka. -- Nie było to całkiem kłamstwo. Miejscowi plotkowali tutaj tak samo, jak wszędzie indziej wzdłuż brzegów Coyle. -- Przedstaw nam swój problem. Sandportczycy są znani ze swojej życzliwości dla obcych. Jeśli możemy pomóc, zrobimy to.

John Kotwica pokiwał głową.

--Szukam anielicy z bliznami.

Caulker zmarszczył czoło.

--Carnival?

Ludzie mówili, że wylonila się z otchłani, kiedy upadło Deepgate, a potem uciekla na Martwe Piaski. Nikt nie wiedział na pewno, co się z nią działo od tamtej pory, ale ten drobiazg nie musiał niekorzystnie wpłynąć na interes, który był tutaj do zrobienia. Rzezimieszek chętnie sprzedawał plotki i kłamstwa, a nawet upiększał je za dodatkową opłatą. Uśmiechnął się do przybysza i pokiwał głową.

--Tak -- powiedział. -- Myślę, że możemy dobić targu.

Wielkolud zatarł ręce i wszedł do środka, ciągnąc za sobą potężny sznur. Kolejne jardy skręconych konopi odrywały drzazgi od spodu futryny. Drewno skrzypiało i wyginało się pod ogromnym naciskiem, a potem pękło. Gładko, jak nóż kroi kawałek sera, lina przecięła trzy stopy ściany z cegieł tuż nad drzwiami i zatrzymała się na mocnej belce stropowej. Sufit wydał złowieszczy jęk, ale Kotwica najwyraźniej nie dostrzegł zniszczeń, które czynił. Podeszedł do Caulkera, jakby zapomniał o swoim jarzmie.

--Witaj -- powiedział. -- Jestem tutaj obcy. Czy sól jest cenna w tym kraju?

Rzezimieszek osłupiał. Wszyscy w izbie gapili się teraz na niego i na dziwną linę, która ciągnęła się od uprząży wielkoluda do trzeszczącej belki stropowej nad futryną drzwi.

--Sól? -- Trwało chwilę, zanim Caulker odzyskał panowanie nad sobą. -- Chcesz kupić informację za sól?

Kotwica zmarszczył brwi.

--To dobra sól, z Burzliwego Wybrzeża.

Caulker się zgarbił. Nigdy nie słyszał o Burzliwym Wybrzeżu, ale ten człowiek mówił na tyle dobrze tutejszym dialektem, że być może misjonarze z Deepgate kiedyś dotarli również tam.

--Przyjacielu -- zaczął z udawaną rezygnacją -- każda zapłata byłaby mile widziana, ale obawiam się, że akurat ta rzuciłaby na twój kraj rodzinny... jak by to rzec, odium skapstwa. Sól jest tutaj powszechna, więc jeśli...

John Kotwica nagle się rozpromienił.

--Może perły? Chcielibyście perły? Mam ich dużo. -- Wyciągnął z kieszeni spodni pękatą skórzaną sakiewkę i uniósł ją. -- Ile powinienem zaproponować? Jedną... czy trzy? Sześć? No dobrze, niech będzie dziesięć.

Rzezimieszek zmierzył worek lekceważącym spojrzeniem, ale nie przestał się uśmiechać. Było tego naprawdę dużo. Przybysz musiał trzymać w garści z funt pereł, ale beztrudno pokazywał je klientom Haka. Choć ogromny, nie był nawet uzbrojony. Dlaczego ci obcy nie mają pojęcia o najprostszycy zasadach przetrwania? I dlaczego zawsze są tak cholernie mili?

--Perły? -- Caulker udął zaskoczenie, a następnie pokiwał głową. -- A, tak, rozumiem... te koraliki, które czasami noszą żony rybaków? Często znajdujemy je w małych skorupkach na brzegu rzeki. -- Udając, że się zastanawia, wymienił spojrzenie z kolegą siedzącym przy drzwiach. -- Cóż, są całkiem ładne, a nasze kobiety lubią świecidelka. Parę kiesek...

--Ta sakiewka dla tego, który mi powie, gdzie znaleźć anielicę z bliznami -- przerwał mu gromko John Kotwica. -- Już nie mam cierpliwości. -- Napiął mięśnie ramion, a lina za jego plecami zadźwięczała niczym ogromna struna lutni i oderwała jeszcze więcej suchego błota z pęknięcia nad drzwiami.

Czterdziestu mężczyzn zaczęło wykrzykiwać jednocześnie:

--...na północy Martwych Piasków.

--...na zachód od Studni Scarpa, ale ona...

--...nie, nie, to był chemik, posłuchaj!

--...cztery anioły i sto mieczy...

--...Spine, to pewne, jak tutaj siedzę...

--...tylko posłuchaj, ona miała bliźny, czarne skrzydła i spadła...

--Za dużo głosów! -- ryknął Kotwica. -- Za dużo! -- W izbie zapadła cisza. -- Niech mówi jeden. Nie więcej niż jeden. Daję tę sakiewkę za prawdziwą wskazówkę. Ty! -- Pchnął skórzany woreczek w stronę chudego poławiacza krabów w wytartej czerwonej koszuli i połatanych portkach, który siedział przy najbliższym stole. -- Wiesz, gdzie jest anielica?

Mężczyzna zwilżył wargi.

--Tak, proszę pana. Uciekła na południowy wschód. Ścigały ją sterowce. Zatrute strzały trafiły ją przy Skazonym Lesie. Posiekali ją na kawałki, zanim oprzytomniała. -- Wyciągnął rękę po nagrodę.

Kotwica zabrał sakiewkę.

--Nie żyje?

--Zabita -- zapewnił rybak, nie cofając ręki. -- To prawda, przysięgam na Ayen. Asasyni Spine ją dopadli, niecałe dwie mile od miejsca, gdzie znaleźli tego... -- wskazał na skrzydlatego trupa przybitego do ściany --...jeśli nomadzi mówili prawdę. Razem z nimi złapali asasynkę, dezserterkę. Wszyscy troje uciekli z Deepgate zaraz po tym, jak zawałiła się świątynia.

Jego ostatnie słowa potwierdziły liczne pomruki klientów Haka. Kotwica odchrząknął.

--Asasynka, mówisz?

Poławiacz krabów skinął głową.

--Gdzie ona jest?

--Teraz mieszka tutaj. -- Mężczyzna odchylił się do tyłu z szerokim uśmiechem i splótł ręce za głową. -- W tej gospodzie, na najwyższym piętrze, ostatnie drzwi po prawej. Spine użyli igiel, rozumie pan? I otępił ją. Przyszli po kości archonta, ale Foley ich zagadał. Zaczął mówić o zbiegach, którzy ukrywają się w tych stronach. Asasyni byli ostatnio mocno zajęci zbawianiem ludzi. Ta dezserterka jest teraz ze swoimi przyjaciółmi Spine, a ty, panie, najlepiej weź najemników, jeśli chcesz z nią pogadać. Pięćdziesięciu ludzi powinno wystarczyć. Tak się składa, że mogę znaleźć chętnych do tej roboty, za niewielką zapłatę.

--Tutaj? -- zapytał gigant. -- Ona jest tutaj? Teraz?

--Spine nie lubią dziennego światła. Wychodzą tylko nocą, kiedy muszą się brać za zbawianie.

Caulker od razu przejrzał plan poławiacza krabów i przeklął go w duchu. Pięćdziesięciu ludzi, też coś! Kiedy świątynni asasyni mieszkający na górze skończą z tym wielkim idiotą i jego pomocnikami, przerabiając ich na krwawą miazgę, perły przepadną. Nie, Spine nie zrezygnują z takiego skarbu. Musiał działać już teraz. Każę Ericowi Młotowi zatłuc obcego, kiedy tylko wyjdzie z gospody, żeby werbować najemników. Dyskretnie skinął współnikowi głową i uśmiechnął się pod nosem, kiedy tamten powędrował ręką do broni. Opowieści marynarzy o mgłach i diabelskich statkach miały niewielką wartość tutaj w Haku.

Ale John Kotwica nie odwrócił się i nie wyszedł na ulicę, tylko wyjął z drugiej kieszeni

kawałek cienkiej trzciny i w nią zadał. Toporna fujarka nie wydała żadnego dźwięku. A przynajmniej takiego, który człowiek mógłby zarejestrować, bo Caulker wkrótce uświadomił sobie, że Kotwica zagrał ton nieprzeznaczony dla ludzkiego ucha. Z zewnątrz dobiegło ciche drapanie i szcęknięcie -- odgłosy, które Caulker pamiętał z nocnych wypadów na brzeg Coyle. Inni goście również je usłyszeli. Wstawali niepewnie od stolów, wymieniali się spojrzeniami, otwierali drzwi. Dźwięk stawał się coraz wyraźniejszy. Rzezimieszek cofnął się w głąb izby. Wiedział, co to nadchodzi.

Kraby!

Setki tysięcy małych skorupiaków wlewały się do gospody, wdrapywały po linie Johna Kotwicy i po sobie nawzajem. Włókna konopi tak od nich napęczniały, że wkrótce zaczęły nimi skapywać. Dziesiątki krabów spadały na podłogę i natychmiast pędziły z powrotem do swojego pana. Pierwsze dotarły do szyi wielkoluda, pokryły jego ramiona i plecy czerwoną falą. Inne oblepiły mu nogi i tors. W mgnieniu oka gigant był od stóp do głów odziany w ruchomy, szeleszczący garnitur.

W oberży wybuchła panika. Klienci wrzeszczeli, popychali się, przewracali stolki i stoły, uciekając przed wielkoludem i jego pupilami. Kubki, kufle i miski roztrzaskiwały się na podłodze.

Oblepiony przez skorupiaki John Kotwica ruszył przez izbę do stromych schodów, które prowadziły na górę do wynajmowanych pokoi. Napięta lina przecięła zewnętrzną ścianę. Ludzie rozpięchli się przed nią na boki. Przez chwilę Caulker stał jak wrośnięty w ziemię, ale w końcu powziął decyzję. Człowiek w jego sytuacji nie mógł sobie pozwolić na taką łatwą rezygnację z nagrody. Gigant wezwał armię krabów... ale to były tylko kraby; każdy nie większy od paznokcia jego kciuka. Rzezimieszek przelknął ślinę i pobiegł za intruzem.

--Zaczekaj! -- krzyknął. -- Kotwica, zaczekaj! -- Wielkolud się nie zatrzymał, więc Caulker podążył za nim po schodach. -- Ci asasyni są niebezpieczni. Jest ich na górze pięciu albo sześciu, sami adepci Spine, uzbrojeni. Stań i wysłuchaj mnie, zanim cię zabiją. Najgorszy jest Ichin Tell, ich mistrz. Podobno ściął dwa tysiące ludzi, a ja sam widziałem, jak zamordował dziewięciu tutaj w Sandport. Ogłosił ich grzesznikami i nawet nie zadał sobie trudu wyciągnięcia miecza z pochwy, żeby ich wykończyć. Przynajmniej znajdź sobie jakąś broń.

Ale gigant parł w górę schodów, ciągnąc za sobą napiętą linę.

--Dziękuję za troskę, ale muszę unikać rozlewu krwi, nawet zaatakowany, bo dusze moich wrogów idą do Labiryntu Iрила -- powiedział. -- To gniewa mojego pana Cospinola, który chce tych dusz dla siebie. Dlatego stal nie jest dobra.

Skorupiaki roily się na nim, spadały na podłogę całymi kłębowiskami, natychmiast pędziły za nim z powrotem i wdrapywały się po jego nogach. Kotwica mozolnie piał się coraz wyżej, aż w końcu lina otarła się o główną belkę stropową. Cały dach aż jęknął. Olbrzym nie zwolnił. Dotarłszy na pierwszy podest, odwrócił się, żeby wejść na drugie piętro. Sznur przesunął się po balustradzie, ale zahaczył o narożny słup. Nie zważając na to, wielkolud ruszył w górę po schodach.

Tymczasem Caulker myślał gorączkowo. Co, do diabła, było przywiązane do drugiego końca liny? Statek powietrzny? Niemożliwe. Żaden człowiek nie zdołałby utrzymać takiego brzemienia, nie mówiąc o wleczeniu go za sobą. Więc co ciągnęło sznur w górę? Sufit oberży cały aż trzeszczał. Żeby naprężyć linę takiej grubości, ciężar musiał być niewyobraźalnie

wielki. Tak czy inaczej, Kotwica nie da rady wejść na następne piętro. Konopie się przetrą, pękną...

...albo rozprują budynek.

Głośny trzask sprawił, że rzezimieszek aż podskoczył. Lina szarpnęła gwałtownie, kiedy róg balustrady złamał się jak gałązka. Belki sufitowe zaczęły się wyginać, z parteru dobiegły okrzyki przerażenia. Caulker zerknął w dół i zobaczył, że tłum klientów tarasuje drzwi, w panice próbując wydostać się na zewnątrz.

Okryty czerwoną, falującą opończą gigant z uporem gramolił się na drugie piętro. Caulker podążał za nim z rosnącym zdumieniem, ostrożny, ale ciekawy, jak daleko Kotwica zawlecze ogromną linę. Cały budynek niemal chwiał się pod jej naporem. Czyżby olbrzym rzeczywiście był w stanie zabić sześciu Spine? I czy będzie gotowy podzielić się swoim bogactwem za więcej informacji?

--Asasyni cię usłyszą -- ostrzegł rzezimieszek. -- Spine śpią lekko. W ich pokoju jest ciemno, bo unikają światła dziennego. -- Usilnie myślał, co by tu jeszcze dorzucić, żeby zasłużyć na zapłatę. -- Nie lekceważ Ichina Tella. Ten człowiek to demon.

Zanim Kotwica dotarł na drugie piętro, belki stropowe na parterze rozeszły się, czemu towarzyszyła seria huków. Caulker zobaczył, że lina robi pionową bruzdę w ścianie klatki schodowej i uderza w sufit pierwszego piętra. Usłyszał, jak gruz sypie się do pokoju na dole. Kraby spadły z nóg Kotwicy i czym prędzej rzuciły się za nim w pościg. Ale wielkolud wcale się nie spieszył. Otworzył drzwi na podeście i poczłapał korytarzem.

Rzezimieszek szedł za nim oszołomiony. Siła Kotwicy wydawała się nieograniczona, ale czy w ogóle był przeciwnikiem dla Ichina Tella? Ostatecznie broń i głowy Spine można by sprzedać na bazarze, a trucizny przehandlować na czarnym rynku w Clune. Z perłami czy bez pereł, Jack Caulker mógłby liczyć na godziwy zysk.

Poświata sącząca się przez zakurzone okno na końcu holu oświetlała czworo drzwi prowadzących do wynajmowanych pokoi. W tynk wżarł się odór starych potraw z morskich stworzeń. Kotwica maszerował wąskim przejściem, ociekając krabami i wlokąc za sobą linę. Gdy dotarł do połowy korytarza, naprężone konopie przecięły trzy legary, zostawiając za sobą poszarpaną ranę w deskach podłogi. Drzazgi skakały we wszystkie strony jak pchły. Ze ścian dobiegło przeciągłe stęknienie. Caulker poczuł, że budynek zaczyna się przechylać. Hak Wdowy się rozpadł.

Zakuty w żywą zbroję John Kotwica dotarł do ostatnich drzwi. Otworzył je i wszedł do pokoju asasynów.

--Nazywam się John Kotwica -- powiedział.

Przez jedno uderzenie serca panowała cisza.

Potem Caulker usłyszał serię dźwięków, jakby stal uderzała o skórę. Inne odgłosy walki mogły być zagłuszone przez silne loskoty dobiegające z dołu. Wielka lina, która tak dokładnie przeorała wnętrze oberży, nagle ucięła pozostałe legary i wystrzeliła w niebo, otwierając ścianę po prawej stronie i dach. Wśród latających krokwi i fruujących dachówek rzezimieszek zdążył jeszcze dostrzec kawałek szarego nieba. Potem cały budynek się zawalił.

Jack Caulker otworzył oczy i jęknął. Usta i nos miał zalepione ziemią. Kichnął i skrzywił się z bólu. Coś ciężkiego przygniatało mu nogi. Przez dłuższą chwilę, otumaniony i skołowany,

patrzył w mgłę, zastanawiając się, kto go tak mocno pobili i czy został obrabowany. Potem uniósł głowę i zobaczył, że leży na pół zagrzebany w wielkim stosie mokrych desek, cegieł i gliny. Nagle przypomniał sobie, co się stało, i jego głowa opadła z powrotem na gruzowisko.

Do diabła!

Dzięki bogom, że był na górnym piętrze, a nie na dole wśród przepychającej się halastry. Spadł z drugiej kondygnacji, ale przynajmniej budynek nie zawalił się na niego. W ogóle miał szczęście, że przeżył. Z rumowiska pod nim dobiegały słabe jęki i krzyki. O, bogowie, a gdzie jest sakiewka? Gdzie pieniądze? Caulker pomacał wokół siebie w poszukiwaniu swoich skarbów i jęknął, nadziawszy się tyłem głowy na wystający gwóźdź.

Ostrożnie dźwignął się do pozycji siedzącej i rozejrzył. Oberża zawałowała się, kiedy jej wnętrzości rozorała lina giganta. Połamane belki sterczały z sąsiednich ruder i lepianek, między nimi leżały sterty gruzu. Stos dachówek i desek przygniatał nogi Caulkera, ale najgorsze go ominęło. Wylądowała na nim tylko jedna ciężka krokiew. Odsunął ją na bok, nie zważając na ból w plecach, i wstał z trudem.

John Kotwica stał na dole i pracowicie wyciągał z poboju belki oraz kawałki muru i odrzucał je na bok. Po krabach nie było śladu. Lina, uwolniona z budynku, wznosiła się bez przeszkód od uprzęży na plecach giganta prosto w szare niebo. Caulker powędrował wzdłuż niej wzrokiem, ale nic nie dojrzał w gęstej mgłę.

Przeszukując gruzy, gigant nucił coś pod nosem. Nagle krzyknął, schylił się i coś wyciągnął z rumowiska. Błądą kobietę w skórzanej zbroi. Uniósł trupa za kostkę, zmarszczył brwi i cisnął go w drugi koniec zaułka jak zdechłego kota. Leżało tam już pięć innych ciał Spine.

Caulker ruszył w ich stronę przez szczątki gospody. Głowy wszystkich martwych asasynów wyglądały na nietknięte. Może ten dzień nie będzie jednak całkiem zmarnowany.

Po chwili dołączył do niego John Kotwica i stanął nad stosem trupów, krzyżując ręce na piersi.

--Chciałem tylko z nimi porozmawiać. -- Pokręcił głową. -- Gdyby mnie nie zaatakowali, żyliby teraz.

Caulker przyjrzał się ciałom. Na żadnym nie było widocznych ran. Odwrócił jedno nogą i rozpoznał Ichina Samuela Tella, dowódcę świątynnych asasynów Deepgate. O dziwo, po śmierci Avulsior wyglądał jakoś zdrowiej.

--Musieli zostać zmiażdżeni, kiedy budynek się zawalił -- stwierdził rzezimieszek.

--Nie -- rzekł wielkolud. -- Myślę, że by uciekli. Byli dostatecznie szybcy, jak białe kociaki. -- Z powagą pokiwał głową. -- Ale nie dość szybcy dla Johna Kotwicy.

--Zabiłeś ich wszystkich? -- spytał rzezimieszek. -- Zanim gospoda runęła?

--Zaatakowali mnie -- odburknął Kotwica, nagle rozdrażniony. -- Nie zamierzałem zrobić im krzywdy. Myślisz, że bali się krabów?

--Pewnie tak -- mruknął Caulker.

--Nieważne. -- Olbrzym zatarł ręce. -- Dusze to dusze, tak czy nie? -- Rozprostował plecy, złapał linę wznoszącą się do nieba i zaczął ciągnąć ją do siebie.

ROZDZIAŁ 5

ZAHARTOWANI

Ostatnia podróż Rachel Hael przez Kościół Ulcisa oznaczała ciągle wchodzenie i schodzenie po drabinach. To miejsce zawsze było pełne ech; wysokich korytarzy, przedsionków i niezliczonych drzwi, które od czasu, jak świątynia zrobiła fikółka, znajdowały się prawie pod sufitem, oraz kamiennych posadzek, zamiatanych niegdyś przez szaty kapłanów. Żeby zapewnić dojście do komnat, które inaczej byłyby niedostępne, Spine skonstruowali sieć rusztowań, drabinek, chodników i pomostów. Po spodniej stronie schodów zamocowano liny poręczowe z węzłami. Rachel musiała oddać asasynom sprawiedliwość, że bardzo się postarali. Stworzyli zwariowany labirynt z desek i konopi wewnątrz kruszącej się kamiennej skorupy. Ich upór przerażał ją i jednocześnie zdumiewał.

Do dawnych sal tortur dołączono resztę świątynnych lochów, płataninę niskich korytarzy i wilgotnych zakratowanych cel. Najwyraźniej Spine zamierzali zdecydowanie powiększyć swą liczebność, bo hartowanie odbywało się teraz w każdym ciemnym i zatęchłym zakamarku. Całość przesycala tak wyraźna atmosfera potu i bólu, że Rachel mogła niemal jej posmakować.

--Ten sam mistrz będzie hartował was oboje -- oznajmił Culver, z trudem tłumiąc uśmiech. -- Jest jednym z najlepszych fachowców, niewielu jego podopiecznych umiera. --To pokrzepiające -- skwitowała z przekąsem Rachel. -- Ale gdzie jest Dill? --Już się za niego wzięli. Moi kandydaci przyprowadzili go tutaj godzinę temu. Pewnie jest w tej chwili nieźle zamroczony.

Godzinę temu? Rachel próbowała zapanować nad strachem. Cała koszmarna procedura hartowania trwała wiele dni, a czasami tygodni, lecz pierwsze etapy często były najbardziej niebezpieczne. Wielu Spine załamywało się po wstępnym szoku narkotykowym. Przyspieszyła kroku.

W celach i na korytarzach ustawiono prycze, żeby pomieścić mężczyzn i kobiety poddawanych hartowaniu. Mistrzowie Spine w kapturach i skórzanych fartuchach pełnych fiolek z trucizną sunęli cicho przez lochy, nadzorując cały proces, natomiast jego etap z igłami wykonywali akolici. Tłusty kapłan w czerwonej sutannie mamrotał modlitwy i jednocześnie pilnował dymiącej kadzielnicy.

Culver zaciągnął do niego Rachel i powiedział:

--Pobłogosław ją.

Sługa boży odwrócił się i nawet nie spojrzawszy na Rachel, przycisnął spocone palce do jej szyi i odmówił długą, nudną litanię. Kiedy skończył, skierował znudzone spojrzenie z powrotem na kadzidło.

--Teraz możesz bezpiecznie krwawić -- stwierdził Culver. -- W każdym razie przez jakiś czas. Świątynia jest pełna pęknięć, a nie możemy dopuścić, żeby jakieś duchy chodziły tu i węszyły, prawda?

Trzymając kuszę pod pachą, zdjął z cięciwy łamacz kości i zastąpił go beltem z groźnym stalowym czubkiem. Potem, już pewniejszy siebie, zdjął Rachel kajdanki i wepchnął ją brutalnie do najbliższej celi.

W przeciwległych kątach karceru stały dwie prycze. Trzej akolici w zakrwawionych skórach przywiązali Dilla do jednej z nich i teraz, pochyleni nad nim, robili coś z jego rękami.

Rachel w pierwszej chwili ścisnęło się serce, ale kiedy uważniej przyjrzała się aniołowi, ze zdziwieniem stwierdziła, że jego oczy są czarne jak piekło. Nie był przestraszony, tylko wściekły. Kopał, pluł, zgrzytał zębami, wykręcał się i szarpał więzy. W kącikach jego ust zbierała się piana. Na podłogę tryskały luki krwi.

Rachel usłyszała trzask.

Dill zawył z bólu. Silny i ochryply głos wzbudził w Rachel niepokój. Brzmiał w jej uszach całkiem obco. Nawet tutaj, w celi tortur Spine, nie pasował do chłopca, którego знаła.

Co oni z nim zrobili?

Jeden z akolitów coś mruknął i wszyscy trzej cofnęli się od pryczy. Mały, bezzębny starzec ścisnął w dłoniach żelazne szczypce; rękawy miał zakrwawione aż po łokcie. Rachel mimo woli głośno wciągnęła powietrze.

Na bogów, oni go wcale nie hartują...

Stojący z boku mistrz Spine obserwował w milczeniu poczynania akolitów. Białe ręce trzymał splecione na brzuchu. Jego zatłuszczony czarny fartuch miał dziesiątki małych kieszonek, w których znajdowały się fiołki z truciznami stosowanymi w procesie hartowania. Wyglądało jednak na to, że jeszcze żadna nie została użyta. Spine zsunął kaptur, odsłaniając zapadniętą twarz o spiczastej szczęce podobnej do rogu. Mistrz sprawiał wrażenie kruchego, bardziej przypominał szkielet niż człowieka, jego stara skóra była wyblakła, a pod załzawionymi oczami miał worki.

--Dlaczego mu to robicie?! -- krzyknęła Rachel.

--To bardzo niezwykle -- powiedział cicho mistrz i przeniósł wzrok z Rachel na miotającego się anioła. -- Pse ziele działa na niego słabiej, niż przypuszczaliśmy.

Pse ziele było środkiem odurzającym, który przygotowywał umysł do hartowania.

--I co z tego? -- warknęła Rachel.

--Mamy tu świadectwa rozdwojenia jaźni -- ciągnął starzec. -- Reakcje źrenic są niespójne.

--Zaburzenia osobowości? -- wtrącił Culver.

--Nie sędę -- odparł mistrz. -- Taka choroba już by się ujawniła w młodości, a nie ma o niej żadnej wzmianki w naszej dokumentacji. Zwróć uwagę na jego oczy... Ich kolor nie odzwierciedla emocji, które spodziewaliśmy się wywołać. To paradoks. Świadomość archonta jest oddzielona od jego fizycznej postaci, choć on sam jest całkiem przytomny. -- Starzec zastanawiał się przez chwilę. -- A zatem możemy mieć tu do czynienia z drugą wolą, z połączeniem dusz w jednej krwi.

--Jest opętany? -- zapytał adept.

--Możliwe.

Anielskie wino! Rachel wreszcie zrozumiała, co się dzieje. Kiedy Dill umarł w otchłani, ona użyła eliksiru Truciciela, żeby przywrócić go do życia. Anielskie wino było destylatem z trzynastu dusz, które Devon zabrał swoim ofiarom. Czyżby jedna z nich przejęła teraz władzę nad prawdziwą osobowością Dilla?

--Ten fenomen należy dokładnie zbadać -- stwierdził mistrz, zwracając się do akolitów. -- Usuńcie mu palec.

--Nie! -- wykrzyknęła Rachel.

--I zwiążcie ją -- dodał Spine, nie odwracając się.

Dwaj akolici, którzy podeszli do asasynek, mieli twarze pozbawione życia i blade jak topielcy. Trzeci pochylił się nad Dilem, trzymając w ręce szczypce. W tym momencie anioł wrzasnął i odrzucił głowę w tył, zaciskając powieki. Culver odsunął się pod ścianę celi. Do pasa miał przypięty miecz archonta, ale sam wolał kuszę. Teraz wycelował ją w Rachel.

Oczywiście szklane noże już jej zabrali. Potrzebowała nowej broni.

O, bogowie, muszę być szybka.

Skoncentrowała się.

Udało się jej to wcześniej tylko jeden raz, ale technika Spine uratowała im obojgu życie w tunelach pod Deepgate. Wtedy skupiła się, żeby uciec przed Carnival i odnaleźć przyjaciela w całkowitej ciemności. Teraz znowu próbowała wykorzystać tę umiejętność: wyostrzyć zmysły, przyspieszyć dopływ krwi do mięśni, rozjaśnić umysł. Zyskać szybkość. Asasyni z pewnością zauważą drgnienie jej gałek ocznych i zorientują się, co zamierza zrobić. Z drugiej strony, wiedzą również, że jest niezahartowana, a więc niezdolna do takiego wyczynu.

Ich przeświadczenie uratowało jej życie.

Culver zawahał się na moment, a kiedy strzelił z kuszy, było już za późno.

Dla Rachel czas się rozciągnął. Nie oddychała. Poczula zimny dreszcz przebiegający po skórze, a potem głębokie, powolne dudnienie serca. Na skraju jej pola widzenia akolici przestali się ruszać, jakby wokół nich zamarzło powietrze. Na razie mogła ich zignorować. Oceniała odległość między sobą a Culverem, wypełnioną nieruchomymi drobinkami kurzu, dostrzegła błysk na czubku beltu. Na ramionach i szyi adepta powoli napinały się mięśnie. Jego źrenice rozszerzyły się odrobinę, palec stężał na spuście kuszy. Rachel zobaczyła, że cięciwa drży. Pocisk poleciał w jej stronę.

Dopiero teraz się poruszyła.

Ból mięśni zmuszonych do nadludzkiego wysiłku nie docierał do niej przez wiele uderzeń serca. Patrzyła, jak belt leci w jej stronę, i złapała go w powietrzu. Potem skoczyła i wbiła drzewce pod szczękę Culvera, tak że czubek dotarł do jego mózgu.

Odwróciła głowę.

Tymczasem adept już nie żył. Właśnie osuwał się na podłogę. Rachel miała czas się zastanowić, co dalej. Zdażyłaby wziąć jego kuszę i ją przeladować? Strzelić? Wątpliwe. Broń była za ciężka, żeby posłużyć się nią z niezbędną szybkością. Mogłaby połamać sobie ręce. Zamiast tego wyrwała belt ze szczęki asasynek i wymierzyła kopniaka najbliższemu akolicie. Biedak nie przeszedł szkolenia bojowego; zanim się zorientował w sytuacji, miał przetrącony kark. Impet obrócił Rachel, ale ona go wykorzystała, w pełni kontrolując ruch własnego ciała. Dźgnęła beltem w brzuch drugiego akolite, ale drzewce pękło jej w ręce.

Za szybko.

Zostali jej dwaj przeciwnicy. Miała czas.

Ale nie doceniła mistrza. Nie widziała jego sztyletu, dopóki ostrze nie błysnęło jej tuż przed twarzą. Zrobiła unik, ale zbyt powolny, i nóż drasnął jej ramię. Wiedziała, że rana wkrótce zacznie krwawić. Ból przyjdzie dużo później. Tymczasem starzec się koncentrował i poruszał z taką samą szybkością jak ona. Wokół niego leniwie wirował kurz, poruszony przez jego cios.

Spine wykonał zamach.

Rachel była nieuzbrojona, więc chwyciła go za rękę i wbiła mu łokieć w pierś. Fiolki z

truczną pękły w kieszeniach fartucha. Asasynka szarpnęła przeciwnika do siebie, a lśniące krople trucizny i odłamki szkła poleciały łukiem w powietrze. Poczula, że ramię mistrza wyskoczyło ze stawu. Obróciła go do ściany.

Nie za mocno.

Miała świadomość, że musi precyzyjnie wykonać manewr. Gdyby włożyła w niego za dużo siły, zrobiłaby krzywdę sobie. Spine miał nad nią przewagę doświadczenia, ale jego stare kości łatwiej się łamały. W bezpośrednim starciu zwiększona szybkość działała przeciwko niemu. Wiedział, że nie powinien stawiać oporu, tylko zrobić obrót razem z asasynką... Niestety, nie wziął pod uwagę bliskości ściany. Jego twarz zostawiła krwawą plamę na nagiej skale.

Rachel go nie doceniła, ale nie pomyliła się aż tak bardzo.

Został jeden akolita: starzec ze szczypcami. Rachel odwróciła się do niego.

I w tym momencie zemścił się na niej nadmierny wysiłek. Organizm nie był już w stanie dłużej funkcjonować przy tak nienaturalnej szybkości. Czas zwolnił, serce przyspieszyło. W piersi narastał pulsujący ból. Asasynka opadła na kolana i, zgięta się w pół, zaczęła łapczywie chwytać ustami cuchnące powietrze lochu. Mięśnie jej drżały, ręce zrobiły się bezwładne i bezużyteczne jak skórzane worki. Kręciło jej się w głowie.

Bezzębny akolita gapił się na martwego asasyna, który leżał u jego stóp. Potem spojrzał na Rachel i na mistrza Spine, osuwającego się po ścianie celi. W jego oczach stoczona przed chwilą walka musiała być jedną zamazaną plamą.

--Zabiłaś ich? -- spytał belkotliwie. -- Jak to zrobiłaś?

Rachel dyszała. Próbowwała wstać, ale stwierdziła, że jest to wyczyn ponad jej siły. Ślina ciekła z jej półotwartych ust.

--Ja...

--Zostań, gdzie jesteś -- powiedział akolita, spiesząc do drzwi. -- Wezwę mistrzów.

Rachel zacisnęła pięści i zaczęła pełznąć przez celę. Został tylko jeden wszawy akolita, ale mógł zepsuć wszystko, co osiągnęła. Udało się jej pokonać dwie stopy i znowu opadła całkowicie wyczerpana.

Akolita za bardzo się spieszył. Pośliznął się na podłodze mokrej od krwi i wprawdzie nie upadł, ale się zachwiał. Rachel jakimś cudem wykrzesala z siebie resztki energii. Z bojowym okrzykiem wymierzyła mu kopniaka. But trafił w gołęń. Cios był słaby, ale ściał przeciwnika z nóg. Starzec upadł do tyłu, machając rękami, i z hukiem uderzył głową w posadzkę. Szczypce z brzękiem potoczyły się w ciemność. Rachel ledwo mogła uwierzyć we własne szczęście. Z trudem powlokła się w stronę leżącego mężczyzny. Akolita jęknął i próbował wstać, oszłomiony, ale cały i zdrowy.

Lecz asasynka już do niego dotarła i przygniotła go własnym ciężarem.

--Co jest? -- Kat Spine był wyraźnie zdezorientowany. -- Puść mnie. Zostaw.

Płuca jej płonęły, cela tortur wirowała przed oczyma. Rachel nie mogła mówić i brakowało jej siły, żeby udusić akolitę. Zaczęła macać podłogę wokół siebie, szukając czegoś, co mogłaby wykorzystać jako broń. Szczypce? Za daleko. Obok niej były tylko kawałki rozbitego szkła i kałuże tłustego płynu.

Trucizna?

Rachel wcisnęła wilgotne palce do ust akolity i usłyszała, że ten się krztusi. Nabrala więcej trucizny i wtarła mu ją w oczy. Spine wrzasnął w agonii i zaczął się szarpać, próbując zrzucić z

siebie dziewczynę. Asasyńska znowu przesunęła dłoń po podłodze, a następnie rozmazała toksyczny płyn po jego wargach i dziąsłach.

Celę tortur wypełniły krzyki. Rachel nie potrafiła stwierdzić, czy dochodzą z bliska, czy z daleka. Akolita wyprężył się pod nią po raz ostatni i w końcu znieruchomiał.

Kiedy ból wreszcie minął, Rachel wstała chwiejnie. Podniosła z ziemi sztylet mistrza Spine i przecięła więzy Dilla. Anioł przez cały czas miał zamknięte oczy, ale kiedy je otworzył, asasyńska zobaczyła, że nadal są czarne z wściekłości. Nie poznawała ich.

Archont uśmiechnął się drwiąco, uniósł okaleczoną rękę i szorstkim gestem przesunął nią po jej policzku.

--Ślicznotka z ciebie, wiesz? -- powiedział.

ROZDZIAŁ 6

ROTSWARD

Wywabiony z domów przez łoskot tłum rybaków zgromadził się w zaułku przy ruinach Haka Wdowy. Kilku gorliwych mężczyzn zaczęło przeczesywać gruzowisko, być może w poszukiwaniu cennych rzeczy albo ocalałych. Kolejna mała grupka stała nad stertą ciał Spine i coś między sobą szeptała. Ale większość, jak Jack Caulker, otoczyła kręgiem Johna Kotwicę i oniemiała gapiała się w górę.

Wielkolud nadal ściągał linę z nieba. Kolejne jardy, a potem mile opadały w dół, aż w końcu cała uliczka zniknęła pod zwojami konopi. Caulkerowi przemknęła myśl, że gigant jest przywiązany do samej bogini Ayen.

Kotwica pracował cierpliwie, nucąc jakąś melodię, jakby robił to tysiące razy wcześniej. I nadal nie było widać końca monstrualnej liny. Ściągał ją jard po jardzie i układał ogromne zwoje na ziemi wokół siebie. Część sznura wyglądała na przegniłą i wytartą. Była oblepiona solą i mocno pachniała morską wodą. Tłum cofnął się z niepokojem. Caulker czekał.

Czekał...

...aż niebo nad Sandport zaczęło ciemnieć.

Teraz nawet ci ludzie, który z zapalem myszkowali w ruinach, zadarli głowy i spojrzeli w gęstniejący mrok. Zapach soli aż wiercił w nosie, przypominał odór wyschniętych sadzawek skalnych i gnijących wodorostów. Caulker usłyszał, że w porcie zaczynają bić na alarm kolejne dzwony. Najwyraźniej strażę wysledziły coś na niebie.

Rzezimieszek nadal nie mógł dojrzeć żadnych szczegółów w tej nienaturalnej ciemności -- w kurtynie, która teraz rozciągała się daleko poza oba krańce zaułka, niczym chmura burzowa -- ale wyczuł ruch powietrza. Kilku rybaków krzyknęło ostrzegawczo i nagle ci stojący na gruzach zawalonej oberży zaczęli biec w dół.

Caulkerowi wydawało się, że słyszy w górze jakieś głosy, i w pierwszej chwili wziął je za krzyki mew. Ale w miarę jak gigant ściągał wielką linę, kakofonia stawała się coraz głośniejsza i bardziej wyraźna. Rzezimieszek uświadomił sobie, że słyszy jęki i szloch ludzi, wielu ludzi, dochodzące z bliska albo z większej odległości -- chór cierpiących i zrozpaczonych, który niósł się w dół z szarego powietrza i wypełniał ulice Sandport.

Szeroki uśmiech rozlał się po twarzy Johna Kotwicy. Wielkolud zaczął pracować z nowym wigorem. Nucił głośniejsz, jakby starał się zagłuszyć jęki rozpaczycy dobiegające z góry. Niebo pociemniało jeszcze bardziej, odór gnijących wodorostów wyciskał łzy z oczu. Caulkerowi wydawało się, że coś dostrzeżga w szarości nad głową, coś co się kołysało. Ale zanim zdołał rozpoznać obiekt, ów zniknął, przesłonięty przez mgłę. Rybacy krzyczeli teraz z przerażeniem, cofając się przed gigantem i jego liną. Spojrzenia mieli utkwione w górę.

A Caulker wreszcie zobaczył, co Kotwica ściągnął z nieba, i krew zastygła w jego żyłach.

Z mgły wyłonił się wielki oplatany linami drewniany szkielet, który wyglądał jak cała flotylla statków odwrócona do góry nogami. Maszty i reje tworzyły chaotyczną gęstwinę o nieokreślonej szerokości, wysokości i długości. Przegniłe deski pokryte solą wypacały wilgoć. Z ociekających lin zwisały wodorosty. W miarę jak John Kotwica ciągnął za sznur, coraz więcej drzewc wyłaniało się z mgły, aż w końcu całkiem wypełniły niebo nad Sandport. A Caulker zrozumiał, że to rusztowanie stanowi tylko najniższą część dużo większego statku. Cień czegoś

solidnego i przeogromnego nadal majaczył w szarości nad jego głową.

To musiał być sterowiec.

W końcu jeden z dłuższych masztów przebił dach pobliskiego budynku i cała konstrukcja zatrzymała się z gwałtownym szarpnięciem.

Caulker wytrzeszczył oczy. Wśród rusztowania wisieli mężczyźni, kobiety i anioły; zbieranina wojowników z pętlami na szyi. Niektórzy, z sinymi twarzami wykrzywionymi w straszliwej udręce, walczyli i łapali za sznury, inni po prostu zwisali bezwładnie i jęczeli albo płakali. Wszyscy mieli na sobie skorodowane zbroje, które wyglądały tak, jakby każda została zrobiona w innym obcym kraju. Na samej górze rycerz w czerwonej zardzewiałej półbroi kołysał się w tył i w przód na mocnym drzewcu, belkocząc i ciągnąc za pętle, podczas gdy po jego lewej stronie chudy ciemnoskóry anioł w podartej kolczudze wpatrywał się w niebo; ta żalosna istota miała tylko jedno skrzydło. Na rejach dyndały rzędy wojowników i archontów zakutych w pordzewiały metal, w powgniatanych kirysach, butwiejących brygantynach, ze skorodowanymi puklerzami, w dziwnych skrzydlatych przyłbicach albo matowych półhelmach. Stal zgrzytała o stal, liny ze skrzypieniem tarły o deski, a ponad te wszystkie odgłosy wybijało się żalobne szlochanie.

John Kotwica rozprostował plecy i westchnął przeciągle.

--Statek Cospinola jest bardzo ciężki -- stwierdził grzmiącym głosem i się roześmiał. -- Pewnego dnia znajdę sobie ładną dziewczynę, żeby zrobiła mi masaż.

Caulker oderwał wzrok od koszmarnego widoku i spojrzał na olbrzyma.

--Kim oni są?

Gigant wzruszył ramionami.

--To żołnierze, anioły, demony. -- Przydepnął linę. -- Halaśliwa gromada, co? Wciąż jęczą i narzekają. Są nieszczęśliwi, bo martwi, a nie mogą pójść do Piekła. -- Uśmiechnął się szeroko i wskazał głową na trupy Spine, które wyciągnął z rumowiska. -- Teraz ci biali ludzie trafią na pokład. Więcej kłopotu dla wszystkich. Więcej biadolenia.

--Oni nie żyją? -- Caulker z niedowierzaniem wskazał na reje. -- Ale przecież jęczą i krzyczą.

--Nie żyją -- zapewnił gigant. -- Ale... nie spoczywają w pokoju. Ich dusze nadal przebywają w tym świecie. W Cospinolu i we mnie. -- Uderzył się w wielki brzuch. -- Bardzo halaśliwi.

Rzezimieszkowi przyszła do głowy straszliwa myśl.

--Zabiłeś ich? -- spytał. -- Wszystkich?

Kotwica zrobił zakłopotaną minę.

--Jest ciężki -- wymamrotał, jakby to była odpowiedź na pytanie Caulkera.

Potem wyciągnął z kieszeni trzcinę i zagrał na niej niesłyszalny ton.

Niesamowity okręt Johna Kotwicy -- jeśli rzeczywiście to był statek, bo rusztowanie składało się z co najmniej dziesięciu tysięcy belek -- wprawił zgromadzony tłum w osłupienie i napelnił go strachem, ale widok małych czerwonych stworów, które nagle wylonily się z mgły, okazał się dla ludzi zbyt dużym przeżyciem. Rybacy rozpierzchli się z krzykiem. Mimo że Caulker najchętniej pobiegłby za nimi, zwalczył ten odruch. Nie uciekł przed tymi stworzeniami wcześniej i nie zamierzał tego zrobić teraz. Niech szuwarowi żeglarze z Sandport chowają się w swoich lepiankach z błota, ale Jack Caulker był kiedyś prawdziwym marynarzem i nie

przestraszy się statków powietrznych ani tym bardziej skorupiaków. Instynkt podpowiadał mu, że Kotwica nie stanowi zagrożenia. Adamantowy Człowiek ścigał anielicę. I nadal miał przy sobie fortunę w perłach.

Miliony szczękających i popiskujących krabów zbiegły po olinowaniu, spotkały się na linie giganta i ruszyły po niej w dół potężną kaskadą. Kiedy dotarły na ziemię, przelały się przez zwoje konopi jak rzeka krwi i popędziły w stronę zabitych asasynów.

--Sześć dusz więcej dla Cospinola -- zagrział Kotwica. -- Sześć pereł więcej do jego skarbca.

Rzezimieszek stał bez ruchu, kiedy chitynowa fala przetaczała się po jego butach.

--Cospinol? -- powtórzył ostrożnie.

--Mój pan. -- Kotwica odchylił głowę do tyłu. -- Bóg Morza i Mgły, Twórca Perel, Niebiański Pirat, Cieśla Okrętowy Ayen i Kapitan *Rotswarda*. Tyle imion, co? -- Uśmiechnął się szeroko i ściszył głos do konspiracyjnego szeptu: -- Zrędkliwy stary drań sam je sobie wymyśla i płaci mi, żebym go sławił, ale nie mów tego nikomu.

Kraby pokryły martwych asasynów rojącą się masą szczypiec i odnóży jak czerwie żerujące na trupie. Caulker przełknął ślinę i odwrócił wzrok.

--Więc to... to coś to jest statek?

--*Rotsward*? Tak, to jego statek. Kiedyś nazywał się *Tasak*, wcześniej *Pięść*, a jeszcze kiedyś *Sally Broom*, na cześć pewnej kobiety. -- Gigant pokiwał głową. -- Ładne imię, Sally. Lubilem je, ale Cospinol jest kapryśny. Wiecznie niezadowolony, wciąż narzeka. Myślisz, że moje prawdziwe nazwisko to John Kotwica? Ha! Ono po prostu rozśmiesza Cospinola. Temu bogu brak dowcipu i subtelności.

Bryła wielkości ludzkiego ciała oderwała się od ławicy krabów i ruszyła po zwojach konopi w stronę Kotwicy. Przy stopie giganta uniosła się, jakby martwe ciało oblepione skorupiakami ożyło i wstawało teraz o własnych siłach. Przerażony Caulker patrzył, jak dziwaczny stwór zaczyna gramolić się po uprzęży na plecy giganta, a potem wspinać po linie.

Kotwica spojrział z promiennym uśmiechem na rzezimieszka.

--Lubisz kraby? -- zapytał.

--Kiedyś tak -- odparł Caulker beznamiętnym tonem.

--Ja lubię sałatkę z pandemiańskich krabów i meduz. -- Wielkolud zatarł dłonie. -- Dobra na serce, wiesz? Najlepsze jedzenie dla żeglarzy. Jesteś marynarzem?

--Byłem.

Gdy pierwsza czerwona postać zniknęła we mgle, od rojowiska oddzielił się drugi kłęb krabów i ruszył w stronę giganta.

--Ha! -- wykrzyknął Kotwica. -- Od razu poznałem, że byłeś żeglarzem. Masz niezłomne serce. Dobrze znasz ten kraj?

Caulkerowi było coraz bardziej niedobrze, ale udało mu się skinać głową.

--W takim razie pomożesz mi znaleźć anielicę. Wiedźmowa kula okłamuje mojego pana, więc on już jej nie ufa. Godziwie zapłacimy uczciwemu przewodnikowi. Wieloma perłami... albo solą. Soli mamy pod dostatkiem.

--Wiedźmowa kula?

--Tak. Macie je tutaj? To złe istoty, zawsze kłamią. Ta ma w środku dziewięć mesmeryckich jędz, dlatego wciąż kręci. -- Z koszmarnym szeleszczącym dźwiękiem wstał z

ziemi drugi czerwony trup i zaczął wdrapywać się po linie na czekającą w górze szubienicę. -- Będziesz moim przewodnikiem?

Wiedźmowa kula? Caulker nie miał pojęcia, o czym mówi Kotwica. Ale najwyraźniej wielkolud potrzebował pomocy. I bez wątpienia zauważył brak innych kandydatów przed oberżą, którą właśnie zniszczył. Rzezimieszek zwilżył wargi i wbrew sobie powiedział:

--Najpierw pokaż mi te perły.

Kotwica wyjął sakiewkę z kieszeni, pogrzebał w środku i wydobył z niej mały paciorek. Powąchał go, pokręcił głową i wrzucił koralik z powrotem do worka. To samo zrobił z następnym, ale przy kolejnym zaakceptował wybór.

--Ta jest dobra -- zawyrokował, wyciągając rękę do rzezimieszka. -- W Oxos można by za nią kupić śmierć kobiety węża, a w Pandemerii krwawy statek. Weź ją, tylko ostrożnie, bo jest krucha.

Caulker wziął klejnot w palce i obejrzał dokładnie. Wbrew temu, co mu się wydawało, to nie była perła, lecz podobnej wielkości koralik ze szkła. Na jego powierzchni były wyryte misterne zawijasy i coś błyszczało w środku słabym, niepewnym światłem.

--To dusza potężnego anioła -- powiedział Kotwica. -- Archonta Malleusa Trenchy, brata Sillstra, który jest czempionem Haspa w Piekło. To bardzo niebezpieczny wojownik, ale myślę, że jego dusza jest dla ciebie w sam raz. Możesz ją zjeść. Uczyni cię wielkim i silnym jak ja.

Rzezimieszek dość w życiu się napatrzył, żeby rozpoznać oszustwo. Perła była zwykłym szklanym paciorkiem, a poświata w środku grawerską sztuczką. Zmarszczył brwi.

--Naprawdę, przyjacielu, będziesz musiał bardziej się postarać -- rzekł z westchnieniem i pstryknąwszy palcami, wyrzucił bezwartościowe świecidelko za siebie.

Koralik wpadł w gruzowisko i się roztrzaskał.

Nagły huk wstrząsnął powietrzem jak detonacja. Ciśniętemu na ziemię Caulkerowi myśli zawirowały w głowie. Zobaczył dachówki lecące z okolicznych dachów, kurz wzbijający się pod niebo, cienie i czerwone kraby na skraju pola widzenia. Wybuch? Czyżby statek Cospinola przypuścił atak? Wiszący na rejach wojownicy trzęśli się, mamrotali i krzyczeli w swoich siłach. Czyżby sam John Kotwica spowodował to zamieszanie i harmider?

Jednak nie, bo pośród kłębow pyłu Caulker dostrzegł skrzydlatą zjawę, ducha ogromnego archonta. Światło dnia przenikało jego ciężką zbroję z żelaznych płyt i skrzydlaty hełm. Anioł ryknął, uniósł czarny miecz wielkości człowieka i opuścił go na giganta.

Kotwica zręcznie odsunął się w bok, a następnie wściekłymi ciosami pięści zaczął okładać głowę i szyję przeciwnika, ale upiór tylko się zaśmiał. Ręce Kotwicy przeszły przez niego jak przez dym.

Wielki miecz rozpadł się niczym rój czarnych much, ale zaraz się odtworzył i ponownie przeciął powietrze. Kotwica z trudem wykonał unik. Po co w ogóle się wysilał? Czyżby broń ducha mogła zrobić mu krzywdę?

Caulker patrzył z przerażeniem i fascynacją, jak wielkolud znowu atakuje. Przez jedno uderzenie serca wydawało się, że chwycił zjawę za nadgarstek, ale chwilę później archont znowu był wolny. Po raz kolejny uniósł potężny miecz...

... i krzyknął, kiedy blask dnia przeszył jego zbroję, jakby płomień wypalił pergamin. Archont zbladł. Wśród glinianych domów rozbrzmiał ostatni straszliwy ryk i po zjawie pozostał tylko kurz.

Kotwica stał bez ruchu przez dłuższą chwilę, a potem obejrzał swoją pięść i posal krwawiący kłykieć.

--Martwi to trudni przeciwnicy -- powiedział do Caulkera. -- Zupełnie, jakby walczyć ze wspomnieniem albo z koszmarem nocnym. Nielatwo. Mamy szczęście, że to nie noc. W świetle dziennym upiory mogą przetrwać bardzo krótko.

Jego uśmiech wzbudził w Caulkerze czujność, bo w grymasie czarnych ust nie dostrzegł śladu niedawnej jowialności.

--Przyjacielu, właśnie odesłałeś biednego anioła do Piekła, żeby tam dołączył do swoich przodków -- stwierdził gigant z żalem. Przesunął wzrokiem po stercie desek i błota. -- Wkrótce otworzą się drzwi do Labiryntu. Piekło nadchodzi, wiesz? Musimy ruszać. -- Z westchnieniem rozmasował kark i wzruszył ramionami. -- Iril to Iril. My się nie wtrącamy. Myślę jednak, że masz teraz problem. Jesteś mi winien kosztowną duszę. Stałeś się moim... jak brzmi to słowo?

Caulker podniósł się sztywno.

--Dłużnikiem -- podpowiedział.

--Tak, właśnie to miałem na myśli. Ale chodź, pogadajmy o anielicy z bliznami i jej towarzyszach. Postawię ci obiad, solidne jedzenie dla takich żeglarzy jak my. Na przykład, sałatkę z krabów, zupę rybną i mocne piwo, co ty na to? -- Poklepał się po wielkim brzuszysku. -- Możesz polecić jakieś spokojne miejsce? Miłą oberżę, w której moglibyśmy porozmawiać?

Rzezimieszek pomyślał o tych wszystkich restauracjach, tawernach i gospodach w lepszej części miasta, z których przez lata był wyrzucany za kradzieże, przeklinanie i wszczynanie burd. Następnie przeniósł wzrok z giganta na monstrualną linę i wspinającego się po niej kolejnego martwego asasy, a potem wyżej, na skrzypiący, jazgotliwy statek, który wypełniał niebo nad Sandport.

--Przychodzi mi na myśl parę miejsc -- powiedział.

ROZDZIAŁ 7

NAJGORSZY ASASYN

--Kim jesteś?

Anioł zatoczył głową jak pijany i odpowiedział drwiącym czerwonym uśmiechem -- Dill przygryzł sobie język w czasie tortur. Tylko że... ten osobnik wcale nie był Dilem. Patrzył na nią lubieżnie oczami młodego anioła, ale Rachel nie dostrzegła w nich nawet śladu swojego przyjaciela.

Winila za to siebie. Sama dała mu anielskie wino, koktajl z wielu dusz, które teraz dochodziły do głosu. Ale jeśli Dill nadal tam był, mogła do niego dotrzeć.

--Zadałam ci pytanie.

Archont zaśmiał się i splunął krwią na podłogę.

--Jestem oczarowany twoją urodą -- wybelkotał. -- A może to z bólu? Od tysiąca lat nie czułem, żeby moje nerwy tak płonęły. -- Przesunął językiem po zębach. -- To dopiero jest coś. -
- Próbował wstać z pryczy, ale opadł na nią z powrotem.

--To psie ziele, które ci dali -- powiedziała Rachel. -- Spróbuj się skupić. Spójrz na mnie. Kim jesteś?

--Kim jestem? -- Anioł sięgnął do jej piersi, ale strąciła jego rękę. -- Kim jestem, pytasz? Na bogów, kim ja jestem? Dopustem wszystkich wrednych mesmerystów? Moja wiadomość! Gdzie ja jestem?

--W świątyni. W celi tortur Spine. Zamroczyli cię narkotykami.

--Oooo... -- Potrząsnął głową. -- To nic wielkiego. Chodź tutaj, kobieto. -- Wyciągnął do niej zakrwawione ręce.

Rachel znowu go odepchnęła.

Nic z tego.

Musiał oprzytomnieć, żeby ustać na własnych nogach, jeśli mieli wydostać się stąd żywi. Asasynka wstała i podeszła do mistrza Spine, który leżał pod ścianą. Większość fiolek z trucizną stłukła się w czasie walki, ale na wszelki wypadek dokładnie przeszukała kieszenie jego fartucha. Spine stosowali wiele różnych narkotyków w procesie hartowania, a nie wszystkie miały za zadanie otumanić ofiarę. Niektóre służyły otrzeźwieniu jej.

Kiedy znalazła nietkniętą małą zieloną buteleczkę, omal jej nie ucałowała.

--Weź to i wypij łyk -- poleciała, próbując włożyć aniołowi fiolkę do ręki.

Dill gwałtownie zamachał rękami i posłał jej kolejny uśmiech.

--Otwórz usta -- syknęła Rachel.

--Otwórz swoje, skarbie.

Hael mocno ścisnęła szczękę anioła i wlała przezroczysty płyn prosto do jego gardła.

--Rrrr. -- Dill skrzywił się i splunął.

--No, teraz może nam się uda przeprowadzić normalną rozmowę -- powiedziała Rachel.

Widziała, że lek działa. Anioł wyprężył się, zakrztusił, a potem usiadł prosto. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią intensywnie czarnymi oczami pełnymi nienawiści, aż w końcu oświadczył:

--Zapłacisz mi za to.

--Myślę, że raczej mi podziękujesz. Kim jesteś?

--Nie twoja cholerna sprawa. Co to za miejsce?

--Odpowiedz najpierw na moje pytanie, a wtedy ja odpowiem na twoje.

Archont prychnął, ale w tym momencie zauważył pięć trupów Spine rozrzuconych po celi i zeszywniał. Wrócił do niej czujnym spojrzeniem.

--Jestem Sillster Trench.

Trench? Było to niezwykle nazwisko. Rachel chyba nie słyszała go wcześniej w Deepgate.

--To już jakiś początek -- stwierdziła. -- Mam do ciebie ze sto pytań, ale to nie jest odpowiednie miejsce. Powiem wprost: jeśli cenisz ciało, które obecnie zajmujesz, pójdiesz teraz ze mną. Tu jest więcej asasynów, niż potrafię zliczyć, a wszyscy chętnie nafaszerowaliby cię igłami i stalą.

--A tyś co za jedna? -- zapytał archont.

--Ja jestem najgorsza z nich.

Opuszczenie świątyni okazało się zadziwiająco łatwe, bo świeżo zahartowani akolici jeszcze nie zdążyli poznać się nawzajem. W skórzanej zbroi ukradzonej z magazynu Rachel wyglądała jak każdy inny asasyn. Sutanna, którą porwała z jednej z dawnych cel kapłanów, posłużyła do zakrycia zlepionych krwią skrzydeł anioła i jego okaleczonych rąk. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby zatrzymać adepta, który prowadził starego zgarbionego sługę bożego do miasta. Ostatnio Spine nie wychodzili nocami bez świątobliwych mężów.

Dopiero zapadał zmierzch, ale klębiące się chmury dymu wcześniej pograżyły Deepgate w ciemności. Rachel zawahała się przy wyjściu ze świątyni. Niebo było czarne i karmazynowe, na wschodzie, nad Sierpem -- rozświetlone żółtymi i zielonymi płomieniami oraz snopami srebrzystych iskier. Nad miastem przetaczały się odgłosy eksplozji. Czerwona mgła spowijała ruiny Bridgeview i Lilley, między łańcuchami cicho poruszały się cienie.

Archont spróbował poruszyć skrzydłami młodego anioła i jęknął:

--Moje ciało jest całe posiniaczone i obolale -- poskarżył się. -- A skrzydła... Twoi ignoranczykowie asasyni je uszkodzili.

Pęta wpiły się głęboko w mięśnie i ścięgna na jego plecach.

--To nie są twoje skrzydła -- mruknęła Rachel, patrząc na płonące miasto.

Deepgate roilo się od duchów z otchłani. Były ich tysiące. Przemykały wśród poskręcane go metalu i gruzu. Rachel słyszała westchnienia, krzyki i okrutny śmiech; niezrozumiałe głosy zjaw ukrytych wśród ruin, skrzypiących łańcuchów i huczących płomieni. Gdyby tak miała teraz przy sobie prawdziwego kapłana... Święty człowiek powstrzymałby upiory Irilu, obroniłby ich dwoje przed szaleństwem otchłani. Wiedziała, że duchy będą ich wabić i prześladować.

A może jeszcze gorzej?

Gdyby wierzyła w opowieści kapłanów, bałaby się, że będzie dużo gorzej. Kościół Ulcisa zadawał sobie wiele trudu, żeby chronić Deepgate przed istotami z Irilu. A teraz one grasowały po ulicach, bezkarne i niebezpieczne.

Mogła wrócić do świątyni, do walącego się ula pełnego asasynów Spine, którzy do tej pory pewnie już odkryli jej ucieczkę, albo wyruszyć w nieznaną.

--Chodźmy -- powiedziała.

ROZDZIAŁ 8

ZADAĆ BOGU

JEDNO PYTANIE

Gulliver Fank, szef kuchni i właściciel Sprytnego Kraba przy ulicy Czerwonego Zagrożenia, najwyraźniej nie miał ochoty gościć Kotwicy i Caulkera w swoim lokalu.

--Nie macie wolnych stolików? -- powtórzył rzezimieszek. -- Ani jednego? Zdaje się, że w środku jest pustawo.

Fank, szczupły starzec z pofalowaną szyją i plamami na dłoniach, stał w drzwiach swojej restauracji i wycierał szmatką drewnianą chochlę.

--Niestety, wszystko zarezerwowane, panowie. To pewnie przez tę mgłę.

Caulker uniósł brew.

--Mgłę?

Fank wzruszył ramionami. Z uporem omijał wzrokiem Johna Kotwicę i masywną linę, która sterczała z jego uprzęży ku niebu.

--Mgła zawsze przyciąga więcej klientów. Wiecie, jak to jest... żeglarze nie żeglują, cywilne sterowce są uziemione. Wszyscy tkwią w mieście, więc nasze obroty rosną.

--Raczej nie tkwią w pańskim lokalu -- zauważył Caulker, spoglądając ponad ramieniem Fanka na puste stoły. Bawiła go cała sytuacja. Ten drań nieraz wyrzucał go z knajpy na zbity pysk, a ostatnio zabronił mu wstępu. I to za zwędzenie dwóch miedziaków napiwku z jednego ze stolików. -- Moglibyśmy usiąść, a jak ktoś przyjdzie, od razu się wyniesiemy -- zaproponował pojednawczo. Fank skrzywił się.

--Naprawdę bardzo mi przykro, panowie. To po prostu nie jest możliwe.

Kotwica stał za rzezimieszkiem, z potężnymi rękoma skrzyżowanymi na piersi i szerokim uśmiechem na twarzy. Jego oczy błyszczały szelmowsko.

--Wciąż te same kłopoty -- zagrzmiał. -- Nigdy nie mogę znaleźć stolika w dobrych oberżach. Chodzi o kolor, tak? Nie lubicie ciemnej skóry?

--Nie, na bogów -- zapewnił szybko Fank. -- Nie chodzi wcale o to. -- Tarł energicznie warząchew, nadal unikając wzroku wielkoluda. -- Mamy... eee, swoją politykę wobec klientów wnoszących linę do lokalu.

--Aha! -- ryknął Kotwica.

--Od kiedy to macie jakąś politykę w kwestii lin? -- wtrącił Caulker.

--Od dzisiejszego ranka -- odparł Fank. Gigant zatarł ręce.

--Nieważne -- powiedział. -- Wynieś stolik na zewnątrz. Usiądziemy w zaułku. Dwie miski zupy rybnej, fasola na gorąco, chleb, sałatka z krabów, zimne piwo.

Fank spojrzał w niebo i aż się wzdrygnął.

--Tak, tak -- wymamrotał. -- Zupa, fasola, chleb... tak, oczywiście.

Gdy rzezimieszek wraz ze swoim gościem rozsiedli się przy pospiesznie ustawionym stoliku i pociągnęli pierwsze łyki piwa, Kotwica zagaił:

--Twierdzisz, przyjacielu, że anielicy z bliznami w ogóle nie było w tym mieście?

--Ludzie by ją zauważyli -- odparł Caulker z przekonaniem. -- Niewiele się dzieje w Sandport, żeby zaraz nie dowiedziało się o tym całe miasto. Kiedy pojawia się przyzwoicie wyglądająca kobieta, ogłaszają wieść na tablicy przed Mudlark. A ty mówisz o wampirzycy,

która wypija krew niewinnych w czasie czarnego księżycy. Uwierz mi, języki by nie próżnowały. -- Pociągnął łyk piwa i mówił dalej: -- Ale nie może być daleko. Kilka tygodni temu Spine złapali dwoje przyjaciół Carnival w tawernie Olirinda Meera, tę samą parę, która opuściła Deepgate razem z nią. Wojenny sterowiec zniszczył połowę budynku bombą gazową, żeby ich dopaść.

--Ci przyjaciele... Gdzie oni są teraz?

--Spine zabrali ich z powrotem do Deepgate na hartowanie. Pewnie siedzą teraz zamknięci w celi tortur.

--Deepgate? -- Kotwica się rozpromienił. -- Tam również zamierzałem złożyć wizytę. Muszę w tym mieście załatwić pewną drobną sprawę dla Cospinola. -- Wysuszył kufel. -- Zatem pójdziemy do łańcuchowego miasta i porozmawiamy z dwójką przyjaciół Carnival. Może wiedzą, gdzie się ukrywa.

Caulker się zawahał. Nie miał ochoty maszerować do Deepgate, gdzie trujące pożary wyrwały się spod kontroli, a Spine zgarniali na hartowanie każdego, kto im się nawinął, nie wspominając o duchach, które zaczęły nawiedzać miasto w nocy. Byłoby najlepiej, gdyby udało mu się pozbyć Kotwicy gdzieś na Martwych Piaskach. Na nieostrożnego wędrowca czyhało tam wiele niebezpieczeństw. Jedno z takich miejsc już przyszło mu do głowy.

Tymczasem Fank zjawił się z tacą. Postawił miskę zupy i salatek na stole i czym prędzej wrócił do środka.

--Może już być za późno, żeby porozmawiać z jej przyjaciółmi -- stwierdził Caulker. -- Nie wiemy, co Spine im zrobili. Przypuszczam, że Carnival zaszła się gdzieś na Martwych Piaskach, ale blisko swojej zdobyczy.

Było o wiele bardziej prawdopodobne, że poleciała setki mil dalej, ale nie zamierzał uświadamiać tego Kotwicy, dopóki wielkolud miał przy sobie sakiewkę pełną prawdziwych klejnotów z duszami.

--Martwe Piaski? To pustynia między tym miastem a Deepgate?

Caulker skinął głową.

--Dobrze. W takim razie pójdziemy do Deepgate przez pustynię i po drodze będziemy szukać Carnival. Ubijemy dwa dziki jednym strzałem.

--Ptaki -- poprawił go rzezimieszek. -- Dwa ptaki jednym strzałem.

Kotwica zmierzył go wzrokiem.

--Nie na Burzliwym Wybrzeżu. Powiedz mi, Jack, dobrze znasz te Martwe Piaski?

--Dość dobrze. -- Przynajmniej to było prawdą. Caulker spędził w młodości tyle czasu na rabowaniu kupców, że znał wszystkie bandyckie szlaki i kryjówki. Nie przepadał za pustynią, ale potrafił znaleźć drogę do nielicznych źródeł wody, jeśli musiał. -- A tak przy okazji, dlaczego ją ścigasz? -- Spojrzał w górę na mgłę i ściszył głos. -- Czego chce od niej twój bóg?

Wielkolud uśmiechnął się szeroko.

--Nie ma potrzeby szeptać, przyjacielu. Cospinol słyszy wszystko, co ja słyszę, ale nigdy nie zwraca na to zbytnej uwagi, więc nie ma strachu. Mój pan chce dopaść tę anielicę, bo wypila jego brata Ulcisa.

Caulker zakrztusił się zupą.

--Wypila?

Gigant ryknął śmiechem i walnął pustym kuflem w stół, aż zakolysały się miski z zupą.

--Wyrznęła połowę jego armii, a potem wyssała z niego krew. To dopiero wyczyn! Nic dziwnego, że Cospinol jej szuka. W żyłach Carnival jest wiele dusz.

Lina za plecami Kotwicy zabrzęczała. Gigant umilkł, nadstawił uszu, a potem przysunął się do Caulkera i wyszeptał:

--On mówi, że za dużo gadam.

--Słucha nas teraz?

--Tak. Chcesz zadać mu pytanie? Odpowie na jedno. Cospinol dużo wie: o przyptywach, gwiazdach, dlaczego księżyc krąży wokół ziemi. Czyta w sercach ludzi i rozumie, dlaczego jego matka, bogini Ayen, zamknęła bramy Nieba. I wie, co knują mesmeryści. Czasami nawet przewiduje rzeczy, które jeszcze się nie wydarzyły, ale akurat w tej sprawie przeważnie się myli.

--Hm. -- Caulker zamrugał. Jakie pytanie zadać bogu? Taka szansa mogła się nigdy więcej nie powtórzyć. -- Cóż... -- Myślał usilnie. -- Przypuśćmy... -- Zabębnił palcami po stole. -- No dobrze, jak i kiedy umrę?

Lina znowu zadrżała. Caulkerowi wydawało się, że słyszy szaleńczy śmiech i odległe krzyki dochodzące z mgły. Zsunął się niżej na krześle. Zadał pytanie, które pierwsze przyszło mu do głowy, ale teraz nie był pewien, czy naprawdę chce znać odpowiedź.

Kotwica słuchał przez chwilę, a potem roześmiał się serdecznie.

--Cospinol nie zna odpowiedzi. I jest zły. Mówi, że zadałeś niewłaściwe pytanie.

Caulker poczuł ulgę.

--Mogę zapytać go o coś jeszcze?

--Nie. -- Wielkolud się pochylił. -- Posłuchaj, przyjacielu Jacku. Chcesz żyć długo, prawda? -- Zaczekał, aż rzezimieszek kiwnie głową. -- To dobrze. Rozumiem takie pragnienie. Ja żyłem dłużej niż jakikolwiek inny człowiek na tym świecie, dłużej nawet niż anielica, której szukam. To moja nagroda za zbieranie dusz dla Cospinola. -- Wskazał kciukiem w niebo. -- Ale ostatnio jest wielu złych ludzi. Świat zgnił jak pomarańcza. Większość tam, w górze, to nikczemnicy, lotry i złodzieje. Złe, bardzo złe dusze. -- Pokręcił głową i spoważniał. -- Cospinol wie, że nie jadłbym złych dusz, więc karmi mnie tylko dobrymi. Dają mi więcej siły, żebym mógł ciągnąć statek, rozumiesz?

Caulker pokiwał głową.

--Ale jeśli mam coś jeść, muszę zabijać dobrych ludzi. -- Kotwica westchnął. -- Nie lubię tego robić. Nie lubię ani trochę. Chcę się uwolnić od tej uprząży, od tego statku. Jest teraz bardzo ciężki. Chciałbym wrócić na Burzliwe Wybrzeże, założyć farmę, ożenić się z jakąś kobietą. -- Jego spojrzenie stało się nieobecne. Uśmiechnął się ze smutkiem. -- Dlatego ścigam tę... tę Carnival, bardzo silnego aniola. W jej żyłach jest krew boga. I dość dusz, żeby Cospinol mógł opuścić *Rotswarda* i chodzić swobodnie pod słońcem Ayen.

--A jeśli Cospinol będzie wolny, to ty też?

--Tak. -- Kotwica wyciągnął wielką rękę. -- Więc zawrzemy umowę? Zaprowadzisz mnie przez pustynię do Deepgate, pomożesz znaleźć Carnival, a ja zapomnę, że jesteś mi winien duszę. Zgoda?

Jaki wybór miał rzezimieszek? Był dłużnikiem człowieka, który zabił sześciu adeptów Spine gołymi rękami, a potem zwałił na nich budynek. Zamierzał zwabić Kotwicę w pułapkę i wtedy ukraść jego skarb, ale ten plan zaczynał tracić swój urok. Jeśli ten dryfujący bóg

Cospinol naprawdę wszystko słyszał i widział, mógł nie okazać się łaskawy dla mordercy swojego sługi... i jedyne go środka lokomocji.

Caulker uściśnął dłoń Kotwicy.

Gulliver Fank zebrał miski i trzymając je przy piersi, starannie omijał wzrokiem linę.

--Coś jeszcze podać, panowie? -- zapytał usłużnie. -- Nie? Podejrzewam, że się spieszycie.

Wyznam, że goszczenie was było dla mnie wielką przyjemnością.

--Ile płacimy za ten posiłek? -- zapytał Kotwica.

--Dwa dublony.

--Nie mam żadnych monet -- stwierdził wielkolud. -- Przyjmiesz sól, oberzysto? Dobrą sól z Burzliwego Wybrzeża? -- Odsunął stół i wstał, rozprostowując ogromne plecy. Potem zaczął ściągać linę z nieba. -- Jest gdzieś tam w górze.

--Nie! -- wrzasnął właściciel gospody i gwałtownie zamachał wolną ręką, drugą przytrzymując stos naczyń. -- To znaczy... proszę, przyjmijcie posiłek za darmo... na koszt lokalu, bez zapłaty. Naprawdę, to wszystko, co mogę zrobić!

Kotwica uśmiechnął się szeroko.

--Ha! -- wykrzyknął. -- Wszędzie spotykam się z taką samą szczodrością! To dobry człowiek, Jacku Caulkerze. Gdyby nie tacy ludzie, na pewno chodziłbym głodny. -- Jego wielki brzuch zatrząsł się od śmiechu. -- A teraz muszę się odlać. Gdzie jest wygodka?

--Zepsuta -- rzucił pośpiesznie Fank. -- Odpływ jest zatkany.

Gigant zmarszczył czoło.

--Zawsze ten sam problem. -- Zatoczył ręką krąg, wskazując na cały świat. -- Zła kanalizacja, wciąż zła kanalizacja. To samo na wyspie Cog i w portach Merianu, Correollis i Oxos. Wszystkie odpływy zatkane. Pewnego dnia znajdę hydraulika i zapytam go, dlaczego tak się dzieje.

Caulker nie potrafił stwierdzić, czy gigant mówi poważnie, czy nie. Właściciel restauracji trochę się odprężył.

--Mógłby pan spróbować w Cockle Scunny -- poradził, wskazując w głąb uliczki. -- To zaraz za rogiem. Znam dość dobrze dżentelmena, który prowadzi tę karcznię, i wiem, że niedawno wymieniał rury. Na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, żebyście skorzystali z jego uprzejmości.

--Niech tak będzie -- zgodził się Kotwica i odwrócił do Caulkera. -- Chodźmy, przyjacielu. -- Klasnął w ręce i błysnął zębami w szerokim uśmiechu. -- Wysikam się, a potem pójdziemy zabić anioła.

ROZDZIAŁ 9

IKARACI

Sillster Trench, który opanował ciało Dilla, był w trakcie ucieczki ze świątyni ponury i rozdrażniony. Od czasu do czasu machał zranionymi skrzydłami i narzekał, że bolą go plecy. Rachel nie zwracała na niego uwagi. Miała inne zmartwienia na głowie. Było ciemno, a cała Kolonia roiała się od zmarłych. Wśród zrzuconych czynszówek snuły się duchy, niewyraźne postacie w dziwnych ciemnych szatach. Wilgotne powietrze miało czerwone zabarwienie, jakby na miasto opadła krwawa mgła. Słabe głosy niosły się z pustych skorup budynków, ale Rachel nie rozróżniała słów. Czasami wydawało się jej, że słyszy warczenie albo szloch.

Gruba warstwa dymu zasnuwała niebo, oświetlona od spodu przez kolorowe płomienie pożarów szalejących w dzielnicach przemysłowych. Wściekle czerwone, żółte i czarne smugi strzelały w górę między wysokimi sylwetkami domów czynszowych. Od czasu do czasu silny wybuch strząsał popiół z łańcuchów, na których były zawieszane budynki. Powietrze cuchnęło siarką, paliwem i chemikaliami, których Rachel nie umiała rozpoznać. Starła się nie oddychać głęboko, ale wkrótce zaczęło ją palić w płucach.

Mozolnie wspinali się ulicą Lye na szczyt wzgórza, gdzie stały w milczeniu ruiny wieży strażniczej Barraby, ostro rysujące się na de niespokojnego nieba. Potem skręcili w lewo w wąskie zaułki wokół Farrow Wynd. Tam musieli wdrapać się na stos gruzu i roztrzaskanych beczek tarasujących Candlemaker Row. Północny horyzont rozświetliły niebieskie i zielone błyski, a zaraz po nich oślepiające fontanny srebrnych gwiazd. Chwilę później Rachel usłyszała huk kolejnego eksplodującego zbiornika z truciznami.

--Co to za piekielny labirynt? -- zapytał Trench.

--Nie pamiętasz?

--Dlaczego miałbym pamiętać? -- warknął archont. -- Nigdy wcześniej tu nie byłem.

--To Kolonia Robotników -- wyjaśniła Rachel, ale jego niewiedza wcale jej nie zaskoczyła.

Truciciel Devon zebrał do swojego eliksiru dusze z całego miasta. Jeśli Trench pochodził ze szlacheckiej rodziny, mógł nigdy się nie zapuścić aż tutaj. Teraz łypał posępnie to na kłęby dymu, popiołu i sadzy wzbijające się pod niebo, to na czarne zjawy przemykające po wielkim pobojuwisku, które ich otaczało.

Raptem Rachel przyszła do głowy dziwna myśl. Czyżby duchy rzeczywiście trzymały się od nich z daleka?

Kapłani Deepgate zawsze uważali duchy za niebezpieczne. Krążyło wiele opowieści o mieszkańcach, którzy zostali przez nie opętani albo doprowadzeni do obłądki. Ale te upiory najwyraźniej dawały im dwojgu spokój. Rachel wciąż dostrzegała je kątem oka i słyszała wokół siebie dziwne szepty, ale na razie żaden się nie zbliżył. Dlaczego? W końcu dotarli do mostu z granitu i żelaznych ogniwi, który spinał mierzącą trzydzieści jardów przepaść między Ivygarths na północy a Summergarden na południu. Wahadłowe domy z krzemienia wisiały na różnych wysokościach w plątaniu metalowych kabli pod dwoma masywnymi łańcuchami fundamentowymi. Wszystko pokrywał twardy biały osad, trzeszczał pod butami, zbijał się w jasne grudy, oblepiając liny. Rachel bez trudu mogłaby sobie wyobrazić, że idzie przez zimowy las. Na wschód od mostu duża część miasta zsunęła się z łańcuchów fundamentowych i teraz, mocno przechylona, utrzymywała się jedynie na cienkiej siatce z żelaza i popękanego

saperbanu. Były to Taptack Acres, część dzielnicy Summergarden, gdzie czynszówki wznoszono jedne na drugich, żeby pomieścić robotników fabrycznych. Po przeciwnej stronie zwisał na jednym z ogniw dom wahadłowy zbudowany w stylu typowym dla rezydencji wielkich przemysłowców, pozbawione gustu gmaszysko z krzemienia zwięzające się ku górze jak łąza. Wąskie stalowe mostki łączyły osobne wejścia dla właścicieli i służby z siecią przecinających się chodników, które znikwały w mroku.

Trench szedł teraz kilka jardów przed Rachel. Jego czarna sutanna wyraźnie odcinała się od jasnego otoczenia. Zręcząc i przeklinając pod nosem, parł przed siebie... aż belt z kuszy uderzył z trzaskiem dwa cale od jego stóp i zatrzymał go w pół kroku.

Wśród domów wahadłowych nagle pojawili się asasyni. Rachel dostrzegła co najmniej dwudziestu, a tylko bogowie wiedzieli, ilu nie zdołała wypatrzeć. Oczywiście mieli ze sobą kusze, ulubioną broń Spine.

Jak im się udało nas wyprzedzić?

Rachel zbesztala się za to, że nie szli szybciej. Trasa, którą byli zmuszeni wybrać, okazała się długa i uciążliwa, natomiast Spine dobrze się orientowali w zniszczonym mieście. I wiedzieli, że ten most, odsłonięty ze wszystkich stron, będzie doskonałym miejscem na zasadzkę. Gdyby próbowała uciekać, zastrzeliliby ją po dwóch jardach, a poza tym nie było tutaj warunków do bezpośredniej walki. Opór skończyłby się rzezią, i może właśnie o to chodziło Spine.

--Dotarłaś do miejsca zbawienia, Rachel Hael! -- usłyszała męski głos. -- Twoja podróż tutaj się kończy.

Rachel zauważyła, że mówi do niej jeden z czterech Spine, którzy ukucnęli na dachu najbliższego domu wahadłowego i celowali w nią z broni. Mięśnie nadal miała zmęczone po walce stoczonej w świątyni. Wątpiła, czy uda jej się skoncentrować po raz drugi w tak krótkim odstępie czasu, zresztą tym razem Spine wiedzieli, czego się spodziewać. Tak czy inaczej, miała niewielki wybór.

Nagły podmuch musnął jej twarz, jakby obok niej coś przemknęło. Gdzieś w dole zaskrzypiał łańcuch.

Carnival?

Gdy Rachel pobiegła wzrokiem w tamtą stronę, mostem wstrząsnęło gwałtowne drżenie, a po nim nastąpił głuchy loskot, jakby ruszyła kamienna lawina. Granitowa kładka uniosła się raptownie w górę i zaraz opadła z hukiem, aż jęknęły łańcuchy. Rachel z trudem zachowała równowagę. Chwilę później usłyszała trzask, skrzypienie kabli, przeraźliwy zgrzyt metalu, a w końcu serię głośnych wybuchów. W powietrze wzbily się tumany białego popiołu gęstego jak mgła.

Potem zapadła cisza.

--Zostań tam, gdzie jesteś! -- rozkazał ten sam mężczyzna. -- Coś się stało!

Rachel zakaszlała. Piekły ją oczy, w uszach dzwoniło. Nie widziała nic oprócz kłębiących się chmur pyłu... co oznaczało, że wrogowie również jej nie widzą. Cały most nadal się kołysał w swojej kolebce z łańcuchów. Po Trenchu nie było śladu. Równie dobrze mógł spaść i się zabić.

--Naprawdę?! -- odkrzyknęła, żeby zdradzić im swoją pozycję. -- Nigdzie się nie wybieram.

Wiedziała, że teraz w nią celują.

Instynkt i wyszkolenie podpowiadały jej, żeby uciekać, dopóki ma szansę umknąć wrogom,

korzystając z mroku. Ale oni właśnie tego się spodziewali. Dlatego zrobiła dwa kroki do tyłu i przykucnęła. W powietrzu zaświstały belty. Słyszała, jak uderzają w pomost kilka jardów dalej.

Teraz Spine ładowali kusze.

Rachel zerwała się i pobięła przed siebie. Wokół niej majaczyły niewyraźne zarysy łańcuchów i domów wahadłowych. Po jej lewej stronie przemknął ciemniejszy kształt. Uchyliła się i poczuła, że coś dużego mija ją z poświstem. Żwir smagnął jej policzek, ale ona pędziła dalej, mrużąc oczy w piekącym kurzu.

Grad beltów uderzył w deski tuż za nią, choć nie tak gęsty jak poprzedni. Wtedy była już po drugiej stronie mostu i pod nogami miała bruk. Trafiła na jakieś drzwi, przywarła do nich na płasko i zaczęła nasłuchiwać.

Oprócz skrzypienia i jęków metalu dotarły do niej inne, cichsze odgłosy: trzask łamanych kości, mokre plaśnięcia, przytłumiony szum podobny do bicia skrzydeł. Wszystko wskazywało na to, że jakiś niewidzialny sprzymierzeniec dokonuje rzezi asasynów. Rachel nie słyszała ani jednego krzyku, ale Spine nigdy nie wydawali z siebie żadnego dźwięku, kiedy umierali.

Czyżby Carnival wróciła, żeby jej pomóc?

Ale kiedy chmury pyłu w końcu zrzędyły, Rachel nie dostrzegła anielicy, tylko scenę zniszczenia. Nad mostem i okolicą zawisła cisza. Po świątynnych asasynach nie było nawet śladu. Większość domów wahadłowych, w których się ukrywali, zsunęła się do otchłani, zerwane łańcuchy były puste i kołysały się w przód i w tył, poskrzypując w pylistym mroku. Po drugiej stronie mostu zniknęła cała dzielnica Taptack Acres. Uwolnione od jej ciężaru potężne łańcuchy fundamentowe, które kiedyś obwisały pod brzemieniem ulic i domów, teraz majaczyły w górze. Można było odnieść wrażenie, że przez tę część miasta przeszła gwałtowna, krótkotrwała nawałnica.

--Carnival?! -- zawołała Rachel. Żadnej odpowiedzi.

Czyżby odgłosy rzezi były jedynie wytworem jej wyobraźni? Czyżby dzieła zniszczenia dokonała fala wstrząsowa, która przetoczyła się przez całą dzielnicę w wyniku pęknięcia jednego słabego, ale ważnego łańcucha podtrzymującego?

--Carnival!

Łańcuchy milczały. Rachel spojrzała w niebo oświetlone przez płomień i postanowiła nie zwlekać.

Trench nie odszedł daleko. Z całego labiryntu zatarasowanych albo zwichrowanych ulic wybrał na ucieczkę akurat ślepy zaułek. Rachel dogoniła go, kiedy wracał po własnych śladach. Nie był w lepszym nastroju niż wcześniej: wściekły, posępny jak chmura gradowa. Kiedy ją zobaczył, uniósł głowę i zmierzył ją wzrokiem z nieskrywaną pogardą.

--To przekłete miejsce będzie moim grobem -- rzucił burkliwie, wskazując palcem w kierunku, z którego przyszedł. -- W mieście już są Ikaraci!

--Ikaraci?

--Zwiadowcy mesmerystów. Zmiennokształtni. Deepgate się od nich roi. -- Przetarł usta wierzchem krwawiącej dłoni i splunął. -- Musisz mnie stąd wyprowadzić. Natychmiast. Zostało niewiele czasu.

Rachel przyjrzała mu się uważnie.

--Kim jesteś?

--Kim jestem? -- Z jego oczu wyzierała arogancja. -- Czempionem Pierwszej Cytadeli, dowódcą archontów Haspa.

Archontów Haspa?

Serce Rachel ogarnął chłód, kiedy zrozumiała swój błąd. Istota, która zamieszkała w ciele jej przyjaciela Dilla, nigdy nie była jedną z trzynastu dusz z eliksiru Devona, co oznaczało, że mogła przybyć tylko z jednego miejsca. Asasynka poczuła suchość w ustach.

--Jesteś z Piekła?

Trench uśmiechnął się okrutnie.

--Pierwsza Cytadela jest domem wszystkich aniołów, którzy zginęli w bitwach na tym świecie. Moje życie skończyło się dziewięćset lat temu w służbie waszego Kościoła, a teraz wróciłem, żeby znowu mu służyć. W Piekle od stuleci szaleje wojna, nasza forteca jest obleżona. Wielu z nas wojska Menoi zabrały do Dziewiątej Cytadeli, gdzie nasze dusze są zmieniane w nieczyste formy. Zanim przegramy, muszę dostarczyć pilną wiadomość jednemu z synów Ayen.

--Gdzie jest Dill? -- zapytała Rachel.

Trench wzruszył ramionami.

--W Piekle. My zabraliśmy tylko jego ciało, a nie duszę.

Asasynka przez dłuższą chwilę patrzyła na archonta w niemym osłupieniu. Już raz w otchłani nie udało się jej ochronić młodego anioła, a potem przywróciła go do życia tylko po to, żeby był świadkiem, jak ginie jego miasto i wszyscy, których kochał. Później nie wywiązała się ze swoich obowiązków w Sandport, kiedy złapali ich Spine.

A teraz?

Teraz zawiodła go w najgorszy możliwy sposób. Iril upomniał się o młodego anioła i dopiął swego. Wszystkie jej wysiłki poszły na marne. Straciła go znowu.

Chwyciła Trencha za ramię.

--Jak go odzyskamy?

Na jego twarzy odmalowało się niedowierzenie.

--Masz pojęcie, kogo atakujesz? -- Mówił cichym, ale złowieszczym głosem. -- Jestem potomkiem Callisa, herolda twojego boga. Złóż mi pokłon.

--Ulcis nigdy nie był moim bogiem -- oświadczyła Rachel. -- Nie kłaniałam się mu i nie uklonię się tobie. -- Chwyciła jedno z uszkodzonych skrzydeł anioła i wykręciła je mocno. -- A teraz mi powiedz, jak wydostać Dilla z Piekła.

Trench próbował się wyrwać, ale skradzionemu ciało brakowało siły. W końcu się poddał.

--Mamy tego samego wroga -- stwierdził spokojnie. -- Mesmeryści Irila zagrażają twojemu światu podobnie jak mojemu. Jeśli zostaną pokonani, archontowie z Pierwszej Cytadeli spróbują uwolnić Dilla i zwrócić mu ciało. Lecz jeśli nie uda mi się znaleźć pomocy i cytadela padnie, twój młody przyjaciel będzie skazany na cierpienie większe, niż możesz sobie wyobrazić. Mesmeryści przerabiają dusze w sposób, który pasuje do ich wojennych planów. Pewnego dnia możecie stanąć na polu bitwy naprzeciwko Dilla, ale on nie będzie wtedy aniołem, tylko potworem, krwawiącym mieczem albo statkiem wojennym; żywym, czującym kadłubem z żelaza, pozbawionym ust, które mogłyby krzyczeć w agonii.

Rachel puściła Trencha.

--Kim są ci mesmeryści? -- spytała.

Archont rozprostował skrzydła i skrzywił się.

--Kiedyś byli elitą Irila -- powiedział. -- Doszli do władzy po tym, jak Ayen rozgromiła go w Wojnie Między Bogami. Menoa jest ich przywódcą, samozwańczym królem i jednym z dawnych strategów Irila. Odkąd Ayen upokorzyła Pana Labiryntu, Menoa przejął większość ról swojego dawnego pana. Teraz kontroluje duże obszary Piekła.

--Ale wy mu się sprzeciwiście?

--Archontowie z Pierwszej Cytadeli odrzucili tego uzurpatora. Przemierzaliśmy Piekło w poszukiwaniu szczątków naszego prawowitego władcy, a tymczasem on zebrał armię i zdusił wszelki opór. Jednakże wielu uważa, że Menoa wszedł w posiadanie kawałka naszego roztrzaskanego boga, bo zbyt szybko stał się zbyt potężny. Teraz wszyscy, którzy przeciwko niemu występują, są zmieniani.

Zmieniani?

--Przybywają tutaj?

--Jeden z ich zwiadowców właśnie pełźnie w naszą stronę. -- Wskazał za siebie na zaulek, z którego wyszedł. -- Oto, co cię czeka, jeśli będziesz dłużej tutaj zwlekać.

W pierwszej chwili Rachel nic nie zobaczyła, ale potem, z wolna zaczęła dostrzegać dziwne ślady w warstwie drobnego białego pyłu pokrywającego bruk, jakby coś przypominającego dwie ręce przesuwające się po popiele w ich stronę.

Asasyńska zrobiła krok do tyłu.

--To niski rangą Ikarat, zwykły zmiennokształtny -- wyjaśnił Trench. -- Ale brakuje mu siły, żeby przybrać postać, którą wybrali dla niego mesmeryści.

Podniósł z ziemi kawałek krzemienia i rzucił nim w pełznące ręce. Jedna się rozpadła, a potem szybko uformowała na nowo, z tym że teraz była ciemniejsza i bardziej kanciasta, podobna do kamiennego odłamka, którym cisnął w nią Trench.

--Są ich tu prawdopodobnie setki, ukryte wśród łańcuchów i gruzu.

--Umiesz latać? -- zapytała Rachel.

Trench zamachał skrzydłami i syknął z bólu.

--Potrafię chodzić.

--Więc chodźmy szybko.

Pospieszyli w stronę Ligi Sznurów i krawędzi otchłani, a za nimi na horyzoncie pulsowały błyski światła.

ROZDZIAŁ 10

POŻEGNANIE Z SANDPORT

Kiedy Jack Caulker i jego towarzysz dotarli na szczyt skalnego urwiska, zniknęły im z oczu światła Sandport. W pogodną noc mogliby ujrzeć w dole bezładne skupisko domów z gliny w nieregularnej niecce utworzonej przez zakręt rzeki Coyle i łodzie rybackie unoszące się na jej wodach oblanych blaskiem księżyca. Ale dzisiaj mgła otaczająca statek Cospinola zasłaniała widok.

Drewniana uprząż trzeszczała, kiedy wielkolud ciągnął za sobą monstrualną linę. Białe zęby błysnęły w jego ciemnej twarzy, gdy stwierdził wesóło:

--To dobre ćwiczenie, wspinaczka, nie uważasz?

--Pewnie tak -- odburknął Caulker.

Już teraz miał dość, a przed sobą jeszcze całą cholerną pustynię. Nie mogli nawet zatrzymać się na drinka po tym, co się wydarzyło w Cockle Scunny.

Oberża przetrwała niewiele dłużej niż Hak Wdowy, choć Caulker podejrzewał, że budynek mógłby uniknąć zniszczenia, gdyby właściciel nie zagroził, że wezwie straż miejską, gdy tylko Kotwica stanął w progu. Niezrażony wielkolud wmaszerował przez frontowe drzwi, skorzystał z toalety i wyszedł tylnymi.

Ludzie pewnie do tej pory przeczesywali ruiny.

Kotwica w ogóle nie przejmował się spustoszeniem, które za sobą zostawiał. Przez cały czas zachowywał dobry humor i beztrosko nucił jakąś głupią żeglarską szantę, podczas gdy za nim rósł stos trupów. Caulker mógł sobie łatwo wyobrazić, co nazajutrz będzie się opowiadać w mieście.

Mgliste powietrze przesłaniało Martwe Piaski, ale Caulker już setki razy widział pustynię z tego miejsca. Teren wznosił się i opadał ku zachodowi falami wydm barwy popiołu. Gdziekolwiek wiatry zdmuchnęły warstwę piasku, odsłaniając bazaltowe podłoże, miejscami ziemię porastały kępy wątlej trawy, suche krzewy i starożytny skamieniały las. Jeden szlak prowadził wzdłuż rzeki na północ do Clune i tamtejszych wyrębów, natomiast drugi, szerszy, biegł prosto na zachód do łańcuchowego miasta Deepgate. Żeby ostrzec podróżnych przed ruchomymi piaskami, wzdłuż drogi wzniesiono kopce z lśniącego czarnego kamienia, ale we mgle Caulker nie mógł dojrzeć nawet pierwszego z nich.

Wciąż sięgał ręką do plecaka, którego nie miał. Czuł się nieswojo, wyruszając na pustkowie bez zapasów, ale Kotwica uznał, że jego przyjaciel nie musi nic dźwigać. Jedzenie i wodę mogli w razie potrzeby ściągnąć ze statku Cospinola unoszącego się nad nimi. Ta świadomość wcale nie poprawiała Caulkerowi nastroju.

Gdy ruszyli szlakiem wiodącym do Deepgate, rzezimieszek niechętnie myślał o bitwie, która czekała jego towarzysza. Carnival zabiła boga i ukradła jego moc, a jego bracia wysłali człowieka, żeby ją zabił -- wyjątkowo silnego, to prawda, ale tylko człowieka. Choć Caulker miał wokół siebie rozległą pustynię, czuł się jak uwięziony między dwiema wielkimi, zbliżającymi się do siebie ścianami.

Gdzieś za nimi zahuczały syreny portowe, niczym pożegnalny lament.

ROZDZIAŁ 11

KWAŚNY DESZCZ

--Nie, w dzień szlak karawanowy jest zbyt niebezpieczny -- powiedziała Rachel. -- Spine są wszędzie, ścigają zbiegów, którzy tędy próbują uciekać. I nie tylko oni. Kiedy byliśmy w Sandport, dotarły do nas wieści o atakach pogan. Musimy poczekać do zmroku, a potem skierować się na południowy wschód. -- Narysowała kreskę na piasku. -- A później na wschód przez Skazony Las. -- Zawahała się. To była niebezpieczna trasa, ale jednocześnie ich największa szansa. -- Stamtąd powinniśmy bez przeszkód dotrzeć do Coyle.

Powiększająca się granatowa warstwa dymu pulsowała nad Deepgate toksycznymi kolorami: pomarańczowym, żółtozielonym, żółtym i czerwonym. Rachel i Trench ukryli się w piaszczystej niecce po zawietrznej stronie żelaznej ostrogi, dwieście jardów od otchłani i od tras patroli Spine. Byli wyczerpani po marszu przez zniszczone miasto, a do świtu została tylko godzina, więc zapuszczanie się na Martwe Piaski nie miało sensu. Rachel skorzystała z ostatnich chwil ciemności, żeby zakraść się do obozu na peryferiach i zdobyć zapasy na dalszą podróż. Udało się jej znaleźć worek z ubraniami robotników, apteczkę, ramię ze świńskiej skóry, cztery butelki wody i żłobkowany nóż kuchenny. Miała również ze sobą sztylet zabrany ze świątyni mistrzowi Spine.

Teraz wstawał świt, a ona rozpaczliwie potrzebowała snu. Siedziała w cieniu ostrogi i opatrywała zranione skrzydła swojego towarzysza. Czerwony opar unosił się nad miastem jak krwawa zasłona. Wschodzące słońce przedzierało się przez nią, nadając Martwym Piaskom kolor spalonej skóry.

--Nie powinniśmy zwlekać -- upierał się Trench. Jego posępna mina nie pasowała do młodzieńczej twarzy, którą sobie przywłaszczył, ale oczy jarzyły się pomarańczowym blaskiem irytacji jak u Dilla. -- Zasłona gęstnieje. Przed zapadnięciem nocy Ikaraci mogą mieć dość siły, żeby odzyskać swoje postacie. Wtedy wszyscy w Deepgate umrą.

Rachel wskazała na wschód, gdzie nad Martwymi Piaskami wisiał jeden z trzech kościelnych sterowców.

--Szukają nas. Dostrzeżliby nas, zanim pokonalibyśmy pół mili. Nie mamy wyboru. Musimy zostać tutaj do zmroku.

Trench burknął coś gniewnie. Jego oczy pociemniały. Rachel próbowała doszukać się w nich jakiegoś śladu Dilla, znaku, że dusza jej przyjaciela nadal jest połączona z tym ciałem. Ale jej nadzieje szybko zgasły. Towarzysz podróży był kimś zupełnie obcym.

Czekali więc w cieniu ostrogi, śpiąc na zmiany i wypatrując pościgu. Słońce ledwo przebijało się przez mrok, łańcuchowe miasto dymiło, jęczało i skrzypiało. Sterowce przelatowały nad Martwymi Piaskami, ale poszukiwania wkrótce przeniosły się daleko za Deepgate.

Rachel spała niespokojnie. W jej snach odległe hałasy -- eksplozje w Kuchniach Trucizni i straszliwe zgrzyty przeciążonych łańcuchów -- zmieniały się w odgłosy machin wojennych podobnych do ogromnych insektów albo szkieletowych wież, które buchały syczącymi strumieniami gazu.

Obudziła się koło południa i stwierdziła, że cuchnącym powietrzem jest coraz trudniej oddychać. Z czeluści napływał ciepły wiatr, niosąc ze sobą odór paliwa. Niebo było jeszcze

groźniejsze niż do tej pory, a klębiące się na nim dymy zmieniały barwę z jadowitych różów i czerwieni na łagodne żółcie i srebrzyste błękity.

Trench we śnie odwrócił się na plecy i przygniótł sobie skrzydła, tak że otworzyły mu się rany od pęt Spine. Najwyraźniej wraz z duszą Dilla utracił zdolność regeneracji, którą młody anioł zyskał dzięki anielskiemu winu Devona.

Rachel wyjęła z apteczki gazę i oczyściła jego pióra z krwi, a potem na nowo zabandażowała jedno z głębszych cięć. Trench obudził się, ale nie protestował przeciwko jej zabiegom. Kiedy skończyła, przesunął się na skraj ostrogi i spojrzał w kierunku miasta.

Między kotłującym się niebem a karmazynowymi mgłami, wstającymi z otchłani, śmigwały ciemne kształty, niczym szmaty niesione przez wiatr.

--Co to za opary? -- zapytała Rachel.

--Krew zmarłych -- odparł Trench. -- Jest w niej dość mocy, żeby nakarmić duszę w tym świecie. Mesmeryści nasączają nią ziemię, zanim ich wojownicy postawią na niej stopę. W ten sposób żywią swoją armię. Bez niej żołnierze zwiędliby i umarli. -- Zatoczył ręką krąg. -- Zaslona wkrótce zakryje wszystko. Kiedy dotrze do morza, mesmeryści zbudują statki z krwi, metalu i dusz.

--Możemy ich powstrzymać?

--Nie, dopóki brama pod miastem pozostaje otwarta.

Rachel zacisnęła zęby.

--Ulcis ostrzegal nas, że zbudował swój pałac na bramie do Piekła.

Trench wyglądał na zaskoczonego.

--Znałaś go?

--Znałam jego córkę. -- Rachel była ciekawa, gdzie teraz jest Carnival. Ostatniej nocy z jakiegoś powodu nie udała się zasadzka Spine. -- Kiedyś staliśmy razem nad bramami Piekła.

--Brama to niewłaściwe słowo. Labirynt istnieje w innej rzeczywistości niż ta. Odkąd Ayen zapieczętowała Niebo, Labirynt rośnie, wywiera ciśnienie na ten świat. Membrana między dwoma królestwami robi się coraz cieńsza. Najslabsza jest w miejscach, gdzie do Piekła wlewa się najwięcej dusz -- na polach bitew albo w miastach dotkniętych plagą, jak Cog w Pandemerii.

--Kościół Ulcisa?

--Świątynia Deepgate karmiła boga łańcuchów, nie Labirynt. Brama pod jego pałacem była mało istotna, nie stanowiła wielkiego zagrożenia dla niego ani jego kościoła.

--Ale potem on zginął.

Archont pokiwał głową.

--A jego śmierć spowodowała napływ dusz do Piekła.

Gorzki smak wypełnił usta Rachel. W Noc Blizn była świadkiem śmierci boga łańcuchów. W wilgotnej celi na dnie otchłani patrzyła, jak córka Ulcisa się pożywia. Zabijając własnego ojca, Carnival nieświadomie skazała Deepgate na Piekło.

Rachel próbowała znowu zasnąć, ale cuchnąca mgła, która wypływała z otchłani, piekła ją w gardle i wyciskała z oczu ciepłe, gęste łzy. Sen, kiedy w końcu przyszedł, przyniósł koszmary.

Gigant kroczący przez Martwe Piaski w jej stronę, ogromna szkieletowa postać z kości i metalu. Ogniste kule spadające z nieba uderzają w ziemię wokół niego z hukiem dudniących bębnow. Jego wyszczerzone oblicze pochyła się nad nią...

Trench obudził ją, potrząsając za ramię. Niebo było jeszcze ciemniejsze, powietrze

wypełniał odór rozkładających się trupów. Rachel zakaszlała i splunęła, czując wstrętne osad na zębach.

--Jak długo spałam? -- zapytała. -- Która godzina? -- Miała wrażenie, że jej stawy i płuca są wypełnione piaskiem.

--Popołudnie -- odparł anioł i dodał ze zniecierpliwieniem: -- Zaslona robi się niebezpiecznie gęsta. Krzyczałaś przez sen.

--To tylko koszmar senny.

--Nienaturalny. To powietrze nie jest zdrowe. -- Trench pokazał na wschód. -- Coś się stało ze sterowcami.

Daleko na Martwych Piaskach Rachel zobaczyła trzy oddalone od siebie źródła ognia.

--Spadły -- powiedział archont. -- Jeden po drugim. Nie potrafię tego wyjaśnić.

Carnival?

Rachel nie dostrzegła nawet śladu anielicy, ale kto inny mógł strącić sterówce na ziemię? Heshette? Mało prawdopodobne. Aeronauci Deepgate zawsze trzymali się poza zasięgiem strzał wroga.

I wtedy asasynka popatrzyła na piasek wokół siebie. Niebieski i zielony popiół osiadł miękkimi jasnymi kupkami na stu jardach pustyni i wyglądał jak kępy porostów. Ale kiedy Rachel poruszyła je czubkiem buta, zaśmierdziały rdzewiejącym metalem.

Od strony łańcuchowego miasta dobiegł głuchy grzmot. Snopy białych iskier strzeliły w górę, lśniąc na tle wielkich ciemnych słupów dymu z płonącego paliwa.

--Kuchnie Trucizn -- stwierdziła Rachel. -- Deepgate nie przetrwa długo.

--Więc się pospieszmy.

Trench wstał i rozpostarł skrzydła. Przez jedno uderzenie serca był sylwetką na tle ciemnych chmur, czerwonego dymu i spadających gwiazd, a w następnej chwili niebo za nim rozblysło białym światłem.

Deepgate eksplodowało.

Rachel uderzyła głową w metalową ostrogę, kiedy gwałtowny podmuch pchnął ją do tyłu. Zobaczyła płomienie, usłyszała wybuch, potężny i straszny jak śmiertelny okrzyk boga, a potem tylko przeraźliwy wizg. Ognista kula o niewyobrażalnej wielkości rozkwitła nad otchłanią. Srebrnobiałe błyski oświetlały całą okolicę, w miarę jak grzyb się rozrastał, zasysając gigantyczny słup białego dymu i iskier.

Rachel chwyciła Trencha za ramię i zaciągnęła go pod osłonę ostrogi.

Strugi piasku zaatakowały z wyciem żelazną barykadę. Wściekły łoskot wstrząsnął ziemią. Ostroga zadrżała i jęknęła, a potem lekko się przechyliła.

Cisza.

Przez gęste tumany kurzu asasynka zobaczyła, że Trench kuli się obok niej. Żwir zabębnił o ich skórzane zbroje. Otaczały ich nieprzejrzyste, skłębione chmury bieli i różu, ale Rachel dostrzegła w górze ciemniejsze kształty.

Gruz?

Zaczął spadać wokół nich jak grad. Kawalki metalu i kamienie zadudniły o piasek. Większość odłamków była nie większa niż miecz albo głowa człowieka, ale uderzały w ziemię z dostateczną siłą, żeby zabić. Coś huknęło w żelazną barierę, z brzękiem, od którego ścierpły im zęby. Rachel pchnęła Trench pod przechyloną ostrogę i sama podpełzła do niego. Niska osłona

o szerokości niecałej stopy była lepsza niż nic. Asasynka wcisnęła się pod nią, podczas gdy szrapnele bombardowały pustynię wokół ich prowizorycznego schronienia, wzbijając tumany piachu i kolorowego popiołu.

O ich barykadę bębniły mniejsze pociski, ale Rachel czuła głębsze, gwałtowne wstrząsy przebiegające przez ziemię. Z daleka dobiegał zgrzyt rozrywanego metalu, trzask i loskot kamieni... werbel śmierci dla miasta.

Rachel nie potrafiła stwierdzić, ile minut minęło, zanim nawałnica najpierw zelżała, a potem całkiem ustała. Wokół nich zapadła głęboka cisza. Asasynka wytarła piasek z piekących oczu.

--Jesteś cały? -- Co ci chemicy tam zmagazynowali, że wywołało tak potężną eksplozję? -- Trench?

--Wszystko w porządku.

Powietrze raptem się ochłodziło. Jakby w reakcji na wybuch, od pustyni powiał zimny wiatr.

I zaczął padać deszcz.

Najpierw łagodnie, potem z rosnącym wigorem tłuste, czarne krople chłostały piasek pustyni, bębniły o żelazną osłonę. Rachel zakryła nos i usta. Ta woda cuchnęła jak...?

Kiedy usłyszała krzyk Trench'a, zrozumiała, że to wcale nie jest woda.

ROZDZIAŁ 12

DROGA DO PANDEMERII

Po jakimś czasie Jack Caulker znienawidził mgłę. Była wilgotna, ponura, uciążliwa, denerwująca, przygnębiająca, uporczywa, wieczna. Spędzał czas na wymyślaniu kolejnych przymiotników. Jak Kotwica mógł wytrzymać w tej szarówce przez większość życia? Wielkolud też zaczął go irytować. Niezmiennie w dobrym humorze, nucił wesoło, maszerując przez Martwe Piaski, a z jego wielkiej, czarnej twarzy nie schodził radosny uśmiech.

Czy ten drań w ogóle był człowiekiem?

Wilgotny półmrok przesłaniał wszystko z wyjątkiem pięćdziesięciu jardów wokół nich, tak że orientacja na tym pustkowiu była bardzo utrudniona. Już dwa razy Caulker był zmuszony cofać się po własnych śladach, żeby ominąć ruchome piaski.

Na południe od szlaku karawanowego teren opadał łagodnie ku rozległej wilgotnej niecce, gdzie miejscami spod piachu wybijała z bulgotem trująca woda. Cała okolica była zatruta przez Skażony Las, najstraszliwsze dzieło chemików Deepgate. Caulker w miarę możliwości zamierzał obejść z daleka to przekłete miejsce. Poza tym większość czystych źródeł znajdowała się po północnej stronie szlaku. Mówiono, że zasila je podziemna rzeka płynąca z samego Czarnego Tronu. Na tej drodze musieli obawiać się jedynie patroli Spine i band Heshette, którzy zapuszczali się tu z północy, żeby polować na wędrowców.

Po wyczynach Kotwicy w Haku Wdowy grupki świątynnych zabójców albo pogańskich kozojebców były najmniejszym zmartwieniem Caulkera. Kiedy więc usłyszał jeźdźców zbliżających się od północy, nawet poczuł pewną ulgę. Drobną rzeź mogłaby przynajmniej rozproszyć nudę.

John Kotwica zawołał do jeźdźców, jeszcze zanim ich ujrzeli -- co zaniepokoiło Caulkera o wiele mniej niż powód, dla którego wielkolud to zrobił. Gdyby gigant trzymał gębę na kłódkę, Heshette mogliby spokojnie minąć ich w tej mgle. Ale słysząc głos podróżnego, natychmiast zmienili kurs. Całkiem rozsądnie, pomyślał Caulker w pierwszej chwili, bo Kotwica potrzebował dusz, żeby nakarmić boga, którego statek ciągnął za sobą.

Tyle że, o czym rzezimieszek wkrótce się przekonał, Adamantowy Człowiek nie przywołał jeźdźców, żeby ich zabić albo obrabować. Prawdziwa przyczyna, dla której zdradził swoją pozycję, przechodziła ludzkie pojęcie.

Z mgły wyłoniło się sześciu obdartych wojowników w gabardynowych szatach koloru piasku i z chustami na twarzach. Dosiadali mizernych koni, obwieszonych plemiennymi fetyszami z kości i piór, wskazujących na klan i rangę, i byli uzbrojeni głównie w sztylety i maczugi, choć paru ścisłało w rękach dłuższe, zakrzywione miecze.

--*Bara aresh!* -- wykrzyknął osobnik jadący na czele grupy. -- To droga kości. Płaćcie myto albo utoczmy waszej krwi. -- Zatrzymał się na widok upręży Kotwicy i liny wznoszącej się ku niebu. Jego chudy koń stanął dęba, aż zabrzęczały fetysze wplecione w grzywę. Jeździec bez trudu okiełznał zwierzę, nie odrywając wzroku od wielkoluda. Uniósł sztylet i warknął: -- *Corras? Arramon?*

--Nie rozumiem tej mowy -- powiedział Kotwica. -- Mówisz językiem Siedmiu? Nowych Bogów? Ten znam.

--To twoi bogowie -- odparł wojownik w narzeczu dolnej Coyle. -- Nie moi.

Gigant się rozpromienił.

**--Rozumiem. Powiedz mi, przyjacielu, gdzie jest łańcuchowe miasto? Mój przewodnik... --
Wzruszył ramionami, wskazując na Caulkera. -- To dobry człowiek, ale chyba się zgubił we
mgłę. Idziemy do przodu, a potem zawracamy. Wciąż w przód i w tył. Lepiej maszerować cały
czas przed siebie.**

**Caulker uniósł brwi. Kotwica zatrzymał się tylko po to, żeby spytać o drogę? W dodatku
tych przeklętych dzikusów? Czyżby nie miał pojęcia o życiu? To prawdziwy cud, że Heshette
jedynie zażądali myta. Normalnie poderżnęliby im gardła i zabrali wszystko.**

Ciemne oczy wojownika zmierzyły olbrzymia znad chusty.

**--Na północny zachód -- rzekł w końcu Heshette, pokazując ręką. -- Dwie mile. Dalej szlak
skręca na południe, a potem znowu na zachód. Po co tam idziecie? -- Zerknął na linę. -- W
Deepgate nie zostało nic oprócz płomieni i trucizn.**

Kotwica uśmiechnął się szeroko.

--Jestem... jak to mówicie?... Podróżnikiem.

--Podróżnikiem?

**--Podróżnikiem z Burzliwego Wybrzeża. Słyszeliście o nim? Dobre niebieskie homary i
piwo. Najlepsze w całej Pandemerii.**

Wojownik nagle parsknął śmiechem. Pozostali nomadzi mu zawtórowali.

**--Nie, przyjacielu -- powiedział Heshette. -- Nie znam twojego kraju rodzinnego, ale
możesz swobodnie podróżować po naszym. -- Schował sztylet i zsiadł z wierzchowca. -- Zjedz z
nami chleb i powiedz, co to za dziwna lina.**

**--Lina? -- Kotwica obejrzał się za siebie. -- A, tak, czasami zapominam. Pokażę wam, jak
zjemy. To nic wielkiego.**

**W ten sposób Caulker znalazł się przy obozowym ognisku z lajna tuż przy szlaku
karawanowym i wziął razem z grupą dzikusów udział w uczcie złożonej z podplomyków, mleka
wielbłądziego i koziego mięsa. Jeździec, który pierwszy się do nich odezwał -- wysoki, chudy
mężczyzna o nazwisku Harranel Ramnir -- okazał się ich przywódcą. Z wyraźnym południowym
akcentem przedstawił swoich ludzi Kotwicy i Caulkerowi.**

Rzezimieszek wcale nie próbował zapamiętać ich nazwisk.

**Pod chustami wszyscy dzicy wyglądali tak samo: twarde, ogorzałe twarze i postrzępione
brody. Z początku rzucali niespokojne spojrzenia na linę giganta, ale on nie przejawiał ochoty,
by o niej mówić, więc go nie naciskali. Wkrótce powietrze wypełnił zapach pieczonego mięsa.
Każdy z Heshette w taki czy inny sposób został naznaczony przez choroby i trucizny, które
armia Deepgate wykorzystywała w walce z pustynnymi plemionami, jak wyjaśnili Johnowi
Kotwicy, kiedy zapytał ich o rany.**

**--Od trzech dekad toczą z nami wojnę -- powiedział Ramnir. Był dziesięć lat starszy od
swoich ludzi, miał rzadką, czarną brodę, długi nos i ciemne, poważne oczy. -- My jesteśmy Mer-
Heshette z południowej strony drogi kości. -- Wskazał kierunek kawałkiem podplomyka. --
Łańcuchowi ludzie zatruli źródła i wypędzili nas na północ, na ziemie nomadów i Krwawych
Heshette, gdzie jest niewiele pastwisk. Złe lata. Wiele rodzin zginęło. Ci, którzy przeżyli ataki,
głodowali, kiedy wyzdychały nasze stada.**

**--To zły sposób prowadzenia wojny -- zgodził się Kotwica, kiwając głową. Jego grzmiący
głos był pełen smutku. -- Zbyt okrutny.**

Konieczny sposób prowadzenia wojny, pomyślał Caulker, odrywając kawałek mięsa od kości i żując go wolno. Zlikwidować kobiety i dzieci, a dzikusy nie będą się mogły mnożyć. Oni też polują na cywili, na mieszkańców Deepgate i Sandport. Patrząc na nich teraz, czuł wyłącznie niechęć. Uniósł kubek mleka wielbłądziego i wychylił go, mając nadzieję, że wypłucze paskudny smak z ust.

--Kiedyś mieliśmy wojnę na Burzliwym Wybrzeżu -- ciągnął Kotwica. -- Wiele lat temu, zanim mesmeryści przybyli do Pandemerii. Brownslough to kraina na północ od nas, dużo błota i węgla. Handlowaliśmy z nimi, ale oni mieli wokół siebie tylko ład. Chcieli naszych portów w Herrul i Opos, więc zjawili się z armią. -- Klasnął w dłonie, aż zakołysała się lina za jego plecami. -- Ludzie z Brownslough nie są okrutni, tylko głupi. Na Burzliwym Wybrzeżu nasze dzieci najpierw uczą się walczyć, a potem chodzić. Rozumiecie? Wielki błąd ze strony Brownslough. Dostali nauczkę, wrócili na północ i teraz znowu z nimi handlujemy. Wszystko jest dobrze.

--Tyle krain... -- powiedział Ramnir w zadumie. -- Nie wiedziałem, że świat jest taki duży. My, Heshette, całkiem się odizolowaliśmy, skupieni na zniszczeniu łańcuchowego miasta i tych, którzy nas prześladują. Podobno nasz lud kiedyś wędrował po całym świecie, ale teraz nienawiść nie pozwala nam spojrzeć dalej, poza obecny konflikt. Gdybyśmy otworzyli oczy, zobaczylibyśmy, że nic tutaj nie zostało.

--Nienawiść to trucizna -- zgodził się gigant. -- Ilu was jest, wszystkich razem?

Jeździec westchnął.

--Zostało mniej niż sto pięćdziesiąt plemion. Może sześć tysięcy ludzi.

Kotwica odchrząknął.

--To niewiele -- przyznał. -- Chodźcie do nas, na Burzliwe Wybrzeże. Mamy dość ziemi. Urządzimy wielkie przyjęcie, będziemy się bawić przez miesiąc albo dłużej. Sześć tysięcy, powiadasz? -- Wielkolud zastanawiał się przez chwilę. -- Możecie łowić ryby, nie ma problemu, i budować domy. Moi ziomkowie pomogą wam je zbudować. Jeśli zechcecie, damy wam wyspę. Mamy mnóstwo wysp. I dużo zwierzyny: dzikie świny, gareny, niedźwiedzie, ptactwo.

Ramnir się uśmiechnął.

--Szczodra propozycja, ale wątpię, czy twój lud chętnie przyjmie aż tylu obcych.

--Nie znasz mieszkańców Burzliwego Wybrzeża -- rzekł z uśmiechem olbrzym. -- Bardzo gościnni. Jeśli mnie nie będzie, powiedzcie, że John Kotwica pozwolił wam zostać.

Caulkerowi zrobiło się niedobrze. Ten drań naprawdę proponował schronienie gromadzie barbarzyńców? Z pewnością musiał mieć inny motyw. Czyżby mieszkańcy Burzliwego Wybrzeża byli kanibalami? Trwające przez cały miesiąc przyjęcie oznaczałoby dużo ognisk i kotłów. Rzezimieszek słyszał o takich rzeczach w czasach, kiedy żeglował.

Przywódca Heshette poklepał giganta po ramieniu, ale nic nie odpowiedział.

Tymczasem Kotwica zaczął rysować palcem mapę na ubitym piasku.

--To wasza kraina -- wyjaśnił. -- A tu jest Morze Piaskowe, widzicie? Żółte wody. To wszystko wokół. -- Kilka stóp dalej naszkicował kilka małych okrągłych kształtów. -- Te wyspy nazywamy Ogonem Dymu. Są tam wielkie góry i brzydki zapach.

Wyspy Wulkaniczne. Caulker pamiętał je z map, które kiedyś oglądał. Statki misjonarzy z Deepgate zapuszczały się w tamte okolice.

--Teraz spójrzcie tutaj. -- Kotwica narysował kolejną linię brzegową, dwa razy dalej niż

Wyspy Wulkaniczne, po drugiej stronie oceanu. -- To jest Pandemia. Wysoka Meria, tutaj... BrownsloUGH i... Burzliwe Wybrzeże. -- Dzielił kontynent, kreśląc linie na piasku. Ostatni zawijas okazał się półwyspem na południowym krańcu dużego lądu.

Caulker wykonał w myśli parę obliczeń. Pandemia leżała kilkaset mil od najdalszej wyspy archipelagu, do której dotarły statki misjonarzy, po drugiej stronie Gniewnego Morza, jak je ochrzczono po zatonięciu wielu ekspedycji. Tamtejsze wody, mówiono, były tak groźne, że marynarze bali się na nie wyprawiać. Ale nowe lądy oznaczały handel i zysk. A skoro John Kotwica je przemierzył...

W jaki sposób?

Na statku swojego boga? Caulker przez chwilę się zastanawiał, czy Cospinol nie przyjąłby na pokład jeszcze jednego pasażera... ale na wspomnienie upiornego okrętu aż ścisnęło go w gardle. Mniejsza o wielkie zyski.

--Potrzebujecie statków -- stwierdził Kotwica. -- Mocnych statków. Tutaj i tutaj są bardzo niebezpieczne morza. -- Narysował zygzaki na Gniewnym Morzu, dzieląc je prawie na pół. -- W tym miejscu kiedyś stoczono wielką bitwę, dużo okrętów zatonoło. Potem Iril otworzył wielkie drzwi pod wodą i coś przez nie uciekło.

--Potwór? -- zapytał Caulker. Był tak skupiony na mapie rysowanej przez wielkoluda, że całkiem zapomniał o Heshette.

--Nie. -- Kotwica zamyślił się, marszcząc brwi. -- Raczej kawałek Piekła. Jak to, co robią mesmeryści.

--Mesmeryści? -- Caulker już słyszał od olbrzyma to określenie. -- Ci ludzie, którzy przybyli do Pandemii.

--Przybyli do Pandemii, ale to nie są ludzie. Na wschodzie mamy z nimi wielkie kłopoty. Myślę, że wy też ich zobaczycie. Teraz przyjdą tutaj. -- Spojrzał ostro na Ramnira i dźgnął palcem w środek mapy, pokazując Martwe Piaski. -- Otwierają się wielkie drzwi od Piekła, wychodzą przez nie mesmeryści. Tak było w Pandemii i w Deepgate. Dużo krwi.

Jeździec spojrział gigantowi w oczy i zapytał:

--Co tutaj robisz, Johnie Kotwico? Co jest przyłączone do drugiego końca liny?

Tytan głęboko westchnął.

--Idę do Deepgate z dwóch powodów -- odparł. -- Po pierwsze, żeby kogoś zabić. Może ona jest anielicą, może półbogiem, nieważne. To zadanie nie jest łatwe. Drugie... -- Wyprostował się. -- Drugie też nie jest łatwe.

Przez następną godzinę mówił o bogu, którego statek powietrzny ciągnął za sobą.

--Cospinol będzie teraz próbował zapieczętować bramę pod Deepgate, ale jest dużo rzeczy do zrobienia, czyha wiele niebezpieczeństw. Jeśli mojemu panu się nie uda, to będzie dla was kłopot. Nie macie tu innych bogów, żadnych silnych armii, żeby walczyły z mesmerykami. Ta ziemia stanie się Piekłem, tak myślę. -- Pokiwał głową i wskazał palcem odległy ląd, który narysował po drugiej stronie Gniewnego Morza. -- Jeśli nie wrócę z Deepgate, lepiej znajdźcie statki i tam popłyńcie.

Z nieba lały się kwas i trucizna. Thusty, kolorowy deszcz zraszał Martwe Piaski, sycząc i dymiąc w zetknięciu z ziemią. Chłostał pagórki niebieskiego i zielonego popiołu, zmieniając je w tłące się błoto, uderzał w wierzch przechylonej ostrogi, pod którą Rachel i Trench próbowali

się schować. Ale choć dla asasyunki było dość miejsca pod wąską osłoną, tak że tylko kilka kropeł prysnęło jej na kolana, z archontem sprawa wyglądała inaczej.

Rachel bez powodzenia usiłowała wciągnąć go pod żelazny daszek. Miał za duże skrzydła. Po prostu nie było tam miejsca dla nich obojga.

Trench krzyczał, kiedy zabójczy deszcz palił jego pióra i ścięgna.

--Połóż się! -- wrzasnęła Rachel. -- Zasypiemy ci skrzydła piaskiem.

Jednakże kiedy chciała to zrobić, Trench wpadł w panikę i zaczął z nią walczyć, nie zważając na nic oprócz własnego bólu. W ślepych przerażeniu wypchnął ją spod osłony i próbował wcisnąć się na jej miejsce. Nawet wtedy nie mógł zmieścić skrzydeł. Odwrócił się i przywarł plecami do przechylonej ostrogi, ale teraz z kolei miał wyeksponowaną głowę i szyję.

Krzyknął.

Leżąc na zewnątrz, Rachel była wystawiona na zrąca ulewę. Smród palonej skóry wypełnił jej nozdrza, gdy krople zabębniły o zbroję. Asasyunka wczolgała się z powrotem pod osłonę. Chwilę później piekący ból w plecach i na nogach uświadomił jej, że kwas przeżarł się przez ubranie. Czym prędzej przeturlała się po ziemi i nasypała piasku na uda.

Gdy deszcz ustał, w powietrzu zawisł odór zwęglonego ciała i skór. Trench leżał na parującej ziemi i posykiwał cicho. Jego skrzydła... skrzydła Dilla wyglądały jak czarna mierzwa. Wszystkie pióra się spaliły, odsłaniając duże pory o czarnych brzegach i białe kości.

Wielki pióropusz białego dymu, który wzbil się nad otchłanią, przesłonił niebo jak gaza. Ciemnoczerwone i czarne chmury wiatr rozerwał i przepędził nad pustkowie. Martwe Piaski dymiły z sykiem i migotały w blasku słońca. Smugi cuchnącej pary unosiły się nad wydmami, odłamki metalu lśniły bielą w miejscach, gdzie wbiły się w piasek. Kolorowy popiół rozpuścił się bez śladu w kwaśnym deszczu.

--Zapomniałem, czym jest prawdziwy ból -- rzucił Trench, zaciskając zęby. --

Przepraszam, że naraziłem cię na niebezpieczeństwo, Rachel Hael. Zachowałem się haniebnie.

--Zapomnij o tym -- zbyła go Rachel.

Wiedziała, że w zestawie pierwszej pomocy nie ma nic na uśmierzenie bólu. Spine nie uważali środków przeciwbólowych za rzecz niezbędną w apteczce. Mogła więc tylko patrzeć, jak Trench cierpi.

Jakoś udało mu się dźwignąć z ziemi. Strzępy kolczugi zsunęły mu się z pleców, odsłaniając pasy czerwonego ciała pokryte pęcherzami. Ze spalonych skrzydeł odpadały kawałki skóry.

--Świat się zmienił, odkąd tu byłem ostatnio -- wysapał. -- Co mogło spowodować taką eksplozję?

--Paliwo? Nie wiem. W Kuchniach Trucizn było zmagazynowane wszystko, co wynaleźli nasi chemicy.

--Zasłona zniknęła -- zauważył Trench.

Rachel nie mogła na niego patrzeć. Nawet teraz dym unosił się z kropeł trucizny, które przykleiły się do jego zmaltretowanych skrzydeł. Słońce przeświecało przez krwawe wachlarze z kości i skóry. Twarz archonta pobladła, ale oczy były ciemne z gniewu.

--Sprawdźmy zniszczenia -- powiedział.

Ruszyli w stronę brzegu przepaści. Anioł utykał, więc Rachel zwolniła kroku, żeby się do niego dostosować. Bała się zaproponować mu pomoc, zresztą i tak nie miałyby odwagi dotknąć

jego spalonego ciała.

Podróż trwała całą wieczność, ale w końcu dotarli w okolice południowej krawędzi dymiącej otchłani. Na wschód od nich blaszane baraki osiedla robotników zajmujących się odbudową miasta lśniły nowością, wyglądały jednak na opuszczone. Rachel nie widziała śladu życia na zakurzonych ulicach, tylko metalowy szkielet sterowca i jego wypolerowane żebra rozrzucone na obszarze ponad stu jardów.

Stanąwszy na skraju czeluści, Rachel spojrzała w dół i nie zobaczyła nic oprócz białego smogu.

--Miasto zniknęło -- stwierdziła. -- Nie.

I wtedy pośród unoszących się oparów Rachel dostrzegła zarys najpierw jednego, potem dwóch i wreszcie czterech łańcuchów fundamentowych. Między nimi zwisała poszarpana sieć mniejszych łańcuchów poprzecznych, a na nich po kilkadziesiąt domów i mostów. Na samym środku zięjącej otchłani unosiła się, niczym wyspa na oceanie mgły, wielka czarna bryła.

--Świątynia -- powiedziała Rachel. -- To cholera nie chce spaść. Wielka budowla, nadal odwrócona do góry nogami, przetrwała wybuch. Dziesiątki tysięcy ludzi uwięzionych w środku nie mogły teraz z niej uciec.

Trench odwrócił się i rzucił szorstko:

--Musimy iść. Nic się nie zmieniło i mesmeryści wkrótce wrócą. -- Zrobił krok, potknął się i syknął z bólu. Skrzydła zwisały mu z ramion jak parująca peleryna.

Rachel wyczuła swąd spalenizny.

--Zaczekaj -- powiedziała. -- Obejrzę twoje rany.

--Nie ma czasu -- wykrztusił Trench. -- Moja wiadomość... -- Zgiął się wpół i osunął na kolana.

Asasynka zbadła go i stwierdziła:

--Trucizny nadal wypalają ci ciało. Nie możesz tak dalej iść.

--Więc usuń mi skrzydła -- zażądał archont. Rachel tylko na niego popatrzyła.

--Masz nóż -- przypomniał Trench.

--Kuchenny. Chodźmy do koszar świątynnej gwardii i poszukajmy...

--Nie mogę zwlekać -- warknął anioł, po czym wziął głęboki wdech, żeby się opanować. --

Wybacz. Te skrzydła są teraz bezużyteczne, więc amputacja wydaje się najszybszym i najbardziej praktycznym rozwiązaniem. Proszę.

--Tutaj?

--Tutaj.

Rachel wyjęła z apteczki dwie opaski uciskowe i owinęła nimi nasady obu skrzydeł archonta. Przetarła skórę alkoholem i zmusiła Trencha do wypicia reszty butelki. Potem dała mu do przygryzienia skórzany rzemień. Klęcząc przed nią na piasku, anioł syczał i pojękiwał, kiedy przeprowadzała operację, ale nie poruszył się ani nie krzyknął.

Kiedy było po wszystkim, Rachel polala rany resztką whisky i mocno zabandażowała kikuty. Z worka wyjęła koszulę roboczą i narzuciła ją Trenchowi na plecy.

Po raz kolejny wyruszyła na Martwe Piaski w towarzystwie anioła. Ale tym razem było inaczej. Ciało jej przyjaciela przywłaszczył sobie jeden z jego przodków, a dusza rezydowała w labiryncie Irila pośród niezliczonych zmarłych. Gdyby Dill kiedyś wrócił, odkryłby, że już nigdy nie będzie latał.

W okolicy nie było żadnych Spine, ale Rachel postanowiła trzymać się pierwotnego planu. Świątynni asasyni nadal patrolowali główne szlaki karawanowe wokół Deepgate, a ona nie wiedziała, ile jeszcze mają sprawnych sterowców. Kierując się na południowy wschód w stronę Skażonego Lasu, podróżowali w miarę możliwości nocą, żeby dotrzeć do Sandport w ciągu sześciu albo siedmiu dni.

Trench szedł sztywno. Słońce stało nisko, więc na piasek przed nim padał długi cień, ale nie był to już cień aniola. Bezskrzydły i odziany w stare lachy, z łatwością mógł być wzięty za zwykłego robotnika. Na jego smukłej twarzy gościł posępny wyraz, a oczy należące do dużo starszego człowieka nie pasowały do przywłaszczonego ciała młodego aniola. Ale kiedy spojrzał na Rachel, dostrzegła w nich błysk pożądania, który widziała już wcześniej.

Archont szybko odwrócił wzrok.

--Tak długo byłem martwy -- powiedział. -- W Piekłe ból i żądza są tylko wspomnieniami. Można nauczyć się nad nimi panować, zapomnieć o nich. Natomiast żywi są ofiarami swojej własnej krwi.

--Widać, że nie spędziłeś dużo czasu ze Spine -- stwierdziła Rachel.

Trench chrząknął.

--Oni też się zmienili od czasów, kiedy żyłem. -- Zerknął na swoje okaleczone ręce, na zabandażowane kikuty palców. -- Opowiedz mi o moim potomku. Jaki był Dill?

--Irytował mnie, kiedy go poznałam -- wyznała asasynka. -- Kapłani Deepgate wychowali go w przeświadczeniu, że świat działa w określony sposób. Chronili go przed wszystkim, nawet zabraniali mu latać. To była tylko kwestia czasu, kiedy się zbuntuje.

--I pomogłaś mu w tym? -- domyślił się Trench.

Rachel wzruszyła ramionami.

--Zrobiłam to tylko po to, żeby rozzłościć kapłanów, odegrać się na nich. W końcu zrozumiałam, że on jest jedyną niezepsutą istotą w tym świecie. Myślę, że ukrywali przed nim swoje okrucieństwo, bo stanowił ideał, w którym już nie potrafili rozpoznać siebie.

--Był wojownikiem?

Asasynka dobrze pamiętała, jak niezręcznie Dill obchodził się z mieczem, kiedy próbowała nauczyć go walczyć. Był najmniej pojętym uczniem, jakiego w życiu widziała. Ale potem przypomniawszy sobie, jak wkroczył między nią a armię Ulcisa na górze kości. Próbował nawet bronić Carnival.

--Tak -- odparła zdecydowanie. -- Był.

--W takim razie Pierwsza Cytadela będzie go chronić tak długo, jak się da. Hasp się nie rozczaruje. Z otwartymi ramionami przyjmuje dzielnych, a karze niegodnych.

--Hasp?

--Hasp jest dowódcą Pierwszej Cytadeli i bratem Ulcisa. Już wcześniej interesował się Dilem.

Brat Ulcisa? Strach przebiegł po plecach Rachel.

--Dlaczego twój dowódca tak się interesuje Dilem?

Archont spojrzał na nią dziwnie.

--Dill wrócił z Piekle -- odparł krótko.

Jakiś czas później dotarli na skraj skamieniałego lasu porastającego pasmo wysokich wydm. Przed nimi na tle ciemniejącego nieba rysowały się twarde konary. Te drzewa były

martwe od prawie trzech tysięcy lat, kiedy to Ulcis spadł z nieba, zamieniając te ziemie w pustynię. Pnie, czarne i szkliste jak obsydian, ostro kontrastowały z miękkim białym piaskiem. Rachel nabrała garść pyłu i przesiała go między palcami. Ziarenka lśniły jak szkło z próbek rozbitych w drobny mak.

Z otchłani nadal wydobywały się opary i dryfowały na północny zachód. Powodem mógł być po prostu zmierzch, ale Rachel się wydawało, że wyziewy przybrały czerwonawą barwę. Czyżby na nowo zaczynała się formować zasłona mesmerystów?

Podążali krętą ścieżką między kamiennymi drzewami. Zapadał mrok, a piasek pod ich stopami zmieniał kolor z białego na rdzawoczerwony. Rachel słyszała odgłosy niebezpiecznych żyjątek buszujących pod piachem, wypatrywała zagłębień w ziemi. Ale spojrzeniem wciąż wracała do baldachimu nad ich głowami. W miarę jak niebo ciemniało, a krystaliczne kolce odbijały ostatnie promienie słońca, gałęzie ożywały mrugającymi światełkami. Wkrótce migotał cały las, ustrojony we własne gwiazdy.

Trench zatrzymał się i oparł o pień, żeby odpocząć. Twarz miał ściągniętą i popielatą.

--Wciąż zapominam, że to nie moje ciało -- powiedział, zadyszany. -- Ma pewne ograniczenia.

--A twoja dusza w Piekło ich nie ma?

Archont pokręcił głową.

--Dusza jest eteryczna. W Labiryncie Iрила jesteś tym, za kogo siebie uważasz. Twój własny umysł decyduje o formie i jej ograniczeniach... w granicach rozsądku. Przed mesmerystami większość duchów zachowywała swoje pierwotne postacie. W Piekło okazało się, że wyglądam prawie tak samo jak za życia: archont dosyć podobny do twojego Dilla, aczkolwiek trochę wyższy i potężniejszy.

--Jak umarłeś, Trench?

--Carnival mnie zabiła.

Rachel osłupiała.

--Kościół wysłał mnie za nią w pościg -- wyjaśnił anioł. -- Byłem drugim synem mojego ojca, a więc spisany na straty. Trenowałem codziennie przez dwadzieścia lat, ale ona mnie pokonała. -- Uciekł spojrzeniem w bok. -- A że tej nocy już ucztowała, zostawiła moją duszę Piekłu.

--Przykro mi.

--Niepotrzebnie. Udało mi się zadać jeden dobry cios. Niewielu może się pochwalić, że zostawiło Carnival bliznę. -- Przez dłuższą chwilę patrzył na drzewa. -- Wiem, że ona nadal żyje gdzieś na tym świecie. Zamierzam jej poszukać, jak już dostarczę wiadomość.

--A co kiedy ją znajdziesz?

Trench wyprostował się z uśmiechem.

--Zabiję ją.

Wkrótce potem trafili na niezwykley trop. W czasie szkolenia Spine Rachel odbywała długie wędrówki przez Martwe Piaski, ale teraz w żaden sposób nie potrafiła dociec, skąd się wziął ten osobliwy ślad. Nigdy jeszcze takiego nie widziała. Musiało tędy przejść stworzenie dużo większe niż pustynny krab czy wąż, bo zostawiło za sobą płytki, kręty rów. Nie było w nim żadnych odcisków stóp, ale istota chyba dorównywała wielkością człowiekowi. I pełzła po ziemi jak robak.

Trop biegł tą samą trasą, którą zamierzała pójść Rachel, ponieważ w tym kierunku znajdowały się jedyne źródła czystej wody w promieniu wielu mil. Gdy spojrzała za siebie, stwierdziła, że ślad zaczyna się blisko miejsca, gdzie weszli do skamieniałego lasu.

--Jakieś pomysły? -- zapytała.

--To żadne ze znanych mi zwierząt -- stwierdził Trench.

Idąc wzdłuż tajemniczych śladów, dotarli na drugą stronę lasu. Dalej teren opadał ku wschodowi, północy i południu -- był to rozległy obszar jasnych, pofałdowanych wydmy i ciemniejszych zarośli. Na północy, w okolicach Czarnego Tronu i szlaku karawanowego, widok zasłaniał dziwny wał chmur albo mgły, podobny do ciemnoszarej zasłony dymu, jakby płonęło tam inne miasto.

Jakaś anomalia pogodowa?

Rachel spojrzała na wschód. Na horyzoncie rysował się poszarpany kontur Gór Łupkowych, za którymi znajdowało się Żółte Morze. Niebo było usiane milionami gwiazd. Rzeka Coyle, słabo widoczna srebrzysta linia, wiała się przez równinę u stóp wzgórz, ale Rachel nie mogła dostrzec w mroku żadnych nadrzecznych miast.

Zobaczyła natomiast inne światła.

Kilka mil na południowy wschód od miejsca, gdzie stali, na Martwych Piaskach jarzyła się wielka fosforyzująca plama. Z tej odległości wyglądała jak wesole miasteczko albo świąteczna dekoracja, tak jaskrawe były kolory. Różne odcienie akwamaryny, fioletu, żółci i ochry pulsowały, przemieszczały się i zlewały ze sobą pod nocnym niebem. Ślad, wzdłuż którego podążali przez spetryfikowany las, prowadził dalej w dół zbocza właśnie w tamtą stronę. Trench pokazał ręką.

--Co to za miejsce?

--Skażony Las -- odparła Rachel.

--Zaczarowany?

--Niezupełnie.

--Więc dlaczego tak migocze?

--Chemicy Deepgate pomalowali go toksynami -- wyjaśniła Rachel. -- Wpadli na ten pomysł w czasie Południowych Czystek. Kamienne drzewa miały być ostrzeżeniem dla ocalałych plemion, demonstracją potęgi łańcuchowego miasta. Ale teraz jest to również pułapka dla nieostrożnych, bo każda gałąź i kolec są przesycone truciznami. Jedno zadrapanie może zabić.

--A uważny człowiek może tamtędy przejść bez szwanku? -- zapytał Trench.

--To nie takie proste, bo pod piaskiem są trujące korzenie i nory, które wydzielają toksyczne opary. Wydmy wciąż się przesuwają, a wraz z nimi sprawdzone szlaki. Czasami drzewa są całkowicie zasypane, tak że nie wiadomo, po czym się idzie. Na pozór bezpieczna ścieżka często okazuje się śmiertelnie groźna. -- Rachel otarła pot z czoła. -- Naukowcy z Deepgate potraktowali drzewa jak płótno, barwili trucizny, wymyślając coraz bardziej podstępne sposoby na zabijanie wrogów. Las stał się ich terenem doświadczalnym, a każdy chemik starał się przyćmić dokonania swoich kolegów.

Trench odkręcił butelkę z wodą i pociągnął z niej łyk.

--Moglibyśmy go ominąć?

--Potrzebujemy wody -- przypomniała Rachel. -- Jedyne czyste źródło w promieniu wielu mil znajduje się w Skażonym Lesie. -- Spojrzała na północ, na dziwny wał mgieł wiszący nad

Martwymi Piaskami, i zmarszczyła brwi.

Wyglądało na to, że ściana przesuwa się na południe w ich stronę.

Caulker nienawidził koni. Śmierdziały tak samo jak jadący na nich Heshette i były równie wychudzone. Co gorsza, był zmuszony dzielić miejsce na grzbiecie zwierzęcia z jednym z jaskiniowców. Siedział teraz na kościstym wałachu i krzywił się przy każdym jego stąpieniu, podczas gdy brodaty towarzysz spokojnie kołysał się do rytmu jazdy. W dodatku dzikus miał nienaturalną słabość do tego bydłęcia. Wciąż je poklepywał i głaskał po karku, mamrocząc mu coś do ucha w pogańskim narzeczu. Zdaniem Caulkera, traktował swoje zwierzę całkiem jak żonę.

Kotwica kroczył na przodzie, gawędząc z Ramnirem. Przywódca Heshette dosiadał konia, ale znajdował się niemal twarzą w twarz z gigantem. Często oglądali się na Caulkera i mówili coś do siebie szeptem, a potem we mgle rozbrzmiewał gromki śmiech Kotwicy i niósł się wzdłuż długiego szeregu jeźdźców. Tego ranka ich liczba powiększyła się z sześciu do trzydziestu ludzi. Pierwsza grupa najwyraźniej była częścią większej.

--Twój pan ma dobre serce -- powiedział towarzysz Caulkera. -- I wesolek w niego.

--Raczej idiota -- mruknął Caulker. -- I nie jest moim panem.

Ale wśród pogan rosła sława Kotwicy. Ramnir wysyłał jeźdźców, żeby rozgłaszali wieści i jednocześnie zasięgali języka u innych plemion. Za każdym razem, kiedy zwiadowcy wracali, przyprowadzali ze sobą kolejnych dzikusów, chętnych obejrzeć wielkoluda i jego linę. Kotwica witał ich wszystkich szerokim głupkowatym uśmiechem.

W ten sposób docierały do nich strzępy wiadomości. Potężny wybuch wstrząsnął Deepgate, zasypując gruzem całe mile pustyni. Żaden z nomadów nie zapaścił się tak daleko, żeby przyjrzeć się łańcuchowemu miastu, ale mówiono, że zniszczenia są ogromne. Czerwona mgła, która spowijała Deepgate, zniknęła, co bardzo ucieszyło giganta.

Dwoje towarzyszy anielicy z bliznami przed trzema tygodniami przewieziono sterowcem do łańcuchowego miasta. Jedno z nich -- kobietę Spine -- widziano później, jak uciekała przez południowe Martwe Piaski w towarzystwie mieszkańca osiedla robotników z Deepgate. Ostatnio zmierzali w stronę Skażonego Lasu, więc Kotwica postanowił wybrać okrężną drogę, żeby ich poszukać. Samej Carnival nikt nie widział, ale zniszczenie trzech sterowców poprzedniej nocy wskazywało, że anielica może nadal przebywać gdzieś w okolicy.

Przed zmierzchem rozbili obóz, żeby Kotwica mógł omówić najświeższe nowiny ze swoim panem. Rozmowa polegała na tym, że wielkolud zadawał pytania szeptem, a potem słuchał niesłyszalnych odpowiedzi boga, marszcząc w skupieniu czoło. Kiedy narada dobiegła końca, gigant oświadczył:

--Nie jest dobrze. Cospinol uważa, że wiedźmowa kula go oszukuje. Wciąż próbuje odciągnąć nas od anielicy z bliznami i ostrzega przed zdradą Heshette. Cały czas kłamie. Staruchy zostały zatrute przez Rysa, brata mojego pana.

--Skąd pewność, że kłamią? -- wtrącił się Caulker.

--Bo mówią, że powinniśmy ufać tobie -- odparował Kotwica.

Heshette wybuchnęli śmiechem, ale rzezimieszek tylko prychnął i ciaśniej owinał się kocem. A John Kotwica go nie okłamał, żeby zwabić na to pustkowie? I o czym właściwie wciąż szeptał z Ramnirem? Rzezimieszek zauważył, że ci poganie łypią na niego tak, jakby planowali

zrobić mu krzywdę. Cóż, Jack Caulker nie miał zamiaru im na to pozwolić. Nabral zwyczaju trzymania noża w rękawie i cały czas miał oko na sakiewkę z perłami przytroczoną do pasa wielkoluda.

--Niech twój pan przyśle nam tę wiedźmową kulę -- zaproponował jeden z Heshette. -- Podpieczemy ją na otwartym ogniu, aż zdecyduje się współdziałać.

Kotwica pokręcił głową.

--To tylko kilka wiedź mesmerystów -- powiedział. -- Myślę, że bogowie kazali im wystarczająco cierpieć.

Dzięki temu udawanemu pokazowi współczucia Kotwica zyskał jeszcze większą sympatię wśród tłumu jego wielbicieli, a Heshette, który rzucił pomysł, żeby poddać agenta wroga torturom, został odtrącony przez towarzyszy. Caulker czuł, że żółć podchodzi mu do gardła. Co te dzikusy wiedziały o świecie?

I kim byli mesmerysty?

Sam trochę potrafił wywnioskować na ich temat. Z tego, co mówił Kotwica, wynikało, że mesmerysty są siłą rządzącą w Piekło. Elitarną grupą, która próbuje poszerzyć granice swojego królestwa. Ale czy to nie Iril miał całkowitą władzę w Labiryncie? Niektórzy nawet mówili, że sam Pan jest Labiryntem... Dziwaczny koncept. Czy bóg mógł być Piekłem? Kapłani z Deepgate opowiadali o przypominającym się korzeni pod drzewem, nieskończonym labiryncie czerwonych korytarzy, po którym błakali się potężni. Ale co ci dranie wiedzieli?

Caulker zaczął uważać mesmerystów za królów. Myśl, że Kotwica i jego pan boją się ich, sprawiała mu przyjemność. Ciekawe, jaką władzę posiadli? Patrząc, jak poganie juczą konie, wyobrażał sobie, że ziemia otwiera się pod nimi i powstają z niej czerwoni wojownicy, a spętany gigant pada przed nimi na kolana.

Jak wszyscy inni oszuści z Sandport, Caulker zawsze wiedział, że skończy w Piekło. Łańcuchy Deepgate nigdy nie były dla niego, a do innych pogańskich religii też nie zdołał się przekonać. Pewność potępienia nieraz kierowała jego decyzjami. W przeszłości mordował, kradł, gwałcił i płał się w grzechu.

Skoro miał trafić do Czerwonego Labiryntu, czy nie lepiej być w dobrych stosunkach z jego władcami? Kiedy już znajdzie się w Piekło, może mesmerysty wynagrodzą go hojniej, niż kiedykolwiek uda mu się nakraść na tym świecie. Miał cenne informacje do sprzedania. Gdyby tylko wyblagał u nich audiencję, zanim poczuje nóż na gardle...

Zerknął na niebo, gdzie lina Kotwicy zniknęła w wiecznej mgle. Czymkolwiek była wiedźmowa kula, najwyraźniej wiedziała o jego istnieniu.

ROZDZIAŁ 13

SKAŻONY LAS

Zerwał się wiatr z południa. Cisnął im piachem w twarze, przysypał trop, którym podążali od kamiennego lasu. Rachel potarła oczy i przez chwilę widok przed nią był zamazany.

Przesycony fosforyzującymi toksynami las rozjaśniał wschodni horyzont jak świąteczne dekoracje, splątane gałęzie i pnie pulsowały wściekłą mieszaniną kolorów. Rachel próbowała dopasować do barw nazwy, które chemicy wymyślili dla swoich wynalazków: Gorąca Melasa, S661, Cukrowa Glazura, Zupa Cytrynowa, Czerwona Siódemka, Pastylka Miętowa, Zielone Złoto, Pełzająca Brzoskwinia. Były tam trucizny, które powodowały ślepotę, gnicie kości albo ztwardnienie tkanek, rzadkie środki psychotropowe uzyskiwane ze skóry jaszczurek i żab, z wątroby wieprzy i z anemonów. Kolce lśniły od czerwonych i czarnych jądów lub toksyn przypadkiem wyprodukowanych w laboratorium.

Ten teren był polem doświadczalnym Ministerstwa Nauk Wojskowych i chemicy Deepgate wyżywali się na nim twórczo. Hojnie stosowali żrące smoly, nie zostawiając w spokoju ani jednej gałązki czy skrawka kory, aż w końcu las stał się ich największym dziełem sztuki. Jedno nieostrożne dotknięcie mogło zabić człowieka albo jeszcze gorzej.

Bo nie wszystkie z tych trucizn były śmiertelne.

Chemicy nie tknęli natomiast leśnych źródeł. Była to jedyna czysta woda w promieniu wielu mil, co wielu zdesperowanych nomadów odkryło na własną zgubę.

Rachel zawahała się na skraju kompleksu. Patrząc na te jaskrawe kolory, zrewidowała swój plan. Prawdopodobnie zdołaliby dojść na północy kraniec lasu przed świtem, ruszyć w stronę szlaku karawanowego i rano znaleźć jedno z akolickich źródeł. Ale w ten sposób trafiliby w pobliże patroli Spine albo narazili się na atak pustynnych jeźdźców. Tymczasem gdyby powędrowali dalej na wschód, dotarliby do czystej wody za jakieś dwie godziny i opuścili Skażony Las przed wschodem słońca.

Musieli jedynie zachować czujność.

--Nie dotykaj niczego, rozumiesz? -- przykazała Trenchowi. -- Absolutnie niczego! Większość z tych trucizn wchłania się przez skórę. I trzymaj się blisko mnie, bo czyhają tu również inne niebezpieczeństwa.

Miała na myśli chemikalia, które uznano za zbyt groźne, żeby przechowywać je w Kuchniach Trucizn, i dlatego zakopano pojemniki pod piaskiem. Z tych ukrytych skarbów regularnie wyciekały opary i zabarwiały mgły snujące się między drzewami. Widok był piękny.

Tak więc weszli w dzwoniącą ciszę Skażonego Lasu. Konary splatały się nad nimi w feerii różów, zieleni, błękitów, żółci. Ten oszalamiający spektakl przyćmiewał blask gwiazd, malował piasek różnymi kolorami, ale o łagodniejszych odcieniach. Coś zachrząściło pod nogami Rachel, a kiedy spojrzała w dół, zobaczyła mały szkielecik ptaka o kruchych kościach wypolerowanych przez erozję. Wokół leżały setki innych, o kredowych dziobach i pazurach, o skrzydłach jak ażurowa siateczka. W większych okazach asasynka rozpoznała pustynne jastrzębie, sowy i sępy, ale mniejszych nie umiała nazwać. Widok niezidentyfikowanych szczątków małych, dzielnych mieszkańców Martwych Piasków nappełnił ją głębokim smutkiem. Ile ich dało się zwabić do tej fałszywej oazy, żeby spotkały śmierć?

Sillster Trench nie wyglądał na poruszonego tym miniaturowym cmentarzem. Na jego

twarzy malowało się natomiast coś w rodzaju nabożnego lęku. Niczym uczony, który trafił do niezwykłego muzeum, chodził między jaskrawymi pniami, przyciskając ręce do piersi. Ta postawa, zdaniem Rachel, wyrażała nie tyle strach, ile szacunek.

Spetryfikowany las był nieprzenikniony dla wichrów gnających przez pustynię. Poruszały się tylko wierzchołki najwyższych drzew, szkliste kolce dzwoniły w górze i te drobne dźwięki tylko podkreślały panujący tu spokój. Rachel prowadziła Trencha w gęstwinę, trzymając dłoń na jego ramieniu i wypatrując obnażonych korzeni, o które mogliby się potknąć, czy oparów unoszących się z ziemi. Rozpoznając trucizny po kolorach i fakturze, przypominała sobie ich niestosowne nazwy wymyślone przez chemików. Jeden wygięty pień został pomalowany Kaszłącym Srebrem i spryskany jakimś fioletowym kwasem. Na korze innego drzewa asasyńska dopatrzyła się Krwawego Wapna i EM9 z pasami Kruczej Plamy, Gardła Rosemary, Czerwonej Lili, Psiego Ziela i Generic 120. Przed toksycznymi barwnikami uchronił się tylko piasek i małe szkielety.

Nie było tu żadnej wytyczonej ścieżki ani gwiazd, które wskazywałyby kierunek. Rachel musiała zdać się na zwykły instynkt i nieliczne wspomnienia z jedynej wizyty w tym miejscu.

Miała siedemnaście lat, kiedy Spine przyprowadzili ją tutaj za karę z Hollowhill. Jej ręce, jeszcze zakrwawione po walce z rezerwistami Deepgate, były skute kajdankami i połączone z łańcuchem pętającym szereg Heshette prowadzonych pod sąd Avulsiora. Żaden z jeńców nie rozmawiał z nią, mimo tego, co dla nich zrobiła. Asasyńska wcale im się nie dziwiła. Jako kandydatka Spine mogła obawiać się co najwyżej chłosty albo toksycznych majaków wywołanych przez Devona. Pozostałych więźniów, samych pogan, czekała Studnia Grzeszników.

Siedem mil na zachód od Sandport główny adept Spine oznajmił, że pójdą przez Skażony Las. Jego blada twarz nie zdradzała żadnych emocji, kiedy powiedział jej, dlaczego. Wybrali południową trasę, z dala od ruchliwych szlaków karawanowych, żeby oszczędzić Rachel upokorzenia.

Wśród zatrutych drzew zginęli czterej Heshette. Pierwszy dotknął kory, kiedy grupa zatrzymała się na odpoczynek. Jego krzyki i krwawiące oczy sprawiły, że drugi, młodszy wojownik rzucił się do ucieczki. Biedak -- Rachel pamiętała, że to był jeszcze chłopiec -- w panice potknął się o korzeń bosą stopą. Spotkała go gwałtowna i cuchnąca śmierć. Trzeci, siwobrody idący na końcu szeregu, wciągnął w płuca haust różowego powietrza, zanim adepci Spine popędzili grupę, żeby jak najszybciej wyjść z barwnej mgły. Czwarta ofiara, jedna z młodych kobiet, które Rachel uratowała z namiotów rezerwistów, ze szlochom objęła kolorowy pień i nie chciała go puścić. Adepci ostrożnie odpięli ją od wspólnego łańcucha i zostawili na miejscu. -- Kiedy grupa w końcu dotarła do Deepgate, Rachel nie dostała chłosty.

Teraz popatrzyła na idącego przed nią młodego anioła, na krwawe plamy na plecach jego koszuli, na okaleczone ręce, które trzymał przy piersi, i ogarnął ją smutek. Gdzie jest teraz dusza Dilla? Asasyńska mimo woli zacisnęła dłoń na ramieniu archonta.

Trench obejrzał się na nią i szybko odwrócił wzrok.

Noc się wlokła. Kolce podzwaniały cicho, ocierając się o siebie. Las gęstniał. Niskie, splecione gałęzie trzeba było omijać z wielką ostrożnością. Wszędzie wokół lśniły trucizny. Od czasu do czasu musieli zmieniać trasę, żeby obejść snujące się mgły, pojedyncze słupy gorącego oparu albo zarośla płonące jak kolorowy ogień. Zewsząd atakowały ich chemiczne zapachy,

dziwne siarkowe odory, wyciskające łzy z oczu. Czas niemal stanął w miejscu, jakby znaleźli się w zupełnie innym świecie. Ich kroki były bezgłośnie, bo odruchowo stąpali lekko i starali się omijać szkielety.

To Trench pierwszy dostrzegł sadzawkę między drzewami, nieduże zagłębienie z czystą wodą, otoczone czerwoną, białą i lawendową trawą. Tuż pod powierzchnią wisiała bez ruchu srebrna ryba, nie większa od kciuka Rachel. Blotnisty brzeg znaczyły ślady małych trójpalczastych zwierząt. Ale był tam jeszcze jeden trop, większy i znajomy. Asasynka wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

Dziwna koleina, wzdłuż której szli wcześniej, tutaj znowu się pojawiła.

Rachel ukucnęła, żeby zbadać wilgotną ziemię. Odciski były tutaj wyraźniejsze: płytki równiej więcej szerokości torsu człowieka, otoczony czymś w rodzaju zadrapań. Trop prowadził między drzewa, im dalej od sadzawki, tym słabszy. Obok asasynka nie dostrzegła żadnych śladów stóp czy podków. Cokolwiek zmierzało tędy do wodopoju, pelzło po piasku.

Rachel napelniła wodą butelki, a po chwili wahania -- ryba była żywa, niezmieniona -- spróbowała łyk.

--Jesteśmy w połowie drogi, ale najgorsze jeszcze przed nami -- powiedziała cicho do Trencha, podając mu naczynie. Jeszcze raz z namysłem przyjrzała się dziwnemu falistemu wgnieceniu w ziemi.

Archont napił się wody i oddał jej butelkę. Podczas gdy ona ponownie ją napelniała, znalazł sobie bezpieczne miejsce do siedzenia.

--Chyba przypominam sobie ten las ze swojego poprzedniego życia -- stwierdził. -- Na długo przed tym, jak zmienili go truciele z Deepgate, mój brat i ja polowaliśmy tutaj.

--Na co?

--Na Heshette.

Rachel zmierzyła go chłodnym wzrokiem.

--Nie pochwalasz tego? -- zapytał.

--Robiłam gorsze rzeczy -- odparła asasynka.

Trench uśmiechnął się szeroko.

--Na Ziemi dzieją się okrutniejsze rzeczy niż w Piekło. Może mesmeryści boją się śmiertelników. Potrafią zmieniać dusze jedynie w coś, co rozumieją: maszyny, proste demony. Nie umieją tworzyć nowych ludzi.

--Znają się na niszczeniu.

--Nawet dziecko potrafi niszczyć. -- Archont pociągnął nosem. -- Lepiej już idźmy. To powietrze coraz bardziej cuchnie.

Rachel zauważyła między drzewami chmurę różowego gazu sunącą w ich stronę. Po chwili zastanowienia postanowiła iść wzdłuż istniejącego szlaku. Prowadził mniej więcej we właściwym kierunku, a przemierzając sprawdzony teren, mieli szansę uniknąć pułapek.

Zaledwie dwieście kroków dalej ujrzeni widok tak niezwykły, że przez chwilę Rachel zastanawiała się, czy nie uległa toksycznej halucynacji.

Wśród drzew stał jaskrawo pomalowany wóz. Miał boki z żółtych i zielonych listew, czerwone okiennice, czerwone drzwi i koła z wielobarwnymi szprychami. Z dachu sterczał cienki komin. Długi dyszel z przodu najwyraźniej służył do zaprzęgania koni albo wołu, ale w pobliżu nie było widać żadnego zwierzęcia. Jeszcze zanim Rachel przeczytała napis na jednym

z boków, rozpoznała wóz z Sandport.

Magiczny Cyrk Greene.

Obok wozu stał szalas. Przypominał teatr lalek, ale dużo większy niż normalnie. Deski ozdobiono gwiazdami, tęczami i uśmiechniętymi twarzami. Kłapa z przodu była opuszczona, tak że Rachel widziała w środku scenę z namalowanym tłem.

Nad sceną dyndały dwie marionetki wielkości człowieka, zawieszane na linach przymocowanych do wierzchu budki. Wyglądały na kruche i wychudzone, ale miały dzikie, szkliste oczy i zaślinione usta szaleńców. Były ubrane dość dziwacznie: ta po lewej w garnitur w biało-czarne prążki i czerwoną muszkę, druga -- w pikowaną niebieską kurtkę i zielone gumowce.

Rachel zauważyła, że ich szlak biegnie dalej po drugiej stronie budki. Już miała ruszyć z miejsca, kiedy jedna z lalek przemówiła:

--To pan, panie Partridge?

Okropieństwo wiszące nad sceną wcale nie było marionetką, tylko żywym człowiekiem.

--Pan Partridge? Czekaliśmy całą wieczność na pana powrót.

--To nie on, panie Hightower -- odezwała się druga lalka. -- Widzę go stąd. To nie on, mówię panu. -- Osobnik o wybaluszonych oczach i kłapiącej szczęce łypał z końca sznura na dwoje intruzów. -- Jeden wygląda na anioła, choć pod koszulą zamiast skrzydeł ma krwawe kikuty, a drugi to asasynka Spine.

--Dlaczego wciąż się pan ze mną drażni, panie Bloom? -- zaprotestował pierwszy wisielec.

-- Robi się pan równie złośliwy jak Partridge... a pański dobór słów uważam za wulgarny.

--Wcale nie żartuję, panie Hightower. Proszę spojrzeć, już tu są.

Kiedy Rachel i Trench stanęli przed budką, żywe manekiny mogły zobaczyć ich wyraźnie. Oba wisiały bezwładnie, z ramionami podtrzymywanymi przez linki na różnej wysokości. Ich ciała wyglądały dziwnie, były zbyt miękkie, poruszały się tylko oczy i usta.

--Przepraszam, panie Bloom -- rzekł Hightower. -- Widzę, że choć raz mówił pan prawdę. Ona to rzeczywiście jedna ze Spine. -- Powieka mu zadrgała, na brodę pociekła strużka śliny i zmoczyła kurtkę. -- Powiedz mi, Spine, widziałas naszego pana Partridge'a? Poszedł sobie i znowu nas zostawił.

Rachel przyjrzała się śladom.

--Podejrzewam, że ukrywa się za budką -- powiedziała. -- Czy on... jest w podobnym stanie jak wy?

--Greene go nie powiesiła -- odparł Hightower. -- I dlatego ten szczęściarz wciąż gdzieś się włóczy. -- Jego twarz pofalowała się w dziwnych miejscach. -- Niestety, za bardzo polubił te kolorowe trucizny. Uzależnił się od nich i teraz nie ma żadnych względów dla swoich przyjaciół. Często nas opuszcza. Kiedy się zjawia, to tylko po to, żeby z nas drwić.

--Miał pan na myśli Minę Greene?

--Tak, właśnie ją, lalkarkę. Wybrała się na spacer w zeszłym tygodniu i do tej pory nie wróciła. Mam nadzieję, że wdepnęła w coś brzydkiego. Teraz jest nas tylko trzech, a pan Partridge rzadko tu bywa. Potwornie się nudzimy. Nie moglibyście nas odciąć?

--Niech pan ich nie prosi -- skarcił go Bloom; jakoś udało mu się sapnąć z dezaprobatą. -- Teraz już wiedzą, że nie możemy zejść sami, co skazuje nas na ich łaskę. Powinien pan być ich szukać, panie Hightower, niechby uwierzyli, że odcięcie nas będzie dla nich bardzo korzystne.

--Ale przecież nie będzie.

--Wiem, panie Hightower, ale oni nie zdawali sobie z tego sprawy.

--Och, rozumiem. -- Zbesztamy wisielec powędrował wzrokiem ku Rachel. -- Czy nie zechciałaby nas pani odciąć? Bylibyśmy strasznie wdzięczni za pomoc, a pani odniosłaby wielką korzyść.

Bloom tylko westchnął.

Pan Partridge, pan Hightower i pan Bloom? Te nazwiska brzmiały znajomo. Rachel szybko przeszukała pamięć. Gdzie mogła je wcześniej słyszeć? Nagle zaparło jej dech.

Miękcy Ludzie?

Czyżby to byli trzej naukowcy, którzy wynaleźli anielskie wino na długo przed tym, jak truciciel Devon spróbował ponownie uzyskać ich eliksir? Jak się tutaj dostali? Czy Spine nie usunęli im kości i...?

--Przecież was pochowali. Spine pogrzebali was na Martwych Piaskach ponad trzysta lat temu.

--A panna Greene nas wykopała -- powiedział Hightower. -- Sześć dni temu. Twierdziła, że jest kobietą interesu. Obcięła nam włosy. A potem nas porzuciła i zostawiła tego żalosego, parchatego kundla, żeby pilnował jej wozu.

Rachel pamiętała pupila Miny Greene z Sandport. Raczej nie wyglądał na psa stróżującego.

--Niech pan nie podaje im żadnych informacji -- warknął pan Bloom. -- Informacja to potęga. Ile razy to panu powtarzałem? Teraz wiedzą, kim jesteśmy, więc będą mniej skłonni nam pomóc.

--Mówił pan, zdaje się, że wiedza to potęga.

--To jest to samo, panie Hightower.

--Nie rozumiem różnicy. Jest pan marudny jak zawsze.

Bloom odchrząknął.

--To nie pan był pogrzebany do góry nogami. I tak dalej...

Rachel słuchała tej sprzeczki przez dłuższą chwilę, aż w końcu im przerwała, pytając:

--Gdzie jest teraz Mina Greene?

--Przypuszczam, że w Piekło -- odparł Hightower.

Rachel i Trench wymienili spojrzenia.

--Panie Hightower! -- wykrzyknął Bloom z oburzeniem.

--Nie zamierzam więcej pana słuchać, panie Bloom. -- Wilgotne oczy naukowca skierowały się z powrotem na Rachel. -- Jest w tym lesie moc, są miejsca, gdzie Piekło niemal wypływa na powierzchnię. To z powodu tych wszystkich pogan, którzy tutaj umarli. Piasek wchłonął dużo krwi, rozumie pani. -- Kropla śliny zwisała mu z warg. -- Panna Greene, która kolekcjonuje różne okropieństwa, bardzo się ożywiła, kiedy jej to wszystko wyjaśniliśmy.

--Kiedy pan wyjaśnił -- sprostował Bloom. -- Wtedy nie umiał pan utrzymać języka za zębami i teraz również pan tego nie potrafi.

Hightower wyglądał na urażonego.

--Myślałem, że nas wypuści, kiedy zrozumie, że w pobliżu można znaleźć bardziej interesujące okazy. -- Spojrzał na piasek z żalosem. -- Ale tego nie zrobiła, tylko wybrała się na poszukiwanie duchów w okolicy szczególnie brzydkiej toksycznej jamy. Powiedziała, że

wróci za godzinę albo dwie.

--I to było sześć dni temu? -- upewniła się Rachel.

--Cały las jest pełen małych dziur prowadzących do Pieła -- oznajmił Hightower. -- Musiało się jej przydarzyć coś strasznego.

--On jest taki sam, jeśli chodzi o zjawy -- poskarżył się Bloom. -- Nie przestaje do nich mówić. Tak je zanudzał, że już nawet przestały nas nawiedzać.

--To niesprawiedliwe, panie Bloom.

W tym momencie Rachel postanowiła ich opuścić. Nie musiała iść daleko, żeby znaleźć pana Partridge'a. Tak jak podejrzewała, leżał za budką. Gdy ujrzała jego galaretowate ciało w czarnym garniturze i białej koszuli z żabotem, nasunęło się jej skojarzenie z przerośniętym ślimakiem. Partridge miał szopę siwych włosów i szkliste oczy, które patrzyły w dwóch różnych kierunkach jednocześnie. Lizał korzeń drzewa pokryty czerwonymi i czarnymi plamami.

--Nie robiłabym tego na pańskim miejscu -- odezwała się asasynka.

Partridge jakoś zdołał się obrócić, wykonując serię gwałtownych ruchów.

--Tak się składa, że akurat ta trucizna jest jedną z moich ulubionych -- rzekł mentorskim tonem jak nauczyciel upominający ucznia. -- Pomaga mi jasno myśleć i przynosi ulgę mojemu swędzącemu kręgosłupowi.

--Nie ma pan kręgosłupa.

--Oszalała pani? -- obruszył się Miękki Człowiek. -- Oczywiście, że nie mam kręgosłupa. Odwrócił się i zaczął lizać korzeń.

Rachel doszła do wniosku, że dalsza rozmowa z tymi ludźmi nie ma sensu. Wszyscy trzej najwyraźniej byli stuknięci. A skoro toksyny nie mogły zabić pana Partridge'a, równie dobrze mogła zostawić go w spokoju. Potrząsnęła głową i wróciła do Trencha.

Hightower i Bloom nadal się sprzeczali.

--Wydają się nieszkodliwi -- stwierdziła asasynka. -- Powinniśmy ich odciąć.

--I co wtedy zrobią? -- rzucił archont burkliwym tonem, patrząc z pogardą na dwie żywe marionetki. -- Będą trzepotać się na ziemi jak ryby? Nie lepiej zostawić ich tam, gdzie są? Jeśli stąd odejdą i ktoś ich znajdzie, nie będą mieli jak się obronić.

--Chcą być wolni.

Trench wzruszył ramionami.

--Jak sobie życzysz.

Kolejno uniósł obu mężczyzn, a Rachel przecięła sznury. Hightower i Bloom nie przestawali się klócić, dopóki nie położono ich bezwładnych ciał obok siebie na piasku.

--Jesteśmy na dole, panie Bloom.

--Widzę, panie Hightower.

Rozejrzeli się wokół siebie, jakby chcieli poznać świat z nowej i dziwnej perspektywy. Hightower pierwszy spróbował się poruszyć. Napinając mięśnie pleców, rąk i nóg, zaczął pełznąć. Udało mu się przesunąć o cal do przodu, ale spadł mu kapelusz z głowy.

--Widział pan, panie Bloom? Mogę się przemieszczać.

--Istotnie, panie Hightower!

--Zróbmy wyścigi!

--Wyścigi, panie Hightower? -- Bloom był wyraźnie podekscytowany. -- Tak, tak, ale dokąd?

--Do pana Partridge'a oczywiście. Zamorduję lotra za to, że wciąż nas zostawia samych.

--Ja pierwszy go zabiję, panie Hightower. Ja pierwszy!

Wijąc się i pochrzając z ożywieniem, dwaj Miękcy Ludzie ruszyli przed siebie niczym para ślimaków bez skorup.

Od wieczora ich liczba znowu się powiększyła. Do czterdziestu jeźdźców Heshette dołączyło dwunastu pieszych, trzy stare wiedźmy, które twierdziły, że są wyroczniami, dwa psy i stado kóz.

Wieść o poszukiwanych zbiegach dotarła do nich, kiedy znajdowali się niecałe pół mili od Skażonego Lasu. Jeden ze zwiadowców wrócił na spienionym koniu i oznajmił, że widział na własne oczy, jak asasynka Spine i jej towarzysz weszli pomiędzy zatrute drzewa.

Ramnir zmarszczył brwi i zwrócił się do Johna Kotwicy:

--Ten las to niebezpieczne miejsce. Chemicy z Deepgate poddawali tam próbom wszystkie trucizny ze swojego arsenału.

Wielkolud wzruszył ramionami.

--Dla mnie to nic strasznego. Ja tak łatwo nie umieram.

--Ale twoja lina może się zaplątać w konary.

--To się często zdarza. -- Gigant posłał mu szeroki uśmiech. -- Po prostu idę dalej i już.

Ramnir roześmiał się i poklepał go po plecach.

--W takim razie nasi starcy i kobiety zaprowadzą stada na wschodni kraniec lasu. A wojownicy wejdą z tobą w knieję, Johnie Kotwico.

Jack Caulker łypnął na niego spode łba. Nie podobało mu się, że ci poganie tak bardzo przywiązali się do giganta. Najwyraźniej nie zamierzali odstępować go na krok. Na pewno mieli oko na perły Kotwicy, a tylko udawali przyjaźń. Teraz byli nawet gotowi wejść do Skażonego Lasu. Wszyscy, którzy się tam zapuszczali, wychodzili obłąkani... jeśli w ogóle wychodzili.

Cóż, Caulker nie miał zamiaru się do nich przyłączyć.

--Pojedziemy ze stadami i zaczekamy po drugiej stronie lasu, na wypadek gdyby ci dwoje się wam wymknęli -- oznajmił.

Po tych słowach pozostali jeźdźcy parsknęli śmiechem i nazwali go tchórzem. Jego towarzysz z siodła śmiał się równie głośno jak tamci.

--Więc nie całemu stadu przypadnie polowanie, bo jedną sztukę wiozę przed sobą! -- zawołał. -- Słyszeliście, jak beczala?

Caulker zagotował się ze złości. Gdzie jest Eric Młot, kiedy on potrzebuje siły mięśni, by udowodnić, że ma rację? Ci idioci zginą w Skażonym Lesie. Uśmiechnął się pod nosem, bo właśnie przyszedł mu do głowy pomysł, w jaki sposób mógłby zmienić sytuację na swoją korzyść. Przerzucił nogę przez koński grzbiet, żeby zsiąść, ale w tym momencie jego towarzysz popędził wierzchowca. Caulker stracił równowagę i spadł niezgrabnie na piasek.

Heshette zareagowali salwami śmiechu i gwizdami.

Rzezimieszek wstał, czerwony z gniewu.

--Gdyby ktoś z was miał dość odwagi, żeby ze mną walczyć... -- zaczął. Kilkanaście mieczy ze świstem wysunęło się z pochew.

Caulker poczuł, że krew odpływa mu z twarzy.

--Wtedy oczywiście odmówiłbym -- dokończył pospiesznie. -- Pustynni ludzie nie są moimi

wrogami. Dzielił się ze mną ogniem i wodą, za co jestem wam wdzięczny. Jeśli kiedyś będziecie w Sandport, poszukajcie mnie, żebym mógł się zrewanżować. -- W duchu pomodlił się, żeby skorzystali z zaproszenia. Eric Mlot znalazł urzędnika portowego, który zbierał uszy Heshette. -- Wydaje mi się jednak, że czyhają na nas wielkie niebezpieczeństwa. Wszyscy jesteśmy zmęczeni po długiej jeździe, a w Skażonym Lesie człowiek potrzebuje sprytu i czujności, żeby przeżyć.

--Nie jesteśmy zmęczeni -- zapewnił Ramnir, chowając miecz. -- To była zwykła przejażdżka.

--W takim razie podziwiam nie tylko waszą hojność, ale również wytrzymałość. Ja jestem żeglarzem, nieprzywykłym do koni i piasku. -- Przeciągnął się i skrzywił. -- Kości mnie bołą, skórę mam otartą. Obawiam się, że będę dla was ciężarem.

Jeden z Heshette splunął z pogardą.

--Jesteś moim przewodnikiem -- przypomniał twardo Kotwica. -- Potrzebuję cię.

--Zdaje się, że znalazłeś sobie lepszych przewodników -- odgryzł się rzezimieszek.

--Ale lubię ciebie, Jacku Caulker. -- W uśmiechu giganta czaiło się coś złowieszczonego. -- Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, a ty nadal jesteś moim... eee... dłużnikiem, tak? Chyba nie zerwiesz umowy?

Na wspomnienie szklanego paciorka, który roztrzaskał, uśmiechnął się z przymusem i powiedział do Ramnira:

--Wspaniałomyślność Johna Kotwicy niemal dorównuje waszej. Był taki dobry, że dał mi perłę z duszą. Posiada ona wielką moc, którą człowiek może przejąć, kiedy zje koralik. -- Z żalem wruszył ramionami. -- A ja głupi go rozbiłem. -- Westchnął. -- Taka strata jest teraz szczególnie przykra. Myślę, że wszystkim nam przydałoby się więcej siły i wytrzymałości, skoro mamy towarzyszyć Kotwicy i narażać się na liczne niebezpieczeństwa.

Dostrzegł cię przebiegający po twarzy wielkoluda i szybko odwrócił wzrok. Właśnie. Nie masz wielkiej ochoty podzielić się swoją mocą z tymi poganami, co?

Żaden z Heshette się nie odezwał. Kilku zerknęło na sakiewkę przy pasie wielkoluda i szybko odwróciło wzrok. Konie zarżały.

--John Kotwica już dużo nam dał -- oświadczył w końcu Ramnir. -- Nie trzeba nas przekupywać obietnicą mocy.

Ale Kotwica nagle się rozpromienił.

--Nie. Jack Caulker ma rację. Mam mnóstwo dusz. Zapraszam chętnych.

Odczepił sakiewkę od pasa, ale żaden Heshette nie wystąpił do przodu. Wszyscy mieli niepewne miny.

Jack Caulker nie był taki skromny. Sięgnął do woreczka i wyłowił z niego jeden szklany koralik. Paciorek zaślnił w szarym świetle dnia wewnętrznym blaskiem.

--Dziękuję, Kotwico -- wymamrotał rzezimieszek i połknął perłę. Dziki śmiech rozbrzmiał mu w uszach, jakby do jego głowy został wpuszczony duch obłąkanej kobiety. Świat zawirował mu przed oczami i Caulker raptem zobaczył, że stoi na krawędzi stromej urwiska przyprawiającego o zawrót głowy i patrzy w dół na zamgloną dolinę porośniętą zielonymi drzewami iglastymi. Tuż pod nim krążyły we mgle wielkie orły. Caulker poczuł na twarzy zimne górskie powietrze i zapach igieł sosnowych. Podmuchał wiatru przyprawił go o dreszcz, przesywając na wskroś ciało pod cienką, zwiewną szatą.

Suknią?

W tym momencie dwie potężne dłonie chwyciły go za ramiona. Caulker zdążył jeszcze się obejrzeć i zobaczyć drewnianą uprząż, linę prowadzącą do nieba, ciemną twarz i grube wargi rozciągnięte w wielkim uśmiechu... zanim John Kotwica pchnął go w ziejącą przepaść.

Rzezimieszek runął jak kamień ku wierzchołkom drzew. Niedorzeczna suknia łopotiała mu wokół uszu, jego krzyki mieszały się z obłąkańczym śmiechem kobiety. Zielone gałęzie pędziły mu na spotkanie...

Runął na piasek.

Gdy otworzył oczy, patrzyli na niego stojący w kręgu jeźdźcy Heshette i John Kotwica. Któryś koń parsknął niespokojnie.

Wielkolud uśmiechnął się szeroko.

--Zjadłeś duszę pewnej starej akuszerki -- oznajmił. -- I umarłeś jej śmiercią w Fortecy Rockwall.

--Umarłem jej śmiercią? -- jęknął rzezimieszek.

--Tak. Polykając perłę Cospinola, doświadczasz ostatnich chwil duszy, która jest w niej zamknięta. -- W skupieniu zmarszczył brwi. -- Jakie to słowo? Esencja... Tak, teraz żyje w tobie jej esencja. -- Nagle się zaśmiał. -- I dzięki temu jesteś taki silny jak ona.

Caulkerowi drżały ręce i nogi, serce tłukło mu się w piersi. Nadal czuł woń zimnego górskiego powietrza.

--To było okropne -- wymamrotał. -- Zabijeś ją. Strącisz z urwiska.

--Z murów Rockwall -- przyznał Kotwica. -- Hrabia Lat z Grenere poprosił mnie, żebym się pozbył tej kobiety. Wiele niemowląt zmarło pod jej opieką. Bardzo podejrzane.

Caulker wstał chwiejnie. Z pewnością nie czuł się silniejszy niż do tej pory.

--Nigdy więcej nie chcę czegoś takiego doświadczyć -- powiedział. -- Ale doświadczysz -- rzucił Kotwica wesoło. -- Jej ostatnie myśli i przeżycia teraz należą do ciebie. Ta śmierć będzie ci się śnić jeszcze wiele, wiele razy. To jest właśnie kłopot z perłami Cospinola... te koszmary.

Caulker poczuł się chory, schwytny w pułapkę, pokonany. Dlaczego musiał wybrać akurat tę perłę ze wszystkich dusz bogów, archontów i wojowników, których gigant z pewnością miał w swojej sakiewce? Akuszerkę morderczynię! Czyżby Kotwica go oszukał? Na myśl o przeżywaniu na nowo tego upadku, ogarnęła go rozpacz. Czy jeszcze kiedyś będzie spał spokojnie?

Heshette odmówili przyjęcia perł z duszami i teraz zachowywali się z pewną wyższością.

Caulker przeklął ich wszystkich w duchu. Im dłużej się zastanawiał, tym większą zyskiwał pewność, że wielkolud specjalnie podsunął mu akurat tę bezwartościową perłę. Kotwica nie był wcale taki głupi i gadatliwy, jakiego udawał. Najwyraźniej miał wobec niego jakiś plan... a rzezimieszkowi wcale się to nie podobało.

Ale jeśli Kotwica sądził, że może manipulować Jackiem Caulkerem, to go nie doceniał. Rzezimieszek nie przeżyłby tak długo, gdyby nie był sprytny. A teraz znajdzie sposób, żeby odegrać się na gigancie.

W jego głowie już zaczynał się rysować pewien plan.

Konni wojownicy Heshette zostawili kobiety i starców, żeby przepędzili stada na wschodni kraniec Skazonego Lasu, a sami ruszyli z Kotwicą i Caulkerem w stronę boru. Wkrótce zamajaczyła przed nimi we mgle płatanina fosforyzujących gałęzi jak z narkotycznego snu. Na

skraj lasu Kotwica zatrzymał się i oznajmił:

--Ja pójdę pierwszy i oczyszczę ścieżkę dla koni.

Zatarł wielkie ręce, aż zadrżała lina przyczepiona do jego uprzęży, i pomaszerował prosto w gęstwinę.

Jack Caulker obserwował wielkoluda z lekkim uśmiechem w kącikach ust i czekał, aż drasną go pierwsze trujące kolce.

Wielka lina utknęła w koronach drzew, ale Kotwica nie zwracał na to uwagi, tylko ciągnął ją głębiej w las. Skamieniałe gałęzie były w stanie ugiąć się tylko trochę, a potem pękały i sypały się w dół na giganta jak kawałki kolorowych glazurowanych naczyń. Kotwica strząsał te skorupy z pleców i uprzęży, a większe konary odkopywał na boki.

Caulker nadal patrzył i czekał. Ale gigant parł przed siebie, najwyraźniej odporny na wszelkie trucizny. Lina zaczepiała się o płataniny konarów, gałązek i kolców, a potem wlokła je za sobą i rozrywała.

Kiedy jeźdźcy Heshette spięli konie ostrogami i ruszyli za wielkoludem, Caulker syknął do swojego towarzysza z siodła:

--Nie jedź tam, bo obaj zginiemy.

--Gdzie idzie John Kotwica, tam my idziemy -- oświadczył wojownik. -- Tak!

Popędził wałacha i chwilę później znaleźli się w Skazonym Lesie.

Dwunastu jeźdźców utworzyło szereg z Ramnirem na czele. Przywódca Heshette zachowywał rozsądną odległość od giganta, żeby uchronić się przed lecącymi z góry odłamkami, ale często musiał opuszczać szlak wyrąbany przez Kotwicę i wybierać krętą drogę między drzewami, żeby ominąć sterty gruzu, który już spadł. Z mgły wylaniały się poskręcane gałęzie, ale Heshette zręcznie prowadzili między nimi konie.

Kotwica przedzierał się przez las jak dzik, podnosił kawałki połamanych drzew i ciskał je na bok. Jego ręce wkrótce były całe kolorowe, ale żadna z trucizn najwyraźniej na niego nie działała.

Czyżby toksyczny las stracił swoją moc?

Caulker wkrótce miał się o tym przekonać.

Grupa pokonała niecałe ćwierć mili, kiedy straciła pierwszego jeźdźcę. Smukły, młody mężczyzna o cynicznym spojrzeniu, właściwie jeszcze chłopak, jadący na małej jasnobrązowej klaczy, należał do Klanu Gawrona, który dołączył do nich poprzedniego wieczoru. Prowadzeni dalej przez Kotwicę Heshette dotarli do na pozór bezpiecznej polany, oazy pośród krzykliwych kolorów, gdzie po chłodnym białym piasku wily się grube ciemne korzenie. Drobną klacz nomady potknęła się na miękkim podłożu i wysunęła poza kolumnę jeźdźców o dwa kroki. Nim złapała równowagę, przednią pęcina musnęła kleisty granatowy korzeń.

Trucizna podziałała szybko i gwałtownie. Nieszczęsny, wierzchowiec nagle stanął dęba. Młody Heshette utrzymał się w siodle i jakoś udało mu się okiełznać przerażone zwierzę. Niestety, nic nie mogło uratować klaczy. Na jej pęcinie wykwitły małe czerwone pęcherze. Na oczach Caulkera zrobiły się czarne i twarde. Polanę wypełnił odór zepsutego mięsa, a towarzyszył mu odgłos pękającej skóry. Koń wierzgnął, zarżał przeraźliwie i, z oczami dzikimi od strachu i pianą tryskającą z pyska, popędził na oślep prosto w gąszcz cytrynowych i brzoskwiniowych krzewów.

Zamiast zeskoczyć z siodła, wojownik próbował skierować konia w inną stronę, z dala od

trujących drzew. Słyszając zamieszanie, John Kotwica odwrócił się i ryknął ostrzegawczo z drugiego końca polany. Natychmiast rzucił się na ratunek młodemu Heshette, ale było już za późno.

Koń i jeździec wpadli w gęstwinę.

Wierzchowiec upadł, ciągnąc swojego pana za sobą w ostre zarośla. Całe przednie nogi i pierś zwierzęcia pokrywały czarne pęcherze. Bąble pękały i wylewała się z nich mleczna ciecz. Klacz parskala i kopała dziko, rozbijając skamieniałe krzaki wokół siebie.

Jeździec wypadł z siodła... ale nie z zagajnika. Udało mu się wstać i chwiejnym krokiem wyjść z chaszczy; z jego nagich ramion sterczały kolce i ułamane gałązki. Zrobił pięć kroków i wtedy trucizny zaczęły działać. Na obu jego rękach pojawiły się żółte i brzoskwiniowe pręgi, błyskawicznie rozprzestrzeniając się po całej skórze. Chłopak krzyknął i upadł twarzą w piasek, trzymając się za gardło, jakby walczył o oddech.

Zwalisty wojownik o długich czarnych włosach zeskoczył z konia i chciał pobiec mu na pomoc, ale Ramnir warknął:

--Nie dotykaj go! Wojownik się zawahał.

Przywódca Heshette sięgnął po łuk, nasadził strzałę na cięciwę i wycelował w rannego. Z gardła chłopca wydobywało się rżenie, z ust otoczonych żółtą pianą wysunął się czarny, spuchnięty język. Skóra na ramionach stwardniała i zaczęła pękać, odsłaniając białe bąble.

Strzała Ramnira przeszła szyję umierającego. Młody Heshette zacharczał po raz ostatni i znieruchomiał.

Na polanie zapadła cisza, nie licząc nerwowego parskania koni. Wierzchowiec nomady leżał martwy w połamanych zaroślach, parując w chłodnej mgle. Jego skórę pokrywały twarde, czarne pęcherze podobne do gawronich oczu.

--Nie dotykać trupów -- ostrzegł Ramnir.

--To miejsce nie jest dobre dla twoich koni -- zwrócił się do niego John Kotwica. -- Człowiek może ominąć drzewa, ale zwierzęta są płochliwe i nieprzewidywalne... Trudno je ostrzec przed niebezpieczeństwem.

Przywódca Heshette pokręcił głową.

--Nasze zwierzęta zostaną z nami.

--Więc musimy się pospieszyć. -- Olbrzym wskazał na gęstą żółtą chmurę, która sunęła w ich stronę między szklistymi pniami. -- Nadciąga mgła.

Prowadzeni przez niego wojownicy mocniej ścisnęli wodze i popędzili konie w głąb Skażonego Lasu.

Kiedy Rachel otworzyła drzwi wozu cyrkowego, powitało ją ciche warczenie. Na pustej pryczy siedział mały pies: żalosne stworzenie o szorstkiej sierści i postrzępionych uszach. Groźnie lypał na intruza czarnymi, okrągłymi oczami. Asasynka wzięła go na rękę.

--Biedactwo.

Kundel próbował ją ugryźć, ale był za mały, żeby zrobić jej krzywdę.

--Gdzie twoja pani? -- zapytała Rachel, tarmosząc jego uszy. -- Opuściła cię, tak?

Po lalkarce nie było śladu, ale wszystkie jej rzeczy leżały nietknięte w kolorowym wozie, który okazał się dużo bardziej przestronny, niż wydawało się z zewnątrz. Jedną część przeznaczono na mieszkanie. Znajdowała się w niej wąska koja, kilka szafek zastawionych

książkami, garnkami i naczyniami, mały zlew, wiadro i nieduży piec. Dalej drzwi prowadziły do części magazynowej, gdzie Mina trzymała swoje skarby. Gdy Rachel ruszyła w ich stronę, do środka zajrzał Trench i powiedział:

--Lepiej poszukaj zapasów. Grzebanie w tym śmietniku nic nam nie da.

--Widziałam ten cyrk w Sandport -- powiedziała Rachel. -- Muszę tylko coś sprawdzić.

Wcisnęła się w wąskie przejście między ścianą ze skrzyń do pakowania a półkami pełnymi różnych dziwnych eksponatów: psich czaszek, małpich łap, koralików, drewnianych figurek, szklanych kul, butelek i słoików, w których pływały zdeformowane stworzenia. Była wśród nich martwa ryba ze szczęką najeżoną zębami ostrymi jak igły, małe szkieleciki i groteskowe istoty ze zbyt dużą liczbą oczu albo kończyn. Niektóre wyglądały na częściowo ludzkie.

--Nawet za moich czasów w Deepgate nie brakowało kuglarzy i oszustów -- powiedział Trench, siadając na pryczy. -- Nie ma tutaj żadnej magii. To tylko plody wielbłądów i innych zwierząt.

--Ta kobieta przyjechała do Sandport i pokazała coś... -- Rachel wzruszyła ramionami. -- Coś, czego nigdy wcześniej nie widziałam. To wyglądało jak żywy demon.

--Mało prawdopodobne. -- Archont pokręcił głową. -- Piekielne istoty mogą jakiś czas przetrwać jako zjawy, jeśli trzymają się ciemności, ale żeby przebywać na tym świecie, muszą mieć inne źródło mocy. To dlatego potrzebowałem ciała twojego przyjaciela Dilla i dlatego mesmeryści muszą rozpostrzeć Zaslone nad krainami, które zamierzają podbić. -- Przez chwilę się zastanawiał, a potem orzekł: -- Ta kobieta po prostu nabiera ludzi.

Tymczasem Rachel oglądała skrzynie, szukając tej, którą Greene pokazała w Sandport. W końcu zobaczyła ją na samym szczycie stosu.

--Pomożesz mi ją zdjąć?

Razem opuścili skrzynię, wynieśli ją na zewnątrz i postawili na białym piasku. Rachel podważyła wieko nożem i ujrzała koszmarne stworzenie kulące się w środku.

Trench aż syknął na jego widok.

--Miałem nadzieję, że nigdy nie zobaczę tutaj żadnej z tych istot. -- Potarł dłonią zmarszczone czoło. -- Radziłbym zabić je szybko, co wcale nie będzie łatwe.

Istota oddychała z wilgotnym rżeniem, wydając żalosne skomłące dźwięki. Przybrała tę samą postać, którą Rachel widziała w Sandport: połączenie ciała i drewna. Z bulwiastej narośli, która kiedyś mogła być głową, zerkaly na nich białe oczy.

--Więc to jest demon? -- zapytała asasynka.

--Określenie „demon” jest nieprecyzyjne, oznacza wszystkie istoty z Piekła. Demony to po prostu fizyczne wcielenia dusz na Ziemi. -- Trench przyjrzał się stworowi, mrużąc oczy. -- Potrzebują krwawej mgły, żeby przeżyć w tym świecie, ale to tutaj... jest czymś innym.

--Czym?

--Ohydą. Eksperymentem mesmerystów. Król Menoa od dawna starał się wymyślić dla swoich wojowników taką formę, która mogłaby przetrwać na Ziemi bez Zaslony. Osiągnął połowiczny sukces ze zmiennokształtnymi, takimi jak ten: twór po części żywy, po części martwy. Jednak brakuje im woli, żeby dłużej zachować jedną postać, bo nie potrafią oprzeć się perswazji.

--Greene zmieniła go w krzesło na oczach gawiedzi.

Anioł odchrząknął.

--To coś może na twój rozkaz przybrać dowolny kształt, w określonych granicach.

Mniejsze obiekty muszą być gęściejsze, a większe -- mniej solidne, bo potrafią rozciągnąć swoje ciało tylko do pewnego stopnia. -- Wskazał głową na stworzenie. -- Sama się przekonaj.

--Nie -- jęknął stwór. -- To boli. Odeślij mnie z powrotem do Piekla.

--Mesmerycki szpicel! -- warknął Trench. -- Menoa przysłał cię tu na przeszpiegi.

Istota potrząsnęła bulwiastą głową.

--Nie. Jestem ofiarą czarnoksięskich sztuczek. Wezwwała mnie tu śmiertelniczka, do której należy ten wóz. Nie miałem siły się oprzeć.

--Mina Greene jest taumaturgiem? -- zapytała Rachel.

--Jednym z największych.

Asasynka odruchowo rozejrzała się po lesie.

--A gdzie jest teraz?

Mięśnie demona się napięły.

--Sześć dni temu wybrała się na poszukiwanie bramy do Piekla. Las jest pełen starych drzwi, przez które mogą przechodzić zjawy.

--Właśnie, zjawy -- rzucił drwiąco Trench. -- Te bramy służą tylko duchom. Nie przejdzie przez nie żaden człowiek.

--Ale ona ma pomocnika -- wyrwało się demonowi. Szczeniak, którego Rachel trzymała na rękach, zawarczał głucho. Oczy zmiennokształtnego rozszerzyły się na moment.

--Za dużo powiedziałem. Proszę, każcie mi się zmienić w coś małego i szybkiego, może w królika albo w nietoperza. Pozwólcie mi stąd uciec...

Rachel przyjrzała się psu. Czyżby to parchate stworzenie również było zmiennokształtnym? Ale kundel spojrział na nią ufnie i polizal jej kciuk. Asasynka westchnęła. Ten las przyprawiał ją o paranoję.

W Skażonym Lesie panowała śmiertelna cisza. Między kolorowymi pniami nie poruszało się nic oprócz kilku smug mgły napływających od północy.

Mgła?

Na pustyni?

--Nie słuchaj go -- ostrzegł Trench. -- Twory Menoi nie potrafią pomagać, tylko kłamać. Jeśli nie chcesz od razu go zabić, proponuję go wykorzystać. -- Pochylił się nad skrzynią.

Demon krzyknął.

Zanim Rachel zdołała go powstrzymać, Trench wyszeptał jakieś słowo do ucha piekielnej istoty. Stworzenie wrzasnęło, kiedy jego kształt zaczął się zmieniać. Kości z trzaskiem złożyły się do środka, ciało przybrało kolor surowej stali zamiast różowego i czerwonego. Z każdym uderzeniem serca zmniejszało się, a jego krzyki słabły.

--Co z nim robisz? -- oburzyła się Rachel.

--Za długo obywaliliśmy się bez porządnej broni -- odburknął Trench i sięgnął do skrzyni.

Kiedy się wyprostował, trzymał w ręce miecz o lśniącej stalowej klindze, prostej rękojeści oplecionej skórą i jelcu koloru miedzi. Po ostrzu przesuwaly się tęczowe fale, kiedy anioł oglądał je w świetle fosforyzujących gałęzi.

--Oto przykład jednego z pierwszych eksperymentów króla Menoi, żeby połączyć dusze zmarłych z materialnymi przedmiotami -- powiedział archont.

--Czy ten demon jest świadomy? -- zapytała Rachel z przerażeniem. -- Nadal czuje?

--Tak. Ale nie żałuj go. Jest bardziej kłamliwy i podstępny, niż ci się zdaje. Zna się na broni i w mgnieniu oka potrafi zmieniać się z jednej w drugą. Takie istoty kiedyś wręczano pandemierskim szlachcicom jako podarunki. Są dużo mocniejsze niż zwykła stal albo szkło i potrafią dostosować się do każdej sytuacji na polu bitwy. W Labiryncie nazywamy je szybkozmiennymi.

Rachel odwróciła wzrok od dziwnego miecza.

--Pierwsze eksperymenty Menoi?

Trench odchrząknął i powiedział:

--Król poszedł dalej.

Rachel już miała go poprosić, żeby rozwinął temat, gdy raptem zauważyła, że mgła gęstnieje. Jej pasma snuły się między drzewami niczym macki jakiegoś pelzającego monstrum. Asasynka stwierdziła, że widzi nie dalej niż na dziesięć jardów. Ogarnął ją chłód.

--Lepiej chodźmy -- powiedziała.

Ale Trench się nie ruszył, tylko wpatrywał intensywnie w szary opar, który wypływał z gęstwiny w ich stronę.

--Czy taka pogoda jest normalna o tej porze roku? -- zapytał.

--Nie na Martwych Piaskach -- odparła Rachel. -- Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam. -- W tym momencie poczuła woń morza w powietrzu. -- Ten zapach... -- wyszeptała, nagle czujna. -- Trench, to jest morska mgła.

Anioł uśmiechnął się szeroko i przez chwilę Rachel była niemal gotowa uwierzyć, że to Dill. Wyraz twarzy Trencha był tak nieoczekiwany i naturalny, jakby jej przyjaciel wrócił do swojego okaleczonego ciała.

--Cospinol -- powiedział cicho archont.

Jadąc przez Skazony Las, Jack Caulker modlił się o następny wypadek -- pęcinę otartą o wystający korzeń, pojemnik z trucizną przebity niezdarnym kopytem, jeźdźca, który nie zdąży uchylić się przez zwieszoną gałęzią -- o cokolwiek, żeby tylko ci poganie zrozumieli, że cała ta wyprawa jest czystym szaleństwem.

Rozpamiętując wizję, którą zesłała na niego perła z duszą -- przerażające spadanie z niebotycznych wysokości w dolinę wypełnioną mgłą -- drżał za każdym razem. Doświadczył śmierci tamtej starej kobiety, został ukarany za jej zbrodnie i zawsze, kiedy zasypiał, gigant stawał się jego sędzią i jednocześnie katem.

Idący na przodzie John Kotwica zaśmiał się z czegoś, co powiedział Ramnir. Mimo niebezpieczeństw czyhających w tym strasznym kamiennym lesie, odoru pogańskich wojowników, ogromnego ciężaru, który ciągnął za sobą -- i niezliczonych zjedzonych dusz -- wielkolud nie tracił dobrego humoru. Czy pożarte dusze nie prześladowały go w snach? Jeśli przeżywał śmierć tych, których zabił, jak mógł się śmiać?

Caulker czuł się mały i słaby i nienawidził Kotwicy za ten stan.

Rozmyślając o mesmerystach, wyobrażał sobie, że kroczy przez komnaty okazałego piekielnego zamczyska. Dlaczego w Labiryncie nie mogłoby być pałaców równie imponujących jak te w Niebie? Ayen odtrącała ludzi, ale Piekło starało się ich wszystkich przyjąć. Wyobraził sobie Johna Kotwicę zakutego w łańcuchy i uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu dni.

Ostre szarpnięcie sprowadziło go do rzeczywistości. Heshette dzieliąc z nim siodło ostro

ściągnął wodze konia, żeby ominąć krzak o fioletowych gałęziach. W tym momencie Caulker uświadomił sobie, że przez cały czas wpatruje się w sakiewkę z perłami.

Wszystkie te sny o śmierci. Dusze uwięzione w szkle, zabite przez Kotwicę. Caulker przypomniał sobie upiora, którego uwolnił z perły w ruinach Haka Wdowy, i zrozumiał, dlaczego archont zaatakował wielkoluda człowieka z taką zaciekłością.

Ciekawe, co by się stało, gdyby rozbić wszystkie perły jednocześnie?

Kiedy wspięli się na nieduże wzniesienie, zobaczyli, że las rzednie. Rysujące się we mgle stare drzewa wyglądały jak kolorowe arleki, które obejmują się pomalowanymi ramionami, jakby zastygły w tańcu. Kotwica tak manewrował liną, żeby omijać niskie gałęzie, i wybierał taką drogę, żeby odstęp między zatrutymi pniami były największe. Reszta grupy podążała za nim w ciszy, nie licząc pobrzękiwania uprzęży i fetyszy wplecionych w grzywy wierzchowców. W chłodnym powietrzu unosiła się para z końskich oddechów.

Nagle Kotwica zatrzymał się i uniósł rękę. Heshette ściągnęli wodze. Przez dłuższą chwilę wszyscy próbowali przebić wzrokiem mgłę.

Caulker też wpatrywał się w szary mrok, nerwowo oblizując wargi. Czyżby Kotwica dostrzegł anielicę albo któregoś z jej towarzyszy? Albo patrol Spine? Rzezimieszek nie zdołał powściągnąć uśmiechu. Odrobina rozrywki nigdy nie zawadzi.

Raptem z mgły dobiegł wesół głos:

--Adamantowy Człowiek! Na Siedmiu Bogów, jakże się cieszę, że cię widzę.

Spomiędzy drzew wyłonił się mężczyzna w podartej kolczudze i ruszył w stronę jeźdźców. W ręce trzymał nagi miecz, ale nie wyglądało na to, żeby zamierzał go użyć. Za nim podążała druga postać, asasynekka Spine.

Caulker zgrzytnął zębami i splunął. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Nawet domniemani wrogowie, towarzysze anielicy, którą Kotwica chciał dopaść i zabić, witają go z otwartymi ramionami.

ROZDZIAŁ 14

OBJAWIENIA

Ze skórą czarną jak noc, rękoma, które mogłyby zmiażdżyć wołu, z liną i uprzężą, był z pewnością najdziwniejszym człowiekiem, jakiego Rachel w życiu widziała. Ale rozpromienił się na widok jej i Trencha z tak szczerą radością, że poczuła ulgę mimo tłumy konnych wojowników Heshette, którzy za nim podążali.

--Właśnie tych ludzi szukam -- zagrmiał gigant. -- Chłopiec anioł i jego przyjaciółka, asasynka z Sandport? Dobrze, dobrze, mamy wiele do omówienia.

Rachel zmarszczyła brwi. Ludzie, których szukał? Niepokój wrócił. Gdy przycisnęła szczeniaka do piersi, ten zawarczał cicho.

Trench wymienił uścisk dłoni z wielkoludem.

--Muszę natychmiast porozmawiać z Cospinolem -- oświadczył. -- Mam mu do przekazania pilną wiadomość.

Teraz Kotwica zmarszczył czoło.

--Masz właściwe ciało, ale... nie tę duszę -- stwierdził, przyglądając się aniołowi. -- Bardzo dziwne. -- Przesunął wzrok na Rachel, popatrzył na psa i wrócił spojrzeniem do Trencha. -- Tylko ty masz duszę o niewłaściwym kształcie. Miecz też ma niewłaściwą postać. To szybkozmienny, tak?

--Nieważne -- rzucił niecierpliwie Trench. -- Powiedz Cospinolowi...

--To ważne -- przerwał mu Kotwica. -- Byleś martwy, tak? Martwe dusze nie powinny poruszać żywymi jak marionetkami. Martwe dusze nie powinny nosić ze sobą demonów. -- Odwrócił się do Rachel i wskazał na szczeniaka. -- A ty... gdzie znalazłaś to stworzenie?

--Psa?

--To nie jest pies.

Asasynka się zawahała.

--Należał do pewnego taumaturga.

Kotwica uśmiechnął się szeroko.

--Należał? Nie, myślę, że było odwrotnie. Bazylis jest dużo starszy, niż się wydaje. Starszy nawet od Johna Kotwicy.

Z gardła zwierzęcia wydobył się cichy dźwięk.

Rachel uważnie przyjrzała się kundlowi, a on polizal jej palce. Czowała bicie jego serca, ciepło małego ciała na dłoni. Ważył tyle co nic, nieszkodliwa kulka futra.

--Bazylis?

Tymczasem Trench zaczął z ożywieniem opowiadać gigantowi o swoim wyjściu z Piekla, opanowaniu ciała Dilla i ucieczce z Deepgate. W miarę jak jego historia się rozwijała, Heshette podjeżdżali coraz bliżej. Wkrótce Rachel poczuła, że ich spojrzenia przesuwają się po jej zbroi Spine. Trzymała szczeniaka blisko piersi i sama zaczęła taksować ich broń.

Z rozmowy Trencha i Kotwicy dowiedziała się, że gigant przybył tutaj z powodu zagrożenia, jakie dla jego kraju stanowili mesmeryści. Gdy wielkolud mówił o bogach i statkach powietrznych, asasynka z niedowierzaniem powędrowała wzrokiem wzdłuż ogromnej liny znikającej w zamglonym niebie. Bóg morza i mgły? Trench nie zgodził się przekazać wiadomości przez Kotwicę i upierał się przy audiencji u samego Cospinola. Gigant ustąpił po

chwili namysłu.

--Cospinol cię wysłucha, ale musisz zostawić tutaj szybkozmiennego. Mój bóg obawia się skrytobójstwa.

Lina zadrżała.

--Nie boi się skrytobójstwa, ale i tak zostaw miecz -- poprawił się Kotwica. Przesunął wzrokiem po psie Miny Greene i spojrział na korony trujących drzew. -- Wolę nie ściągać statku Cospinola przez te gałęzie, ale jeśli znajdzie się niżej, będzie można wykorzystać przerwy między pniami.

Sięgnął za plecy i zaczął ciągnąć linę.

Najwyraźniej nie tylko Rachel była świadkiem tego spektaklu po raz pierwszy, bo wszyscy Heshette zadarli głowy, zaczęli coś między sobą szeptać i pokazywać na niebo w nerwowym oczekiwaniu. Asasynka przez chwilę zastanawiała się, jak doszło do tego, że Kotwica podróżował z tą obdartą drużyną, ale potem jej uwagę przyciągnęło to, co się działo w górze. Na Skażony Las padł ogromny cień.

--Zatem pozostałaś przy swoim przyjacielu, choć jego dusza poszła do Piekła, Rachel Hael?! -- zawołał Kotwica, nie przestając zwijać liny.

Asasynka zorientowała się, że wielkolud mówi do niej.

--Ja... -- Obiekt w górze wydawał się tak monstrualny, że trudno jej było oderwać od niego wzrok. -- Zawarliśmy umowę. Ja pomogę Trenchowi dostarczyć wiadomość, a on odda mi ciało Dilla.

--A gdzie twoja towarzyszka... ta z bliznami?

--Ona...

W tym momencie instynkt ostrzegł Rachel. Skąd ten gigant znał Carnival? Skąd wiedział, jak ich odnaleźć? „Ludzie, których szukam”.

I nagle zrozumiała. Cospinol był bratem boga Ulcisa. O cholera.

--Nie widziałam jej od tygodni -- powiedziała szybko. -- Opuściła nas, zanim dotarliśmy do Sandport.

Nie śmiała zdradzić się ze swoimi podejrzeniami, że Carnival towarzyszy im ukradkiem. Starcie między anielicą i wielkoludem z pewnością nie poprawiłoby ich sytuacji.

Kotwica uśmiechnął się szeroko, nie przerywając pracy.

--Nie taka dobra z niej przyjaciółka, co? -- Zapach morskiej wody stał się jeszcze intensywniejszy, mgła nad drzewami pociemniała. -- Przyjaciel nie zostawia w potrzebie.

--Właściwie nie nazwałabym jej przyjaciółką. -- Z góry dobiegły odgłosy mrozące krew w żyłach. Wycie? Rachel nie odrywała wzroku od korony drzew. Pies zawarczał w jej ramionach, więc zaczęła go głaskać. -- Czego chcesz od niej?

--Nie żywię do niej urazy -- zapewnił z uśmiechem wielkolud.

W półmroku nad ich głowami pojawiły się tysiące drzewc. Niczym odwrócone maszty i reje całej flotyli statków ciągnęły się jak okiem sięgnąć. Wisiały na nich postacie w zbrojach, źródło narastającego harmidru. Rachel gwałtownie wciągnęła powietrze.

Konie stanęły dęba. Jeźdźcy, miotając przekleństwa, próbowali nad nimi zapanować. Kotwica nadal ciągnął linę, cal po calu sprowadzając statek na ziemię.

--Wydałabyś ją, gdyby jej śmierć mogła uratować świat? -- zapytał.

--Nie przepadam za Carnival, ale o świecie też nie mam najlepszego mniemania -- odparła

Rachel.

Kotwica się roześmiał, ale w tym momencie w górze rozległ się potężny huk, kiedy najniższe części szubienicy zderzyły się z koroną Skażonego Lasu. Kilka drzewc wbiło się między zatrute drzewa, rozbijając kamienne gałęzie. Strzaskane konary posypały się w dół, wzbijając tumany piasku w miejscach, gdzie uderzyły w ziemię. Wrzawa jeszcze się wzmogła, jeńcy zaczęli się szarpać w swoich pędach. Cała armia potępionych dusz.

--Przepraszam! -- zagrział Kotwica. -- Byłem nieostrożny. Chyba już wystarczy. -- Puścił linę i statek boga morza zawisł kilka jardów nad sklepieniem lasu.

Rachel poczuła się, jakby została uwięziona między dwoma światami. Niesamowity okręt Cospinola i Skażony Las zetknęły się ze sobą niczym zęby Nieba i Ziemi, legion umarłych czynił piekielny zgiełk. Setki wiszących wojowników jęczały albo krzyczały w nieznanym języku. Ich głosy rozbrzmiewały echem we mgle.

--Wiecznie się skarżę -- zaburczał z irytacją Kotwica. Przydepnął linę i odwrócił się do Trenchy. -- Cospinol rzuci sznur. Złap się go mocno, to cię wciągnę. To najlepszy sposób. -- Pokiwał głową. -- Drugi, hm... nie jest wskazany dla żywych.

--Idę z nim -- oświadczyła Rachel. Pilnowała ciała Dilla od Deepgate i nie zamierzała teraz tracić go z widoku.

--Jak chcesz. -- Kotwica wzruszył ramionami. -- Wrócisz, to porozmawiamy o naszej przyjaciółce z bliźniami. Mam do ciebie dużo pytań.

Z tyłu dobiegło pogardliwe prychnięcie.

--Więc zadaj je mnie, morderco.

Rachel natychmiast rozpoznała ten głos i od razu ogarnęły ją złe przeczucia.

Carnival wyłoniła się z mgły ze skrzydłami na pół rozpostartymi, jakby szykowała się do walki i ze wzrokiem utkwionym w gigancie.

--Jesteś zabójcą, tak?

--To nic osobistego -- powiedział Kotwica. -- Cospinol potrzebuje twojej krwi.

W głowie Rachel kłębiły się myśli. Nieraz była świadkiem, jak Carnival walczy. Widziała, jak anielica przebija się przez całą armię i zabija boga. Kotwica nie miał szans z tym przeciwnikiem. Ale skoro przybył tutaj, żeby walczyć z mesmerystami, ona nie mogła pozwolić, żeby Carnival go zabiła. Spojrzała na Trenchę, szukając u niego wsparcia, ale ku swojemu przerażeniu dostrzegła w jego oczach czystą nienawiść. Dłoń archonta zacisnęła się na rękojeści osobliwego miecza, a demon w odpowiedzi jęknął żałośnie.

„Carnival mnie zabiła. Trenowałem przez dwadzieścia lat, ale ona mnie pokonała”.

Sillster Trench był jedną z ofiar anielicy z bliźniami. Ale teraz to ręka Dilla ścisnęła miecz i krew Dilla miała zostać przelana w walce.

--Wynoś się stąd -- syknęła Rachel do Carnival. -- Proszę... po prostu odejdz.

--Nie skarżyłaś się, kiedy uwolniłam cię z zasadzki Spine w Deepgate -- odparowała anielica. -- Nie słyszałam, żebyś narzekała, kiedy straciłam na ziemię flotę sterowców, by pomóc ci w ucieczce.

Carnival ukrywała się przez cały ten czas, obserwowała i słuchała z oddali, a teraz zamierzała wszystko zepsuć. Skażony Las miał się stać polem bitwy. Heshette już ustawiali się półkolem za Kotwicą, dobywali broni, napinali luki.

Anielica całą uwagę skupiała na wielkoludzie.

--Twój pan chce mojej krwi?

--Tak.

--W takim razie niech spróbuje ją wziąć.

Ale to Trench zaatakował pierwszy. Rachel kątem oka dostrzegła, ruch, a kiedy się odwróciła, zobaczyła, że bezskrzydły archont pędzi z mieczem wycelowanym w szyję Carnival, mamrocząc coś pod nosem.

--Zaczekaj! -- krzyknęła Rachel.

Anielica odskoczyła do tyłu i z łatwością umknęłaby przed ciosem, ale w pół drogi miecz przeobraził się w pikę. Ta nagła zmiana zaskoczyła Carnival, ale nie Trench, który władał tą bronią z dużą wprawą. Pika miała znacznie większy zasięg, tak że jej żelazny grot drasnął krtań Carnival. Trysnęła krew.

Anielica cofnęła się, chwytając za zranioną szyję.

Trench zatoczył piką koło nad głową, obrócił ją w rękach i, nadal szepcząc do siebie, wykonał kolejne pchnięcie.

Kiedy przeciwniczka błyskawicznie wyciągnęła rękę, żeby złapać drzewce, jej palce zacisnęły się na powietrzu. Pika zmieniła się w rapier. Stalowy sztych przebił dłoń Carnival tuż nad kciukiem.

Anielica krzyknęła z wściekłością, odskoczyła do tyłu i znów stanęła do walki z archontem, groźnie mrużąc oczy.

Trench, który władał rapierem z równym mistrzostwem jak piką, ruszył do ataku. Wykonał serię szybkich pchnięć, przy każdym zachowując taki sam dystans od przeciwniczki.

Carnival była zmuszona się cofać.

Archont poczynął sobie coraz śmieiej. Pozornie wystawiając się na otwarty atak, celował czubkiem rapiera w punkt tuż nad sercem przeciwniczki.

Kotwica skrzyżował ręce na wielkiej piersi i z zainteresowaniem obserwował walkę.

Anielka skoczyła na wroga z przerażającą szybkością, sięgając rękami do jego szyi i jednocześnie robiąc ciałem unik przed przewidywanym torem ciosu rapiera.

Tymczasem broń sieczna zmieniła się w tarczę. Uderzona żelastwem w twarz Carnival zatoczyła się do tyłu. Z jej nosa buchnęła krew, po lesie poniosło się echo ciosu.

--Czysta furia nigdy nie dorówna umiejętnościom -- skomentował Kotwica, zwracając się do przywódcy Heshette. -- Czempion Pierwszej Cytadeli ma trochę doświadczenia, ale brak mu wytrzymałości. Walka wkrótce się skończy, nie sądzisz?

Trench oddychał ciężko, z coraz większym trudem trzymał tarczę. Najwyraźniej mięśnie Dilla nie były przyzwyczajone do takiego wysiłku.

Tymczasem wściekłość dodawała jego przeciwniczce sił. Anielica splunęła z głuchym pomrukiem krwią i przyczaiła się do skoku.

--Carnival! -- krzyknęła Rachel.

Anielica ją zignorowała i rzuciła się na Trench, gotowa rozerwać go na strzępy zębami i pazurami.

Skoncentrowana furia jej ataku odrzuciła Trench do tyłu. Archont zachwiał się i runął na ziemię, ale padając, zdążył wyszeptać jakieś słowo. Z tarczy wyrosły kolce ostre jak brzytwa i rozorały ręce przeciwniczki. Z mlóących pięści Carnival trysnęły czerwone fontanny, ale to jej nie powstrzymało.

--Za dużo krwi -- stwierdził Kotwica. -- Dość tego.

Owinął luźną linę wokół potężnego bicepsa i ruszył naprzód, strzelając kostkami palców.

Przygnieciony tarczą archont próbował chronić się pod nią przed wściekłymi ciosami anielicy. Carnival nie zważała na rany, tylko bez wytchnienia okładała go pięściami. Z jej pokiereszowanych rąk zwisały strzępy skóry.

--Zostaw tego biednego chłopaka! -- ryknął Kotwica. -- Pora, żebyś mnie stawiała czoło.

Carnival odwróciła do niego twarz pokrytą bliznami i zalaną krwią; były do niej przyklepione kosmyki czarnych włosów. Kolorowy blask Skażonego Lasu odbijał się słabo w jej oczach.

--Asasyni! -- wysyczała. -- Tylu ich już zabiłam.

--Nie rób tego -- ostrzegła Rachel. -- Carnival, proszę.

Gigant posłał jej smutny uśmiech i rzekł:

--Postaram się, żeby koniec był bezbolesny dla twojej przyjaciółki. Nie musisz się o nią bać.

Anielka powoli wstała ze skulonego, poobijanego Trenchy. Wydawało się, że nagle opuściła ją wściekłość. Spojrzała na Rachel, potem na Kotwicę.

--Jesteś nieuzbrojony -- stwierdziła.

--Wolę pięści i nogi zamiast stali. Ty również, prawda?

Carnival pokiwała głową.

--W takim razie zabiję cię szybko.

Rachel krzyknęła ostrzegawczo.

Lecz anielica już ruszyła do ataku jak cień chmury pędzonej wiatrem -- ciemny kształt na tle białego piasku.

Rachel się skoncentrowała. Nie miała pojęcia, jak powstrzymać rozlew krwi, ale musiała przynajmniej spróbować. Czas wokół niej zwolnił. Wojownicy ze statku Cospinola znieruchomieli w swoich pędach i umilkli. Jeźdźcy Heshette zamarli w siodłach. Urywany oddech Trenchy ucichł.

Tylko Carnival niczym skoncentrowany Spine rzuciła się Kotwicy do gardła. Gdyby zmysły Rachel nie były wyostrzone do ostateczności, mogłaby przegapić atak.

Ale wtedy olbrzym zrobił coś zdumiewającego.

Chwycił wyciągniętą rękę anielicy i szarpnął ją w bok. Choć atak Carnival nastąpił błyskawicznie, jego ruch był tylko zamazaną plamą. Rachel właśnie miała okazję zobaczyć niezwykle wyczyn; sam pęd powietrza powinien skruszyć kości wielkoluda.

Tymczasem Kotwica uniósł drugą pięść i zdzielił nią Carnival w bok głowy. Anielica zaczęła bezwładnie osuwać się pod jego nogi.

Rachel wróciła do normalnego stanu i nawet po tym krótkim wysiłku poczuła skurcze mięśni. Miała wrażenie, że jej serce galopuje, choć w rzeczywistości zwalniało. Patrzyła, jak Kotwica podnosi ciało Carnival i przerzuca je sobie przez ramię.

--Zrobione -- stwierdził ze znużeniem wielkolud. -- Kolejny wojownik na reje *Rotswarda*. -
- Wyjął fujarkę z kieszeni spodni i zadął w nią.

Heshette z trudem zapanowali nad wierzgającymi końmi, kiedy czerwona fala skorup i szczypiec spłynęła ze statku Cospinola. Kraby oblaży dało Carnival i wniosły je po linie Kotwicy. Rachel obserwowała ten spektakl, jakby uczestniczyła w którymś sennym koszmarze.

Nawet nie wiedziała, czy anielica jeszcze żyje.

Kłębiły się w niej sprzeczne emocje. Tyle przeszła z Carnival, najpierw jako jej zażarta przeciwniczka, a potem sojuszniczka. Anielica ją uratowała, a kiedyś również próbowała zabić. Patrząc teraz na ciało dawnej towarzyszki wnoszone na statek, asasyńska nie potrafiła rozeznąć się we własnych uczuciach.

Wisielcy z *Rotswarda* nagle się ożywili i zaczęli jeszcze głośniejsze wycie i pokrzykiwanie. W uszach Rachel te wrzaski brzmiały obłąkańczo. Czy to właśnie czekało anielicę?

Carnival już zniknęła we mgle spowijającej statek. Trench opuścił wzrok z wyrazem ponurej satysfakcji na twarzy i zwrócił się do Kotwicy:

--Jeśli mam spotkać się z twoim panem, wolę wejść na statek w bardziej tradycyjny sposób.

Wielkolud się roześmiał.

--Lina i kosz? -- zaproponował. -- Tak jak wnosimy ryby, zboże i ptactwo. Tylko John Kotwica zostaje na dole. -- Tupnął nogą. -- John Kotwica zostaje ze zwierzętami.

Najwyraźniej w ten sposób wjeżdżały na górę głównie ryby, a nie zboże czy ptactwo, bo smród aż wycisnął łzy z oczu Rachel. Zawieszony na dużo cieńszej linie niż ta, którą ciągnął Kotwica, wiklinowy kosz z hukiem rąbnął o piasek. Trench wszedł do niego pierwszy i zniknął w szarym oparze, wciągnięty przez niewidoczne ręce.

Kilka minut później z mgły wyłoniła się ze skrzypieniem gondola. Była teraz pusta. Rachel wsadziła szczeniaka do cuchnącej windy, a potem sama do niej wskoczyła. Wytarła brudne ręce o spodnie, zastanawiając się, czy bóg, którego wkrótce miała poznać, proponuje jej kąpiel.

Lina się napięła i kosz ruszył z szarpnięciem w górę, między pokutujące dusze. Bazyliś najpierw powęszył wokół stóp Rachel, a potem nasiusił w kącie. Mieniający się kolorami Skazony Las uciekał w dół, gałęzie zlewały się w pasy fioleto, zieleni i żółci. Tymczasem asasyńska mogła przyjrzeć się z bliska wisielcom. Wojownicy byli odziani w najróżniejsze egzotyczne zbroje, ale wszyscy mieli tę samą ziemistą cerę od dawna nieżyjących ludzi. Śledzili wzrokiem Rachel, kiedy ich mijala. Byli zawieszani na ogromnym rusztowaniu z wilgotnych masztów i rei, które nie miały końca.

Kosz wznosił się we mgle, wiklina poskrzypywała pod butami Rachel. Asasyńska czuła silny zapach wody morskiej i smak soli na ustach. Liny i drzewce pokrywał biały osad podobny do szronu. W górze majaczył cień czegoś solidniejszego niż takielunek.

I wtedy Rachel zobaczyła okręt *Cospinola*: ogromny zniszczony kadłub z ciemnego dębu, smukły dziób, nadbudówkę rufową górującą nad nią niczym mury obronne zamku. Otoczony niesamowitym rusztowaniem statek przypominał jej pajaka w środku sieci.

Kosz uderzył w balustradę śródokręcia i się zatrzymał. Czterej znudzeni członkowie załogi opierali się o rączki kołowrotu i wbijali pusty wzrok w przestrzeń. Nigdzie nie było śladu Trench'a ani ciała Carnival.

Rachel wzięła na ręce psa i ostrożnie wyszła z windy. Gdy postawiła nogę na pokładzie, z otwartych drzwi nadbudówki dobiegł grzmiący głos:

--Jeśli wiadomość rzeczywiście jest od Haspa, musi za nią stać mój brat Rys.

--Rys nic nie wie, przysięgam.

Drugi głos należał do Trench'a. Rachel stanęła w drzwiach i zobaczyła, że jej towarzysz rozmawia z siwobrodym archontem w zbroi z krabowych skorup. Bogiem morza i mgły?

Cospinol był niechlujnym starcem o gołębich skrzydłach i zmierzwionych włosach, ale jego niebieskie oczy płonęły gniewem.

--Dwunastu! -- ryknął, spacerując po ciemnej kabinie. Podłoga niebezpiecznie uginała się pod jego ciężarem. -- Jeden arkonita to zła wiadomość. Ale dwunastu...?! Skąd król Menoa wziął moc, żeby ich tylu stworzyć?

--Kawalek roztrzaskanego boga płonie w każdym arkonicie, zapewniając im w ten sposób nieśmiertelność. -- Trench opuścił głowę. -- Ale zamknięte w nich dusze pochodzą z Pierwszej Cytadeli. W czasie oblężenia ponieśliśmy duże straty.

Cospinol syknął. Zerknął na Rachel, spuścił wzrok na szczeniaka, którego trzymała na rękach, i znowu zaczął krążyć po kabinie.

--Dwunastu arkonitów! Ten świat będzie skończony, jeśli Menoa przeleje dość krwi, żeby uwolnić ich wszystkich z Piekła.

--Zarżnie wszystkich na swojej drodze, żeby tego dokonać -- zgodził się z nim Trench. -- Musimy się z nim układać, Cospinolu.

--Układać? -- Bóg prychnął. -- O tak, Rysowi się to spodoba.

--Trench, co się dzieje? -- spytała Rachel.

--Kim jest ta kobieta? -- ryknął Cospinol. Drżącym palcem wskazał na psa. -- I dlaczego wniosła tego parchatego kundla na mój statek?

Szczeniak zawarczał.

Cospinol zmierzył go znużonym spojrzeniem.

--Jaki masz w tym interes, Bazylisie? Od kiedy to mieszasz się w sprawy bogów? -- Gdy pies nie wydał żadnego głosu, Cospinol podniósł wzrok na Rachel. -- Mów w imieniu swojego pana, taumaturgu.

Rachel osłupiała.

--Nie jestem taumaturgiem. Nie wiem, o co chodzi. Ten szczeniak należy do kogoś innego. My... -- Już miała powiedzieć „uratowaliśmy go”, ale w świetle nowych wydarzeń zaczęła się zastanawiać, kim właściwie jest Bazylis.

Cospinol przez dłuższą chwilę lypał na nią posępnym wzrokiem.

--To jest spisek! -- zagrział w końcu. -- Rys wysyła mnie na drugi koniec świata, żebym pomścił śmierć naszego brata. Tak mówi. Żeby zebrać wojsko, zapieczętować bramę i powstrzymać drugi najazd. Tak mówi. -- Jego pierś unosiła się i opadała pod pancerzem z krabowych skorup. -- Wszystko to kłamstwa. Przybywam tutaj i co znajduję? Posłańca z Piekła, który twierdzi, że musimy zostawić te ziemie mesmerystom. A teraz demona i jego kłamliwego taumaturga.

--Zostawić te ziemie? -- Rachel położyła dłoń na ramieniu Trencha. -- Co się dzieje? Kim są ci arkonici, o których wspomniałeś?

Trench, który patrzył ze zmarszczonym czołem na Bazylisa, podniósł wzrok i spojrzał w oczy asasynki.

--Przykro mi, Rachel. Tak brzmiała moja wiadomość. Król Menoa tworzy nowy legion złożony z dwunastu gigantów, którzy mogą chodzić po ziemi niezroszonej krwią i swobodnie zapuszczać się poza Zaslone mesmerystów. -- Archont zgarbił plecy. -- Jeden z tych arkonitów sam zniszczył prawie całą armię Rysa w Skirl, zanim udało się go powstrzymać. Ale nawet wtedy nie dali rady go zabić. Teraz leży skutym łańcuchami w ruinach zatopionego miasta. A

bogom na Ziemi brakuje sił, żeby walczyć z drugim arkonitą. Cospinol i jego bracia muszą poddać się władcy Piekła i błagać go o łaskę, bo inaczej zginą.

--A co z Deepgate?

--Nie ma nadziei dla Deepgate -- odparł Trench. -- I nie ma nadziei dla Pandemerii.

Bogowie muszą teraz sami się ratować. Obawiam się, że dla ludzkości też nie ma nadziei.

Heshette nie chcieli opuścić swoich koni. Caulker liczył na to, że pozbędzie się chociaż części dzikusów. Spodziewał się, że przyjmą propozycję Kotwicy, żeby schronić się na statku Cospinola, ale oni zostali na dole, przywiązani do giganta jak wszy do głowy wiedźmy.

Sam Kotwica był dziwnie przygaszony. Przez jakiś czas nadstawiał ucha, jakby podsłuchiwał tajną rozmowę toczącą się w górze, a potem oznajmił:

--Zdaje się, że wkrótce wyruszamy. Złe wieści.

--Chętnie wydostanę się z tego lasu -- rzucił gderliwie Caulker, chodząc w tę i z powrotem między pniami dwóch zatrutych drzew. -- Choć dalsza droga będzie równie zdradliwa. Statek połamał ze sto gałęzi.

Jednak mimo obaw zaczynał czuć się pewniej. Kotwica z łatwością rozprawił się z anielicą. Żaden Spine, którego spotkają na drodze do Deepgate, nie będzie stanowił dla niego zagrożenia. Wyglądało na to, że najgorsze mają za sobą.

Olbrzym wyjął perłę z sakiewki, połknął ją i westchnął głęboko, prostując potężne ramiona.

--Wojna zawsze służy Piekłu -- powiedział. -- Śmierć i przelana krew czynią je silniejszym. Menoa dobrze o tym wie. Dlatego chce wojny. Bogowie też to wiedzą, ale nie mogą być jego niewolnikami. -- Pokręcił głową. -- Nie sądzę, żeby między nimi zapanował pokój.

--Myślisz, że Piekło wygra? -- zapytał Caulker.

--To prawdopodobne -- przyznał Kotwica.

Rzezimieszek też tak uważał. Wszystkie dusze trafiały w końcu do Labiryntu. A ponieważ Iril był roztrzaskany i bezsilny, nikt nie mógł powstrzymać Menoi przed zagarnięciem ich dla siebie. Mesmeryści opanują Ziemię, a wszyscy, którzy wystąpią przeciwko nim, zginą.

Caulker nie zamierzał znaleźć się po stronie przegranych.

John Kotwica nadal był nieobecny duchem. Z roztargnieniem pożarł następną perłę. Przelknąwszy szklany paciorek, skrzywił się i przez chwilę wydawało się, że zaraz go wypluje. Niewłaściwy wybór?

Rzezimieszek zmierzył wzrokiem sakiewkę. Jedno uderzenie płazem miecza -- albo nawet kijem -- roztrzaskałoby większość perel, uwalniając wściekle duchy zamknięte w środku. Choć Kotwica był wielki, silny i szybki, jeden rozjuszony widmowy archont zdołał utoczyć mu krwi. Jakie szkody mogłaby spowodować horda upiorów? A gdyby tak zostały wypuszczone na wolność w czasie bitwy? Król Menoa z pewnością nagrodziłby podstęp.

--Jak zamierzasz rozprawić się z mesmerystami? -- zapytał Caulker. -- W Deepgate pewnie się od nich teraz roi.

--Bez wątplenia -- odparł Kotwica. -- Ale nie spotkamy się tam z siłami Menoi.

--Nie? Myślałem...

--Idziemy na wschód.

--Na wschód? -- Caulker wytrzeszczył oczy. -- Przecież łańcuchowe miasto leży na

zachodzie.

--Cospinol zmienił plan -- wyjaśnił gigant. -- Zostawiamy Deepgate mesmerystom i wracamy przez morze do Pandemerii. Wszyscy będą tam mile widziani. Nawet ty, Jacku Caulkerze. Nie masz już u mnie żadnego długu.

W ten sposób intryga rzezimieszka wzięła w leb. Jeśli Jack Caulker chciał się wkupić w łaski mesmerystów, musiał zaoferować coś innego. Musiał pokazać Menoi, wobec kogo jest lojalny.

--Zostawiacie Deepgate wrogowi? -- upewnił się.

--Tak. Idziemy w stronę morza.

Podróż morska? W towarzystwie Heshette?

Mamrocząc pod nosem przekleństwa, Jack Caulker skulił się w swojej kurtce mokrej od mgły. Jaki miał wybór? Nie mógł tutaj zostać. Jawiła mu się wizja upadku z murów Rockwall w stosownym momencie, bo czuł się jak człowiek, który zrobił krok nad przepaścią, składając swój los w ręce bogów.

Tymczasem Kotwica naradzał się z Ramnirem. Caulker nie słyszał ich przyciszonej rozmowy, ale wielkolud zawzięcie gestykulował rękami. W końcu obaj uścisnęli sobie dłonie.

Tak więc Caulker znowu siedział w siodle za jeźdźcem Heshette i jechał na wschód przez Skażony Las. Skamieniałą puszcę przebyli bez wypadków i zatrzymali się na jej skraju, żeby rozbić obóz i poczekać na resztę grupy ze stadami. Mieszkańcy pustyni rozniecili ognisko z suszonego nawozu i ugotowali pasy mięsa w małym żelaznym kociolku. Potem wmusili tę strawę w Kotwicę i Caulkera.

Rzezimieszek żuł twarde mięso, nie czując smaku. Był wyczerpany. Morzył go sen, ale strach przed koszmarem zmuszał do czuwania.

Gigant przyjął poczęstunek z wdzięcznością, ale uparł się, żeby Cospinol wzbogacił menu. I znowu ten sam kosz zjechał z nieba, tym razem wyladowany wodą, winem i solonymi rybami. Kotwica i Ramnir nadal rozmawiali przyciszonymi głosami. Przywódca Heshette wyglądał na poruszonego, często potrząsał głową albo z zadumą wpatrywał się w ogień.

W końcu Caulker nie był w stanie dłużej walczyć z sennością. Zwinął się w kłębek na cuchnącym kocu i zamknął oczy. W snach spadał tysiąc razy. Wciąż od nowa spoglądał na głęboką, zamgloną dolinę. Czuł zapach górskich sosen, widział orły szybujące poniżej wysokich murów obronnych. Nie miał skrzydeł, żeby się uratować. Za każdym razem Kotwica go popychał, a on leciał z wrzaskiem po pewną śmierć.

Obudziły go własne krzyki. Pot zlepił mu włosy, bolały go mięśnie. Przez jedno uderzenie serca bał się, że upadek z fortecy był prawdziwy i teraz jego ciało leży połamane pod jej murami. Ale wtedy zobaczył poranne słońce przeświecające przez mgłę niczym złota moneta. Poczuł zwierzęta i zapach ogniska.

Obóz tętnił życiem. Heshette siodłali konie, pobrzękując uprzężą, troczyli juki i broń. Kobiety doily kozy i trajkotały w swoim pogańskim języku. Razem z dziećmi i starcami, którzy przepędzili stada z północnego krańca Skażonego Lasu, dołączyły do reszty grupy.

Ramnir zebrał współplemieńców i zwrócił się do nich w te słowa:

--Większość was już widziała czerwone mgły napływające od Deepgate. Ta zaraza to oddech Piekiła i została sprowadzona na nas przez kapłanów łańcuchowego miasta. -- Uniósł rękę, żeby uciszyć szemrzący tłum. -- Iril roztrzaskał się w czasie Wojny Przeciwko Niebu i

teraz Labirynt ma nowego króla. Krwawa Zasłona wieści przybycie jego armii. Już sięgnęła poza otchłań, zatruwając ziemię wokół Deepgate.

--Będziemy się modlić o deszcz! -- zawołał jeden ze starców.

--Deszcz jej nie zmyje ani Ayen nie opuści niebieskich barykad, żeby nam pomóc -- powiedział Ramnir. -- Nie możemy jej powstrzymać. Wkrótce pochłonie Martwe Piaski.

--Heshette nie uciekają.

--Wysłuchaj mnie, starcze -- rzekł Ramnir z powagą. -- Otchłań pod Deepgate to jedna z dwóch bram do Piekła. Druga znajduje się po drugiej stronie morza, na ziemiach, które graniczą z krajem Johna Kotwicy, i już teraz toczy się o nią wojna. -- Umilkł i powiódł wzrokiem po członkach plemienia. -- Ale kto tutaj wystąpi przeciwko Piekłu? Łańcuchowe miasto leży w gruzach, z jego mieszkańców zrobiono niewolników. Nie ma armii, która powstrzymałaby wojska króla Labiryntu, a jej niedobitki będą próbowały nie dopuścić nas do otchłani.

--Nie potrzebujemy armii, tylko wiary -- oświadczył starzec.

Ramnir potrząsnął głową.

--Nasz przyjaciel Kotwica zaproponował, żebyśmy przeprawili się przez Żółte Morze i dołączyli do jego ludu w wojnie przeciwko Piekłu. Mamy szansę zacząć wszystko od nowa, walczyć ze wspólnym wrogiem ramię w ramię z tymi, którzy docenią nasze wysiłki. Jeśli zostaniemy tutaj, zginieemy.

Widok tych zabiedzonych ludzi na niedożywionych wierzchołkach mówiących o wojnie, omal nie doprowadził Caulkera do wybuchu śmiechu, ale udało mu się pohamować, kiedy spoczęło na nim spojrzenie ciemnych oczu Ramnira. Heshette rzeczywiście nie mieli innego wyjścia. Musieli uciekać. W czasie wojny trwającej wiele lat armia Deepgate zdziesiątkowała pustynne plemiona. Ocalałych król Menoa zgniótlby teraz jak wszy.

Po długiej dyskusji Heshette w końcu to zrozumieli, tak jak Caulker się spodziewał. Mieli popłynąć jako uchodźcy do Pandemerii, gdzie czekała ich litość i pogarda. Rzezimieszek nieraz widział takie rzeczy. Żebrzący nomadzi okupowali wszystkie rogi ulic w Sandport i Clone. Ich dzieci grzebały w odpadkach jak psy. Kotwica musiał o tym wiedzieć. Z pewnością nie oczekiwał, że ci słabi starcy będą walczyć?

Wszystko oczywiście zależało od krwi. Przodkowie Jacka Caulkera byli wielkimi żeglarzami, szmuglerami i niesławnymi spekulantami, więc szczycił się dobrym pochodzeniem. Natomiast ci poganie nie odpełzli zbyt daleko od swoich jaskiń, odkąd ich przodkowie wyłobili je w Holowhill. Uznanie ich za ludzi wymagało bujnej wyobraźni.

Rzezimieszek nie mógł dłużej rozważać tej kwestii, bo grupa już powzięła decyzję. Heshette mieli towarzyszyć Kotwicy na drugi kontynent, porzucić na zawsze zatrutą pustynię, która od wieków była ich domem.

--Zaniesiesz ich wszystkich na grzbiecie? -- spytał zaczepnie Caulker, zwracając się do Kotwicy. -- A co ze starcami i kalekami? Ze zwierzętami? Twój pan naprawdę pozwoli zamienić swój statek w menażerię?

--Wszyscy będą mile widziani -- odparł gigant.

Rzezimieszek zaklął... i przeklinał przez całe szesnaście dni marszu na południowy wschód do delty Pocked. Heshette poprowadzili Kotwicę starym szlakiem nomadów, nieużywanym przez nich, odkąd armia Deepgate zatrula studnie. Teraz, dzięki dostawom wody i jedzenia ze

statku Cospinola, znowu można było z niego skorzystać. Utrzymywali szybkie tempo, bo zwiadowcy przynosili ponure wieści spoza całunu mgły. Zaslona mesmerystów rosła z każdym dniem, przesłaniając niebo na zachodzie jak zakrwawiona gaza. Caulker obijał sobie kości w siodle. Piasek kłuł go w oczy. I na dodatek muchy! Chmury bzyczących owadów towarzyszyły uchodźcom, jakby one również uciekały przed karmazynowym oparem.

Ramnir rozesłał jeźdźców z wieścią o exodusie i wkrótce dołączyły do nich inne szczepy. Zanim dotarli do morza, liczebność grupy zwiększyła się do ośmiuset ludzi. Strumienie uciekinierów, wśród których były kobiety i dzieci, mieszały się ze stadami kóz i szeregami jeźdźców o wygarbowanych twarzach. Wojownicy z dziesiątków plemion zebrali się na Longlizard Point, długim, niskim cyplu porośniętym twardą trawą koloru ochry. Tutaj Coyle wpadała do Żółtego Morza, rzeźbiąc kanały w błocie delty Pocked. W czasie odpływu ptaki kroczyły po wilgotnej szarej ziemi, szukając robaków.

Od strony pełnego morza fale rozbijały się o skały, bryzgając pianą.

Caulker zsiadł z konia i poszedł na koniec półwyspu, gdzie już stali Kotwica i Ramnir. Obaj wpatrywali się w zamglone morze.

--Jesteś pewien?

--Tak -- odparł Kotwica. -- To łatwe.

--Pewien? -- Caulker powtórzył ostatnie słowo Ramnira. -- Czego?

Przywódca Heshette splunął i nic nie powiedział.

--Ramnira interesuje, jak się przeprawimy przez morze -- wyjaśnił Kotwica. -- Stąd do Pandemerii jest długa droga.

--A właściwie jak się przeprawimy? -- zapytał Caulker. -- Można przenieść wszystkie kozy i ich opiekunów na pokład statku, ale co z tobą? Nic masz łodzi. Tylko mi nie mów, że zamierzasz płynąć?

--Płynąć? -- Gigant potrząsnął głową. -- John Kotwica nie umie pływać.

--No to jak...?

Wielkolud się rozpromienił.

--Zaufanie! -- wykrzyknął i wrócił do swoich podopiecznych.

Przez resztę dnia Heshette i ich zwierzęta byli przenoszeni na pokład *Rotswarda*. Ludzie i kozy podróżowali w koszu, ale dla koni trzeba było sporządzić mocne uprząże ze skóry i lin. Ponadto zawiązano im oczy szmatami, żeby nie wpadły w panikę. Sposób okazał się całkiem skuteczny. O zmierzchu tylko Ramnir i Caulker zostali na ziemi razem z Kotwicą, z tym że wierzchowiec przywódcy Heshette już znajdował się na statku Cospinola.

Ramnir dał Caulkerowi znak, żeby teraz on wsiadł do kosza, ale rzezimieszek nawet nie chciał o tym słyszeć.

--Byłem z Kotwicą od początku i zostanę do końca -- oświadczył. -- Na ciebie czekają kozy.

Wściekły przywódca Heshette sięgnął po nóż, ale Kotwica go powstrzymał.

--Idź i zajmij się swoimi ludźmi -- rzekł z szerokim uśmiechem i poklepał się po brzuchu. -- Wszyscy potrzebujemy kóz. Mięso jest ważniejsze niż zniewagi, tak czy nie?

Nomada też się uśmiechnął.

--Do zobaczenia w Pandemerii, Johnie Kotwico.

Gdy Ramnir wzniósł się w mgliste niebo, Caulker został sam z gigantem.

--Dlaczego tak nienawidzisz tych ludzi? -- zapytał Kotwica. -- To niedobrze dla ciebie. Wrogowie podkradają się do ciebie z nożem. -- Wykonał ruch, jakby dźgał sztyletem. -- Przyjaciele pilnują twoich pleców. Po co robić sobie wrogów zamiast przyjaciół?

Caulker prychnął.

--Ja wiem, jacy oni są. Gdybyś spędził więcej czasu w Sandport, sam byś się przekonał. Brudni, leniwi i biedni. Ich dzieci biegają po ulicach jak szczury.

--Szczury są sprytne. Wiedzą, kiedy opuścić tonący okręt.

--Zwierzęcy spryt! Nie powinieneś proponować, że zabierzesz ich ze sobą. -- Przez chwilę patrzył na spienione fale rozbijające się o skały półwyspu, wdychał ich zapach. W jaki sposób Kotwica zamierzał się przepawić? -- Ta woda jest głęboka i zimna.

--Oto twój kosz -- powiedział wielkolud. Rzezimieszek wsiadł do skrzypiącej windy i chwycił się liny.

--Nie ufaj im, Kotwico! -- zawołał z góry.

Gigant tylko się roześmiał. Rozprostował masywne ramiona i zeskoczył ze skał na brzeg. Odchylił się do tyłu i wziął głęboki, bardzo głęboki oddech.

Caulker zobaczył z kosza, że Adamantowy Człowiek skacze do morza i znika w jego granatowych wodach. Tylko wielka lina stercząca nad powierzchnią wskazywała na obecność wielkoluda.

Nim mgła się pod nim zamknęła, Caulker ujrzał, że sznur przecina fale, oddalając się wolno, ale równomiernie od lądu.

CZEŚĆ DRUGA

LABIRYNT

ROZDZIAŁ 15

MENOA

Tylko najważniejsi inżynierowie metafizyczni mieli wstęp na najwyższy poziom Dziewiątej Cytadeli. Dom Twarzy, jak zaczęli nazywać go między sobą Ikaraci, miał wiele oddzielnych pokoi, niepołączonych ze sobą drzwiami ani oknami.

Alice Harper stała przed ścianą z mesmeryckimi produktami, które wyglądały jak chudzi, szarzy ludzie na pół zagrzebani w kamieniu i zaprawie. Mur z nagich ciał sięgał od podłogi do sufitu, ale Harper wiedziała, że ten widok jest mylący. W Domu Twarzy nie było kamieni ani zaprawy, tylko wcielone dusze. Ich ręce wyciągały się w jej stronę, przywołując ją do rozdziawionych ust. Ta konkretna ściana została zbudowana z ponad sześćdziesięciu żywych istot, ale trudno było mieć pewność, bo twory często miały wspólne kończyny. Harper podejrzewała, że przejście przez ten mur musi być bolesne.

--Przepuście mnie -- poprosiła. -- Mam sprawę do króla Menoi.

Ściana się poruszyła.

--Idź naprzód -- zasyczały liczne głosy.

--Otwórzcie drzwi. Pozwólcie mi przejść.

--Nie. Zrób krok do przodu.

Harper zadrżała. Naprawdę nienawidziła procesu przechodzenia z jednego pokoju do drugiego w Domu Twarzy. Niestety, ściana nie wykazywała chęci do współdziałania, a ona nie chciała, żeby regent czekał. Zbliżyła się do ściany i pozwoliła, żeby ostre pazury przyciągnęły ją do dziesiątków czekających zębów.

Stwory rozdarły ją na strzępy. Harper próbowała nie krzyknąć -- wiedziała, że ból zaraz minie -- ale nie mogła się powstrzymać. Mur rozkoszował się jej wrzaskami, energiczniej szarpiąc ciało i wpychając jego kawałki do niezliczonych ust.

Na krótką chwilę Harper zagubiła się w czerwonej mgle, podczas gdy jej dusza dryfowała przez mroczną przestrzeń. Znajdowała się wewnątrz ściany? Czula, że inne, starsze i okrutniejsze umysły, próbują ukształtować ją na nowo z jej własnych pragnień i wspomnień. Broniąc się przed tymi obcymi wpływami, starała się zapamiętać, kim jest i co tutaj robi.

Alice Ellis Harper. Inżynier metafizyczny pierwszej klasy. Dwie ręce, dwie nogi, dwie dłonie, dwie stopy, dziesięć palców u rąk, dziesięć palców u nóg. Jedna głowa. Rude włosy i szare oczy. Jestem tutaj, żeby zdać raport królowi Menoi, panu Dziewiątej Cytadeli. Mam jedną głowę. Tylko jedną głowę.

I znalazła się po drugiej stronie muru.

Gdy tylko odzyskała ostrość widzenia, dokładnie sprawdziła swoje ciało. Chyba nic się nie zmieniło; nawet szare mankiety uniformu mesmerysty wyglądały identycznie jak wcześniej. Objęła dłońmi głowę i westchnęła z ulgą.

Tylko jedna. Tym razem.

Komnata była niemal identyczna jak ta ostatnia, szary sześcian o bokach długości pięćdziesięciu kroków. Twory mesmerystów tkwiły we wszystkich czterech ścianach, wpatrując się w nią głodnymi spojrzeniami. Tylko ideogram na podłodze był inny: formy geometryczne i

cyfry odnoszące się do drugiego z Mesmeryckich Praw Podstawowych. Te ezoteryczne wzory były otoczone ustami o niebieskich wargach, wielkości ludzkich. Właśnie się oblizywały.

Harper zbliżyła się do nich, kiedy zawołały:

--Siódma frakcja pierwszej trójki. Wysokość jeden dziewięćdziesiąt, przesuwa się od niebieskiego do czerwonego.

--Gdzie jest Menoa, Spikerze?

--Dla ciebie król Menoa. Milcz, duszo. Próbuję ustawić trójkę równoległe do trzeciej kolumny, przesunąć trzysta zbroi z portalu wyspy Cog do Środkowej Dziewiątej Zielonej Linii na skraju Czerwonej Drogi. Ile krwi trzeba wtłoczyć do ziemi pandemianańskiej? Ile już zostało wchłonięte? Król Menoa życzy sobie poznać te liczby.

--Od kiedy to Spikerzy myślą?

--Wojenny wysiłek dotyczy nas wszystkich. Wziąłem na siebie dodatkowe funkcje, żeby lepiej służyć naszemu Panu.

--Więc nie zaniedbuj swojej podstawowej funkcji. Powiedz mi, gdzie jest nasz władca, albo powiadom go, że opóźniłeś przekazanie ważnej wiadomości.

--Jakiej wiadomości? Przekażę mu ją natychmiast przez ściany i podłogi.

Harper prychnęła.

--To nie ma znaczenia. Menoa nie zmieni ciebie w nic innego. Na zawsze zostaniesz podłogą. -- Stuknęła obcasem w zewnętrzny krąg ideogramu. -- Jak to jest czuć, że ludzie po tobie chodzą?

--Podtrzymuję Dziewiątą Cytadelę i tych, którzy w niej mieszkają! -- krzyknęła piskliwie posadzka.

--Więc mów, gdzie jest Menoa!

Niebieskie wargi zadrżały.

--Nasz Wielki Pan, Stwórca Wszystkiego w Piekło, spaceruje teraz po Trzydziestym Balkonie tej wspaniałej cytadeli. Występuje w swojej najpiękniejszej postaci z czarnego szkła, klejnotów i...

--Trzydziesty balkon? -- Harper westchnęła ciężko, położyła dłonie na biodrach i spojrzała na niezliczone ręce i zęby istot zatopionych w najbliższej ścianie. Trzydziesty balkon znajdował się na samej górze fortecy. -- To będzie bolało jak diabli.

--Niestosowna metafora -- skomentowała podłoga. -- To jest Piekło, więc...

Harper wbiła czubek buta w usta, a kiedy umilkły, łapiąc powietrze i krwawiąc, zbliżyła się do wyciągniętych rąk.

Dwie ręce, dwie nogi, dwie dłonie, dwie stopy, dziesięć palców u rąk, dziesięć palców u nóg. Jedna głowa.

Harper przeszła przez sześćdziesiąt dwa pokoje i pokonała sto cztery kondygnacje, żeby dotrzeć na królewski balkon. Liczyła każdy krok, starając się wbić sobie w pamięć całą trasę, żeby Cytadela nie oszukała jej w drodze powrotnej. Ta budowla za bardzo lubiła gości i miała skłonność do przetrzymywania ich dłużej niż to konieczne. Długa podróż zmęczyła Harper, co osłabiło jej koncentrację na górnych piętrach. Zanim odnalazła Menoę, straciła dwa paznokcie, a zyskała dziwne uczucie zgrzytania w prawym kolanie, jakby jeden staw został trochę zmodyfikowany.

Były to jednak drobne zmiany, łatwe do naprawienia, gdy już odpocznie. Najważniejsze,

że jej uniform pozostał dokładnie taki, jaki powinien być.

Władca mesmerystów stał przy parapecie rozległego czerwonego balkonu i patrzył na Piekło. Karmazynowe niebo odbijało się w gładkich fałdach i wgłębieniach jego czarnego szklanego hełmu, tak że przesuwały się po nim płynne cienie. Król mierzył sobie dzisiaj jakieś dziewięć stóp, mniej więcej tyle samo, odkąd Harper zaczęła mu służyć, ale jego szklana zbroja odkształcała się, w miarę jak padało na nią światło albo cień. Napierśnik falował, zmieniając kształt z kociego pyska na skrzywioną twarz wisielca. Z naramienników wyrastały i znikwały kolce w rytm oddechu Menoi. Dłonie w rękawicach spoczywające na balustradzie wyglądały jak wielkie czarne lapy.

Za władcą Harper widziała ogromne klębiące się słupy czerwonych oparów wydzielanych przez Królewskie Procesory. Sam balkon lśnił od tej żywej mgły, a posadzka, połączenie ciała i mechanizmu, pulsowała w niemym zadowoleniu. Najwyraźniej ta część Dziewiątej Cytadeli czerpała moc bezpośrednio z krwawych mgieł. Z dołu dobiegały odgłosy maszynierii i krzyki, przemieszane z cichym, rytmicznym śpiewem Ikaratów.

Szklana maska nie odwróciła się, kiedy przemówił król:

--Zlokalizowałaś anioła?

--Tropiciele szybko podchwyciły jego zapach. Pojawił się gdzieś na zachód od kanału Lower Blaise, ale potem zniknął w jednym z Wysypisk. -- Większość dusz z Deepgate spadała na góry kompostu, więc Harper poinstruowała Ikaratów i ich sfory, żeby przeszukali najpierw tamten rejon. -- To tylko kwestia czasu, kiedy go znajdziemy.

--Pierwsza Cytadela wie, że on jest tutaj. Jego przodkowie będą go szukać.

--Nie zauważyliśmy w okolicy śladu innych archontów -- odparła Harper. -- Może z powodu oblężenia ich wpływy nie sięgają już tak daleko od własnej fortecy?

--Nie. -- Król odwrócił się raptownie i przez jedno uderzenie serca Harper wydawało się, że dostrzega jego twarz pod maską: łagodne złote oczy, wydatne kości policzkowe jak u porcelanowej lalki, piękne usta koloru krwi. Ale w mgnieniu oka szkło poczerniało jak gardło Ikaraty. -- Jest zbyt cenny dla naszych wrogów. Pierwszej Cytadeli bardzo zależy na odkryciu, w jaki sposób anioł uciekł z Piekła. Kiedy umarł, brama nie była otwarta, a on nie miał do czego wrócić, oprócz gnijącego ciała, ale jakoś mu się udało je odzyskać. -- Menoa przesunął rękawicą po podbródku maski. -- Jest ostatni, lecz różni się od nich. Zaryzykują wszystko, żeby go zrozumieć. -- Szklane oczy maski patrzyły przez nią na wskroś, zasłaniając prawdziwe. -- Szukajcie ich wojowników pod Wysypiskami. Ci archonci budowali zamki w nieprawdopodobnych miejscach.

--Usięję tę okolicę krzykaczami, żeby wykryć nienaturalne wibracje. Sfory z pewnością go wypłoszą -- obiecała Harper z ukłonem.

--Już raz mnie zawiedli.

--Ale zmieniłeś ich, panie. -- Harper przelknęła ślinę. -- I srogo ukarałeś. Nie odważą się znowu sprawić ci zawodu.

Menoa musiał usłyszeć nutę wstrętu w jej głosie, bo odwrócił się do niej gwałtownie.

--Jesteś z Pandemerii, tak?

Królewskie pytanie ją zaskoczyło. Władca nigdy wcześniej nie interesował się jej przeszłością.

--Jestem. To znaczy byłam...

--I chcesz wrócić do świata żywych?

Harper się zawahała.

--Jeśli będziesz sobie życzył mnie tam posłać, panie.

Król milczał przez chwilę.

--Jesteś zadowolona ze swojej obecnej postaci?

--Pozwala mi lepiej ci służyć. -- Harper starannie dobierała słowa. Menoa zrobił w powietrzu znak rękawicą. Na jego niewypowiedziany rozkaz przez jedno z łukowych drzwi wytoczyła się z turkotem na balkon wiedźmowa kula; jej metalowa powierzchnia lśniła pod krwawym niebem. Potoczyła się w stronę króla, zatrzymała się i zaczęła wywracać na zewnątrz.

Harper uciekła wzrokiem, ale słyszała szcęk otwierających się płytek, a po nim syk i przykry trzask kości. Kiedy spojrzała znowu, kula stała się gmatwaniną brudnych włosów, starej skóry, białych, lypiących oczu.

--Królu Menoo -- przemówiła z westchnieniem sfera.

--Zwróć uwagę na siły adaptacji -- powiedział Menoa do swojego inżyniera. -- Twoja obecna postać dobrze mi służy, ale może inna służyłaby lepiej. Weźmy, na przykład, twój kraj. -- Odwrócił się do wiedźmowej kuli i rozkazał: -- Pokaż nam Pandemerię, taką jaka była kiedyś.

W jednej chwili kula znowu się zmieniła. Wiedźmy rozplatały się, ich zwiędłe ciała stopiły się w pojedynczą membranę, a ta zaczęła rosnać. Ciało napęczniało i stało się ziemią, miniaturowym odzwierciedleniem pól, wzgórz i gór, które Harper tak dobrze знаła. W innym miejscach skóra popękała, tworząc suche koryta rzeczne, wąwozy i szerokie doliny. Gdy czysty płyn wsączył się z porów w liczne zagłębienia, powstały jeziora Moine i rzeka Sill. Z włosów zrobiły się drzewa. Zmiany skórne napuchły i stwardniały, by stać się glazami, budynkami albo rumoszami skalnymi.

Harper rozpoznała miasto Cog sprzed plagi, wojny i wielkich powodzi, które zmieniły Pandemerię. Na jej oczach powstała szachownica ulic i placów: Highcliffe i Dzielnica Teatrów, a potem rzeka Sill i jej dwie odnogi otaczające miasto jak fosa. Wiedźmowa kula powiększała się dalej. Na Revolution Plaża wyrosła wielka biała katedra lśniąca w przedwieczornym blasku, jak w czasach przed Zaslona mesmerystów. Harper odszukała ulice Canary i Minnow, dzielnicę Offal. I swój własny dom. Ten, który kupili z Tomem.

Kiedy to było?

Dziesięć lat temu czy tysiąc? Harper odruchowo przycisnęła rękę do piersi. Ile z tego wszystkiego było prawdziwe? Wiedźmy czerpały z jej wspomnień, żeby stworzyć tę iluzję. Harper miała przed sobą własne marzenia.

--A teraz pokażcie nam Pandemerię taką, jaka jest teraz -- rozkazał król.

--Nie, proszę, panie. -- Harper zamknęła oczy, ale widok pozostał taki sam. Już nie miała powiek, żeby się od niego odciąć. Menoa dokonał prostej zmiany w jej fizycznej postaci i zachichotał pod maską.

--Na pewno chcesz to zobaczyć.

Niebo nad wyspą Cog zaczęło ciemnieć od czerwonej mgły, Zaslony mesmerystów. Harper wydawało się, że obserwuje z dużej wysokości, jak ofiary plagi wstają z masowych grobów w Knuckletown Quarry i suną falami w stronę Cog. Wkrótce przekroczyły most na Sill i wwały się do miasta. Pod okapami budynków przemykały dziwne cienie, ze wschodu dobiegało ujadanie

ogarów.

--Pamiętasz to? -- zapytał król Menoa. -- Pamiętasz, jakie ulepszenia wprowadzili moi Ikaraci?

Harper pamiętała, ale w tej chwili nie potrafiła oddzielić snów od prawdziwych wydarzeń. Zobaczyła, jak z ziemi powstają Ikaraci, armia wojowników w dziwnych ceramicznych zbrojach, a potem chodzą od domu do domu, wyważają drzwi i wyciągają mieszkańców Cog na ulice. Słabych i chorych zabijali na miejscu, a resztę zaganiali w stronę maszyny mielącej, która znajdowała się za Knuckletown, gdzie wielki czerwony słup oparu wiał się powoli nad grobami ofiar plagi.

Groby zapadły się do środka, z dziur zięjących w czerwonej ziemi wypełzły mesmeryckie hordy stworzone w Labiryncie z ciała, żelaza i szkła: wiedźmowe kule, Iolici, tropiciele. Pazury orały wilgotną glebę, zmieniając ją w krwawe grzęzawisko. Białe zęby błyskały w półmroku.

Stwory wychodziły zastępami i niczym gigantyczny spieniony grzywacz sunęły ku nieszczęsnemu miastu. Czas się skurczył. Dni i tygodnie mijały w mgnieniu oka. Po chwili sceneria znowu się zmieniła. Nad Cog górowały teraz nowe budowle: Stacja Końcowa, Wieże Mielące i Wielkie Koło, dzięki którym dziesięć tysięcy niewolników dostarczało energię do nowych Laboratoriów Highcliffe. Zaslona mesmerystów pokrywała teraz Pandemerię jak okiem sięgnąć. Po niedawnych ulewach karmazynowe pola otaczające miasto na wyspie lśniły jak otwarte rany. Forpoczty już zniknęły po drugiej stronie Basenu Merian, ale hordy rezerwistów nadal wylewały się z Cog i toczyły przez kraj jak rzeka, czerpiąc moc z czerwonej ziemi.

Na północy zbierały się chmury burzowe. Błyskawice przecinały horyzont wśród potoków deszczu i wielkich słupów czarnego dymu.

Rys!

Te znaki wieściły zbliżanie się boga kwiatów i noży. Rys prowadził swoje wojska z dalekiej północy, żeby stawić czoło mesmeryckiemu zagrożeniu, a teraz płomienie z jego wielkich machin wojennych rozświetlały niebo. Dwie armie starły się na północnych brzegach jeziora Larnaig, pod murami Coreollis, miasta Rysa. I tutaj demony Menoi zostały w końcu powstrzymane.

Wiedźmowa kula nie odważyła się pokazać tej bitwy, żeby nie rozwścieczyć króla, który dostał w Coreollis tęgie lanie. Skupiła się na Cog: zagęszczeniu domów i iglic zajmujących całą wyspę na rzece Sill. Cztery mosty łączyły centrum z przedmieściami leżącymi po obu stronach dwóch rzecznych kanałów: Knuckletown na wschodzie i Port Sellen na zachodzie. Na Moście Operowym stała porzucona lokomotywa parowa, puste wagony były do połowy wypełnione wodą.

Bo padało obficie.

--Rys sprowadził deszcz, żeby oczyścić ziemię Pandemerii. -- Głęboki głos Menoi brzmiał jak echa w jaskini. -- Ale nie docenił zdolności adaptacyjnych mesmerystów. Jego potop jedynie zmienił krwawy ląd w krwawe morze.

Czas znowu przyspieszył. Sill wezbrała i wystąpiła z brzegów. Knuckletown i Port Sellen zniknęły pod wodą. Śmieci i trupy unoszone przez rwący, brązowy nurt zaczęły o spodnią część Mostu Operowego. Wkrótce fala powodziowa zatopiła niżej położone ulice i place oraz szerokie równiny Basenu Merian, tak że tylko najwyższe dzielnice pozostały nietknięte. Cog, niegdyś wysoka skała między dwiema odnogami rzeki, teraz stała się prawdziwą wyspą

pośrodku płytkiego morza.

I wtedy mesmeryści zrobili sutki. Pod kierownictwem śpiewających Ikaratów, dzięki mocy Zaslony, ofiary zarazy spoczywające w masowych grobach straciły swoje kruche ludzkie postacie. Słudzy Menoi zmienili ich w wielkie puste kadłuby z kości, ciała i metalu. Każdy nowy okręt krzyczał z bólu i rozpacz, dopóki Ikaraci nie stłumili głosu żywej stali.

Potem nastąpiło przegrupowanie sił. Legiony Menoi wchodziły na pokłady nowych jednostek, a mesmeryckie statki wypływały z zatopionego miasta na równiny, buchając dymem i ogniem, podczas gdy burze Rysa nadal szalały, rozjaśniając posępny horyzont.

--Pokazałem ci to nie bez powodu -- rzekł Meona. Na jego znak wiedźmowa kula zaczęła odzyskiwać swój poprzedni kształt, wsysając Zaslone, ląd i wodę jak powietrze. -- Tutaj, w Labiryncie, forma to jedynie manifestacja woli. A jednak wy, ludzie, z uporem trzymacie się swoich ponurych wspomnień, przybieracie postacie, do których jesteście przyzwyczajeni, zamiast odkrywać nieznanne. Ostatnio w Labiryncie wystąpił zalew mocy, ale mimo tego potencjału panuje w nim zastój. -- Szklana maska przez cały czas się zmieniała w karmazynowym świetle. -- Wasz król nie ma żadnej wizji, dlatego muszę narzucić wam swoją i w ten sposób was wyzwolić.

--Tak, panie. -- Po plecach Harper przebiegł dreszcz. Już widziała przerażające istoty, które stworzył Menoa, żeby prowadzić wojnę przeciwko światu ludzi.

--Czy na przykład wasze palce nie są tak zaprojektowane, żeby dostrajać mechanizmy naszych idei?

--Ja... -- Nim metafizyczka zdążyła odpowiedzieć, jej ręce zaczęły się wydłużać. Krzyknęła, czując, jak jej nerwy umierają w bolesnych spazmach, a na czubkach coraz cieńszych, srebrnych palców formują się krystaliczne mesmeryckie przyrządy do mierzenia i zmieniania duchowej harmonii wojennych machin Menoi. Kłyckie spuchły, przekształciły się w nieregularne metalowe guzki i zaczęły tykać, kiedy wewnątrz nich ruszyły mechanizmy zegarowe. Nadgarstki stwardniały i zrobiły się czarne. -- Proszę... -- wykrztusiła Harper. -- Nie.

Ale Menoa nie słuchał. Pochylony nad nią, dokonywał zmian jej fizycznej postaci, przebierając szponiastymi palcami. Za jego szklaną maską przesuwało się sto różnych twarzy.

--Zrozum, że staniesz się tym, czym zechcę cię uczynić -- powiedział. -- Jeśli będę musiał zmienić każdą duszę w moim królestwie, zrobię to bez wahania.

Wykonał kolejny gest rękawicą. Urządzenia na palcach Harper ponownie zaczęły zmieniać kształt.

Metafizyczka usłyszała, że wiedźmowa kula syczy z radości, ale jej nie zobaczyła. Menoa coś zrobił z jej oczami, tak że widziała wszystko fragmentarycznie, jakby patrzyła przez fasety klejnotu. Poczula, że na jej plecach powstaje wybrzuszenie, potem wyrasta z niego coś twardego, ale giętkiego, a następnie to coś się dzieli.

W co przeobrażał ją Menoa?

Świat wokół niej nagle się powiększył. Nad nią majaczyła szklana maska, czarna na tle skłębionych karmazynowych chmur, jakby król spoglądał na nią z ogromnej wysokości.

--Jesteś insektem -- oznajmił władca.

Uszy Harper wypełniło bzyczenie. Kiedy spojrziała w dół na siebie, zobaczyła chitynowe wyrostki sterczące z całkiem nowego tułowia. Jej kończyny zniknęły, zastąpione przez mnóstwo wąsów podobnych do drutów. Igły bólu przeszły świeżo uformowane nerwy.

Menoa posadził ją na rękawicy i zaniósł do balustrady.

--Leć do Procesora i powiedz Pierwszym, żeby przygotowali piece formujące dla następnego archonta -- rozkazał. -- Odłożę uderzenie do czasu, aż anioł będzie gotowy. Uwiń się szybko, a może zastanowię się nad zwróceniem ci rąk i nóg.

I cisnął Harper w niebo nad Piekłem.

Metafizyczka leciała, bzycząc, oszołomiona nowymi doznaniem, ale nie miała płuc, żeby krzyczeć. Uwięziona w kruchym pancerzyku, frunęła na skrzydłach cienkich jak papier. Wokół niej wirował Labirynt. Odbierała kilkanaście subtelnie różniących się od siebie widoków tego samego strasznego krajobrazu. Za nią wznosiły się wieże dziewiętej Cytadeli niczym postacie obdarte ze skóry, rojące się od przeistoczonych dusz, opasane czerwonymi wstęgami kanałów, które przemierzali Ikaraci ciężkimi, czarnymi barkami.

Delikatne skrzydła niosły ją niezgrabnymi zrywami przez krwawą mgłę wiszącą nad jedną z ikarackich maszyn mielących. Harper poczuła nagły przypływ energii, kiedy jej nowe ciało wchłonęło ją z niezliczonych pokawałkowanych dusz. Wyraźnie wzmocniona, okrążyła cytadelę Menoi i skierowała się do Procesora.

Wielka budowla górowała nad okolicznymi kanałami, zigguratami i pełzającymi maszynami. Na tę odwróconą piramidę podobno składało się co najmniej milion dusz przekształconych w czarny kamień. Harper była w stanie w to uwierzyć, bo żeby ułatwić tajemnicze procesy przeprowadzane w jej murach, Ikaraci nie odebrali duchom głosów.

Procesor wyl i krzyczał. Nawet ciągły śpiew nieprzebranych ikarackich rzesz czy huk kuźni nie potrafiły zagłuszyć tych piekielnych wrzasków. Para buchala z otwartego wjazdu jednego z pieców formujących, a z nieba spadał prosto do wnętrza maszyny strumień skał i rudy. Najwyraźniej Ikaraci nadal pozyskiwali surowce ze świata żywych.

Gdy Harper zbliżyła się do Procesora, ujrzała kapłanów-wojowników wychodzących z otwartego pieca. Mesmeryści kuśtykali po gładkiej powierzchni, zgarbieni pod brzemieniem białych emaliowanych zbroi, które jednocześnie chroniły i wzmacniały starcze ciała. Niebieskie iskry sypały się z grzybowych wypukłości na ciężkich naramiennikach i naplecznikach, a po zetknięciu z ziemią wybuchały wokół białych butów.

Dopiero po chwili Harper zobaczyła, dlaczego Ikaraci wycofują się z parującego wjazdu. Coś z niego wychodziło.

Jako pierwsze z pieca formującego wyłoniły się dwie szkieletowe ręce. Przypominały dłonie nieboszczyka, ale były większe od najpotężniejszych dębów. Kościste palce zacisnęły się na górnej krawędzi budowli z taką siłą, że cały Procesor zawył.

Harper była oto świadkiem narodzin arkonity: automatu zbudowanego z żelaza, kości i duszy anioła.

Pióropusze dymu wydobywały się z sykiem z wnętrza Procesora, kiedy szkieletowy gigant gramolił się z pieca formującego. Nad otworem pojawiła się jego czaszka i skrzydła; kości i ścięgna lśniły od oleju i plazmy. Silniki dudniły w klatce piersiowej, pompując tajemnicze chemikalia przez sieć rur biegnących przez całe ciało. Istota ciągnęła za sobą setki łańcuchów o ogniach nadal jarzących się czerwono od żaru pieców, w których je wykuto.

Po wyjściu z pieca formującego arkonita stanął na szczycie Procesora, rozpostarł ogromne skrzydła i ryknął.

Harper widziała z góry, że te skrzydła są bezużyteczne. Ikaraci zostawili je tylko po to,

żeby związać duszę archonta z jego mechanicznym korpusem. Nawet miesiące tortur nie zdołały całkiem pozbawić go pamięci o żywym ciele, bo ze wszystkich piekielnych istot tylko aniołów Menoa nie był w stanie zmienić samą siłą woli. Po śmierci zachowywali z siebie więcej niż zwykli śmiertelnicy i potrafili oprzeć się najusilniejszym perswazjom króla.

Dlatego przywódca mesmerystów uciekał się do barbarzyńskiej fuzji tego co fizyczne i metafizyczne, żeby tchnąć duszę archonta w konstrukcję z metalu i kości.

Ikaraci podnieśli łańcuchy i zaprowadzili automat na skraj Procesora, a potem w dół po rampie, żeby dołączył do swoich jedenastu braci. Ogromna zagroda, w której przebywali, była czworokątnym dziedzińcem w samym środku miasta mesmerystów, pośród wielkich zigguratów i wież, jak okiem sięgnąć, sterczących ku niebu niczym odłamy obsydianu. Czerwona para buchala z tysiąca maszyn mielących, a osobliwa zbieranina niewolników, wojowników i kapłanów Menoi przemierzała głębokie kanały na barkach albo pełzała, kuśtykała czy toczyła się ulicami. Grupa tropicieli o skórze koloru wątroby, poganiana przez swoich panów, opuściła Ziggurat Modłów i z pluskiem przepawiła się przez jeden z płytszych kanałów, wyjąc i kłapiąc zębami. Ostatnio rozesłano wiele takich sfor, ponieważ król Menoa zwiększył intensywność nie tylko polowań na archontów, ale również poszukiwań szczątków roztrzaskanego boga Irila.

Harper poleciała na szczyt Procesora, a stamtąd w dół przez jedno z mniejszych ikarackich drzwi. Podążała korytarzami pełnymi niebieskich drutów i siarkowych sadzawek, z których próbowały dosięgnąć ją liczne ręce. Ale w swojej obecnej postaci była dostatecznie szybka, żeby im umknąć.

Do Bastionu Głosów dotarła na czas.

Wysoka sala była zbudowana z przezroczystych rombów, utworzonych z dusz wybitnych mędrców. Pośrodku, na tronach ustawionych kręgiem na podwyższeniu, siedziało bez ruchu dwunastu Pierwszych i w skupieniu słuchało szeptów dobiegających ze szkła. Od zaworów w ich zbrojach koloru kości biegły rury i znikwały w czarnej szklanej podłodze, na której wyryto starożytne pieczęcie. W przeciwieństwie do zwykłych Ikaratów, lordowie nie nosili hełmów. Ich stare twarze miały kolor mięsa śniętych ryb, oczy i usta były zaszyte miedzianym drutem.

Harper nie rozumiała otaczających ją szeptów, ale mimo to głosy przycichły, kiedy się zbliżyła. Jej obecność nie pozostała niezauważona.

Kiedy metafizyczka chciała dobyć głos, ku swojemu zaskoczeniu usłyszała tylko ciche brzęczenie. Usiadła na podłodze przed samym podwyższeniem.

Arkonici są teraz równi Pierwszym, oznajmiły głosy. Zrobiliśmy wszystko, co rozkazał Menoa. Dwunastu gigantów będzie chodzić po niezakrwawionej ziemi, każdy z osobna potężny jak cała armia śmiertelników. Nasze myśli są ich myślami. Przekaż królowi tę wiadomość i odejdz, insekcie. Zbliża się wojna.

Harper znowu spróbowała się odezwać, ale z jej ust wydobyło się tylko szcęknięcie. Jej liczne odnóża zadrżały z frustracji. Pancerzyk wydał odgłos przypominający szelest suchego papieru. Dlaczego Menoa nie wyposażył jej w krtań, żeby mogła przekazać jego żądania?

Nie dał ci krtani, żebyś nas nie okłamała. Twój umysł jest dla nas jak lustro. Wystarczy, żeby nam przekazać twoją rozmowę z Menoa.

Harper odtworzyła w pamięci audiencję na balkonie i dzięki jej myślom Bastion Głosów zrozumiał, czego oczekuje od niego Menoa.

Powiedz królowi, że zbudujemy ciało dla kolejnego żelaznego anioła, ale uprzedź go, że jest

dużo do zrobienia. Trzeba zgromadzić pod dostatkiem rudy z Pandemerii i tysiąc dusz do przekształcenia. Trzeba będzie zabrać krew i kości z maszyn mielących.

Harper opuściła milczących Ikaratów usadowionych na tronach i wzbila się w powietrze. Na zewnątrz Procesora nowo wykuty arkonita nadal lśnił i parował po wyjściu z pieców formujących, ale teraz znajdował się w zagrodzie razem ze swoimi towarzyszami, przykuty łańcuchami do podłoża. Dwunastu gigantów siedziało w kucki na ziemi, obejmując kościstymi rękoma kolana, całkowicie posłusznych swoim ikarackim panom. Stada fruujących upiorów, zwabionych zapachem żywej krwi, już się zleciały, żeby pożywić się na ich wielkich poszarpanych skrzydłach.

Podczas gdy przezroczyste jak u ważki skrzydelka niosły Harper do celu, ona sama roztrząsała w myślach, jakim cudem wplątała się w to szaleństwo. Przecież przybyła do Piekla z całkiem innego powodu.

Król czekał na balkonie. Gdy na nią popatrzył, Harper przez chwilę czuła jego obecność w swoim umyśle. Potem to doznanie nagle zniknęło, pozostawiając ją pustą i drżącą.

--Chcesz, żebym przywrócił cię do pierwotnej postaci? -- zapytał Menoa.

Nie musiała odpowiadać. Sam już to wiedział.

Władca przesunął szklaną ręką po balustradzie, a Harper poczuła, że jej nerwy płoną. Egzoszkielec zaczął trzeszczeć i rozpadł się na pół. Drgające wnętrzości wylały się, napęczniały i przybrały nowe formy. Świat jakby się stopniowo kurczył, w miarę jak ona rosła. Pokawalkowana rzeczywistość zlała się w jeden solidny obraz. Skrzydelka się rozpuściły, liczne odnóża przekształciły się z powrotem w ludzkie członki. Metafizyczka zorientowała się, że odzyskała głos, kiedy z jej gardła w końcu wyrwał się krzyk udreki.

Ale wtedy król uniósł rękę, zatrzymując proces transformacji.

Harper, istota o drżącym zniekształconym ciele, skuliła się ze strachu i próbowała zachować zdrowe zmysły.

--Może powinienem umieścić cię w wieźmowej kuli, żebyś dzieliła wieczność z ośmioma śmiertelnymi siostrami -- rzekł spokojnie Menoa. -- Zobaczyłabyś... cudowne widoki.

--Robiłam... wszystko, co mi kazalesz, panie -- wykrztusiła Harper. Coś pękło na jej ramionach, zmoczyło wykrzywione plecy. -- Czy moja służba ci nie odpowiadała?

Król się zaśmiał.

--Przeciwnie, ale monotonia mnie nudzi. Masz potencjał, żeby stać się kimś więcej, niż jesteś. -- Podeszedł do niej z pazurami wyciągniętymi jak skalpele. -- W twoim świecie jestem uważany za rzeźnika czy za wizjonera?

Mimo cierpienia Harper z trudem pohamowała śmiech. Co za absurdalne pytanie! Ten potwór dba o to, jak postrzegają go inni? Tej myśli nie zdążyła powstrzymać, ale Menoa widocznie nie czytał w jej głowie, bo czekał na odpowiedź.

--Panie, postrzeganie twojej osoby często się zmienia -- odparła w końcu, starając się zapanować nad bólem i jednocześnie nie zdradzić się z cynizmem.

Najwyraźniej jej odpowiedź zadowoliła władcę, bo wykonał kolejny gest, ponawiając transformację. Harper krzyknęła, kiedy jej ciało zaczęło przybierać inny kształt.

--To dobrze -- powiedział z satysfakcją Menoa. -- Jeśli mamy zmylić wrogów, nie wolno nam zaprzestać adaptacji. -- Czarna szklana maska lśniła w fioletowym świetle. -- Choć czasami służyłaś mi niechętnie i z przymusem, Alice Harper, spisywałaś się dobrze. Wy,

Pandemerianie, przyzwyczailiscie się do stagnacji, ale rozumiecie pułapki i niebezpieczeństwa świata żywych o wiele lepiej niż Ikaraci. Teraz będę wymagał od ciebie jeszcze więcej.

W miarę jak jej ciało się zmieniało, Harper uświadamiała sobie, że coś jest nie w porządku. Jej ręce i nogi... Już była o stopę wyższa, niż powinna, a transformacja jeszcze się nie zakończyła. Co z niej robił król Menoa? W co się przekształcała?

Król odwrócił się i spojrzał na Labirynt.

--Twoja nowa postać zaskoczy cię i ucieszy -- powiedział.

ROZDZIAŁ 16

DILL

We śnie Dill walczył pośród tłumu. Mężczyźni i kobiety w najróżniejszym wieku popychali go, wrzeszczeli, bili się między sobą. Wokół niego śmigaly pięści. Twarde buty kopały go w golenie i brzuch. Brudne ręce złapały za włosy i ściągnęły na wilgotną, czerwoną ziemię. Uwolnił się na chwilę i stwierdził, że patrzy w szare niebo. Potem ktoś potknął się o jego skrzydła, a on upadł na plecy prosto pod nogi walczących. Czyjeś kolano uderzyło go w skroń, wciskając głębiej w błoto. Anioł chwycił za podartą, przeupoconą koszulę, ale jej właściciel wyrwał się i nadepnął mu na twarz. Dill zobaczył nad sobą uśmiechniętą twarz, siwe włosy i białą umięśnioną pierś.

I wtedy jakieś silne ręce dźwignęły go na nogi.

--Sztuczka polega na tym, żeby inni dranie nie wyczuli twojego strachu -- zagrzmiał za nim głęboki głos. -- I jeszcze trzeba deptać po ich dziobatych gębach przy każdej okazji. Ha!

Dłoń w metalowej rękawicy wystrzeliła ponad lewym ramieniem Dilla i zdzieliła siwego awanturnika w twarz, roztrzaskując mu wielki nochał.

Jego wybawcą okazał się ogromny anioł w starej, zniszczonej stalowej zbroi. Gigant górował nad wszystkimi, łącznie z potężnym osobnikiem, którego właśnie uderzył. Zmierzwił siwe włosy rozsypały mu się na plecach, kiedy dźwignął z ziemi swoją bezwładną ofiarę i rzucił ją daleko w tłum. Potem roześmiał się i wyjaśnił:

--Wszyscy tutaj jesteśmy duchami, chłopcze, uwięzionymi w tym samym parszywym śnie. Ta bitwa to tylko pojedynek woli. Wystarczy posłużyć się sprytem, żeby znaleźć sobie broń. Patrz!

Pochylił się i chwycił za kostkę starą kobietę, która leżała bez ruchu niedaleko nich. Szczercząc zęby, archont zatoczył nią wokół siebie jak maczugą, wycinając ścieżkę w przerażonej zgrai. Na wszystkie strony trysnęły fontanny krwi.

--Widzisz?! -- ryknął archont. -- To łatwe. -- Cisnął zakrwawione ciało w bok jak brudną szmatę i krzyknął: -- O, ten będzie lepszy! -- Podniósł z pola bitwy żołnierza w zardzewiałym pancerzu kolczym i zamachnął się nim tak samo jak przed chwilą martwą staruszką. -- Ci w zbrojach są najlepsi! Trochę kluje, gdy się dostaje w twarz trupem odzianym w kolczugę.

--Kim jesteś? -- wykrztusił Dill, łapiąc oddech.

--Starym martwym bogiem, który ma chronić twoje plecy i zadbać o to, żebyś dotarł do Piekla w jednym kawalku. Spójrz na tamtego typa! Chyba wyobraża sobie, że jest bokserem. -- Wskazał żyłastego osobnika, który jednym ramieniem otaczał szyję młodej kobiety i okładał ją po twarzy. -- Myślisz, że sobie z nim poradzisz?

Pierwszym ciosem Dill rozbił napastnikowi wargę. Mężczyzna spojrział na niego oszołomiony, a kiedy zobaczył dwóch aniołów, puścił swoją ofiarę i rzucił się do ucieczki przez tłum. Wynędniały starzec o rozgorączkowanym spojrzeniu powalił go na ziemię, nim Dill zdążył uderzyć po raz drugi. Archont ryknął śmiechem, a wokół nich nagle zrobiło się luźno.

--W Niebie nie ma się takich snów -- powiedział anioł z błyskiem w niebieskich oczach. -- Dlatego nigdy nie lubilem tamtego cholernego miejsca. Chodź, bo szkoda każdej chwili. Wkrótce przejdziemy przez bramę.

I tak torowali sobie drogę, walcząc ramię w ramię. Czy też raczej archont przebijał się

przez tłum jak taran, a Dill podążał tuż za nim, wymierzając ciosy i kopniaki, gdy tylko trafiła się okazja. Wszyscy bili się ze wszystkimi. Wokół tylko śmigły pięści. Podarta kolczuga młodego anioła była mokra od krwi i potu. Popychany przez liczne łokcie, zataczał się na boki, ale nie przestawał posuwać się do przodu.

Była to dziwnie cicha bitwa, bez szczęk broni, wojennych okrzyków czy przekleństw, nie licząc sporadycznych chrząknięć czy jęków. Niebo w górze pociemniało, przybierając barwę ołowiu, a potem onyksu. Walczący byli już bardzo zmęczeni, ale nadal pełni determinacji. Nie poddawali się łatwo, bo nie mieli dokąd się wycofać.

Dill też bił się bez wytchnienia w coraz większej ciemności, żeby zrobić wrażenie na nowym towarzysz. Łamał nosy, ciągnął za rzadkie, cuchnące włosy i dobrze się bawił.

Ludzie przepychali się do przodu albo padali i znikali. Dill tłukł wykrzywione szyderczo twarze, aż w końcu nie potrafił odróżnić jednej od drugiej. Tłum zmienił się w zamazaną plamę, w bestię o dziesięciu tysiącach oczu, zębów, spoconych kończyn. Anioł kopał ją i kopał, gruchotał jej kości. Ale ona miała ich bez liku.

I nie przestawała oddawać razów.

Dill otrzymał tyle samo ciosów, ile ich wymierzył. Wkrótce całą pierś i ramiona miał pokryte pulsującymi siniakami. Kłykcie mu krwawiły, pot ciekł z czoła, zalewał oczy. Anioł widział swoje pióra wdeptywane w błoto. Nie potrafił ocenić, jak długo już walczy...

Nagle się obudził.

Zrozumiał, że znowu trafił do Pieła. Było podobnie jak ostatnim razem, ale teraz miał wokół siebie mniej przestrzeni.

Był uwięziony między dwiema ścianami. Szorstki kamień napierał z obu stron na jego policzki, żebra, skrzydła, unieruchamiał. Dill nie mógł nawet obrócić głowy. Poruszył nogami i stwierdził, że pod sobą ma tylko powietrze. Gdyby szczelina była kilka cali szersza, mógłby spać jak kamień.

I co?

Zabić się na miejscu?

Ale przecież on już nie żył. Ze swojego pierwszego razu wyraźnie pamiętał ten mrok i oczekiwanie, a później transformację. Teraz widział tylko mur, zaledwie cal od twarzy, jego nierówną kamienną powierzchnię oświetloną dziwnym szarym światłem. Gdy przesuwiał wzrok, ta poświata również się przemieszczała. Jej źródłem były jego własne oczy.

Wspomnienia roily się w głębi jego umysłu jak muchy.

Uwięziony między ścianami...

A zapach?

Zapach kojarzył mu się z woskiem pszczelim. Im bardziej się nad tym zastanawiał, tym większą zyskiwał pewność. W końcu aromat stał się tak intensywny, że Dill już nie miał wątpliwości: była to woń polerowanego drewna.

Pamiętał ją z poprzedniego razu.

Nagle ogarnęła go panika.

Zaczął się miotać w swoim więzieniu, machać nogami, garbić i prostować plecy. Nie udało mu się uwolnić, ale zdołał unieść rękę.

Z czubka jego palca wskazującego wyrastał mały biały pęd.

Z własnego ciała miał sobie wyhodować swój kąt w Labiryncie. Ponownie doświadczyć

bolesnego procesu, który prześladował go w snach od powrotu do świata żywych.

Gdy tylko pomyślał o bólu, koniec palca zaczął go piec, jak użądłony przez osę. Dill podrapał białym korzonkiem o ścianę i aż jęknął, czując szorstkość kamienia. Odrośl stała się żywym, wrażliwym przedłużeniem jego ciała.

W jednej chwili zalały go jeszcze mroczniejsze wspomnienia.

Dill krzyknął z frustracji i dźgnął palcem w kamień, aż pęd zgiął się, a potem ułamał i spadł w ciemność. Anioł zadrżał z bólu i zaczął ssać kikut, dopóki krwawienie nie ustało. Rana smakowała woskiem pszczelim.

Poczuł, że z palców stóp wyrastają mu korzonki i rozpychają buty, ale nie mógł do nich dosięgnąć. Pozostawało mu jedynie czekać.

Czas mijał.

W pewnym momencie Dill musiał zasnąć, bo raptem przyłapał się na tym, że otwiera oczy. Poczuł, że coś się zmieniło. Jego ciało doznawało różnych dziwnych wrażeń. Nacisk na skrzydła i pierś zniknął.

Ściany odsunęły się o jard. On sam stał na solidnej drewnianej podłodze w małej kamiennej celi.

Albo raczej był przyrośnięty do tej podłogi. Skórę jego butów przebijała masa delikatnych białych pędów, które niczym korzenie drzewa zagłębiły się w deskach i unieruchomiły go.

Znowu wróciły wspomnienia.

Dill jęknął. Deski wcale nie były podziurawione. To pędy stwardniały, splaszczyły się i rozrosły, zmieniając kolor z białego na barwę wypolerowanego dębu. Anioł wrósł w podłogę.

Nie mógł poruszyć uwięzioną stopą, więc z jękiem rozpaczy opadł na kolana. I wtedy stało się coś dziwnego. Dill poczuł na sobie nacisk twardych rzepek, ciężar własnego ciała. Drewno było równie wrażliwe jak jego skóra.

Dill klęczał na parkiecie, który wcale nie był parkietem, i gorączkowo rozglądał się po małym pomieszczeniu. W miejscu, gdzie podłoga stykała się ze ścianą, powstała listwa, a on wyraźnie czuł fakturę kamienia.

Zamieniał się we własny pokój.

Tego było dla niego za wiele. Zaczął szlochać i uderzać pięściami w deski podłogowe, ale zaraz skrzywił się z bólu, który sam sobie sprawił. Próbował uwolnić stopy, ale nawet nie drgnęły. W końcu położył się z płaczem.

W pewnym momencie znowu zasnął.

Gdy się obudził, stwierdził, że leży na podłodze eleganckiej komnaty wyłożonej drewnem. Wysokie okna były zasłonięte żaluzjami. Na nawoskowanym parkiecie leżał dywan w karmazynowe i czarne wzory. Na umeblowanie składało się bogato rzeźbione łóżko z baldachimem z granatowego aksamitu, drewniana komoda, na której stał wazon z białymi kwiatami, i toaletka z trzema owalnymi lustrami. Na ścianach wyłożonych ciemną boazerią wisiało kilkanaście portretów osób nieznanymi Dillowi. Byli na nich młodzi mężczyźni i kobiety ubrani jak pokojówki, robotnicy i posługacze z Deepgate. Wszyscy patrzyli na niego. Anioł odwrócił wzrok, bo ich spojrzenia go drażniły. Leżąc na podłodze, dostrzegł wysokie drzwi prowadzące do drugiego pokoju, równie dużego i bogato umeblowanego jak ten, w którym się znajdował.

I znowu odnosił to dziwne wrażenie, które pamiętał z przeszłości. Czuł pod palcami ziarnistość podłogi i zarazem własne dłonie naciskające na deski, jakby teraz miał cztery ręce i każda para dotykała się nawzajem.

Rozejrzał się w panice. Pędy, które wyrosły mu z pięt i palców stóp, zrobiły się cieńsze, twarde jak trzciny i ciemniejsze. Łączyły go z deskami podłogowymi. Ta wystawna komnata była częścią jego ciała. Po prostu rozrosła się wokół niego.

Dill ostrożnie spróbował poruszyć stopami. Z początku nawet nie drgnęły, ale kiedy wyteżył siły, dwie słabsze odrośle pękły. Anioł skrzywił się, kiedy z jego pięt i jednocześnie z desek pociekła krew. Przez chwilę łapał oddech, a potem znowu przesunął stopę. Puściły trzy następne pędy, na parkiecie wykwitły kolejne plamy krwi, ale udało mu się całkiem uwolnić lewą nogę. Z przerażeniem i fascynacją popatrzył na zdrewniałe kikuty, które wyrastały z jego palców i z pięty.

Wyciągnął rękę i dotknął miejsca, gdzie z desek sterczały urwane korzenie. Okazało się to bolesne. Drewno pozostało równie wrażliwe jak jego własne delikatne ciało. Dill czuł tępe pulsowanie tam, gdzie z podłogi wyciekała krew, i dotyk własnych palców na zranionych pędach. To doznanie napelniło go odrazą.

Oстрым szarpnięciem uwolnił drugą nogę.

Ból zaatakował go ze wszystkich stron: z kości i zębów, z draperii łoża, jakby były napiętymi płachtami rozpalonej skóry, z owalnych luster w ramach. Chciał je zamknąć jak oczy, ale nie zdołał. Nie mógł przesunąć żadnego elementu otoczenia ani o cal. Pokój żył wokół niego. Był nim. Wrażenie rwania dotarło do korzenia za najniższą szufladą komody, a potem rozprzestrzeniło się na wszystkie spojenia po kolei. Wysokie żaluzje ścierpły jak mięśnie. Dill poczuł drżenie kwiatów, a potem sam wazon -- kruchą porcelanę delikatniejszą niż jego szkielet.

Parkiet nadal krwawił w miejscach, z których anioł uwolnił stopy. Ciepła ciecz o zapachu żelaza wsiąkła w dywan. Dill spojrzał w górę i zobaczył, że boazeria się wybrzusza, a potem kurczy, jakby oddychała. Deski szorowały o siebie, potęgując jego nieprzyjemne doznania.

I nagle uświadomił sobie istnienie innych pokoi poza mieszkaniem, które wokół siebie wyhodował. Wszystkie napierały na jego komnatę.

Dill zrozumiał, że Labirynt to wcale nie jest miejsce, do którego idą martwi. Potępieni sami tworzyli Piekło wokół siebie. Każda cegła i gwóźdź były obdarzone czuciem, stanowiły części jakiejś duszy.

Labirynt Krwi nosił trafną nazwę.

Raptem Dill odniósł wrażenie, jakby w jego czaszkę zaczął regularnie uderzać młot. Gwałtownie zaczerpnął tchu i ścisnął rękami skronie, ale po chwili się zorientował, co jest źródłem cierpienia. Usłyszał pukanie. Ktoś bębnił do drzwi.

Miał gościa.

ROZDZIAŁ 17

TRANSFORMACJA

Król Menoa zmienił Harper w maszynę złożoną z narzędzi do polowania na zblakane dusze, łapania ich we wnyki i torturowania. Wyposażył ją w płaszcz, żeby mogła ukryć swój wielki, groźny, krystaliczny szkielet przed tym, którego miała dopaść. Lecz w żaden sposób nie była w stanie zapomnieć, kim się stała.

Została odarta z wszelkiego podobieństwa do ludzkiej istoty. Górowała teraz nad własnym królem. Była co najmniej sześć razy wyższa od niego, co pozwalało jej sięgnąć wzrokiem daleko przez Piekło, ale nie mogła oderwać oczu od własnego ciała. Przezroczyste segmenty połączone ze sobą od pasa w dół wyglądały jak ogon węża wyrzeźbionego ze szkła. Wewnątrz jej miednicy i brzucha obracały się kryształowe koła zębate, wprawiając w wibracje żebra i klatkę piersiową. Zamiast rąk Menoa dał jej trzy długie, cienkie, szklane ramiona zakończone odpowiednio: włócznią, berłem i lustrzaną tarczą. Wewnątrz berła działał skomplikowany mesmerycki mechanizm emitujący od czasu do czasu impulsy białego światła.

--Udoskonaliłem cię -- powiedział król. -- Berło służy jednocześnie jako wyrocznia i lokalizator, natomiast pozostałe kończyny są przeznaczone jedynie do walki. Włócznia powoduje ból na wielu poziomach i narzuca różne wizje przeciwnikowi. Tarcza zapewnia fizyczną ochronę i nie tylko... To wyjątkowe narzędzie.

Harper uniosła tarczę i spojrzała na swoje odbicie w jej lustrzanej powierzchni.

--Moja twarz! -- Jej przerażony głos zabrzmiał jak dzwonięcie kryształowych dzwonów.

--Piękna, prawda? Chciałaś zachować pierwotną postać, więc wyświadczyłem ci przysługę. Teraz stanowisz połączenie starego i nowego.

Czaszka Harper była bańką z czystego szkła ukształtowaną na podobieństwo jej dawnej głowy. Przezroczyste oczy, policzki, nos i usta zastygły w wyrazie wściekłości, ale ten koszmarny grymas nawet w przybliżeniu nie był tak przerażający jak widok istoty uwięzionej w środku.

Skulona malutka postać drżącej kobiety w uniformie mesmerysty obejmowała rękoma nogi, chowając głowę między kolanami. Harper przysunęła tarczę bliżej oczu i choć nie mogła dojrzeć twarzy miniaturki, i tak ją rozpoznała.

--Ona jest rdzeniem twojej duszy -- rzekł Menoa -- ale wyposażyłem ją w ludzkie słabości, za którymi nadal tęsknisz w Piekło. Głód i pragnienie będą ją powoli zabijać, dopóki pozostanie uwięziona. -- Odwrócił się szybko, rzucając przez ramię: -- Znajdź anioła i zaprowadź go do Procesora. Radzę, żebyś działała szybko, dla twojego własnego dobra.

Dill otworzył drzwi i ujrzał zakutego w starą metalową zbroję archonta ze swojego snu. Przybysz, z wielkimi szarymi skrzydłami złożonymi na plecach i rękami opartymi na biodrach, lypał na niego wesóło. Za nim, daleko w mrok ciągnęła się amfilada kamiennych komnat. We wszystkich było mnóstwo broni, tarcz i urządzeń treningowych, niczym w żołnierskich koszarach.

--Zostań tam, gdzie jesteś -- uprzedził go archont. -- Porozmawiamy w drzwiach, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Przekroczenie tego progu byłoby dla nas obu co najmniej niewłaściwe i prawdopodobnie nieprzyzwoite. Zamek, który za mną widzisz, to wcielenie mojej

duszy, tak jak pokoje po tej stronie drzwi są wcieleniem twojej.

--Kim jesteś? -- zapytał Dill.

--Mam na imię Hasp -- odparł z szerokim uśmiechem anioł.

--Hasp? -- Młody anioł popatrzył na gościa pustym wzrokiem.

--Nie wiesz, kim jestem? -- zdziwił się archont, marszcząc brwi.

Dill pokręcił głową.

--Hasp, najmłodszy z siedmiu synów Ayen, pan Pierwszej Cytadeli. Masz zaćmienie umysłu?

Anioł nie odpowiedział.

Bóg popatrzył na niego z niedowierzaniem.

--Na Życie i Światło, chłopcze! Czego ci kapłani Ulcisa uczyli świątynnych archontów? Do cholery, jestem bratem twojego boga!

--Nawet nie wiedziałem, że w ogóle ma jakiegoś brata.

Hasp pokręcił głową.

--Powiniennem się tego spodziewać. Twój przodek nie był mądrzejsi od ciebie. Kiedy znajdujemy tu na dole anioła z Deepgate, za każdym razem jest tak samo. -- Westchnął ciężko.

-- Mój brat lubił swoje małe sekrety, co? Dawkowanie wiedzy, żeby utrzymać ludzi w ryzach. Tak czy inaczej, to już nie ma znaczenia. Ulcis był moim bratem, natomiast Callis jednym z jego synów. A zatem ty musisz być moim praprapraprawnukiem stryjecznym czy kimś w tym rodzaju. Witaj z powrotem w Piekło.

--Ukradziono mi ciało -- poskarżył się Dill. -- Zrobił to jakiś archont. Upiór. Mówił, że jest z Pierwszej Cytadeli.

Hasp zrobił niepewną minę.

--Przykro mi, ale kiedy otworzyła się brama, dostrzegliśmy szansę przekazania wiadomości. Wiele upiórów wydostało się z Piekła, a my byliśmy na tyle zdesperowani, żeby wysłać jednego z naszych. Kiedyś odzyskasz ciało. Gdy tylko Trench dostarczy wieść.

--Ale ja jestem tutaj!

--Wcześniej cię to nie powstrzymało -- zauważył Hasp. -- Ostatnim razem zniknąłeś, zanim ktoś z nas do ciebie dotarł. -- Bóg się roześmiał. -- Powiem ci, że postawiłeś nas wszystkich na nogi. Mamy nadzieję, że zdradzisz nam swoją sztukę.

Dill przypomniał sobie swój ostatni pobyt w Labiryncie. Był uwięziony w małej celi, w której nawet nie mógł rozprostować skrzydeł. Pamiętał potworny ból za każdym razem, gdy próbował się poruszyć, i straszne sny, które wciąż go nawiedzały. Po każdym przebudzeniu dostrzegał drobne zmiany w swoim lochu. W końcu otworzył oczy i zobaczył Rachel... która przywróciła go do życia anielskim winem Devona.

Nie miał jednak ochoty wyjawiać zbyt wiele temu dziwnemu bogu. Spojrzał poza jego plecy na niekończący się ciąg komnat, na arrasy i stojaki ze starożytną bronią. Ta część Piekła była dla niego nowa.

--Teraz jest tu zupełnie inaczej niż wtedy -- stwierdził.

Hasp pokiwał głową.

--Labirynt stale się zmienia. Bezpośrednie otoczenie jest tylko manifestacją twojej świadomości albo duszy, jeśli wolisz. To praktyczne, o ile nauczysz się nim manipulować. I dopóki masz głowę w górze. -- Roześmiał się. -- Tylko strzeż się myśli samobójczych, bo

inaczej ze ścian twojego więzienia wyrosną noże. -- Bóg zajrzał do pokoju Dilla ponad jego ramieniem. -- Te portrety na ścianach... Oni... wydaje się, że patrzą na mnie.

Anioł się obejrzał.

--Istotnie.

--Kim są?

--Nie wiem.

--Musisz wiedzieć. To twoja dusza.

Dill wzruszył ramionami.

--Nigdy wcześniej nie widziałem tych twarzy.

Hasp jeszcze przez chwilę przyglądał się obrazom z coraz posępniejszą miną.

--Zapytaj ich -- powiedział w końcu.

Młody anioł wcale nie miał na to ochoty. Te portrety go przerażały.

--To tylko malowidła -- mruknął.

Ale Hasp nie dawał za wygraną. Przysunął się bliżej, tak że jego zwalista postać w zbroi wypełniła całe drzwi. Dill odczuł jego bliskość, jakby napierał na niego wielki dom.

--Jeśli macie dość rozumu, mówcie, kim jesteście -- zażądał Hasp, zwracając się do obrazów.

Odpowiedział mu chór trzynastu głosów szepczących jeden przez drugi:

--Kandydat Spine... Lisa pokojówka... Ja nie... Zbieracz chmielu... Nazywam się...

Posługacz... Co to za miejsce?... Dlaczego?... Daniel Crook... Kim jesteś? Ból...

--Dość tego! -- huknął bóg. Obrazy zamilkły.

Hasp cofnął się od drzwi.

--Ludzie z obrazów to dusze powiązane z twoją -- wyjaśnił, zwracając się do Dilla. -- Dzielisz ten mały kawałek Piekła z trzynastoma innymi osobami. -- Pokręcił głową. -- Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem.

Anielskie wino! Elikzir Devona zawierał trzynaście dusz, moc wystarczającą, żeby wskrzesić Dilla. Ale teraz anioł umarł ponownie i te same trzynaście dusz towarzyszyło mu do Labiryntu. Anioł spojrział z przerażeniem na namalowane twarze. Każda patrzyła na niego z innym wyrazem, od ciekawości po wyraźny gniew. Hasp zmarszczył brwi.

--Muszę cię stąd wydostać -- stwierdził. -- Jeśli mesmeryści coś wywęszą, a wierz mi, że tak się stanie, zlecą się tutaj całymi stadami, żeby cię schwytać.

--Wydostać stąd? Gdzie?

Twarz boga sposępniała.

--Musimy dotrzeć do Pierwszej Cytadeli. Ale żeby mieć choć cień szansy, powinienem zacząć cię szkolić.

Harper przemierzała dzielnicę Blaise, labirynt kanałów oddzielonych ścianami z czarnej lustrzanej skały. Z gładkich powierzchni po lewej i po prawej stronie patrzyły na nią twarze zrekonstruowanych dusz. Poziom cieczy był tutaj zbyt niski jak na barki mesmerystów, ale nowy szklany ogon nadawał Harper dużą szybkość. Oczywiście dlatego Menoa ją nim obdarzył. Berło migotało i szumiało, wskazując na obecność Ikaratów w pobliżu. Wkrótce zresztą ich usłyszała.

Stado znajdowało się w niecce między Wysypiskami, niskimi pagórkami utworzonymi z

tysięcy przekształconych dusz. Niektóre budowle łączyły się ze sobą, tworząc chwiejne zamki i nieprawdopodobne wieże. Te delikatne konstrukcje nie mogły długo przetrwać, bo Ikaraci burzyli czujące cegły i zaprawę, żeby dotrzeć do duchów, które schroniły się w środku.

W górze niebo dymiło jak dogasający piec. Za wstającymi karmazynowymi mgłami pulsowały ciemniejsze błyski w miejscach, gdzie z góry przez bramę Deepgate spadały ciała albo gruz, czemu towarzyszyły głośnie trzaski. Dużo rzadziej, gdy do Labiryntu wchodziły dusze żywych, rozkwitały kwiaty białego światła, które wyglądały jak spadające gwiazdy.

Tyle kości.

Między Wysypiskami przemieszczali się kanałami Ikaraci, zbierając ludzkie szczątki i wrzucając je do koszy maszyn mielących. Te wolno poruszające się wehikuly przypominały ogromne wozy o metalowych kołach i kościanych osiach. Kiedy były pełne, ciągnięto je do Procesora, żeby wykorzystać ich zawartość do konstruowania arkonitów.

Szklane ciało Harper brzęczało, kiedy mijała grupę Ikaratów. Było ich sześciu, potężnie zbudowanych, ale zgarbionych jak starcy pod ciężarem ceramicznych zbroi. Po kolana zanurzeni w czerwonym błocie rozbijali wielkimi młotami jedną ze ścian Wysypiska. Przez dziury już zrobione w sąsiednich budowlach inni wywlekali mieszkańców i zamykali ich w klatkach ustawionych pośrodku niecki. Wśród pagórków zwinnie poruszali się tropiciele, wężąc przy oknach i drzwiach. Jedne z najbardziej wytrzymałych mesmeryckich istot miały wygląd pozbawionych skóry ludzi o długich, białych zębach i niestrudzenie pracowały dla swoich panów.

Jeden z Ikaratów opuścił młot i odwrócił głowę w jasnym helmie ku zbliżającej się wysokiej postaci.

--Przysła mnie Menoa -- oznajmiła Harper.

W odpowiedzi usłyszała buczący dźwięk. Z narośli na plecach i ramionach Ikaraty sypnęły się kaskadą niebieskie iskry. Zgarbione ciało pochylilo się lekko w parodii ukłonu.

--Powinniśmy przenieść się na wyżej położony teren -- ciągnęła Harper. -- Król wyposażył mnie w urządzenia do lokalizowania metafizycznych zakłóceń. Archonci z Pierwszej Cytadeli zapewne ukrywają się w pobliżu. Grupa musi być gotowa do szybkiego działania.

Ikarata znowu się uklonił i tym razem w szklanej czaszce Harper zaszemrały jego myśli: *Pierwsza Cytadela nie ma tutaj władzy. Nie wyczuwamy obecności archontów.*

--Może zagrzebali się pod Wysypiskami Dusz. -- Harper wskazała je szklaną włócznią. W środku zaroilo się od światełek. -- Musicie kopać głębiej.

Nagły krzyk zwrócił jej uwagę. Pozostałych pięciu Ikaratów w końcu przebiło zewnętrzną ścianę najbliższego Wysypiska i teraz wciskało się w powstały otwór. Idący z przodu nieśli trójzęby strzelające czarnymi smużkami energii.

Ikaraci wyciągnęli ofiarę z dziury i rzucili ją na kolana. Młody człowiek miał na sobie roboczy strój z szorstkich konopi, widać najbardziej przez niego zapamiętany spośród wszystkich ziemskich szat. On sam też był tylko manifestacją wspomnień własnej duszy. Teraz pozbawiony muru obronnego, który wokół siebie zbudował, nagle zaczął blaknąć, zmieniać się w ducha.

W szklanej klatce piersiowej Harper coś zahuczało i przez chwilę metafizyczka widziała przed sobą nie upiора robotnika z Deepgate, tylko swojego męża Toma.

Jeden z Ikaratów wbil trójzab w plecy mężczyzny i jego eteryczna postać stała się na

powrót solidna. W jednej chwili rozwiało się wszelkie podobieństwo do Toma. Złudzenie optyczne? A może to jej własne myśli wtargnęły w duszę tego człowieka? Tutaj był całkowicie nieodporny na zewnętrzne wpływy. Kapłani mesmerystów musieli wtłoczyć w jego duszę moc, żeby fizyczna postać nie stała się cieniem. Potem zagonili go do klatek stojących w pobliżu.

Oto co czeka aniola. Przynajmniej póki Menoa nie podaruje mu nowego ciała.

--Przed Wojną Przeciwno Niebu wszystko się gładko układało -- powiedział Hasp, przeszukując jedną z wielu skrzyń ustawionych pod ścianami komnaty. -- Równowaga była zachowana. Iril dostawał złe dusze, Ayen dobre. Ale odkąd bogini światła i życia zamknęła bramę do Niebios, na dole zrobiło się tłoczno. Nawet dla mesmerystów jest za dużo dusz.

Dill obserwował go od drzwi.

--Ale przecież Ulcis brał martwych z Deepgate dla siebie -- wtrącił.

--Wszyscy to robiliśmy -- przyznał bóg. -- Każdy z synów Ayen zbierał dusze, żeby ich jak najwięcej uchronić przed Piekłem i mesmerystami. Aha! -- Z jednej ze skrzyń wyciągnął mosiężną kulę z błyszczącymi kryształami w środku. -- I sami też potrzebowaliśmy mocy -- ciągnął, oglądając dziwny obiekt. -- Osłabiła nas Wojna Przeciwno Niebu.

Ilu ludzi przyprowadzono do świątyni Deepgate i rzucono w otchłań z obietnicą odkupienia i Nieba? A w rzeczywistości byli tylko pokarmem dla Ulcisa. Młody anioł poczuł, że jego oczy ciemnieją.

--Jak tutaj trafiłeś? -- zapytał.

Hasp milczał przez dłuższą chwilę. W końcu się wyprostował i zbliżył do drzwi, nadal trzymając w ręce tajemniczy przedmiot.

--Mój brat Rys uznał, że jeden z nas powinien pójść do Piekła i tam walczyć z mesmerystami. -- Bóg westchnął. -- I właśnie ja zostałem wybrany do tego zaszczytnego zadania. Zapomnij o gniewie, chłopcze. Jeśli chcesz tutaj przetrwać, potrzebna ci będzie pomoc Pierwszej Cytadeli. A ja muszę cię przygotować do tej podróży. -- Spojrzał ponad ramieniem Dilla na mieszkanie, które młody anioł wyhodował z własnego ciała. Zatrzymał wzrok na trzynastu portretach wiszących na ścianie i szybko uciekł spojrzeniem. -- Idealnie byłoby, gdybyś miał czas zaznajomić się z nowym otoczeniem. -- Wskazał na pokoje Dilla. -- To ważne, żeby poznał każdy cal swej duszy.

--Po co?

--Żebyśmy mogli cię z niej wydostać. -- Wzruszył ramionami, aż zazgrzytały o siebie płyty pancerza, i uniósł kulę. Wewnątrz mosiężnego filigranu lśniły kryształy. -- Niestety, nie mamy czasu na twoje szkolenie, więc będziemy musieli oszukiwać.

Dill spojrział na przedmiot, który Hasp trzymał w ręce.

--Co to jest?

--Narzędzie do tworzenia próżni, neutralnych przestrzeni między duchami ściśniętymi w Piekło. Pozwoli nam spotkać się bez szkody dla naszych dusz, ale wywiera wpływ na całe otoczenie. Otwórz okiennice. Musimy zobaczyć, kto jest w pobliżu.

Idąc przez apartament, młody anioł miał osobliwe wrażenie, jakby stąpał bosymi nogami po własnej skórze. I w pewnym sensie tak było. Szedł po swojej duszy.

Okiennice były wysokie na sześć stóp i szerokie na trzy. Kiedy je rozsunał, odsłaniając okno podzielone na liczne małe szybki, ogarnęło go dziwaczne uczucie.

Po drugiej stronie ujrzał inną komnatę, dużo okazalszą niż jego, pogrążoną w mroku. Cienie spowijały ściany z ciemnego marmuru i kolumny ginące w jeszcze głębszej ciemności. Dill zdołał jedynie dostrzec kopułę ozdobioną malowidłami, na których anioły polowały w lesie na dziwne zwierzęta podobne do świń. Ale płytkie nisze w ścianach szczyciły się jeszcze dziwniejszymi dekoracjami. Umieszczone w nich półki były pełne czaszek istot o długich zębach.

Dill wyteńczył wzrok.

Wilki czy ogary?

Na środku pokoju siedziała przy biurku młoda kobieta. Pukle ciemnokasztanowych włosów rozsypywały się kaskadą po plecach, kiedy pochylała się i pisała coś w dzienniku. Przez chwilę Dill patrzył na jej smukłe nadgarstki, gładkie jak miód, potem zwrócił uwagę na piersi rysujące się pod tkaniną sukni w kolorach tęczy.

Nagle kobieta podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niego.

Tapety, zasłony i dywany w pokoju Dilla raptem zmieniły barwę na jasnoróżową. Anioł szybko odwrócił wzrok od nieznajomej.

--Kto tam jest?! -- zawołał bóg od drzwi. -- Kogo widzisz?

--Dziewczynę -- odpowiedział Dill. Gdy znowu odważył się zerknąć przez okno, jego sąsiadka nadal pisała coś w dzienniku. -- Nie widzę jej wyraźnie.

--Jak duży jest pokój?

--Co? Jest... -- Dill zastanawiał się przez chwilę. -- Jest wystawnie urządzone.

Hasp odchrząknął.

--W takim razie ta kobieta ma nadmiernie rozdęte ego -- stwierdził. -- Większość tych biedaków ma szczęście, jeśli uda im się wyhodować wokół siebie zwykłą norę. A ona wygląda chociaż na człowieka?

Dill pokiwał głową.

--Więc nie stanowi zagrożenia -- uznał bóg. -- Prawdopodobnie znalazła się blisko nas, kiedy walczyliśmy przy bramie, albo mogłem użyć jej jako maczugi. Naprawdę nie pamiętam. Zamknij okiennice. Ona nie sprawi nam kłopotów.

Dill wrócił do drzwi, ale nie zamknął okiennic. W sąsiednim pokoju nie było lamp, żadnego źródła światła. Nie potrafił zostawić dziewczyny w zupełnej ciemności.

--Od biurka nie może zobaczyć drzwi -- wyjaśnił. -- Zresztą tam jest strasznie ciemno.

Bóg pokiwał głową.

--To jest Piekło, Dillu. Oddaj komuś przysługę, a ten ktoś zwróci się przeciwko tobie. -- Podrzucił kulę i złapał ją, gdy opadała. Urządzenie zajaśniało nowym blaskiem, a Hasp umieścił je w drzwiach łączących obie komnaty.

Kula się rozjarzyła, zaczęła pęcznieć i szybko się powiększać. Powietrze wokół niej migotało. Dill cofnął się, kiedy bańka zrobiła się większa od drzwi i zaczęła rozpychać ściany po obu stronach. Ze środka dobiegły głosy, dziwne szepty w języku, którego młody anioł nie rozpoznał.

--Wejdz do niej -- polecił Hasp.

Dill się zawahał.

--No, już! -- ponaglił go bóg.

Gdy młody anioł wszedł do kuli, na chwilę całkiem stracił orientację i poczucie więzi z

otaczającym go światem. Miał wrażenie, jakby dryfował po morzu światła.

Potem z głośnym hukiem trafił stopami na solidny grunt. Rój światełek zgasł, a jego oczom ukazało się koliste szklane pomieszczenie wielkości planetarium. Matowe ściany przechodzące w sklepienie jarzyły się od rozbłysków.

Przed Dilem stał bóg Hasp, tyle że zamiast starego powgniatanego pancerza miał na sobie zbroję ze srebrzystego metalu. Szare skrzydła i siwe włosy przybrały biały kolor w blasku gwiazd, ale oczy zachowały ten sam wyraz przekory

--Stoimy wewnątrz fragmentu Irila, boga śmierci i ciemności -- wyjaśnił.

--Irila?

--Nasz ojciec roztrzaskał się w czasie Wojny Przeciwko Niebu. Mesmeryści skonstruowali to narzędzie z jego kawałka, który udało się im odnaleźć. -- Hasp uśmiechnął się szeroko. -- A potem my im je ukradliśmy.

Dill spojrział w górę na roje gwiazd.

--To jest... piękne.

--Tutaj możemy się spotykać bezpiecznie, nie wdzierając się nawzajem w swoje dusze. -- Bóg ścisnął ramię Dilla. -- Musisz nauczyć się przystosowywać do otoczenia i nad nim panować, a także się bronić. Tylko spójrz na swoją obecną zbroję...

Podarta kolczuga zwisająca z ramion Dilla wyglądała jak zasłony z rdzy. Nosił ją, odkąd opuścił Deepgate, i w niej umarł.

--Masz na sobie ten lachman tylko dlatego, że nosiłeś go w chwili śmierci i tak siebie zapamiętałeś. Zamień go na coś mocniejszego i ładniejszego.

Młody anioł wyobraził sobie pancerz z posrebrzanych płyt, podobny do tego, w którym paradował Hasp. Nic się nie wydarzyło. Nadal był wystrojony w starą zardzewiałą kolczugę.

--Niedobrze -- mruknął Hasp. -- Przymierz tamtą. Za tobą.

Dill odwrócił się. Przed nim stał drewniany manekin w nowej lśniącej zbroi.

--To twoje dzieło?

--W kuli zostało dość mocy, żeby uzbroić dziesięć tysięcy archontów. Ale to tylko jeden z dwóch kawałków roztraskanego boga, jaki posiadamy, więc nie wyeksploatuj go zbyt. -- Hasp pomógł Dillovi włożyć zbroję z lekkich płyt. -- Drugi fragment boga jest jedyną rzeczą, która powstrzymuje mesmerystów przed atakiem na Pierwszą Cytadelę.

Choć zrobiona z płyt twardych jak stal zbroja była lekka jak jedwab. Dill rozprostował skrzydła i uniół ramiona. Metal zaśnił w blasku wirujących w górze światełek.

--Teraz miecz -- powiedział Hasp.

Anioł popatrzył na manekina, spodziewając się zobaczyć przy nim broń, ale się rozczarował.

--Sam go sobie stwórz -- polecił bóg. -- Po prostu nakaż mu się pojawić w twojej ręce.

Dill skoncentrował się i poczuł ręką w zaciśniętej dłoni. Potem zobaczył, że powietrze gęstnieje i formuje się w długą, ciężką głoźnię. Nad jego dłonią wyrosła złota garda. I nagle anioł stwierdził, że trzyma w ręce swój stary miecz, ten sam, który odziedziczył po przodkach.

--Hmm... -- Bóg zmarszczył brwi. -- Ta broń jest zbyt krucha i nieporęczna. Spróbuj jeszcze raz.

Dill ponownie się skupił. Stał zaczęła falować jak płynne srebro, głoźnia się skróciła, wygięta ozdobna garda zmieniła się w zwykły krzyżowy jelec.

--No, tak jest dużo lepiej -- pochwalił go Hasp. -- A teraz pokaż mi, co potrafisz.

W jego ręce nagle pojawił się miecz. Bóg zrobił wypad.

Dill nigdy nie szkolił się w walce, więc jego brak doświadczenia szybko wyszedł na jaw.

Hasp rozbroił go w mgnieniu oka. Nowy miecz z brzękiem potoczył się po szklanej podłodze.

--Niedobrze, chłopcze -- stwierdził bóg ponurym tonem. -- Kapłani Ulcisa, niestety, zaniedbali swoje obowiązki. Powinni byli cię nauczyć, jak masz o siebie zadbać.

--Przepraszam.

--Podnieś miecz. Czeka nas dużo pracy.

Trening trwał jeszcze długo po tym, jak Dill się zmęczył... A potem zaczął się od nowa.

Hasp pokazał mu, jak odzyskać energię samą siłą woli. Wyczerpanie nic nie znaczyło w Piekło, gdzie ciało było jedynie manifestacją duszy.

--Dusze się nie męczą -- stwierdził krótko Hasp.

Wydawało się, że wewnątrz kuli dni płyną szybko, ale migoczące światełka nadal zachowywały tę samą jasność. Dill myślał tylko o następnym ataku i o tym, jak go sparować. A Hasp szarżował bezlitośnie. Nie wahał się ani nie oszczędzał swojego ucznia. Dill musiał płacić za każdy błąd.

--Dusze nie czują bólu -- oznajmił archont.

Dill skrzywił się, patrząc na niego z podłogi i przytrzymując dłonią dwa krwawiące palce drugiej ręki. Ta konkretna dusza odczuwała duży ból. Hasp wycelował w niego miecz.

--Wszystko jest w twoim umyśle, chłopcze, a on nie jest dość silny, żeby uwolnić się od złudzeń. Gdybym teraz przebił ci serce, umarłbyś. -- Zmarszczył brwi. -- Jeśli nie zdołamy wydostać cię z tej fikcji, którą się otoczyłeś, nigdy nie dotrzesz do Pierwszej Cytadeli. Chcesz pozostać tutaj uwięziony? Nie? Więc przestań się roztkliwiać nad przelaną nieistniejącą krwią i wstawaj!

Dill posłusznie dźwignął się z podłogi, ale krew na jego rękach nadal była ciepła i śliska.

Czas pędził bez wytchnienia, ale Dill nie potrafił stwierdzić, czy minęły lata, czy tygodnie. Parował ciosy, robił wypad, uniki, tańczył wokół przeciwnika, aż w końcu Hasp uśmiechnął się szeroko.

--Rzuć miecz -- polecił.

Dill próbował spełnić rozkaz, ale nie mógł. Rękojeść stopiła się z jego dłonią. W miejscach, gdzie palce dotykały metalu, pojawiły się spojenia. Przerażony zaczął gwałtownie machać ręką, ale miecz nawet nie drgnął.

--No, dobrze -- powiedział Hasp. -- Czas odpocząć.

--To dusze potrzebują odpoczynku?

--Ha! Powiniennem raczej powiedzieć: „czas na refleksję”. Musisz pamiętać, kim byłeś, zanim wszedłeś do tej kuli. Potem zaczniemy od nowa.

Krew wsiąkała w ziemię między Wysypiskami Dusz. Wypływała z rozbitego muru z cegieł i drewna, zbierała się w kałuże. Ikaraci przebili się przez jedną trzecią najbliższego pagórka. Wyciągali z niego dusze i ładowali je do klatek, trzaskających mesmerycką energią.

Z nieba nadal spadały kości i gruz, pokrywając rozległy obszar. I na tym polegał problem, bo nie można było dokładnie określić, gdzie spadł świątynny anioł. Mógł być zagrzebany głęboko w jednej z tych wielkich i nadal rosnących budowli. Do tej pory berło Harper nie

wykryło obecności ani jednego archonta.

Dusze ukryte w tym konkretnym stosie wyczuły atak Ikaratów i teraz ogromna konstrukcja złożona z indywidualnych manifestacji dusz zaczęła się zmieniać. Tu i ówdzie powstawały toporne blanki i wieże obronne. Drewniane drzwi zyskiwały wzmocnienia w postaci żelaznych sztab albo po prostu zmniejszały się i stawały solidniejsze.

Była to nieświadoma reakcja na zagrożenie. Żadna z tych dusz nie przebywała w Piekło na tyle długo, żeby nauczyć się adaptować do otoczenia. Wały obronne powstające w wyniku zwykłego odruchu samoobrony nie stanowiły skutecznego zabezpieczenia. Ale niektóre Wysypiska zaczęły współdziałać w bardzo osobliwy sposób. Trzysta jardów dalej jedno ze starszych skupisk domów, balkonów i baszt wielkości wzgórza oddalało się ukradkiem, pełną jak ślimak po krwawej ziemi. Tysiące duchów z tego stosu wymyśliło sposób na ucieczkę.

Harper przyglądała się temu z fascynacją. Mieszkania znajdujące się na poziomie gruntu oderwały się od dusz uwięzionych niżej. Zaprawa się wykruszyła, drewno popękało, kiedy Stos się przesunął, zostawiając za sobą pokoje bez sufitów... i krwawy ślad. Dusze, które poświęciły się dla dobra współtowarzyszy, krzyczały.

Ale to bolesne oddzielenie i ucieczka były skazane na porażkę. Kopiec domów nie mógł poruszać się dostatecznie szybko. Ikaraci, którzy dobrze wiedzieli, że ofiary im nie umkną, nie spieszyli się z użyciem młotów.

Podczas gdy dusze uwięzione w klatkach Ikaratów jęczały i zawodziły, do niecki wrócili tropiciele, żeby się najeść i potarzać w czerwonym błocie. Jak większość istot z Piekiła czerpali energię z krwawych sadzawek, kanałów i bulgoczących strumyków. Tutaj mogli liczyć na pożywienie świeższe niż zwykle.

Berło Harper nagle zahuczało, światełka w szklanej kuli zaczęły pulsować. Ikaraci przerwali swoje niszczycielskie działania i zamarli w oczekiwaniu.

Coś...?

Inżynier przesunęła przed sobą berłem. W szkło pojawiła się niewyraźna postać. Potężny anioł w zbroi kroczył długim sklepionym korytarzem z kamienia. Zatrzymał się przy stojaku z bronią i umieścił w nim miecz, a potem schował do skrzyni mały świecący przedmiot. Berło ponownie zabręczało i scena zbladła.

--Archont -- powiedziała Harper, wskazując szklaną kończyną na rozprute pokoje pozostałe po uciekającym Wysypisku. -- Jest głęboko pod ziemią.

--Zdolność do zmiany jest w Piekło wszystkim -- tłumaczył Hasp Dillowi. -- Król Menoa wykorzystał naturę swojego królestwa, żeby stworzyć demony. Duszę można przekonać, żeby przybrała dowolny kształt i służyła swojemu panu, a mesmeryści są bardzo dobrzy w perswazji.

Stali naprzeciwko siebie w otwartych drzwiach swoich mieszkań. Hasp uważał postępy Dilla we władaniu mieczem za „satysfakcjonujące”, choć młody anioł podejrzewał, że bóg tak naprawdę jest z niego bardzo zadowolony.

--Te komnaty są częścią ciebie, więc powinieneś być w stanie je zmienić -- ciągnął bóg. -- Kiedy mesmeryści usuwają rdzeń duszy z jej schronienia, muszą ją zasilić energią zewnętrzną, bo inaczej ona zwiędnie i stanie się cieniem. Pokoje pozostawione samym sobie mogą już tylko krwawić. -- Wskazał na malowidła na ścianach, na trzynaście dusz z eliksiru Devona, które znalazły schronienie w Dillu. -- Twoja sytuacja jest inna, bo większość energii pochodzi od tych

intruzów, co powinno ułatwić proces wyekstrahowania ciebie.

--Wyekstrahowania?

--Czas się kończy, chłopcze. Byłoby lepiej, gdybyś miał dość sił, żeby przenieść swoje otoczenie ze sobą, ale jeśli mesmeryści znajdą cię wcześniej, będziesz musiał ratować się ucieczką.

Nerwy Dilla wrosły w deski podłogowe i ściany, kamień i drewno były jego kośćmi.

Perspektywa porzucenia tego miejsca przeraziła młodego anioła.

--Pokaż mi, jak zmienić komnaty -- poprosił.

Hasp odchrząknął.

--Musisz jedynie się skoncentrować. Jeśli czegoś chcesz, powołaj to do istnienia myślą.

Tak więc Dill się skupił. Wyobraził sobie plik pergaminu i węgielki do rysowania, które jego ojciec Gaine dawał mu w dzieciństwie.

Na podłodze pojawił się niewyraźny biały kształt. Przypominał jedną ze świątynnych gromnic. W chwili, gdy Dillovi przyszła do głowy ta myśl, zmaterializowała się przed nim prawdziwa świeca, dokładnie taka, jaką sobie wyobraził. Wziął ją do ręki, poruszony dziwnym doznaniem, kiedy dotknął palcami tej nowo stworzonej manifestacji samego siebie.

--Lepiej nie próbuj jej zapalić -- ostrzegł Hasp. -- Nawet sobie nie wyobrażaj płomyka.

Niestety, słowa boga zasiały w umyśle młodego anioła obraz płonącego knota i nagle świeca ożyła. Dill upuścił ją natychmiast, ale ból nie zelżał. On też płonął.

--Uciekaj z deszczu! -- ryknął bóg.

Gwałtowna ulewa uśmierzyła pieczenie. Strugi wody lały się z sufitu, rozpryskiwały na twardych powierzchniach. Płomień świecy zgasł. Dill czuł uderzenia kropli o deski podłogi i o meble; czuł, jak strumyczki ściekają po ścianach i oknach niczym pot po karku. Bóg się roześmiał.

--Wybacz, że podsunąłem ci taką myśl, ale to lepsze niż uczucie płonienia żywcem, prawda? Zostawię cię, żebyś wymyślił, jak samemu zatrzymać deszcz. Jeśli tego nie zrobisz, utoniesz.

Śmiejąc się pod nosem, wrócił do swojego zamku.

Dill stał w ulewie i czuł się żałośnie. Woda już zakryła mu palce stóp. Wyobraził sobie, że zakręca kurek, ale to nie poskutkowało. Wyobraził sobie Martwe Piaski w gorący letni dzień.

Deszcz nadal padał.

I wtedy ktoś zapukał w tył jego głowy. Zaskoczony Dill odwrócił się gwałtownie. Nikogo za sobą nie zobaczył. Woda rozpryskiwała się o jego piękne meble. Z sufitu już zaczynał luszczyć się tynk, co anioł odbierał jako lekki ból w czaszce. Ale pokój był pusty.

Kolejne pukanie.

Dill znowu się obejrzał, ale dopiero po chwili dostrzegł młodą kobietę stojącą za oknem. Szyby były zaparowane, ale rozpoznał tęczową suknię. Jego sąsiadka. Ociekając wodą, przeszedł przez komnatę i otworzył okno.

Nieznajoma uśmiechnęła się, pokazując dołeczki w policzkach.

--Przykro mi, że niepokoję, ale ta ściana przecieka -- oznajmiła wesołym tonem. -- Zalewa mnie.

--Och!

--Nie przeszkadzałoby mi to tak bardzo, ale ta woda jest... -- Zawahała się. Jej duże

ciemne oczy błyszczały. -- Woda jest wcieleniem twojej duszy. Obawiam się, że narzuca mi różne dziwne myśli.

--Dziwne myśli?

Sąsiadka się roześmiała.

--Twoje myśli. Są bardzo miłe, ale niszczą moje dywany. -- Nachyliła się tak bardzo, że musnęła framugę. -- Dill, chciałbyś, żebym podsunęła ci pomysł, jak zatrzymać ten głupi potop? Anioł wyczuł perfumy. Deszcz nagle ustał.

--Tak lepiej -- stwierdziła młoda kobieta. -- Jestem Mina Greene.

--Ja... -- Sąsiadka знаła jego imię. Ile jeszcze o nim wiedziała?

--Rzeczywiście wiem, kim jesteś -- przyznała. -- Jestem tu właśnie z twojego powodu. Mam coś dla ciebie. Zaczekaj chwilę. -- Wróciła pospiesznie w głąb swojego mrocznego pokoju, rozchlapując kałuże. -- Musiałam czekać, aż ten marudny stary bóg sobie pójdzie. Wątpię, żeby to pochwalili.

--Co pochwalili?

--Zaczekaj! -- Przez chwilę szukała czegoś w jednej z nisz zastawionych i półkami. W końcu wyciągnęła skądś miecz i przyniosła go do okna.

Dill zmarszczył brwi.

--Zjawiałaś się tutaj, żeby dać mi miecz? Kim jesteś? Skąd mnie znasz?

--Jestem Mina Greene -- powtórzyła dziewczyna. -- I wiem, że jesteś z Deepgate. I może jeszcze parę rzeczy. Na tym polega moja praca, żeby dużo wiedzieć. -- Zważyła miecz w dłoni. -- Nie, jednak nie mogę ci go dać. Pochodzi z Wojennego Lasu. Bazylis byłby wściekły, gdybym tak po prostu ci go podarowała. -- Dotknęła klingą parapetu od strony swojej komnaty, a następnie, krzywiąc się, szybkim ruchem odcięła drzazgę srebrnego drewna. W draśnięciu zebrała się krew. Mina skrzywiła się i z sykiem wciągnęła powietrze. Kilka razy podskoczyła w miejscu, przyciskając ręce do piersi, aż ból minął.

--Magia krwi nie działa w Piekło -- stwierdziła zdławionym głosem. -- Musimy to zrobić w inny sposób.

--Nie rozumiem.

--Mesmeryści cię szukają -- powiedziała Mina Greene. -- Jak myślisz, po co Hasp ryzykowałby duszę w tamtej bramie, żeby cię tutaj sprowadzić? -- Z uśmiechem uniosła brwi. -- Jeśli to, co mi mówiono o Menoi, jest prawdą, król znajdzie sposób, żeby cię dopaść. Stary Hasp nie jest już tak silny, jak kiedyś. Nie liczyłabym zbytnio na to, że cię ochroni. -- Zdjęła drzazgę z parapetu. -- Dlatego zamierzam ci to dać.

--Kawalek drewna?

--Kawalek mnie! -- Nawet zagniewana, była niezwykle piękna. -- Jak inaczej cię znajdem w razie potrzeby? Właśnie po to tutaj przyszedłam. -- Sapnęła z oburzeniem. -- Uważasz, że powinniśmy siedzieć z założonymi rękami, kiedy Menoa zaprowadza na świat swoją wersję Piekiła? Nie jesteśmy tacy słabi i głupi, jak myślą bogowie. Cienie Cohla przybyły do Pandemerii, John Kotwica jest niedaleko.

Rachel?

--Są też inni. -- Mina się uśmiechnęła. -- Na przykład ja. A teraz wyciągnij dłoń.

Dill sięgnął po drzazgę.

--Nie, nie w ten sposób. -- Chwyciła jego rękę i wbiła mu cienką drewnianą szpilkę w

Kiedy ból i zaskoczenie minęły, Dill stwierdził, że leży zwinięty w kłębek na podłodze i drży. Ktoś zamknął okiennice, na komodzie pojawiły się trzy wazony ze świeżymi kwiatami, ale poza tym pokój wyglądał tak samo.

Przynajmniej był teraz suchy.

Nadgarstek pulsował, a w miejscu, gdzie Mina Greene wsadziła drzazgę, widniał słaby czerwony ślad. Dill wstał z podłogi i rzucił się do okna.

Drugi zestaw okiennic zasłaniał widok na sąsiedni pokój. Wyglądało na to, że Mina nie chce z nim rozmawiać.

Dill usiadł zamyślony na łóżku. Wydawało mu się, że nadal czuje zapach perfum. Zamknął oczy i wyobraził sobie Minę: łagodne ciemne oczy, skóra koloru miodu, kolorowa fałdzista suknia. Nagle skrzypnięcie wyrwało go z zadumy. Odniosł wrażenie, że łoże uniosło się trochę nad podłogę.

Powinien zapukać do jej okna?

I narazić się na zakłopotanie? Mina najwyraźniej pragnęła prywatności. Może czuła się niezręcznie. Więż, która teraz ich łączyła, była wyjątkowo intymna. Postanowił poczekać, aż ona sama będzie gotowa z nim rozmawiać.

Dill odkrył, że życie w tym wcieleniu ma swój urok. Oczywiście, dopóki nie robił sobie krzywdy -- na przykład, nie upuszczał wazonu albo nie trzaskał za mocno drzwiami komody. Szybko nauczył się zmieniać otoczenie, posługując się jedynie siłą woli.

Z czasem wprawił się również w panowaniu nad bólem i zaczął eksperymentować. Kiedy zapragnął mieć ogień w kominku, po prostu o nim pomyślał. Dopiero później uświadomił sobie, że w pokoju nigdy nie było kominka; pojawił się jednocześnie z ogniem. Z początku skaczące płomienie wywoływały pieczenie, ale stopniowo udało mu się przewyciężyć ten dyskomfort. Było to dziwne uczucie -- siedzieć na dywanie, podczas gdy część duszy płonęła na jego oczach.

Ale czy rzeczywiście się paliła?

Inne rzeczy działały się bez udziału jego świadomości. Zasłony w oknie często zmieniały kolor, żeby dopasować się do jego nastroju. Kiedy był sfrustrowany, przybierały pomarańczową barwę. Ta obserwacja napelniła go nabożnym lękiem i draperie od razu zrobiły się złote. Takie pozostały przez dłuższy czas. Szyby się powiększyły, natomiast okiennice zmalowały, aż w końcu całkiem zniknęły.

Mina Greene siedziała odcięta od świata w ciemnym pokoju.

Czas mijał.

Hasp nigdy nie zamykał swoich drzwi, choć kazał Dillovi przysiąc, że nie przejdzie przez nie pod żadnym pozorem. Z zamku dochodził ciągły huk strzał wbijających się w drewno. Archont ćwiczył strzelanie z łuku.

Dill często przyglądał się portretom trzynastu ludzi, którzy dzielili jego duszę. Oni wpatrywali się w niego bez słowa. Czasami wyraz ich twarzy się zmieniał, ale tylko wtedy, kiedy anioł nie patrzył w ich stronę. Wydawało mu się, że rozpoznaje kilka osób: dwóch młodszych chłopców ze świątynnych kuchni i dziewczynę w fartuchu pomywaczki. Z nich wszystkich tylko asasyn wytrącał go z równowagi. Miał wytatuowane na szyi znaki -- ślad po źle przeprowadzonym procesie hartowania -- a jego oczy jarzyły się wściekłością.

Czy Dill potrafiłby wyczarować własne malowidło?

Z powodzeniem stworzył czarne płótno w ciężkiej złotej ramie. Ale jakoś nie potrafił wymyślić tematu obrazu. Czy powinna to być scena z Kodeksu? Bitwa Zęba? A może po prostu powinien namalować siebie malującego siebie?

Zbyt samolubne. Odrzucił ten pomysł.

Próbował oczyścić umysł i nie myśleć o niczym. Światła w pokoju zgasły.

Dill syknął ze złością. Za mało rozmachu. Całe jego otoczenie było bardzo plastyczne. Mógł stworzyć wszystko, co tylko zechciał.

A czego właściwie pragnął?

Kiedy światła znowu się zapaliły, ujrzał przed sobą portret Miny Greene.

ROZDZIAŁ 18

LEGION ŚLEPCÓW

Dzięki nowemu wzrostowi Harper miała dobry widok na odkryte fundamenty. Patrzyła na nie szklanymi oczami. Wielki zamek, który stanowił część Wysypiska Dusz, odpełził, zostawiając dużą otwartą ranę w Labiryncie. Krew ze zniszczonych mieszkań przeciekała do niższych izb, częściowo je zalewając. Mężczyźni i kobiety, którzy raptem znaleźli się pod gołym niebem, z przerażeniem spoglądali w górę.

--Pozbądźcie się ich stąd -- rozkazała Harper. -- I poproście króla Menoę, żeby przysłał Robaka.

Większość Ikaratów poczłapała z powrotem w labirynt komórek oddzielonych od siebie ścianami. Ich jasne pancerze trzaskały niebieskim ogniem. Zamiast młotów nieśli trójzęby, bo już nie musieli rozbijać murów. Teraz mieli jedynie zbierać dusze.

Został tylko wysoki kapłan Ikaratów, zgarbiony osobnik w źle dopasowanej zbroi z białych płyt. Wyrostki na jego plecach były większe niż u wojowników, przypominały jasne grzyby rosnące na pniach martwych drzew. Śniedź pokrywała miedzianą kratkę na usta, których wcale nie potrzebował, żeby mówić.

Zrobione. Menoa przyśle Robaka.

Robak zjawił się, gdy tylko wojownicy Menoi oczyścili z dusz krwawiącą jamę. Z daleka wyglądał jak czarna nić wznosząca się coraz wyżej nad horyzontem. Następnie ruszył szybko w ich stronę przez gorące czerwone mgły. Masywny przewód dusz zawisł niepewnie nad głową Harper, a potem zanurkował do wyrwy.

Nie był to jeden demon, lecz wiele połączonych ze sobą w jednym celu. Czarne łuski, którymi była pokryta skóra Robaka, marszczyły się jak u węża, ale pazury i zęby znajdowały się wewnątrz. Wzdłuż jego cielska przepływały fale, gdy pożywiał się resztkami Wysypiska i zagrzebywał się coraz głębiej w ziemię.

Harper przyjrzała się berłu, szukając fizycznych zakłóceń w gruncie. Jeśli archont wyczuł obecność Robaka, mógł spróbować ucieczki. A wtedy ona wiedziałaby dokładnie, gdzie on jest.

Ale patrząc, jak Robak je, poczuła zawrót głowy, jakby coś przemieściło się w jej własnym ciele, pozbawiając ją na chwilę równowagi. Usłyszała słabe pukanie.

Podniosła do oczu lustrzaną tarczę i spojrzała na swoje odbicie.

Ze środka szklanej czaszki spoglądała na nią mała laleczka. Ta manifestacja jej dawnego ja sprawiała wrażenie jeszcze bardziej kruchej niż wcześniej. Chwiała się niepewnie na nogach. Pod oczami miała cienie. Złożyła jedną rękę w kształt miski, a drugą zrobiła gest, jakby nabierała coś łyżką.

Kukielka umierała z głodu.

Okiennice Miny Green pozostawały szczelnie zamknięte. Ku przerażeniu Dilla drewno zaczęło butwieć, wilgoć wypaczyła framugi, na zawiasach pojawiły się ślady białej pleśni i rdzy.

--Coś jest nie w porządku -- stwierdził, zwracając się do Haspa.

--Coś jest nie w porządku z większością ludzi tutaj na dole -- odparł bóg. -- Trudno, żeby w Piekło była szczęśliwa. A dusze też z czasem słabną i marnieją. Utrzymanie własnego otoczenia wymaga ogromnej siły woli. Nie przejmuj się nią. Ona wkrótce odejdzie.

--Dokąd?

--Donikąd. Po prostu stanie się cieniem. Jej pokój wykrwawi się na śmierć i trafi do mesmeryckich kanałów. Tak się dzieje przez cały czas. Niektórzy ludzie nie są dość silni, żeby tutaj przetrwać.

--W takim razie ona potrzebuje pomocy.

--Ona potrzebuje zapomnienia i niebytu za Zasłoną -- rzekł bóg. -- To jest teraz dla niej najlepsze i właśnie tam się kieruje. Uwierz mi, widziałem to miliony razy. Nie angażuj się.

Dill potarł nadgarstek, w który Mina wbila drzazgę ze swojej duszy. Wyobraził sobie, jak siedzi samotnie w ciemności, otoczona przez zakurzone półki z czaszkami. Wyobraził sobie, jak pokój gnije wokół niej, a ona traci wolę, żeby go ratować. Może powinien choć sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku?

Zapukał do jej okna.

Doznanie było dziwne. Kiedy jego palce zetknęły się ze szkłem, w umyśle pojawił się obraz.

Tłum sandportczyków wznosi okrzyki i klaszcze na rozległym miejskim placu...

Zapukał ponownie.

Jaskrawo pomalowany wóz stoi na piaszczystej polanie wśród kolorowych drzew...

--Mówilem, żebyś zostawił ją w spokoju -- skarcił go Hasp.

--Nie odzywa się -- stwierdził anioł. -- Zamierzam otworzyć okno.

--To nie jest dobry pomysł, chłopcze. Jak byś się czuł, gdyby ktoś obcy włamał się do twojej duszy?

Ale Dill już rozglądał się za czymś do rozbicia szyby. I wtedy sobie uświadomił, że nie musi niczego szukać, bo ten mały zakątek Piekla jest całkowicie plastyczny. Opuścił wzrok i zobaczył w swojej dłoni łom.

--Nie rób tego! -- ostrzegł go Hasp. -- Tego rodzaju kontakt wywoła wstrząsy w całym przeklętym Labiryncie. Nie tylko jej duszę ryzykujesz.

Dill wsadził łom pod ramę okienną i nacisnął mocno.

Parchaty szczeniak węszy po pokładzie statku...

Rama drgnęła, Dill podniósł okno. Teraz od pokoju Miny dzieliły go tylko zamknięte okiennice. Stojący za nim Hasp wyrzucił ręce w górę w geście frustracji i jak burza wpadł z powrotem do swojego zamku.

Dill zabębnił pięścią w okiennice.

Coś człapie przez ciemność, potężny zgarbiony cień. Krew skapuje z miecza do glinianej misy. Wycie dzikiej bestii...

Przegniłe drewno pękło, kiedy Dill w nie uderzył. Jedna z okiennic prawie wyrwała się z zawiasów. Anioł nacisnął ją oburącz i pchnął mocno.

Odór gliny, kory... i świeżego mięsa...

Dill wytrzeszczył oczy. Pokój, który ukazał się jego oczom, w niczym nie przypominał okazałej komnaty Miny Greene. Był dużo mniejszy i ciemny, miał ceglane ściany i klepisko zamiast podłogi. Drzwi znajdujące się po lewej stronie prowadziły do drugiej, równie mrocznej celi. Nie było kolumn, rozległej kopuły ani mebli, nie licząc stojącej pośrodku długiej drewnianej skrzyni, która wyglądała na dostatecznie dużą, żeby pomieścić ciało.

--Mina!

Dill wspiał się na parapet i już miał przejść na drugą stronę, kiedy usłyszał szuranie. Mina weszła tyłem przez drzwi, ciągnąc drugą, mniejszą skrzynię. Kiedy dotarła do tej pierwszej, zatrzymała się, żeby złapać oddech.

--Wystarczy, Dill -- powiedziała, nie podnosząc wzroku.

--Co robisz?

--Pakuje się.

Otworzyła mniejszy kufer, a następnie uniosła duże pudło i postawiła je na krótszym boku. Okazało się prawie tak wysokie jak ona. Z pewnym wysiłkiem dźwignęła je i wstawiła do otwartej skrzyni.

Dill patrzył ze zdumieniem, jak wysokie pudło wsuwa się do środka, a w końcu całkiem znika w mniejszym kufrze. Mina poszła do drugiego pokoju i po chwili wróciła z jeszcze jedną skrzynią, mniejszą od tej, która stała na podłodze. Powtórzyła cały proces, redukując swój bagaż do wielkości szkatułki na biżuterię.

--Dokąd się wybierasz? -- zapytał Dill.

--Pomyślałam, że trochę się powłóczę -- odparła wesoło Mina i komicznie wytrzeszczyła oczy. -- Zobaczę kilka demonów. Złapię parę duchów.

--To nie jest normalne -- stwierdził anioł. Jej ciemne oczy się rozjarzyły.

--Dla mnie jest.

--Ale co się stało z twoim pokojem? Gdzie są meble?

Mina podeszła do niego, trzymając w ręce szkatułkę na biżuterię.

--Wszystkie ważne rzeczy są tutaj -- powiedziała. -- Kanały Irilu mogą wchłonąć resztę, gdy już odejdę.

--Ale...

Tępy ból umiejscowił się w brzuchu Dilla. Anioł nie chciał, żeby Mina go opuściła. Jego wzrok przyciągnęła luźna nitka zwisająca ze szwu na boku jej sukni. Dlaczego akurat ten drobiazg raptem wydał mu się uroczy? Stała tak blisko, że czuł jej perfumy; ciepły zapach korzennych przypraw. Bez zastanowienia zmienił swoją pozycję na parapecie.

--Dill! -- ostrzegła go Mina.

Anioł sięgnął w górę, żeby się chwycić futryny, ale okno nagle odsunęło się od niego, tak że stracił równowagę i wpadł do pokoju sąsiadki.

Przez chwilę był kompletnie dezorientowany, jakby wyszedł z siebie i patrzył na własną twarz. Było to bardzo osobliwe odczucie, znajome i zarazem całkiem obce. Widział skrzydła archonta, swoje skrzydła, i za nimi pluszowy pokój, a jednocześnie patrzył na izbę o ścianach z ciemnej cegły i na krzyżącą dziewczynę w tęczowej sukni.

Zobaczył również, albo raczej poczuł, że Mina drży. Nie mógł polegać na własnych zmysłach. Słyszał wściekle wycie dzikiego zwierzęcia. Wyciągnął ręce do Miny, albo przynajmniej tak sądził, bo nagle stwierdził, że sięga do samego siebie, do młodego anioła goszczącego w ponurej celi. Dziewczyna stała przy oknie z rozpostartymi rękoma.

Jej palce musnęły drugą dłoń. Dotyk potężnie wstrząsnął Dilem. Chwyciły go mdłości. Usłyszał przeciągły krzyk, a po nim głębokie warczenie ogara. Zapach perfum mieszał się z intensywnym zwierzęcym odorem. To było więcej, niż potrafił znieść. Chwiejnie odsunął się od anioła, od dziewczyny w jasnej sukni. Złapał coś rękami... Framugę okna?

Upadł do tyłu.

--Głupiec! -- zagrzmiał gdzieś za nim głos Haspa. -- Natychmiast zamknij to okno! I módl się, żeby mesmeryści nie wyczuli zamieszania.

Dillowi nadal kręciło się w głowie.

--Co? Nie rozumiem...

--Wszedłeś do jej duszy! Myślałeś, że jej reakcja na takie wtargnięcie będzie subtelna? Właśnie zgwałciłeś tę dziewczynę w najgorszy możliwy sposób.

--Przykro mi -- wykrztusił Dill. -- Przepraszam. Ja nie...

Przerwał mu huk, jakby nastąpiło trzęsienie ziemi. Całe jego mieszkanie -- cała dusza -- jęknęło i zadrżało.

--Na Światło i Życie! -- wykrzyknął Hasp. -- Odsuń się od tego okna!

Dill niepewnie wstał na nogi. Przez otwarte okno widział Minę. Plakała rozpaczliwie, przyciskając do piersi szkatułkę na biżuterię. Kurz, który osypał się ze ścian, wisiał wokół niej w powietrzu.

--Cofnij się! -- powtórzył bóg. -- Nie zmuszaj mnie, żebym tam wszedł.

Ale jak Dill mógł zostawić ją w takiej sytuacji? Był przecież temu wszystkiemu winien. Wchodząc do jej pokoju, ściągnął na nich nieszczęście.

--Co się dzieje?! -- krzyknął do Haspa.

--Nadchodzą hordy Menoi. -- Bóg uśmiechnął się zimno. -- Zdaje się, że sprowadzili Robaka.

Tylna ściana pokoju Miny nagle pękła, a potem zapadła się do środka. Cegły i zaprawa posypały się na klepisko. Coś przebiło się do środka, a potem cofnęło, zostawiając poszarpaną dziurę.

Pazury?

Mina krzyknęła.

Za nią cegły rozpadły się w pył. W jednej chwili zniknęła cała tylna ściana pokoju. W jej miejscu Dill zobaczył coś, co wyglądało jak szeroki tunel, wznoszący się ku górze pod niewielkim kątem. Jego wnętrze się poruszało, roilo się jak chmara insektów.

Demony? Tłoczyły się w mroku, płatanina antracytowych kości, zakrzywionych pazurów i zębów, splecionych włóknami czerwonych mięśni. Ta ruchoma masa ciągnęła się jak okiem sięgnąć. Przednia krawędź tunelu przycisnęła się mocno do podziurawionej ściany pokoju Miny, najbliższe kończyny sięgnęły do środka i wyrwały kolejną część muru. Następnie podały gruz do rzędów klapiących zębów. Z przewodu dmuchnął ciężki i wilgotny wiatr o zapachu stojącej wody. Brzegi izby zaczęły krwawić.

Dill gwałtownie wciągnął powietrze. Tłum demonów podawał w stronę pierwszych szeregów przedmioty, które wyglądały jak jasne galaretowate kule. Stwory obchodziły się z nimi ze szczególną ostrożnością. Dill wkrótce się zorientował, że te obiekty to oczy. Tysiące wpatrzonych w niego oczu.

Nie przestając krzyczeć, Mina opadła na kolana i zatkała uszy dłońmi.

--Złap moją rękę! -- krzyknął Dill, sięgając przez okno. -- Chodź do mnie, szybko!

Mina nawet na niego nie spojrzała.

--Odejdź stamtąd, chłopcze! -- ryknął Hasp od drzwi.

Tunel pochłaniał coraz więcej pokoju Miny, żuł ściany, jakby były z papieru. Klepisko zaczęło pękać, ale pokruszone kawałki natychmiast porывał ryczący wicher.

Gdy Dill wgramolił się z powrotem do celi Miny, jej ból uderzył go jak podmuch z rozżarzonego pieca. Anioł zachwiał się, ale udało mu się objąć dziewczynę i zaciągnąć ją do okna.

Hasp zabębnił w futrynę.

--Zostaw ją!

Anioł jakoś przetoczył się z nią przez parapet. Upadli razem na podłogę komnaty Dilla, umykając w ostatniej chwili przed tunelem z pazurów i zębów.

Czy to rzeczywiście była podłoga? Przez chwilę Dill widział wokół siebie las pełen ciemnych, starych dębów. Jego nozdrza wypełnił bogaty zapach ziemi i mierzwy. Mina krzyknęła cicho...

Potem zapadła cisza.

Wizja nagle zbladła. Dill leżał na podłodze swojej komnaty. Oszołomiony potrząsnął głową i rozejrzał się.

Mina nadal ścisnęła szkatułkę, ale wpatrywała się w dal pustym wzrokiem.

--Co z nią?

Bóg odchrząknął.

--Szok -- wyjaśnił krótko. -- Patrzenie, jak twoją duszę pożerają demony, może wywołać właśnie taki skutek. To cud, że jeszcze nie stała się cieniem. Obejrzyj się za siebie!

Z pokoju Miny prawie nic nie zostało. Jego szczątki pochłonął niekończący się przelyk Robaka. Brzeg tunelu dotarł do okna Dilla i tam nagle się zatrzymał. Demony znajdujące się z przodu uniosły ręce, żeby oczy mogły zajrzeć do komnaty anioła.

Dill dźwignął Minę z podłogi.

--Co mam teraz zrobić?! -- krzyknął.

--Wejdź tutaj. -- Bóg odsunął się na bok.

--Ale mówileś...

--Wiem, co mówilem. Wchodź! Mesmeryści już nas widzieli.

Dill po raz ostatni obrzucił spojrzeniem swoje lokum. Ściany i meble traciły kolor, robiły się białe jak jego oczy. Pokój się bał. Tylko portrety na ścianach zachowały swoje barwy -- trzynaście dusz, które na Ziemi dzieliły jego krew, a w Piekłe mieszkanie. Dlaczego miałby je zostawić na pożarcie? W pośpiechu zaczął zrywać obrazy ze ścian. Wcisnął je pod pachy i popchnął Minę w stronę zamku Haspa.

--Dziewczyna nie wchodzi -- oświadczył bóg.

--Ona nie może tu zostać!

--Nie powinieneś być zabierać jej do wnętrza swojej duszy i nie wprowadzisz jej do mojej -- wycedził przez zęby Hasp. -- Zostaw ją!

Dill się nie poruszył. Coś dziwnego działo się teraz w tunelu. Przepychając się i warcząc na siebie, demony się rozstąpiły, robiąc przejście w swoich szeregach. Sam przewód wił się i kurczył, jego mięśnie pracowały. Wkrótce między hordami pojawiła się szeroka aleja, zakrzywiająca się łagodnie w górę zgodnie z wygięciem tunelu. W oddali Dill dostrzegł coś w rodzaju procesji maszerującej nowo oczyszczoną drogą. Grupa składała się z bladych postaci w zbrojach i kilku wielkich brązowych bestii podobnych do wołów.

--Mesmeryści? -- wyszeptał Dill.

--Ikaraci -- odparł Hasp. -- Mesmeryści wyprodukowali ich do zaprowadzania porządku.

Ale musieli zmienić strukturę Piekla, żeby ci mogli tutaj dotrzeć. Widzisz, jak iskrzą się ich zbroje? Zużyli dużo mocy. -- Zaciśnął usta w posępną linię i skinął na Dilla. -- Chodź ze mną, jeśli chcesz przeżyć. Szybko! Zanim się rozmyślę.

--Nie zostawię Miny.

Hasp zgrzytnął zębami, ale chwycił Dilla i Minę za ręce i wciągnął ich oboje do swojego zamku.

Nagle uczucie rozdzielenia, które ogarnęło Dilla, gdy postawił stopę w duszy boga, omal nie powaliło go na kolana. Rzucił obrazy i usłyszał, jak uderzają o podłogę. Zobaczył majaczącą nad nim twarz Haspa, szarą i spoconą, jego niebieskie oczy i poorane czoło. Ale czuł otaczającą go moc, starożytną, bardzo potężną, przyprawiającą o zawrót głowy. Raptem opadły go wspomnienia dziesięciu tysięcy bitew. Ciało zabolalo od dziesiątków ran. Anioł usłyszał szczęk stali i okrzyki bojowe, poczuł zapach krwi i śmierci. Serce boga dudniło w jego piersi, a on rozpaczliwie starał się zachować własną tożsamość. Mina osunęła się po ścianie, z pustą twarzą i oczami wpatrzonymi w nicość.

--Mój dom -- rzucił Hasp przez zęby.

--Twoja dusza -- odparł Dill.

Bóg odchrząknął.

--Nie próbuj jej sforsować.

Procesja idąca przez tunel zbliżała się nieubłaganie. Wielkie zwierzęta zaprzężone do klatek na kołach parskały i parowały w korytarzu zatłoczonym demonami. Te ruchome więzienia były pełne ludzi, którzy belkotali, krzyczeli i szarpali kraty. Po obu stronach szły istoty pozbawione oczu, o czerwonej wilgotnej skórze i kłapiących zębach, a nad ich głowami lopotały na wietrze czarno-złote chorągwie. Wojownicy w białych zbrojach kuśtykali jak kalecy, ale w rękach dzierżyli ciężkie młoty i trójzęby. Od pokoju Dilla dzieliło ich zaledwie kilka jardów.

Hasp kopnął portrety w bok i popędził z Dilem i Miną przez długą, niską komnatę obok stojaków z mieczami, tarczami, łukami i kolczanami. Z tyłu dobiegł brzęk rozbijanego szkła. Ikaraci torowali sobie drogę do duszy anioła. Ból zaćmił mu wzrok, oślepił go lawiną kolorowych świateł. Dill potknął się, ale Hasp złapał go potężną ręką za kołnierz stalowej kolczugi i pociągnął naprzód.

--Tamte pokoje to tylko manifestacja twojej duszy -- powiedział. -- Podobnie jak ciało, które teraz zajmujesz. Ta manifestacja jest teraz niszczona, ale rdzeń twojej duszy pozostaje tutaj, pod moją ochroną. Możesz uniknąć losu dziewczyny, jeśli masz taką wolę. Pamiętaj o szkoleniu. Nie zważaj na ból, bo skończysz jako katatonik. -- Drugą ręką uniósł Minę jak szmacianą lalkę. -- Możesz uniknąć jej losu, ale to zależy od ciebie.

--Nie widzę wyraźnie -- wykrztusił Dill.

--Owszem, widzisz.

I nagle Dill stwierdził, że widzi. Oczy już go nie piekły, ale ból przeniósł się na kości i omal nie uczynił go kaleką. Dill usłyszał loskot gruzu dochodzący z tyłu, a następnie poczuł go w swoim posiniaczonym, poobijanym ciele. Przed sobą ujrzał drugie drzwi, prowadzące do ogromnej sali bankietowej oświetlonej przez złote żyrandole. W powietrzu rozbrzmiał donośny dźwięk rogu myśliwskiego.

Dill się obejrzał. Ikaraci zdemolowali jego mieszkanie i teraz prowadzili swoją procesję

przez ruiny. Na ten widok anioł wyraźnie poczuł twarde podkowy bestii na deskach podłogi i ciężar ich wielkich cielsk. Znowu zmaćcił mu się wzrok. Miał wrażenie, jakby stał na skraju przepaści... Ciemność przyciągała go coraz mocniej.

--Walcz z tym! -- Hasp potrząsnął nim mocno. -- Nie trać teraz zmysłów.

Powlókl ich w głąb sali bankietowej. Wzdłuż trzech ścian stały stoły bankietowe uginające się od tac z jedzeniem. Bóg odepchnął Minę na bok i chwycił jabłko z najbliższego talerza.

--Zjedz je -- powiedział do Dilla. -- Ono da ci siłę.

--A co z Miną?

--Rób, co mówię! -- huknął na niego bóg. -- I nawet nie myśl o zjedzeniu czegoś innego. --
Potem odwrócił się i popędził w stronę, z której przyszli.

W miarę jak pan Pierwszej Cytadeli biegł, pokój zmieniał się, odzwierciedlając jego wściekłość. Mury pociemniały, szorstki szary kamień, z którego były zbudowane, przeobraził się w twarde czarne szkło. Sufit zaczął pękać. Drzwi się poszerzyły, aż wypełniły całą ścianę.

Dill już wiedział, że Ikaraci zniszczyli większość jego duszy. W pulsującej krwi czuł agonię swojego pokoju: połamane listwy przypodłogowe, rozbite meble, roztrzaskane łóżka, baldachim zdeptany przez podkowy cuchnących bestii. Te wszystkie doznania atakowały jego zszargane nerwy, przyprawiając go o zawroty głowy. Ugryzł jabłko, żeby nie stracić przytomności. I nagle ból się zmniejszył, serce uspokoiło, a następnie podjęło pracę z nowym wigorem.

Dill zaniósł jabłko Minie.

Hasp ryknął. Dotarł już do otwartych drzwi, wielkich jak brama fortecy. Ikaraci skończyli niszczyć pokój Dilla i stanęli u wejścia do zamku boga.

Tutaj się zawahali.

Czy pan Pierwszej Cytadeli urósł, czy korytarz wokół niego się skurczył -- w każdym razie górował w swojej starej, poobijanej zbroi nad intruzami. Skądś wytrzasnął potężny kamienny miecz, który bez wysiłku trzymał przed sobą, uniesiony jak do ciosu. Ikaraci buczeli z wyraźnym ożywieniem, a z ich niezgrabnych białych zbroi sypały się iskry.

Hasp rozprostował plecy.

--Mam złamać wasze dusze?! -- krzyknął. -- Czy opancerzyć swoją?!

Przed niedoszłymi najeźdźcami opadła ciężka żelazna krata, zagrządzając wejście do zamku. Nie wiadomo skąd pojawiły się metalowe płyty i same przyśrubowały się do wewnętrznych ścian. Z murów po obu stronach wysunęły się bolce i spotkały ze sobą z głośnym szczękiem.

--Czy to powstrzyma wasze młoty? -- zapytał bóg, wzruszając ramionami. Metalowe osłony drgały przez chwilę, a potem rozwiały się jak dym. -- Czy mam wykuć własną armię?

Podłoga wokół niego wybrzuszyła się w wielu miejscach. Bąble napęczniały i utworzyły czarne szklane istoty, które wyglądały jak toporne rzeźby ludzi i zwierząt: golemy o stopach jak maczugi i smukłe, silne koty. Ich pazury orały posadzkę.

--A może powinienem po prostu zaatakować? -- ciągnął Hasp. Tymczasem Dill nie mógł namówić Miny do jedzenia. Patrzyła gdzieś w dal, niepomna otoczenia. On ugryzł kolejny kęs jabłka i podał je dziewczynie, ale Mina pozostała bezwolna i bezrozumna jak marionetka.

Podłoga uniosła się gwałtownie.

Korytarz, w którym stał Hasp, skurczył się nagle, tak że bóg i jego wojownicy ze szkła

zatoczyli się do tyłu w stronę młodego anioła i raptem znaleźli się tuż przy wejściu do sali bankietowej. Długi hol zmienił się w krótki przedsionek.

A tuż za bramą zamku ziała przepaść. Ikaraci i ich tunel wraz z całą procesją zostali po drugiej stronie szerokiej rozpadliny i gapili się przez poszarpaną dziurę w ścianie ogromnej, dziwnej budowli.

Dopiero teraz Dill zobaczył, że jego komnata była jedną z mnóstwa innych. Ziejącą wyrwę, przy której stali Ikaraci, otaczały okna i drzwi o dziwnych kształtach. W miarę jak zamek Haspa się cofał, oczom anioła ukazywało się coraz więcej mieszkań. Były ich tysiące. Fasada budynku wyglądała jak urwisko z kamienia, stali, szkła i metalu, rezultat zażartej walki między różnymi budowniczymi. I w pewnym sensie tak właśnie było, bo każde mieszkanie powstało jako manifestacja czyjejś duszy. Rzeźbiony marmur, ciemne drewno i cegła żyły.

Więc to było Piekło.

Ale teraz roztrzaskana budowla krwawiła. Strumienie krwi wylewały się z pękniętych ścian, tryskały z belek i dźwigarów, tworząc drobną czerwoną mgłę. Gruz spadał kaskadami obok bramy z kratą, powietrze wypełniał zapach miedzi. Tymczasem zamek Haspa nabierał szybkości. Wwiercał się w Piekło, drążąc w nim własny poszarpany tunel. Ikaraci zostali daleko w tyle.

Hasp miał ponurą minę, czoło zroszone potem i wyraz skupienia w niebieskich oczach.

--Ta walka będzie mnie drogo kosztować -- rzucił burkliwie. -- I zniszczy wiele innych dusz wokół nas. Wątpię, czy zdołam długo wytrwać. Zjadłeś jabłko?

Dill pokiwał głową.

--To dobrze. Technicznie rzecz biorąc, to był chyba kanibalizm. -- Bóg wzruszył ramionami. -- Ale lepsze to, niż miałbyś całkiem zniknąć. Straciliśmy naszą kryjówkę. -- Obejrzał się. -- Musimy wyjść na powierzchnię i zaczerpnąć z krwawych mgieł tyle mocy, ile się da. Inaczej koniec z nami.

Żywe getto dusz otaczało twierdzę Haspa ze wszystkich stron. Z wyżłobionego przez nią zakrwawionego pasażu wydawało się bezkresne. Bóg zacisnął pięści i forteca zaczęła wznosić się z hurgotem, torując sobie drogę w górę.

--Zostaw dziewczynę. -- Bóg spojrział na kąt sali bankietowej. -- Tutaj jest bezpieczna. Chcę ci coś pokazać. Chodźmy do klatki.

--Jakiej klatki? -- zapytał Dill.

Hasp ruszył w róg pokoju, gdzie pojawiła się składana metalowa bramka. Zanim do niej dotarli, otworzyła się ze zgrzytem i szcękaniem.

Była to winda podobna do tej, z której dawno temu Dill korzystał codziennie, żeby zjechać do serca świątyni Deepgate: stalowa klatka zawieszona na łańcuchach i blokach. Bóg zamknął za nimi bramkę.

--Dopóki przebywasz w moim zamku, będziesz pod moją ochroną, a twoja dusza dojdzie do siebie po doznanych uszczerbkach. Tylko nie zacznij hodować tutaj żadnych ścian.

Klatka ruszyła z grzechotem łańcuchów. Najpierw szarpnęła, a potem raptownie nabrała szybkości. Zanim Dill zdążył zaczerpnąć tchu, po kolejnym wstrząsie jeszcze bardziej przyspieszyła. Wkrótce pędzili w górę szklanym szybem, z którego Dill widział luksusowe apartamenty pełne pluszowych mebli i złotych rozjarzonych żyrandoli. Pokoje, dziesiątki pokoi, zlewały się w jedną plamę, podczas gdy metalowa winda wznosiła się coraz wyżej.

W końcu dotarli do szklanej oranżerii, która jaśniała jak lampa o wielu fasetach. Wszędzie widać się bujne zielone rośliny, oplatając się nawzajem smukłymi liśćmi w złotej poświacie roju świetlików. Po oknach pięła się winorośl, żółte kwiaty wyrastały, więdły i spadały. Na oczach Dilla ten proces powtarzał się wciąż od nowa: rośliny rosły i umierały, a potem znowu kielkowały z ziemi.

W górze budynki rozbijały się o szyby oranżerii. Zamek Haspa nadal wznosił się przez Piekło, demolując wszystko na swojej drodze. Dill tylko się dziwił, dlaczego szklany sufit jeszcze się nie roztrzaskał i nie obsypał ich deszczem odłamków. Najwyraźniej dusza boga była silniejsza, niż się wydawało.

I w końcu ukazało się nad nimi niebo. Gniewnie czerwone, poznaczone ciemniejszymi wirami karmazynu i czerni, sunącymi na jego de jak piana pływająca na powierzchni kotła. Ale oranżeria nadal sunęła w górę, aż w końcu spoglądali w dół na krajobraz z ogromnej wysokości.

Jak okiem sięgnąć ziemię przecinał labirynt krętych, wąskich kanałów z ciemnoczerwoną cieczą płynącą między czarnymi lustrzanymi ścianami. Nad nimi górowały wysokie, spiczaste wzgórza zabudowane domami równie dziwacznymi i różnorodnymi w swojej architekturze, jak te, które zostawili pod ziemią.

Skorupy żywych dusz?

Tymczasem niebo było zdominowane przez monstrualnego czarnego robaka -- zewnętrzną stronę tunelu, który widzieli na dole, uświadomił sobie Dill. Jeden jego koniec zagłębiał się w ziemię kilkaset jardów od murów zamku Haspa, drugi znikał za odległym horyzontem.

--Menoa musiał stracić bardzo dużo swojej mocy, wysyłając Robaka -- stwierdził Hasp. -- Możemy tylko liczyć na to, że odzyskanie sił zajmie mu trochę czasu. -- Ze znużeniem potrząsnął głową. -- Miałem nadzieję, że powoli przemieszczę swój zamek i twoje pokoje pod ziemią, gdzie trudniej byłoby nas wykryć. Ale teraz pozostała nam jedynie ucieczka. Pchnę budynek tak szybko, jak zdołam, ale obawiam się, że droga do Pierwszej Cytadeli będzie za daleka. Wtedy będziesz musiał wyjść i iść sam. Forteca zadrżała i zaczęła sunąć po powierzchni Piekła.

Harper patrzyła, jak zamek archonta przebija się przez krwawiący grunt i zawisa niecałe dwadzieścia stóp nad okolicznymi Wysypiskami. Kanały już zaczęły wsączać się w wyrwę, którą po sobie pozostawił. Tymczasem jej Ikaraci nadal przebywali pod ziemią, we wnętrznościach wielkiego czarnego Robaka.

Moi Ikaraci?

Kiedy zaczęła myśleć o nich w ten sposób? Ta refleksja nappełniła ją odrazą. Wojownicy Menoi byli przyczyną cierpienia jej męża. Ale groźba królewskiego gniewu z powodu straty anioła zmobilizowała ją do działania. Za pomocą berła przesłała obraz do zbiorowego umysłu Robaka, nakazując mu wyjść na powierzchnię. Moc władcy utrzymywała go w całości, lecz w tej postaci nie mógł długo przetrwać. A wypuszczenie demonów tworzących jego egzoskielet i zęby zapewniłoby jej armię.

Harper zamierzała dopaść zdobycz.

Sądząc po wielkości i wspaniałości zamku, jego właściciel był potężnym aniołem, może nawet samym lordem Haspem. Czyżby pan Pierwszej Cytadeli przybył po młodego anioła? To możliwe, uznała Harper. Tak czy inaczej, żadna wola nie wystarczyłaby, żeby przenieść

ogromną fortecę na dużą odległość. Uwolnione z ziemi blanki i wieże twierdzy górowały nad Wysypiskami. Mury z jasnobrązowego kamienia były w dolnych częściach wzmocnione grubymi żelaznymi płytami i gdzieniegdzie ozdobione szkłem, a pinakle zwieńczone spiczastymi dachami z granatowego lupku. Po fasadzie wiał się kwitnący bluszcz. Tylko spód budowli był poszarpany w miejscu, gdzie oderwała się od dusz, które zostały w dole.

Z fundamentów ciekła krew i jak deszcz wpadała bezdźwięcznie do ogromnej jamy ziejącej w ziemi. Dusza archonta już zaczęła umierać.

Twierdza przez chwilę wisiała bez ruchu w powietrzu, a potem ruszyła. Ciężkie żelazne płyty zahaczyły o jeden stok Wysypiska i rozorały mieszkania.

Tymczasem Robak wypełził z fundamentów i położył paszczę na płaskim terenie, żeby wyrzucić z siebie Ikaratów i ich świętę złożoną z bestii i klatek z duszami.

Harper użyła berła, żeby przesłać kolejną wizję do licznych umysłów Robaka, a potem dalej do Dziewiątej Cytadeli. Wiedziała, że król Menoa zrozumie jej plan, i miała nadzieję, że go zaaprobuje. Wyobraziła sobie, że Robak się rozpada.

O aprobacie króla przekonała się od razu, bo mesmerycki twór podzielił się na tworzące go demony. Od horyzontu po Wysypiska przebiegła fala, kiedy niezliczone czarne luskowate stworzenia rozplatały się i odłączyły od sąsiadów. Był to Legion Ślepców Menoi, najstarszy i najbardziej prymitywny z jego wojowniczych klanów. Długimi pazurami orząc powietrze i szczękając zębami, Ślepcy spadali na ziemię. Wszyscy podobnej wielkości, choć różniący się budową, mieli od czterech do sześciu szkieletowych kończyn. Twarde jak u żółwi skorupy chroniły ich plecy i służyły do łączenia się ze sobą, żeby w razie potrzeby utworzyć Falangę albo Robaka. Nie mieli własnych oczu, ale wielu trzymało w szponach Oczy Starego Robaka, pasożytniczego monstrum, którego Menoa zabił przed trzema tysiącami lat.

Legenda głosiła, że władca znalazł stwora w głębokiej bruździe, pożywiającego się bezpańskimi duszami. Proponując mu jedzenie, Menoa przekonał go, żeby został jego sojusznikiem, a potem go zdradził. Teraz jego oczy zapewniały wzrok Legionowi Ślepców, który przybierał dawną postać bestii, jakby chciał ją dodatkowo podręczyć.

Kary króla Menoi często nie miały końca.

Ciemna fala rozdzieliła się wokół Harper. Dziesiątki tysięcy demonów wdrapały się na Wysypiska, a potem na mury między kanałami albo po prostu ruszyły przez czerwone błoto. Niektórym nie udało się odłączyć od sąsiadów i teraz ze zlepionymi skorupami maszerowali po dwóch albo w większych grupach.

Była to jednak silna i sprawna armia, bo Ślepcy poruszali się zadziwiająco szybko. Doskonale nadawali się do polowania.

Choć pan Pierwszej Cytadeli miał twarz ściągniętą od wysiłku i napięcia, zażądał, by Dill towarzyszył mu do kuli treningowej.

--Dopóki jesteś rezydentem mojej duszy, będziesz przestrzegał moich zasad -- oświadczył, szerokim gestem ręki wskazując na ogromną latającą twierdzę. -- A to oznacza naukę posługiwania się bronią archontów. Krótki miecz już znasz. Teraz musisz nabrać biegłości w operowaniu piką, rapierem, łukiem, tarczą, włócznią, siekierą i maczugą. Gdy nauczysz się nimi władać, zapoznam cię z bardziej egzotycznym orężem.

Potem wyjaśnił, że będą trenować w kuli Irila, żeby Dill mógł tworzyć własną broń i zbroje.

--Pamiętaj, że każdy miecz, który spróbujesz zrobić w tym zamku, będzie wykuty z mojego ducha. Natomiast wewnątrz kuli czerpiesz moc z roztrzaskanego boga. Panuje tam próżnia, a nasze dusze nie są połączone, kiedy w niej przebywamy.

Dill zastanawiał się, jak jego stała obecność w twierdzy wpływa na boga. Właściwie łączyła ich relacja pasożytnicza, bo gospodarz zapewniał mu schronienie i siłę potrzebną do przetrwania. Jabłko, które zjadł młody anioł, było częścią duszy Haspa.

Mina, nadal pogrążona w letargu, stała w sali bankietowej, przyciskając do piersi szkatułkę na biżuterię. Ze względu na Dilla Hasp pogodził się z obecnością dziewczyny, ale ją ignorował.

--Dzielę swoją fortecę z aniołem i jego trzynastoma namalowanymi duchami -- stwierdził burkliwie. -- Jeszcze jedna ludzka dusza nie sprawi mi dużej różnicy.

W czasie treningów Hasp nauczył Dilla, jak siłą woli powoływać broń do istnienia, a potem, jak zmieniać ją w połowie ataku, żeby zaskoczyć przeciwnika. Miecz można było przekształcić we włócznię, a luk w tarczę. Młody anioł ćwiczył również zmianę kierunku lotu strzały w taki sposób, żeby robiła pętle albo krążyła wokół celu, zanim w niego trafi.

Walka w Piekło miała niewiele zasad.

Kiedy Dill nie trenował, spędzał czas z Miną. Opowiadał jej o swoim poprzednim życiu w świątyni, o Rachel i o tym, jak asasynek już raz uratował go z Piekła. Przynosił jej nawet jedzenie ze stołu Haspa, kiedy bóg nie patrzył. Ale nic nie było w stanie wyrwać jej z odrętwienia.

Pewnego dnia Hasp wszedł do sali bankietowej i zmarszczył brwi.

--Ona już powinna być cieniem -- stwierdził. -- Ludzkie dusze nie wytrzymują tutaj długo.

Dill potarł drzazgę, którą Mina umieściła pod jego skórą, ale nic nie powiedział.

Przez cały ten czas zamek Haspa dryfował przez Piekło. Czasami Dill jechał windą do szklarni na szczycie fortecy, skąd mógł oglądać krajobraz. Labirynt, pocięty kanałami i usiany Wysypiskami, ciągnął się bez końca. Tu i ówdzie anioł widział w oddali niezwykle czarne budowle, przypominające pozostałości starożytnych świątyń albo monolity. Zapytał o nie Haspa.

--Nie wiemy, co to jest -- odparł bóg. -- Są w Piekło, odkąd my, archonci, się tu zjawiliśmy. Ikaraci wykorzystują je w jakimś celu, na przykład jako miejsca pielgrzymek. Czasami te świątynie po prostu znikają, więc możliwe, że są jedynie snami duchów.

Niebo ciemniało po zmierzchu i jaśniało o świcie, ale każda noc była inna. Jedne mijaly błyskawicznie, inne wlokły się bez końca. Na pozór nie obowiązywały tutaj żadne reguły, jeśli chodzi o długość doby.

--To puls Piekła -- wyjaśnił Hasp. -- Rezultat sprzecznych oczekiwań setek miliardów dusz. W Labiryncie czas biegnie z wieloma różnymi prędkościami, wciąż jest kwestią sporną. -- Skrzywił się i pomasażował skronie, a potem głęboko westchnął. -- Mnóstwo rzeczy się zmieniło, odkąd Iril się roztrzaskał. Jesteśmy w stanie ciągłej wojny.

Bóg wykazywał coraz wyraźniejsze oznaki napięcia i zmęczenia. Jego skóra zrobiła się szara i obwisła, plecy się przygarbiły, poruszał się jak starzec. Nawet jego zbroja zmatowiała i zardzewiała. Często godzinami stał w oranżerii i patrzył w zadumie na ślad zostawiany przez fortecę. Okolicę pokryły czarne plamy, niczym morza smoły. Kiedy Dill je pokazał, Hasp wzruszył ramionami i odmówił komentarza. Zamiast tego polecił mu wrócić do kuli na trening.

Dill przeniósł obrazy z sali bankietowej do pokoju, który przydzielił mu Hasp. Trzynaćcie

duchów z eliksiru Devona żałośnie spoglądało ze swoich płócien na nowe otoczenie. Czasami, gdy anioł podsłuchiwał pod drzwiami, rozmawiały ze sobą przyciszonymi głosami, ale kiedy wchodził, zawsze milkły.

W końcu Dill zaczął podejrzewać, że coś knują.

Po dwudziestu okresach ciemności zamek zwolnił. Dillowi zdawało się, że forteca westchnęła ciężko i wreszcie się poddała. W środku zmatowiały wszystkie lustra, podłogi się wypaczyły. Owoce w sali bankietowej zaczęły gnić. Nawet kamienie lśniły od potu.

Hasp poprowadził go wąskimi spiralnymi schodami na szczyt twierdzy, po drodze zatrzymując się wiele razy, żeby odpocząć. Dotarłszy na górę, wyszli na mały balkon otaczający wieżę, bardzo podobną do tej, w której dorastał Dill. Ją również porastał bluszcz, zupełnie jak w Deepgate. Anioł był ciekaw, czy gdyby się na nią wspiał, znalazłby na dachu wiatrowskaz.

--Tak, znalazłbyś -- powiedział Hasp.

Dill zamrugał. Czyżby bóg czytał w jego głowie?

--Nasze dusze od długiego czasu dzielą wspólną przestrzeń, tak że śnię twoje sny -- wyjaśnił Hasp. -- Trafnie zauważyłeś, że ta wieża jest podobna do twojego dawnego domu w świątyni Deepgate. Nieświadomie wpływasz na otoczenie, a w miarę jak słabnie moja wola, twoja przejmuje władzę.

--Ale ja...

--Wiem -- przerwał mu bóg. -- Wiem, że nie robisz tego celowo. Niemniej tak właśnie się dzieje. -- Oparł się o balustradę i wskazał na czarne morze, które stale za nimi podążało. I było tuż-tuż. -- Zdajesz sobie sprawę, co to jest, i rozumiesz, co dla nas oznacza ich bliskość.

--Dłużej nie dasz rady -- stwierdził Dill.

Hasp pokiwał głową.

--Prawie wyczerpałem swoją moc, a nie pokonaliśmy nawet połowy drogi do Pierwszej Cytadeli. Dalej będziesz musiał iść na piechotę.

--A co z tobą?

--Zostanę i spróbuję choć trochę ich powstrzymać.

Dill milczał.

--Będzie trudniej cię wytropić, ale musisz zebrać siły na czekającą cię podróż -- ciągnął Hasp. -- Ta okolica jest straszna, beznadziejna, pozbawia woli. Nie możesz dopuścić do tego, żeby cię strawiła, zanim dotrzesz do Pierwszej Cytadeli.

--A co z Miną? -- zapytał anioł.

--Oni ścigają nas, a nie ją. Spróbuję ukryć dziewczynę, zanim dotrze tutaj Legion Ślepców. Ona jest tylko człowiekiem, dlatego nie interesuje Menoi. Jest szansa, że nie zwróca na nią uwagi.

--A co ja mam robić?

--Właściwie już zrobiłeś -- odparł Hasp. -- Kula, w której walczyliśmy, od początku cię żywiła, oddawała ci swoją siłę. To ona, a nie ja, nauczyła cię walczyć i ten fragment Irila jest teraz w tobie.

Dill przypomniał sobie jabłko.

Jest we mnie również część ciebie.

A drzazga Miny? Podobnie jak Hasp, dziewczyna również oddała mu część siebie.

--Ale przyszło mi do głowy coś jeszcze -- dodał Hasp, drapiąc się po zarostcie na policzku. -
- Sposób na przechylenie szali na twoją stronę. Przybyłeś tutaj z trzynastoma duszami. Twój
umysł stworzył ich portrety, żebyś powiesił je na swoich ścianach, ale w tym miejscu one tak
naprawdę nigdy nie były z tobą związane. Trzymałeś je na dystans, a ja proponuję, żebyśmy to
zmienili.

--Jak?

--Mam pewien pomysł. -- Bóg wzruszył ramionami. -- Ale obawiam się, że dość
makabryczny.

Harper zgięła szklany ogon i oparła się o bok przewróconego monolitu z czarnego
kamienia. Wiele takich starożytnych budowli było rozrzuconych po całym Labiryncie, a Ikaraci
uważali je za święte miejsca. Metafizyczka widziała kiedyś jeden z rytuałów odprawianych
przez kapłanów Menoi wewnątrz tych reliktyw i nie miała ochoty być świadkiem następnego.
Teraz chodziło jej jedynie o dobry punkt obserwacyjny.

Legion Ślepców opłynął monolit z obu stron niczym fala chitynowych czarnych łusek,
pazurów i zębów. Demony z pierwszych szeregów klóciły się o oczy i wrywały je sobie
nawzajem. Niezliczone rzesze podążały za nimi, sunąc przez Piekło nieustępliwie jak tsunami.
Harper patrzyła na widoczną w oddali jasnobrązową fortecę, która wreszcie się zatrzymała.

Rozbrzmiał róg myśliwski Ikaratów.

Armrrroooo.

Ślepcy ruszyli naprzód, żądni walki.

Dill był wstrząśnięty pomysłem Haspa, żeby ugotować wywar z obrazów. Pan Pierwszej
Cytadeli uznał, że w ten sposób młody anioł mógłby wchłonąć trzynaście dusz przedstawionych
na portretach.

--Chodzi o przetrwanie -- upierał się bóg. Był cieniem dawnego siebie. -- Tak jak Truciciel
sporządził eliksir na Ziemi, my możemy zrobić drugi tutaj, w Piekło. Potrzebujesz siły tych
dusz, żeby wzmocnić swoją.

--Dam sobie radę bez nich. -- Dill odwrócił wzrok od portretów. Namalowane twarze
spoglądały na niego z wściekłością i strachem, najwyraźniej świadome swojej obecnej sytuacji.

Hasp pokręcił głową.

--Nie mogę tego zagwarantować. Mój zamek jest uziemiony, a ty wchłonęłaś całą moc z
jedynego fragment Roztraskanego Boga, jaki miałem w swoim posiadaniu.

--Ale to są ludzie, a nie mięso do jedzenia.

--Nie, tu jest Labirynt, Dillu. Oni już nie są ludźmi, tylko duchami uwięzionymi w obrazach.
Co to za egzystencja? Myślisz, że mesmeryści zaproponują im lepszy los? -- Hasp jakoś znalazł
w sobie resztkę sił na gniew i teraz jego głos dudnił w niskim sklepionym korytarzu. -- Byli
częścią twojego życia, więc uczyn ich częścią swojej śmierci. Zabierz ich ze sobą do Pierwszej
Cytadeli albo zostaw na pastwę Menoi i jego piekielnej wyobraźni. Wybór należy do ciebie.

Hasp miał rację. Losy Dilla i namalowanych duchów były ze sobą ściśle powiązane.
Wprawdzie to przeznaczenie niezbyt im się podobało, ale niestety, okoliczności nie
pozostawiały młodemu aniołowi innego wyboru.

--Więc zrób to -- postanowił w końcu.

Hasp znalazł gdzieś skrzynię zawierającą sprzęt mesmerystów: żelazny trójząb, retortę z trawionego szkła oraz cuchnącą czarną świecę z demoniego tłuszczu i naparu z gorzkich ziół. W przeciwieństwie do kuli te rzeczy miały w sobie niewiele, jeśli w ogóle, tajemnej mocy. W retorcie umieszczonej na trójzędzie i podgrzewanej przez płomień świecy zaczął bulgotać rozcieńczony roztwór krwi młodego anioła. Hasp kolejno nasączył obrazy cuchnącą parą, aż twarze na płótnach zbladły.

Potem w milczeniu dalej gotował roztwór, aż płyn zgęstniał. Wtedy bóg przelał go do małej buteleczki i podał ją Dillowi.

--Pij.

Anioł zakrztusił się wywarem, ale w końcu jakoś udało mu się go przełknąć.

--Nie czuję żadnej różnicy -- stwierdził.

Hasp wziął od niego pustą buteleczkę.

--Twoja dusza rozpoznaje te trzynaście. Ale nie wolno ci więcej wchłonąć żadnej innej. Nie pij krwi z kanałów, bo ona doprowadza do szaleństwa.

--Muszę już ruszać?

Bóg zgasił świecę i poklepał Dilla po plecach. Próbował się uśmiechnąć, ale z jego oczu zniknęła cała pewność siebie.

--Ukrywaj się -- poradził. -- Mesmeryści mają milion szpiegów, którzy cię wypatrzą, jeśli spróbujesz latać. I weź to... -- Wyjął coś z sakiewki przy pasie i wcisnął Dillowi do ręki. Było to stare brązowe jabłko, pomarszczone jak jego własna skóra.

Anioł opuścił zamek Haspa bez pożegnalnych ceremonii. Bóg wyczarował małe drzwi w murach i wąskie schody, które zaprowadziły Dilla na powierzchnię Piekła. Niebo było zasnutę skłębionymi trującymi oparami, które nadawały rubinową barwę obsydianowym ścianom odgradzającym od siebie kręte kanały Labiryntu. Między nimi znajdowały się pokoje, korytarze, domy i zamki; żywe wcielenia zamieszkujących je dusz. Były tam również łukowate przejścia, bramy o dziwnym kształcie, stopnie, które prowadziły w dół do spienionych zbiorników ściekowych i zatopionych dziedzińców albo wznosiły się donikąd. Stojąc obok Haspa na szczycie schodów, Dill zauważył, że kamienie Labiryntu są tu i ówdzie zniszczone. Czarne i lśniące jak lustro tam, gdzie jeszcze się nie pokruszyły, ale porowate i matowe w miejscach, gdzie wyżarły jej czerwone wody.

Pół mili dalej kanały dochodziły do rozległego czworokątnego placu, gdzie nad karmazynowym bagnem majaczyły ruiny ikarackiej świątyni, a wśród stosów wypolerowanych białych kości sterczały ośmiokątne kolumny. Powietrze było duszne i dziwne, pełne bzyczących much i większych, skrzydlatych istot, które krążyły we mgle. Zewsząd dochodziły szmer i bulgotanie płynów tryskających z rozbitych ścian i okien prosto w kamienne gardziele.

Hasp ostrzegł go, żeby trzymał się z dala od głębszych kanałów ze względu na przemierzające je żywe barki, ciężkie drewniane jednostki z żelaznymi kominami i stosami klatek ustawionych na wąskich pokładach. Nazywano je Statkami Plączu, bo były to dusze zmienione przez Menoę. Kapitanowie nigdy ich nie opuszczali, bo każdy z nich był jednocześnie barką. Ale po górnych pokładach swobodnie poruszały się ciemne postacie na metalowych szrudłach, mesmeryccy handlarze dusz pilnujący potężnych niewolników, którzy operowali rumplami albo dorzucali węgiel do huczących pieców.

--Unikaj tych barek -- ostrzegł bóg. -- Handlarze dusz będą próbowali cię schwytać i

sprzedać Ikaratom. Omijaj też śluzy, a właściwie wszystkie miejsca, w których zmienia się poziom kanałów. Obsługujące je maszynie kiedyś były ludźmi i słyną z podstępności.

--Czy w ogóle czemukolwiek mogę zaufać?

--Ufaj ścianom rozdzielającym kanały. Ufaj schodom i studniom. One cię nie zdradzą, bo nie mają pamięci. Ale nie wierz drzwiom. Menoa celowo zbudował je ze złamanych umysłów. Wiele nie zdaje sobie sprawy z tego, że są teraz drzwiami, i będą zagniewane, że przez nie przechodzisz.

Z zamku Haspa Dill widział wzgórze pocięte piętrami kanałów i murów, przypominające zigguraty. Postanowił ich unikać. Między poszczególnymi poziomami znajdowały się śluzy, a on nie widział powodu, żeby próbować dotrzeć na wyżej położone tereny. Jednak równiny też wyglądały na niebezpieczne -- wielki labirynt wąskich rowów i niszczących świątyń.

--W którą stronę mam pójść? -- zapytał. -- Jak dotrzeć do Pierwszej Cytadeli?

Hasp wskazał punkt na horyzoncie, gdzie czerwone mgły wydawały się najgęstsze.

--Idź tam, dokąd każdy łapacz dusz w Piekło prowadzi swoją zdobycz. Pierwsza Cytadela jest teraz pod oblężeniem, otoczona przez armię Menoi. Właśnie do tego miejsca musisz dotrzeć.

Na kolejny dźwięk rogu myśliwskiego Legion Ślepców zatrzymał się dwieście jardów od zamku Haspa. Demony podawały sobie pożyczone oczy, żeby zorientować się w sytuacji. Stojąc na szczycie niskiego zigguratu, Harper powiodła wzrokiem po dziurawych murach i zardzewiałych umocnieniach forticy, która osiadła pośrodku rozległego prostokąta krwawego błota sięgającego po kostki. Niewiele energii można było pobrać z tego płytkiego jeziora.

Po fasadzie zamku biegły zygzakami liczne pęknięcia. Wydawało się, że nawet iglice się pochylały. Pan Pierwszej Cytadeli najwyraźniej był wyczerpany. Konsultacja z królem Menoą przeprowadzona za pomocą berła potwierdziła domysły metafizyczki, że właścicielem twierdzy jest bóg Hasp, archont i najmłodszy z siedmiu synów Ayen. Nikt inny w Labiryncie nie posiadał dość mocy, żeby ogromną budowlę przesunąć przez Piekło z taką szybkością. Nawet Ślepcy nie byli w stanie dogonić zamku, dopóki ten nie zwolnił.

Teraz Hasp utknął tutaj na dobre, a hordy mesmerystów stanęły wobec znacznie osłabionego wroga. Lecz niepokój nadal ścisnął trzewia Harper. Metafizyczka wiedziała, że bitwa nie będzie łatwa. Hasp okazał się błyskotliwym taktykiem, a jego kampania terroru od tysięcy lat stanowiła cierń w boku króla Menoi.

Tymczasem Ślepcami kierowała wyłącznie dzika niszczycielska żądza. Nie można było nimi dowodzić w zorganizowany sposób, a jedynie spuścić ich ze smyczy.

Uwagę metafizyczki przyciągnął błysk na niebie. Ogromna szklana jaszczurka, największy z iolickich szpiegów Menoi, mknęła przez skłębione chmury. Karmazynowe światło płynęło w żyłach znaczących przezroczyste skrzydła i czaszkę, tak że gad częściowo stapiał się z niebem, pojawiał się i znikał. W fazie niewidzialności tylko małe czerwone serce bijące w piersi zdradzało obserwatorom jego pozycję.

Jaszczurka zanurkowała nad Ślepcami i zwolniła, łopocząc skrzydłami. Z dźwiękiem, jaki wydają poruszane wiatrem kryształowe dzwony, osiadła na ziemi obok Harper.

Jestem Zapomniana, powiedziała. Król przysłał mnie, żebym pokierowała bitwą i przekazywała mu obraz naszego zwycięstwa.

--Przysłał szpiega? -- zdziwiła się Harper.

Zapomniana kłapnęła dziobem. *Szpiega, który widział wiele potyczek. Zaniosiłam Menoi wieść o potyczce pod Broken Peak, o zniszczeniu Trzeciej i Czwartej Cytadeli. To ja obserwowałam Haspa na wielu polach bitew, na Jeziorze Świątynnym, w Ogrodzie Kości.*

--Więc jesteś zwiastunem klęsk?

Szczęście jest bez znaczenia. Działam z upoważnienia Menoi, inżynierze. On potrzebuje dowódcy z doświadczeniem bojowym. Ty nie masz żadnego.

Wielka szklana jaszczurka odwróciła długą głowę w stronę nieszczęsnego zamku, na chwilę przybierając ciemnoczerwoną barwę, kiedy fala krwi przetoczyła się przez jej przezroczyste żyły. Wysłała obraz czekającym demonom.

Harper odebrała w głowie niewypowiedziany rozkaz. Zapomniana stworzyła wizję pola bitewnego -- tego pola -- i Legionu Ślepców ruszającego na twierdzę Haspa, żeby zetrzeć ją w pył. Wojownicy mieli pokonać duszę boga i jej manifestacje jednym potężnym, brutalnym uderzeniem.

Ślepcy bez najmniejszego wahania posłuchali rozkazu. Jedną falą przypuścili szarżę, wyciągając pazury w stronę zniszczonych kamieni zamku i wyszczerbionych żelaznych fasad.

Forteca zamigotała i się zmieniła.

W dole murów pojawiły się setki drzwi, kamiennych portali prowadzących do wnętrza budowli. Hasp jedną myślą pozbył się wszelkich umocnień i zabezpieczeń, wystawiając własną duszę na atak hordy.

Ale dlaczego? Harper podejrzewała pułapkę. Jakie okropieństwa czaiły się w tych mrocznych korytarzach, żeby powitać wroga.

Lecz myśli Zapomnianej nadal rozbrzmiewały wyraźnie we wszystkich umysłach. *Hasp się poddał. Ma nadzieję na szybką śmierć. Jaszczurka przesłała następny obraz do Ślepców, ponagłając ich, żeby wdarli się do budowli i wyrwali jej serce.*

Demony wpadły do zamku jak burza, po drodze rozbijając żywy mur.

--Zaczekaj! -- krzyknęła Harper do Zapomnianej.

Ten nieprzygotowany atak był głupotą. Hasp na pewno zachował trochę mocy. Jakie zasadzki ukrył w starym zamczysku? W jaki sposób planował odeprzeć tylu intruzów?

Chwilę później dostała odpowiedź. Pan Pierwszej Cytadeli nie miał żadnego tajnego legionu, który by go obronił. Z całej jego mocy -- duszy -- została mu tylko rozsypująca się twierdza.

I wykorzystał ją.

Gniazdo korytarzy, które stworzył pod blankami, zawałiło się pod samym ciężarem budowli. Jej fundamenty skruszyły się z ogłuszającym hukiem i loskotem kamieni. Cała forteca zadrżała, jej górna część przechyliła się i runęła na gruzy najniższych pięter, miażdżąc Ślepców, którzy wdarli się do środka. Tumany czerwonego pyłu wzbily się w powietrze i opadły na ocalale hordy.

Pomniejszył się.

Harper rozpoznała ton zdumienia w myślach jaszczurki. To, co zrobił Hasp, było niezrozumiałe. Okaleczył się, niszcząc połowę manifestacji swojej duszy.

A wszystko po to, żeby wybić niewielką część wrogiej hordy? Działania Haspa mogły jedynie przyspieszyć jego nieuniknioną klęskę. Może Zapomniana jednak miała rację? Bóg po

prostu postanowił umrzeć.

Ocalałe demony ruszyły naprzód z nowym wigorem, jakby nagle poczuły obiecaną krew. Zamek znowu się zmienił.

Pod blankami, na wysokości drugiego piętra, które teraz znajdowało się na poziomie gruntu, pojawiła się druga linia drzwi. Bóg drugi raz próbował tej samej sztuczki.

Zapomniana wysłała armii ostrzeżenie. Nie było potrzeby poświęcać więcej Ślepców. Mieli zignorować pułapkę i pozostać na zewnątrz. Skrzydlata Iolotka wydała rozkaz bezpośredniego ataku na frontowe mury, odmawiając w ten sposób Haspowi niebytu, którego pragnął.

Przyglądając się nowym drzwiom, na pozór identycznym jak poprzednie, Harper stwierdziła, że jest w nich coś dziwnego. Niepokoiły ją cienie, które czaiły się za nimi.

I nagle zrozumiała, co zrobił bóg, ale wtedy było już za późno.

Tym razem Hasp nie tylko stworzył więcej korytarzy prowadzących do serca fortecy, ale usunął większość ocalałych fundamentów. Fasada tylko wyglądała na solidną, a w rzeczywistości służyła ukryciu tego, co znajdowało się za nią. Gdy zawaliły się cienkie zewnętrzne mury, ukazała się ogromna ziejąca dziura, jakby coś wygryzło najniższą część budowli.

Utraciwszy fundamenty, zamek przekrzywił się niebezpiecznie w stronę atakujących. Balansował przez dwa uderzenia serca, a jego ogromny cień majaczył nad Legionem Ślepców. Potem cała budowla runęła do przodu jak ścięte drzewo, miażdżąc wrogów na proch.

Dziesięć albo dwanaście tysięcy Ślepców leżało pod gruzami, a tymczasem forteca poniosła szkody niewiele większe od tych, które bóg sam sobie zrobił.

Szklane skrzydła Zapomnianej uderzyły o siebie z brzękiem. Jej pierś zapłonęła czerwienią. *Ten bóg sam się zabija. Raczej zginie z własnej ręki, niż pozwoli, żeby Ślepcy wyrwali rdzeń jego duszy.*

Drastyczne zmiany, których Hasp dokonywał w manifestacji swojej duszy, wymagały ogromnej siły woli, ale zmniejszając się za każdym razem, zachowywał energię na kolejny atak. Po każdej transformacji forteca malała i dzięki temu Hasp potrzebował mniej mocy, żeby ją utrzymać. Ale ta taktyka była błędna. Jak wąż, który polyka własny ogon, bóg stopniowo pożerał siebie.

Żeby zmylić przeciwników? Albo... zatrzymać ich tutaj, dopóki młodszy anioł uciekał.

Iolotka wzbila się w powietrze potężnym uderzeniem skrzydeł, kłapiąc dziobem, żeby zaprowadzić porządek wśród rozpierchłych demonów. Ślepcy stracili część oczu, gdy zawaliła się forteca, i teraz ci, którzy przeżyli, walczyli o ocalałe skarby, całkiem zapominając o przewróconej budowli.

Szklana jaszczurka z furią zarzuciła ich obrazami tortur i kar tak wymyślnych, że Harper aż się skuliła i odruchowo zasłoniła tarczą. Straszna wizja skutecznie otrzeźwiła Ślepców i przerwała bijatyki.

Harper była pewna, że Hasp teraz umrze. Jego zamek leżał w gruzach. Iglice odpadły i rozsypały się po ziemi, runął cały szkielet budowli. Uwięziony bóg nie mógł już powtórzyć swoich sztuczek. Zresztą nawet one nie pomogłyby mu odsunąć w czasie nieuniknionej śmierci, bo za strażą przednią czekały miliony demonów.

A jednak forteca znowu się przeobraziła.

W wyszczerbionych murach pojawiły się dziesiątki drzwi. Haspem kierowała arogancja

czy duma? A może była to ostatnia rozpaczliwa próba zmniejszenia duszy i zakończenia życia?

Zniszczyć to! Zapomniana wpadła w szal. Pokazała armii Menoi wizje zakrwawionego serca otoczonego kręgiem zębów.

W Ślepcach na nowo obudziła się żądza krwi.

Tym razem jednak napotkali opór.

--O, bogowie! -- wyszeptała Harper.

Z drzwi zamku wylały się demony, które zostały uwięzione w zawalonej budowli. Hasp w jakiś sposób je ocalił, a dając tym upadłym istotom schronienie we własnej duszy, zapanował nad ich prostymi umysłami i podporządkował je swojej woli. Nie potrzebował mocy, żeby stworzyć własny legion. Po prostu ukradł część armii Menoi.

I teraz te pogrzebane demony, kierowane przez sprytnego boga, zaatakowały swoich prymitywnych kamratów. Ale było ich tylko dwadzieścia tysięcy przeciwko milionowi. Tej bitwy Hasp nie mógł wygrać.

A jednak prawie mu się to udało. Ślepcy znajdujący się pod wpływem boga skupili się na szukaniu oczu byłych towarzyszy. Atakowali zorganizowanymi grupami, podczas gdy przeciwnicy walczyli o dominację między sobą. Wkrótce demony Haspa wywalczyły jedno oko, potem drugie i trzecie. Po każdym ich sukcesie wrogowie stawali się coraz słabsi i bardziej zdeorganizowani. W końcu wpadli w panikę.

Zapomniana fruwała w górze, przesyłając w dół straszliwe obrazy pieców i wrzących jezior, żeby zapanować nad Ślepcami, którzy w panicznej ucieczce i zamieszaniu zwracali się przeciwko sobie. Ale demony Haspa były odporne na te wizje i całkowicie poddawały się jego woli. Ostatecznie stanowiły teraz część jego duszy.

Dwadzieścia tysięcy przeciwko milionowi. Wojownicy Haspa utorowali sobie drogę wśród szeregów wroga niczym rzeka obsydianowej lawy płynąca przez zimne skały. Do tej pory ukradli Ślepcom prawie wszystkie oczy i armia Menoi pogrążyła się w chaosie.

Władca Piekła przegrywał walkę.

Harper zgięła szklany ogon i zaczęła się przepychać przez spanikowane rzesze, osłaniając się tarczą. Menoa wyposażył ją we włócznię, ale ona nie umiała nią władać. W Pandemerii służyła mesmerystom jako inżynier metafizyczny. Nigdy nie była wojownikiem.

Za to znała się na mesmeryckiej technice lepiej niż ktokolwiek, z wyjątkiem Menoi. Żeby dowodzić ukradzionym legionem, Hasp musiał utrzymać z nim psychiczną więź, co wymagało dużej koncentracji. Gdy by ta więź została zerwana...

W tym celu można by użyć berła. Mesmeryści stworzyli Krzykaczy, potężną psychiczną broń, która utrudniała kontakt duszy z jej manifestacjami. Ikaraci czasami używali jej do rozbijania Wysypisk, żeby dotrzeć do ukrywających się w ich głębi potężnych duchów. Lecz jej moc w żadnym razie nie wystarczyłaby do pozbawienia archonta kontroli nad stworzoną przez niego rzeczywistością -- nie zdołałaby zniszczyć zamku Haspa nawet w jego obecnym starnie -- ale mogła przerwać łączność boga z uprowadzonymi demonami.

Zbliżając się do zawalonej fortecy, Harper uniosła berło. W szklanej kuli zamigotały kryształowe światelka i metafizyczka zobaczyła boga ukrytego w trzewiach zamku.

Hasp siedzi na krześle z zamkniętymi oczami, ma płytki oddech, twarz pobrużdżoną z wyczerpania. Obok stoi młoda kobieta. Jego kobieta? Żadnego śladu drugiego anioła. Już jest w drodze do Pierwszej Cytadeli.

Harper włączyła Krzykacza, ustawiając go na wysoką częstotliwość. Urządzenie emitowało tak potężną wiązkę energii psychicznej, że sprężyło powietrze wokół siebie. Nastąpił błysk, który wymazał myśli metafizyczki.

Potem zapadła cisza.

Minęła dłuższa chwila, zanim armia Menoi otrząsnęła się z szoku, ale dużo więcej czasu zabrało Zapomnianej zmuszenie Ślepców, żeby podjęli walkę. Demony Haspa na nic nie reagowały. Stały bez ruchu i ginęły, rozszarpywane pazurami przez byłych towarzyszy.

Harper przyjrzała się polu bitwy. Legion Ślepców był zdziesiątkowany. Ziemię pokrywały ciała zabitych i rannych, wszystkie okoliczne rowy były wypełnione po brzegi trupami. Dwieście tysięcy ocalałych demonów brnęło przez kanały, po omacku szukając w wodzie zgubionych oczu.

Nagle Zapomniana wysłała Harper ostrzeżenie.

Metafizyczka odwróciła się i zobaczyła, że pan Pierwszej Cytadeli stoi w drzwiach swojego zrujnowanego zamku. Z mieczem w ręce, zakuty w starą zbroję, patrzył na makabryczny widok z wyrazem znużenia i smutku na twarzy. Za nim już zaczynały blaknąć szczątki fortecy. W niektórych miejscach wyszczerbione blanki i iglice były rzadkie jak gaz. W rogu dziedzińca grupa dwudziestu Ślepców przez chwilę węszyła w powietrzu, a potem zaczęła skradać się w stronę boga. Hasp ich zignorował.

--Włączyłaś Krzykacza? -- zwrócił się do Harper. Metafizyczka powoli skinęła szklaną głową.

--Więc uratowałaś część mojego honoru -- stwierdził bóg. -- My, archontowie, na ogół lubimy sami toczyć bitwy. Ilu Ślepców zostało mi do zabicia?

--Dwieście tysięcy.

Hasp odchrząknął.

--Dość, żeby powstała pieśń o tym dniu.

--Wiesz, że cię nie zabiją. -- Haspa czekał los dużo gorszy niż śmierć. -- Gdzie jest anioł, który spadł z Deepgate?

--Zabiłem go. Jego dusza dała mi siłę, żeby przetrzebić armię Menoi.

Harper wiedziała, że bóg kłamie, ale nic nie powiedziała. Berło wkrótce zlokalizuje zdobycz.

Bóg rozpostarł skrzydła, cienkie, poszarpane i zlepione brudem. Choć ledwo się trzymał na drżących nogach, zrobił krok do przodu, czubkiem miecza rozrzucił gruz i narysował linię w kurzu. Zmrużonymi oczami popatrzył na Harper.

--Widzę głodującą kobietę uwięzioną w tworze mesmerystów -- powiedział. -- Ma na sobie uniform pandemiańskiego inżyniera, ale nie wygląda na szczęśliwą. -- Z wysiłkiem uniósł miecz. -- Chodź tutaj, to ją uwolnię.

Harper nie ruszyła się z miejsca. Wokół niej Legion Ślepców gramolił się przez stosy martwych towarzyszy, podkradając do zamku, który nikł w oczach, i do samotnego archonta stojącego w jego drzwiach.

--Dwieście tysięcy! -- zawołał Hasp.

Krzywiąc się z bólu, uniósł broń nad głową, zakręcił nią i opuścił na czaszkę najbliższego demona.

Potem zatoczył się do tyłu i oparł o futrynę, z trudem łapiąc powietrze.

--O jednego mniej! -- wykrzyknął.

Trzymając przed sobą odnalezione oczy, horda Menoi podchodziła coraz bliżej.

ROZDZIAŁ 19

ZBIERACZE DUSZ

Pióra Dilla były przemoczone i pozlepiane krwią. Nie mógłby teraz latać, nawet gdyby się odważył. Siedział skulony w płytkiej sadzawce, łapał oddech i patrzył w górę na czarny kształt sunący po niebie.

Kolejny szpieg Menoi?

Z trzech stron otaczały go ściany. Znalazł tę niszę w bok od jednego z niezliczonych kanałów Labiryntu. Ale nie było tutaj cienia. Ani żadnej osłony. Z muru patrzyły na niego twarze.

„Zaufaj ścianom”, powiedział Hasp.

Dill stwierdził, że trudno mu posłuchać tej rady. Tropiciele mesmerystów podążali za nim krok w krok. Najczęściej pojawiali się, kiedy ciemniały mgły. Tę porę dnia anioł zaczął nazywać nocą. Gdy słyszał ich szczękające zęby, musiał znowu uciekać, wlokąc ociężałe nogi przez czerwoną breję, która wypływała z budynków zburzonych przez Ikaratów.

Czasami brnął przez krwawiące pokoje i mieszkania zniszczone i ogolone przez mesmerystów, ale wspomnienia, które nawiedzały go w tych miejscach, nie należały do niego. Prerażały go.

Gdzie był teraz Hasp?

Od siedmiu dni nie widział śladu boga ani jego zamku. Czy naprawdę minęło tylko siedem dni? Czas nie miał tu znaczenia. Dni często trwały znacznie dłużej niż powinny, więc możliwe, że uciekał od miesiąca albo od tysiąca lat. Ślepcy wcale go nie ścigali. Dopadli Haspa czy uznali, że Dill nie żyje?

Tak czy inaczej, groziły mu inne niebezpieczeństwa.

Prześladowały go pewne drzwi.

Natknął się na nie tego ranka -- prostokątny otwór między dwoma kwadratowymi słupami. Wydawało się, że są przejściem przez mur oddzielający dwa równoległe kanały. Wgłębienia w kamiennym nadprożu przypominały małe oczy, a znajdujące się niżej dłuższe wyżłobienia otwierały się i uśmiechały jak usta. Szepnęły do niego, kiedy je mijał.

Przejdź na drugą stronę. Szybko, mały kuku.

Dill posłuchał ich i przekonał się, że jest w tym samym miejscu, z którego wyruszył. Zdezorientowany szedł kanałem przez sto jardów, zanim stwierdził, że cofa się po własnych śladach. Drzwi roześmiały się i przesunęły wzdłuż muru, a potem zniknęły.

Teraz, kiedy cień mknący po niebie zginął mu z oczu, Dill usłyszał znowu ich głos, ale tym razem drzwi nie mówiły do niego.

Jest z przodu. Sto jardów po lewej. Ptak, mały biały kruk. Ale nie chce latać. Pewnie boi się szpiegów. Chodźcie za mną, szybko.

Dill wyjrzał z niszy.

Trzej Ikaraci toczyli przez płytkie wody kulę z ludzkich kości i zmierzali w stronę jego kryjówek. Ich jasne broje trzaskały i oświeślały twarze wmurowane w ciemne kamienie, zmuszając duchy do mrugania i odwracania oczu. Drzwi sunęły przed nimi wzdłuż muru, odsłaniając po drodze zalane pokoje i korytarze. Ciecz przelewała się przez ich próg jak woda przez jaz.

Tam jest!

Powrót na otwarty kanał przerażał Dilla, ale nie było innej drogi. Anioł wyskoczył z niszy i zaczął uciekać przed kapłanami mesmerystów i ich kulą. Gęsty płyn wciągał jego stopy.

Drzwi pędziły przed Ikaratami, aż zrównały się z uciekinierem. Dill mógł przez nie dojrzeć ruiny pozbawione dachów, kanały i zbiorniki.

Przejdź przede mną. Pomogę ci uciec.

--Zostawcie mnie w spokoju.

Drzwi zaśmiały się dziko i wróciły wzdłuż muru tam, skąd przyszły. Dill obejrzał się przez ramię. Ikaraci go doganiali.

Kanał otwierał się na rozległy kolisty plac, z którego odchodziły we wszystkie strony dziesiątki węższych rowów. Dill wybrał jeden na chybił trafił i pospieszył nim dalej. Gdy kanał rozdzielił się na dwa, anioł skręcił w prawą odnogę. Po stu krokach ona też się rozgałęziła. Tym razem Dill pobiegł w lewo. Starał się zmieniać trasę, ale zachować kierunek na Pierwszą Cytadelę. Nie widział samej budowli, ale niebo nad nią było ciemne od dymu z machin wojennych króla Menoi.

Dotarłszy daleko w głąb labiryntu, Dill wskoczył w kolejną niszę i wyczerpany oparł się o ścianę. Przez dłuższy czas nasłuchiwał głosu wędrujących drzwi.

Nic.

Ale wkrótce usłyszał inne dźwięki. Z drugiej strony muru dobiegł głośny plusk, jakby coś toczyło się przez płyciznę, i trzeszczenie zbroi Ikaratów.

Dill wybrał długą i krętą drogę, a na koniec znalazł się zaledwie kilka jardów od swoich prześladowców. Teraz tylko kamienny mur o szerokości stopy dzielił go od kapłanów mesmeryckich i ich kościanej klatki. Nagle zatrzymali się po drugiej stronie.

Anioł zamarł.

Gdzie były drzwi?

Coś szcęknęło metalicznie. Potem zapadła cisza. Po chwili rozległ się cichy szum i klatka ruszyła dalej. Dill odetchnął.

Gdy się odwrócił, zobaczył przed sobą drzwi. Zajmowały jedną z bocznych ścian niszy, a ich wzrok był utkwiony w aniele. Gdy tylko Dill je zauważył, krzyknęły:

Tutaj! Biały kruk ukrywa się tutaj!

Drzwi przesunęły się na tylną ścianę niszy, otworając się na kanał, którym zbliżali się prześladowcy.

Dill cofnął się, kiedy dwaj Ikaraci z trójzębami weszli do jego kryjówki. Z ich zbroi posypały się iskry i z sykiem wpadły do wody. W powietrzu rozszedł się zapach przypalonego mięsa. Żelazna broń szumiała, gogle i miedziane kratki na usta lśniły. Ostatni sługa Menoi wtoczył kulę w drzwi, ale upiorna klatka okazała się za duża, żeby przejść przez wąski otwór.

Drzwi zachichotały.

Pierwszy Ikarata uniósł trójząb.

Na szczęście Hasp nauczył Dilla walczyć. Pokazał mu, jak wyczarować broń i zbroję. I teraz anioł wykorzystał nowe umiejętności.

Silą woli stworzył tarczę. W jego dłoni pojawił się lekki stalowy puklerz, już przytroczony do kostek. Anioł zamachnął się i uderzył w trójząb, zanim Ikarata zdążył zadać cios. Ciężka żelazna broń poleciała w górę szerokim łukiem. Jeden z zębów zaczepił o drzewce drugiego

kapłana.

Powietrzem wstrząsnął huk.

Dill zrobił krok do tyłu, kiedy oba trójzęby gwałtownie sypnęły iskrami. Ciała Ikaratów zadrgały i zesztyniały. Z ich pancerzy z sykiem uniósł się dym.

Niedobry kruk! Zniszczyłeś im zbroje!

Drzwi krzyczały, miotając się w tę i z powrotem wzdłuż muru.

Dill przyjrzał się nieruchomym Ikaratom. Nie mogą się ruszać bez zbroi? Uśmiechnął się szeroko i zbliżył do drzwi.

--Przepuście trzeciego -- zażądał.

Drzwi się zawahały, a potem zaczęły miotać się wzdłuż ściany z jeszcze większym podnieceniem. Nie!

Dill zmienił tarczę w mocną żelazną pikę. Chwycił ją oburącz i z góry zadał cios w poruszające się drzwi, z całej siły wbijając czubek broni w ziemię.

Drzwi zatrzymały się raptownie z głośnym trzaskiem. Spróbowały przesunąć się w lewo, potem w prawo, ale nawet nie drgnęły, przyszpilone piką. Dill skinął na trzeciego Ikaratę.

Ten podszedł do otworu, ściskając młot.

Drzwi naparły na pikę, starając się uwolnić. Anioł wyteżył wszystkie siły, żeby im na to nie pozwolić. Czubek broni szorował o ziemię, ale Dill mocno trzymał drzewce. Jeszcze tylko chwilę. Ręce mu drżały. Drzwi trzęsły się, usiłując pokonać przeszkodę.

Ostatni Ikarata przekroczył próg.

Kiedy był w połowie drogi, Dill kazał pice zniknąć. Wobec całkowitego i nagłego braku oporu drzwi wystrzeliły wzdłuż muru, wlokąc za sobą bezradnego Ikaratę. Z ogromnym impetem uderzyły w przyległą ścianę. Ale podczas gdy one zdołały przebić solidny kamień, kapłanowi Menoi nie udało się ta sztuka.

Jego szczątki spadły na ziemię i zamigotały po raz ostatni.

Dill ruszył dalej.

Drzwi nadal śledziły każdy jego krok. Rozwścieczone podstępem, krzyczały, wrzeszczały i zdradzały obecność anioła każdemu, kto mógł znajdować się w pobliżu.

Dill nie mógł przed nimi uciec, więc musiał znaleźć sposób, żeby je zniszczyć. Jak się zorientował, twór mesmerystów składał się jedynie z dwóch kamiennych słupów i nadproża. Mimo to poruszał się wzdłuż solidnych ścian Labiryntu jak bańka powietrza przez wodę.

I wydawał się niezniszczalny.

Biały kruk! Zabójca Ikaratów!

Drzwi trzymały się kilka kroków za Dille, który brnął kolejnym długim, krętym kanałem.

Co zrobiłby Hasp na jego miejscu? Anioł sięgnął do kieszeni i wyjął z niej jabłko, które dał mu bóg, zanim się rozstali. Owoc wyglądał na mniejszy i bardziej zwiędły niż wtedy, ale smakował zaskakująco słodko. Dodał mu energii i pewności siebie.

I podsunął pewien pomysł.

W czasie podróży przez Piekło Dill mijał kilka zrujnowanych świątyń, dziedzińców pełnych monolitów, luków i niszczących czarnych kamieni. Od Haspa dowiedział się, że są to święte miejsca Ikaratów. Ich starożytne fasady upstrzone przez owady wznosiły się ponad okoliczne kanały i zigguraty.

Kawalek przed sobą Dill wypatrzył jedną z tych budowli. Na niespokojnym niebie rysowała się jej zębata sylwetka, przez otwory okienne ziejące w wyszczerbionej czarnej wieży przeświecał czerwony blask.

Dill zmienił trasę i skierował się w stronę ruin.

W miarę jak się do nich zbliżał, widział coraz więcej oznak upadku Labiryntu. Ściany oddzielające kanały były tutaj starsze i dużo bardziej zniszczone. W niektórych miejscach całkiem się zawaliły, tworząc poszarpane przejścia między rowami. Stopnie prowadziły w dół do głębokich studni albo biegły w górę, wijąc się spiralą wokół czarnych kamiennych szpikulców o niewiadomym przeznaczeniu. Upiorne twarze uwięzione w tych murach również wyglądały inaczej -- w ich oczach było coś dziwnego, prawie nieludzkiego.

Drzwi nabrały podejrzeń. Za każdym razem, kiedy trafiały na pokruszony mur, musiały zawracać i szukać innej trasy.

Nie zaciągniesz mnie w niszczejący labirynt. W Piekło są niezliczone ściany. Zawsze znajdzie się jakaś droga.

W końcu Dill dotarł do zrujnowanej wieży, która wznosiła się pośrodku rozległego placu pełnego iglic z czarnej skały. Wokół jej fundamentów stał krąg szubienic, ale teraz żadna z pętli nie była zajęta. Kilka ścian bieгло od obwodu dziedzińca do jego środka, niczym zęby pułapki, ale żadna nie docierała do samej wieży. Wszystkie kończyły się stosem gruzu wiele jardów od budowli.

Dill przyjrzał się z bliska jednej z nich. Kamienie były mokre, kruszyły się pod dotykiem. Anioł ruszył dalej, idąc wzdłuż muru w stronę wieży.

Drzwi postępowały za nim.

Nie uciekniesz, ukrywając się w tej baszcie. Ikaraci odprawiają rytuały w tych miejscach. W środku są niebezpieczne rzeczy.

Dill dotarł do końca muru i zatrzymał się. Drzwi nie mogły dalej iść.

Nadal otaczają cię ściany. Uciekaj i ukryj się. Mogę czekać wiecznie, aż się znowu pojawisz. Powiem kapłanom Menoi, gdzie jesteś.

Ale Dill nie miał zamiaru się ukrywać. Przez dłuższą chwilę przyglądał się wieży, marszcząc brwi i udając, że się zastanawia. Następnie zrobił spacerkiem kilka kroków w stronę, z której przyszedł, potem stanął w miejscu i jeszcze raz spojrzął na basztę. Drzwi czekały, obserwując go uważnie.

Dill wyczarował młot bojowy, żelazne monstrum. Zamachnął się nim mocno i uderzył w mur. Kruchy kamień pękł pod ciosem. Górna część ściany zadrżała, po czym runęła do przodu i roztrzaskała się o ziemię. Dill ponownie uniósł młot.

Tymczasem drzwi zrozumiały, co się dzieje. Zaskrzeczały i popędziły w stronę anioła.

Drugim ciosem Dill zburzył kolejne dwie stopy muru i zrobił poszarpaną wyrwę w jego górnej połowie.

To wystarczyło, żeby zatrzymać drzwi. Twór mesmerystów mógł poruszać się w kamieniu, ale nie w powietrzu. Kiedy dotarł do dziury, którą wybił Dill, zatrzymał się gwałtownie, uwięziony w odizolowanym fragmencie ściany, wyspie pośród Labiryntu.

Nie zostawiaj mnie, powiedział błagalnie. Nie zostawiaj mnie w tej pułapce.

Ale Dill już maszerował dalej.

Odbuduj mur, zawyły za nim drzwi. Nie rozumiesz? Nie mogę zostać tutaj na wieki. Nie

mogę umrzeć! Nie wiem, jak umrzeć!

--Nie wiesz również, jak się zamknąć -- odparował Dill.

Nagły plusk poderwał Dilla na nogi. Minęły tygodnie -- według jego rachuby czasu -- odkąd pozbył się wyjących drzwi. Kleista ciecz oblepiała jego łydki, kiedy brnął przez rów. Ściany, których dotykał dłonią, żeby się podeprzeć, też były lepkie. Szeroko otwarte oczy lypały na niego ze szklistego kamienia jak odbicia w lustrze. „Zaufaj murom”.

Hasp miał rację. Żadne ściany ani schody go nie zdradziły. Czasami, kiedy nadstawił uszu, słyszał, jak kamienie szepczą mu rady. *Teraz idź w lewo... Omiń trzypiętrowy ziggurat... Zbliża się statek mesmerystów...* Dill zastanawiał się, czy zaczęły rozpoznawać kawałek Iрила, który miał w sobie. Albo sam Roztrzaskany Bóg znalazł sposób, żeby porozumieć się z aniołem? A może po prostu w Labiryncie plotki rozchodziły się przez ściany?

Nawet drzwi, które od tamtej pory spotykał, były dziwnie ciche i posłuszne.

Jedne z nich prowadziły do kanału biegnącego obok pokoju bez dachu, w którym ukrył się Dill. Teraz wziął głęboki oddech, zanim przez nie wyjrzał.

Nadchodzili zbieracze dusz.

Wielkie parujące bestie podobne do wołów ciągnęły sznur wielkich wozów i klatek. Na głębszych wodach mesmeryści używali barek, ale płytsze szlaki przemierzały takie właśnie karawany. Dziwne maszyny i rozkołysane drewniane wieże posuwały się z turkotem naprzód. Koła skrzypiały, podkowy ubijały czerwoną maź na pianę. Nad kawalkadą powiewały chorągwie i wielobarwne flagi. Z tyłu dobiegała głośna wrzawa: świst batów, trzask szczudeł, wycie ludzi. A ponad ten harmider wybijało się głębokie, dźwięczne granie rogów.

Dill nie miał dokąd uciec, więc cofnął się do kryjówki i ukucnął, żeby zaczekać, aż karawana go minie. Na niewypowiedziany rozkaz w jego lewej ręce pojawił się krótki miecz, w prawej puklerz.

Pierwsze klatki były pełne częściowo zmienionych dusz: lotrów o gorejących oczach, którzy krzyczeli i bębnilo metalowymi kończynami o kraty, rechoczących wiedźm o osobliwych czaszkach, potężnych, milczących wojowników w egzotycznych pancerzach i hełmach. Dill przypuszczał, że są to uciekinierzy, bo ich transformacja nie została ukończona. Podążająca za nimi kolumna ciężkich drewnianych wozów spowodowała tak duże fale, że woda przelała się przez drzwi, za którymi przycupnął anioł. Ich boki zdobiły osobliwe hieroglify, schodki były obłupane i porysowane. Dalej jechała jedna z żywych maszyn mesmerystów, sferyczne metalowe urządzenie pełne łańcuchów, kół i igieł, a na końcu klatka pełna tropicieli.

Dill zsunął się niżej w sadzawkę krwi, żeby zamaskować swój zapach. Te demony miały doskonały węch.

Tropiciele przypominali ludzkie trupy i rzeczywiście kiedyś byli ludźmi, ale teraz ich skóra lśniła czerwienią jak kanał pod kojcem, w którym siedzieli. Pozbawieni oczu, kręcili głowami na wszystkie strony i węszyli w powietrzu, zgrzytając długimi, białymi zębami. Nie mogli mówić, ale potrafili wyc. I właśnie teraz jeden z nich skierował niewidzący wzrok na młodego anioła i zawył.

Procesja zatrzymała się pośród skrzypienia i wrzasków.

Dill przygotował się do walki.

Anemiczni i garbaci zbieracze dusz nosili ceramiczne zbroje oznaczone czarnymi

plamami. Z ich pałakowatych pleców wyrastały jasne dyski, które trzeszczały i sypały niebieskimi iskrami. Dill przypuszczał, że te istoty są niższą kastą niż Ikaraci, których spotykał wcześniej, bo trochę różniły się od nich wyglądem. W ich popękanych goglach lśniły fragmentaryczne odbicia, kiedy odwracali głowy, a gdy się uśmiechali, demonstrowali miedziane druty pokryte patyną. Byli więksi i mocniej zbudowani niż mesmeryccy kapłani, ale nosili takie same źle dopasowane zbroje, młoty i trójzęby.

A Dill powoli się do nich przyzwyczajał.

Wyszedł z niszy i uchylił się przed batem wymierzonym w jego głowę. Czubek bicia trafił więźnia, który ścisnął kraty swojego więzienia, i uciął mu kawałek palca. Jeniec zawył i odskoczył w głąb klatki.

Dill popatrzył na właściciela bata, otyłego Ikaratę w mocno skorodowanej zbroi, tak zgarbionego, że nie wiadomo jakim cudem udawało mu się stanąć prosto. Rdza pokrywała pół jego twarzy i jedną soczewkę, a druty w ustach całkiem oblepiała zielona skorupa. Ceramiczne wyrostki na plecach wyglądały jak spróchniałe zęby.

Aniołowi szybciej zabiło serce. Atak był naprawdę błyskawiczny.

Tymczasem więźniowie zaczęli skandować w klatkach:

--Ojciec Carpal, ojciec Carpal, ojciec Carpal!

--To było próbne uderzenie, synu! -- krzyknął jeden z mężczyzn. -- Następne obetnie ci cholerny łeb.

Ikarata ponownie zamachnął się biczem.

Dill wyczarował sobie kolczugę jak z pajęczej nici, złożoną z tuniki, nogawic i kaptura dla ochrony szyi. Pomyślał też o większej tarczy, żeby zasłoniła mu całe przedramię, ale postanowił nie obciążać się jeszcze bardziej. Musiał być zwinny.

Gdy świsnął bat, anioł uniósł miecz, żeby go przeciąć, i jednocześnie zasłonił się puklerzem. Ale cienki skórzany rzemień skręcił się w powietrzu i zmienił kierunek. Oplótł brzeg malej tarczy i trafił Dilla w kłykieć. Jego czubek wbił się w ciało.

Młody archont krzyknął i zaczął potrząsać ramieniem, ale bicz nie chciał się odzepić. Anioł próbował odciąć go mieczem, ale skórzany rzemień uchylał się przed jego ciosami jak żywa istota.

Więźniowie w klatkach śpiewali coraz szybciej:

--Ojciec Carpal, ojciec Carpal...

Czubek bata zaczął się wwiercać w kłykieć Dilla. Anioł poczuł, że pełźnie przez jego ciało jak insekt. Zamarł i przerażony spojrzął na swoją rękę. Na jego palcu pojawił się guzek i zaczął szybko przesuwając się pod skórą w stronę nadgarstka. Dill uderzył go głowicą miecza, ale zgrubienie nadal się przemieszczało.

Wystraszony i wściekły Dill rzucił się na Ikaratę. Mesmerycki kapłan wykonał drobny ruch dłonią, bat świsnął w powietrzu, utworzył pętlę w locie i owinał się wokół szyi anioła.

Dillowi zrobiło się ciemno przed oczami, gdy kaptur kolczy zacisnął mu się na gardle. Przed nim zamajaczyły popękane gogle i zardzewiała maska Ikaraty, niczym zjawą z koszmaru. Anioł upadł do przodu, na oślep machając puklerzem. Poczuł, że w coś trafił.

Pamiętał, że walczył, sapał...

...dźwięk rogów, szarpnięcie, skrzypienie kół.

Siedział zamknięty w klatce na tyłach karawany razem ze śliniącą się wiedźmą i karłem z

hakami i igłami zamiast palców. Pokurcz chichotał i próbował wyrwać garść piór ze skrzydeł Dilla. Twierdził, że jest jedynym złodziejem w Piekło.

--Okradałem egoistów, aż ojciec Carpal mnie złapał -- pochwalil się.

--Ojciec Carpal?

--Uderzyłeś go tarczą. Mimo wszystko, niezła walka. -- Nachylił się i dodał półgłosem: --

Wytrzymałeś dłużej niż gladiatorzy. Nawet dłużej niż ten chropowaty stwór, którego złapaliśmy, kiedy się pasł w Ogrodzie Kości. -- Wyszczrzył zęby w uśmiechu. -- Ale nikt nie umknie ojcu Carpalowi.

--To ten Ikarata z batem?

Karzel prychnął.

--Ojciec Carpal jest największym zbieraczem dusz w Labiryncie. I to nie był bat. Poczuleś insekta na jego końcu, co? Pocałunek diabła?

Kostka Dilla nadal pulsowała boleśnie.

--Wwiercił się we mnie. Jak...

--Haczykowa pchła. -- Karzel zarechotał. -- Jeden z aniołów upokorzonych przez Ayen.

Liria, tak nazywali ją na Ziemi, Królowa Pcheł. Jeśli myślisz, że Ayen dała w kość swojemu kochankowi i synom... -- Podlubał metalowym paluchem w pieńkach zębów. -- Przypomnij sobie, co zrobiła aniołom, których naprawdę się bała: Orusowi, Bazylisowi i Lirii... Wszystkich załatwiła na cacy. Na wieczność.

--Ten bat to Liria?

--Żądło na jego końcu. A Carpal jest jej strażnikiem... -- Urwał, kiedy stara kobieta siedząca obok niego wpadła w konwulsje. -- Patrz uważnie. Ta wariatka znowu zanika. Zobaczysz, jak Ikaraci przywracają ją do życia.

--Okrucieństwo! -- jęczała wiedźma. -- Ciało to wspomnienia. Nie pamiętam tłuszczu ani skóry. -- Ostre światło, które wpadało przez kraty do środka, przeświecało przez nią jak przez mgłę. -- Nikt tutaj nie pomoże mi sobie przypomnieć. Równie dobrze mogli mnie zamknąć z pęcherzowcami. -- Wskazała na sąsiednią klatkę. -- Zobaczcie, gdzie te muchy składają jaja.

Dill cofnął się odruchowo.

--Jest stuknięta -- powiedział karzel. -- Menoa niewiele może zrobić z takimi wariatkami jak ona. Nadaje się do maszyn mielących i Zasłony, jeśli w ogóle dotrze do bramy. -- Jego ciemne oczy się jarzyły. -- Albo całkiem zblaknie i dołączy do duchów w murach, albo pewnego dnia wszyscy będziemy nią oddychać.

Wiedźma oblizła bezzębne dziąsła i poskarżyła się żalonym tonem:

--Obiecali mi papugę.

Jeden z Ikaratów ojca Carpala pojawił się przed klatką i wbił trójząb w bok kobiety. Broń zatrzeszczała, wiedźma zaczęła się ślinić i belkotać. Ale wkrótce jej widmowa postać odzyskała cielesną solidność. Zbieracz dusz przez chwilę mierzył wzrokiem pozostałych dwóch więźniów, a potem wrócił tam, skąd przyszedł.

Niebo pociemniało, a dziwaczna kawalkada toczyła się dalej. Dill nie mógł spać. Leżał zwinięty na mokrej słomie i myślał o Minie. Uciekła przed Legionem Ślepców? Gdzie teraz się podziewała? Kiedy w końcu zamknął oczy, wydawało mu się, że czuje zapach jej perfum płynący z drzazgi wbitej w jego nadgarstek.

Karawana nie zatrzymywała się przez trzy dni. Osie skrzypiały bezustannie, wozy

meandrowały po Labiryncie, brnąc przez kolejne kanały, wdrapywały się na śliskie wzniesienia i zjeżdżały w zalane wodą depresje. Upiorne mgły pociemniały po raz kolejny.

Świt przyniósł karmazynowa parę i metaliczny posmak w powietrzu. Pomyłona wiedźma zarechotała, pokazując dziąsła. Karzeł zawtórował jej, chichocząc i postukując igłami o zęby.

--Kradłem kawalki dusz i pożerałem je w świątyniach Ikaratów -- wyznał. -- Byłem zajęty. W Piekło trzeba mieć zajęcie, bo inaczej się znika. -- Skubnął czubek nosa. -- Wiesz, co się kryje pod tymi świątyniami?

Dill pokręcił głową.

--Nieudane eksperymenty, rzeczy, które nie działają, ale nie umarły. Rzeki i sadzawki są ich pełne. I coś jeszcze... -- Przysunął wilgotną twarz do Dilla i wyszeptał: -- Obecność, która wionie przez Rzeki Przegranych jak zimny wiatr. Cała ta udręka inkubuje tam w dole coś bardzo brzydkiego. Mesmeryści się tego boją.

--Iрила?

Złodziej pokręcił głową.

--Iril jest prawie wypalony. Jego archonci stoją na skraju klęski. -- Wskazał na horyzont pociemniały od dymu. -- Spójrz tam, gdzie armie Menoi oblegają Pierwszą Cytadelę. Ikaraci, Non Morai, Iolici i demony zrodzone z tysięcy królewskich snów. Na pewno słyszałeś o tych maszynach. Wiesz, jak mesmeryści je robią? Perswazją. -- Karzeł wykonał ręką gwałtowny gest. -- Cii! Zbieracze dusz wracają.

Obok klatki przeszedł rząd Ikaratów. Ich zbroje sypały niebieskimi iskrami. Towarzyszył im odór spalonego metalu. Do tej pory Dill nauczył się nie patrzeć na nich wprost. Ich trójzęby trzeszczały i żądliły, kiedy wpychali je przez kraty, celując w jego twarz. Karali go, dopóki im za to nie podziękował. Lepiej było po prostu leżeć nieruchomo i mieć nadzieję, że nie ściągnie się na siebie ich uwagi.

Jeden czerwony dzień przechodził w następny. Podróż przez Labirynt była niczym sen. Dill widział świat w obrazach: barki płynące po głębszych kanałach, parujące woły, trzask bicia Carpala, wiedźma pogrążona w letargu, wojownicy z innych klatek skrobiący pazurami o kamienie. Stara kobieta zanikała i była ożywiania jeszcze trzy razy. Wozy toczyły się wzdłuż murów z duchami, zrujnowanych świątyń i wielkich machin, które buchały kłębamii oparów.

Pewnego dnia mijali ogromne kwadratowe rozlewisko, po którym pływały trzy wysokie metalowe statki. Z wnętrza ich kadłubów wydobywały się głębokie, smętne zawodzenia.

--Z Pandemerii -- wyjaśnił złodziej. -- Te statki to dowódcy, którzy prowadzili flotę Menoi przeciwko Rysowi.

--Co tam robią? -- zapytał Dill.

--Patrzą, jak mija wieczność.

Niekończąca się podróż zaczęła doskwierać Dillovi. Przez większość czasu brakowało mu energii, żeby wstać, więc leżał i rzęził na łożu ze słomy. Budził się, nie zdając sobie sprawy z tego, że spał. Nocą więźniowie belkotali i wyli. Tropiciele kłapali zębami, ich ciała lśniły. Nad pęcherzowcami roily się muchy i składały jaja w najróżniejszych miejscach.

A procesja posuwała się wciąż dalej i dalej.

Wiele dni później karzeł uderzył głową w kraty i wykrzyknął:

--Jestem zmęczony, jestem znudzony. Gdzie mogę znaleźć coś do zwędzenia?

--Ukradnij to! -- wrzasnął mężczyzna z najbliższej klatki i napiął procę. Kamień odbił się

od czaszki karła i poleciał ze świstem dalej. Sąsiedzi wybuchnęli śmiechem, a zbieracze dusz szybko wszystkich uciszyli piekącymi dotknięciami trójzębów.

Choć Dill nie odzyskał dobrego samopoczucia, zaczął zwracać większą uwagę na otoczenie. Labirynt był równie piękny, jak urozmaicony. Karmazynowe boisko, które z początku doprowadzało go do rozpaczy, stało się mniej groźne. Było tyle wspaniałości do podziwiania: plusk pod kołami klatek, jasnoczerwone strzępki, które przyklejały się do szprych jak rubiny, kosmyki białych włosów wariatki. Anioł rozkoszował się tymi widokami. Raz wyśledził postacie w srebrnych szatach płynące wysoko po niebie i poczuł, że jego serce szybuje z zachwytem.

--Nie patrz na nich -- ostrzegł złodziej. -- To niebezpieczne, bardzo niebezpieczne stworzenia.

Dill nie wiedział, ile czasu minęło. Zbieracze dusz wciąż znajdowali nowych jeńców i wrzucali ich do klatek. Był wśród nich nagi mężczyzna bez zębów i oczu, posiniaczona bezkształtna istota niezdolna ustać o własnych siłach, chuda, blada kobieta, która nie wydawała żadnego dźwięku, tylko gapiała się na swoje ręce pokryte ciemnymi plamami i stary, bardzo stary anioł w hełmie, z tylko jednym skrzydłem. Pozostali więźniowie zaczęli rechotać na jego widok, ale Dill tylko się uśmiechnął. Codziennie dziękował Ikaratom.

Minął rok, a może sto lat. Dillowi cierpła skóra na wspomnienie oparzeń, ale te doznania były dla niego ważne. W chwilach, kiedy zapominał o bólu powodowanym przez trójzębę Ikaratów, ogarniała go rozpaczliwa panika. Cierpienie trzymało go jak kotwica; bez niego mógłby zapomnieć, kim jest, i zacząć znikać jak wiedźma. Urządzenia zbieraczy dusz dodawały mu wigoru, piekące rany pomagały się skupić.

Nie mógł przestać się uśmiechać. Jego przyjaciel, złodziej, dodawał mu otuchy:

--Ojciec Carpal zna się na swojej robocie -- mówił. -- Dobrze o nas dba, o swoją rodzinę. Nie pozwoli nam tak skończyć. -- Wskazał głową na twarze w ścianach. Zjawy patrzyły z murów na Dilla, poruszały ustami, ale on nie słyszała ich słów, tylko świst bata ojca Carpala.

Niedługo potem pewnego wieczoru karawana wreszcie dotarła do celu. Dill akurat śnił i nie zauważył szarych wież. Pierwsze, co zobaczył, to tłumy dziwnych stworzeń otaczających klatkę. Niektóre przypominały ludzi, ale większość była zmieniona. Wokół kręcili się również Ikaraci i tropiciele, pojawiła się też wysoka postać w opończy, z pęcherzowcem na smyczy. Inni osobnicy poruszali się na metalowych kończynach albo kołach i wypuszczali z ust cuchnący dym. Dwie kobiety o kryształowych czaszkach zatrzymały się przy klatce Dilla. Okolice kanału, którym się posuwali, wypełniała ciągle wrzawa rozmów i mechanicznych odgłosów. Ta droga różniła się od tych, które przemierzali do tej pory. Ściany po obu stronach były wyższe, z mnóstwem okien i drzwi.

--Jesteśmy na miejscu -- oznajmił karzel. -- Najpierw pokaz, a potem sprzedaż królewskim kapitanom. Patrz! Tam widać Pierwszą Cytadelę.

Dotarli do wielkiego miasta. Wzdłuż kanałów wznosiły się monolityczne czarne budynki o płaskich dachach najeżonych występnymi cienkimi jak igły i powoli obracającymi się kołami. Z zaworów osadzonych w murach wypływał dym i świeża czerwona mgła, ale woda w tej płytkiej alei była zielonkawa i śmierdziała paliwem.

Nad miastem górowało skupisko sześciu kamiennych wież z płaskimi platformami na szczycie. Na każdej rosło drzewo, a wszystkie były połączone łukowatymi mostami, z których

trzy już się zawaliły. W murach jaśniały niebieskie okna, jakby odbijało się w nich inne niebo.

--Drzewa odstraszaają upiory -- wyjaśnił złodziej. -- Podobno ich korzenie sięgają w dół przez całe wieże. -- Spojrzał na fortecę pożądliwym wzrokiem. -- Nie ma do niej dostępu z ziemi. Oddałbym ręce za skrzydła, żeby się tam zakraść.

Dill ospale pokiwał głową. Morzył go sen, ale anioł mu się opierał.

Procesja zbieraczy dusz brnęła dalej ulicami miasta. Domy ciągnące się wzdłuż kanałów ustąpiły miejsca szeregom gadających mechanicznych wież, a one z kolei niskim zigguratom, które buchały białą parą i jęczały, jakby były pełne ludzi.

Potem kawalkada wtoczyła się na rozległą kolistą arenę z piętrami kamiennych stopni wznoszących się w górę coraz większą spiralą. Dill w końcu dźwignął się na nogi i przycisnął twarz do krat. Zbieracze dusz wyprzęgali woły. Wielkie bestie cuchnące nawozem ryczały i wierzgały. Po raz pierwszy Dill zobaczył z bliska całą karawanę. Rozładowywano wozy, wokół wznoszono różne konstrukcje: wielkie koła ze szpikulcami, kolorowe wieże, blaszane baraki z dymiącymi kominami, o ścianach pokrytych hieroglifami. Młoty stukwały, liny skrzypiały na kołowrotach. Z wozu platformy znoszono metalowe pudła długości człowieka i kładziono je na mokrej ziemi. Gladiatorzy szczękali mieczami o tarcze i krzyczeli. Ludzie w klatkach wrzeszczeli i skakali.

--Teraz kapitanowie mesmerystów zobaczą, co potrafimy! -- zawołał karzeł. -- Będą świadkami tańca stali, jakiego nie widziano, odkąd Hasp spotkał się ze strażnikami Ayen w Wojnie Przeciwko Niebu. Przebijemy się przez martwych, demony i bestie z bezimiennych światów, zadamy im rany, które zadziwią nawet ich, kiedy będą pogrążyć się w błocie. -- Chwycił Dilla i potrząsnął nim. -- Oto nasza szansa, żeby okryć ojca Carpala chwałą.

Serce Dilla skoczyło z radości.

Trzy dni zabrało Ikaratom przygotowanie targu. Pobili Dilla, aż znowu poczuł się żywy. Wieczorem trzeciego dnia nad areną i zbieraniną budowli, które wokół niej wyrosły, zapadła ciężka cisza. Posępne niebo wyglądało jak aksamitny całun. Na linach rozciągniętych między wieżami, kołami i barakami podskakiwały zielone i żółte światła, oblewając całą okolicę chorobliwą poświatą. Między klatkami gladiatorów chodzili zbieracze dusz; ich dziwne zbroje lśniły, soczewki połyskiwały.

Dill leżał zwinięty na podłodze klatki i wyobrażał sobie nadchodzącą bitwę. Będzie się starał dla ojca Carpala i uzyska dobrą cenę na rynku wojowników.

W pobliżu rozbrzmiał dziwny krystaliczny głos, jakby pobrzękiwały małe szklane dzwonki:

--Jak zwykle dobra robota, ojcze, choć wszystko trwało znacznie dłużej, niż król oczekiwał.

Cisza.

--Rozumiem, ojcze, ale nie możemy dłużej zwlekać. Menoa już skonstruował trzynastego arkonitę. Jego chirurdzy skończyli z Haspem i jego kobietą. Duszy anioła potrzebuje natychmiast.

Znowu niesłyszalna odpowiedź.

--Oczywiście wiemy o drzazdze. Król jest zadowolony. Czas zaprowadzić Dilla do Procesora.

CZEŚĆ TRZECIA

PANDEMERIA

ROZDZIAŁ 20

ALICE ELLIS HARPER

Pociąg do Coreollis toczył się z loskotem wąskim żuźlowym nasypem nad Upper Cog City, zostawiając za sobą kłęby dymu. Niższe dzielnice nadal były zalane, ale tutaj woda cofnęła się jakieś piętnaście jardów poniżej stalowych torów, pozostawiając na ulicach szlam i okręty wojenne. Od zboczy nasypu aż po horyzont, wśród zamulonych sklepów, warsztatów i domów rdzewiało dziesięć tysięcy statków. Stosy kanonierek i niszczycieli zapelniały place Highcliffe i Dzielnicy Teatrów, a krzyki tych przekształconych dusz przybierały na sile. Pancerniki o kadłubach posiekanych ogniem armatnim albo wyszczerbionych przez gruz z walących się budynków górowały nad dachami szeregowych czynszówek, wydając długie, niskie jęki bólu. Mesmerycka barka wojenna utknęła na dachu katedry na Placu Rewolucji; wbita rufą w stoliki kawiarniane i błoto, wskazywała dziobem na niebo. Popołudniowe słońce łagodziło kontury pokładów, kominów i baterii dział, oblewało ceglane mury miękkim bursztynowym blaskiem.

Na południe od stacji końcowej nasyp opadał wraz z, okolicznymi ulicami ku rzece Sill. W tym miejscu woda zbliżała się na odległość stopy do świeżo położonych podkładów kolejowych. Zalane aleje otaczające fabryki dzielnicy Offal niczym gigantyczny odcisk palca albo jak kanały Piekła były zasłane szczątkami rozbitych statków, meblami i trupami.

Między kadłubami, kilami i słupami latarni wirowały perlowe plamy oleju oraz żółtej, akwamarynowej i ochrowej piany. Kanonierki dryfowały po głębokich sadzawkach na dziedzińcu Workhouse albo leżały na dachach czynszówek, oplatając linami wiatrowskazy. Zatopione ulice Emerald, Minster i Canary Row tarasowały jachty parowe, na krwawych wodach unosiły się malowane lalki z teatru kukielkowego Low Cog. Od miasta napływało gorzkie powietrze przesycone zapachem silników, pełne gorącego pyłu i dziwnych metalicznych krzyków.

Harper wydawało się, że statki wyśpiewują lamenty. Te żelazne głosy już nie były ludzkie, ale metafizyczka wyraźnie czuła w nich cierpienie ludzi. Nad tym starym polem bitwy Zasłona mesmerystów zrobiła się cieńsza, ale na ścianach domów i w niezliczonych sadzawkach nadal można było zobaczyć krew. Natomiast pociąg nie był przekształcony metafizycznie, tylko mechanicznie. Pompy wypuszczały z sykiem chmury karmazynowych oparów.

Wysyłając ją na front, król Menoa przywrócił Harper dawną postać. Metafizyczka była teraz bladą kobietą w sztywnym mundurze koloru popiołu. Stała na platformie lowieckiej na samym końcu składu i leniwie bawiła się pasem z narzędziami zapiętym na biodrach. Gdy zdjęła czapkę, jej włosy spłynęły na plecy czerwoną kaskadą. Z przodu dobiegł gwizd. Pociąg zadrzał i pomknął przez most, pod którym rubinowe wody przedarły się przez wał. Harper otrząsnęła się z zadumy i uświadomiła sobie, że odczytywała nazwiska rezerwistów Menoi namalowane na kadłubach statków... szukając jednego.

Słońce obniżyło się ku zachodowi i schowało za ogromne sylwetki mesmeryckich wojennych kolosów i pogromców bogów, widoczne na obrzeżach miasta. Nabierając szybkości, pociąg przecinał nadrzeczne dzielnice. Kierował się w stronę nowego mostu na Sill i Knuckletown. Przed wojną jego silnik był niklowany i inkrustowany srebrnym filigranem. Ale

cztery lata temu został pozbawiony ozdób i narodził się ponownie. Od tamtej pory wyziewy z komina nadały jego powłoce głębszą, intensywniejszą czerń niż ta, którą mogły się poszczycić kadłuby słono-wodnych kuzynów.

Harper pokochała pociąg w chwili, kiedy pierwszy raz zobaczyła go na stacji końcowej Cog Island. *Duma Eleanor Damask* wydawała się harda i nieubłagana. Miała osiemnaście podwójnych kół napędzanych przez osiem wysokoprężnych silników. Od czterech lat przewoziła lupek, stal i urządzenia potrzebne do odbudowy linii kolejowej. Podczas gdy Harper gniła w Piekło, nowe tory ułożone na nasypie dotarły w pobliże Coreollis i frontu. *Eleanor* była kiedyś robotnikiem, świadectwem ludzkiej determinacji w pokonywaniu przeszkód. Metafizyczka uważała wtedy, że pociąg symbolizuje wszelkie zmagania człowieka. Teraz widok starej maszyny budził jedynie litość.

Tego wieczoru *Eleanor* przeszła transformację. Nowe szklane wagony, rzęsiście oświetlone, aż jaśniały złotym blaskiem. Wagony obserwacyjne zwieńczono kopułami o wielu fasetach, restauracyjny miał podwójne kryształowe szyby i listwy z drewna bukowego, ściany dwóch sypialnych były zrobione z matowego szkła, a wagon muzyczny mógł się poszczycić żyrandolami i artystycznie zdobionymi lustrami. Nawet platformę łowiecką zbudowano z kompozytowego szkła i obwieszono eterowymi lampkami. To w całości ludzkie dzieło zostało opłacone złupionym złotem, bo król Menoa znalazł sojuszników w Pandemerii.

Ze swojego miejsca Harper mogła spoglądać w dół przez szklane dachy. W zbrojowni stały stojaki zapelnione mesmeryckimi muszkietami rezonansowymi i szybkozmienną bronią. W wagonie muzycznym trwała zabawa: dżentelmeni i damy tańczyli, śmiali się i rozmawiali. Mężczyzna w śliwkowym garniturze, którego Harper widziała w zwielokrotnionym odbiciu, grał na białym pianinie, ale muzykę zagłuszał łoskot kół i szum pędzącego powietrza.

Ci ludzie byli elitą Cog, która wspierała kampanię mesmerystów przeciwko Rysowi i jego braciom. Dziś wyprawiali przyjęcie na koszt Menoi, a nazajutrz rano bóg kwiatów i noży miał klęczeć u ich stóp.

Harper dostrzegła Jana Carricka. Główny oficer łącznikowy kierował się w stronę wyjścia, wymieniając ukłony i pozdrowienia z uczestnikami gali. Metafizyczka odrzuciła włosy do tyłu i zebrała je do góry. Zanim Carrick otworzył drzwi zbrojowni znajdującej się pod pokładem łowieckim, z powrotem włożyła czapkę.

--Zapewniają mnie, że jest wspaniale -- powiedział uszczęśliwiony, wchodząc po wąskich stopniach na platformę. -- Światła, lustro, szkło. Menoa przeszedł samego siebie. -- Był mocno zbudowanym mężczyzną o surowej, ale nie brzydkiej twarzy. Jedną ręką jak zwykle domykał kołnierza nowego niebieskozielonego munduru. Widać było pod nim kawałek grafitowego łańcuszka, który nosił z wielką dumą. Dostał go od tych samych finansistów z Pandemiańskiej Spółki Kolejowej, których przed chwilą zabawiał na dole. -- Wszystko gra, ale musiało kosztować fortunę. Spalają dość eteru, żeby oświetlić Niebo.

Objął ją w tali i przyciągnął do siebie. Wsunął dłoń pod jej żakiet, objął pierś. Jego skóra była gorąca, jej zimna jak lód. Harper wciągnęła głęboko w płuca mesmerycką mgłę. Nauczyła się nie wyrywać, ale nie umiała ukryć, że zaciska szczęki. I nie potrafiła się do niego uśmiechnąć.

--Jak możesz być taka oziębła? -- zapytał Carrick. -- Przecież tego właśnie chciałaś, prawda? Znaleźć się znowu wśród żywych... -- Ścisnął ją tak mocno, że gwałtownie zaczerpnęła

tchu, ale zaraz puścił. -- Dlaczego się nie odprężysz i nie dołączysz do towarzystwa?

Harper nie odpowiedziała. Spojrzała na miasto Cog i kiedy zmrużyła oczy, morze dachów i kominów zmieniło się w inne: gniewne, sine, rozhukane, spienione. Ale ta wizja zbladła, a ona znowu patrzyła na zatopione ruiny i rdzewiejące cmentarzysko. Pół mili dalej dostrzegła lopoczącą bladoniebieską szmatę zaczepioną o kabel; kiedyś mógł to być mundur marynarza.

--Już kupilem prawa do uratowanego mienia -- oznajmił Carrick, wskazując skinieniem głowy na stosy żelastwa po mieście. -- Kiedy Menoa wyda stosowny edykt, będę miał pieniądze, Alice, mnóstwo pieniędzy. Mógłbym ci kupić dom w mieście, prywatną posiadłość...

--Z dala od twoich przyjaciół.

--Zapewnię ci wygodne życie -- ciągnął Carrick, nie patrząc na nią. -- Mogłabyś odzyskać swoją dawną pracę. Keene znowu by cię zatrudnił. Nie musiałabyś wracać do Centrum Integracyjnego.

Harper poważnie zastanowiła się nad jego propozycją. Miesiąc po wyjściu z Piekła czuła się jak liść miotany przez burzę. Nie oszczędzono jej Centrum Integracyjnego, badań, stosów formularzy i niekończących się rozmów z urzędnikami.

„Jeszcze tylko kilka dni, panno Harper. Jest parę pytań, które musimy pani zadać. Jeśli byłaby pani tak miła, spojrzala na tę listę i powiedziała mi, które nazwiska pani rozpoznaje...”.

Centrum Integracyjne w Cog mogło pomieścić sto pięćdziesiąt osób, ale pokój Harper był jedynym zajęтым. Zasłony, ręczniki pościel... wszystko wyglądało na zupełnie nowe.

Dusze przed nią opuściły Labirynt inną drogą.

Carrick nadal patrzył na niszczące wraki.

--To kopalnia złota -- stwierdził. -- Szkoda by było to wszystko zostawić, żeby się zmarnowało.

Statki powstały, kiedy zaczął się potop Rysa: parowce kołowe przewożące zaopatrzenie, krążowniki, łodzie patrolowe, kanonierki i niszczyciele. Zbudowano je z dusz zmarłych mieszkańców Cog. Jakiś dowcipniś nazwał to miejsce Morzem Wynalazków. Harper pamiętała, że kiedyś były tu tylko sklepy, warsztaty, tawerny i domy.

Wyspa Cog bardzo się zmieniła za jej życia i śmierci; od miejskiej aglomeracji przez wzburzone morze po tę nieszczęsną składnicę złomu. Bóg Rys zesłał na Pandemerię niekończący się deszcz, zgodnie z obietnicą, że zmyje Zasłonę mesmerystów i przywróci ludzkie rządy. Ale jego plan się nie powiódł. Wody w rozlewiskach i kanałach -- zatrutych i pięknych w gasnącym świetle -- opadały, wsiąkając z powrotem w ziemię albo tam, skąd wyczarował je bóg. Tak czy inaczej, zostawiały po sobie gęsty czerwony szlam.

Mimo swojej obecnej wspaniałości wagony *Dumy Eleanor Damask* też pewnego dnia zmatowieją i się rozpadną. Ludzkich pasażerów oczywiście nic to nie obchodziło. Wiedzieli, o ile w ogóle się nad tym zastanawiali, że wtedy już będą tańczyć na zupełnie innym przyjęciu. Dzisiaj spalali tyle eteru, że wystarczyłoby go na oświetlenie Nieba.

--Jutrzejszy dzień będzie punktem zwrotnym w historii -- oświadczył Carrick. -- Żaden bóg jeszcze nigdy nie klęczał przed człowiekiem. To nowy początek dla nas wszystkich. Gdy Rys podpisze traktat, nastąpią tutaj wielkie zmiany. Król Menoa obiecał wynagrodzić swoje najwierniejsze sługi. W pierwszym roku zamierza uwolnić dwa tysiące dusz. Już nie będziesz sama Alice.

W oddali zawodziły metaliczne głosy.

--Nie jestem sama -- powiedziała metafizyczka. -- Nie słyszysz tych śpiewających statków?

--Wiesz, że nie to mam na myśli. Mówię o niezmienionych; o rodzinach tych ludzi, którzy przez całą wojnę stali przy Menoi.

Harper powędrowała ręką do pustego koralika, który nosiła na rzemyku pod bluzką. Przez jedno uderzenie serca nie mogła go znaleźć, ale potem jej dłoń zamknęła się na znajomym klejnocie. Metafizyczka odetchnęła. Perła była na swoim miejscu, blisko jej serca, zimna na jej zimnej skórze.

Carrick patrzył wzdłuż długiego łuku stalowych torów, które za nimi zostawały, na Oko Mesmerystów górujące nad betonowym budynkiem terminalu. Jego bliźniacze koła, osadzone obok siebie na dwóch osiach obracały się w przeciwnych kierunkach. Nawet z tej odległości było słycać syreny, które co godzinę obwieszczały koniec zmiany i niosły się nad całym zalanim miastem. Tłumy urzędników wychodziły z najniższej z dwunastu biurowych gondoli Koła Pracy, swoim ciężarem przesuwając potężne stalowe szprychy o sto osiemdziesiąt stopni. Po odebraniu paczek żywnościowych zaczynali długą wspinaczkę po głównym rusztowaniu do najwyższej gondoli Koła Snu. W tym czasie inni pracownicy, z torbami pełnymi roboty papierkowej i świec, opuszczali dół Koła Snu, żeby wejść na szczyt Koła Pracy. W ten sposób Pandemiańska Spółka Kolejowa napędzała maszyny w laboratoriach Highcliffe, jednocześnie odzyskując koszty prowiantu wydawanego personelowi.

--Kolejny skoczył w zeszłym tygodniu -- powiedział Carrick. -- Nigdy nie zrozumieję tych ludzi. Mają dobrą pracę, porządne jedzenie, miękkie prycze, dużo ruchu i najlepszy cholerny widok na wyspie Cog. I co robią? Plują firmie w twarz i skaczą.

--Ich życie to ciągły marsz pod górę -- stwierdziła Harper. -- Nigdy nie patrzysz na to w ten sposób?

Carrick odsunął się od niej raptownie.

--Tylko przy tobie. -- Odwrócił się ku jasnemu półkolu szklanych wagonów widocznych przed nimi. Pociąg pędził z hukiem przez nowy most na Sill nad dawną dzielnicą portową Knuckletown. W dole pod mętną wodą nadal był widoczny stary most o podporach oplecionych czerwonymi wodorostami. -- Jesteś mi potrzebna. Mamy skargi, że w pociągu jest ktoś martwy. Z przewodów grzewczych w wagonie C, blisko ładowni niewolników, dochodzi jakiś upiorny belkot. Prawdopodobnie to tylko duch niechący sprowadzony na pokład przez jednego z pasażerów, więc bądź delikatna. Jeśli odeślesz go krzyżącego do Labiryntu, nie ja będę się przed nimi tłumaczył.

Harper pokiwała głową i ruszyła do schodów.

--Alice -- zatrzymał ją Carrick. Jego zęby były wyjątkowo białe w przyćmionym świetle. -- Załatwisz to dyskretnie, prawda?

Żeby dotrzeć do wagonu C, Harper musiała przejść przez tłum zgromadzony w wagonie muzycznym. Przyjęcie trwało w najlepsze, większość gości była pijana albo na najlepszej drodze do upicia się. Na widok metafizyczki pianista przeszedł płynnie od walca do crescendo dźwięków, które nabierały tempa, w miarę jak się zbliżała. Gdy mijala pianino, raptem przestał grać.

--Toast za pierwszą kobietę, która wróciła z Piekła ze szminką na ustach! -- zawołał. --

Oto najpiękniejszy trup miasta Cog.

Harper zamarła, czując na sobie wzrok wszystkich gości. Elegancy dżentelmeni mieli na sobie garnitury w ciemnych odcieniach śliwki i grafitu, damy były wystrojone w szykowne suknie z migdałowego, pomarańczowego i różowego jedwabiu. Mężczyźni nosili przy pasach pistolety albo mesmeryckie rapiery w białych skórzanych pochwach, które weszły w modę, odkąd adaptacja „Cieni Cohla” Adelere’a stała się najczęściej omawianą sztuką w Highcliffe. Uniesiono kieliszki, a z głębi pomieszczenia dobiegł głos:

--Powiedział pan „najpiękniejszy”, Ersimmin? A którego spośród martwych uważa pan za drugiego po niej?

Pianista zagrał dramatyczny przerywnik.

--Może rzeczywiście lepsze byłoby określenie „najbardziej ludzki” -- przyznał. -- Naszym zmartwychwstałym brakowało dotąd tej cechy. Ale nie powinno się ich z góry skreślać, panie Lovich. Hordy Menoi to nie tylko pęcherze i kły. Prawdę mówiąc, na Placu Przymierza leży na boku całkiem ładny mały słup. Od jakiegoś czasu mam na niego oko.

--Wolałbym, żeby pan nie grał tej melodii za każdym razem, kiedy coś powiem -- oświadczył rozmówca.

--To ze słynnej sztuki -- odparł Ersimmin. Lovich tylko westchnął.

Młoda kobieta w bufiastej brzoskwiniowej sukni i czarnych rękawiczkach do łokcia podeszła wolno do Harper. Jej przypudrowaną szyję zdobił gruby naszyjnik z perłowych dusz.

--Uważam, że to odrażające -- oświadczyła. -- Czy naprawdę musimy szukać pracowników w Piekło? Nie ma żywych, którzy równie dobrze mogliby wykonywać jej obowiązki? Bez obrazy, moja droga, jestem pewna, że Labirynt jest piękny.

Jej słowa wywołały chór stłumionych okrzyków i chichotów wśród młodszych dam, zbiorowy wyraz dezaprobaty na twarzach starszych kobiet oraz zdeprymowanej niewinności na obliczach dżentelmenów, odegrane z różnym talentem.

Harper uświadomiła sobie, że wpatruje się w naszyjnik. Spuściła wzrok. Kobieta miała z pół setki pereł, noszonych publicznie jak zwykle klejnoty.

Kolekcjonerka. Król Menoa dobrze ją wynagrodził.

--Przepraszam -- powiedziała Harper i ruszyła przez tłum.

Starszy mężczyzna z siwymi wąsami zatrzymał ją, wyciągając rękę. Miał na sobie karmazynowy garnitur, a na biodrze mesmerycki miecz nadzwyczajnej roboty: głowica z silasu i kryształu, pochwa z alabastru, pasującego kolorem do wąsów.

--Proszę... Panna Harper, prawda? Nie napije się pani z nami? Nazywam się Duncan Jones. -- Ukłonił się. -- Służyłem z pani mężem w królewskich rezerwistach. Wspaniały młody człowiek. Walczyliśmy razem w Larnaig. -- Poczzerwieniał i umilkł na chwilę. -- Przykro mi z powodu tego, co się stało. To musi być dla pani trudna podróż.

--Dlaczego trudna? -- odezwała się kobieta w brzoskwiniowej sukni. -- Demony nie mają uczuć, panie Jones.

--Ona nie jest demonem, Edith.

--Bo nadal ma piersi?

Młodsze damy znowu zachichotały. Twarz Jonesa zarumieniała się jeszcze bardziej, jego wąsy zdrzębały. Kilku dżentelmenów miało dość przyzwoitości, żeby zrobić zakłopotane miny, z wyjątkiem Ersimmina, jak zauważyła Harper. Pianista uśmiechał się szeroko.

--Moim zdaniem, skoro przyszła z Piekła, zasługuje na to miano -- nie ustępowała Edith, mierząc wzrokiem ciężką budę i gumową gruszkę przyczepione do pasa Harper. -- Niech jej wygląd pana nie zwiedzie. Ta kobieta oddycha ludzką krwią, tak jak reszta tych koszmarnych istot.

Harper już zaczynało kręcić się w głowie. Powietrze w wagonie było za rzadkie dla jej martwych płuc, a pompy mgły niewłączone. Lecz zabolą ją słowa Edith, więc powstrzymała się przed skorzystaniem z butli.

--Proszę pozwolić mi przejść -- powiedziała.

--Mdlejesz, moja droga?

--Zostaw ją w spokoju, Edith -- odezwał się Jones. -- Nie wygląda dobrze.

Młoda dama zadarła brodę i posłała staremu rezerwiście wyniosłe spojrzenie, ale odsunęła się na bok.

Harper unikała patrzenia jej w oczy. Kiedyś miała charakter, ale straciła go dawno temu. Gdy opuszczała wagon muzyczny, Ersimmin zaczął grać nową melodię. Każda nuta była idealnie dopasowana do jej szybkich oddalających się kroków.

Wagon C szczycił się salonem wyposażonym w pastelowe meble ze złotym wykończeniem, pluszowe fotele, niskie stoliki i liczne lampy do czytania w kształcie meduz. Teraz był pusty. Obrazy wnętrza odbijały się w ścianach z trawionego szkła i dawały złudzenie, że obok siebie są usytuowane liczne identyczne salonki, ale za tymi widmowymi kopiami Harper widziała ciemne kształty budynków i demonicznych statków porzuconych w uciekającym szybko w tył Knuckletown. Nie miała dużo czasu. Pociąg zbliżał się do pierwszej stacji.

Ludscy pasażerowie mieli się spotkać się ze swoim piekielnym przywódcą we własnej osobie.

Harper coraz mocniej kręciło się w głowie. Odpięła gumową gruszkę od pasa, podniosła ją do ust i zrobiła głęboki wdech. Gęsta mgła podrażniła jej gardło, ale rozjaśniła w głowie i przywróciła skórze trochę koloru. Metafizyczka napelniła ponownie gruszkę płynem z butli i skupiła się na czekającym ją zadaniu.

Salonka miała szklaną podłogę. Harper starała się nie zwracać uwagi na uniesione twarze jeńców, ale ich spojrzenia wypalały dziury w podeszwach jej stóp. Nie wiedziała, co jest gorsze: błagalne spojrzenia wychudłych niewolników czy gniewne lypnięcia boga uwięzionego razem z nimi.

Odkręciła miedzianą kratkę osadzoną nisko na wewnętrznej ścianie z matowego szkła i wyjęła mesmerycki lokalizator z worka przy pasie. Przypominał berło, które kiedyś nosiła w Piekło, ale ten egzemplarz został wyprodukowany w laboratoriach w Highcliffe -- fizyczny przyrząd z metafizycznym rdzeniem.

Z otwartego przewodu wentylacyjnego płynęło ciepłe perfumowane powietrze. Harper włączyła kryształowe urządzenie i ustawiła podziałkę. Skala od dziewięćdziesięciu do stu dwudziestu cykli Baela pozwalała wykryć cały nielegalny przepływ dusz, łącznie z aniołami i demonami. Najprawdopodobniej jeden z pasażerów rozbił perłę i teraz mieli na pokładzie ludzkiego ducha.

Czekając, aż lokalizator zareaguje, Harper sprawdziła rury tłoczące pomp mgłowych i mierniki ciśnienia w przewodzie wentylacyjnym. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku,

gotowe na przybycie króla. Pewną satysfakcję sprawiała jej myśl, że żywi pasażerowie będą oddychać tym samym obrzydliwym powietrzem, dopóki ich pan będzie na pokładzie.

Mała wskazówka drgnęła i przesunęła się z jednego ideogramu na drugi, a potem znieruchomiła pośrodku tarczy.

Chwilę później wyskoczyła poza skalę.

Harper wytrzeszczyła oczy. Potrząsnęła urządzeniem, ale szybko zrozumiała, że lokalizator działa prawidłowo. Sama ustawiła go tak, żeby namierzyć duchy ukrywające się na terminalu Pandemerińskiej Spółki Kolejowej na wyspie Cog, więc ten odczyt nie był błędem. Szybko, drżącymi rękami, zresetowała wykrywacz i poszerzyła spektrum, od dziewięćdziesięciu do stu sześćdziesięciu baeli; ta skala służyła do wykrywania bogów. Ponownie włączyła przyrząd i wbiła wzrok w tarczę. Igła najpierw: drgnęła, a potem wychyliła się poza podziałkę.

Niemożliwe.

Albo urządzenie źle działało, albo intruz był istotą, z którą nigdy wcześniej się nie zetknęła, co oznaczało, że nie mógł przybyć z Ziemi ani z Nieba.

Nie miała jednak okazji dalej spekulować, bo od strony wagonu muzycznego dobiegł głośny huk, a po nim krzyki kobiet.

Restauracyjny i dwa osobowe oddzielały salonkę od wagonu muzycznego. Harper przebiegła przez salę jadalną, odpychając na boki zaciekawionych i przestraszonych stewardów, objijając się o stoliki i krzesła. Gdy wpadła do pierwszego wagonu osobowego, drogę zatarasował jej mały tłusty chłopiec ciągnący za sobą torbę z psem w środku. Przeskoczyłaby nad nim, gdyby był o kilka cali niższy. A tak musiała zwolnić i precyzyjnie się obok niego, szorując plecami o szklaną ścianę korytarza. Potem zrobiła krok nad szczeniakiem, który siedział w grubo tkanej torbie podróźnej zasuniętej na zamek, tak że widać było tylko jego głowę.

--Pracujesz tutaj? -- zapytał chłopiec.

--Nie mam czasu, synu, przykro mi -- rzuciła Harper przez ramię i popędziła dalej.

--Słyszałem wrzask! -- zawołał za nią grubasek. -- To duch? Ciocia Edith mówiła, że będę mógł na nie polować w Coreollis. Mam karabin i w ogóle.

--To nie duch! -- odkrzyknęła Harper z połowy korytarza. -- Coś innego.

--Demon? -- Chłopiec pobiegł za nią, ciągnąc uwięzionego psa. Torba miała kółka. -- Ciocia Edith powiedziała, że będę na nie polował, kiedy dorosnę. Mam przynieść karabin? Mogę wyjąć Pioruna? Chcę nauczyć go polować na demony, ale nie pozwalają mi go wypuszczać, żeby gdzieś nie narobił.

Harper już dotarła do końca przejścia.

--Nie wiem, co to jest, ale zostań tutaj, bo może być niebezpiecznie. -- Nie zatrzymując się, wpadła w następne drzwi. Z tyłu dobiegł zgrzyt kół.

Piorun zapiszczał.

W wagonie muzycznym panował chaos. Trzy omdlałe damy leżały w fotelach, przeniesione tam przez kilku panów. Z pianina został stos lakierowanego drewna oplecionego drutami. Klawisze z kości słoniowej i młoteczki były rozrzucone po całej podłodze. Rezerwista z siwymi

własami zgarniał je butem w kąt, a pianista Ersimmin obserwował go z wyrazem rozbawienia i oszołomienia na twarzy. W powietrzu unosił się dziwny zapach: ziemskiego lasu albo bagna zmieszany z jakąś... zwierzęcą wonią. Harper wciągnęła go głęboko w nozdrza, próbując zidentyfikować.

Carrick kręcił się w kółko pośrodku pomieszczenia i najwyraźniej nie wiedział, co robić albo z kim porozmawiać. W ręce trzymał kieliszek wina.

Edith krzyczała. Cały kolor spłynął z jej twarzy na pierś falującą gwałtownie pod brzoskwiniowym stanikiem sukni. Miała zdjętą jedną rękawiczkę i ścisnęła w palcach zakrwawioną chusteczkę. Zajmowali się nią przystojny mężczyzna i jego młoda żona, w pasujących do siebie strojach: on był w kruczoczarnej garniturze, ona w sukni o takim samym odcieniu czerni. Harper rozpoznała w mężczyźnie Edgara Lovicha, aktora, który przed wojną zdobył sławę i majątek na deskach teatrów Cog. Lovich trzymał zdrową dłoń młodej damy, podczas gdy jego żona próbowała obejrzeć jej ranę.

--Proszę, Edith -- mówiła. -- Nie dam rady ci pomóc, jeśli nie pokażesz mi ręki.

--Ucięło mi palec! -- krzyknęła Edith. -- Mam ucięty palec!

--Pozwól mi spojrzeć.

--Co się stało? -- zapytała Harper.

--Gdzie byłaś, do diabła?! -- huknął na nią Carrick -- Kiedy ty się włóczyłaś, my mieliśmy tutaj manifestację. Panna Bainbridge została ranna.

--Jakiego rodzaju manifestację? -- Harper spojrzała na kieliszek w jego ręce.

--Co? -- Carrick wytrzeszczył oczy.

--Jakiego rodzaju? -- powtórzyła. -- Tropiciel? Ikarata? Non Morai? Jeśli mam się go pozbyć, pomogłoby mi, gdybym wiedziała, co to było.

--O czym ty mówisz? To coś się zmanifestowało. Tutaj. Roztrzaskalo pianino.

Żonie aktora udało się wyjąć chusteczkę z ręki Edith i teraz badała jej zakrwawione palce.

--W porządku, to tylko przecięcie -- stwierdziła. -- Jedna ze strun pianina musiała trafić akurat w kostkę.

--Nie mam palca -- jęknęła Edith.

--Nie, kochanie, spójrz. -- Pani Lovich zaczęła liczyć: -- Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć.

Wszystkie na miejscu i całe, widzisz?

--Nie! -- Edith zwróciła oczy pełne łez na Harper. -- I to jej wina. Podobno miała pilnować, żeby takie rzeczy się nie zdarzały w tym pociągu!

Metafizyczka westchnęła przeciągle.

--Czy ktoś łaskawie może mi powiedzieć, co się tu stało?

--Ersimmin akurat grał jedną ze swoich nowych kompozycji, kiedy ta istota pojawiła się znikąd, rozbila mu pianino i zniknęła -- wyjaśnił Lovich. -- Tak po prostu! -- Wykonał obrazowy gest rękami. -- Cały incydent trwał jedno uderzenie serca.

--Jak wyglądał ten osobnik?

--Straszny, okropny. Dość ciemny i... -- aktor zmarszczył brwi -...mięśisty.

--Na siedem piekieł, Edgarze! -- wykrzyknął Jones. -- To zabrzmiało, jakbyś mówił o buleczkach swojej żony. -- Rezerwista podszedł do Harper z poważną miną. -- Miał jakieś pięć stóp wzrostu, ale był nabyty, potężny, umięśniony jak pewien robotnik, którego kiedyś

widziałem.. I był bezwłosy, cały pokryty szarymi pęcherzami. -- Zastanawiał się przez chwilę. -

- Nie pamiętam jego twarzy... tylko tę skórę.

Harper zmarszczyła brwi.

--Pęcherzowiec?

--I miał broń -- dodał Jones. -- Ale nie mesmerycką, tylko zwykły kamienny młot. -- Ściszył głos. -- Chyba bardzo nie spodobało mu się granie Ersimmina.

--Przynajmniej ma gust -- mruknął Lovich.

Harper zmarszczyła brwi. Manifestacje stały się częstsze, odkąd otwarto Bramę Cog. Demony mogły czasami materializować się w miejscach, gdzie przelano dużo krwi -- przy zbiorowych grobach ofiar zarazy na wyspie Cog albo w starych świątyniach Irila -- ale ten pociąg miał być od nich wolny. Jeszcze nawet nie włączyli pomp mgłowych.

Dlaczego upiór wybrał za cel pasażerów? Jako ludzcy delegaci króla Menoi, znajdowali się pod jego ochroną i mogli na nią liczyć, dopóki władca ich nie zdradzi.

A odczyt lokalizatora? Urządzenie wykryło istotę o wiele potężniejszą niż zwykły pęcherzowiec. Wyraźnie widać było tutaj rękę bogów.

--Jeśli nadal jest na pokładzie, pewnie ukrywa się w zbiorniku krwi -- powiedziała. -- Zaraz tam pójdę. Mogę włączyć Krzykacza i go wykurzyć.

--Świetnie. -- Ersimmin klasnął w ręce. -- Do broni, panowie. Co powiecie na... dziesięć kawalków na głowę, co? Nagroda idzie do gościa, który złapie stwora do worka. -- Ruszył w stronę arsenału.

--Przykro mi, proszę pana, ale nie można tutaj strzelać! -- zawołała za nim Harper. -- Wagony są ze szkła. Wystarczy jeden strzał.

--A kogo obchodzą wagony? -- obruszyła się Edith. -- Po prostu zastrzelcie to diabelskie nasienie!

Jones wystąpił do przodu i powiedział:

--Ona ma rację, Edith. Musisz myśleć o naszych gościach. Jak by to wyglądało, gdybyśmy przybyli do Bramy Cog w roztrzaskanym pociągu? Król nie spojrzałby na nas łaskawie. Nawet ty to rozumiesz, Ersimmin.

Edith wsadziła nos w chusteczkę. Pianista zrobił rozczarowaną minę.

--Cholerna szkoda! -- mruknął. -- Na rynku kolekcjonerów można dostać tysiąc za pęcherzowca. Ale rzeczywiście masz rację, Jones. Byłoby głupio ryzykować zniszczenie pociągu.

Panna Bainbridge tupnęła nogą.

--Żądam, żebyśmy natychmiast zawrócili. Potrzebuję pomocy medycznej.

--Ty tylko zadrapanie, Edith -- próbował ją uspokoić Jones. -- Pozwól pannie Harper robić swoje. Znajdzie tę istotę i odeśle ją z powrotem do Labiryntu, nim się zorientujesz.

--Nie uciszaj mnie, starcze -- odparowała młoda dama. -- I nie mów mi, że mam polegać na tym trupie. Nie zrobiła nic, żeby zapobiec pojawieniu się tej istoty. Każdy żywy inżynier złapałby ją na długo przed tym, nim zdążyłaby narobić spustoszeń.

--Edith...

--Nie! Nie pozwolę traktować się protekcyjnie ani poniżać. Tobie ani nikomu innemu. Nie jestem dzieckiem. -- Odwróciła się do Carricka, który nadal był w szoku. -- Proszę natychmiast zawrócić pociąg.

Oficer łącznikowy uniósł ręce.

--Panno Bainbridge, proszę, jeśli...

--Panu również nie pozwolę się uciszyć, Carrick. Proszę nie zapominać o swojej pozycji. Moja rodzina może bardzo utrudnić panu życie. -- Nagle zrobiła taką minę, jakby miała się rozplakać. -- Dlaczego wszyscy musicie być tacy okrutni?

Żona Lovicha uścisnęła ją łagodnie. Ersimmin spojrział na zegarek kieszonkowy.

--Cóż, skoro nie możemy zastrzelić tej zjawy, mogę zaproponować szybką i praktyczną alternatywę?

--Tak? -- zainteresował się Carrick.

--Wypuście Haspa -- powiedział pianista. -- Niech on pozbędzie się tego ducha.

--To nie jest dobry pomysł, proszę pana -- stwierdził oficer.

--Dlaczego? Hasp nie może nam zrobić krzywdy bez bezpośredniego rozkazu. Chirurdzy Menoi już o to zadbali. I zdaje się, że dał nam pan osobiste zapewnienie, zanim wsiedliśmy do tego pociągu.

Carrick zaczął się wiercić w miejscu.

--To niemożliwe -- oświadczył w końcu. -- Gdyby Hasp został zabity przed przekazaniem, jego brat Rys nie podpisałby traktatu i w ten sposób przepadłaby szansa na pokój między Coreollis i Pandemerią.

--Zabity? -- powtórzył Ersimmin. -- Ale to jest bóg, który sam jeden zatłukł tysiące Ślepców. Dziesiątki tysięcy. A wy się martwicie, czy da sobie radę z jednym demonem? Hasp mógłby go zabić przez sen.

--Przykro mi, ale to za duże ryzyko. Nie mam upoważnienia, żeby na to pozwolić.

Pianista spochmurniał.

--Ja daję panu upoważnienie, panie Carrick. Za niecałe dwadzieścia minut mamy dotrzeć do portalu, gdzie nasz król wręczy nam traktat i powierzy, swoim wybranym ambasadorom pandemiańskim, zadanie bezpiecznego dostarczenia go. Jak to będzie wyglądało, jeśli na powitanie jego wysokości zjawimy się z groźnym intruzem na pokładzie?

--Nie wiem -- wymamrotał Carrick z coraz bardziej niepewną miną.

--Wezmę na siebie całkowitą odpowiedzialność za wypuszczenie Haspa -- oświadczył Ersimmin. -- Król będzie wiedział, że to moja decyzja. I oczywiście wynagrodzę pana sowicie za ryzyko.

Harper pokręciła głową.

--Zdecydowanie odradzam, sir -- powiedziała. -- Przepisy firmy wymagają, żebyśmy pozbywali się intruzów standardowymi środkami.

--Jeden potwór na wolności wystarczy i nie ma sensu jeszcze bardziej denerwować dam, wypuszczając drugiego -- stwierdził Jones. -- Pozwólcie, że zamienię pistolet na miecz i pomogę panie Harper rozprawić się z nieproszonym gościem.

Ersimmin się roześmiał.

--Przepisy firmy? Panno Harper, czy mogę pani przypomnieć, że mam dwadzieścia procent udziałów w Pandemiańskich Kolejach? -- Odwrócił się do Carricka. -- Co pan na to, szefie? Zabawimy się trochę, żeby ożywić przyjęcie? Czy tysiąc kawalków jest coś dla pana warte?

W oczach Carricka pojawił się błysk. Po raz pierwszy od manifestacji wydawał się opanowany.

--Wypuśćmy szklanego drania z klatki -- zdecydował.

ROZDZIAŁ 21

BÓG W SZKLE

Monotonny stukot kół brzmiał jak chór natarczywych głosów bez końca powtarzających nazwę celu podróży: „Coreollis, Coreollis, Coreollis”. Mina Greene zadrżała i mocniej otuliła cienkim kocem szklane ramiona. Spojrzała na podłogę ładowni, twardą i przezroczystą jak kruche łuski, które dali jej mesmeryści w miejsce skóry. Koła i osie obracały się w ciemności pod pociągiem, migwały podkłady, żwir i żużel.

Inni niewolnicy bali się poruszyć, żeby nie roztrzaskać swojej przezroczystej powłoki, więc Mina siedziała samotnie pośrodku niskiego pomieszczenia. Wyglądało na to, że rozmawiać również się boją, jakby słowa mogły rozbić szkło! Ale najprawdopodobniej obawiali się jej bliskich stosunków z panem Pierwszej Cytadeli, co śmieszyło Greene. Mają prawo być nerwowi, doszła do wniosku. Archont był przerażającym osobnikiem.

--Hasp -- odezwała się cicho.

Bóg podniósł wzrok, a z przyczepionego do tyłu jego czaszki mechanizmu z metalu i kości dobiegły świst i szcęknięcie. Hasp zmarszczył brwi i spuścił wzrok, wracając do szkicowania. Żeby okaleczony bóg był szczęśliwy, Pandemerijska Spółka Kolejowa dała mu papier i ołówek.

Mimo jego obecnego wyglądu Mina nadal wołała myśleć o nim jako o aniele. Ikaraci Menoi usunęli mu skrzydła, wycięli kości, mięśnie i ścięgna z ramion, tak że teraz wyglądał prawie jak człowiek -- siedzący na podłodze stary korsarz o obwisłych policzkach, z kępkami zarostu na twarzy i brzuszyskiem. Ale wrażenie, że Hasp jest człowiekiem, nie trwało długo, bo jego oczy wciąż zmieniały barwę. Czasami na grynszpanowy albo złoty, kiedy indziej na kolor krwi, która płynęła przez jego upiorną zbroję.

Mina obserwowała, jak czerwony płyn pulsuje w szklanych żyłach napierśnika i naramienników, jak płynie giętkimi, przezroczystymi rurkami do zarękawi i nagoleńnic, cienkimi kanalikami wokół szyi, przez osłony policzkowe i półhelm. Zastanawiała się, jak mesmeryści zdołali stworzyć coś tak strasznego i jednocześnie pięknego: kute na zimno, metameryczne płyty, kolce i rurki były wspaniałe jak rzeźby w pałacu wezyra w Dalamoor.

Zbroja anioła była dużo okazalsza niż szklane łuski pozostałych niewolników, ale równie krucha. Jego mocne uderzenie mieczem roztrzaskałoby ją równie łatwo jak kieliszek wina. I tak się wkrótce stanie, podejrzewała Mina. Wymiana, traktat pokojowy -- wszystko to były kolejne kłamstwa Menoi. Ich krew splami ziemię wokół Coreollis, zanim jutro zajdzie słońce.

--Rozchmurz się -- powiedziała.

Hasp nawet na nią nie spojrzał.

--Wolałem cię w Piekło, kiedy byłeś w stanie katatonii -- odrzekł wolno, marszcząc czoło. -
- Mniej gadałaś.

Mina zachichotała i jeszcze bardziej się do niego przysunęła. Zaokrąglone płyty na jej nogach i kostkach zastukały o podłogę, ale nie zwróciła na to uwagi.

--Więc mnie zabij. -- Wzięła dwa ołówki i zagrzechotała nimi o szklaną osłonę jego goleni.

Hasp odsunął nogę.

--Co z tobą? -- burknął. -- Jeśli tak bardzo chcesz umrzeć, wstań i rzuć się na podłogę.

Gwarantuję, że upadek połamie twoją delikatną skórę.

--Ala ja chcę, żebyś ty to zrobił -- odparła Mina.

--Bo wiesz, że nie mogę. -- Gdzieś w szyi boga, a może w jego mózgu zazgrzytały małe trybiki. Z urządzenia mesmerystów wszczepionego w tył czaszki wydobył się swąd spalonych drutów i krwi. Hasp drgnął, a jego spękane usta pod przezroczystym hełmem wykrzywił grymas. -- Ale denerwuj mnie dalej, to może spróbuję. Prowadzisz niebezpieczną grę, dziewczyno.

Mina zaczęła obracać ołówek w brudnych rękach.

--To nie jest gra.

Hasp zacisnął szczęki. Jego tęczęwki kilka razy zmieniły kolor, dłonie zwinęły się w pięści.

--Ten drań Menoa -- wysyczał archont. -- Wsadził złośliwego demona do mojej głowy.

--Lubię, kiedy twoje oczy to robią -- powiedziała Mina.

--To samo dzieje się u wszystkich aniołów na ziemi.

--Zrób to jeszcze.

--Nie jestem twoim zwierzątkiem, Mino.

Greene westchnęła i upuściła ołówek.

--Jesteś taki nudny.

--Więc zostaw mnie w spokoju.

--Tylko jeśli pomożesz mi to rozbić. -- Położyła dłonie na piersi.

Z czaszki Haspa dobiegł warkot. Jego oczy zmieniły kolor z szarego na czarny, a potem na niebieski i czerwony.

--Czuję jego zęby -- wykrztusił. -- Przez ciebie to diabelstwo mnie gryzie.

W górze włączyły się pompy, do ładowni napłynęła świeża mgła. Mina stłumiła śmiech.

--Dość tego -- warknął Hasp i wrócił do szkicowania. -- Dręczysz mnie tylko dlatego, że możesz. Co ci zrobiłem? Ukryłem cię przed Ikaratami. Próbowaleś bronić.

--Tak.

--Więc czego jeszcze chcesz ode mnie?

--Chcę, żebyś mnie zabił.

Bóg syknął.

--Żebyś mogła wrócić do Piekła? Wkrótce trafisz tam bez mojej pomocy. Jak sądzisz, co się stanie w Coreollis? Myślisz, że Rys chce, by przypomniano mu o jego klęskach? Mój brat podpisze traktat Menoi, a potem zarżnie nas wszystkich.

--Nie ciebie.

--Przede wszystkim mnie. W tym stanie nie jestem dla niego użyteczny. -- Hasp obrócił szklane ręce wnętrzem do góry. -- Rys nawiezie mną swój ogród i wyhoduje róże z mojej krwi. Zrobi to, żeby rozwścieczyć Menoę, bo w inny sposób nie może mu odplacić. Ta wojna się skończyła, kiedy mój brat się dowiedział o arkonitach. Wspomnienia Skirl nadal go prześladują.

--Nie zgadzam się. Jesteś dla Rysa ważniejszy, niż myślisz.

Bóg łypnął na nią spode łba.

--Nie znasz go.

--Co rysujesz? -- Mina wyciągnęła szyję, ale Hasp odwrócił się do niej plecami, żeby ukryć swoje dzieło. Dziewczyna wydeła usta i uderzyła go lekko. -- No, dalej, złam mi rękę albo chociaż palec. Nie musiałbyś nawet używać swojej broni.

--Teraz złamałbym ci kark, gdybym mógł.

Ale Mina wiedziała, że to kłamstwo. Pasożyt umieszczony w czaszce Haspa chronił tylko

slugi Menoi. Nie obchodziło go, którego z wrogów króla zabije archont. Hasp mógłby z łatwością pozbawić ją życia, ale postanowił tego nie robić. I właśnie dlatego Mina nalegała. Pokonany bóg był tak upokorzony, że musiała wciąż mu przypominać, kim naprawdę jest. Nie mogła mu pozwolić tak po prostu się poddać.

Hasp spojrział na szybkozmienną broń leżącą na podłodze obok niego. Dał mu ją sam król Menoa, żeby w ten sposób zademonstrować całkowitą władzę nad Panem Pierwszej Cytadeli. Na stalowym ostrza było widać strzępy mięśni, co świadczyło, że ostatnio używał go ktoś z królewskiej armii.

Przez ciało boga przebiegło nagle drżenie. Jego głowa podskoczyła gwałtownie, ołówek trzymany w ręce pękł na pół. Hasp westchnął przeciągle i cisnął w kąt bezużyteczne kawałki.

--Dwieście tysięcy -- mruknął. -- Udało mi się zabić mniej niż trzydzieści.

--Za łatwo się poddałeś.

Bóg odchrząknął.

Mina w końcu odsunęła się od niego. Pozostali niewolnicy trwali w bezruchu, nawet oddychali ostrożnie. Nie rozpoznawała żadnego z nich i żaden nie patrzył jej w oczy. Kryształowe żyrandole drżały w salonce na górze, oświetlając cienkie szklane łuski pokrywające ich twarze i szyje. Może powinna była porozmawiać z nimi wcześniej? Ale teraz po co miałyby to robić? Pogodzili się z losem, który ich spotkał. Po prostu siedzieli i liczyli własne oddechy. Pomyślała o swoim ojcu, tłukącym się po domu przy Lye Street i rozprawiającym o dzikich obszarach na północ od Deepgate, o całym złocie, którego nigdy nie znalazł, i o ołowiu, który zdobył. Był dużym mężczyzną, jak Hasp, i przez całe swoje życie ani razu nie widziała, żeby się poddał.

Powędrowała wzrokiem po pięknych meblach widocznych po drugiej stronie szklanego sufitu, po misternych złotych zawijaszach na nogach stołu, ciemnoniebieskim wazonie, liściach wyrżniętych na lustrze. Piękne, ale zimne. Nie umiała się cieszyć takimi przedmiotami. Zdawało się jej, że słyszy cichą muzykę zagłuszaną przez ciągły loskot pociągu. Wyteżyła wzrok, próbując dojrzeć gwiazdy przez dach wagonu. Hasp pewnie kiedyś był na jednej z tych gwiazd. Ulcis i Rys też. Niestety, z powodu blasku stu eterowych lamp nie mogła dojrzeć stąd nieba. Czy to nie zabawne, że najbardziej ulotne rzeczy potrafią przyćmić te wieczne?

Przysunęła się do anioła i zaczęła stukać ołówkiem w jego naramiennik, starając się dostosować do tętna jego krwi płynącej w szklanych żyłach. Hasp syknął przez zęby, a potem zgarbił się nad rysunkiem, próbując ją ignorować. Ale czyżby jego serce przyspieszyło? Mina uznała, że tak.

--Proszę -- szepnęła. -- Nie pożałujesz. -- No cóż, warto by się nad tym zastanowić. Czy Hasp nadal mógł...?

--Odejdź od niego! -- dobiegł z tyłu czyjś głos. Mina odwróciła się i zobaczyła kobietę inżyniera otwierającą drzwi ładowni. Za nią przez całą długość wagonu biegł mroczny korytarz. Przez jego zewnętrzne ściany Mina dostrzegła ciemny ceglany mur uciekający w dal.

--To nie jest zwierzę, żeby je poszturchiwać -- dodała Harper i zaczerpnęła haust mgły z gumowej gruszki. -- Poza tym jest niebezpieczny. Carrick nie powinien umieszczać go tutaj razem z wami.

--Wcale nie jest niebezpieczny. -- Mina położyła dłoń na ramieniu anioła; jego zbroja była zaskakująco gorąca. -- Jesteś?

--Zostaw... -- Hasp strącił jej rękę. -- Ostrzegalem cię...

Harper weszła do ładowni i zwróciła się do archonta:

--Potrzebują cię na górze. Weź ze sobą broń. Chodźmy.

Bóg zadrżał, krew zaczęła żywiej płynąć w jego szklanej zbroi, oczy pociemniały. Sięgnął po miecz.

--Dziwne -- mruknął, patrząc na broń z wyrazem konsternacji i obrzydzenia na twarzy, jakby właśnie wziął do ręki węża wodnego. -- Dziwne, ale rozpoznaję twój głos. Menoa zmienił twoją postać, odkąd się ostatnio spotkaliśmy.

Metafizyczka skinęła głową.

--Alice Harper.

--Byłaś wężem?

Harper przyglądała mu się przez chwilę, a potem powiedziała:

--Rozkazuję ci rzucić broń.

Hasp natychmiast jej posłuchał. Miecz z trzaskiem upadł na szklaną podłogę. Niewolnicy wzdrygnęli się na ten dźwięk, tylko Mina zachowała spokój, obserwując uważnie całą scenę.

Archont się skrzywił.

--Widzę, że nic się nie zmieniło.

--Pasożyt w twojej głowie będzie posłuszny wszystkim sługom Menoi -- wyjaśniła Harper.

-- Nawet najślabszy z nich może ci powiedzieć, żebyś zabił siebie... albo swoją kobietę, a ty musisz bez wahania spełnić rozkaz.

Hasp zerknął na Minę, ale się nie odezwał.

--Jeśli spróbujesz stawiać mu opór, on w końcu cię zabije -- dokończyła Harper.

Potężne ramiona boga zgarbiły się pod dwoma tuzinami nakładających się na siebie płytek ze szkła, rurki się zgięły, przewody w szyi napały na przezroczysty kołnierzyk.

--Przed tym czy po tym, jak dotrzemy do Coreollis? -- zapytał.

Inżynier odwróciła wzrok.

--Jest niespokojny, bo został zabrany z Piekła. To dlatego sprawia ci tyle bólu. Mogę go powstrzymać.

--Dzięki.

--Pójdiesz na górę ze mną?

Hasp parsknął śmiechem.

--Musisz mi to rozkazać.

Harper ukucnęła obok niego, pogrzebała przy swoim pasie z narzędziami i wyjęła z niego wąskie srebrne urządzenie wielkości ołówka. Gdy je włączyła, zaszumiało, a potem wydało wysoki zawodzący dźwięk.

--Pochyl się -- poleciała metafizyczka.

Gdy Hasp jej posłuchał, włożyła instrument do wąskiego otworu w tyle jego czaszki.

--Powiedz mi, jeśli cię zabolę albo jeśli zakręci ci się w głowie. -- Zaczepnęła mgły z butli i delikatnie dmuchnęła na urządzenie. -- Możesz na chwilę stracić orientację, zobaczyć jasne kolorowe błyski na skraju pola widzenia, usłyszeć niezwykle dźwięki albo poczuć dziwne zapachy. Jeśli stwierdzisz, że zaraz zemdlejesz, natychmiast mnie uprzedź.

Bóg nagle syknął i obnażył zęby..

--Zabierz... to z mojego umysłu!

Harper wyjęła urządzenie z jego czaszki i wstała.

--Zrobione -- oznajmiła. -- Demon jest teraz spokojniejszy. Ale musisz przestać stawiać mu opór.

--Stawiać mu opór? -- Hasp przycisnął pięść do napierśnika w miejscu, gdzie krew wypływała z serca i rozchodziła się karmazynowa siecią po całym torsie. Wziął kilka głębokich wdechów -- Jeśli nie będę mu się opierał, i tak umrę. Kiedy Rys się dowie, że jego własny brat stał się narzędziem, bronią, która może być użyta przez każdego z jego wrogów... -- Potrząsnął głową. -- Powiedz mi, Alice Harper, co ty byś zrobiła na moim miejscu?

Inżynier spojrzała na niego z wyrazem twarzy, który mógł być litością. Wzruszyła ramionami.

--Zaprzyjaźniłabym się z mesmerystami.

Chrząknięcie Haspa zabrzmiało niemal jak śmiech. Bóg sięgnął po miecz i wstał.

--Domyślam się, że chcesz, żebym kogoś zabił.

Mina Greene próbowała go śledzić z ładowni, kiedy szedł korytarzem i dalej w górę po schodach do salonki, ale wkrótce straciła go z oczu pośród błysków i lśnień szklanego pociągu. Spojrzała na rysunki Haspa, rozrzucone po podłodze razem z kawałkami złamanego ołówka. Zebrała kartki i zaczęła je przeglądać.

Każdy rysunek był inny, ale powtarzał się na nich ten sam motyw: kamienne twierdze i wieże wszelkich kształtów i rozmiarów, okrągłe, kwadratowe, wysokie lub przysadziste; każda miała blanki, wieżyczki, wąskie okna, grube żelazne kraty, głębokie fosy i mosty zwodzone. Mina cisnęła szkice z powrotem na podłogę. Okazały się nudne. Hasp rysował tylko zamki.

ROZDZIAŁ 22

KWIAT

Gdy Hasp wkroczył do wagonu muzycznego, w sam środek zimnych spojrzeń, ludzie umilkli. Jego zbroja szczekała, wypełnione krwią płytki ocierały się o siebie, odbijały światło zyrandoli i lamp do czytania, tworząc miraż tęcz. Odkąd Menoa uwięził go w tym stroju, Hasp nauczył się ignorować fizyczny dyskomfort: jego ciało stwardniało i już nie reagowało ciągłymi podrażnieniami. Ale musiał jeszcze przyzwyczać się do dojmującego wrażenia kruchości i bezbronności.

Nienawidził mesmerystów za to uczucie i nienawidził tych, którzy im pomagali. Gdyby nie obecność pasożyta, z radością zamordowałby każdego z tych wstrętnych łotrów. Oczywiście oni zdawali sobie z tego sprawę. Widział to po ich zarumienionych twarzach, po śmiesznej, udawanej swobodzie, po sposobie, w jaki bawili się biżuterią, perłowymi duszami albo bronią. Byli przerażeni, rozbawieni, podekscytowani. Krew otaczająca siecią serce boga wrzała w szklanym więzieniu.

Ci ludzie sprzedali swoje dusze za władzę.

Wszystkich pięciu mężczyzn było uzbrojonych: dwaj w kryształowe mesmeryckie kordy, pozostali trzej, w tym główny oficer łącznikowy króla Menoi, w szybkozmienną broń podobną do miecza Haspa. Kobiety zbiły się za nimi w milczącą kolorową gromadkę. Wachlarze chłodziły; upudrowane dekolty ozdobione klejnotami.

Wystarczyłoby złapać...

Za uszami archonta rozległo się wściekle buczenie, jego czaszkę przeszyły szpikulce agonii. Demon Menoi wyczuł gniew swojego gospodarza. Lewa powieka boga zadrgała konwulsyjnie, pięść zamknęła się na rękojeści, oczy przesłoniła gorąca mgła. Hasp zobaczył przez nią, że kobiety cofają się i przywierają do swoich odbić w ścianach wagonu muzycznego. Harper podeszła do niego z czołem zmarszczonym z niepokoju.

Główny oficer łącznikowy Carrick ścisnął szybkozmienny miecz jak człowiek, który chce pokazać ludziom, że potrafi nim władać. Ale Hasp jeszcze nigdy nie spotkał człowieka, który miałby prawdziwy talent do posługiwania się tą bronią. W Piekło trzeba było dużo czasu, żeby zdobyć niezbędne umiejętności.

Carrick uniósł brodę i zwilżył wargi.

--Hasp, uklęknij -- rozkazał.

Archont próbował ze sobą walczyć, wezwał na pomoc całą siłę woli, szamotał się jak człowiek uwięziony pod kamienną lawiną...i stwierdził, że klęczy na podłodze.

--Widzicie? -- Carrick wykonał teatralny gest, zwracając się do obecnych. -- Jesteście całkowicie bezpieczni. Pasożyt Menoi jest nie do pokonania.

--Nie wygląda mi na szczególnie groźnego -- odezwał się przystojny mężczyzna w ciemnym garniturze. -- Na litość boską, ma na sobie skórę niewolnika. Wystarczy jeden cios mieczem, żeby ją roztrzaskać.

--To prawda, panie Lovich, ale król w swojej łaskawości wystawił go na targu w Highcliffe. Ani jeden z rezerwistów, którzy z nim walczyli, nie przeżył pojedynku. Archont wykazał się godną podziwu umiejętnością walki szybkozmienną bronią.

--Głupi pomysł -- orzekł starszy, potężnie zbudowany mężczyzna z białymi wąsami. --

Dotrzemy do portalu za parę minut. Wsadźmy to monstrum z powrotem do klatki i niech Menoa zadecyduje, co zrobić z intruzem.

Hasp odnalazł w sobie siłę i dźwignął się z kolan, zaciskając pięść na rękojeści miecza. Obnażył zęby, patrząc na Carricka.

--Spróbuj tego jeszcze raz, a oderwę ci głowę, sięgnę do gardła, wyciągnę wnętrzności i wsadzę je do twojej pustej czaszki.

Oficer łącznikowy zatoczył się do tyłu, macając przy boku w poszukiwaniu pistoletu.

--Odsuń się! -- krzyknął. -- To rozkaz, rozkaz!

Hasp znieruchomiał, warcząc. Poczul zęby demona wgrzyzające się w jego mózg. Przeszył go piekący ból, usta wypełnił smak miedzi. Wąsacz zmarszczył czoło.

--Zdaje się, że nasz archont stawia opór implantowanej osobowości, a ja podejrzewam, że kłęb dymu, który właśnie wydostał się z mechanizmu w jego głowie, nie był efektem zamierzonym przez inżynierów. Niech pan go zabierze z powrotem do ładowni, szefie, zanim całkiem straci pan nad nim kontrolę. Nie mam ochoty skrzyżować miecza z rozgniewanym bogiem.. -- lekko skłonił głowę --...w obecności tyłu dam.

Hasp przyjrzał się starcowi. Ten człowiek ani razu nie spojrzał na Carricka w czasie swojej krótkiej przemowy. Był posunięty w latach i zażywny, ale stał lekko na piętach, trzymając ręce na biodrach. U jego pasa wisiał dobrej jakości rapier w pochwie z białej skóry. Bóg nie miał wątpliwości, że ten człowiek wie, jak się nim posługiwać.

--On nie może zrobić nam krzywdy -- wymamrotał Carrick. -- Nie może. Pasożyt wie, że służymy jego panu.

Hasp zauważył z przyjemnością i pogardą, że broń głównego oficera łącznikowego przybrała taki sam kolor jak jego garnitur. Stalowa klinga zmiękla na brzegach. Pod władzą Carricka zmiennokształtny demon nie był w stanie nawet zachować formy miecza.

--Bardzo dobrze -- powiedział Jones. -- Ale skończmy już z tym popisem siły i zajmijmy się najważniejszym. Zaczyna nam brakować czasu.

--Mieliśmy manifestację -- wyjaśnił Carrick, zwracając się do anioła. -- Chcemy, żebyś zabił demona.

--Sam go zabij -- odparował Hasp.

Carrick musnął rękojeść broni, najwyraźniej jeszcze nieświadomy jej stanu. Jelec topił się jak masło na słońcu.

--Jako główny oficer łącznikowy między Pandemiańską Spółką Kolejową a Piekłem, rozkazuję ci odnaleźć intruza i zniszczyć go -- rozkazał oficjalnym tonem.

Hasp wzdrygnął się mimo woli. Jak to możliwe, żeby słowa sprawiały tyle bólu? Każda sylaba była niczym kropla kwasu w jego czaszce. Zanim anioł zorientował się, co robi, ruszył w stronę czoła pociągu, ściskając dłońmi głowę. W pewnym momencie niejasno uświadomił sobie, że Harper idzie za nim.

--Nie walcz z tym, Hasp -- wyszeptała metafizyczka. -- Posłuchaj go, proszę.

Ale kiedy dotarli do części osobowej, otworzyły się drzwi i wszedł przez nie mały chłopiec. Ciągnął za sobą torbę podróżną, z której wystawał lepek szczeniaka zamkniętego w środku.

--Z drogi, synu -- rzucił ostro Hasp.

Grubasek stanął jak wryty i wlepił oczy w archonta. Uwięziony psiak warknął i zaczął się miotać w torbie.

--Zawsze chciałem zobaczyć anioła -- powiedział malec. -- Ciocia Edith, obiecała, że będę mógł popatrzeć, jak zabija demona.

Hasp zatrzymał się, nadal oszołomiony, i spojrział z góry na małego zawalidrogę.

--Chcesz zobaczyć, jak zabijam? Więc każ mi to zrobić. Wszyscy w tym pociągu jesteście przeklętymi sługami Menoi.

Chłopiec się rozpromienił.

--Zrób to! -- wykrzyknął. -- Natychmiast coś zabij.

--Wedle życzenia -- odparł Hasp i z całej siły kopnął psa.

Gdyby zwierzę było zrobione z twardszego materiału niż ciało i kości albo gdyby torba nie była z płótna, jego trup roztrzaskałby szklane drzwi w drugim końcu korytarza. Zamiast tego szczątki stworzenia i strzępy haftowanej tkaniny trafiły z wilgotnym plaśnięciem w boczną ścianę i zostawiły na niej czerwone rozbryzgi.

Chłopiec krzyknął przeraźliwie.

Hasp odepchnął go i pomaszerował dalej. Jego przezroczysta zbroja migotała tęczowo.

Harper stała bez ruchu. Nie mogła uwierzyć w to, czego przed chwilą była świadkiem. W jednej chwili cały korytarz eleganckiego wagonu osobowego zmienił się w rzeźnię. Posoka zaplamiała wszystko: lampy, ściany, podłogę. Gdzieś za nią krzyczało dziecko, mężczyźni wrzeszczeli, kobiety piszczwały. Hasp pędził przed siebie jak zjawą z koszmarnego snu, demon ze szkła, twór szalonego chirurga.

Metafizyczka odruchowo zamknęła za sobą drzwi, żeby zasłonić scenę jadu przed pasażerami zgromadzonymi w sąsiednim wagonie. Niestety, one również były przezroczyste, tak jak ściany i sufit. Harper pobiegła za aniołem, chwyciła go za ramię i próbowała zatrzymać.

--Zaczekaj.

Hasp uwolnił się od niej szarpnięciem.

--Dlaczego to zrobiłeś? -- spytała metafizyczka. -- Jaki miałeś powód, żeby zabić to biedne zwierzę? -- Nagle zakręciło się jej w głowie, więc pociągnęła łyk mgły z budi.

--Nie mogłem się oprzeć -- odburknął Hasp.

Otworzył drzwi w drugim końcu korytarza i wszedł do następnego wagonu osobowego.

Harper pospieszyła za nim.

--Naciskałeś tego chłopca, żeby wydał ci rozkaz.

--Naprawdę?

--Musiałeś wiedzieć, co się stanie. Musiałeś...

--Nie! -- Odwrócił się do niej gwałtownie. Jego oczy były czarne z wściekłości. -- Nie wiedziałem. Kazano mi zabić, więc jeśli nie szczeniaka, to któregoś z was. Nie rozumiesz, co zrobił Menoa w swojej arogancji? Zamienił mnie w broń i teraz każdy z jego sług może się nią posłużyć w dowolny sposób. Naprawdę nie masz żadnych wrogów, których chciałabyś zobaczyć martwych? Zadaj to pytanie innym, a przekonasz się, jaka to niebezpieczna sytuacja. -- Dotknął napierśnika. -- Ta zbroja czyni mnie bezbronny. Rozkaż mi uderzyć się we własną pierś, a posłucham uszczęśliwiony. Każ mi zabić człowieka, lepiej niech będzie cholernie szybki, żeby zejść mi z drogi. Stałem się cennym narzędziem. Sądzisz, że tamci dranie żądni władzy również o tym nie myślą w tej chwili?

Harper zrozumiała. Hasp stanowił zagrożenie dla każdego mężczyzny, kobiety i dziecka w

tym świecie. Wystarczyło szepnąć mu do ucha jedno słowo.

--A co z tobą, Alice Harper? -- Archont uśmiechnął się drapieźnie. -- Kto cię skrzywdził?

Metafizyczka odruchowo sięgnęła do perły ukrytej pod bluzką i zaraz opuściła rękę. Czula pusty koralik na szybko bijącym sercu. Czy Hasp zauważył jej gest?

Bóg po prostu się odwrócił i pomaszerował dalej niczym jakiś upiorny automat, podczas gdy mechanizm umieszczony z tyłu jego głowy buczał, zgrzytał i zostawiał za sobą smugę dymu. Czubek miecza rysował podłogę wagonu.

--Pasożyt, którego Menoa umieścił w mojej głowie, to kapryśna istota -- rzucił Hasp przez ramię. -- Bardzo kapryśna.

Otworzył drzwi w końcu korytarza i popędził przez następny wagon. Nikt nie powiedział mu, gdzie ma polować na demona, ale on najwyraźniej postanowił zacząć jak najdalej od pasażerów.

Noc na zewnątrz cuchnęła rdzewiejącym żelastwem i zaschniętą krwią. Gwiazdy rywalizowały ze strumieniami isker buchających z komina lokomotywy. Eterowe lampy oświetlały nasyp przed pociągiem, rozległe obszary czarnego błota i zrujnowane domy, które były wszystkim, co zostało z Knuckletown. Na południu Harper widziała cień lasu Sill na tle ciemnopurpurowego nieba. Stała z Haspem na wąskich stopniach tendera, atakowana przez wiatr i hałas: zgrzytanie łopat palaczy wrzucających węgiel do paleniska, loskot kół *Eleanor*, pobrękiwanie rozjarzonych wagonów, które wyglądały jak rząd przezroczystych szkatulek na biżuterię.

Harper wycelowała lokalizator wzdłuż pociągu i zwiększyła zakres częstotliwości. Nie wiedziała dokładnie, czego szuka. Co gorsza, urządzenie również tego nie wiedziało. Uwięziona w nim dusza wydawała się podniecona -- wskazówka gwałtownie oscylowała między ideogramami -- aż Harper szeptem nakazała jej się uspokoić. Wtedy igła znieruchomiała.

--Nic! -- zawołała metafizyczka do Haspa, przekrzykując huk lokomotywy. -- Będziemy musieli zbliżyć się do źródła albo liczyć na szczęście. Wątpię, czy uda mi się odczytać wskazania, dopóki nie trafimy prosto na intruza.

Hasp wpatrywał się w ciemny krajobraz uciekający do tyłu.

--Obiecaj mi coś -- poprosił.

--Co?

--Nie pozwól tej dziewczynie z ładowni zostać mesmerystką.

--Sądzę, że to mało prawdopodobne. Wracajmy. Bądź gotowy.

--Czy to rozkaz? -- zapytał sucho archont.

--Jak wolisz -- odparła Harper.

Ruszyli z powrotem przez wagony służbowe. Palacze, inżynierowie od ciśnienia i maszynista nocnej zmiany jeszcze spali na pryczach po obu stronach przejścia, chrapiąc donośnie. Harper przesunęła nad nimi lokalizatorem, ale niczego niezwykłego nie zarejestrowała. Dwaj stewardzi i kucharz grali w karty przy niskim stoliku w drugim wagonie dla personelu. Metafizyczka nie zatrzymała się, tylko skinęła im głową na powitanie.

W prywatnej kwaterze głównego oficera łącznikowego ściana z matowego szkła oddzielała jego apartament od korytarza mierzącego sześćdziesiąt stóp długości. Harper wśliznęła się do pokoju, który dzieliła z Carrickiem.

Hasp szedł tuż za nią.

Apartament był urządzony z przepychem. Zewnętrzną ścianę zasłaniały draperie koloru wina wykończone złotymi frędzlami. W głębi pomieszczenia stała wysoka elloneska szafa i komoda z lustrem, z uchwytyami z kości słoniowej w kształcie łap. Na półkach była wystawiona kolekcja ozdobnych złotych pozytywek, które Carrick przyniósł z domu w Highcliffe. Harper dobrze znała każdą z melodii.

Najpierw sprawdziła lokalizatorem ściany, a na końcu łoże: szerokie, z wysokimi bokami, pościelą z czerwonego jedwabiu i złotymi poduszkami. O jej pozycji w Piekło decydował sukces albo porażka poszczególnych zadań. Teraz jej miejsce w hierarchii Pandemiańskiej Spółki Kolejowej można było określić na podstawie jakości pościeli, w której spała każdej nocy.

„Mógłbym ci kupić dom w mieście, prywatną posiadłość”.

Dlaczego Carrick tak usilnie zabiegał o jej względy, odkąd wróciła z Piekła? Kiedy żyła, nigdy nie okazywał jej podobnego zainteresowania.

Zaczerpnęła z butli haust życiodajnego powietrza, myśląc o łóżku, które kiedyś dzieliła z Tomem.

Hasp oparł się na mieczu i z niesmakiem na twarzy rozglądał się po pokoju. Harper uśmiechnęła się mimo woli, gdy zauważyła, że ostry czubek szybkozmiennnej broni wbija się w gronostajowy dywan głównego oficera łącznikowego. Carrick pewnie dostanie apopleksji, kiedy zobaczy ślad.

--Mam jakiś odczyt -- powiedziała. -- Słabe, szczątkowe echo.

Anioł pociągnął nosem i zmarszczył czoło.

--Ten pokój cuchnie zgnilizną. Twój demon tutaj był.

Wziął do ręki jedną z pozytywek Carricka i zaczął ją oglądać. Harper nic nie wyczuła.

--Nie sądzę, żeby to był demon -- stwierdziła. -- Mój lokalizator go nie wykrywa.

--To demon -- rzekł z przekonaniem Hasp. -- Tylko że twoje urządzenie jeszcze się z takim nie zetknęło. Myślisz, że widziałas już wszystko, co jest do zobaczenia na tym świecie? Stare i potężne istoty czają się w miejscach, o których nie mają pojęcia sami mesmeryści. Ale te istoty pozostają w ukryciu z pewnego powodu. Wiesz, jakiego?

Metafizyczka pokręciła głową.

--Bo nie ma tu dla nich nic ciekawego. One nie szukają władzy i nie potrzebują zakradać się na ten świat jak bezpańskie psy, żeby chleptać rozlaną krew.

--Więc dlaczego ten się pojawił?

--Skąd mam wiedzieć? -- Hasp posłał jej niewesoły uśmiech. -- Twoje mesmeryckie zabawki go nie wypłoszą. Nie dasz rady zniszczyć go Krzykaczem, ostrzegam cię. Ten intruz to wojownik.

--Jak ty?

Uśmiech zniknął z twarzy archonta, jego oczy pociemniały, mechanizm na tyle czaszki zatrzeszczał cicho. Pozytywka wysunęła mu się z ręki, z brzękiem upadła na podłogę i zaczęła wygrywać swoją melodyjkę. Hasp patrzył na nią przez chwilę, a potem zgniótł ją szklaną piętą.

--Ostrożnie -- powiedziała Harper. -- Twoja zbroja jest bardziej krucha, niż sądzisz.

Hasp kopnął na bok połamane części.

Metafizyczka spojrzała pustym wzrokiem na zniszczony instrument, myśląc intensywnie. Zanim potop Rysa zatopił Pandemerię, wszystkie znane demony i upiory nawiedzały tylko

mroczne miejsca za Zaslona czarne miasto Moine, Dziewiątą Iglicę na Wyspie Cog, starą stację wielorybniczą w Nigel's Folly. Miejsca, gdzie toczono bitwy i gdzie ginęli ludzie, przyciągały zjawy jak gnijące mięso roje much. Mesmeryści od dawna wiedzieli, że bramy do Labiryntu otwiera tylko krew umarłych. Ale co sprawiło, że tak potężna istota pojawiła się akurat tutaj? Skoro nie zależało jej na krwi...

--Ktoś go wezwał?

Uśmiech Haspa był niemal ciepły.

--Bystra dziewczyna, nareszcie zaczynasz rozumieć. Masz na pokładzie sabotażystę. Ktoś lub coś nie chce, żebyśmy żywi dotarli do Coreollis.

--Ale kto by zyskał na zerwaniu traktatu pokojowego?

--Ci, którzy nie mają przyszłości do stracenia.

Harper nawiedziła wizja Toma jako jednego z wielu marynarzy wsiadających na pokład łodzi, która miała ich zawieźć na Karlsbada, ostatni wielki niszczyciel odpływający do Larnaig, skonstruowany przez Menoę z duszy jednego archonta. Zaslona mesmerystów spowijała zatopione miasto, które kiedyś było ich domem. Tłumy gapiów tłoczyły się na pontonach i prowizorycznych nabrzeżach zbudowanych wokół wciąż kurczących się wysepek Higchliffe. Czerwone wody pluskały o pale pod nogami Harper. Metafizyczka patrzyła na iglicę katedry Cog, jedyną część wielkiej budowli, która wystawała ponad rozlewisko. Były dzwony, bo komuś udało się je uruchomić. Tom ze śmiechem pomachał do niej z pokładu i zawołał, przekrzykując hałas: „Jeśli umrę, poproś Menoę, żeby pozwolił wrócić mojemu duchowi. Nie chcę spędzić wieczności w Piekło z tymi gamoniami. Dobrze, że nie słyszysz ich żartów”.

Kiedy łódź odpływała, Harper odkrzyknęła do Toma: „Myślisz, że do końca życia będę oszczędzać na perłę?”. I zaśmiała się razem z nim. „Nie waź dać się zabić. Nie stać nas na to”.

Wtedy po raz ostatni widziała swojego męża. I mimo obietnic króla Menoi perła na jej sercu pozostawała pusta.

Patrząc na części pozytywki rozrzucone po dywanie, Harper nagle uświadomiła sobie, że Jan będzie wściekły z powodu utraty tak cennej zabawki. I poczuła ochotę, żeby zmieść z półek resztę kolekcji. Ale potrzebowała pomocy Carricka. Musiała być twarda.

Sabotażysta na pokładzie pociągu?

--Potrafisz zabić tego demona? -- spytała.

--Może. Ale wolalbym nie otrzymać takiego rozkazu.

--Dobrze. -- Harper na chwilę zamknęła oczy i wzięła kilka głębokich oddechów, skupiając się na tym, co musiała zrobić. -- Tylko, proszę, nie zabijaj więcej psów.

--A są jeszcze jakieś w pociągu?

--Nie.

--Więc nie powinno być problemu.

--Ruszajmy -- powiedziała Harper, unosząc lokalizator.

Nazwa „wagon obserwacyjny” była lekkim nieporozumieniem, przynajmniej w nocy, bo szklany pojazd iskrzył się miriadami światełek jak mesmerycki kryształ, całkiem przyćmiewając ciemny krajobraz za oknami. Eterowe lampy tworzyły mrugające konstelacje na licznych fasetach, spiralne schody z przezroczystych kompozytowych trójkątów prowadziły

do kopuły obserwacyjnej i na otwarty taras, po którym pasażerowie mogli spacerować i wdychać świeże powietrze, jeśli pogoda na to pozwalała.

Czerwone pluszowe krzesła otaczały stoliki do kawy, na których ustawiono wazony z różowymi i białymi różami. Ale nawet ciężki aromat kwiatów nie mógł całkiem zabić woni środków antyseptycznych używany przez Koleje Pandemiańskie.

Drgnięcie wskazówki lokalizatora sprawiło, że Harper się zatrzyma i nastawiła przyrząd w taki sposób, że wysłał dwa impulsy w przeciwne strony. Następnie zmieniła pozycję i powtórzyła procedurę. Igła skakała między oboma końcami skali.

--Urządzenie nadal wariuje -- wyszeptwała. -- Ale coś odczytuję... Miejscowe zakłócenie. Intruz może się tu ukrywać.

--Cuchnie, jakby tutaj był -- stwierdził Hasp, opierając się ze znudzona miną na mieczu.

Harper przeszła w inne miejsce, nie odrywając wzroku od instrumentu. Wreszcie zatrzymała się przy schodach i wyjęła Krzykacza z pasa narzędzia. Delikatna ażurowa kula zaszumiała w jej ręce, mesmerycki kryształ wyczuły bliskość nieokiełznanej energii duchowej. Harper włączyła zegar, przekręcając dwie półkule urządzenia w przeciwne strony.

--Osiem sekund -- powiedziała.

Hasp wzruszył ramionami.

--Sześć sekund. -- Metafizyczka rzuciła spojrzenie na lokalizator. -- Bez zmian.

Jeśli tutaj jest, powinien się zmanifestować, kiedy uruchomiła Krzykacza.

W tym momencie otworzyły się drzwi wagonu i stanął w nich Carrick.

--Harper, na litość boską, przeszukałem cały cholerny pociąg. Zbliżyliśmy się do stacji. Goście są wściekli. Ten drań zakuty w szło -- wskazał ręką na Haspa -- zabił psa siostrzeńca jednej z pasażerek. Chcą wytoczyć proces, jak tylko wymyślą, kogo pozwać. I jeszcze ten bałagan... -- Umilkł kiedy się zorientował, że Harper jest całkowicie skupiona na urządzeniu trzymanym w ręce. -- Co ty, do diabła, wyprawiasz? Co tam masz? Jeszcze nie złapałeś demona?

--Już prawie -- odparła Harper.

--Prawie to nie dość -- skwitował Carrick. -- Myślisz, że kolej płaci za to, żebyś prawie wykonywała swoje obowiązki? Lepiej znajdź tego cholernego upiora natychmiast, bo inaczej będziesz skończona.

--Dwie sekundy.

Carrick poczerwieniał na twarzy.

--Nie dwie sekundy, tylko natychmiast!

--Skoro tak mówisz.

Krzykacz wrzasnął. Wnętrze wagonu obserwacyjnego zapłonęło karmazynowym blaskiem, kiedy między szklanymi ścianami przeleciały z trzaskiem wściekle błyski piekielnego światła. W środku gwałtownie wzrosło ciśnienie, powietrze zgęstniało, wypełniła je woń ziemi i odór zgnilizny. Ażurowa kula rozjarzyła się do białości. Harper skrzywiła się i wypuściła ją z ręki. Carrick, zasłaniając oczy, zatoczył się do tyłu i potknął o stolik do herbaty. Hasp uniósł miecz. Metafizyczka cofnęła się, krztusząc od smrodu. Pętla labiryntowego światła wirowały i pulsowały przez chwilę, potem skurczyły się, tworząc czerwony węzeł, aż w końcu zgasły z odgłosem wystrzału.

Na ich miejscu pojawił się intruz.

Niższy od Haspa, ale dwa razy od niego masywniejszy osobnik trzymał w ręce kamienny młot, którym można by zrównać z ziemią górę. Demon wyglądał na pęcherzowca, tyle że dużo większego niż normalnie. Każdy skrawek jego nagiego ciała pokrywały szare torbiele, które nadymały się i kurczyły jak płuca. Stwór oddychał z głośnym świstem, ale Harper nie potrafiła dostrzec na jego twarzy ust ani nosa. Widziała tylko oczy jak szparki. Potężne mięśnie ramion lśniły i parowały czerwonymi płynami po wymuszonej manifestacji.

--Czuję ból -- przemówił demon, zwracając się do Haspa. -- Dlaczego mi to zrobiłeś, aniele?

--To nie ja, żołnierzu -- odparł archont. -- Nic do ciebie nie mam. -- Jego oczy zbladły, przybierając odcień smutnej szarości. -- Stałeś się ofiarą zegarowego zaklęcia. Techniki, jak to nazywają ci ludzie.

Upiór przekrzywił głowę, jakby się zastanawiał nad nieznanym słowem. Pęcherze na jego czaszce nadymały się z cichym sykiem.

--Nazywam się Kwiat -- powiedział w końcu. -- Jestem uwięziony w tym miejscu. Słyszałem hałasy. To nie jest Wojenny Las.

--Znajdujesz się na pokładzie lokomotywy parowej jadącej do Coreollis -- wyjaśnił Hasp. -- W kraju zwanym Pandemerią.

--Te nazwy są mi nieznane. Co to jest lokomotywa parowa?

--Wehikuł napędzany przez spalanie w piecu starych ziemskich duchów.

Demon pokiwał głową.

--Strzeż się, żołnierzu. -- Hasp skinieniem głowy wskazał na Harper i Carricka. -- Ci ludzie rozkażą mi cię zabić, a ja będę musiał ich posłuchać. Jeśli zginiesz w tym świecie, twoja dusza pójdzie do Piekła.

Kwiat skierował maleńkie oczy na Harper.

--Nie chcę, żeby tak się stało. Odeślij mnie do domu.

--Nie mogę -- powiedziała metafizyczka. -- Najpierw zdradź nam imię tego, który cię wezwał.

--Nie znam go.

W tym momencie Carrick, który z bezkrwistą twarzą wycofał się w drugi koniec wagonu, zdołał wydobyć z siebie głos.

--Pozbądź się go, Harper.

--Zaczekaj. Musimy się dowiedzieć, kto go tu sprowadził.

--Co ty bredzisz? -- rozzłościł się Carrick. -- Przecież ty go tutaj sprowadziłaś.

--Nic podobnego -- obruszyła się metafizyczka. Dlaczego główny inżynier nie rozumiał najbardziej podstawowych pojęć ze swojej dziedziny? -- Wyciągnęłam go z kryjówki, zmusiłam do zmanifestowania się. Nie wezwałam go. On już był na pokładzie pociągu.

--W takim razie odeślij go z powrotem do Piekła, zanim pasażerowie zorientują się w sytuacji.

--On nie jest z Piekła! Nie wiemy...

--Nic mnie to nie obchodzi! -- ryknął Carrick. -- Chcę się go stąd pozbyć. Natychmiast! Jest niebezpieczny. -- Odwrócił się do Haspa. -- Zabij go.

Anioł drgnął. Jego szklana zbroja rozbłysła odbitym światłem eterowym, oczy nagle pociemniały, z szyi dobiegło cykanie zegara. Hasp stęknął z bólu, uniósł miecz i zrobił krok do

przodu.

--Zaczekaj -- powstrzymała go Harper. -- Rozkazuję ci zostawić go w spokoju.

Archont się zawahał, miecz zadrżał w jego dłoni.

--Zabij go! -- warknął Carrick. -- Natychmiast. To rozkaz.

Krew szybciej popłynęła przez napierśnik anioła. Pasożyt uwięziony w jego głowie zatrajkotał wściekle, a potem wrzasnął. Hasp syknął i zrobił następny krok do przodu. Jego oczy zmieniły kolor z czarnego na czerwony i znowu na czarny. Anioł zacisnął szczęki i uniósł miecz.

--Nie! -- krzyknęła Harper.

--Zabij go! -- rzucił Carrick przez zęby.

--Nie chcę tego -- odezwał się demon.

Archont zrobił zamach, ale Kwiat z łatwością odskoczył do tyłu i zatoczył nad głową wielkim kamiennym młotem.

--Przestań! -- zawołała Harper. -- To rozkaz.

Carrick przyciągnął ją do siebie i zamknął jej usta dłonią.

--Zabij go! -- wrzasnął.

Hasp ryknął z bólu. Zmienił miecz w ciężką kościaną maczugę i opuścił ją, celując w czaszkę przeciwnika. Demon sparował cios drzewcem młota. Twarda kość uderzyła w kamień z głośnym hukiem, który zabrzmiał jak detonacja. Połowa szyb w wagonie roztrzaskała się na kawałki. Jasne odłamki szkła posypały się w ciemność za oknami. Do środka wpadł z rykiem wiatr.

Demon zakręcił młotem, uderzył w maczugę anioła, pchnął ją w dół i przyszpilił do podłogi.

--Nie chcę tego -- powtórzył.

--O, bogowie! -- wykrztusił Hasp. -- Ja... nie...

Wolną ręką zdzielił stwora w twarz. Kwiat zatoczył się do tyłu, wpadł na krzesła i stolik herbaciany, rozbijając je w drzazgi. Z wazonu zostały same skorupy.

--Uważaj na meble! -- ryknął Carrick. Na twarzy miał obłąkańczy uśmiech, w jego oczach jarzyła się chciwość. -- Nie niszcz niczego więcej, archoncie, bo każę ci za to zapłacić. Będziesz cierpiał tak bardzo, że ta chwila wyda ci się miłym snem.

Harper próbowała uwolnić się z jego uścisku, ale Carrick był dla niej zbyt silny.

Hasp zacisnął powieki i gwałtownie wciągnął powietrze. Odnosił wrażenie, że jego krew żarzy się wewnątrz jego szklanej zbroi jak stopione żelazo. Potem znowu ruszył do ataku pośród wirujących wokół niego płatków róż.

Tymczasem Kwiat już wstał z podłogi. Pęcherze na jego twarzy pękły i teraz na brodę sphywała mu przezroczysta ciecz, ale poza tym nie wyglądał na rannego. Przykucnął i zakręcił nad sobą młotem, wbijając wzrok w zbliżającego się przeciwnika.

Harper próbowała złapać Haspa, kiedy ją mijał, ale nie dała rady zacisnąć palców na gładkim naramienniku. Zbroja była rozżarzona. W końcu metafizycznie udało się wyrwać.

--Hasp, rozkazuję...

Carrick uciszył ją ciosem w żołądek i znowu przyciągnął do siebie. Harper poczuła, że traci dech. Chciała sięgnąć do butli przy pasie, ale ręce miała przyciśnięte do boków.

Anioł szedł dalej.

Zamachnął się na przeciwnika, demon znowu odskoczył, zaskakująco szybko jak na swoją

masę. Zaatakował archonta młotem, ale Hasp odparował cios, zmieniając maczugę w tarczę. Kolejny huk wstrząsnął wagonem obserwacyjnym. Na obecnych posypał się deszcz szkła. Świst powietrza wpadającego przez wybite okna stał się ogłuszający.

--Nie chcę tego -- powiedział Kwiat.

--Uważaj na szyby! -- wrzasnął Carrick do Haspa. -- Rozkazuję ci nie rozbijać więcej tych cholernych okien!

Anioł jęknął i zatoczył się do tyłu, drapiąc pazurami własny kark. Z metalowo-kościanego mechanizmu wydobyły się smugi dymu. Pasożyt zawył jak dzika bestia. Hasp zamknął oczy.

--Ty... -- wymamrotał. -- Ja... nie...

--Wykończ go wreszcie! -- ryknął Carrick.

Archont nadal się zataczał, kiedy Kwiat ruszył do przodu i wymierzył cios w jego pierś. Bóg w ostatniej chwili uniósł tarczę. Młot trafił w nią ze straszliwym hukiem. Hasp się zachwiał, ale nie upadł.

Carrick odepchnął Harper na bok i warknął do Haspa:

--Zostaw tę cholerną broń i zabij go gołymi rękami!

Anioł rzucił tarczę, skoczył na demona, chwycił oburącz jego głowę i przyciągnął do swojej piersi. Kwiat próbował uderzyć go młotem, ale nie miał miejsca na zamach. Hasp pochylił się nad nim i ścisnął jego czaszkę w dłoniach jak w imadle.

Demon wycharczał:

--Ja... nie... chcę...

--Tak! -- krzyknął Carrick. -- Właśnie tak. Zgnieć ten czerep.

--Ja... nie...

--Mocniej!

--Nie, Jan, proszę! Na litość boską, nie zmuszaj go do tego. Każ mu przestać.

--Nie chcę...

--Mocniej!

--Hasp!

--Ja...

Gdy już było po wszystkim, Carrick rozkazał aniołowi sprzątnąć bałagan. Hasp posłuchał go bez słowa, ale jego oczy jeszcze przez długi czas pozostawały czarne.

Mina Greene się nudziła. Przyciskając nos do szklanej ściany, wypatrywała duchów w krwawej pustce na zewnątrz, ale szybko się tym znużyła. Potem zebrała szkice Haspa i wzięła się do ich upiększania. Dorysowywała ludzi w oknach, kwiaty i flagi na balustradach, aż pękł ostatni grafit w ołówku. W końcu zmięła wszystkie kartki i zaczęła rzucać papierowymi kulami we współtowarzyszy. Wszyscy jeńcy mieli szerokie ramiona mieszkańców północy, włosy koloru pszenicy i niebieskie oczy. Niegdyś silni i dumni żołnierze Coreollis, teraz siedzieli bez ruchu i prawie nie reagowali na jej zaczepki. Tylko jeden ze starszych mężczyzn burknął, żeby przestała go drażnić i zaczęła się zachowywać jak przystało ludzkiej istocie.

Teraz Mina go ignorowała, co nie było trudne, bo wyglądał strasznie: cały w bliznach, skulony pod kocem, tak że wystawały spod niego tylko poparzone ręce. Wyglądały, jakby upieczono je w piecu, a następnie powleczono szkłem. Nie zwracała uwagi również na pozostałych, ale tego traktowała ze szczególnym lekceważeniem.

A on miał czelność udawać ulgę.

Stalowe koła pociągu wystukiwały o szyny refren: Coreollis, Coreollis, Coreollis. Mina zastanawiała się, jak zareagowałby Rys na powrót wojowników, tak całkowicie przeobrażonych przez Menoę. Urządziłby pokazową egzekucję? Skazałby tych szklanych żołnierzy na drugą śmierć, karząc ich za to, że zginęli na polu bitwy?

Nagle włączyły się pompy w narożnikach ładowni i zaczęły nawiewać do środka drobną czerwoną mgłę. Żołnierze wdychali ją głęboko, ale Mina tylko zmarszczyła nos.

Jedna ze słabości mesmerystów.

Nie mogli długo przeżyć bez mocy czerpanej z krwawego powietrza, ziemi albo wody. I właśnie dlatego Rys nie odważyłby się zabić swojego brata Haspa. Krew prostego wojownika mogła na jakiś czas wystarczyć Ikaracie albo tropicielowi, ale boża była zbyt cenna, żeby ją przelewać.

Ożywieni piekielnym powietrzem żołnierze przeciągali się jak ludzie obudzeni z długiego snu.

--Pociąg zwalnia -- zauważył jeden z nich. -- Dojeżdżamy do jakiejś stacji.

--Larnaig? -- odezwał się inny. -- Widzisz Coreollis?

--Nie. -- Pierwszy wojownik wpatrywał się w ciemność przez ścianę wagonu. -- Jesteśmy nadal w Pandemerii. To jest Brama Cog.

--Więc odsyłają nas z powrotem do Piekła -- stwierdził jego towarzysz. -- Lord Rys musiał zmienić zdanie w sprawie wymiany.

--Niemożliwe. To tylko przystanek. Czerwony Król spotka się z ambasadorami.

--Zdradzieckie lotry.

Żołnierze podeszli do szklanej ściany, żeby zobaczyć, gdzie zatrzyma się pociąg. Mina słuchała loskotu lokomotywy, syku pary i dudnienia kół o szyny.

Pomyślała o swoim kolorowym wozie, który został daleko w Skażonym Lesie, i jej oczy napelniły się łzami. Zawstydzona odwróciła twarz do ściany i ujrzała swoje brudne odbicie. Z jej gardła wyrwał się szloch.

--Cicho bądź, dziewczyno -- odezwał się poparzony mężczyzna. -- Nic chcę słuchać twojego beczenia przez całą noc.

Ze swoimi czarnymi koślawymi rękami i zgarbionymi plecami przypominał raczej upiorną marionetkę niż człowieka. Budziłby w Minie litość, gdyby jego uśmiech nie był taki sardoniczny i okrutny.

--Nie waż się tak do mnie mówić! -- rzuciła gniewnym tonem. -- Nazywam się Mina Greene. Jestem starsza od ciebie.

--Nazywam się Mina Greene, nazywam się Mina Greene -- przedrzeźniał ją poparzony niewolnik. -- Nazywam się Mina Greene, nazywam się Mina Greene. -- Popatrzył na nią zmrużonymi oczami. -- A kim jest Mina Greene? Zdejmiemy z ciebie koc i zobaczymy?

Mina wzięła głęboki wdech, żeby nad sobą zapanować. Mężczyzna ruszył w jej stronę, pelznąąc po podłodze.

--Za parę dni i tak wszyscy będziemy znowu martwi -- powiedział. -- Dlaczego by nie zabawić się przed śmiercią?

--Lepiej się cofnij -- ostrzegła Mina. -- Jestem niebezpieczna. Znam czary.

--Tak?

Mina spojrziała na pozostałych niewolników, szukając u nich pomocy ale żaden nawet na nią nie spojrział.

--Trzymaj się ode mnie z daleka! -- krzyknęła. -- Będę wrzeszczeć.

Kaleka zaśmiał się szyderczo.

--I bardzo dobrze. -- Sięgnął do jej stopy. -- Od miesiący nie słyszałem krzyku kobiety.

Mina wymierzyła mu kopniaka. Szklane łuski pokrywające jej piętę zabrzęczały o dłoń.

--Ostrożnie -- syknął staruch.

--Następnym razem kopnę mocniej. Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

--To zła wiadomość dla jednego z nas. -- Ponownie się zbliżył.

Mina westchnęła.

--Próbowałam cię ostrzec. -- Wykonała szybki gest ręką, jakby rysowała w powietrzu węzeł. Potem ugryzła się w wargę, aż pokazała się krew.

Kaleka nagle zamarł i wytrzeszczył oczy. Na czoło wystąpiły mu krople potu, zaczął oddychać ze świstem.

--Co mi... zrobiłaś?

--Nic nie zrobiłam. Po prostu jesteś napalony. -- Te słowa zawsze wywoływały u niej uśmiech. -- Spójrz, do czego sam się doprowadziłeś.

Mężczyzna wykrztusił:

--Ja...

--Nie mogę... oddychać? -- dokończyła Mina, przedrzeźniając go.

Z rozgrzanych do czerwoności szklanych łusek uniosła się para, ale kaleka nie ruszał się z miejsca, jakby przyrósł do podłogi. Pozostali niewolnicy patrzyli na niego z niemym przerażeniem. Ładownię wypełnił swąd przypieczonej skóry.

--Mówiłam ci, że znam czary -- powiedziała Mina. -- Ten wcale nie jest najgorszy.

Zrobiła następny gest i kaleka runął przed nią na twarz. Buchał od niego żar.

Godzinę później ostygł na tyle, że Mina mogła go dotknąć. Zdjęła jedną płytkę z jego ramienia i ukryła ją pod swoim kocem. Następna zdobycz do kolekcji.

ROZDZIAŁ 23

ŻELAZNY ANIOŁ

Duma Eleanor Damask przybyła na stację o nazwie Brama Cog krótko po zapadnięciu nocy. Wokół wysokiej postaci w kapturze stojącej samotnie na peronie klębiła się para. W górze zapalily się z cichym trzaskiem eterowe lampy, oświecając napis, który ktoś nabazgrał na ścianie blaszanego magazynu: Peron Drugi do Piekła.

Ale nie było żadnego peronu drugiego. Poza samotnym jęzorem betonu biegnącym wzdłuż toru trasa kończyła się stromym nasypem. U jego podstawy znajdowała się pandemiańska brama do Piekła.

Harper widziała to miejsce dwa razy: w czasie podróży do Labiryntu i w drodze powrotnej. Po wielkiej zarazie w Cog pod cementarzyskiem zapadła się ziemia, tworząc rozległą nieckę. W następnych latach, w miarę jak rozrastała się Zaslona mesmerystów, depresja zmieniła się w duże czerwone jezioro.

Teraz, po wyjściu z pociągu razem z Carrickiem i pandemiańskimi pasażerami, Harper spojrziała w tamtą stronę. U podstawy nasypu było widać fragmenty jednego z oryginalnych torów, choć sam dworzec był pogrzebany gdzieś pod ich stopami. Inne szyny biegły do lokomotywni, gdzie od czasu potopu leżał stary eszelon Menoi. W krajobrazie dominowały różne odcienie szarości i czerni. Niskie groble i obszary leśne były jak maźnięcia i plamy grafitu na lupku. Mimo słabego światła metafizyczka zobaczyła Jezioro Bramne. Otaczające je tłumy zniekształconych postaci zaglądały w jego brudne wody.

Król Menoa czekał na peronie. Zarzucił na siebie długą ciemną szatę zmienił maskę na taką, która przypominała oblicze starszego mężczyzny: silną, dumną szczęką i łagodnymi oczami -- w każdym calu dobrotliwy władca, jakiego pragnęli ujrzeć ludzcy ambasadorowie. Brzeg szaty powiewał za nim, choć nie było wiatru.

U jego boku stało dziecko w wieku dziewięciu albo dziesięciu lat, chuda dziewczynka o smutnych oczach, ubrana w szarą sukienkę. Na ramionach i twarzy miała wytatuowane jakieś wersy. Małą ręką ścisnęła jeden ze szklanych pazurów króla.

--Główny oficer łącznikowy -- powiedział Menoa, zwracając się do Carricka. -- Dobrze cię znowu widzieć.

--Cała przyjemność po mojej stronie, Wasza Wysokość.

Król przeniósł wzrok na Harper.

--A oto mój inżynier. Podoba ci się nowe stanowisko w Spółce Kolejowej?

--Pozwala mi służyć Waszej Wysokości.

--Oczywiście. Przypuszczam, że szef Carrick dobrze się tobą opiekował?

Harper wiedziała, że jest to uprzejmość na pokaz. Król starał się zaprezentować z ludzkiej strony. Mimo to skinęła głową.

Tymczasem pasażerowie już zauważyli masy zgromadzone wokół jeziora Bramnego i uśmiechy przygotowane na powitanie Pana Piekła niknęły z ich twarzy, zastąpione wyrazem niepewności. Ludzie wiercili się niespokojnie, wciąż biegnąc spojrzeniami do ciemności pod nasypem, idzie czekały demony króla. Gęste, wilgotne powietrze zostawiało plamy na ich pięknych strojach.

--Posiłki frontowe -- uspokoił ich Menoa. -- Demonstracja naszej potęgi. Kiedy Rys

ukłęknie przed wami, będzie wiedział, że za waszymi plecami stoi cała mesmerycka armia.

Kiedy jej wzrok przyzwyczaił się do mroku, Harper zobaczyła, że wielka czarna horda rozlała się daleko na pola za Bramą. I usłyszała sapanie legionów bestii, huk machin wojennych przemieszczających się w oddali. Posiłki? Wyglądało to raczej na wojska inwazyjne.

--Przyjaciele -- rzekł król. -- Panie Lovich... panie Ersimmin... droga Edith. Jesteście właścicielami dużej części miasta Cog: fabryk, kolei, a nawet żywych obywateli. Bez waszej pomocy proces zmian w Pandemerii byłby długi i krwawy. -- Rzucił garść pereł na peron i zaczął czekać, aż pasażerowie je pozbiierają. Koraliki z duszami najniższej kasty demonów i może paru ludzi były bezwartościowe dla kogoś, komu chodziło o moc i władzę, ale wszyscy rzucili się na nie jak na diamenty. -- Przygotowaliście ten świat na moje przyjście. Dziękuję wam za to. Pomagaliście mi przez całą długą kampanię, za co jestem wam wdzięczny. Jutro dostaniecie nagrody, które wam obiecałem. Gdy tylko Rys wycofa się z tej głupiej wojny przeciwko nam, Pandemia stanie się centrum nowego świata. -- Pchnął dziewczynkę do przodu. -- Oto wasz traktat, niezspsuta dusza. Jej imię to oczywiście Pokój.

Jones i Lovich zmarszczyli brwi. Najwyraźniej nie tego oczekiwali. Harper widziała, że ich umysły pracują gorączkowo.

Tymczasem dziewczyna spojrzała na Menoę, a kiedy król skinął głową, zaczęła się zmniejszać, aż osiągnęła ułamek swoich normalnych rozmiarów. Wirując coraz szybciej, stała się zamazaną plamą wytatuowanego pisma. Jej skóra nabrała koloru pergaminu. Kobiety głośno zaczerpnęły tchu. Po chwili na jej miejscu pojawił się zwój.

Carrick schylił się i wziął go do ręki.

--Przyńście mi podpis Rysa -- powiedział król Menoa. -- A ja zabiorę traktat do Dziewiętej Cytadeli, oby trwała wiecznie.

Od strony czekających wojsk dobiegło potężne wycie, jakby nagle zerwała się burza. Peron zadrżał, kiedy dziesięć tysięcy butów, podków i pazurów zadudniło o ziemię wokół Jeziora Bramnego. Pani Lovich schowała głowę na ramieniu męża, kiedy zimny wicher dmuchnął przez stację.

Król Menoa odwrócił się do swojej hordy.

W ciemności w dole nasypu rozjarzyły się tysiące pochodni i Harper nareszcie wyraźnie zobaczyła królewską armię. Szeregi Ikaratów, połyskujących Iolitów i innych, masywniejszych istot z młotami zamiast pięści i wielkimi kręconymi rogami. Dużą część armii tworzyli Ślepcy wraz ze stadami tropicieli, upiory, Non Morai, zwierzęta podobne do wołów albo wielkich dzików, mniejsze skrzydlate demony, gladiatorzy o ludzkich postaciach, zakuci w pancerze z brązu. Na wzgórzach czekały maszyny wojenne: wielkie kule z kolcami, dymiące żelazne wieże, ciężkie opancerzone bestie dźwigające na grzbietach działa albo kryształowe globy pełne czerwieni i żółtych much. A pośrodku niecki stał arkonita.

Ludzie westchnęli głośno na jego widok.

Harper przesunęła wzrokiem od szkieletowych stóp w górę do klatki piersiowej, w której dudniły silniki, i na czaszkę lśniąca od czerwonych wód Jeziora Bramnego. Kolos miał postrzępione skrzydła, którymi mógłby zakryć górę. W jednej kościstej pięści trzymał wyrwany dąb, w drugiej lokomotywownię. Uniósł budynek do głowy pozbawionej oczu i zajrzał do środka jak dziecko oglądające nową zabawkę.

--Ma na imię Dill -- powiedział król Menoa. W jego głosie brzmiał uśmiech, ale szklana

maska oczywiście niczego nie zdradzała.

ROZDZIAŁ 24

ARMIA MENOI

Nastał świt: szary, ponury, w kolorach ołowiu i cyny. Kiedy niebo pojaśniało, *Duma Eleanor Damask* ruszyła z pandemiańskich nizin w stronę masywu Moine. Koła dudniły, komin dymił, lokomotywa gwizdała, pociąg mknął długą, krętą trasą przez czarne wulkaniczne wzgórza, które graniczyły z płaskowyżem. Tymczasem armia króla Menoi podążała Czerwoną Drogą biegnącą dwie mile na południowy zachód od torów. Wielki pióropusz dymu z królewskich machin wojennych snuł się po niebie, długa kolumna maszerujących wojsk wyglądała jak rzeka atramentu płynąca z niecki w górę zbocza. Tylko arkonita był widoczny z daleka. Wyprzedził znacznie swoich mniejszych braci i stał teraz u podnóży masywu Moine.

Nawet obszary górskie nie oparły się ulewnym deszczom Rysa. Doliny i wąwozy nadal były zalane, tak że wydawało się, że pociąg jechał przez łańcuch lagun. Z parujących rozlewisk wystawały półksiężycy bazaltu połączone groblami z metalicznego żużlu i żelaznymi mostami. Paliwa i oleje pozostałe po odbudowie kolei tworzyły na wodzie tęczowe wzory i barwne kożuchy wszędzie tam, gdzie mieszały się prądy. Na nowych mapach to miejsce nazywało się Cellar Wash, ale na starych widniała nazwa Callowflower. Pociąg jechał brzegami gorących kalder, sunął z łoskotem przez ciemne wąwozy albo pokonywał odcinki między wyspami po przęsłach wzniesionych na słupach oblepionych szlamem i wodorostami.

Z turkotem przeleciał po mostach Cutlass i Broken Tempie pod Spinney Crag, gdzie nad zalanymi polami uprawnymi wisiały na hakach tysiące pustych latarni. Zasnuty poranną mgłą wierzchołek niegdyś imponującej turni, a teraz skromnego pagórka dolerytu i czarnych sosen, ledwo wystawał ponad rozlewisko. Pod oleistą wodą rysowały się pozostałe drzewa, teraz martwe, o gałęziach pokrytych kryształowym szronem.

Harper przeniosła się z pokoju Carricka na wolną pryczę w kwaterze stewardów. Nieprzyzwyczajona do nowego otoczenia, obudziła się wcześniej i już nie mogła zasnąć. Teraz stała na tarasie drugiego wagonu obserwacyjnego i patrzyła w dół na zatopioną krainę. Czasami wydawało się jej, że dostrzeżga ryby: dziwne czarne kształty, wielkie i nieruchome. W miejscu, gdzie powinny być, metafizyczka widziała zielonkawe migotanie, a na brzuchach kremowy połysk.

--Szczupaki.

Harper się odwróciła.

--Ryby -- powiedział Carrick. -- To szczupaki.

--Szczupaki nie rosną takie wielkie.

--Teraz tak. -- Stał obok niej przy szklanej balustradzie i spojrzał w dół. Żółty blask słońca wpadał ukośnie do wagonu pod ich stopami. -- Tam, widzisz? -- Wskazał na długi cień wiszący pod wodą. -- Zmieniły się.

--Ty się zmieniłeś -- rzuciła cicho Harper.

Carrick zignorował jej uwagę i mówił dalej:

--Nic nie powinno przetrwać w tej wodzie, a jednak żyją w niej jakieś istoty. Ryby ze starych rzek i kanałów, zwierzęta z lasów. Drzewa nadal rosną, ale nie w taki sam sposób, jak kiedyś. Może nawet ludzie. Połączenie deszczu Rysa i Zasłony mesmerystów sprawiło, że w tej krainie dzieją się różne dziwne rzeczy.

--Ludzie?

--Inżynierowie, którzy odbudowali tory, przysięgają, że tak. Mówią, że tam na dole nadal żyją farmerzy, tyle że zmienieni. -- Carrick milczał przez chwilę, a potem wzruszył ramionami. -- Ja nigdy ich nie widziałem. W czasie budowy utonęło wielu robotników. Przypuszczam, że ci, którzy przeżyli, są przesądni.

Harper pokiwała głową.

Eleanor pędziła przez kolejny most. Daleko w dole, pod dwudziestoma sążniami wody, grupa budynków gospodarczych otaczała gliniaste podwórze. Ciemne okna wychodziły na zalane pola, groble i leśne zagajniki. Harper dostrzegła stary traktor i trupa jakiegoś dużego zwierzęcia, rojącego się od białych węgorzy. Zadrżała na myśl, że ktoś mógłby tam żyć. Co uprawiali?

--Przyniosłem ci nowy zapas. -- Carrick podał jej butelkę krwi. -- Zauważyłem, że stary ci się kończy.

Harper popatrzyła na naczynie.

--Przepraszam. -- Uśmiech Carricka był brzydki i zdesperowany. -- Tego właśnie chciałaś, prawda? Przeprosin. Oto one.

--To nie wystarczy, Jan.

--Proszę o drugą szansę. Mogłaś trafić dużo gorzej niż ja. Mówiłem poważnie o domu w Highcliffe.

--I o funkcji twojej osobistej nałożnicy? -- Prychnęła. -- Pomyślę o tej ofercie, jeśli Menoa wygoni mnie z Piekla.

Carrick splunął w wodę.

Harper spojrzała za siebie na wagon obserwacyjny. *Eleanor* wiozła na pokładzie tyle zapasowego szkła, że nocna zmiana naprawiła większość okien, ale część pozostała wybitych. Ktoś zaproponował, żeby zasłonić je papierem albo kawałkami płótna, ale Carrick uznał, że taka prowizorka zepsuje wygląd pociągu. Harper westchnęła. Tak czy inaczej pasażerowie będą się skarżyć.

--Ktoś wezwał demona -- powiedziała. -- Gdybyś pozwolił mi przesłuchać pasażerów, Jan...

--Nie chcę znowu o tym dyskutować, już ci mówiłem, jakie jest moje zdanie.

Carrick z góry odrzucił pomysł, że demon został wezwany. Według niego wymknął się z Piekla jak wiele innych upiórów, a teraz nie żył. Koniec historii, jeśli chodzi o niego. Główny oficer łącznikowy nie chciał niepokoić gości.

--Może chociaż niewolników... -- nie ustępowała Harper.

--Wykluczone. Mieliśmy już jeden przypadek śmierci i podejrzewamy zarazę. Nie wolno ci tam wchodzić. -- Nie zważając na jej próby protestu, Carrick mówił dalej: -- I nie chcę, żebyś zbliżała się do tego szklanego drania, dopóki nie dotrzemy do Coreollis. Nie pozwolę, żebyś znowu majstrowała przy jego cholernej głowie. Jest wystarczająco uparty.

--To, co zrobiłam z pasożytem, nie ma nic wspólnego z jego zachowaniem. Hasp już wcześniej przy każdej okazji walczył z implantem. To ty tutaj jesteś uparciuchem.

--Przyznajesz, że jest niebezpieczny?

--Oczywiście, że jest niebezpieczny. Przypomnę ci, że to ja nie chciałam, żebyś wypuszczał go na wolność.

Zmarszczki wokół ust Carricka się pogłębiły.

--Lepiej idź na inspekcję, zanim nasi goście wstaną -- powiedział. -- Nie chcę więcej żadnych niespodzianek w czasie tej podróży.

Harper odwróciła się do niego plecami.

--I tak zamierzałam stąd wyjść. Powietrze tutaj cuchnie. Nie chcę dłużej go wdychać. -- Pomaszerowała w stronę schodów.

--Nie jestem złym człowiekiem, Alice! -- zawołał za nią Carrick. -- Słyszysz mnie? Nie jestem złym człowiekiem.

Metafizyczka przyspieszyła kroku. Przeraziła ją myśl, że mógłby mieć rację.

--I wiem, po co tutaj jesteś -- dorzucił.

Harper zawahała się na pierwszym stopniu.

--Widziałem perłę, którą nosisz pod mundurem. Myślisz, że nie wiem, dlaczego ją ukrywasz? Dlaczego zawsze jej dotykasz, kiedy jesteś zdenerwowana? Dlaczego zdejmujesz ją, zanim pójdziesz do łóżka?

Harper odwróciła się powoli.

--Wielu ludzi zbiera dusze.

--Jakie dusze? -- Carrick się zaśmiał. -- Twoja perła jest pusta. W środku nie ma żadnego blasku, nie ma ducha. -- Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę ze zmrużonymi oczami. -- Wszyscy wiedzą, co się stało z twoim mężem, znają prawdziwą historię, a nie te banialuki, które wymyśliły władze spółki.

Metafizyczka machnęła ręką.

--Kupiłam ten drobiazg na targu w Garrison. To podróbka. -- Wzruszyła ramionami. -- Ale spodobała mi się. Uznałam, że jest ładna.

--Widywałem podróbki, a ta nie jest jedną z nich -- stwierdził Carrick. -- Nosisz piekielnie drogi klejnot, Alice. Ile razy musiałaś rozłożyć nogi, żeby sobie na niego pozwolić? -- Ściszył głos do szeptu i obnażył zęby. -- A może pieprzyłaś się z samym Menoą? Bo on z pewnością pieprzył ciebie.

--Nie... -- Harper zerknęła przez ramię, jakby się spodziewała, że ujrzy króla. Menoa został przy Bramie Cog, ale w pociągu nadal wyczuwało się jego obecność.

--Myślisz, że jestem gorszy od twojego męża? -- rzucił Carrick pogardliwym tonem. -- Przeżyłem wojnę, a Tom nie. I nic nie możesz na to poradzić, Alice. Powinnaś podziękować Menoi, że zatrzymał tego tchórza w Piekło.

Harper zbiegła po schodach, z sercem dudniącym jak koła pociągu. Kiedy dotarła do salonu, spojrzała w przezroczysty sufit. Carrick patrzył na nią z góry z szyderczym uśmiechem na twarzy. Metafizyczka najchętniej by się schowała, ale nie przychodziła jej do głowy żadna kryjówka. Jej świat był zrobiony ze szkła.

Pociąg toczył się przez stożkowe czarne wzgórza, pokonywał mosty i groble między wyspami, stale się wspinał, zmierzając ku masywowi Moine. Ze swojego punktu obserwacyjnego na końcu składu Harper patrzyła na krajobraz. Skalę i trawy miejscami nadal pokrywała biała piana, świadcząca o tempie cofania się wód, ale poza tym te jałowe okolice pozostały nieskażone. Na północy czyste strumienie nadal sływały z chichotem po zboczach Moine Mor. Na południu, w stronę Helmbog i odległych szczytów Skamieniałych Gór, gdzie nisko stojące słońce lśniło na bladym niebie jak miedziak, ciągnęły się ciemnobrązowe

wrzosowiska. Na starożytnych mapach ta ziemia nazywała się Benecoir albo Bencora. Ale większość ludzi знаła te tereny jako Brownslough; królestwo Hafe'a.

Wojownicy Menoi musieli trzymać się Czerwonej Drogi, regularnie zraszanej krwią i prowadzącej bezpośrednio na linię frontu. Tylko arkonita mógł wybrać inną trasę. Wspiął się na masyw i wkroczył do Brownslough.

Podczas wojny Pandemiańska Spółka Kolejowa rozmieściła posterunki na granicach królestwa Hafe'a, brata Rysa, który był głównym przeciwnikiem króla Menoi. Harper bawiła się pustą perłą, wspominając tamte dni: bezustanny deszcz, odległe błyski na horyzoncie, wzburzone morze atakujące nabrzeża Highcliffe. Zdawało się, że wiatr niesie huk dział rezonansowych przez pół świata. Metafizyczka zamknęła oczy, przycisnęła klejnot do piersi.

Hefe, bóg ziemi i trucizn nie zemścił się. Wprawdzie zabił dyplomatów, których koleje przysłały po wojnie na rozmowy, ale nie ruszył swojej armii. Najwyraźniej był zadowolony, że brat Rys bierze na siebie cały trud walki.

Bogowie zawsze byli nieprzewidywalni. Ciekawe, co knuli teraz? Hafe siedział bezpiecznie w Brownslough i obrastał tłuszczem. Wielki statek Cospinola patrolował morza poza Burzliwym Wybrzeżem i polował na każdą jednostkę, która zapuszczała się zbyt blisko jego królestwa. Sabor zaszył się w swoim zamku w górach Charrel i obserwował, jak ziarenka piasku przesypują się w klepsydrze. Mirith nie oddalał się na krok od starszego brata, podążał za Rysem jak wierny szczeniak. A Hasp dumiał w ładowni *Eleanor*.

Tylko Ulcis nie żył, zabity w Deepgate przez nieznanego asasyna.

Harper ścisnęła perłę.

Jeśli jeden bóg mógł umrzeć, dlaczego nie dwóch?

W południe surowe wrzosowisko przeobraziło się w bezkresne pole jasnoczerwonych i białych kwiatów otoczone ze wszystkich stron górami. W sadzawkach nieruchomej wody odbijało się błękitne niebo, częściowo zatopione glazy zmieniły się w wysepki. Pociąg ciągnął za sobą wstęgę dymu, pokonując długi zakręt wokół Ialar Mor. Za przełęczą Ialar nad wrzosowiskami wyrosły kominy pieców koksowych miasta Moine. Tutaj *Eleanor* zatrzymała się, żeby uzupełnić zapas węgla, i tutaj wydarzyły się dwie dziwne rzeczy.

Edgar Lovich został zamordowany we śnie. A *Eleanor* wzięła na pokład niezwyklego pasażera.

Harper wybrała się na spacer, żeby rozprostować nogi i jednocześnie uciec przed chmurami pyłu węglowego. Uważała, żeby nie odejść zbyt daleko od stacji, i wzięła ze sobą pełną butlę mgły, bo wiedziała, że słońce szybko pozbawi ją sił. Bycie martwym w świecie żywych ma swoje ujemne strony.

Zazdrościła arkonicie, którego Menoa skonstruował z anioła Dilla. Zasilany fragmentem Roztrzaskanego Boga, mógł opuścić Czerwoną Drogę i podążyć przez płaskowyż, podczas gdy armia, zmuszona maszerować tylko po zakrwawionej ziemi, wlokła się daleko z tyłu. Dym z machin wojennych Menoi nadal zasnuwał południowo-wschodni horyzont, ale odległość między *Eleanor* i królewskim wojskiem wciąż się powiększała. Teraz kolos górował nad miastem Moine, a jego ogromne skrzydła zasłaniały dużą część południowego nieba. Brudne wody Jeziora Bramnego zostawiły brązowy osad na jego kościach, ale on nie potrzebował tej krwi ani żadnej mgły czy karmazynowej ziemi, żeby przeżyć.

Menoa wykorzystał kawalek Irila, żeby stworzyć arkonitę, a następnie zabił niezliczone dusze, żeby czasowo powiększyć bramę. Wypuścił z Labiryntu wojownika zdolnego zniszczyć każde miasto i armię. Wolny od ograniczeń Zasłony, gigantyczny automat był dla króla wart więcej niż cała jego horda.

Z tyłu dobiegł loskot węgla, kiedy załoga *Eleanor* zaczęła napełniać tender. Moine było przed wojną osadą górniczą, ale deszcze Rysa zatopiły szyby wypełnione smołą. Z powodu zatrutych wód miejsce stało się niezdatne do zamieszkania. Spółka kolejowa oczyściła dworzec, ale niżej położone domy robotników, ulice i fabryki koksu zostawiono na pastwę lepkiej czarnej cieczy. W zniszczonym mieście panowała dziwna cisza, przerywana jedynie westchnieniami gorącego wiatru i uderzeniami metalowych żaluzji o ceglane mury. Moine, w jeszcze większym stopniu niż wyspa Cog, było miastem duchów. Dlatego Harper przestraszyła się, kiedy usłyszała bardzo ludzkie wołanie o pomoc.

Krzyk dochodził zza starej parowozowni, która stała równolegle do głównego toru. Harper przekroczyła szyny i obesła budynek.

Zewnętrzny mur otaczający dworzec przetokowy zawalił się w kilku miejscach, tak że powstał łańcuch małych ceglanych wysepek połączonych gruzami. Ten rodzaj cypla wychodzącego w smolne jezioro Moine kończył się jakieś pięć jardów od wyczyszczonej betonowej powierzchni placu. Siedział tam mężczyzna w białym garniturze i machał białym parasolem. Najwyraźniej wspiał się na mur od strony ruin jednej z fabryk koksu graniczących ze stacją i szedł po nim aż do miejsca, skąd nie mógł ruszyć dalej, nie brudząc pięknego stroju w gęstej czarnej mazi. Przy pasie miał miecz, a na nosie okrągłe niebieskie okulary.

--Potrzebuję pomocy -- zwrócił się do Harper. -- Będzie pani tak łaskawa? -- Wskazał głową na morze smoly oddzielające go od stałego lądu. -- To może wyglądać mało dystyngowanie, ale chyba trzeba mnie przenieść.

Metafizyczka zaplotła ręce na piersi.

--Kim pan jest? Co pan tutaj robi?

Mężczyzna uśmiechnął się półgębkiem i uklonił.

--Isaac Pilby, znany lepidopterolog, publikowany poeta, a ostatnio mimowolny turysta. Mój przewodnik, nie dotrzymawszy umowy, w trakcie wyprawy zażądał, żeby za dodatkową, niebotyczną, sumę zatrudnić całą jego wioskę jako tragarzy, po czym ukradł mój bagaż i motyle, a na koniec zostawił mnie tam. -- Machnął ręką w kierunku Ialar Mor. -- Szedłem cały ranek, aż zobaczyłem kominy fabryczne. Sądząc po rozwiniętym przemyśle, można by się tu spodziewać cywilizacji. -- Potrząsnął parasolem. -- A zamiast kawiarni znajduję miasto po kolana unurzane w jakimś okropnym polutancie.

--To smoła -- powiedziała Harper. -- Śmierdzi, ale jest całkiem bezpieczna. Wątpię, czy jest jej więcej niż na cal. Mógłby pan co najwyżej stracić buty.

--Może i jest płytka i bezpieczna, ale brudna -- stwierdził Pilby. -- Przeszedłem to miasto z jednego końca w drugi skokami, żeby zminimalizować szkody wyrządzone mojemu garniturowi i butom, więc nie mam zamiaru zabrudzić ich teraz. Te półbuty są ręcznie robione w Skirl, wie pani? -- Wzruszył ramionami i poprawił okulary. -- Będzie musiała pani mnie przenieść.

Harper już miała mu odpowiedzieć, kiedy usłyszała za sobą trzaski i buczenie. Odwróciła się i zobaczyła jaśniejącą postać Haspa. Blask słońca odbijał się od przezroczystej zbroi i tworzył wokół niego halo barwy płomieni.

--Ładowanie skończone -- oznajmił archont, przesuając wzrok na rozbitka. -- Wysłali mnie, żebym cię poszukał.

--Kto? Carrick?

Hasp kiwnął głową.

--Godzinę temu zabronił nam wszystkim zbliżać się do ciebie.

--Niektóre damy uznały, że moja zbroja wygląda w słońcu wspaniale -- odparł Hasp. -- Twój szef im ustąpił, a potem skorzystał z okazji, żeby zademonstrować swoją władzę nade mną. Smutne, ale nadal muszę spełniać rozkazy lokajów Menoi i dlatego tu jestem. Co to za idiota na murze?

--Isaac Pilby. Zbiera motyle.

Anioł przez chwilę przyglądał się mężczyźnie.

--Zatem wracajmy -- powiedział.

--Proszę mi wybaczyć! -- zawołał za nimi Pilby wysokim głosem. -- Halo! Przepraszam! Anioł i inżynier szli dalej.

--Nie możecie mnie tutaj zostawić! -- zaprotestował lepidopterolog. Gdy Harper i Hasp dotarli do rogu parowozowni, w polu ich widzenia pojawiły się tylne wagony *Eleanor*.

--Zaczekajcie! -- wrzeszczał Pilby. -- Słyszycie? Mam magiczny kamień.

--Zabawne -- mruknęła Harper i odwróciła się do Haspa. -- Jak się teraz czujesz? -- Oczy anioła były równie ciemnoszare i zamyślane jak ostatnio, kiedy go widziała. -- Cierpiełeś na zawroty głowy, odkąd... Odkąd Carrick zmusił cię do morderstwa?

--Czuję się dobrze -- rzekł Hasp tonem, który sugerował, że wcale tak nie jest.

--Mogę wam zapłacić! -- dobiegł z tyłu ostry głos. -- O to chodzi, prawda? Jesteście najemnikami, ani trochę lepszymi od Cieni Cohla. No, dobrze, wygraliście. Podajcie cenę.

--Szef lubi władzę -- powiedziała Harper. -- To dlatego każe ci robić te wszystkie rzeczy. Ale twój opór cię zabije. Gdybyś posłuchał go bez wahania, bez wątpliwości, straciłby zainteresowanie i miałbyś większą szansę dotrzeć żywy do Coreollis.

Hasp odchrząknął.

--Gdybym słuchał bez wahania i wątpliwości, nie zasługiwałbym na życie.

Harper pociągnęła haust mgły z gumowej gruszki.

--Co byś robił, gdybyś był wolny? -- zapytała, podając naczynie Haspowi.

Archont spojrział na nią z ukosa.

--Próbowałbym zabić Menoę. -- Wzruszył ramionami. -- W tych okolicznościach nie stanowią dla niego zagrożenia, ale cel byłby szczytny.

Metafizyczka milczała przez chwilę.

--Przyłączyłam się do mesmerystów tylko z jednego powodu -- powiedziała w końcu. -- Mój mąż Tom był oficerem w Królewskich Rezerwistach. Po tym, jak zginął w Larnaig, błagałam o audiencję u Menoi. Chciałam go przekonać, żeby oddał mi duszę Toma. -- Pamiętała miesiące umizgiwania się do Carricka w centrum łączności na wyspie Cog. -- Szybko pięłam się w górę w specjalnym oddziale inżynierskim Kolei Pandemiańskich, pracując nad zastosowaniem mesmeryckiej techniki w tym świecie. To nie było łatwe. Musieliśmy wymyślać rozwiązania dla metafizycznych urządzeń, które król powoływał do istnienia w Piekło. Carrick nie przekazywał moich próśb Menoi, ale kiedy dokonałam przełomu z pierwszymi lokalizatorami, władca sam zażyczył sobie mnie widzieć.

--Uznał, że masz potencjał?

--Specjalny oddział inżynierski był bardzo ważny w czasie wojny, a ja byłam ważną częścią tego oddziału. Gdy król usłyszał moją prośbę, zgodził się zwrócić mi duszę Toma w zamian za określony okres służby.

--I nie dotrzymał umowy?

--On stosuje swoją filozofię zmian do wszystkiego, łącznie z własnymi obietnicami. Wkrótce odkryłam, że nie mogę mu ufać. -- Harper umilkła. O tym, co zamierzała teraz powiedzieć, jeszcze nigdy nikomu nie mówiła. -- Dlatego sama poszłam do Piekła, żeby odnaleźć męża.

Hasp pokiwał głową.

--Nie jesteś pierwsza, która tego spróbowała.

--Oczywiście Menoa spodziewał się, że tak zrobię. Skończyło się na tym, że zaczęłam pracować dla niego w Piekło. -- Zaczepnęła mgły z butli. -- A teraz wróciłam, jestem martwa i chciałabym, żeby ktoś zabił tego łotra. Znasz kogoś, kto byłby zdolny do takiego wyczynu?

--Kiedyś znałem, ale on też nie jest już takim samym bogiem, jak kiedyś. Jest teraz dużo bardziej kruchy.

Skręcili za róg parowozowni i przekroczyli zardzewiałe stalowe szyny, które biegły do wnętrza budynku. Harper zajrzała przez szerokie wrota, ale w środku nie było żadnych lokomotyw, tylko ogromna pusta przestrzeń i kurz tańczący w promieniach słońca. Przez pozbawione szyb metalowe okna wchodziły wodorosty i rozpełzały się zielonymi żyłami po zniszczonym ceglany murze. *Eleanor* czekała na głównym torze. Jej wagony się jarzyły. Chmura drobnego czarnego pyłu unosiła się nad tenderem, rozchodziła się po stacji i wrzosowisku.

Pasażerowie stali na peronie w kilkusobowych grupkach, gawędzili, palili gliniane fajki. Niektórzy trzymali w ręce porcelanowe filiżanki z herbatą albo kieliszki białego wina. Harper zauważyła, że Jan Carrick rozmawia z trzema damami, a one śmieją się i machają wachlarzami. Ersimmin prowadził ożywioną dyskusję z Jonesem. Pianista gestykulował w kierunku, w którym poszła metafizyczka, ale nie obejrzał się, więc nie zdawał sobie sprawy, że właśnie wróciła. Wąsaty wiarus poczerwieniał na jej widok.

--Powinam chyba była mu pomóc -- powiedziała Harper do archonta. -- Tamtemu człowiekowi na murze.

--Jaki mężczyzna prosi damę, żeby go przeniosła przez kałużę błota? -- obruszył się Hasp.

--Damę?

Kark anioła zahuczał.

--To powiedział demon -- burknął Hasp.

Nagle za sobą usłyszeli okrzyk:

--Halo!

Odwrócili się.

Isaac Pilby najwyraźniej w końcu zrozumiał, że musi ratować się sam. Bez butów, umazany smołą aż po kolana lepidopterolog kroczył w ich stronę, wymachując złożonym parasolem jak rapierem, podczas gdy miecz w białej skórzanej pochwie kołysał się u jego boku. Czubki obu tych rzeczy również pokrywała warstwa czarnej mazi.

--Pani -- Pilby wycelował parasol w Harper -- mnie porzuciła. A ty -- wskazał na anioła --

jesteś szklanym okropieństwem. Oboje zasługujecie na taką karę, jaką Koleje Pandemiańskie uznają za stosowną na was nałożyć za ten incydent. Mam potężnych przyjaciół!

--Gdyby ktoś rozkazał mi go zabić, chyba bym się za bardzo nie opierał -- wyszeptał Hasp.

Albo Pilby go nie usłyszał, albo postanowił zignorować słowa anioła. Z wysuniętą brodą pomaszerował w stronę pociągu i jego zaintrygowanych pasażerów, komicznie wymachując chudymi ramionami i usilnie starając się zachować resztki godności mimo żalosego wyglądu.

--Mój drogi panie -- odezwał się Jones, mierząc przybysza podejrzliwym wzrokiem -- co, u licha, pan tutaj robi? Carrick, przynieś brandy dla tego dżentelmena.

Oficer łącznikowy oderwał się od swojej zachwyconej publiczności. Jego czoło przecięła zmarszczka irytacji... i na widok Pilby'ego jeszcze się pogłębiła.

--Nie potrzebuję alkoholu -- oświadczył bosy lepidopterolog. -- Chcę jedynie się przebrać i opuścić to obmierzłe miejsce. -- Wbił brudny czubek parasola w ziemię i zrobił wyniosłą minę. -- Zrekompensuję wam hojnie niedogodności związane z zawróceniem pociągu do Cog City. Tak czy inaczej, zamierzam napisać ostry...

--Zabierzmy pana ze sobą -- przerwała mu Harper, bardziej, żeby powstrzymać jego perorę, niż ze strachu przed naganą. Od słońca już robiło się jej słabo. -- Ale do Cog City wracamy dopiero pojutrze. Teraz jedziemy do Coreollis.

--Coreollis? -- Pilby wyglądał na lekko skonfundowanego. -- Przecież zamknęli prom w Larnaig. Nie ma sposobu, żeby dotrzeć do miasta pociągiem. A Coreollis to twierdza Rysa.

--Koleje Pandemiańskie właśnie otworzyły przystań promową.

--To dopiero bezczelność -- odezwała się Edith Bainbridge, występując z tłumu pasażerów. Miała na sobie inną suknię, jeszcze bardziej brzoskwiniową niż poprzednia. -- Pan zakłóca misję dyplomatyczną. Poza tym, dlaczego miałby pan mieć darmowy przejazd, skoro my sfinansowaliśmy całe przedsięwzięcie? Niedorzeczny pomysł. Zresztą mamy mało miejsca.

--Ależ proszę pani... -- zaprotestował lepidopterolog.

--Rekompensata, mówi pan? -- wtrącił się główny oficer łącznikowy.

Harper syknęła przez zęby. Carrick miał w oczach znajomy wyraz chciwości. Przez chwilę obawiała się, że zapyta „ile?“, ale nie wierzyła, żeby potrafił być aż tak obcesowy, zwłaszcza w tym towarzystwie.

--Tak, oczywiście -- powiedział Pilby. -- To uczciwa propozycja. Zawieźcie mnie z powrotem na stację w Cog City, a wtedy omówimy kwestię zapłaty za wasze usługi. Jestem człowiekiem dość zamożnym. Gdybym wiedział, że Koleje Pandemiańskie otworzyły tę trasę, bez wątpienia sam kupiłbym bilet.

Carrick uśmiechnął się szeroko.

--Harper, znajdź temu dżentelmenowi jakieś buty, dobrze?

Zanim metafizyczka zdążyła ruszyć na poszukiwania, z pociągu dobiegł okrzyk jednego ze stewardów. Stała się straszna rzecz. Gdy pasażerowie wbiegli do środka, zobaczyli ciało aktora leżące na korytarzu. Jego żona Yve wydała okrzyk przerażenia i padła przy nim na kolana, żeby zatamować krew. Niestety, było już za późno. Edgar Lovich nie żył od godziny. Ktoś dźgnął go w pierś.

Jednak nikt niczego nie widział.

Harper kazała załodze wytrzeć krew, a tymczasem kobiety odprowadziły szlochającą wdowę do sypialni. Potem, ignorując zakaz Carricka, metafizyczka powiedziała Haspowi, żeby poszedł z nią do ładowni. Gdy tylko znaleźli się z dala od tłumu, spytała:

--Zabiłeś Lovicha?

--Tak -- odparł bez wahania bóg.

--Dlaczego?

Hasp wzruszył ramionami.

--Nie przychodzi mi do głowy żaden wiarygodny powód ani motyw.

--Ktoś kazał ci to zrobić?

--Nie.

Metafizyczka zmarszczyła brwi. Hasp był niezdolny do przemocy wobec ambasadorów Menoi bez bezpośredniego rozkazu, ale jeśli ktoś polecił mu zabić aktora, czy nie mógł również kazać mu kłamać, żeby chronić prawdziwego sprawcę?

Spróbowała jeszcze raz.

--Rozkazuję ci odpowiedzieć prawdę na moje następne pytanie. Ktoś kazał ci zabić Lovicha?

Hasp skrzywił się i zatoczył na ścianę wagonu. Potem osunął się na kolana, ściskając głowę i jęcząc.

--Zapomnij o rozkazie -- powiedziała szybko Harper. -- Hasp? Nie odpowiadaj na moje pytanie.

Napięcie opuściło twarz anioła.

--Żadnych więcej pytań -- wykrztusił. -- Pasożyt...

Harper zrozumiała. Pasożyt Menoi karał Haspa za to, że nie odpowiedział na jej pytanie. Ale jednocześnie chronił go przed odpowiedzią. Anioł otrzymał dwa sprzeczne rozkazy. Nie mógł spełnić jednego i drugiego jednocześnie.

--Jeśli przykazano ci nie ujawniać tożsamości mordercy w żadnych okolicznościach, każda próba podważenia tego zakazu...

--Może mnie zabić -- dokończył archont przygnębionym tonem. Harper myślała intensywnie. Jak miała dotrzeć do prawdy, skoro Hasp nie mógł mówić?

Do czego jeszcze wykorzystają zniewolonego boga oprócz próby uchronienia jakiegoś pasażera przed oskarżeniem o morderstwo? Czy jej samej też coś groziło? Ostrożnie sformułowała następne pytanie.

--Gdybym cię poprosiła, żebyś szczegółowo opowiedział o swoich krokach, odkąd Carrick wypuścił cię z ładowni, zrobiłbyś to?

--Nie.

Oczywiście, że nie. Nawet taka informacja byłaby wskazówką.

--Chodźmy stąd -- powiedziała metafizyczka.

Po powrocie do ładowni Harper przyjrzała się pozostałym więźniom. Po śmierci kaleki zostało ośmiu ludzi północy i młoda towarzyszka archonta z jego pałacu w Piekło. Mężczyźni siedzieli w milczeniu z dala od siebie, otuleni kocami. Żaden nie spojrzał metafizyczce w oczy.

--Czy ktoś z was widział, co się stało? -- zapytała Harper.

--A co się stało? -- odezwała się dziewczyna.

--Zabito pasażera.

--Tutaj też ktoś zginął, ale tym się nikt nie przejmuje.

Metafizyczka wzruszyła ramionami.

--A czego oczekujecie ode mnie?

Carrick wprost zagroził jej wysadzeniem z pociągu, jeśli zacznie drażnić tę sprawę. Nie obchodzili go niewolnicy. Dziesięciu czy dziewięciu, nie widział różnicy. Harper wątpiła również, żeby Rys przejął się takim drobiazgiem. Przekazanie było jedynie gestem dobrej woli, który miał pokazać mieszkańcom Coreollis, że ich nowy król jest łaskawy i sprawiedliwy.

Obecność ogromnej i strasznej armii u ich drzwi tylko by wzmocniła przekaz.

Posępne niebo i bezustanna mżawka towarzyszyły przybyciu *Dumy Eleanor Damask* na południowy kraniec przełęczy Ialar. Dym buchający z komina kłębił się między granitowymi urwiskami, nadal noszącymi ślady po oskardach niewolników, którzy w ostatnich latach poszerzali wąwóz. W górze chmury zbijały się w kołtuny jak brudna owcza wełna. Łoskot tłoków był ogłuszający w wąskim jarze. Pociąg zwolnił, gwizd lokomotywy odbił się echem od spowitych chmurami górskich szczytów. Po chwili odpowiedział mu głos rogu z posterunku *Sally*. Żołnierze stacjonujący za przełęczą już szykowali starożytny parowiec, który miał ich przewieźć przez jezioro Larnaig do Coreollis.

Odzewem na gwizd był długi niski ryk, który przetoczył się po niebie jak grzmot. U podnóży Rael Canna Mor pojawił się arkonita. Jego czaszka i ramiona ginęły w chmurach, tak że wyglądał jak zdekapitowany gigant. Silniki huczały w klatce piersiowej, zasilane jakąś tajemniczą mieszanką krwi i paliwa, którą mesmeryści wymyślili w Piekło.

--Jestem gotowy do służby.

Po tym oświadczeniu pomaszerował w mgłę, aż od jego kroków zatrzęsała się ziemia.

Pasażerowie zebrali się na platformie wagonu obserwacyjnego, żeby obejrzeć ten spektakl boskiej inżynierii. Deszcz skapywał z kolorowych parasoli. Mężczyźni stali w grupie, paląc cygara i dyskutując o mechanice językiem laików, damy skupiły się w osobnym kółku i podekscytowane szeptały o jakimś księciu i jego kochance.

Harper trzymała się z boku, żeby nie widzieć zgryźliwych spojrzeń Isaaca Pilby'ego, który nadal obwiniał ją o utratę półbutów. Unikała również wzroku Edith Bainbridge, która uważała ją za odpowiedzialną za wszystkie niefortunne czynniki, łącznie z pogodą. Metafizyczka wdychała mgłę z butli, gdy czuła, że opuszczają ją siły.

Jones pożyczył lepidopterologowi swoje buty, a Ersimmin, mniej więcej takiego wzrostu jak nowo przybyły, podarował mu kilka karmazynowych garniturów. Zarówno muzyk, jak i stary rezerwista szczególnie interesowali się Pilbym. Prawie go nie odstępowali. Wszyscy trzej wystrojeni w ciemnoczerwone garnitury, przypominali Harper zwiłokrotniony obraz pianisty, kiedy pierwszy raz zobaczyła go przez szklany sufit wagonu muzycznego.

Czyżby łączyły ich nie tylko identyczne miecze w białych pochwach? Z drugiej strony, wszyscy obracali się w tych samych kręgach, w świecie zamkniętym dla osoby o robotniczym pochodzeniu, takiej jak Harper.

Za to Jan Carrick najwyraźniej nie dostrzegał przepaści klasowej dzielącej go od gości, którym nadszakał. Chyba doszedł do finansowego porozumienia z Pilbym i uważał je za pierwszy szczebel drabiny, po której miał dotrzeć na towarzyski szczyt. Pasażerowie oczywiście tolerowali głównego oficera łącznikowego, ale nigdy nie przyjęliby go do swojego

grona. Uśmiechali się i gawędzili z nim, ale robili to z ledwo skrywanym lekceważeniem, którego Carrick nie dostrzegał.

Z drugiej strony wąwozu dobiegł kolejny dźwięk rogu, a potem Harper usłyszała zgrzyt hamulców *Eleanor*. Seria jazgotliwych szarpnięć zatrzęsała wagonami. Włączyły się pompy mgłowe, dmuchnęły czerwonym powietrzem prosto na okoliczne skały. Rytm tłoków stał się wolniejszy. Przez klębiący się dym Harper dostrzegła mury stołpu górującego nad zboczem z czarnego błota i kamieni. Na dachu stał sygnalista w towarzystwie dwóch muszkieterów i machał czerwoną flagą.

W tym miejscu tory się rozdzielały. Stare skręcały na wschód i biegły dalej wąską półką wyciętą w skałach masywu Moine, opadając stopniowo ku opuszczonej wiosce Larnaig, która leżała czterysta stóp niżej na skraju wody. Nowa linia była znacznie krótsza i bardziej niebezpieczna.

Widok czerwonej flagi w ręce sygnalisty napelniał Harper lękiem niczym zapowiedź nieszczęścia. Mieli na pokładzie sabotażystę i mordercę. Czy karkołomny zjazd do jeziora Larnaig nie stanowił doskonałej okazji do jakiejś nieczystej gry? Metafizyczka przyjrzała się uważnie każdemu z pasażerów, szukając na ich twarzach czegoś, co zdradziłoby ich ukryte plany.

Nie dostrzegła niczego podejrzanego.

Choć zabójcą najprawdopodobniej był jeden z ambasadorów Menoi, sabotażysta wcale nie musiał znajdować się wśród pasażerów. Harper spojrzała wzdłuż pociągu. Stewardzi szykowali się do ostrego zjazdu, chowając albo owijając luźne i kruche przedmioty. Niewyraźne postacie widoczne za matowymi ścianami przedziałów osobowych zapewne robiły to samo z rzeczami należącymi do gości.

Pociąg wyjechał z sapaniem z wąwozu i dotarł do podstawy kamieniołomu graniczącego z północnym skrajem masywu Moine. Tutaj linia kolejowa, która miała swój początek w Cog, kończyła się zawrotnym spadkiem do samego jeziora Larnaig leżącego czterysta stóp niżej. Półksiężycowe urwiska z ochrowej skały tworzyły nieckę między stokami Ialar Mor z jednej strony a starożytnym cmentarzyskiem Arníe w cieniu Rael Canna Mor z drugiej. Niepozorna wieża obronna, którą Harper dostrzegła wcześniej, stała po lewej stronie torów wśród zboczy pokrytych zwietrzałym rumoszem, błotem i wilgotnymi kopcami antracytu. Naprzeciwko niej było widać wydeptane ścieżki biegnące między pagórkami pokruszonego wapienia i łupku oraz osadnikami, w których porzucono stare koparki, żeby skorodowały w sadzawkach pomarańczowej wody deszczowej.

W czasie ostatnich robót ziemnych odkopano tutaj stare cmentarzysko, tunele i komory, które starożytni wydrążyli w gliniastym podglebiu. Później wypełniono je wapnem, żeby zniechęcić Non Morai do gromadzenia się w miejscu, gdzie kiedyś chowano umarłych. Na urwiskach zachowały się szczątki czterech kopców, bezładnych stosów kamieni porośniętych białym mchem.

Gdy dym się rozwiął, Harper zobaczyła drugi koniec linii kolejowej. Z kominów promu już buchały słupy białego i szarego dymu. Przedwojenny ośmiopokładowy parowiec kołowy *Sally Broom* był dużym stalowym hulkiem. Pokłady pasażerskie otaczające nadbudówkę były oświetlone żółtymi lampami olejowymi, które drżały do rytmu dudniących silników. Dziesięciu członków załogi pracowało przy kołowrotach, opuszczając trap na rufie. Schody opadły z

hukiem i grzechotem łańcuchów w taki sposób, że tory prowadziły teraz prosto do przepastnej ładowni promu, zdolnej pomieścić *Dumą Eleanor Damask*.

Harper powędrowała wzrokiem poza brzeg kamieniołomu do miejsca, gdzie stary parowiec sprawiał wrażenie, że unosi się w powietrzu czterysta stóp nad jeziorem Larnaig. Minęła dłuższa chwila, nim metafizyczka zauważyła cztery gigantyczne szkieletowe palce obejmujące kadłub. I wtedy zrozumiała.

Arkonita trzymał statek w kościstej ręce, przyciskając jego rufę do górnej krawędzi urwiska.

Ze stopami zanurzonymi w jeziorze znajdującym się czterysta stóp niżej i czaszką rysującą się jak księżyc na niebie, metalowo-kościany kolos stał w całkowitym bezruchu, pochylony nad masywem Moine jakby zardzewiał w trakcie sprawdzania połączeń między linią kolejową przecinającą dno kamieniołomu a parowcem, który trzymał w szkieletowym uścisku. Olej lśnił na trybach i tłokach widocznych między jego kłykciami, na wałach i przekładniach w ramionach i kręgosłupie. Nie zliczone dusze pływały w chemicznie zmienionej krwi. Arkonita miał dwa silniki: jeden, wielkości lokomotywni, umieszczony w czaszce, odpowiadał za ruchy tułowia; drugi, dużo większy, znajdował się w klatce piersiowej i napędzał kończyny. Skrzydła były proporcjonalne do torsu, ale postrzępione i bezużyteczne, cienkie jak chmury, które teraz je zasłaniały.

Pasażerowie westchnęli głośno na jego widok.

--Dobry Boże! -- wyszeptał Jones i odruchowo zrobił krok w tył. -- Z bliska jest taki... -- potrzęsnał otwartym parasolem, wskazując na niebo ---ogromny.

--Automat jest wzorowany na postaci anioła, którego duszę wykorzystano do stworzenia go -- wyjaśniła Harper. -- Duchowi łatwiej zaakceptować formę, którą uważa za naturalną. Rozmiary są uzależnione jedynie od możliwości. Im większy arkonita, tym większe szkody może spowodować.

--Czy to znaczy, że ta maszyna była kiedyś aniołem? -- zapytał Jones.

Metafizyczka skinęła głową.

--Dill był jednym ze strażników świątyni Ulcisa w Deepgate. Złapaliśmy go w Piekło.

--Dill? -- Rezerwista zaśmiał się niepewnie. -- Imię do niego pasuje. Z wieży dobiegł głos rogu, zagłuszając rozmowy pasażerów. Sygnalista opuścił czerwoną flagę i *Duma Eleanor Damask* zatrzymała się z drżeniem. Z hamulców pod wagonami wydostała się z sykiem para.

--...do niedawna. -- Carrick właśnie odpowiadał na pytanie jednego z gości. -- Ale król uznał, że ta droga będzie najlepsza. Obawiał się, że kołysanie statku uszkodzi naszych jeńców. A tak do Coreollis jest tylko krótka przeprawa przez jezioro.

--Nie bez powodu jest taki straszny -- szepnęła panna Bainbridge do jednej ze swoich towarzyszek. -- Ma wzbudzić grozę w ludziach północy. -- Kiedy druga dama kiwnęła głową, Edith dodała: -- Król powiedział mi, że może zrobić ich więcej, jeśli ten okaże się użyteczny.

Harper się nie odezwała. Wiedziała, że Menoa już skonstruował dwunastu innych arkonitów. Teraz potrzebował jedynie krwi, żeby wypuścić ich z Piekła.

Carrick uśmiechnął się szeroko.

--Nawet bogowie nie mogą nam dorównać siłą -- oświadczył. -- Z takimi wojownikami Pandemia wkrótce stanie się największą potęgą na świecie. Menoa zapewnia nam wielką przyszłość.

Uwagę Harper przyciągnął śmiech dobiegający z kamieniołomu. Maszynista wysiadł z lokomotywy i rozmawiał przyjaźnie z dwoma przedstawicielami Spółki Kolejowej w szarych mundurach, którzy wyszli mu z wieży na spotkanie. Jeden najwyraźniej rzucił jakiś żart. Po wypełnieniu formularzy maszynista pożegnał urzędników, uchylając czapki, i wdrapał się z powrotem do pociągu. Na znak człowieka w mundurze sygnalista na wieży uniósł czerwoną flagę. *Duma Eleanor Damask* ruszyła z szarpnięciem ku krawędzi urwiska, gdzie czekał parowiec w kołysce z kości.

Harper spojrzała na arkonitę, kiedy pociąg przejeżdżał obok niego. Deszcz skapywał z fałdów czaszki pokrytej guanem. Oczodoły były głębokimi jaskiniami pełnymi krążących mew i maszynierii. W nagich kościach biegły przewody hydrauliczne, w klatkę piersiową wciśnięto metalowe kadzie, zawory, tłoki i wały rozrządu, śliskie od czarnego smaru.

Szklany pociąg zaczął z dudnieniem toczyć się po żelaznym trapie w głąb ładowni *Sally Broom*.

--Kondensatory! -- krzyknął maszynista.

Inżynier pchnął przełącznik na tablicy przyrządów, włączając pompy. Z silnika dobiegł wściekły stukot, chmury pary buchające z komina zmniejszyły się do cienkiej smużki.

--Sprężamy parę, żeby zamienić ją z powrotem w wodę -- wyjaśnił Carrick, zwracając się do pasażerów.

--To bardzo hałaśliwy proces -- poskarżyła się Edith.

--Istotnie, ale to lepsze niż wtłaczanie gorących wyziewów do zamkniętej przestrzeni. Pociągi węglowe w Moine i Cog wykorzystują ten sam system.

Arkonita nie poruszył się, kiedy lokomotywa, tender, a potem pierwsze wagony zniknęły w ładowni parowca. Trzej ludzie z załogi statku weszli na trap i pochylili się nisko, żeby sprawdzić stalowe ogniwa w miejscu, gdzie tory kolejowe łączyły się z pokładem *Sally Broom*. Wilgotna ciemność cuchnąca rdzą otoczyła pasażerów, kiedy *Eleanor* wjechała w głąb promu. Między grodziami huk kondensatorów stał się ogłuszający.

--Och, to okropne! -- Okrzyk Edith zabrzmiał głucho jak w studni. -- Jak mamy tu w ogóle coś zobaczyć? Gdzie są okna?

Carrick musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć hałas.

--Wysiądziemy, jak tylko pociąg znajdzie się cały w ładowni. Ten statek ma wspaniały pokład obserwacyjny, a kucharze przygotowali lunch.

--Stąd wcale nie wygląda wspaniale -- odparowała Edith, mierząc wzrokiem rdzawe kałuże. -- Nie chcę zniszczyć sobie sukni.

--Zostanę tu z panią. -- Isaac wypiął pierś i położył dłoń na rękojeści miecza. -- Możemy skorzystać z wagonu restauracyjnego *Eleanor*.

--Pana w ogóle nie powinno tutaj być! -- krzyknęła panna Bainbridge. -- I jeśli pan zostaje, ja wychodzę. -- Okręciła się na pięcie i pomaszerowała do schodów.

--Chyba przesadziłeś, człowieku -- stwierdził Jones.

Lepidopterolog posłał rezerwiście słaby uśmiech, ale Harper wydawało się, że dostrzega wyraz satysfakcji na jego twarzy. Czyżby mały człowieczek chciał zostać tutaj sam?

Kiedy platforma łowiecka z samego końca pociągu znalazła się na promie, maszynista zatrzymał lokomotywę. Personel kuchenny *Eleanor* wysiadł pierwszy, niosąc lampy olejowe i wiklinowe kosze. Obsługa pociągu, prowadzona przez dwóch członków załogi *Sally*, ruszyła do

schodów. Nie tracąc czasu, stewardzi skierowali wszystkich pasażerów -- oprócz Pilby'ego, który postanowił zostać -- w ślad za nimi. Harper napełniła butlę mgłą i wysiadła z wagonu w chwili, gdy inni marynarze zaczęli podnosić trap i spinać łańcuchami koła i osie pociągu ze stalowymi hakami zamocowanymi w podłodze ładowni.

Kiedy pasażerowie maszerowali w górę po schodach wyłożonych dywanem, obok maszynowni i przez pokłady dla załogi, towarzyszyło im niskie buczenie silników. Gdy dotarli do jasnego, choć trochę przykurzonego salonu, stewardzi z *Eleanor* już wyłożyli jedzenie na długie stoły ustawione pod rzędami bulajów po obu stronach przestronnego pomieszczenia. Gazowe żyrandole strzelały pomarańczowymi płomieniami, rzucając silne światło na smolowane grodzie i wytarty dywan. Włazy z prawej i lewej burty wychodziły na wąskie metalowe pokłady pasażerskie, a podwójne drzwi na dziobie otwierały się na szeroki, drewniany pokład sztormowy. Zapach świeżo pieczonego chleba mieszał się z wonią palącego się węgla.

Harper wyszła na zewnątrz i oparła się o poręcz. Chmury dymu z kominów *Sally* płynęły nad krawędzią masywu Moine, zasłaniając przedramię arkonity. Metafizyczka dostrzegła misterne pętle i zawijasy wyryte na jego masywnych kościach, podobne do tych, które widywało się na starych maszynach budowlanych Ayen. Żebra automatu widoczne z prawej burty parowca wypełniała ciężka maszyna. W sercu jaśniało przytłumione czerwone światło.

--Panie i panowie, proponuję wyjść na zewnątrz, skąd będziemy mieli lepszy widok -- dobiegł z salonu głos Carricka.

Harper usłyszała, że pasażerowie gromadzą się za nią na pokładzie, ale nie odrywała wzroku od jeziora. Ze swojego miejsca miała rozległy widok. Promienie słońca przewiercały chmury na zachodzie i cętkowały srebrne wody Larnaig. Harper wychyliła się i spojrzała wzdłuż kadłuba parowca. Czteryście stóp niżej, pod powierzchnią jeziora dostrzegła kamienne nabrzeże z dźwigami i słupkami do cumowania, a obok stopy kolosa czerwonobrazowe góry zatopionych statków i lokomotyw parowych.

--Jan, co to jest? -- zapytała cicho.

--Nie rób sensacji -- syknął Carrick.

--Nie robię sensacji. Chciałabym wiedzieć, dlaczego wokół stopy arkonity leży stos zardzewiałych statków i pociągów. -- Naliczyła pięć stalowych jednostek i tyle samo lokomotyw, do połowy zagrzebanych w mule na dnie jeziora. Niektóre zatopione składy znajdowały się częściowo w ładowni promów, jakby z nich wypadły. -- I chciałabym wiedzieć, dlaczego dwa... nie, trzy statki mają nazwę *Sally Broom* wymalowaną na kadłubach. Sądziłam, że tylko nasz nosi to imię.

--Ja też jestem zaintrygowany -- wtrącił się Jones, który podszedł do nich i stał teraz obok Harper, trzymając dłoń na rękojeści rapiera. On również intensywnie wpatrywał się w głębinę. -- Te parowce są porządnie uszkodzone, jeden wygląda, jakby spadł z dużej wysokości.

--Nie, mogę zapewnić... -- zaczął Carrick.

--O co chodzi? -- zainteresował się Ersimmin, który nagle wyrósł obok nich. Spojrzał w dół. -- O, rany! -- wykrzyknął. -- To dość niepokojące, nie uważacie? Słyszałem plotki, że wcześniej został skonstruowany inny arkonita.

--Demon Skirl -- potwierdził stary rezerwista. -- Nie sądzę jednak, żeby to był arkonita. Nikt w biurze łącznika nie chciał o tym rozmawiać.

Carrick poruszył się niespokojnie.

--Nie ma ani krzty prawdy w tych plotkach -- zapewnił.

--Co tam zauważyliście, chłopcy? -- Edith ruszyła ku nim przez pokład, szeleszcząc suknią.

Wyjrzała przez poręcz i zmarszczyła brwi. -- Co to jest?

Oficer łącznikowy próbował skierować ją w inną stronę, ale panna Bainbridge stawiała opór, a na jej chudej twarzy pojawił się wyraz nieufności.

--Zatopione statki i lokomotywy -- stwierdził Ersimmin.

--Statki? -- Edith popatrzyła na wraki z zaszępioną miną. -- Dlaczego tyle ich tutaj zatono? Czy są tu rafy?

Pianista zachichotał.

--Bez wątplenia tak, Edith.

--Stewardzi są już gotowi -- oznajmił Carrick.

Ale Edith Bainbridge, która w końcu pojęła, co oznacza podwodna scena, krzyknęła:

--Dobry Boże! Zatrzymać opuszczanie! Zatrzymać opuszczanie! -- Odwróciła się i wylądowała cały gniew na Carricku. -- Co zamierzacie z nami zrobić? Zabić nas wszystkich? Otworzyć drzwi! Natychmiast wysiadam z tego statku!

Pozostali goście podbiegli do relingu.

--Panno Bainbridge, początkowo były pewne problemy z pierwszym automatem -- wyjaśnił Carrick. -- Ale mogę panią zapewnić, że zostały rozwiązane. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

--Więc jednak był arkonita w Skirl -- mruknął Jones do Ersimmina. -- I zdaje się, że tędy przechodził -- dorzucił pianista.

Edith dźgnęła Carricka palcem w rękawiczkę.

--To nie są żadne początkowe problemy. -- Jej ostry głos wybił się ponad dudnienie silników parowca. -- To jest cmentarzysko, a ja wysiadam, zanim ten prom również skończy na dnie.

W tym momencie w kamieniolomie rozbrzmiał róg i po chwili odpowiedział mu ryk syreny mgłowej *Sally*. Harper poczuła, że przez pokład przebiega drżenie, i spojrzała na tłoki i koła obracające się w klatce piersiowej arkonity. Mewy pierzchły z krzykiem z wielkiej maszyny. Czerwone światło w sercu pociemniało i zaczęło pulsować.

Kościano-metalowy automat uniósł ogromną wyszczerzoną czaszkę nad kamieniolomem i wyprostował kręgosłup. Rozłożył cienkie skrzydła i przebił nimi chmury, wypuszczając z nich strugi deszczu. Parowiec zadrżał i szarpnął. Na biodrze Harper zaszumiał lokalizator. Metaflzyczka odpięła urządzenia od pasa, szybko je ustawiła i przez chwilę wpatrywała się w drgającą wskazówkę. Potem odetchnęła z ulgą. Nie zarejestrowała nic podejrzanego, tylko falę mocy pochodzącą z fragmentu Irila zamkniętego w sercu arkonity.

Z tyłu dobiegł dźwięk szorowania metalu o skałę, a po nim krzyki ludzi.

--Zebrać liny!

--Zamknąć trap!

Zagrzechotały łańcuchy, parowiec się zatrzęsł. Ogromny silnik pracował w klatce piersiowej arkonity pełną parą, pompując chemicznie zmienioną krew przez metalowe żyły. Czerwone światelko w sercu pulsowało mocniej. Ściany przekładni ożyły. Tłoki w ramionach zaczęły chodzić, wały obracały się coraz szybciej. Z czaszki dobiegł potężny syk. Harper

poczuła silny podmuch. Chwyciła się poręczy.

Arkonita monstrualną ręką zdjął statek -- wraz z pociągiem i pasażerami -- z krawędzi płaskowyżu Moine i uniósł go w powietrze.

--Panie i panowie! -- zawołał Carrick, przekrzykując hałas. -- Wróćmy do środka, żeby w spokoju cieszyć się podróżą.

--Nigdzie nie idę -- oświadczył Jones. -- To zbyt dobre widowisko, żeby obserwować je przez bulaje.

Statek przechylił się raptownie i znieruchomiał. Kominy jęknęły donośnie, napierając na główny pokład. Harper zachwiała się, ale przed upadkiem uratował ją stary rezerwista.

--Nasz gigantyczny przyjaciel musi nauczyć się delikatności -- stwierdził. -- Jeszcze jeden nieostrożny ruch i *Sally* przelamie się na pół.

Harper wzięła głęboki wdech i powiedziała:

--Mam nadzieję, że w środku nie roztrzaskało się żadne szkło.

--Personel na pewno owinął wszystko, co mogłoby się stłuc.

--Z wyjątkiem niewolników.

--A... -- Jonesowi wydłużyła się twarz. -- Rozumiem.

Ersimmin przytrzymał się Edith Bainbridge, a ona zaczęła go okładać wachlarzem.

--Zostaw mnie, łotrze. On nas upuści! Muszę znaleźć kamizelkę ratunkową.

Przez chwilę statek tkwił bez ruchu w garści arkonity. Harper wychyliła się przez balustradę i spojrzała wzdłuż kadłuba. Za rufą mokre brązowe urwiska masywu Moine opadały czterysta jardów w dół w spokojne wody jeziora. Wokół promu krążyły stada mew. Czaszka arkonity obróciła się powoli, a potem przysunęła bliżej, tak że niebo nad nimi wypełnił żółty uśmiech. Lokalizator Harper nagle wydał ostry dźwięk.

--Co się dzieje? -- zapytał Jones.

Harper wpatrywała się z rosnącym lękiem w urządzenie. Wskazówka śmigła między dwoma końcami skali. Kryształy pulsowały gwałtownie.

--Nie wiem -- powiedziała. -- Lokalizator też nie wie. Panikuje.

Rezerwista położył dłoń na rękojeści miecza.

--Kolejny nieproszony gość?

Metafizyczka potrząsnęła głową.

W tym momencie kolejny potężny wstrząs omal nie zbil pasażerów z nóg. Automat zaczął opuszczać szkieletową dłoń, w której trzymał statek.

--Okrutne niebiosa! -- krzyknął Jones. Długie siwe włosy smagały go w twarz, kiedy prom zbliżał się szybko ku wodom Larnaig. -- Musimy opadać tak szybko?

--Sądzę, że to niewłaściwe pytanie -- rzekł Ersimmin, który, podobnie jak jego starszy kolega, wydawał się całkiem spokojny, czego nie można było powiedzieć o reszcie pasażerów. - - Sądząc po wyrazie twarzy naszego gospodarza -- skinieniem głowy wskazał na oficera łącznikowego -- obecnie na własnej skórze doświadczamy jednego z tych początkowych problemów.

Carrick ścisnął poręcz obiema rękami, a jego twarz przybrała barwę popiołu. Pasażerowie też radzili sobie, jak mogli. Dżentelmeni przyciskali się do grodzi w salonie albo trzymali się relingów na pokładzie, damy przywierały do dżentelmenów.

Parowiec zadrżał, a potem gwałtownie przechylił się dziobem w dół. Kilku pasażerów

upadło. Talerze roztrzaskały się o podłogę salonu.

--Zaczynam rozumieć, dlaczego mesmeryści wynajęli naszą spółkę kolejową -- powiedział Ersimmin do Jonesa spokojnym głosem. -- Są świetnymi żołnierzami, ale nie mają pojęcia o transporcie.

ROZDZIAŁ 25

BAZYLIS

Wstrząs rzucił na siebie dwóch niewolników. Ich szklane łuskowate skóry roztrzaskały się jedna o drugą. Mina upadła na śliskiej podłodze i próbowała wstać, opierając się na rękach i kolanach. Dłonie miała mokre i czerwone. Lampy olejowe migotały w półmroku ładowni, przesywając wagony lancami światła.

--Czy nie tego właśnie chciałaś?! -- krzyknął Hasp. -- Szybkiego powrotu do Piekla.

--Prosiłam cię, żebyś mnie zabił, a nie o coś takiego -- odparła Mina. -- Niezwykle wyrafinowana forma samobójstwa. Mamy teraz zalew świeżych dusz. Czas na trochę taumaturgii, jeśli się nie mylę.

--Skąd wiedziałeś?

--Wiedziałem od początku.

Mina Greene zmarszczyła nos.

Po kolejnym szarpnięciu następny z byłych żołnierzy Rysa uderzył o ścianę. Szklane łuski na jego nadgarstkach, łokciach i głowie pękły i wyciekło przez nie życie.

Mina wyszeptała modlitwę, prośbę do swojego stróża Bazylisa, głównego łowczego Ayen, rysując sygile na zakrwawionej podłodze:

Jedna czerwona dusza dla Lasu Oczu,

Druga dla Lasu Zębów,

Trzecia, żeby zgniła w Lesie Wojny,

A ty pomożesz teraz swojej służce.

Hasp odchrząknął.

--Minęło trochę czasu, odkąd byłem świadkiem taumaturgicznego rytuału, a jeszcze więcej od ostatniego spotkania z tym draniem Bazylisem. Będzie zabawnie.

W ładowni rozszedł się odór Lasu Wojennego, kiedy coś poruszyło się w czerwonej kałuży na podłodze. Potem wypuściło korzenie i gałęzie, zaczęło rosnać. Było to serce drzewa Bazylisa, manifestacja samego łowczego Ayen.

Ludzie północy, którzy jeszcze zostali przy życiu, z przerażeniem w oczach uciekli w drugi koniec pomieszczenia.

Z drzewa dobiegł głęboki głos:

--To słabe dusze, taumaturgu. -- Manifestacja zatrzęsała się, ociekając czerwoną wodą. -- Rzadkie jak wspomnienia.

--To nadal są dusze, a ja nie musiałam sama ich zabijać -- odparła Mina. -- Potrzebuję twojej pomocy, Bazylisie. Musimy coś zrobić z Dilem.

Łowczy się roześmiał.

--Zawsze zbyt nisko siebie oceniałaś, Mino -- stwierdził. -- Bez mojej pomocy wezwiałaś strażnika z Lasu Wojennego. Bez mojej pomocy zabiłaś jednego z jeńców. A czy nie umieściłaś kawałka swojej duszy w arkonicie bez mojej pomocy? Wystarczy, że teraz po niego sięgniesz.

--Nie mogę! Mesmeryści mnie zmienili. Moja dusza jest otumaniona i... obolała. -- Mina omal nie tupnęła nogą. -- Poza tym czułabym się pewniej, gdybyś tu był ze mną.

Z drzewa dobiegł kolejny wybuch śmiechu.

--To twoja nowa postać, Bazylisie? -- odezwał się Hasp. -- Czy nie byłeś ostatnio psem?

--Hasp... -- Drzewo westchnęło. -- Dlaczego nie jesteś w Piekło?

Bóg odchrząknął.

--Mesmeryści złapali nas oboje. Uznali, że Mina jest moją kobietą.

--Twoją kobietą? -- warknął Bazylis.

--Spokojnie -- powiedział Hasp. -- Ona nie jest w moim typie.

Minę nagle ogarnęła złość. Nie dlatego że archont jej się podobał. Nie w ten sposób. Ale uznała za niesprawiedliwe, że bóg nie zalicza jej do swojego ulubionego typu. Cała ładownia znowu podskoczyła i Greene zsunęła się w lewo. Próbowwała chwycić się korzeni sercowego drzewa, ale Bazylis cofnął je z cichym warczeniem.

O, nie.

--Tak się przypadkiem złożyło, że Hasp i ja szukaliśmy Dilla -- powiedziała szybko. -- To wszystko. Przykro mi, że zostawiłam cię samego w Skażonym Lesie, ale nie mogłam przepuścić okazji, żeby zakraść się niepostrzeżenie do Piekła. Brama Deepgate roila się od mesmeryckich upiórów, więc nie chciałam ryzykować. Wiesz, że wrócę po ciebie, gdy tylko będę mogła.

Parowiec runął w dół. *Duma Eleanor Damask* zakolysała się gwałtownie w mroku jego żelaznego brzucha i jęknęła w łańcuchach spinających jej koła i osie z pokładem ładowni. Stalowe ogniwa naprężyły się i wygięły. Szklane wagony otarły się o siebie, próbując uwolnić z oków.

Głos Bazylisa zabrzmiał jak grzmot:

--Już nie przebywam w tej trującej puszczy. I nie jestem sam. Kobieta Spine i jej towarzysz znaleźli moją fizyczną postać w Skażonym Lesie i zabrali mnie do Cospinola, a on przewiózł nas swoim statkiem powietrznym do Coreollis. Kiedy ty byłaś w Piekło, Mino, ja podróżowałem przez świat. Teraz mieszkam w pałacu Rysa, niecałe dwie mile od ciebie. Stąd możemy obserwować przejście arkonity przez jezioro Larnaig.

--Kobieta? -- mruknęła Mina. -- Jaka kobieta?

Demon zachichotał.

--Ona nie jest taumaturgia, Mino.

Po kolejnym wstrząsie Mina pośliznęła się, ale jeden z korzeni popelzł przez podłogę, owinał się wokół jej nadgarstka i przyciągnął ją do drzewa. Nawet Hasp chwycił się drzewa. Ale ludzie północy nadal bali się zjawy i woleli się do niej nie zbliżać. Upadli i z impetem uderzyli w ścianę. Podczas gdy ci nieszczęśni żołnierze na próżno usiłowali tamować wypływające z nich życie, Mina przywierała do swojego demonicznego pana.

--Sięgnij teraz po drzazgę -- powiedział Bazylis. -- Pokaż tym biednym przestraszonym bogom, co potrafią Penny Diablica i jej strażnik.

--Potrzebuję twojej pomocy, żeby wyraźnie ją zobaczyć.

--Dobrze.

Mina wyobraziła sobie, że stoi w Lesie Oczu -- pierwszej z trzech postaci jej pana po wygnaniu z Piekła. Otoczyła ją gęstwina czarnych drzew i splątanych kolczastych zarośli. W poskręcanych pniach i konarach rozbłysły niezliczone oczy i skierowały się na taumaturga.

Mina podeszła do najbliższego drzewa i zajrzała w jedno ślepie. Zmarszczyła brwi i spojrziała w następne, potem w kolejne, podczas gdy miliony innych obserwowały ją uważnie.

--Pomóż mi, Bazylisie! -- krzyknęła.

Ale oczy tylko zamruwały.

Harper uderzyła kolanami w pokład, kiedy parowiec z hukiem opadł na powierzchnię jeziora Larnaig. Kadłub przechylił się gwałtownie, prysznic lodowatej wody zalał pokład i zmoczył wszystkich obecnych. Edith Bainbridge krzyknęła i zatoczyła się do tyłu, ale Jones i Ersimmin, którym jakoś udało się zachować równowagę, złapali ją między siebie. Inni pasażerowie poprzewracali się bezładnie.

Carrick kulił się przy drewnianym kole ratunkowym, oplatając je kurczowo rękoma. Prom wyprostował się z jękiem, a następnie pochylił w przeciwną stronę. Spieniona fala omyła pokład i cofnęła się, a parowiec jeszcze raz zakolysał się lekko i znieruchomiał.

--Wytoczę proces, wytoczę proces! -- Mokre włosy przykleiły się do twarzy panny Bainbridge, czarne smugi łez przecinały policzki pod rozszerzonymi ze strachu oczami.

--Uspokój się, Edith -- powiedział Jones. -- To jeszcze nie koniec. Posłuchaj!

Harper przekrzywiła głowę. Usłyszała narastający dziwny szum i trzask. Dudnienie jakby się przenosiło wzdłuż żelaznych poręczy i rezonowało w grodziach. Metafizyczka zerknęła na lokalizator.

--Otwiera się brama? -- spytał Jones.

Harper starała się odnaleźć jakiś sens w tym, co pokazywało urządzenie. Srebrna wskazówka skakała między ideogramami, opierając się jej próbom namierzenia źródła energii duchowej.

--To ta sama istota co poprzednio -- oznajmiła w końcu. -- Ta moc nie pochodzi ani z Piekła, ani z Ziemi. Wszędzie otwierają się i zamykają bramy, ale nie prowadzą do Labiryntu.

--Czy to możliwe?

--Zupełnie jakby coś przeszukiwało statek.

Metafizyczka powędrowała wzrokiem wzdłuż pokładu, na którym zapalały się i przygasaly zielone i czarne płomienie, otaczały żelazne nity w deskach. Zimny ogień liznął metalowe poręcze i części osprzętu, nie spalił niczego, tylko wydzielił prastarą woń ziemi.

--Pachnie jak las -- stwierdziła Harper.

Pasażerowie cofali się przed tym dziwnym zjawiskiem i zatykali nosy przed smrodem, podczas gdy *Sally Broom* łagodnie kołysała się na powierzchni jeziora. Metafizyczka obserwowała, jak płomienie przeciskają się między prętami relingu i spadają po kadłubie do miejsca, gdzie zanurzona w wodzie ręka wielkiego automatu powoli wypuszczała statek z uścisku.

Harper podbiegła do burty.

--Sabotaż?

Jones poruszył wąsami.

--A cóżby innego?

--Proszę wyłączyć to urządzenie -- dobiegł z tyłu rozkazujący głos. W drzwiach salonu stał Isaac Pilby z wyciągniętym mieczem o białej klindze, z wielościenną kryształową głowicą osadzoną na srebrnym trzonie. Swoje polecenie podkreślił zdecydowanym ruchem broni. Harper go posłuchała.

--A teraz chwilę zaczekamy -- powiedział Pilby.

Metafizyczka zauważyła, że koniec ostrza jest pokryty świeżą krwią.

--Co pan zrobił?

Lepidopterolog posłał jej przepaszający uśmiech.

--Jak na mój gust było za dużo personelu na statku. Bez wątpienia wielu z nich to agenci króla Menoi.

--Kim, do diabła, pan jest? -- zapytała Harper.

--Proszę spojrzeć na kolor mojego miecza. Ta broń, w przeciwieństwie do wielu obecnych tutaj, nie jest na pokaz. Nie czynię ustępstw na rzecz mody. I nie nazywam się Pilby.

Od strony burty dobiegł trzask, kiedy arkonita uniósł rękę nad pokład. Kości jego dłoni i nadgarstka były otoczone zielonymi i czarnymi płomieniami.

Lepidopterolog spojrział na kolosa, a potem na Harper.

--Jestem Pierwszym z Cieni Cohla -- oznajmił. -- Białym Mieczem.

--Przeklęty najemnik! -- wykrzyknął Jones. -- Ile ci płaci Rys, żebyś sabotował tę misję? Pilby wzruszył ramionami.

--Nie ruszaj się.

--Jest stu tych arogancki lotrów -- wyjaśnił Jones, zwracając się do Harper. -- Najemnicy Cohla walczą bronią o wszelkich barwach od bieli do czerni. Czarny Miecz i jego odpowiednik Biały Miecz są najlepszymi wojownikami w jednej z dwóch dyscyplin: kiril i yen, a pozostali zabijają się nawzajem, żeby zdobyć lepszą broń i, co za tym idzie, wyższą rangę.

--Zdaje się, że widziałeś sztukę Adelere'a? -- skomentował Biały Miecz.

--Widziałem, jak Edgar Lovich grał ciebie na scenie.

--Obawiam się, że kiepsko.

--I dlatego go zabiłeś?

Mały człowieczek potrząsnął głową.

--Niestety, ktoś mnie uprzedził.

--Czego chcesz? -- zapytał Jones.

--Tylko tego, żeby taumaturg pracował bez przeszkód.

Zielone i czarne płomienie sięgnęły ramienia arkonity. W ich nienaturalnym blasku twarz Pilby'ego wydawała się znacznie twardsza niż do tej pory. Lakoniczny uśmiech wskazywał na całkowity brak strachu i wiarę we własne umiejętności graniczącą z arogancją.

--Wiele istot, śmiertelnych i nieśmiertelnych, próbowało zapobiec wypuszczeniu tego arkonity na świat -- powiedział. -- Niestety, bez powodzenia, więc teraz muszą postarać się zdobyć nad nim kontrolę.

--A ty którym służysz? -- zapytał Jones. -- Rysowi, jak przypuszczam?

Pilby skinął głową.

Ersimmin, który obserwował całą scenę z odległości kilku jardów, podszedł do nich i wykrzyknął:

--Niedorzeczne! Twoja broń wcale nie jest biała. Raczej barwy kości słoniowej. Porównaj ją z moją. -- Wyciągnął swój miecz.

Pilby zerknął na broń pianisty, a potem zwarł się z nim wzrokiem.

--Twoja jest fałszywa -- oświadczył.

--Nie -- odparł Ersimmin i zaatakował małego człowieczka. Szczeknęła stal.

Pilby odparował jeden atak, potem drugi, ale trzecie pchnięcie trafiło go w szyję.

Samozwańczy Pierwszy z Cieni Cohla zacharczał i runął na pokład. Spomiędzy jego zaciśniętych na gardle palców pociekła krew.

Ersimmin podniósł upuszczony miecz i uważnie porównał go ze swoim. W końcu skinął głową i powiedział:

--Jego klinga jest ciemniejsza. Stary Pilby trwał w błędnym przeświadczeniu. -- Wyjął chusteczkę z kieszeni garnituru i do czysta wytarł swój miecz z krwi przeciwnika. -- W obiegu jest tyle broni o podobnym odcieniu, że nigdy nie można być całkiem pewnym, czy osiągnęło się prawdziwą wyższość.

--Więc ty jesteś Białym Mieczem? -- zapytała Harper. Pianista uklonił się.

--Teraz jestem bardziej pewny tego tytułu, choć nie mogę mieć absolutnej pewności, dopóki nie stanę do pojedynku z pozostałymi Cieniami Cohla. Słyszałem o jednym kirillińskim wojowniku, który zgromadził już dwadzieścia dwa miecze. -- Wzruszył ramionami, z trudem powściągnawszy drwiący uśmieszek. -- Prawie tyle co ja.

--Ilu was, przeklętych najemników, jest na pokładzie? -- zapytał Jones. -- Przypuszczam, że Lovich był jednym z nich.

--Raczej nie -- prychnął Ersimmin. -- Był po prostu okropnym aktorem z malowanym mieczem, przynosił wstyd wszystkim Cieniom Cohla. Nawet nie musiałem wyzywać go na pojedynek.

Harper wciągnęła głęboko w płuca zawartość butli. Więc to ten człowiek rozkazał Haspowi zabić Lovicha? Już miała zażądać od niego odpowiedzi, kiedy jej lokalizator zapiszczał.

Pianista lypnął na urządzenie.

--Król Menoa przewidział trudności, więc wynajął mnie, żebym chronił misję i pozwolił pani wykonywać swoją pracę, panno Harper. Może pani powstrzymać sabotaż?

--Nie wiem -- przyznała metafizyczka.

Przede wszystkim nie wiedziała, czy chce to zrobić. Utrata arkonity byłaby straszliwym ciosem dla Menoi. I choć w niewielkim stopniu zemstą za to, co stało się z Tomem. Ale gdyby teraz zawiodła króla, raczej nie miałyby szansy więcej się do niego zbliżyć. Poza tym nie potrafiła przewidzieć, co zrobiłby automat uwolniony spod wpływu władcy.

Świsnęła stal. To Jones wyciągnął swój rapier i zatoczył nim łuk, celując w szyję pianisty. Ersimmin sparował cios i próbował wymierzyć starcowi cios pięścią w bok głowy. Jones uchylił się i zdzielił przeciwnika łokciem w pierś. Pianista się zatoczył. Wąsacz wbił miecz prosto w jego serce.

Ersimmin runął na ciało Pilby'ego.

--Arogancki drań -- mruknął Jones. Postawił stopę na biodrze Ersimmina i wyciągnął zakrwawioną broń z jego piersi. -- Lovich nie był taki zły.

Harper przez dłuższą chwilę patrzyła na niego wstrząśnięta.

--Nie mów mi, że jesteś...

--Białym Mieczem? -- Jones wziął chusteczkę pianisty i wytarł nią swoją klingę. Metal miał kolor skał. -- Nie. Przypuszczam że plasuję się gdzieś wśród średnich szarości. -- Podniósł miecze Ersimmina i Pilby'ego i wyrzucił je za burtę.

--Nie powinieneś ich zatrzymać? -- spytała Harper. -- Żeby zdobyć wyższą rangę? Starzec odchrząknął.

--Ja zajmuję się tym dla pieniędzy. Gdy człowiek wchodzi w posiadanie czarnego albo białego miecza, wszystkie Cienie Cohla zaczynają go ścigać. Zresztą -- uniósł swój stary rapier -- ten jest równie ostry jak inne.

--Średnia szarość! -- wykrzyknęła Edith Bainbridge. -- To stawia naszą umowę w zupełnie innym świetle, panie Jones. -- Zmrużyła oczy i spojrzała na niego twardym wzrokiem. -- Byłam przekonana, że wynajęłam wielkiego mistrza kirilu, a okazał się pan niewiele lepszy od zwykłego rzezimieszka. Średnia szarość, też coś! Zwiódł mnie pan.

Jones wzruszył ramionami. Spojrzał na automat, a następnie zwrócił się do Harper:

--Przykro mi, panienko, ale nie mogę pozwolić, żeby zatrzymała pani ten proces. Zdaje się, że Pilby i ja mieliśmy ten sam kontrakt. Gdyby Ersimmin go nie zabił, nie musiałbym ujawniać własnej tożsamości.

--Jest pan agentem Rysa?

Jones skinieniem głowy wskazał na Edith.

--On pracuje dla mnie, a ja dla boga kwiatów i noży -- oznajmiła panna Bainbridge z uśmiechem. -- Wy, mesmeryści, uważacie, że ludzka rasa istnieje po to, żeby ją wykorzystywać do własnych celów, zgodnych z waszą spaczoną ideologią. W przeciwieństwie do ciebie, moja droga, ja postanowiłam nie porzucić swojej rasy.

--Nie zrobimy pani krzywdy, pod warunkiem, że nie będzie pani próbowała zniweczyć naszych planów -- obiecał Jones.

--Sprowadziliście taumaturga na pokład? Kto nim jest?

--Szczерze mówiąc, nie wiemy. -- Wąsacz wyglądał na poirytowanego. -- Rys nic o tym nie wspomniał. -- Wzruszył ramionami. -- Ale o Pilbym również nam nie powiedział. Zresztą to nieistotne. Działania taumaturga służą naszemu celowi, więc nie będziemy interweniować.

Sally Broom znajdowała się teraz jakieś sześćdziesiąt jardów od urwisk i szerokim łukiem oddalała się od automatu. Zostawiała za sobą wstęgę piany na falujących szarych wodach jeziora. Górujący nad nim arkonita wyglądał na bardzo ożywionego. Opuściwszy czaszkę wielkości zamku, wpatrywał się w silnik pracujący w jego piersi. Wśród maszynerii tańczyły czarne i zielone płomienie, oświecając przekładnie, tłoki i kadzie z krwią. Z donośnym łoskotem i zgrzytaniem metalu kolos uniósł rękę i uderzył nią w klatkę piersiową. Mewy pierzchły z wrzaskiem z gniazd uwitych w jego ramionach i szyi.

--Nic nie rozumiecie -- powiedziała Harper do Jonesa i Edith. -- Jeśli arkonita uwolni się spod wpływu Piekła, stanie się niezależny i nieprzewidywalny. Będzie nam wtedy grozić poważne niebezpieczeństwo.

--Carrick, byłbyś tak dobry i poinformował kapitana *Sally* o naszej sytuacji?

Proponowałbym jak najszybciej oddalić się od tego automatu.

Jones zwracał się do oficera łącznikowego, który przez cały czas siedział na pokładzie i z opadłą szczęką gapił się bezmyślnie na ciała Ersimmina i Pilby'ego. Teraz uniósł wzrok i spojrzał szklistymi oczyma na starego rezerwistę.

--Dobrze, proszę pana. -- Carrick wstał posłusznie i ruszył do wnętrza promu.

Z chmur dobiegł donośny łoskot żelaza przypominający bicie stu dzwonów. Ogień otoczył serce arkonity i wydarł z niego krzyk udręki. Wysoki na pięćset stóp mechaniczny archont zadrzał, a następnie szeroko rozpostarł ramiona i skrzydła. Zimny podmuch wiatru zmarszczył powierzchnię jeziora Larnaig, cisnął strzępy piany na pokład parowca. *Sally* kołysała się na falach, mozolnie oddalając się od kościanego giganta i masywu Moine... ale nie dość szybko, bo kiedy Harper ruszyła do schodów, żeby pobic po Haspa, zobaczyła, że gigant powoli odwraca głowę i kieruje wzrok na statek.

--Jest już wolny? -- zapytał Jones.

--Tak -- odparła Harper. -- Niech Iril nam pomoże!

--To dobrze. Menoa stracił swoją najgroźniejszą broń.

Arkonita wznosił pięści do nieba i ryknął. Potem zaczął maszerować w stronę maleńkiej uciekającej łódeczki.

Na dole schodów inżynier puściła się biegiem przez długi korytarz. W dziwnej ciszy wypełniającej przestrzeń między grodziami szczególnie głośno rozbrzmiewał stukot jej butów na metalowej podłodze. Ledwo docierał tutaj huk silników *Sally* i chlupot fal bijących o kadłub. Ta martwota była niczym omen, przedsmak śmierci. Hasp nie mógł zabić ścigającego ich monstrum. Wystarczyło, żeby automat uniósł statek i cisnął go przez jezioro albo wepchnął w zimną głębinę. Harper mimo wszystko podążała w głąb promu, bo nie miało znaczenia, czy jest w środku, czy na zewnątrz. I tak miała utonąć.

W pomieszczeniu niewolników czekał ją straszny widok. Podłoga ciasnej ładowni była czerwona od krwi. W kącie leżał stos ciał. Przeżyli tylko Hasp i młoda kobieta. Bóg trzymał ją w ramionach. Dziewczyna była nieprzytomna, ale oddychała.

--Nasz taumaturg? -- zapytała inżynier.

--Mina Greene z Deepgate -- odparł Hasp. -- Obawiam się, że wysilek był dla niej za duży.

--Chodź ze mną. Szybko.

--Więcej zabijania?

Harper popatrzyła na jego szklaną skórę i zadrżała.

Gdy znalazła się z powrotem na najwyższym pokładzie *Sally Broom*, zobaczyła, że arkonita kroczy ku nim przez jezioro. Wytworzone przez niego ogromne fale przetoczyły się po powierzchni wody i uderzyły w bok statku. Mewy otaczały go jak confetti.

W końcu automat dotarł do statku i ukucnął przy nim, wypełniając Harper całe pole widzenia.

Ale zamiast zgnieść kadłub *Sally*, otoczył go wielką kościstą dłonią, niemal delikatnie, i zatrzymał.

Potem opuścił niżej głowę, żeby przyjrzeć się swoim jeńcom.

Głęboko w martwych oczodołach metafizyczka dostrzegła lśniące czarne kryształy. Usłyszała turkot silników w czaszce i klatce piersiowej, powolne dudnienie krwi. Wyczuła zapach rdzy, oleju i czegoś jeszcze... Kości i grobów. Przez długą chwilę kolos zadowalał się samym oglądaniem zdobyczy.

Dill?

Zostało w nim coś z młodego anioła? Zdawał sobie sprawę z tego, kim jest i gdzie się znajduje? Czy Pan Pierwszej Cytadeli mógłby teraz się z nim porozumieć? Harper miała nadzieję, że tak.

Ale Carrick miał inny pomysł.

--Zabij go! -- rzucił krótko.

Słowa obudziły pasożyta drzemiącego w głowie Haspa. Rozkaz został wydany i bóg musiał go posłuchać. Odlączył się od grupy pasażerów, przeskoczył przez poręcz i ruszył biegiem na dziób statku. Po drodze zerwał zwój liny z jednej z szalup ratunkowych *Sally* i popędził dalej, ściskając miecz w potężnej pięści.

Harper krzyknęła, żeby się zatrzymał, ale Hasp ją zignorował.

Jones też rzucił rozkaz. Anioł nie zareagował.

--Zdaje się, że pasożyt już nie uważa nas za lojalne sługi króla -- stwierdził rezerwista. --

Śmiem twierdzić, że Menoa nie pochwała tego, co zobaczył oczami arkonity.

Harper zwróciła się do Carricka:

--Hasp nie da rady go zabić! Ale znał młodego anioła w Piekło, pomógł mu, chronił go.

Pozwól mu chociaż porozmawiać z Dilem.

Główny oficer łącznikowy popatrzył na nią z nienawiścią.

--Dokonałaś wyboru, Alice. Będziesz płacić za tę decyzję przez resztę... swojej żalostnej egzystencji. -- Zerknął na miecz Jonesa. -- Szklany drań jest już za daleko, żeby usłyszeć następne rozkazy.

Wyszczierzona czaszka przesłoniła niemal całe posępne niebo. Jej oczodoły były niczym mroczne jaskinie. Mewy zataczały powolne kręgi nad automatem albo siadały na niezliczonych kościanych grzędach, znacząc je guanem. W swoim bezruchu arkonita na powrót stał się nieożywioną rzeczą pełną zagłębień i szczelin, w których mógł zbierać się deszcz, żeby zniszczyć ją do spółki z wiatrem. Ale Harper wiedziała, że wewnątrz tej istoty przepelniają udręka i rozpacz. Dziwne taumatyczne płomienie otoczyły duszę kolosa jak pięść wyciskająca truciznę z jego bijącego serca. Potem ogień zniknął, uwalniając stworzenie spod władzy Menoi. Teraz dusza Dilla zyskała świadomość, narażając się tym samym na cierpienie.

Tymczasem Hasp dotarł do miejsca, gdzie ręka automatu obejmowała statek. Zeskoczył z pokładu na jego kłykieć i ruszył dalej wzdłuż stalowych przewodów hydraulicznych oplatających przedramię. Automat, nawet jeśli wyczuł jego obecność, potraktował go jak muchę, niewartą nawet wysiłku trzepnięcia ręką. Dotarłszy do stawu łokciowego, bóg zsunął się między dwa tłoki i zaczął się wspinać na obojczyk.

Arkonita wybrał akurat ten moment, żeby dać upust wściekłości. Prawą ręką nadal obejmując dziób statku, lewą przebił nadbudówkę rufową. Metal wygiął się i pękł. Wstrząs zbił Harper z nóg, tak że mocno uderzyła głową w pokład. Kiedy spojrzała w górę, zobaczyła niebo pełne zębów, a potem odniosła wrażenie, że spadają na nią chmury.

Automat uniósł parowiec. Pokład przechylił się pod ostrym kątem. Z salonu dobiegł brzęk tłukących się naczyń i szkła, huk ciężkich przedmiotów uderzających w wewnętrzne grodzie. W powietrzu rozeszła się woń płonącego oleju z lamp. Deski zadrżały, metal jęknął, liny pozrywały się z donośnym świstem. Rozległa się seria trzasków i jeden z kominów *Sally* runął z potwornym hukiem na mostek. Daleko w dole pod dziobem parowca Harper ujrzała szare wody z płatami białej piany. I wtedy parowiec zatoczył w powietrzu łuk, gwałtownie lecąc do tyłu.

Automat wykonał zamach, żeby cisnąć statkiem.

Harper wydawało się, że słyszy odgłosy bitwy.

Pasożyt jazgotał w czaszce boga, domagając się wykonania rozkazu, ale Hasp opierał mu się z całych sił. Ten gigant był Dilem, tym samym aniołem, którego tak usilnie starał się ratować w Piekło. A teraz dostał rozkaz, żeby go zabić. Czerwona mgła przesłaniała mu wzrok, a on z furią próbował się pozbyć tej zasłony. Przywiązał jeden koniec liny do rury biegnącej w łopatkę automatu, a drugim się opasał. Wspiał się na ramię arkonity.

Przed oczyma miał jego plecy, czaszkę i druty między kręgami. Pobiegnął po kościanych

plytach, ściskając w ręce miecz.

Głowa się odwróciła.

Na jedną chwilę coś się rozjarzyło głęboko w oczodołach arkonity, w kryształach, które zastąpiły oczy Dilla. Wielka szczęką otworzyła się i zamknęła z trzaskiem.

--Dostałem rozkaz, żeby cię zabić, i muszę go posłuchać! -- krzyknął Hasp. W głowie kręciło mu się od wysiłku. -- Zabij mnie i uratuj siebie.

Z kolosa wydobył się głos huczący jak kamienna lawina:

--Hasp?

--Zabij mnie, Dill. -- Bóg dotarł do szyi arkonity, uniósł miecz i wbił go w gniazdo z drutów, kryształów i trybów między dwoma kręgami. Nie zdołał jednak zepsuć maszynerii ani nawet jej zadrapać.

Arkonita zawył.

Masywna pięść uniosła się i zamknęła wokół archonta zakutego w szkło. Hasp nie próbował uciekać. Miał zabić Dilla, ale nie dostał rozkazu, żeby chronić siebie.

Zamknięty w klatce z kości, poczuł, że gigant niesie go nad wodami jeziora Larnaig. Pasożyt w jego głowie domagał się krwi. Wbrew sobie bóg zmienił miecz w siekierę i zaczął nią uderzać w szkieletowe palce automatu.

Pięść się otworzyła.

Hasp po raz drugi ujrzał przed sobą ogromną twarz. Martwe oczy Dilla były pozbawione wyrazu. Uśmiech nie potrafił wyrazić emocji, które być może automat odczuwał. Ale w tej głowie panował zamęt. Arkonita mógłby z łatwością zmiażdżyć go w ręce, ale tego nie zrobił.

Hasp znowu zamachnął się siekierą.

Z dołu dobiegł krzyk, ale bóg nie zrozumiał słów. Wbił ostrze w nadgarstek Dilla. Nie pojawiła się żadna rana, ale automat ryknął z bólu. Hasp ponownie uniósł narzędzie.

--Stój... rozkaz... Hasp!

Tym razem archont rozpoznał głos. To Carrick wołał do niego z pokładu. Nakazywał mu zaniechać ataku? Bóg spojrział w dół.

I zobaczył, że Jones trzyma miecz na gardle oficera łącznikowego.

--Przerwij atak! -- krzyknął Carrick. -- To rozkaz.

Na twarzy Harper, która stała obok dwóch mężczyzn, odmalował się wyraz ogromnej ulgi. Jones spojrział w górę i uśmiechnął się szeroko.

--Kiedy zobaczyliśmy, jak arkonita reaguje na ciebie, Jones przekonał Carricka, żeby interweniował -- wyjaśniła Harper.

--Ja... -- zaczął oficer łącznikowy.

Jones przysunął miecz do jego gardła.

--Pamiętasz, co mówiliśmy o milczeniu?

Hasp wrócił na pokład *Sally*, a arkonita opuścił parowiec na wodę i teraz górował nad nimi, patrząc w dół. Setki ptaków siedziały na jego wielkich poszarpanych skrzydłach. Reszta pasażerów udała się do salonu na coś mocniejszego.

--Ma na imię Dill -- powiedział Hasp.

Harper jedynie kiwnęła głową. Z nich wszystkich odegrała największą rolę w upadku anioła.

Dill obudził się ze straszego snu, ale stwierdził, że jego obecna sytuacja jest identyczna jak w koszmarze. Ciało miał dziwnie odrętwiałe, bez wrażenia ciepła czy zimna. Jedynym doznaniem był ból. Szkieletowe ramiona i nogi, które widział przed sobą, nie mogły należeć do niego, a jednak -- co go mocno zaniepokoiło -- poruszały się zgodnie z jego wolą. Słyszał w pobliżu dudnienie silników, ale z początku nie umiał zlokalizować źródła dźwięku. Do jego uszu docierał szum porywistego wiatru, on sam jednak nie czuł na sobie jego podmuchów.

Stał po golenie w sadzawce i patrzył w dół na miniaturowy stateczek. Z jego pokładu spoglądały nań maleńkie ludziki. W swoim koszmarze Dill szedł przez krainę tych drzew i traw, pustych wrzosowisk i kamienistych pól leżących odlegiem. Dotarł do stromego brzegu i zszedł do płytkiej kałuży. Jakieś głosy kazały mu opuścić łódeczkę na wodę. A teraz, kiedy ucichły, widział daleko w dole ten sam okręcik i archonta w szklanej zbroi. Rozpoznał go.

--Hasp?

Jego głos zabrzmiał jak łoskot walącej się góry, który odbił się echem od krańców czasu. Dilla nagle ogarnął strach. Uniósł ręce i spojrzal na twarde, suche kości. Poruszyły się, kiedy postanowił zgiąć palce.

--Hasp!

Lilipuci archont krzyknął:

--...mnie... ręką!

Dill opuścił rękę ku statkowi i pozwolił aniołowi wskoczyć na swoją wyciągniętą dłoń. Pan Pierwszej Cytadeli był nie większy od szklanego paciorka. Kolos uniósł rękę do twarzy.

--Nie myśl o niczym, tylko skup się na moim głosie -- przemówił do niego Hasp. --

Wysłuchaj, co mam ci do powiedzenia.

Dill pokiwał głową.

--Śniłeś, ale teraz twoja dusza jest wolna -- ciągnął archont. -- Już nie jesteś w Piekło. Nie musisz więcej bać się Ikaratów.

--W Piekło? -- Wspomnienia czasu spędzonego w Procesorze zaatakowały go jak nawałnica: śpiewy Ikaratów, krzyki ścian, szloch gadających maszyn, noże i krew. Z przerażeniem spojrzal na swoją szkieletową dłoń.

--Fizyczna postać jest przejściowa -- rzekł Hasp. -- Tylko twoja dusza jest wieczna. Jedynie ona się teraz liczy.

--Gdzie ja jestem? Gdzie jest Deepgate?

--Jesteś po drugiej stronie świata, chłopcze, a ja nawet nie wiem, czy Deepgate jeszcze istnieje. -- Pan Pierwszej Cytadeli westchnął przeciągle i wskazał na południowy zachód. -- Widzisz tę plamę na horyzoncie? To wojska Menoi. Idą Czerwoną Drogą z Pandemerii.

W niedużej odległości od sadzawki Dill dostrzegł ciemne kształty -- nieregularne kwadraty i owale -- podążające karmazynowym szlakiem. Z najdalszych snuł się dym.

Maszyny?

--Teraz spójrz na północny brzeg.

Dill zobaczył grubą czerwoną linię ciągnącą się na wschód i na zachód. Po karmazynowej ziemi pełzały masy maleńkich czarnych istot. Dill z początku wziął je za insekty, ale po chwili zrozumiał, że to obozowisko drugiej armii, znacznie mniejszej niż ta, która nadchodziła z południowego zachodu, ale i tak stanowiącej istotną siłę. Dalej teren opadał łagodnie ku

otoczonemu grubymi murami jasnemu miastu pełnemu smukłych minaretów, które rysowały się na tle północnego nieba zasnutego dziwnym wałem mgły. Na otwartym polu przed bliźniaczymi wieżami wzniesiono ziemne wały i drewniane barykady. Obok nich stały balisty.

--Coreollis to forteca boga kwiatów i noży -- wyjaśnił Hasp. -- Król Menoa oczekuje, że mój brat Rys ugnie dzisiaj kolano przed ambasadorami Piekła i odda swoją duszę Dziewiętej Cytadeli. Musi to zrobić, bo inaczej grozi mu całkowite unicestwienie.

--Ze strony tamtej armii? -- Czarna horda wydawała się maleńka i niegroźna, ale Dill zaczynał rozumieć niebezpieczeństwo z perspektywy Haspa.

--Nie -- odparł archont. -- Z twojej strony. -- Skierował wzrok na Coreollis. -- Mgła oznacza, że przybył Cospinol, by walczyć u boku mojego brata. Ludzie północy wykorzystają ją, żeby ukryć, jak żałośnie nieliczne są ich szeregi.

--Więc będą walczyć?

--Teraz, kiedy Menoa cię stracił, wie, że Rys nie podpisze traktatu. Nie ma innego wyjścia, jak rzucić całą swoją hordę przeciwko Coreollis i spróbować je zdobyć. -- Hasp popatrzył na Dilla. -- Dzisiaj zetną się tu siły Piekła i Ziemi. Jeśli mesmeryści zwyciężą, w tej krainie zapanuje śmierć i chaos króla Menoi.

Dill ujrzał małe figurki gromadzące się wzdłuż brzegu. Ludziki wsiadały do niskich, smukłych łodzi i spychały je na jezioro. W miejscu, gdzie ciemne kadłuby stykały się z wodą, zaczynały krwawić i zostawiać za sobą karmazynowy ślad.

--Zorientowali się, że coś jest nie w porządku -- stwierdził Hasp. -- Albo król Menoa już wydał rozkazy. Wkrótce nas zaatakują.

Dill opuścił afchonta na pokład, po czym wsunął rękę pod kadłub i podniósł statek z jeziora. Z *Sally Broom* w dłoni wyruszył na spotkanie krwawiących łodzi króla Menoi.

ROZDZIAŁ 26

COREOLLIS

Rachel zostawiła Johna Kotwicę, który popijał w towarzystwie jednego z dowódców Rysa, i poszła na spacer ulicami Coreollis razem z Trenchem i Ramnirem. Przybyli tutaj dwa dni temu, w samą porę, bo na zachodnim brzegu jeziora Larnaig dostrzeżono posiłki mesmerystów nadciągające Czerwoną Drogą. Ale coś jeszcze niepokoiło mieszkańców miasta -- coś dużego i strasznego -- i właśnie wybrała się to obejrzeć.

Coreollis szykowało się do bitwy, wszędzie kręcili się ludzie północy. Ulice roiły się od tych weteranów zaprawionych w bojach z mesmeryckimi hordami. Kiedy Rachel i jej towarzysze szli wąskim zaułkiem, minęli oddział konnych żołnierzy. Podobnie jak ich bóg i dowódca, nosili srebrne pancerze wykute w Coreollis. Wysocy, jasnowłosi i szerocy w barach, wywodzili się od wikingów ze Skarraf, którzy opanowali tamto ładne miasto przed tysiącem lat. Lecz Rachel zauważyła rys okrucieństwa w ich twarzach i zachowaniu. Szybko okazywali dezaprobatę, a byli jeszcze bardziej skorzy do karania miejscowych.

Mesmeryści od dawna zagrażali Coreollis, ale miasto jeszcze nigdy nie przeżyło oblężenia. Hordy Menoi potrzebowały krwawej ziemi, żeby przemieścić się z jednego pola bitwy na drugie, a żołnierze Rysa wykorzystywali tę słabość. Starali się trzymać wroga z dala od linii dostaw znajdujących się na północy, skutecznie zaganiali go na obszar, na którym w ciągu ostatniej dekady toczyły się ciężkie walki, i nie dopuszczali do okrążenia.

Teraz na ulicach panowała atmosfera nerwowego wyczekiwania. Rachel, Trench i Ramnir minęli dziedziniec pełen wojowników ćwiczących walkę i omal nie zderzyli się z biegaczem, którego uwagę przyciągnęło to widowisko. Szerokie stopnie zaprowadziły ich na esplanadę przed Wieżami Bramnymi, gdzie żołnierze mieli utworzyć szyki przed wyruszeniem na pozycje poza murami miasta. Wokół nich kręcili się mieszkańcy, którzy przynosili jedzenie pikinierom i lucznikom pełniącym służbę na blankach. Kiedy dotarli do stóp schodów, dwaj żołnierze z Gwardii Kwiatów odwiązywali końskie wodze od słupków.

--Hej, pastuchu -- powiedział pierwszy strażnik do Ramnira. -- Przynieś owsa dla mojego zwierzęcia.

Jego towarzysz się zaśmiał.

Przywódca Heshette nic nie odpowiedział, ale jego ręka powędrowała do noża przy pasie. Trench go powstrzymał.

--To się liczy jako groźba -- stwierdził gwardzista. Był o stopę wyższy od Heshette i dwa razy potężniejszy. Słońce lśniło na jego napierśniku. -- Nie sięga się po broń przy Gwardii Kwiatów. Ktoś musi dać wam, cholernym poganom, lekcję.

Drugi, starszy, żołnierz, odchrząknął i powiedział:

--Myślę, że Kotwica przywiózł tych drani do pracy w stajniach. Widziałeś ich kobiety? Wolalbym spać ze swoim koniem.

--Nie będę cię powstrzymywał -- odparował Ramnir. Starszy gwardzista wyprostował się, groźnie marszcząc brwi. Odkąd tu przybyli, Rachel już raz odciągnęła Ramnira od walki, a nie podobały się jej spojrzenia tych dwóch.

--Proszę, panowie, jesteśmy tutaj gośćmi -- rzuciła pospiesznie. -- Nie chcemy nikogo obrazić. -- Pociągnęła przywódcę Heshette w stronę Wież Bramnych. Gdy znaleźli się za

murami miasta, dodała: -- Oni są po prostu nerwowi, bo wiedzą, co ich wkrótce czeka.

Stali na skraju Pola Larnaig, łagodnie opadającego do jeziora odległego o jakieś pół mili. Żołnierze z Gwardii Kwiatów, Gwardii Noży i straży miejskiej zajęli pozycje na kilku ziemnych wałach pod murami Coreollis. Na zachodzie, w pagórkowatej okolicy, stały balisty Rysa. Z miejskich stajni znajdujących się na wschodzie dobiegał rytmiczny dźwięk młotów uderzających o kowadła.

Armia króla Menoi czekała na krwawej ziemi blisko wody: masa dziwacznych postaci i maszyn. Wojowników było dziesięć tysięcy albo więcej i niewiele przypominało ludzi. Pół mili dalej dziesięć razy liczniejsze wojsko zmierzało na północ Czerwoną Droga, żeby do nich dołączyć. Nad legionem unosiły się słupy tłustego dymu.

Ale to na widok giganta stojącego w jeziorze Rachel zaparło dech.

--Arkonita?

Trench pokiwał głową.

Szkieletowa postać górowała nad statkiem, który, mocno przechylony, unosił się na wodzie blisko jego goleni i buchał czarnym dymem z prawie leżących kominów. Część żołnierzy Menoi spuściła łodzie na wodę i ruszyła w stronę automatu. Czarne smukłe jednostki sunęły po spokojnej powierzchni jeziora bez wiosel ani żagli, zostawiając za sobą ciemny ślad.

--Jak go zabijemy? -- zapytała cicho Rachel.

--Mieczami i siekierami -- odparł Ramnir.

Trench potrząsnął głową.

--Pierwszego arkonity nie dało się zabić. Nadal leży spętany saperbanowymi łańcuchami w zatopionym mieście Skirl. Ponad sto tysięcy wojowników zginęło, próbując go poskromić. Myślę, że ten -- wskazał głową na giganta -- jest większy.

--Spójrzcie! -- wykrzyknął Ramnir. -- Coś się dzieje.

Arkonita pochylił się i wziął uszkodzony statek do ręki. Następnie ruszył ku brzegom jeziora Larnaig, jakby szedł na spotkanie z flotą mesmerystów.

Kroczył wolno, tworząc kościstymi nogami wysokie fale. Popołudniowe słońce migotało na jeziorze, woda lśniła jak srebro. W oddali wznosiły się urwiska i zamglony masyw Moine.

Trzy z pięciu łodzi mesmerystów, które pierwsze dotarły do giganta, nie odważyły się podплыnąć bliżej.

--Dzieje się coś niedobrego -- stwierdził Trench.

Rachel również doszła do tego wniosku, gdy zobaczyła małe figurki biegające po pokładach mesmeryckich jednostek. Niemal słyszała gorączkowe rozkazy fruujące w powietrzu. Łodzie zaczęły się cofać.

Z miejskich murów dobiegł ostrzegawczy głos rogu. Najwyraźniej strażnicy też zauważyli niezwykle zachowanie mesmerystów na jeziorze. Rachel odwróciła się i zobaczyła żołnierzy Rysa biegnących po blankach i wykrzykujących rozkazy.

--Zacząło się -- skomentował Trench.

Harper stała na smaganym przez wiatr pokładzie sztormowym, trzysta stóp nad powierzchnią jeziora, podczas gdy Dill przebijał się przez mesmerycką flotyllę. Gigant nie potrzebował broni. Wystarczyło, że zrobił krok, by ogromna fala zatopiła statki znajdujące się z obu jego boków, a on sam nadeptał na te, które unosiły się na wodzie bezpośrednio przed nim,

zmieniając ich kadłuby w krwawiące szczątki. Dziwne zbroje Ikaratów pulsowały jaskrawymi niebieskimi błyskami, kiedy znikali w głębinie.

Niektóre jednostki stanęły do walki. Kierowane przez ikarackich kapłanów, zaczęły się zmieniać. Z ich nadburci wyrosły metalowe obracające się dyski najeżone kolcami, wieloprzegubowe owadzie ramiona zakończone pazurami, baty grubości ramienia i rury do rozpylania trucizn. Zapowiedzią ataków były trzaski, szepty i huki. Wysoko nad jezioro poszybowały niebieskie i ognistoczerwone łuki plynu i wybuchły na wysokości piersi Dilla. Bomby krzyknęły przy zetknięciu z celem, były to bowiem dusze stopione z materiałem łodzi.

Dill ledwo zauważył te pociski. Odtrącił je ręką i odkopnął łodzie na boki, zostawiając za sobą krwawy ślad.

Tymczasem na brzegu jeziora gromadziło się wojsko z obozu Menoi. Na krwawej ziemi zaroilo się od demonów prowadzonych przez ikarackich kapłanów, i wiedźmowe kule. Awangardę stanowiła grupa ciężkozbrojnych bestii podobnych do dzików, które ryły kłami wilgotną glebę i wyrzucały w górę wielkie czerwone grudy. Ich segmentowe pancerze były najeżone kolcami i parowały w blasku słońca jak gorący ołów.

Gdy Dill dotarł na brzeg, zmiażdżył stopą pierwsze z nich. Ciała nieszczęsnych stworzeń poleciały nad Polem Larnaig.

Cień parowca padł na szeregi na pozór bardziej ludzkich istot -- lotrów, morderców i gladiatorów, których Menoa w większości pozostawił w niezmienionej postaci, nie licząc zaostrzonych metalowych kończyn albo kawałków żelaznej skóry. Ci wojownicy zaatakowali toporami, włóczniami, nożami i długimi zakrzywionymi mieczami, lecz Dill nie czekał na ich ciosy i opuścił pole bez jednego draśnięcia.

Machiny wojenne pluły ogniem w niego i statek, który niósł w ręce, ale Dill pokonał długie, wąskie pole bitwy niecałymi dwunastoma krokami i ruszył przez lekko wznoszący się teren na spotkanie z armią Rysa czekającą w Coreollis. Wśród hordy rozbrzmiały rogi myśliwskie, ale wojownicy Menoi nie rzucili się w pościg za gigantem.

--Wrogowie zaczekają na posiłki, nim pomaszerują dalej -- wyjaśnił z posępną miną Hasp. -- Muszą najpierw zarżnąć niewolników, żeby zrosić pole bitwy krwią, lecz atak wkrótce nastąpi.

Główne siły Menoi już wlewały się do obozowiska nad Larnaig. Harper jeszcze nigdy nie widziała tyle wojska zgromadzonego przeciwko śmiertelnikom. Szeregi przekształconych wojowników i bestii ciągnęły się długą krętą linią wokół wschodniego brzegu jeziora. W słońcu późnego poranka lśnił las broni, a nad armią unosił się czerwony opar -- oddechy martwych płuc. Metafizyczka słyszała szcęk kości i zbroi, czuła drżenie ziemi, kiedy ciężkie buty, podkowy i koła zmieniały Czerwoną Drogę w krwawe błoto.

--Jest ich tylu. Czy Dill da radę pokonać wszystkich?

--Z łatwością -- odparł Hasp.

--Więc po co Menoa miałby atakować?

--Bo ucieczka byłaby teraz szaleństwem. Arkonita po prostu ruszyłyby za nimi i zgniótl ich na Czerwonej Drodze. Pan Labiryntu musi próbować osłabić Rysa, dopóki jeszcze może, poświęcić swoich mesmerystów, żeby zabić jak najwięcej żołnierzy mojego brata. Menoi nic nie obchodzą te demony. Ma całe Piekło, żeby stworzyć nową hordę.

Dill zatrzymał się pod bramami miasta i postawił parowiec na zielonej trawie. *Sally Broom*

częściowo zanurzyła się w miękkiej ziemi, przechyliła i znieruchomiała z jękiem.

Widok giganta sprawił ludzi północy stojących na blankach w takie osłupienie, że umilkli. Po chwili od miasta napłynęła gęsta mgła, przedostając się przez bramy i ponad grubymi granitowymi murami.

Jack Caulker czuł, że ta chwila się zbliża. Jako obcy, nie znalazł otuchy wśród okrutnych ludzi północy, którzy z niego szydzili. A pomimo licznych próśb Rys i inni bogowie nie uznali za stosowne udzielić mu audiencji. Większą część podróży spędził zamknięty pod pokładem wraz z jędzami Heshette i ich inwentarzem.

Noce były straszne. Gdy tylko rzezimieszek zasypiał, wracały koszmary. Za każdym razem zmieniał się w starą kobietę w zwiewnej sukni, stojącą na blankach fortecy Rockwall. I zawsze spadał jak kamień w dolinę, popchnięty przez Johna Kotwicę. Caulker spał niespokojnie i budził się na dźwięk własnego krzyku. Oczy miał wiecznie zaczerwienione i piekące. Wszystko go swędziało, czuł niewidzialne insekty pełzające po całym ciele.

Mimo to trzymał się blisko Kotwicy. Adamantowy Człowiek, nieodmiennie jowialny, śmiał się głośno z opowieści o dezercji arkonity z piekielnej armii. Caulker nie spuszczał oka z sakiewki przytroczonej do jego pasa. W każde południe, kiedy słońce stało w zenicie, wielkolud pożerał jedną duszę. Obejrzawszy dokładnie szklane paciorki, żeby znaleźć najmocniejszy i najczystszy, połykał uwięzionego ducha, a następnie zacierał wielkie ręce i zaczynał wciągać się po grubej linie, żeby sprawdzić swoją siłę. Rzezimieszek zauważył, że gdy zbliża się pora posiłku, Kotwica jest wyraźnie słabszy, najbardziej tuż przed ucztą.

Wielkolud nigdy nie odpinał sakiewki od pasa, ale też wcale nie próbował ukrywać swojego skarbu przed ludźmi. Caulker pał nią wzrok. Ile wściekłych duchów mieszkało w skórzanym mieszk? Tak łatwo byłoby je uwolnić, miażdżąc ich szklane więzienia. Gdy armia króla Piekła znalazła się tuż-tuż, doszedł do wniosku, że pora wykonać ruch.

--Ci wikingowie wyglądają na zdolnych żołnierzy -- stwierdził, kiedy razem z Kotwicą przechodzili przez Wieże Bramne Coreollis. Miejskie mury patrolowali lucznicy w lekkich zbrojach z blaszek i utwardzanej skóry.

--Tak, są zdolni -- zgodził się wielkolud. -- Weterani wielu bitew z Piekłem. Ale to nie są dobrzy ludzie. Trucizna, którą piją, żeby móc nosić takie okrutne zbroje, ich również czyni okrutnymi. -- Skrzywił się z niesmakiem. -- Zabiłem kiedyś jednego z żołnierzy Rysa, ale jego dusza była skażona. Bardzo niedobra.

--Co masz na myśli, mówiąc „okrutne zbroje”? -- Udając, że chce ominąć dziurę, Caulker ustawił się w takim miejscu, żeby łatwiej mu było sięgnąć do sakiewki przy pasie wielkoluda.

--Napierśniki -- odparł Kotwica. -- Zaczekaj, pokażę ci.

Znajdowali się teraz poza murami miejskimi, blisko parowca osadzonego na ziemi. Mgła przesłaniała pole schodzące do jeziora, ale Caulker słyszał wycia i krzyki armii króla Menoi stacjonującej niedaleko.

Tak blisko!

Spojrzał na wyszczerbiony kadłub statku. Żołnierze z Gwardii Kwiatów weszli po opuszczonym trapie i przeszukiwali wnętrze promu. Obok stała grupka pasażerów: kilku notabli w bogatych strojach, oficjalnie wyglądająca para w szarych mundurach, dziwny starzec i młoda kobieta, oboje w czymś w rodzaju czerwonych szklanych zbroi...

Jego uwagę odwrócił oddział kawalerii, który z loskotem przejechał obok. Jeźdźcy zniknęli we mgle, kierując się w stronę balist Rysa. Broń o dużym zasięgu nie mogła być skuteczna przy tak ograniczonej widoczności, ale Caulker przypuszczał, że rozstawiono ją na linii obrony na długo przed przybyciem statku Cospinola. Rozejrzał się za arkonitą, ale nigdzie go nie zobaczył.

Jak coś tak ogromnego może zniknąć z widoku?

--Ty! -- ryknął Kotwica do jednego z gwardzistów. -- Tak, ty, człowieku! Podejdz tutaj, proszę. Chciałbym pokazać mojemu przyjacielowi, skąd Rys ma takich dobrych wojowników.

Żołnierz uśmiechnął się szeroko i podszedł do nich wyraźnie zadowolony, że może zademonstrować swoją wyższość.

Był rosły i przystojny, miał krótkie jasne włosy i kwadratową szczękę. Miał na sobie taki sam posrebrzany napierśnik jak wszyscy jego towarzysze. Kiedy się zbliżył, poluzował skórzane pasy mocujące metalowy pancerz.

--Czyżby ten poganin nie słyszał o nożowej zbroi?

Kotwica pokręcił głową.

--On jest z innego kraju. Tam nie znają wojsk Menoi.

Gwardzista prychnął.

--Miękki wychów? Niewyszkolony, żeby oprzeć się perswazjom Oszusta. Nie to, co my. -- Krzywiąc się lekko, zdjął napierśnik.

Caulkerowi zrobiło się niedobrze.

Pierś żołnierza była jedną czerwoną masą blizn i co najmniej pięćdziesięciu świeżych ran. Metalowy pancerz był od środka nabity czterocalowymi nożami, skierowanymi do wewnątrz.

--Widzisz? -- zwrócił się Kotwica do Caulkera. -- Wojownicy Rysa noszą takie zbroje od siódmego roku życia. Noże najpierw są małe, a w miarę jak dziecko rośnie, pancerz jest wymieniany na taki z dłuższymi ostrzami. Ciało się do nich przyzwyczaja.

Rzezimieszek uciekł spojrzeniem w bok.

--Wielu z nich umiera -- dodał wielkolud.

Żołnierz z Gwardii Kwiatów roześmiał się i powiedział:

--Ale ci, którzy przeżywają, stają się silniejsi.

Kotwica i Caulker pożegnali się z nim i ruszyli na zachód wzdłuż miejskich murów. Po drodze mijali oddziały szykujące się do obrony za ziemnymi i drewnianymi palisadami. Rzezimieszek patrzył z lękiem na srebrne zbroje ludzi północy, wyobrażając sobie ich torsy.

--Cierpienie czyni ich odpornymi -- stwierdził Kotwica. -- Królowi Menoi trudno jest wpłynąć na takich ludzi. Trzeba wielu lat, żeby Piekło ich złamało. O, spójrz, żelazny anioł.

Arkonita był większy, niż Caulker się spodziewał. Rzezimieszek widział tylko dwie monstrualne szkieletowe stopy. Nogi ginęły wysoko we mgle. Na niebie majaczył niewyraźny cień.

--Duży, co? -- Kotwica zachichotał. -- I silny. Znalazł sobie broń.

Caulker przyjrzał się jeszcze raz i zobaczył coś wielkiego i metalowego wiszącego we mgle nad jego głową. Wyteżył wzrok, ale dostrzegł jedynie długi żelazny przedmiot z kominem i rzędami stalowych kół osadzonych na osiach. Gdy ta rzecz nagle się poruszyła, w dół spadł deszcz czarnych kamieni. Węgiel?

--Może powinniśmy wrócić do miasta -- zasugerował rzezimieszek. -- Żołnierze nie

podziękują ci za sprowadzenie tej mgły.

--Pomogę im w walce -- odparł Kotwica, nadal przyglądając się arkonicie. -- A oni pogodzą się z mgłą Cospinola. Uczciwy układ, co?

--Nie wierzę własnym oczom! -- wykrzyknął Trench.

Rachel odwróciła się i zobaczyła grupę pasażerów, którzy wysiedli z parowca poza murami miasta. Sillster Trench, archont towarzyszący jej przez całą drogę z Deepgate, popędził na ich spotkanie.

Na widok zbliżającego się anioła starzec odziany w dziwną szklaną zbroję uśmiechnął się szeroko.

--Więc udało ci się? Tyle że bez skrzydeł, jak widzę.

--Ty też straciłeś więcej niż tylko parę piór.

Objęli się i uściskali.

--Rachel, to jest Hasp, Pan Pierwszej Cytadeli, dowódca archontów Labiryntu i brat Ulcisa -- powiedział Trench. -- Hasp, oto Rachel Hael, przyjaciółka anioła, który oddał mi to ciało.

Rachel przełknęła ślinę. Ilu jeszcze braci martwego boga Ulcisa przyjdzie jej spotkać?

--Znałaś Dilla? -- spytał Hasp.

Asasynka skinęła głową.

--Trench mówił mi, że szukałeś go w Piekło. Ja... -- Zawahała się. -- Odnalazłeś go?

Pan Pierwszej Cytadeli przyglądał się jej przez chwilę.

--On żyje.

Ulga zalała serce Rachel. Jeśli dusza Dilla nie została zniszczona, była szansa, że wróci do jego ciała. Trench jej to obiecał. Ale co robił tutaj, na Ziemi, pan Pierwszej Cytadeli? Kto w takim razie szukał młodego anioła w Labiryncie?

--Menoa go dopadł -- oznajmił bez ogródek Hasp. -- Próbowałem go chronić, ale mi się nie udało.

--Co masz na myśli? Co się z nim stało? Gdzie on jest?

I wtedy Hasp powiedział jej prawdę.

--Teraz pójdziemy zerknąć na wroga.

--Co?

John Kotwica się rozpromienił.

--Mgła Cospinola nas zasłoni. -- Skinął na Caulkera. -- Chodź, zobaczymy, z jakimi demonami mamy do czynienia. -- Ruszył w dół zbocza.

--Nie powinieneś zaczekać na żołnierzy?! -- zawołał za nim rzezimieszek.

Wielkolud obejrzał się przez ramię.

--Po co? -- Roześmiał się i poszedł dalej, ciągnąc za sobą potężną linę. Caulker się zawahał. Był świadkiem, jak Kotwica walczy, i wiedział, że olbrzym bez trudu poradzi sobie ze strażami, które demony wystawiły wokół obozowiska. Poza tym zdawał sobie sprawę, że to może być jedyna szansa, żeby wydać giganta wrogom. Ale powstrzymywała go myśl o wypadzie w nieznane.

Jego towarzysz już niemal zniknął we mgle. Teraz albo nigdy. Caulker popędził za wielkoludem.

--Jack Caulker -- powiedział Kotwica, kiedy rzezimieszek się z nim zrównał. W jego głosie brzmiała nuta smutku. -- Kiedyś zapytałeś Cospinola, jak umrzesz. On wtedy nie znał odpowiedzi, ale zna ją teraz.

Caulker osłupiał. Już wcale nie był pewien, czy chce wiedzieć. Nieufnie łypnął na wielkoluda.

--Umrzesz, próbując zdradzić przyjaciela -- oznajmił Kotwica. Rzezimieszek nie odpowiedział. Ogarnął go niepokój. Skąd olbrzym mógł znać jego zamiary? Znowu próbował go oszukać, tak jak wtedy, gdy dał mu do połknięcia skażoną perłę. Caulker nareszcie rozumiał, w czym rzecz. Dusza była w jakiś sposób naznaczona i dlatego nawiedzały go straszne wizje śmierci. Kiedy tak maszerowali przez mgłę w stronę hordy Menoi, rzezimieszek wpadł w gniew.

--Zdradziłeś mnie! Nakarmiłeś zatrutą duszą.

--Nie -- rzekł krótko Kotwica.

--Co noc wracasz w moich snach, żeby mnie zabić.

Wielkolud wzruszył ramionami.

--Taka jest natura perel Cospinola. Te duchy są wściekle. Żyją w nas i dają nam siłę, ale próbują również skrzywdzić.

--Ale ty nie cierpisz.

Kotwica zatrzymał się raptownie. Na granicy mgły poruszały się ciemne obiekty, nad nimi w szarym mroku majaczyły większe cienie. Namioty czy chorągwie? Caulker poczuł silny odór zwierząt i kostnicy. Usłyszał zgrzyt stali, skrzypienie osi, turkot kół, tysiące cichych pomruków i sapnięć.

--Mam te same sny, Jacku Caulkerze -- wyszeptał wielkolud.

--Kłamca! -- Rzezimieszek sięgnął do sakiewki, ale Kotwica chwycił go za nadgarstek.

--Wszystkie te dusze są gniewne, zepsute i rozgoryczone -- powiedział cicho Adamantowy Człowiek. -- Ta, którą wybrałeś, i tak była lepsza niż pozostałe.

--Wcale nie -- syknął Caulker. Ten przeklęty gigant znowu go okłamywał. Sprowadził go tutaj, żeby zdradzić? Chciał pierwszy zdobyć sobie wdzięczność króla Menoi?

Kotwica odpiął od pasa woreczek.

--Jeśli mi nie wierzysz, wybierz inną. Ale ostrzegam, że tylko przysporzy ci więcej cierpienia.

Caulker zmierzył wzrokiem sakiewkę. Ile tuzinów perel połknął wielkolud od Martwych Piasków, nie doświadczając żadnych skutków ubocznych? Dusze wojowników z dalekich krajów, archontów i półbogów. Ale jego oszukał, dając mu do zjedzenia trującą esencję starej wariatki.

Rzezimieszek porwał mieszek i zaczął uciekać.

Biegąc w stronę armii Menoi, garściami wpychał sobie do ust szklane paciorki. Cienie we mgle zrobiły się wyraźniejsze. Caulker przebiegł obok barykady z kości i groźnie wyglądających włóczy z kryształowymi czubkami. Wokół niego chrząkały spłoszone, kuśtykające zjawy, ale on gnał dalej. Nagle minął strażę i zostawił za sobą mgłę Cospinola. Przed sobą ujrzał obozowisko i hordę zgromadzoną na karmazynowym brzegu jeziora. Obejrzał się i zauważył, że opar szybko napływa z powrotem na zbocze prowadzące do Coreollis. Kotwica najwyraźniej postanowił go nie ścigać.

Caulker uśmiechnął się szeroko i zjadł więcej perel. Te nie były skażone, bo już robił się

silniejszy. Z każdą nową duszą czuł, że opuszcza go zmęczenie. Wszystkie ciężkie lata, które spędził w kieracie u misjonarzy i potem na ulicach Sandport, po prostu zniknęły. Mógłby biec wiecznie.

Teraz odróżniał w tłumie poszczególne grupy: zakutyh w łańcuchy niewolników poganianych czubkami włóczni, wysokie postacie na szczudłach, wojowników w białych zbrojach podążających za nimi, czerwone, jakby obdarte ze skóry istoty, które pelzały niczym zwierzęta. Maszyny o ludzkich twarzach widocznych wśród przekładni i łańcuchów?

Rzezimieszek zwolnił kroku.

To wszystko byli tylko słudzy, piechota, niewolnicy. A gdzie król Piekła? Bez wątpienia dowodził armią ze stanowiska na tyłach. Caulker musiał jedynie znaleźć sposób, żeby z nim porozmawiać. I wręczyć dar.

Znalazłszy się na granicy obozu, rzezimieszek uniósł skradzioną sakiewkę i wykrzyknął: --Dusze dla waszego króla Menoi! Pozwólcie mi z nim porozmawiać.

Demony podążały dalej. Maszerowały, pelzły albo wdrapywały się na zbocze, pędząc przed sobą grupę dwudziestu ludzi zakutyh w łańcuchy. Wojownicy Menoi ścinałi głowy krzyczącym niewolnikom, żeby nawilżyć ziemię ich krwią. Machiny buchające dymem z gorących rur miażdżyły kołami ich kości. Dzikie stworzenia rozszarpały z wyciem kłami i pazurami ciała zabityh. Z dwudziestu jeńców zrobiło się dziesięciu, potem pięciu.

Caulker połknął następną perłę, żeby dodać sobie sił. I jeszcze jedną.

Przed sobą widział twarze wykrzywione szyderczym grymasem. Potężni żołnierze zakuci w brązowe zbroje szczękali metalowymi palcami. Stal zgrzytała o stal, kłapały zęby, świstały siekiery. Z pięciu niewolników zostało czterech, potem trzech. Trzeszczały miażdżone kości, lała się krew, wzmacniając hordę. Wiedźmowe kule toczyły się z szeptem, złościąc płytkie rowy w świeżej czerwonej ziemi.

--Podarunek dla waszego pana! -- krzyknął Caulker. -- Mam dla niego ważną wieść.

Nikt mu nie odpowiedział.

Rzezimieszek usłyszał jedynie okrzyk i rechot jakiejś wiedźmy. Sięgnął po następną perłę, ale woreczek był pusty. Ile dusz zjadł? Dwadzieścia? Pięćdziesiąt? Czuł w sobie ich moc. Dodawała mu pewności siebie.

Piekielna armia była coraz bliżej, demony łypały na intruza jak drapieżca przyglądający się zdobyczy. Gdy padł ostatni niewolnik, jego krzyk poniósł się echem po zboczu zalanym blaskiem słońca. Miecze i piki uniosły się. Usta zaczęły się ślinić.

--Domagam się audiencji u waszego króla! -- wrzasnął Caulker. -- Domagam się...

Wojownicy dotarli do rzezimieszka, a nie został im już żaden niewolnik, którego krwią mogliby się pożywić.

Stojąc na granicy mgły Cospinola, Harper patrzyła, jak posiłki dołączają do głównych sił Menoi. I dostrzegła wśród nich niewolników, których wojownicy Labiryntu zbierali w czasie marszu przez Pandemerię, żeby ich krwią użyźnić ziemię przed Coreollis.

Serce podpowiadało metafizycznie, żeby dołączyła do hord demonów. Butla z mgłą prawie wyschła, ona sama wkrótce miała stracić siły. Nie należała do żywych, nie mogła wśród nich długo przetrwać. Na koniec dnia i tak czekało ją Piekło.

--W tej armii muszą być setki tysięcy dusz, nie licząc niewolników -- stwierdził Jones.

--Więcej -- powiedziała Harper. -- Menoa wykorzystuje dusze jako amunicję. Każda zatruta strzała czy ognista kula to czyjeś życie. Broń, która odczuwa taki sam ból jak ofiary. -- Spojrzała na wąsatego rezerwistę. -- Dlaczego Edith Bainbridge zdradziła mesmerystów? Co takiego zaproponował jej Rys, a czego nie mógł dać Menoa?

Jones się uśmiechnął.

--Bóg kwiatów i noży jest bardzo przystojny.

--Naprawdę o to chodzi?

--Tak. -- Jones wzruszył ramionami. -- Jest próżna, głupia, bogata, arogancka i samolubna.

Ale nadal pozostaje kobietą.

--Ciekawe, jak poczulby się Rys, gdyby się dowiedział, że wygląd pomógł mu zmienić losy wojny?

--Bardzo by mu się to spodobało. Ale jeśli Menoa wypuści resztę arkonitów, ta zdrada niewiele nam pomoże. Mamy tylko jednego kolosa.

Istotnie, Dill mógł zabić każdego demona na pandemiańskim polu bitwy, ale trudno byłoby mu stawić czoło nawet jednemu z dwunastu pozostałych arkonitów Menoi.

--Możemy liczyć na więcej pomocy ze strony taumaturga?

Jones pokręcił głową.

--Mina Greene połączyła się ze swoim ulubieńcem, ale Bazylis jest okaleczony i upokorzony. Obawiam się, że już nadwerżył swoje siły.

--Więc jesteśmy skazani na klęskę.

--Myślę, że tak. Ale jeszcze nie dzisiaj.

Nad brzegiem jeziora nagle zagrały rogi. Armia Menoi zagoniła setki ludzkich niewolników na pole bitwy, zabijała maruderów, a resztę pędziła do przodu. Machiny wojenne, lepiej znoszące brak krwi, toczyły się po obu flankach głównych sił.

Wojsko Rysa odpowiedziało głosem trąbki. Ludzie północy wydali bojowe okrzyki i uderzyli mieczami o tarcze. Po chwili srebrna fala popłynęła w dół stoku na spotkanie wroga. W górze powiewały żółte i białe chorągwie. Łoskot żołnierskich butów brzmiał niczym bicie metalowego serca.

Dill też się poruszył. Gdy rozpostarł skrzydła, zasłonił nimi całe północne niebo i zahaczył o niższe chmury. W jednej ręce trzymał *Dumę Eleanor Damask* jak maczugę. Z lokomotywy sypał się na trawę węgiel. Arkonita pochylił się i w drugą dłoń wziął *Sally Broom*. Parowiec jęknął przeciągle w żelaznym uścisku, jego kadłub się wygiął, odpadł ostatni komin.

Hasp stał samotnie na blankach i z posępną miną obserwował pole bitwy. Zażądał od Rysa, żeby pozwolił mu walczyć, ale, o ironio, żołnierskie umiejętności przemówiły na jego niekorzyść. Nawet najslabszy demon z nadciągających hord Menoi mógłby rozkazać Panu Pierwszej Cytadeli, żeby zwrócił się przeciwko swoim towarzyszom.

Ponad wrzawę wybijał się śmiech Johna Kotwicy. Wielkolud klaskał w ręce i ciągnął statek swojego pana w dół wzgórza, a za wikingami Rysa postępowała mgła Cospinola.

Uzbrojeni w łuki i siekiery wojownicy Heshette pod wodzą Ramnira poganiali swoje wytrzymałe konie wzdłuż zachodniej flanki.

I wreszcie rozpoczęła się bitwa.

Dill cisnął *Sally Broom*.

Wielki żelazny parowiec wyrył bruzdę w szeregach wojowników Menoi. Przeorał mokrą

ziemię, wyrzucając w górę ogromną fontannę czerwonej gleby, ciał i maszyn. Uderzył w pagórek i potoczył się w dół, koziolkując. Oderwane pokłady skosily po drodze część oddziałów wroga. Z góry posypał się grad metalowych szczątków. Nadbudówka się rozpadła, kadłub podskoczył kilka razy, stanął w płomieniach i zatrzymał się nad brzegiem jeziora, otoczony chmurą piachu i dymu.

Królewscy tropiciele starli się z ludźmi północy. Poruszali się jak dzikie bestie i próbowali rzucać się do odkrytych gardel przeciwników, ale wojownicy Rysa uformowali się w falangi. Zza zasłony z ostrzy posypały się włócznie, zabijając demony. Po odparciu ataku wikingowie unieśli tarcze i ruszyli w zwartym szyku na gladiatorów Menoi. Zakuci w brąz wojownicy padali pod nawalą, mur utworzony z ludzi północy posuwał się naprzód, zostawiając dobijanie rannych szermierzom, którzy podążali za nimi.

Całun czerwonej mgły zawisł nad polem bitwy. Machiny wojenne króla Menoi wypuściły krzyczące pociski w gęstwinę nacierających. Żywe bomby wybuchły w szeregach wojsk Coreollis, siejąc wśród nich spustoszenie. Gdy rozpadła się jedna z wiedźmowych kul, powietrze przeszły diabelskie wrzaski i jęki.

Sillster Trench walczył samotnie przeciwko siedmiu Non Morai, z wielką wprawą posługując się szybkozmiennym mieczem. Skrzydlate demony krążyły wokół niego z piekielnym wyciem. Czempion Pierwszej Cytadeli wyczarowywał tarcze, żeby się bronić przed ich pazurami, a potem nagle przekształcał je w rapiery albo włócznie, żeby przebijać, ciąć albo dźgać wroga. Trup ścielil się wokół niego gęsto, a on parł naprzód, zadając śmierć swoją demoniczną bronią.

Nad polem bitwy górowało wielkie szkieletowe ciało Dilla. Arkonita nadal dzierżył w ręce *Dumę Eleanor Damask*. Wojska Menoi nie były dla niego żadnym przeciwnikiem, kolos tłukł je jak insekty. Unosił i opuszczał żelazną lokomotywę, miażdżąc na proch Ikaratów, tropicielei, maszyny wojenne. Tłoki w jego stawach wypuszczały z sykiem smugi pary. Silniki wyły jak stado wilków. Ziemia trzęsła się pod jego stopami.

Tymczasem Heshette mieli kłopoty. Ich wierzchowce, nieprzyzwyczajone do piekielnych istot, ploszyły się i stawały dęba. Jeźdźcy starali się nad nimi zapanować, jednocześnie strzelając z luków do gigantów o paszczach najeżonych kłami. Stwory pchały maszyny wojenne zrobione z obracających się kół z nożami, ludzkich ciał i łańcuchów. Dwie trzecie ludzi Ramnira już padło, pozostali byli zmuszeni do odwrotu. Zakute w pancerne zbroje monstra wydawały się odporne na strzały. Rozrywały konie nomadów na strzępy i od razu je pożerały.

Ale John Kotwica ruszył na pomoc przyjacielom.

Nie było widać, jak wielkolud walczy. Po prostu przez armię wroga sunęła zasłona z mgły, a za nią zostawały trupy. Gdy dotarła do ostatnich żywych Heshette, Harper usłyszała za sobą głos:

--To rzeź.

Metafizyczka odwróciła się i zobaczyła młodą kobietę. Była chuda i ubrana w poszarpane skóry.

--Rachel Hael -- przedstawiła się nieznajoma.

--Alice Harper.

--Niezczęsto spotykam kogoś równie bladego jak ja -- powiedziała Rachel.

Harper pociągnęła resztkę mgły z butli.

--Ja jestem martwa -- odparła. -- I powinnam być tam na dole razem z resztą potworów Menoi.

Hael wzruszyła ramionami.

--Po tej stronie pola bitwy jesteście równie dziwaczni, tylko ładniejsi. -- Uśmiechnęła się. -- I zwyciężamy.

Harper ścisnęła pustą gruszkę.

--Nie ma już krwi -- stwierdziła. -- Kiedy bitwa się skończy, będę musiała przejść się po poboju, żeby nakarmić swoją duszę. -- Spodziewała się wyrazu przerażenia albo odrazy na twarzy nowej znajomej, ale pojawił się na niej jedynie szerszy uśmiech.

--Brzmi nieźle -- stwierdziła Rachel. -- Chyba się do ciebie przyłączę. Jest tam mój przyjaciel, z którym od dawna nie rozmawiałam. Urósł, odkąd go ostatnio widziałam.

--Dill?

Hael skinęła głową.

--Już niedługo będzie po wszystkim.

Ludzie północy zepchnęli niedobitki armii Menoi z powrotem nad jezioro Larnaig. Trench, wokół którego zrobiło się luźno, opuścił miecz. Oddychał ciężko, jego podarta kolczuga sphywała posoką. Na zachodniej flance chmura mgły odpływała z nad kolejnego stosu trupów. Dill stał samotnie pośrodku pola bitwy, patrząc na obraz zniszczenia. Świeża krew oblepiała jego golenie. Monstrualna maczuga była wyszczerbiona i brakowało jej większości kół.

Rachel i Harper ruszyły w dół zbocza.

Ucięte kończyny i odłamki metalu zaścielały ziemię w promieniu pół mili. Czerwona para unosiła się z wilgotnych kopców niezidentyfikowanych szczątków. Cała okolica była zryta wielkimi dziurami i rowami tam, gdzie trafiła maczuga Dilla. Miejscami asasynka i metafizyczka musiały brnąć przez karmazynowe błoto. Ale Harper poczuła, że wracają jej siły.

--Zakrwawili Pole Larnaig -- mruknęła.

--Co?

--Menoa nasączył ziemię krwią aż do bram Coreollis -- wyjaśniła. -- Po tym, jak arkonita... Dill go zdradził, król Piekiła nie mógł mieć nadziei, że wygra tę bitwę. Poświęcił całą armię na próżno. -- Wzruszyła ramionami. -- To takie bezsensowne.

--Zwykła wściekłość?

Harper pokręciła głową.

--To do niego niepodobne. Menoa planuje wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Wszystkie jego plany zawierają inne plany. Adaptowanie się do nowych okoliczności jest jego drugą naturą. On wtedy kwitnie.

Rachel wyciągnęła stopę z grząskiej mazi.

--Może po prostu nie potrafił się zaadaptować, żeby stawić czoło temu zagrożeniu. Miał wszystkich żywych bogów przeciwko sobie, najpotężniejszych wojowników, jakich w życiu widziałam, zgromadzonych w jednym miejscu.

Harper zatrzymała się nagle. Powiodła wzrokiem po polu bitwy, tysiącach zabitych, ludzi i demonów leżących obok siebie. Kruki już zleciały się z miasta na ucztę. Skrzeczały, wyszarpywały kawałki mięsa z trupów i uciekały ze zdobyczą. Karmazynowe opary unosiły się w powietrzu, tak gęste, słodkie i przyprawiające o zawrót głowy, że Harper aż zadrżała.

--Wszyscy w jednym miejscu -- wyszeptała. -- Rys, Cospinol, Mirith, Hafe, żyjący

bogowie. Hasp i jego czempion, obaj z Pierwszej Cytadeli. Ludzcy najemnicy, Armia Kwiatów i Noży. Taumaturg z Deepgate i jej pupil. Przybyli tutaj wszyscy, którzy mogli powstrzymać Menoę. -- Spojrzała na Dilla. -- I jedyny arkonita, który zdradził. Niech nam bóg dopomoże.

--Co masz na myśli?

--Taumaturg Mina Greene wbiła w ciało Dilla drzazgę ze swojej duszy. Oto jak zdołała do niego dotrzeć. Ale Menoa wiedział o tym podstępie.

--Nie rozumiem.

--Menoa zrobił dwunastu arkonitów. Jego Ikaraci karmili ich latami, przekonywali, torturowali, żeby nauczyć uległości. Ale nie Dilla. -- Wyciągnęła przed siebie rękę. -- Nie rozumiesz? Dill był inny. Tylko on mógł zdradzić Menoę. Król Piekła spodziewał się jego przejścia na stronę wroga.

--Ale dlaczego?

--Chodzi o pobjowisko! -- krzyknęła Harper. -- To jeden wielki cmentarz! Przelano tutaj dość krwi, żeby otworzyć następną bramę.

W chwili, kiedy wypowiedziała te słowa, poczuła drzenie przebiegające przez pole bitwy. Grunt pod nią zaczął się zapadać. Stosy trupów potoczyły się do środka i zostały wchłonięte przez wilgotną ziemię.

Dill zachwiał się i odsunął od coraz większego zapadliska, do którego zsuwały się ciała, kości i zbroje. Między Larnaig a murami Coreollis powstawało nowe jezioro wypełnione brudną czerwoną wodą. Kruki poderwały się z krzykiem i odfrunęły z powrotem do miasta. Harper poczuła woń Labiryntu.

W bulgoczącej wodzie pojawiły się półkule z kości i wkrótce urosły, duże jak wyspy. Gdy zaczęły się wolno podnosić, na powierzchni ukazały się czola pokryte bliznami, głębokie doły w miejscach gdzie, jak wiedziała Harper, powinny być oczy, a na koniec szczęki i zęby. Dwanaście kompletów wyszczerzonych zębów.

This file was created with BookDesigner program
bookdesigner@the-ebook.org
2010-11-27

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

Table of Contents

[Kodeks Deepgate: Tom II](#)

[PROLOG](#)

[CZEŚĆ PIERWSZA](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[CZEŚĆ DRUGA](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[CZEŚĆ TRZECIA](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[ROZDZIAŁ 24](#)

[ROZDZIAŁ 25](#)

[ROZDZIAŁ 26](#)